

John Fowles

Kochanica Francuza

The French Lieutenant's Woman
Przełożyła Wacława Komarnicka

Każda emancypacja jest nadawaniem ludzkiego
wymiaru światu i relacjom między ludźmi

Karol Marks,
Zur Judenfrage (1844)

1

Patrzyła stale
 Ku zachodowi
 W słońcu czy we mgle,
 Jakby wzrok łowił
 Nieznane dale
 W zamorskim tle;
 Stała wytrwale
 Wierna czasowi,
 Jaki dal śle
 Thomas Hardy, *The Riddte*

Wiatr wschodni w zatoce Lyme — owym największym kąsie, jaki morze wyrwało z podudzia wyciągniętej na południowy zachód nogi Anglii — jest wiatrem bardzo przykrym, toteż ktoś docieklivy mógłby od razu wysnuć kilka dość trafnych wniosków na temat pary, która pewnego szczególnie wietrznego i zimnego poranka pod koniec marca 1867 roku wkroczyła na molo w Lyme Regis, mieścinie stanowiącej mały, lecz bogaty w historię eponim zatoki.

Molo ma już co najmniej siedemset lat, zdążyło się więc z pewnością opatrzyć rdzennym mieszkańcom Lyme Regis, dla których jest to tylko stary, wygięty na kształt szponu kamienny mur, odpierający ataki morza. W istocie, ponieważ znajduje się dość daleko od samego miasta, niby miniaturowy Pireus mikroskopijnych Aten, można by rzec, iż mieszkańcy odwracają się do niego plecami. Ponoszone przez nich w ciągu wieków koszty naprawy falochronu usprawiedliwiają do pewnego stopnia tę niechęć. Widziany okiem nie tyle płatnika podatków, co znawcy, jest to bez wątpienia najpiękniejszy łamacz fal na południowym wybrzeżu Anglii. Nie tylko dlatego, że — jak powiadają przewodniki turystyczne — emanuje z niego siedemset lat dziejów Anglii, że stąd wypłynęły okręty na spotkanie Armady, że przy tym nabrzeżu wylądował Monmouth... ale przede wszystkim dlatego, że jest to wspaniały okaz sztuki ludowej.

Prymitywny a zarazem kunsztowny, masywny a harmonijny, pełen misternych wygięć i skrętów niczym dzieło jakiegoś Henry Moore'a lub Michała Anioła, przy tym nieskazitelny, czysty, klarowny — idealny w swym bryłowym ogromie. Przesadzam? Może, ale to rzecz do sprawdzenia, gdyż falochron zmienił się bardzo niewiele od owego roku, o którym piszę, czego nie da się powiedzieć o miasteczku Lyme, toteż próba wypadnie dla mnie niekorzystnie, jeżeli odwrócą się państwo i będą patrzyli w kierunku lądu.

Gdyby jednak w roku 1867 zwrócili się państwo w kierunku lądu na północ, jak to uczynił mężczyzna owego marcowego dnia, ujrzeliby widok bardzo pociągający. Około tuzina domków wraz z małą stoczną — w której niby arka tkwił na blokach stępkowych kadłub lugra — tworzyło stłoczoną, malowniczą grupę tam, gdzie falochron łączy się z lądem. O pół mili na wschód, za spadzistymi stokami łąk widniały kryte słomą i łupkiem dachy samego Lyme, miasteczka, co przeżyło swój rozkwit w średniowieczu i odtąd chyli się coraz bardziej ku upadkowi. Na zachód posępne szare skały, zwane tutaj Ware Cleeves, wznosiły się stromo nad kamienistą plażą, z której Monmouth wyruszył na swoją idiotyczną wyprawę. Ponad nimi i za nimi biegły masywne tarasy dalszych skał, zamaskowane gęstymi lasami. W tym właśnie zestawieniu falochron sprawia wrażenie ostatniego bastionu broniącego się przed całym owym dzikim, podległym erozji wybrzeżem zachodnim. To również jest rzeczą do sprawdzenia. Ani

jednego domu nie widać było wtedy, jak również — poza nędzną gromadką domków campingowych — nie widać dzisiaj w tamtym kierunku.

Miejscowy szpieg — a był taki — mógł wydedukować, że ci dwoje to przyjezdni, ludzie z wyższych sfer towarzyskich, w dodatku tacy, których byle wichura nie zniechęci do miłego spaceru po molo. Jednocześnie, nastawiając staranniej teleskop, mógłby dojść do wniosku, że samotność we dwoje interesuje ich bardziej aniżeli architektura nadmorska, stwierdziłby też niewątpliwie, że odznaczają się doskonałym smakiem, gdy chodzi o prezencję.

Młoda dama ubrana była według ostatniej mody, w roku 1867 bowiem powiał nowy wiatr, przynosząc bunt przeciwko krynolinie i kapturkowi z szerokim rondem. Oko przy okularze teleskopu mogło dostrzec karmazynowa spódnice, zuchwale wprost wąską — no i krótką, boć widać było błyski białych pończoszek poniżej zielonego płaszcza, a powyżej czarnych bucików, stąpających ostrożnie po kamiennych płytach, oraz przechylony do przodu nad ujętym w siatkę kokiem mały płaski „pierożek”, przybrany z boku delikatną egretą — majstersztyk sztuki modniarskiej, jakiego panie, stale mieszkające w Lyme, z pewnością nie odważyłyby się włożyć jeszcze co najmniej przez rok. Wyższy od swej towarzyszki mężczyzna, w nieposzlakowanym jasnopopielatym garniturze, z cylindrem w wolnej ręce, miał mocno przystrzyżone bokobrody, gdyż arbitrzy angielskiej mody męskiej rok czy dwa przedtem uznali, że szerokie bokobrody są nieco wulgarne — czyli, innymi słowy, budzą śmiech cudzoziemców. Kolory poszczególnych części garderoby młodej damy wydałyby się nam dzisiaj krzyczące, ale świat właśnie w tym czasie ogarnięty był zachwytem dla świeżo odkrytych barwników anilinowych. A przecież każda kobieta, spragniona rekompensaty za tyle innych narzucanych jej ograniczeń, tego przynajmniej wymagała od kolorów, żeby były żywe, nie zaś dyskretne.

Jednakże obserwator przy teleskopie byłby w sporym kłopotcie, gdyby miał sformułować jakieś wnioski co do innej postaci na owym posepnym, krętym molo. Stała ona na krańcu najbardziej wysuniętym w morze, wsparta o lufę armatnią, ustawioną sztorcem i służącą do przywiązywania lin cumowych. Ubrana była na czarno. Wiatr szarpał jej suknię, lecz ona wciąż stała bez ruchu, wpatrując się w pusty horyzont. Wyglądała raczej na żywy pomnik ofiar morza, na postać z legendy, aniżeli na cząstkę szarego prowincjonalnego dnia.

2

W owym roku (1851) Wyspy Brytyjskie zamieszkiwało około 8 155 000 przedstawicielek płci żeńskiej od dziesięciu lat wzwyż na 7 600 000 osobników płci męskiej. Było więc rzeczą jasną, że aczkolwiek przeznaczeniem dziewczyny wiktoriańskiej w powszechnym przekonaniu jest zostać żoną i matką, to jednak mężczyzna na dopełnienie tego przeznaczenia nie wystarczy.

E. Royston Pike

Human Documents of the Victorian Golden Age

Srebrne żagle i na morze popłynę,
Srebrne żagle i na morze popłynę,
Będzie płakać niewierna, gdy zostawię dziewczynę,
Będzie płakać niewierna, gdy mnie nie będzie już.

Piosenka ludowa:

As Sylvie was walking

— Kochana Tino, złożyliśmy już hołd Neptunowi. Bez wątpienia wybaczy nam, jeżeli się teraz odwrócimy do niego plecami.

— Nie jesteś zbyt rycerski.

— Co to znaczy, jeśli wolno zapytać?

— Sądziłam, że będziesz chciał skorzystać ze sposobności i potrzymać trochę dłużej moje ramię, nie budząc tym zgorszenia.

— Jacyśmy się stali delikatni!

— Nie jesteśmy teraz w Londynie.

— Jesteśmy na Biegunie Północnym, o ile się nie mylę.

— Chciałabym dojść do końca.

Na takie *dictum* mężczyzna z wyrazem ironicznej rozpaczyny spojrzał w stronę lądu, jak gdyby miało to być jego ostatnie spojrzenie, po czym znów zawrócił i oboje ruszyli dalej nabrzeżem.

— Poza tym chciałabym się dowiedzieć, co zaszło w czwartek między tobą a papą.

— Twoja ciotka wydobyła już ze mnie wszystkie szczegóły tego miłego wieczoru.

Panna przystanęła i spojrzała mu w oczy.

— Karolu! Mój Karolu, możesz być sztywny, jakbyś kij połknął, z kimkolwiek chcesz, ale nie ze mną.

— Moje drogie dziecko, przyznasz, że każdy kij ma dwa końce.

— A złe humory zachowaj dla swego klubu. — Panna z surową minką zmusiła go, żeby szedł dalej. — Dostałam list.

— O! Obawiałem się tego. Od mamy?

— Wiem, że coś zaszło... przy winie po obiedzie.

Uszli kilka kroków, nim Karol odpowiedział; przez chwilę miał ochotę mówić serio, zaraz jednak dał temu spokój.

— A więc przyznam ci się, że między twoim czcigodnym ojcem a mną doszło do drobnej różnicy zdań na tematy filozoficzne.

— To bardzo brzydko z twojej strony.

— Chciałem właśnie, żeby to było jak najuczciwiej z mojej strony.

— Cóż było tematem rozmowy?

— Twój ojciec dał wyraz opinii, że pana Darwina powinno się pokazywać w klatce w ogrodach zoologicznych. Razem z małpami. Usiłowałem przytoczyć pewne naukowe argumenty, przemawiające za stanowiskiem Darwina. Usiłowania moje nie odniosły skutku. *Et voila tout.*

— Jak mogłeś, znając poglądy papy?!

— Byłem pełen szacunku.

— To znaczy, że byłeś wstrętny.

— Powiedział w istocie, że nie pozwoli córce wyjść za człowieka, który uważa, że jego pradiadem była małpa. Sądzę jednak, że po namyśle przypomni sobie, iż w moim wypadku była to małpa utytułowana.

Panna spojrzała na niego przelotnie i odwróciła głowę szczególnym, płynnym ruchem; był to jej charakterystyczny ruch, kiedy chciała okazać zatroskanie — w tym wypadku zatroskanie sprawą, która jej zdaniem stanowiła największą przeszkodę do ich związku. Wprawdzie ojciec panny był człowiekiem bardzo bogatym, ale jej dziadek był kupcem, a dziadek Karola baronetem. Karol uśmiechnął się i przycisnął urękawiczoną dłoń, wspartą lekko na jego lewym ramieniu.

— Kochanie, wszystko to już omówiliśmy. Jest rzeczą absolutnie właściwą, abyś bała się ojca. Ale ja przecież nie z nim się żenię. Zapominasz poza tym, że jestem człowiekiem nauki. Napisałem monografię, więc chyba nim jestem. A jeżeli się będziesz tak uśmiechać, poświęcę cały swój czas skamieniałościom i ani chwili tobie.

— Nie mam zamiaru być zazdrosna o skamieniałości. — Tu z przebiegłą miną zrobiła pauzę. — Tym bardziej że chodzisz po nich co najmniej od minuty, a nie raczyłeś nawet ich zauważyć.

Karol spojrzał szybko w dół i równie szybko ukląkł. Niektóre bowiem części molo wybrukowane są płytami zawierającymi skamieliny.

— Dalipan, spójrz tylko! *Certhidium portlandicum*. Ten kamień musi pochodzić ze skały oolitowej w Portland.

— A ja skażę cię na dożywotnie ciężkie roboty w tamtejszych kamieniołomach, jeżeli natychmiast nie wstaniesz. Karol usłuchał z uśmiechem. — Widzisz, jaka jestem dobra, że cię tu przyprowadziłam? Teraz spójrz. — Pociągnęła go na tę stronę falochronu, gdzie szereg płaskich kamieni osadzonych bokiem w murze tworzył coś w rodzaju stopni, prowadzących na niższy poziom. — To są te same schody, z których Jane Austen kazała spaść Luizie Musgrove w *Perswazjach*.

— Niezmiernie romantyczne.

— Panowie mieli romantyczne upodobania... w tamtych czasach.

— A teraz mają upodobania naukowe, tak? Czy zaryzykujemy zejście po tych groźnych stopniach?

— W powrotnej drodze.

Ruszyli znów naprzód. Dopiero wtedy Karol zauważył postać stojącą na końcu molo, a w każdym razie zorientował się, że jest to osoba płci żeńskiej.

— Wielkie nieba, myślałem, że to rybak. Ale to przecież kobieta?

Ernestyna zmrużyła powieki. Miała szare oczy, bardzo ładne szare oczy, ale wzrok krótki, dojrzała więc tylko ciemną sylwetkę.

— Czy jest młoda?

— Za daleko, żeby można było poznać.

— Ale domyślam się... To musi być biedna Tragedia.

— Tragedia?

— Przewisko. Jedno z jej przewisk.

— Jak brzmią inne?

— Rybacy nazywają ją bardzo ordynarnie.

— Droga moja Tino, mnie możesz...

— Nazywają ją... kochanicą Francuza... Francuskiego porucznika.

— Doprawdy? I jest aż pod takim ostracyzmem, że musi pędzić dni swoje tam, na końcu falochronu?

— Ona jest... trochę szalona. Zawróćmy. Nie chcę się do niej zbliżyć.

Przystanęli. Karol patrzył na czarną postać.

— Ale mnie ta sprawa intryguje. Któż to jest ten francuski porucznik?

— Człowiek, z którym podobno...

— W którym się zakochała?

— Gorzej.

— I porzucił ją? Pewno z dzieckiem?

— Nie. Żadnego dziecka chyba nie ma. To wszystko są tylko plotki.

— Cóż ona tu robi?

— Podobno czeka na jego powrót.

— Ale... nikt się nią nie opiekuje?

— Jest czymś w rodzaju służącej u starej pani Poulteney. Nigdy się nie pokazuje, kiedy przychodzimy z wizytą. Ale mieszka tam. Proszę cię, zawróćmy. Ja jej nie widziałam.

Karol uśmiechnął się.

— Jeżeli się na ciebie rzuci, stanę w twojej obronie i dam dowody swej ubożuchnej rycerskości. Chodź.

Podeszli bliżej do postaci przy lufie armatniej. Kobieta w czerni zdjęła kapelusz i trzymała go w ręce; włosy miała mocno ściągnięte do tyłu i schowane pod kołnierzem czarnego żakietu — żakiet zaś był dziwaczny, przypominał raczej męską kurtkę do konnej jazdy, aniżeli którykolwiek z damskich żakietów, jakie się nosiło w ciągu ostatnich czterdziestu lat. Ona także nie miała na sobie krynoliny, było jednak rzeczą jasną, że nie wchodzi tu w grę znajomość najświeższych nakazów mody londyńskiej, lecz po prostu obojętność na sprawy stroju. Karol rzucił jakąś zdawkową i głośną uwagę, aby ostrzec kobietę, że nie jest już sama, ona jednak nie odwróciła się. Młodzi ludzie doszli teraz do miejsca, z którego mogli już widzieć jej twarz z profilu i dostrzec, że spojrzenie ma wycelowane niczym karabin w najdalszą linię horyzontu. Gwałtowny podmuch wiatru sprawił, że Karol musiał objąć Ernestynę, aby ją podtrzymać, kobieta zaś musiała chwycić się mocniej armaty. Gdy wiatr nieco się uciszył, Karol, sam nie wiedząc czemu — może po to, żeby pokazać Ernestynie, jaki jest śmiały — zrobił krok naprzód.

— Moja dobra kobieto, nie możemy patrzeć bez lęku na to, jak tu stoicie. Silniejszy podmuch wichury...

Odwróciła się, żeby spojrzeć na niego — czy też, jak się Karolowi zdawało, poprzez niego. Zostały mu w pamięci po tym pierwszym spotkaniu nie tyle rysy tej twarzy, ile to wszystko, co było w niej inne, niż się spodziewał, żyli bowiem w czasach, gdy na twarzy kobiecej najchętniej widziany był wyraz skromności, posłuszeństwa, onieśmienia. Karol poczuł się naraz tak, jak gdyby wkroczył na zakazany teren, jak gdyby falochron należał do tej twarzy, nie zaś do zabytkowego miasta Lyme. Nie była to twarz ładna jak twarz Ernestyny. Z pewnością też nie była to twarz piękna, gdyby sądzić ją według kryteriów którejkolwiek epoki historycznej. Ale była to twarz niezapomniana, twarz tragiczna. Ból tryskał z niej w sposób równie naturalny i niepowstrzymany jak woda z leśnego źródła. Nie było tu żadnej sztuczności, obłudy, hysterii, żadnej maski, a nade wszystko żadnych oznak obłędu.

Obłąd czaił się w pustym morzu, w pustym horyzoncie, w braku powodu do takiego cierpienia — jak gdyby źródło było naturalne samo w sobie, lecz nienaturalne przez to, że tryskało na pustyni.

Karol nieraz potem myślał o tym spojrzeniu jako o lancy, a gdy się tak myśli, określa się nie tyle sam obiekt, ile wywierane przezeń wrażenie. Poczul się w owej krótkiej chwili napastnikiem, przebitym na wylot, a zarazem pomniejszonym.

Kobieta nie odezwała się. Spoglądała na intruza co najwyżej przez dwie lub trzy sekundy, potem znów przeniosła wzrok na południe. Ernestyna pociągnęła Karola za rękaw; wzruszył ramionami, odwrócił się i uśmiechnął do niej. Kiedy byli już blisko lądu, rzekł:

— Żałuję, że opowiedziałas mi te niesmaczne fakty. To jest właśnie w życiu prowincjonalnym najgorsze. Wszyscy się znają i nie ma żadnych tajemnic. Nie ma romantyzmu.

Ernestyna obsypała go natychmiast docinkami, przecież jest człowiekiem nauki, przecież gardzi romansidłami.

3

Ważniejsze jednak jest to, że zasadnicza część organizacji każdej istoty żyjącej wpływa po prostu z dziedziczności i dlatego też, chociaż każda istota jest bez wątpienia dokładnie przystosowana do swego miejsca w przyrodzie, wiele narządów nie pozostaje ściśle w bezpośrednim związku z jej obecnym sposobem życia.

Karol Darwin, *O powstawaniu gatunków* (1859)

Ze wszystkich dekad naszych dziejów człowiek mądry wybrałby na okres swej młodości lata tysiąc osiemset pięćdziesiąte.

G. M. Young, *Portret stulecia*

Znalazszy się po lunchu znów w swych pokojach „Pod Białym Lwem”, Karol długo przyglądał się odbiciu swojej twarzy w lustrze. Myśli jego zbyt były mgliste, aby dało się je opisać. Zawierały wszakże pewne tajemnicze elementy; niesprecyzowane poczucie klęski, niepozostające zresztą w jakimkolwiek związku z incydentem na molo, lecz z jego własnymi błahymi wypowiedziami podczas lunchu u ciotki Tranter, z pewnymi charakterystycznymi unikami, jakie czynił; z tym, czy zainteresowanie paleontologią stanowi dostateczne pole dla jego wrodzonych zdolności; z tym, czy Ernestyna kiedykolwiek potrafi zrozumieć go równie dobrze, jak on ją rozumie; z ogólnym poczuciem chybienia celu, mającym być może źródło jedynie tylko — jak doszedł w końcu do wniosku — w perspektywie długiego, a teraz także i deszczowego popołudnia. Bądź co bądź był dopiero rok 1867. Karol miał dopiero trzydzieści dwa lata. Przy tym zawsze zadawał życiu zbyt wiele pytań.

Karol lubił myśleć o sobie jako o młodym koryfeuszu nauki i zapewne nie byłby nadmiernie zdziwiony, gdyby z przyszłości dotarły do niego wieści o samolocie, silniku odrzutowym, telewizji i radarze; w zdumienie natomiast wprawiłaby go zmiana stosunku ludzi do samego pojęcia czasu. Wielkim bowiem nieszczęściem naszego stulecia jest pono brak czasu; to właśnie nasze poczucie tego braku, nie zaś bezinteresowne umiłowanie wiedzy, a już z pewnością nie mądrość sprawia, że poświęcamy tak znaczną część pomysłowości i dochodu poszczególnych państw na znalezienie szybszych sposobów robienia różnych rzeczy — jak gdyby ostatecznym celem ludzkości nie było zbliżenie się do idealnego społeczeństwa, lecz do idealnej błyskawicy.

Dla Karola jednak i dla wszystkich prawie jego współczesnych, stojących na tym samym co on szczeblu społecznym, tempo egzystencji określało się niezmiennie terminem *adagio*. Problem nie polegał na tym, aby zmieścić wszystko, co chciałoby się zrobić, lecz na tym, jak rozciągnąć to, co się ma do zrobienia, aby jakoś pokryć rozległe pole wolnego czasu.

Jednym z najpospolitszych objawów zamożności jest dzisiaj nerwica depresyjna, w stuleciu Karola objawem takim była spokojna nuda. Wprawdzie fala rewolucji 1848 roku, wspomnienie o nieistniejących już czartystach stało za tym okresem niczym posępny cień, dla wielu jednak — a między innymi również dla Karola — rzeczą najbardziej znamioną w owych odległych pomrukach grzmotu było to, że nie doprowadziły one do wybuchu. Lata sześćdziesiąte były bez wątpienia latami tłustymi; dobrobyt, który objął także przedstawicieli rzemiosła, a nawet klasę robotniczą, kazał ogółowi — przynajmniej w Wielkiej Brytanii — zapomnieć o jakiegokolwiek możliwości rewolucji. Nie potrzeba nadmieniać, że Karol nic nie wiedział o brodatym Żydzie niemieckim, który tego samego popołudnia pracował spokojnie w bibliotece Muzeum Brytyjskiego i którego praca w owych ciemnych murach miała wydać tak jaskrawoczerwone owoce. Gdyby państwo próbowali opowiedzieć o tych owocach lub o skutkach ich późniejszego

powszechnego spożywania, Karol z pewnością by państwu nie uwierzył — mimo że zaledwie w sześć miesięcy po opisywanym tu marcu 1867 roku miał się ukazać w Hamburgu pierwszy tom *Kapitału*.

Było też bez liku powodów osobistych, dla których Karol nie nadawał się do przyjemnej skądinąd roli pesymisty. Jego dziadek baronet zaliczał się do drugiej z dwóch głównych kategorii ziemian angielskich: opijających się czerwonym winem fanatyków polowania na lisy oraz uczonych zbieraczy wszystkiego pod słońcem. Zbierał w zasadzie książki, ale w późniejszych latach życia poświęcił moc pieniędzy, nie mówiąc już o cierpliwości rodziny, na rozkopywanie nieszkodliwych pagórków, rozsianych niby pryszcze po należących do niego trzech tysiącach akrów ziemi w Wiltshire. Dolmeny i menhiry, narzędzia kamienne i groby neolityczne — tropił to wszystko bezlitośnie, najstarszy zaś jego syn, objąwszy po nim dziedzictwo, równie bezlitośnie tropił i usuwał z domu wszystkie ojcowskie trofea, jakie dało się ruszyć z miejsca. Wszelako niebo ukarało — a może pobłogosławiło — tego syna sprawiając, że nigdy się nie ożenił. Zresztą młodszy syn baroneta, ojciec Karola, również otrzymał po ojcu okazałą schedę w postaci ziemi i pieniędzy, zapewniającą mu dostatni byt.

W życiu tego człowieka była jedna tylko tragedia — równoczesna śmierć młodej żony i nowo narodzonego dziecka, niedoszłej siostrzyczki rocznego Karola. Przebolewał wszakże tę stratę. Otoczył Karola jeśli nie wielką miłością, to w każdym razie licznym gronem korepetytorów i treserów, i ogólnie rzecz biorąc lubił go trochę tylko mniej niż siebie samego. Sprzedał swoją część ziemi, inwestował rozważnie w akcjach kolejowych i nierozważnie przy zielonych stolikach (szukał bowiem pociechy snadniej w kasynach niż w kościołach), słowem żył tak, jak gdyby urodził się raczej w 1702 aniżeli w 1802 roku, żył głównie dla przyjemności... i głównie z tego powodu umarł w roku 1856. Karol tedy został jedynym jego spadkobiercą. Był zresztą nie tylko spadkobiercą uszczuplonej fortuny ojca bakarat w końcu wziął górę nad hossą akcji kolejowych lecz miał też z czasem odziedziczyć bardzo znaczny majątek stryja. Należy jednak stwierdzić, że w roku 1867 stryj, mimo zgodnego z tradycją umiłowania wina bordoskiego, nie zdradzał najmniejszych oznak rychłego zgonu.

Karol lubił stryja, stryj zaś ze swej strony lubił Karola, co zresztą wcale nie zawsze uzewnętrzniało się w ich wzajemnych stosunkach. Karol wprawdzie czynił pewne ustępstwa na rzecz sportu myśliwskiego i chodził na kuropatwy i bażanty, gdy go do tego zapraszano, odmawiał jednak stanowczo udziału w polowaniu na lisy. Nie chodziło mu o to, że zdobycz jest niejadalna, czuł po prostu odrazę do rozjuszonych myśliwych. Miał na sumieniu gorsze jeszcze grzechy: zdradzał wrodzone upodobanie do pieszych wędrówek, przedkładając je nad jazdę konną, piesze zaś wycieczki nie są rozrywką godną dżentelmena, chyba że się odbywa je w Alpach. Koń sam w sobie nie budził w Karolu specjalnych obiekcji, lecz jako urodzonego badacza przyrody złościła go niemożność obserwowania jej z bliska i bez pośpiechu. Pewnego dnia jesienno, wiele lat przedtem, Karol zastrzelił bardzo dziwnego ptaka, który wybiegł ze skraju jednego z łąków pszenicy stryja. Gdy się przekonał, co to za ptak i jak jest rzadki, zły był na siebie, zabił bowiem jednego z ostatnich wielkich dropi na równinie Salisbury. Ptaka wypchano i odtąd niby spaśny indyk spoglądał paciorkami oczu ze szklanej gabloty w salonie dworu Winsyatt.

Stryj zanudzał składających wizyty sąsiadów opowiadaniem o tym bohaterskim czynie, a ilekroć miał chęć wydziedziczyć bratanka — czego ku wielkiej swej wściekłości nie mógł zrobić, gdyż dobra stanowiły majorat — odzyskiwał równowagę ducha i serdeczne uczucia stryjowskie, stając przed gablotą i patrząc na nieśmiertelnego Karolowego dropia. Karol bowiem miał swoje wady. Nie zawsze pisywał co tydzień, kiedy zaś przyjeżdżał do Winsyatt, wykazywał zgubną

skłonność do przesiadywania po południu w bibliotece, pokoju, do którego stryj nigdy prawie nie zaglądał.

Miał zresztą poważniejsze jeszcze wady. W Cambridge zgodnie z programem wykuł klasyków starożytnych, opanował Trzydzieści Dziewięć Artykułów wiary anglikańskiej, po czym (w przeciwieństwie do większości młodych ludzi jego czasów) zaczął rzeczywiście czegoś się uczyć. Kiedy był na drugim roku, popadł w złe towarzystwo, co miało taki koniec, że pewnej mglistej nocy londyńskiej wszedł w cielesne posiadanie nagiej dziewczyny. Wyrwawszy się z jej pulchnych plebejskich ramion, rzucił się prosto w ramiona Kościoła i wkrótce potem wprawił w najwyższe przerażenie ojca, oznajmiając mu, że pragnie przyjąć święcenia kapłańskie. Na kryzys tych rozmiarów jedna mogła być tylko odpowiedź: krnąbrnego młodzieńca wyekspediowano do Paryża. Tam jego ledwie splamiona dziewiczość została w krótkim czasie doszczętnie unicestwiona, ale jednocześnie też — jak się zresztą ojciec spodziewał — wniwecz się obróciły zamierzone zaślubiny z Kościołem. Karol dojrzał, co kryje się za Ruchem Oksfordzkim * [* Ruch religijny, zwany pierwotnie traktarianizmem, zapoczątkowany w Oksfordzie w roku 1833. (Przyp. tłum.) (Wszystkie przypisy oznaczone cyframi są przypisami autora, a gwiazdką — tłumacza.)] — rzymski katolicyzm *propria terra*. Nie zechciał tedy wymienić swej miernej, lecz poręcznej angielskiej duszy składającej się w równych częściach z ironii i konwenansów na dymy kadzidlane i omylność papieską. Po powrocie do Londynu, idąc dalej drogą poszukiwań, przerzucił i przekartkował co najmniej tuzin będących w obiegu teorii religijnych, lecz zakończył tę drogę (*voyant trop pour nier et trop peu pour s'assurer*) jako zdrowy na duchu agnostyk¹. Jeśli w ogóle potrafił dopatrzeć się Boga w istnieniu ziemskim, znajdował Go w przyrodzie, nie zaś w Piśmie Świętym; o sto lat wcześniej byłby zapewne deistą, może nawet panteistą. Będąc w towarzystwie, udawał się w niedzielę na nabożeństwo poranne, sam jeden czynił to bardzo rzadko.

Wrócił w roku 1856 po półrocznym pobycie w Mieście Grzechu. Ojciec jego umarł w trzy miesiące później. Wielki dom w dzielnicy Belgravia wynajęto, a Karol przeniósł się do dzielnicy Kensington, do skromniejszego znacznie domu, bardziej odpowiedniego dla młodego kawalera. Mieszkał tam obsługiwany przez kamerdynera, kucharkę i dwie pokojówki — personel, którego szczupłość jak na człowieka o stosunkach i majątku Karola świadczyła niemal o ekscentryczności. Ale czuł się tam szczęśliwy, zresztą większość czasu spędzał na podróżowaniu po świecie. Zamieścił w modnych czasopismach kilka esejów o swoich wozajach do dalekich krajów; pewien przedsiębiorczy wydawca proponował mu nawet, aby po dziewięciu miesiącach spędzonych w Portugalii napisał o niej książkę, lecz pisarstwo wydawało się Karolowi czymś poniżej jego godności, w dodatku czymś nazbyt zbliżonym do wyteżonej pracy, wymagającej długotrwałego skupienia. Bawił się przez jakiś czas tą myślą, aż w końcu jej poniechał. Ściśle biorąc, bawienie się tymi i owymi myślami stanowiło główne zajęcie Karola w trzeciej dekadzie życia.

Jednakże, mimo iż dawał się nieść powolnej fali czasów wiktoriańskich, nie był w gruncie rzeczy młodzieńcem frywolnym. Dzięki przypadkowemu spotkaniu z kimś, kto wiedział o manii jego dziadka, zrozumiał, że to tylko w rodzinie traktowano w sposób humorystyczny działalność starszego pana, który po całych dniach tkwił przy wykopkach, nadzorując pracę nic nierozumiejących wieśniaków. Inni pamiętali sir Karola Smithsona jako pioniera archeologii Brytanii z okresu przedrzymskiego; okazy z jego wygnanych zbiorów przytuliło z wdzięcznością Muzeum Brytyjskie. Stopniowo też Karol zdał sobie sprawę, że z usposobienia bardziej jest podobny do dziadka niż do któregoś z jego dwóch synów. W ciągu ostatnich trzech lat interesował się coraz bardziej paleontologią i doszedł w końcu do wniosku, że jest to przyrodzone mu pole działania. Zaczął uczęszczać na *conversazioni* Towarzystwa Geologicznego. Stryj z dezaprobatą spoglądał na Karola, gdy ten wyruszał z Winsyatt, uzbrojony

w młotki, siekierki i worek na okazy. Zdaniem starszego pana, jedynymi przedmiotami, jakie dżentelmen mógł nosić na wsi, były pejcz lub dubeltówka — w każdym razie jednak lepsze to już było od ślęczenia nad przebrzydłymi książkami w przebrzydłej bibliotece.

Zresztą Karol zdradzał brak zainteresowania w innym jeszcze kierunku, co najbardziej stryja irytowało. Żółte wstążki i żonkile, godła Partii Liberalnej, były w Winsyatt wyklęte; baronet był torysem do szpiku kości i bardzo się polityką interesował. Jednak wszelkie próby nakłonienia Karola, żeby kandydował do Parlamentu, spotykały się z uprzejmą, lecz stanowczą odmową. Karol twierdził, że w ogóle nie ma przekonań politycznych. W skrytości ducha żywił niejaki podziw dla Gladstone'a, w Winsyatt jednak Gladstone był arcyzdrajcą, człowiekiem, którego nazwiska się nie wymieniało. W ten oto dogodny sposób szacunek dla stryja i lenistwo w sprawach społecznych zamknęły przed Karolem karierę, do której z urodzenia był właściwie przeznaczony.

Muszę tu wyznać, że lenistwo było w ogóle najbardziej charakterystyczną cechą Karola. Podobnie jak wielu jego współczesnych dostrzegając, że poczucie odpowiedzialności początków wieku dziewiętnastego zamienia się stopniowo w poczucie własnej ważności — że pobudką wszelkich poczynań nowej Brytanii jest coraz bardziej chęć zachowania cnotliwych pozorów, nie zaś czynienie dobra dla samego dobra. Wiedział, że jest nazbyt wymagający. Ale jak tu tworzyć dzieła historyczne, mając tak świeżo za sobą wielkiego Macaulaya? Jak pisać powieści lub wiersze pośród największej plejady talentów w dziejach literatury angielskiej? Jak kusić się o własne teorie naukowe, gdy Lyell i Darwin jeszcze żyją? Jak być mężem stanu, gdy Disraeli i Gladstone polaryzują całą dostępną przestrzeń?

Widzą więc państwo, że Karol mierzył wysoko. Inteligentni próżniacy zawsze wysoko mierzą, aby usprawiedliwić własne próżniactwo przed własną inteligencją. Słowem, Karol cierpiał w całej rozciągłości na bajroniczny splin, nie mając na tę dolegliwość żadnego z leków, jakimi rozporządzał Byron — ani geniuszu, ani cudzołóstwa.

Ale chociaż śmierć może zwlekać z nadejściem, jak rozważały nieraz matki mające córki na wydaniu, w końcu jednak zawsze litościwie przychodzi. Przy tym Karol nawet bez dalszych swych sperand był bez wątpienia atrakcyjnym młodzieńcem. Wprawdzie liczne podróże starły z niego, niestety, znaczną część owej patyny całkowitego braku humoru (zwanej przez ludzi z epoki wiktoriańskiej powagą, prawością moralną, godnością, uczciwością i tysiącem innych bałamutnych mian), wymaganej jako pierwszy warunek od prawdziwego dżentelmena angielskiego tamtych czasów. Wprawdzie znać było po nim pewien cynizm, niezawodną oznakę rozkładu moralnego, ilekroć jednak wszedł do salonu, mamy rzucały mu przymilne spojrzenia, ojcowie klepali go po ramieniu, a panny na prześcigi się do niego wdzięczyły. Karol lubił ładne dziewczęta, toteż wcale chętnie czarował zarówno panny, jak i ich ambitnych rodziców.

Zyskał w ten sposób reputację człowieka wyniosłego i oziębłego, co było zasłużoną nagrodą za zręczność — nim jeszcze skończył trzydzieści lat, zakasowałby najbardziej szczwanego lisa — z jaką obwąchał przynętę, a następnie omijał ukryte kleszcze groźnych pułapek matrymonialnych, rozsianych na jego drodze.

Stryj nieraz łąjał go za to, ale jak mu Karol z miejsca wytykał, sam nie był bez winy. Starszy pan mruczał gniewnie:

- Nie znalazłem nigdy odpowiedniej kobiety.
- Brednie. Nigdy jej stryj nie szukał.
- Szukałem, dalibóg szukałem. Kiedy byłem w twoim wieku...
- Miał stryj w głowie tylko charty i sezon polowania na kuropatwy.

Stryj wpatrywał się smętnie w swoje wino. W gruncie rzeczy nie żałował, że nie ma żony, odczuwał tylko dotkliwie brak dzieci, którym mógłby kupować kuce i strzelby. Widział już, jak tradycje ziemiańskie przemijają bez śladu.

— Byłem ślepy. Ślepy.

— Kochany stryju, ja mam doskonały wzrok. Niech się stryj pocieszy, ja też szukam odpowiedniej panny. Dotychczas jej nie znalazłem.

¹[Sam wprawdzie nie użyłby tego określenia z tego prostego powodu, że zostało ono ukute (przez Huxleya) dopiero w 1870 roku, w którym to czasie było już bardzo potrzebne. (Przyp. aut.)]

4

To, czego dokonamy, zostaje! Szczęśliwi
 Ci, którzy ukończyli ulubione dzieło:
 Ono niemo przemawia za nich, choć nieżywi,
 Nie zmarnowali życia, choć życie umknęło.
 Mrs Norton, *The Lady of La Garaye* (1863)

Większość rodzin brytyjskich z klas średnich i wyższych mieszkała nad własnymi dołami kłoczonymi...

E. Royston Pike, *Human Documents of the Victorian Golden Age*

Ulokowana w suterenie kuchnia wielkiego, zbudowanego w stylu regencji (1810—1820) domu pani Poulteney, który jako widomy a imponujący znak jej pozycji społecznej stał na szczycie jednego ze stromych wzgórz za Lyme Regis, bez wątpienia w dzisiejszych czasach zostałaby uznana za absolutnie niefunkcjonalną i nienadającą się do użytku. Wprawdzie zatrudniona tam służba stwierdziłaby bez wahania, kto jest tyranem zatruwającym im życie, ale dla ludzi z wieku dwudziestego groźniejszym potworem byłby niechybnie olbrzymi piec kuchenny, zajmujący całą wewnętrzną ścianę przestronnego i źle oświetlonego pomieszczenia. Piec miał trzy paleniska, które trzeba było napełnić węglem trzy razy dziennie, dwa razy dziennie zaś przerusztować, nigdy też nie wolno było dopuścić, aby ogień w nich wygasł, od tych bowiem niegasnących płomieni zależało gładkie obracanie się trybów gospodarstwa domowego. Czy to w skwarne dzień letni, czy podczas wichury południowo—zachodniej, kiedy potwór niezmiennie rzygał dymem, wypełniając kuchnię czarnymi, duszącymi chmurami, musiało się bezlitosnym paleniskom dostarczać pożywienia. A przy tym co za okropne ściany! Wołały do nieba o jakiś jaśniejszy odcień, o biel, a zamiast tego pomalowane były na ołowianozielony kolor farbą, która (choć nie wiedziała o tym ani służba, ani — bądźmy sprawiedliwi despotka z górnych pięt) zawierała w sobie moc arszeniku. Może to i szczęśliwie się składało, że kuchnia była wilgotna, a potwór rozsiewał tyle dymu i sadzy, bo dzięki temu nie mógł się przynajmniej unosić zabójczy pył.

Sierżantem — szefem tego mrocznego hadesu była niejaka pani Fairley, chuda, drobna kobieta, która zawsze chodziła w czerni, nie tyle z powodu wdowieństwa, co z usposobienia. Być może w tę ciężką melancholię wpędzał ją niekończący się potok pomniejszych śmiertelników, przepływający przez kuchnię. Kamerdynerzy, lokaje, ogrodnicy, stajenni, pokojówki, pomywaczki — wszyscy oni tylko do pewnego czasu znosili wymagania i humory pani Fairley, w końcu zaś uciekali. Postępowali oczywiście w sposób haniebnym i tchórzliwym; gdy jednak człowiek musi wstać o szóstej, tyrać od pół do siódmej do jedenastej, harować znów od pół do dwunastej do pół do piątej po południu, a potem znów od piątej po południu do dziesiątej wieczór, i tak dzień w dzień, czyli sto godzin tygodniowo, trudno od niego wymagać zbyt wielkich zasobów pogody ducha i odwagi.

Legenda głosiła, że przed — przed — przedostatni kamerdyner dał wyraz uczuciom całej służby, składając pani Poulteney następujące oświadczenie: „Szanowna pani, raczej spędzę resztę życia w przytułku dla nędzarzy, niż pozostanę jeszcze przez tydzień pod tym dachem.” Byli wprawdzie tacy, co powątpiewali, czy ktokolwiek z żyjących ośmieliłby się rzeczywiście zwrócić do srogiej damy w te słowa, ale wszyscy bez wyjątku chętnie by się pod nimi podpisali, gdy kamerdyner, dźwigając swoje rzeczy, zszedł na dół i oznajmił, że tak właśnie powiedział.

Zresztą fakt, że sama pani Fairley tak długo znosiła obcowanie ze swoją chlebobawczynią, stanowił przedmiot ustawicznego zdumienia całej okolicy. Przyczyny należało zapewne szukać w tym, że gdyby los pozwolił, ochmistrzyni byłaby kubek w kubek taką samą panią Poulteney. Trzymała ją na miejscu zawiść, jak również złośliwa uciecha z przeróżnych katastrof, które wcale często spadały na ten dom. Słowem, obydwie kobiety miały w sobie sporą dawkę sadyzmu, toteż wzajemna tolerancja była dla obydwóch z korzyścią.

Pani Poulteney miała dwie obsesje czy też dwie postacie tej samej obsesji. Pierwszą był brud — chociaż mniej była drażliwa, gdy chodziło o kuchnię, bo przecież mieszkała tam tylko służba — drugą zaś niemoralność. Nic też zdrożnego w obu tych dziedzinach nie uszło jej sokolemu oku.

Mając do dyspozycji nieograniczone zasoby wolnego czasu, krążyła niestrudzenie po domu niczym pulchny sęp wypatrujący zdobyczy, obdarzona była też przedziwnym szóstym zmysłem, który pozwalał jej wykrywać natychmiast wszelki pył, ślady palców, niedostatecznie wykrochmaloną bieliznę, odory, plamy, stłuczone naczynia i inne drobne szkody, jakich niepodobna uniknąć w każdym gospodarstwie. Ogrodnika odprawiała za to, że wszedł do domu z rękami powalnymi ziemią, kamerdynera za plamę od wina na plastronie, pokojówkę za farfocle kurzu pod jej własnym łóżkiem. Co najgorsza, pani Poulteney nawet poza domem nie uznawała żadnych granic swej władzy. Nieobecność w niedzielę w kościele, zarówno na nabożeństwie porannym, jak i wieczornym, stanowiła dowód rozwiązłości najgorszego rzędu. Niech Bóg broni, aby pokojówka podczas jednego z rzadkich wolnych popołudni — udzielanych raz na miesiąc, a i to bardzo niechętnie — odważyła się pójść na spacer z młodym człowiekiem. Boże broń, aby zakochany młodzieniec odważył się przyjść do Marlborough House na umówione spotkanie, gdyż w ogrodach otaczających dom roilo się wprost od humanitarnych potrzasków — słowo zaś „humanitarny” oznacza w tym kontekście, że wielkie, rozwarte szczęki potrzasku nie miały ostrych zębów, choć były dość mocne, żeby złamać człowiekowi nogę. Żelazne te sługi pani Poulteney ceniła najbardziej i nie odprawiała ich nigdy.

Dama ta nadawałaby się doskonale do gestapo — potrafiła prowadzić śledztwo w sposób, który w ciągu pierwszych pięciu minut doprowadzał do łez najtwardsze dziewczyny. Była swego rodzaju uosobieniem najobrzydliwszej tępej pychy i zarozumiałstwa, cech charakterystycznych rosnącego podówczas w potęgę Imperium Brytyjskiego. Sprawiedliwość znaczyła dla niej tylko tyle, że racja musi być zawsze po jej stronie, a jedyną metodą rządów, jaką знаła, było gniewne bombardowanie krnąbrnego spóółstwa.

W swojej sferze jednak, w kręgu co prawda bardzo ciasnym, znana była z dobroczynności. Gdyby ktoś podał w wątpliwość tę opinię, oponenti przytoczyliby niezbity dowód — czyż poczciwa, zacna pani Poulteney nie wzięła do siebie porzuconej kochanicy Francuza? Nie potrzebuję oczywiście dodawać, że w owym czasie przecała dama znała tylko tamto drugie, bardziej greckie przezwisko.

Pamiętne to wydarzenie miało miejsce na wiosnę 1866 roku, dokładnie na rok przed okresem, który opisuję, a pozostawało w ścisłym związku z wielką tajemnicą życiową pani Poulteney. Tajemnica była bardzo prosta — pani Poulteney wierzyła w piekło.

Ówczesny proboszcz parafii Lyme był człowiekiem dość postępowym, jeśli chodzi o teologię, ale zarazem wiedział bardzo dobrze, że do duszpasterskiego chleba dobre jest też masło. Parafianie, należący tradycyjnie do odłamu Low Church, byli z proboszcza bardzo zadowoleni. Miał dar wygłaszania płomiennych kazań i dbał o to, aby kościół wolny był od krucyfiksów, figur, ozdób i wszelkich innych oznak rzymskiej zgnilizny. Gdy pani Poulteney wyłożyła mu swoje teorie o przyszłym życiu, nie wdawał się w żadne dyskusje, albowiem beneficjanci niezbyt zasobnych prebend nie dyskutują z bogatymi parafianami. Sakiewka pani Poulteney była na

każde jego zawołanie równie szeroko otwarta, jak bywała szczelnie zamknięta, gdy chodziło o pobory jej trzynastoosobowej służby. W zimie — a była to zima czwartego wielkiego ataku cholery na wiktoriańską Anglię — owego poprzedniego roku pani Poulteney trochę chorowała i proboszcz był u niej gościem równie częstym co doktorzy, którzy musieli ją wciąż zapewniać, że cierpi na niegroźne zaburzenia żołądkowe, niemające nic wspólnego ze straszliwą wschodnią zarazą.

Pani Poulteney nie była głupia, przeciwnie, odznaczała się w sprawach życiowych dużą bystrością, toteż przyszłe swe losy, podobnie jak wszystko, co dotyczyło jej osobistej wygody, traktowała z właściwym sobie realizmem. Jeżeli wyobrażała sobie Boga, to z twarzy przypominał On księcia Wellingtona, z charakteru natomiast sprytnego adwokata, a tę profesję pani Poulteney miała w wielkiej estymie. Leżąc w swojej sypialni, głowiła się wciąż nad okropną, choć ściśle arytmetyczną wątpliwością, która z biegiem lat coraz bardziej ją nękała — czy Bóg ocenia dobroczynność według tego, co człowiek dał, czy według tego, co mógł dać. Rozporządzała tu dokładniejszymi danymi niż ksiądz proboszcz. Ofiarowywała pokaźne sumy na Kościół, wiedziała jednak, że daleko im do przepisowej dziesiątej części dochodów, którą winni oddawać poważni kandydaci do raju. Wprawdzie sporządziła odpowiedni testament, zapewniający hojne wyrównanie rachunku po jej śmierci — ale może Bóg nie będzie obecny przy odczytywaniu tego dokumentu? Tak się na dobitek złożyło, że pani Fairley, która podczas choroby chlebodawczyni czytywała jej wieczorami na głos Ewangelię, wybrała akurat przypowieść o wdowim groszu.

Przypowieść ta zawsze wydawała się pani Poulteney okrutnie niesprawiedliwa, teraz zaś legła jej kamieniem na sercu i dokuczała znacznie dłużej niż złośliwe bakterie w jelitach. Pewnego dnia, już podczas rekonwalescencji, skorzystała z kolejnej wizyty troskliwego proboszcza i zrobiła dyskretny rachunek sumienia. Proboszcz w pierwszej chwili skłonny był zbagatelizować jej kłopoty duchowe.

— Droga pani, wiara to niezachwiana opoka. Stwórca jest wszechobecny i wszechwiedzący. Nie naszą rzeczą jest wątpić o Jego miłosierdziu — ani o Jego sprawiedliwości.

— Ale przypuśćmy, że mnie zapyta, czy mam czyste sumienie?

Proboszcz uśmiechnął się.

— Odpowie pani, że sumienie jej nie jest spokojne. A On w swej bezgranicznej dobroci uzna...

— Ale przypuśćmy, że nie uzna?

— Łaskawa pani, jeżeli będzie pani tak mówiła, będę musiał panią napomnieć. Nie wolno nam podawać w wątpliwość Jego wszechwiedzy i wyrozumiałości.

Zapadło milczenie. W obecności proboszcza pani Poulteney czuła się niby w obecności dwóch ludzi. Jeden stał niżej od niej na drabinie społecznej, a przy tym jej w znacznej mierze zawdzięczał przysmaki, ukazujące się na jego stole, z jej pieniędzy pokrywał znaczną część kosztów utrzymania kościoła, dzięki niej mógł pomyślnie spełniać swe Nieliturgiczne obowiązki wobec biednych — drugi był przedstawicielem Boga i mówiąc w przenośni, powinna była przed nim chylić czoło. Częstość tedy zachowywała się w stosunku do proboszcza w sposób dziwny i niekonsekwentny. W jednej chwili traktowała go z góry, w następnej znów uderzała w pokorę, czasami zaś łączyła obydwie te postawy w jednym zdaniu.

— Gdybyż mój Fryderyk żył! On by mi doradził.

— Niewątpliwie. A jego rada pokrywałaby się z moją. Może pani być tego pewna. Wiem, że był chrześcijaninem. A to, co pani mówię, wypływa ze zdrowej doktryny chrześcijańskiej.

— Jego śmierć była ostrzeżeniem. Była karą. Proboszcz spojrział na nią surowo.

— Niech pani uważa, droga pani, niech pani uważa. Nie wolno lekkomyślnie wkraczać w kompetencje naszego Stwórcy.

Pani Poulteney zmieniła temat. Wszyscy proboszczowie świata nie zdołaliby jej przekonać, że przedwczesna śmierć jej męża była czymś słusznym. Sprawa pozostawała pomiędzy nią a Bogiem — tajemnicza niby czarny opał, co czasem świecił jak złowieszczy omen, a czasem występował jako swego rodzaju suma wpłacona już a conto pokuty, którą pani Poulteney była jeszcze dłużna.

Dawałam pieniądze. Ale nie spełniałam dobrych uczynków.

— Datki są bardzo dobrymi uczynkami.

— Nie jestem taka jak lady Cotton.

Nagle to przejście do spraw świeckich nie zdziwiło proboszcza. Już z poprzednich rozmów wydedukował, że panią Poulteney nęka uczucie, iż w tym wyścigu pobożności pozostaje o kilka długości w tyle za rywalką. Pani Cotton, która mieszkała o kilka mil od Lyme, słynęła z fanatycznej wprost dobroczynności. Odwiedzała biednych, przewodniczyła stowarzyszeniu misyjnemu, założyła przytułek dla kobiet upadłych. Panował tam co prawda tak pokutniczy rygor, że większość magdalenek przy pierwszej sposobności starała się czym prędzej stoczyć z powrotem na dno grzechu, ale pani Poulteney o tym nie wiedziała, podobnie jak nie wiedziała o innym, wulgarnym przezwisku Tragedii.

Proboszcz odchrząknął.

— Lady Cotton jest przykładem dla nas wszystkich. Było to dolewanie oliwy do ognia — ale może nie zdawał sobie z tego sprawy.

— Powinnam odwiedzać biednych.

— Doskonała myśl.

— Tylko że te wizyty okropnie mnie zawsze przygnębiają. — Proboszcz nie zareagował. — Wiem, że to brzydko z mojej strony.

— No, nie przesadzajmy.

— Tak, bardzo brzydko.

Zapadło długie milczenie. Proboszcz rozmyślał o swoim obiedzie, od którego dzieliła go jeszcze cała godzina, a pani Poulteney o swoich grzechach. Wreszcie z niezwykłą u niej pokorą wystąpiła z kompromisowym rozwiązaniem dylematu.

— Gdyby znał ksiądz proboszcz jakąś panią, jakąś dobrze wychowaną osobę, która znalazła się w trudnych warunkach.

— Nie bardzo się orientuję, do czego pani zmierza.

— Chciałabym przyjąć damę do towarzystwa. Mam teraz trudności z pisaniem... No i pani Fairley tak niedobrze czyta. Chętnie bym udzieliła schronienia takiej osobie.

— Bardzo dobrze. Jeżeli pani sobie życzy, popytam tu i ówdzie.

Panią Poulteney ogarnął lęk, że tak pochopnie rzuca się na łono prawdziwego chrystianizmu.

— Moralność tej osoby musi być bez zarzutu. Trzeba mieć wzgląd na moją służbę.

— Ależ, droga pani, oczywiście, oczywiście. Proboszcz wstał.

— Najlepiej też, żeby nie miała krewnych. Krewni oficjalistów potrafią być bardzo dokuczliwi.

— Może pani być spokojna, że nie polecę jej nikogo nieodpowiedniego.

Proboszcz uściśnął dłoń pani Poulteney i ruszył ku drzwiom.

— I bardzo proszę, żeby to nie była osoba zbyt młoda. Proboszcz uklonił się i wyszedł, ale w pół drogi na parter przystanął. Coś mu się przypomniało. Zastanawiał się chwilę. Jakieś uczucie, może odrobinę pokrewne złośliwości, produkt tylu godzin obłudy, a przynajmniej niezupełnej szczerości przy okrytym bombazyną boku pani Poulteney — w każdym razie jakiś odruch kazał mu zawrócić do jej salonu. Stał w drzwiach.

— Przyszła mi do głowy kandydatka. Nazywa się Sara Woodruff.

5

O, czyż przedstawiać się opłaci
Rzecz oczywistą? Gdyby wiedzieć
Śmierć tylko wszędy — Miłość nigdzie
By nie istniała lub w postaci

Najprostszej tylko: gnuśnych związków
Albo w Satyra wręcz wcielona
Gniotłaby ziola, miążdżąc grona,
Biegła beztrąsko ścieżką grząską.
Alfred Tennyson, *In Memoriam* (1850)

Młode towarzystwo miało szaloną ochotę
jechać do Lyme.
Jane Austen, *Perswazje*

Ernestyna miała idealną twarz na swoje czasy — owalną, o małym podbródku, delikatną jak fiołek. Można ją jeszcze zobaczyć na rysunkach wielkich ilustratorów epoki — Phiza, Johna Leecha. Szare oczy i bledność cery dodawały tylko uroku subtelnej całości. Przy pierwszej znajomości potrafiła ślicznie spuszczać oczy, jakby miała zemdleć, gdyby któryś z dżentelmenów do niej się zwrócił. Ale w kącikach powiek, podobnie jak w podniesionych kącikach ust, czaiło się coś — aby rozszerzyć poprzednie porównanie, coś równie nikłego jak zapach lutowych fiołków — co w sposób ledwie dostrzegalny, lecz nieomylny przeczyło pozornej uległości wobec Mężczyzny, Wielkiego Boga. W jakiejś ortodoksyjnej Wiktorii owo leciutkie napomknienie o Becky Sharp * [*Becky Sharp — bohaterka powieści W. M. Thackeraya pt. *Targowisko próżności.*] obudziłoby nieufność, ale dla takiego mężczyzny jak Karol miało nieodparty urok. Ernestyna stanowiła na pozór dokładną replikę sztywnych, grzecznych dziewczątek, Georgin, Wiktorii, Albertyn, Matyld, których ściśle strzeżone tuziny siadywały na każdym balu, a przecież była niezupełnie taka sama.

Kiedy Karol opuścił dom ciotki Tranter przy Broad Street, aby przejść około stu kroków do swego hotelu, tam z powagą — czyż wszyscy zaręczeni mężczyźni nie są największymi głupcami w świecie? — udać się na piętro do swoich pokoi i oglądać w lustrze swoją interesującą, męską twarz, Ernestyna przeprosiła ciotkę i poszła do swego pokoju. Chciała po raz ostatni jeszcze zza koronkowych firanek rzucić okiem na oddalającą się sylwetkę narzeczonego, chciała też znaleźć się w jedynym w domu ciotki pokoju, który był dla niej jako tako do zniesienia.

Z należytych podziwem odnotowała piękny chód Karola, gest, jakim uchylił cylindra przed pokojówką, wysłaną właśnie przez ciotkę Tranter po zakupy, jednocześnie złoszcząc się na niego za ten ukłon, dziewczyna bowiem miała zuchwałe oczka chłopki z Dorsetshire i wyzywająco rumianą cerę, a Karolowi nie wolno było już nigdy w życiu spojrzeć na kobietę poniżej sześćdziesiątki — którą to granicę ciotka Tranter na szczęście przekroczyła już o cały rok — po czym odwróciła się plecami do okna i ogarnęła spojrzeniem swój pokój. Urządzony był dla niej i według jej gustu, czyli ściśle w stylu francuskim, równie podówczas ciężkim jak angielski, trochę bardziej jednak fantazyjnym i mającym więcej złoceń. Reszta domu ciotki Tranter utrzymana była nieubłaganie, całkowicie i bezapelacyjnie w stylu sprzed ćwierć wieku, innymi słowy,

stanowiła muzeum przedmiotów stworzonych w pierwszym okresie odtrącania wszystkiego, co dekadence, lekkie i pełne wdzięku, a z czym mogłoby się kojarzyć wspomnienie okropnych obyczajów znienawidzonego księcia Walii, późniejszego Jerzego IV * [* Jerzy IV (1762—1830) — król Wielkiej Brytanii i Irlandii (1820—1830), pełnił funkcję regenta w latach 1810—1820 (stąd wspomniany na początku rozdziału styl regencji) z powodu nieuleczalnej choroby umysłowej swego ojca, Jerzego III. Jako księżę Walii (następca tronu) i regent słynął z rozpusty i rozrzutności, jako król zasłużył sobie na nienawiść poddanych.]

Ciotki Tranter niepodobna było nie lubić; sama myśl, że ta niewinna twarz, ten niewinny uśmiech i mowa — zwłaszcza mowa — mogłaby budzić w kimś gniew, była wręcz absurdem. Ciotkę Tranter cechował głęboki optymizm szczęśliwych starych pańien; samotność albo prowadzi do zgorzknienia, albo uczy samodzielności. Panna Tranter zaczęła od tego, że starała się radzić sobie najlepiej, jak umiała, skończyła zaś na tym, że starała się też w miarę możliwości pomagać reszcie świata.

Jednakże Ernestyna dokładała wszelkich starań, żeby złościć się na ciotkę — o to, że obiad nie może być o piątej po południu, o to, że wszystkie inne pokoje zastawione są ponurymi ciężkimi meblami, o to, że ciotka zbytnio dba o jej dobre imię (panna Tranter nie wyobrażała sobie wcale, że przyszła para małżeńska być może chce posiedzieć sam na sam lub iść na spacer tylko we dwoje), a przede wszystkim o to, że ona, Ernestyna, w ogóle musi tkwić w Lyme.

Biedna dziewczyna cierpiała męki, jakie od stworzenia świata są losem każdej jedynaczki — przygniatał ją mianowicie bezlitosny ciężar troski rodzicielskiej. Od chwili przyjścia na świat najłżejsze jej kasznięcie sprowadzało doktorów, od okresu dojrzewania najbardziej przelotny jej kaprys ściągał do domu dekoratorów, krawców i krawcowe, a każde jej zmarszczenie brwi przyprawiało mamę i papę o długie godziny tajemnych wyrzutów sumienia. Wszystko było bardzo pięknie, dopóki chodziło o nowe suknie i nowe zasłony, w pewnej jednak sprawie wszelkie jej dąsy i wyrzekania nie odnosiły żadnego skutku. Sprawą tą było jej zdrowie. Matka i ojciec żywili przeświadczenie, że Ernestyna jest słabowita i ma skłonność do suchot. Gdy tylko poczuli wilgoć w suterenie, przeprowadzali się do innego domu, gdy na wakacjach przez dwa dni padał deszcz, zmieniali miejsce pobytu. Połowa lekarzy z Harley Street badała Ernestynę i nic złego u niej nie znalazła; panna nigdy w życiu nie przechodziła poważniejszej choroby, nie zdradzała też nigdy apatii i ospałości, cechującej osoby cierpiące na suchoty. Potrafiła — czy też potrafiłaby, gdyby jej pozwolono — tańczyć przez całą noc, nazajutrz zaś bez żadnych złych skutków przez całe przedpołudnie grać w wolanta. Z tym wszystkim nie była w stanie zwalczyć obsesji kochających rodziców, podobnie jak dziecko nie jest w stanie poruszyć z miejsca góry. Gdybyż tylko rodzice mogli zajrzeć w przyszłość! Albowiem Ernestyna miała być najbardziej długowieczna z całego swego pokolenia. Urodziła się w 1846 roku, umarła zaś w dniu, w którym Hitler dokonał najazdu na Polskę.

Nieodłączną tedy częścią przepisanego jej, a najzupełniej zbędnego regulaminu był doroczny pobyt w Lyme u ciotki, siostry jej matki. Zazwyczaj przyjeżdżała na odpoczynek po sezonie, w tym roku wysłano ją wcześniej, żeby nabrała sił przed ślubem. Orzeźwiająca bryza wiejąca od kanału La Manche bez wątpienia dobrze pannie robiła, ale Ernestyna zawsze wsiadała do powozu, zdążającego do Lyme, posępna jak więzień deportowany na Syberię. Miejscowe towarzystwo było równie nowoczesne jak zwaliste mahoniowe meble ciotki Tranter, a gdy chodzi o rozrywki, to dla młodej panny, obeznanej ze wszystkim, co Londyn może w tej dziedzinie ofiarować najlepszemu, równały się one zeru. Toteż jej stosunki z ciotką Tranter przypominały raczej stosunki krnąbrnego podlotka — jakiejś angielskiej Julii — z niemrawą piastunką, aniżeli normalne stosunki między siostrzenicą a ciotką. W istocie, gdyby Romeo w zimie tego roku nie wkroczył miłosiernie na scenę i nie przyrzekł, że będzie z nią dzielił zesłanie, byłaby się zbuntowała, a przynajmniej była prawie pewna, że byłaby się zbuntowała. Ernestyna

bez wątpienia miała znacznie silniejszą wolę, aniżeli ktokolwiek z jej otoczenia przypuszczał — i silniejszą, niż na to pozwalały owe czasy. Na szczęście żywiła właściwy respekt dla konwenansów, a zarazem podzielała z Karolem — i to chyba przede wszystkim ich ku sobie pociągnęło — skłonność do autoironii. Bez tej skłonności i bez poczucia humoru byłaby nieznośnym, rozpieszczonym dzieckiem, niewątpliwie też ratował ją fakt, że właśnie w ten sposób („Ty wstrętne, rozpieszczone dziecko!”) często się do siebie zwracała, czyniąc sobie wyrzuty.

Owego popołudnia, znalazłszy się w swoim pokoju, rozpięła suknię i stanęła przed lustrem tylko w koszuli i halkach. Przez kilka minut trwała w wysoce narcystycznej samokontemplacji. Szyja i ramiona podkreślały jeszcze urodę twarzy; była naprawdę bardzo ładna, była jedną z najładniejszych panien, jakie знаła. Jak gdyby chcąc tego dowieść, podniosła ramiona i rozpuściła włosy — w jej odczuciu była to rzecz nieco grzeszna, choć konieczna, coś jak gorąca kąpiel lub wygrzane łóżko w zimowy wieczór. Przez prawdziwie już grzeszną chwilę wyobrażała sobie, że jest kobietą niemoralną — tancerką, aktorką. A potem, gdyby państwo ją obserwowali, ujrzeliby coś bardzo szczególnego. Ernestyna naraz przestała obracać się i podziwiać swoją twarz z profilu. Usta jej poruszyły się. Następnie otworzyła szybko jedną z szaf i zarzuciła na siebie peniuar.

Przemknęła jej bowiem przez głowę — gdy w trakcie piruetu dostrzegła przypadkiem w lustrze róg łóżka — myśl erotyczna, wyobrażenie, jakaś mglista, przelotna wizja kończyn splecionych w uścisku niczym grupa Laokoona. Przerażała ją nie tylko całkowita nieświadomość rzeczywistego przebiegu kopulacji, lecz atmosfera bólu i przemocy, kojarząca się w jej mniemaniu z tym aktem, a tak sprzeczna z delikatnością i dyskrecją dozwolonych pieszczot, która tak ją pociągała Karola. Raz czy dwa razy widziała kopulujące zwierzęta; brutalność tego widoku ustawicznie ją prześladowała.

Stworzyła sobie więc coś na kształt prywatnego przykaza — owymi niedosłyszalnymi słowami był po prostu zakaz: „Nie wolno!” Powtarzała sobie ten zakaz, ilekroć jakiegokolwiek fizyczne skojarzenia z cielesną kobiecością — dotyczące spraw seksualnych, menstruacji, porodu — usiłowały wedrzeć się do jej świadomości. Jednakże wilki, odpędzone od drzwi, nadal wyją w mrokach nocy. Ernestyna pragnęła mieć męża, pragnęła, aby tym mężem był Karol, pragnęła mieć dzieci, żywiła jednak mglistą obawę, że cena, jaką wypadnie za to zapłacić, jest zbyt wygórowana.

Zastanawiała się niekiedy, czemu Pan Bóg pozwala, aby tak animalistyczna wersja obowiązku psuła tak niewinne pragnienie. Większość współczesnych jej kobiet odczuwała to samo, podobnie zresztą jak większość mężczyzn, nic też dziwnego, że pojęcie obowiązku stało się kluczem do naszego rozumienia epoki wiktoriańskiej — a jeśli chodzi o ścisłość, czynnikiem zabijającym wszelką radość życia także i w naszych czasach¹.

Odparliszy atak wilków, Ernestyna podeszła do toalety, otworzyła z klucza szufladkę i wyjęła z niej swój dziennik, oprawny w czarny safian i opatrzony złotym zamkiem. Z innej szufladki wyjęła dobrze ukryty kluczyk i otworzyła nim zamek. Zajrzała od razu na ostatnią stronę dziennika, na której w dniu zaręczyn z Karolem wypisała daty wszystkich dni, dzielących ją od dnia ślubu. Dwa miesiące przekreślone już były równiutkimi liniami, pozostało jeszcze około dziewięćdziesięciu liczb. Ernestyna wyjęła z grzbietu dziennika ołówek zakończony gałką z kości słoniowej i przekreśliła datę 26 marca. Wprawdzie do północy pozostawało jeszcze dziewięć godzin, ale Ernestyna zwykle pozwalała sobie na to drobne oszustwo. Następnie wróciła na początek, a w każdym razie blisko początku, bo dziennik był upominkiem gwiazdkowym. Po jakichś piętnastu stronicach zapisanych drobnym pismem były dwie puste karty, między które włożyła w swoim czasie gałązkę jaśminu. Patrzyła na nią chwilę, potem

nachyliła się, żeby ją powąchać. Rozpuszczone włosy opadły na kartę, a Ernestyna przymknęła oczy, chcąc przywołać na nowo ów najczarowniejszy, niezapomniany dzień, kiedy zdawało jej się, że umrze z radości, kiedy płakała, płakała bez końca...

Nagle usłyszała na schodach kroki ciotki Tranter, schowała: więc prędko książkę i zaczęła rozczesywać swoje faliste, ciemne włosy.

¹[Strofy z *In Memoriam*, które przytoczyłem na początku tego rozdziału, są tu bardzo ważne. Bez wątpienia bowiem w wierszu tym (XXXV) sformułowany jest najdziwniejszy ze wszystkich przedziwnych argumentów owej osławionej antologii niepokoju o życie pozagrobowe. Twierdzenie, że jeśli nie istnieje nieśmiertelność duszy, miłość może przybierać jedynie formy nadawane jej przez satyrów, jest najwyraźniej paniczną ucieczką przed Freudem. Raj dla ludzi z epoki wiktoriańskiej był rajem przede wszystkim dlatego, że człowiek wyzbywał się tam ciała — a wraz z nim „id”. (*Id* — łac. ono; w. Psychoanalizie — jeden z poziomów osobowości ludzkiej, zbiór nieświadomych, prymitywnych impulsów.)]

6

Maud, sarno mlecznobiała, tyś nie jest stworzona wcale na żonę.
Alfred Tennyson, *Maud* (1855)

Wyraz twarzy pani Poulteney owego popołudnia, kiedy proboszcz zawrócił ze schodów i oznajmił, że ma dla niej kandydatkę, zdradzał wyraźnie, że nie ma ona pojęcia, o kogo chodzi, u dam zaś jej pokroju nieznajomość czegoś równa się zazwyczaj dezaprobacie. Twarz pani Poulteney zresztą idealnie się nadawała do wyrażania tego uczucia; oczy, które bynajmniej nie były tennysonowskimi „siedliskami bezgłośnej modlitwy”, obwisłe policzki i mocno zaciśnięte usta z góry odrzucały wszystko, co zagrażało jej dwóm głównym zasadom życiowym po pierwsze (zapożyczę tu sarkastyczne powiedzenie u Treitschkego * [*Heinrich von Treitschke (1834—1896) — historyk niemiecki, który pismami swymi przyczynił się do narastania w Niemczech nastrojów antyangielskich.]): „Cywilizacja to mydło”, a po drugie: „Przyzwoite jest wszystko to, co mnie nie razi.” W ogóle pani Poulteney przypominała białego pekińczyka, mówiąc ściśle, wypchanego pekińczyka, nosiła bowiem ukrytą na łonie torebkę kamfory jako środek zapobiegawczy przeciwko cholercze... gdziekolwiek więc się znajdowała, tam rozchodził się nikły zapach kulek na mole.

Kochanica Francuza

— Nie znam jej.

Proboszcz poczuł, że go skarcono, i zadał sobie w duch pytanie, co by też było, gdyby Miłosierny Samarytanin nie natrafił na biednego wędrowca, lecz na panią Poulteney.

— Tak też sądziłem. To dziewczyna z Charmouth.

— Dziewczyna?

— Właściwie nie jestem pewien, ile ma lat, no, powiedzmy kobieta, dama, około trzydziestki. Może więcej. Nie mogę twierdzić na pewno. — Proboszcz miał świadomość, że niezbyt fortunnie broni sprawy nieobecnej oskarżonej. — Ale to bardzo smutny wypadek. Osoba ta jak najbardziej zasługuje m pani litość.

— Czy ma jakieś wykształcenie?

— Owszem, ma. Jest wykwalifikowaną guwernantką. Zresztą pełniła obowiązki guwernantki.

— A co robi teraz?

— Jeśli się nie mylę, jest bez pracy.

— Dlaczego?

— To długa historia.

— Oczywiście życzyłabym sobie poznać tę historię, zanim coś postanowię.

Proboszcz usiadł więc znowu i zrelacjonował jej to, co wiedział, albo część tego, co wiedział (albowiem w szlachetnym porywie ratowania duszy pani Poulteney zdecydował się narazić na niebezpieczeństwo własną duszę) o Sarze Woodruff.

— Ojcem dziewczyny był dzierżawca lorda Meritona spod Beaminster. Zwykły rolnik, ale zarazem człowiek chwalebnych zasad, bardzo szanowany w całej okolicy. Postąpił nader mądrze, dając córce lepszą edukację, niżby się można było spodziewać.

— Nie żyje?

— Umarł przed kilku laty. Dziewczyna została guwernantką u kapitana Johna Talbota w Charmouth.

— Czy on jej da referencje?

— Droga pani Poulteney, jeżeli dobrze zrozumiałem naszą poprzednią konwersację, omawiamy przedmiot dobroczynności, nie zaś kandydatkę na oficjalistkę. — Na te słowa pani Poulteney skinęła głową, co stanowiło u niej jedyną formę przeprosin, na jaką potrafiła się zdobyć. — Ale bez wątpienia list polecający można by otrzymać. Panna Woodruff odeszła na własne żądanie. Stała się bowiem rzecz następująca: przypomina pani sobie francuską barkentynę — bodajże z Saint Malo — którą w grudniu ten okropny sztorm wyrzucił na brzeg pod Stonebarrow? I chyba przypomina sobie pani, że trzech uratowanych członków załogi przygarnęli mieszkańcy Charmouth? Dwóch było prostymi marynarzami, trzeci, o ile mi wiadomo, był to oficer, porucznik. W pierwszym zderzeniu statku z ziemią doznał zmiżdżenia nogi, ale uczeplił się odłamka rei i fala wyniosła go na brzeg. Z pewnością musiała pani o tym czytać.

Bardzo możliwe. Nie lubię Francuzów.

Kapitan Talbot, jako że sam jest oficerem marynarki, właściwą sobie dobrocią serca podjął się opieki nad tym... cudzoziemcem i umieścił go w swoim domu. A pannę Woodruff poproszono, aby pełniła funkcje tłumaczki i pielęgnowała gościa.

Ona mówi po francusku?

Przerażenie, jakim pani Poulteney zareagowała na to straszliwe odkrycie, o mało nie odebrało proboszczowi odwagi. Opanował się jednak, złożył ukłon i uśmiechnął się grzecznie.

— Jak większość guwernantek, droga pani. Nie ich to wina, że świat wymaga od nich tego rodzaju umiejętności. Ale wracając do dżentelmena z Francji, muszę z żalem stwierdzić, że nie zasługiwał on na to miano.

— Księżę pastarze!

Pani Poulteney wyprostowała się, ale nie nazbyt groźnie, żeby biedny proboszcz ze strachu nie przestał mówić.

— Spieszę dodać, że w domu kapitana Talbota nie zaszło nic zdrożnego. Ani nawet, jeśli chodzi o pannę Woodruff, nie zaszło nic później w innym miejscu lub czasie. Mam na to słowo pastora Fursey—Harrisa. Zna okoliczności sprawy znacznie lepiej ode mnie. — Wspomniany pastor był proboszczem w Charmouth. — Ale ów Francuz potrafił zdobyć serce panny Woodruff. Kiedy noga mu się zagoiła, udał się dyliżansem do Weymouth, aby tam, jak powszechnie przypuszczano, znaleźć statek, który by go zawiózł do ojczyzny. W dwa dni po jego wyjeździe panna Woodruff zwróciła się do pani Talbot, prosząc usilnie, aby ta pozwoliła jej odejść. Pani Talbot starała się podobno nakłonić pannę Woodruff do ujawnienia powodów tak nagłej decyzji, nie jednak nie wskórała.

— I pozwoliła jej odejść bez wymówienia? Proboszcz zřęcznie skorzystał ze sposobności.

Przyznaję, że było to bardzo nierozsądne ze strony pani Talbot. Nie powinna była pozwolić. Gdyby panna Woodruff miała mądrzejszą chlebowawczynię, cała ta smutna historia z pewnością by się nie zdarzyła. — Proboszcz zrobił znaczącą pauzę, żeby pani Poulteney dobrze zrozumiała komplement ukryty w tym zdaniu. — Postaram się być zwięzły. Panna Woodruff spotkała się w Weymouth z Francuzem. Postępowanie jej godne jest najwyższego potępienia, ale jak mnie poinformowano, mieszkała w Weymouth u kuzynki.

— W moich oczach to jej nie usprawiedliwia.

— Oczywiście, że nie. Musi pani jednak pamiętać, że nie jest ona z urodzenia prawdziwą damą. Niższe sfery nie dbają tak o pozory jak my. Ponadto nie powiedziałem pani jeszcze, że Francuz dał jej słowo. Panna Woodruff pojechała do Weymouth w przeświadczeniu, że ma go poślubić.

— Czyż nie był katolikiem?

Pani Poulteney oczyma duszy widziała już siebie jako samotną wyspę nieskalanego anglikanizmu wśród szalejącego oceanu papizmu.

— Postępowanie jego wskazuje niestety, że w ogóle był wyzbyty jakichkolwiek uczuć chrześcijańskich. Ale niewątpliwie powiedział dziewczynie, że jest jednym z naszych prześladowanych współwyznawców w owym zbłąkanym kraju. Po kilku dniach powrócił do Francji, przyrzekając panie Woodruff, że skoro tylko porozumie się z rodziną i dostanie nowy statek — bo poza tym zapewniał ją kłamliwie, że zaraz po powrocie awansuje na kapitana — wróci tutaj, do Lyme, ożeni się z nią i zabierze ją ze sobą. Odtąd więc na niego czeka. Jest rzeczą jasną, że człowiek ten był uwodzicielem bez czci i wiary. Spodziewał się zapewne, że uda mu się w Weymouth skłonić biedną istotę do haniebnej uległości, gdy zaś surowe zasady chrześcijańskie panny Woodruff ukazały mu, jak daremne są jego nieczne nadzieje, wsiadł na statek i odjechał.

— Cóż się z nią potem stało? Pani Talbot nie przyjęła jej, chyba z powrotem?

— Pani Talbot jest osobą dość ekscentryczną. Owszem, proponowała panie Woodruff, żeby ta do niej wróciła. Ale teraz dochodzę do smutnego zakończenia mojej opowieści Panna Woodruff nie jest obłąkana. Nie jest z pewnością. Może doskonale wykonywać wszelkie obowiązki, jakie się jej powierzy. Miewa jednak ataki ciężkiej melancholii. Bez wątpienia należy je częściowo przypisać wyrzutom sumienia. Lecz jak się obawiam, przyczynę w znacznej mierze stanowi *idée fixe*, że porucznik jest człowiekiem honoru i że kiedyś do niej powróci. Z tego powodu można ją często zobaczyć w nadmorskich okolicach naszego miasta. Pastor Fursey—Harris osobiście stara się ukazać niewieście beznadziejność, żeby nie powiedzieć nieprzystojność jej postępowania. Ale szczerze mówiąc, droga pani, jest ona odrobinę pomyłona.

Zapadła cisza. Proboszcz zdał się na los szczęścia. Czuł, że pani Poulteney coś sobie kalkuluje. Wysokie mniemanie o sobie nakazywało jej zareagować zgrozą i przerażeniem na samą myśl, że miałyby przyjąć taką osobę pod swój dach.

Ale nie wolno było też zapominać o Panu Bogu.

— Czy ma krewnych?

O ile mi wiadomo, to nie.

— Jak sobie radzi od czasu, gdy?...

— Jest w wielkiej biedzie. O ile mi wiadomo, trochę szyje.

Bodajże panna Tranter zatrudnia ją przy takiej pracy. Ale żyje głównie z pieniędzy zaoszczędzonych na poprzedniej posiadzie.

— Coś więc zaoszczędziła.

Proboszcz odetchnął swobodniej.

Jeżeli weźmie ją pani do siebie, myślę, że będzie to dla niej prawdziwym ratunkiem. — Tu zagrał swoim największym atutem: — A kto wie — choć nie moją rzeczą jest wydawać sądy o pani sumieniu — czy to z kolei nie przyczyni się do czyjegoś zbawienia.

Pani Poulteney doznała naraz olśniewającej, niebiańskiej wizji — była to wizja lady Cotton, która dostała po świątobliwym nosie. Zmarszczyła brwi i przeniosła spojrzenie na puszysty dywan.

— Chciałabym, żeby pastor Fursey—Harris mnie odwiedził.

Pastor Fursey—Harris w asyście proboszcza z Lyme złożył po tygodniu wizytę pani Poulteney, popijał maderę, sporo opowiadał — sporo też pominął zgodnie z radą swego kolegi duszpasterza. Pani Talbot przysłała niesłychanie długi list polecający, który wyrządził więcej złego niż dobrego, ponieważ nie dość surowo potępiał czyny guwernantki. Zwłaszcza jedno zdanie rozgniewało panią Poulteney: „Monsieur Varguennes odznaczał się znacznym urokiem osobistym i mój mąż, kapitan Talbot, prosi, abym nadmienila Pani, że życie marynarza nie jest

najlepszą szkołą moralności.” Nie zainteresował jej również fakt, że panna Sara jest „wykwalifikowaną i sumienną nauczycielką” ani że „moje dzieci ogromnie za nią tęsknią”. Ale gorsząca pobłażliwość pani Talbot i jej nedorzeczny sentymentalizm przechyliły w końcu szalę na rzecz Sary, stanowiły bowiem dla pani Poulteney swego rodzaju wyzwanie.

Sara przysłała tedy w asyście proboszcza na rozmowę.

Spodobała się od razu pani Poulteney — z czym się ta oczywiście nie zdradziła — bo wydawała się taka zgnębiona, taka unicestwiona swoim nieszczęściem. Wprawdzie wyglądała podejrzanie młodo — bliżej dwudziestu pięciu lat, które miała istotnie, aniżeli „trzydziestu czy może więcej”, lecz na twarzy jej aż nazbyt wyraźnie malowało się cierpienie, wskazującej że jest skruszoną grzesznicą, pani Poulteney zaś nie życzyła sobie mieć do czynienia z nikim, czyj wygląd nie świadczyłby niezbicie o przynależności do tej kategorii. Znać też było po Sarze rezerwę, którą pani Poulteney uznała za stosowne zinterpretować jako niemą wdzięczność. Mając w pamięci tyle służących, odprawionych i odchodzących na własne żądanie, stara dama nade wszystko nie znosiła impertynencji i zuchwalstwa — terminy te w jej słowniku oznaczały odzywianie się bez wyraźnego zezwolenia oraz uprzedzanie jej, życzeń, co pozbawiało ją przyjemności groźnego dopytywania się, czemu tych życzeń nie uprzedzono.

Po tych wstępnych oględzinach pani Poulteney za radą proboszcza podyktowała Sarze list. Charakter pisma był znakomity, ortografia bez zarzutu. Pani Poulteney obmyśliła przebieglejszą próbę. Dała Sarze swoją Biblię i kazała czytać na głos. Zastanawiała się chwilę nad wyborem ustępu, wahając się między Psalmem 119 („Szczęśliwi, których droga nieskalana”) a Psalmem 140 („Wybaw mię, Panie, od człowieka złego”) Wybrała wreszcie ten pierwszy, po czym nie tylko wsłuchiwała się w głos, lecz czyhała również na jakąkolwiek oznakę, że czytająca nie bierze sobie szczerze do serca słów Psalmisty.

Sara miała głos dźwięczny i głęboki. Zachowała ślad wiejskiej wymowy, ale w owych czasach dystyngowany akcent nie był jeszcze tak ważnym atrybutem towarzyskim, jakim stał się później. W Izbie Lordów byli panowie, ba, nawet księżęta, którzy nadal mówili akcentem swoich prowincji, i nikt im nie miał tego za złe. Może to przez kontrast z tęnym dukaniem pani Fairley głos Sary od razu przypadł do gustu pani Poulteney. W każdym razie była nim oczarowana, zachwyił ją też wyraz twarzy dziewczyny, gdy czytała: „Daj, Boże, aby się; prostowały drogi moje ku strzeżeniu usprawiedliwień Twoich!”

Pozostała jeszcze krótka indagacja.

— Pastor Forsythe poinformował mnie, że zachowała pani przywiązanie do tego cudzoziemca.

— Nie chcę o tym mówić, proszę pani.

Gdyby jakaś pokojówka odważyła się powiedzieć coś podobnego pani Poulteney, nastąpiłby istny sądny dzień. Ale słowa te zostały wypowiedziane spokojnie, bez lęku, a zarazem z szacunkiem — i pani Poulteney po raz pierwszy nie skorzystała ze znakomitej okazji do awantury.

Nie pozwolę na francuskie książki w moim domu. Nie mam francuskich książek, proszę pani. Angielskich też nie mam.

Nie miała książek, mogę dodać, dlatego że wszystkie już sprzedała, a nie dlatego że była prekursorką osławionego McLuhana.

— Ma pani chyba Biblię?

Dziewczyna potrząsnęła głową. Proboszcz wtrącił skwapliwie:

Zatroszczę się o to, droga pani Poulteney.

Słyszę, że uczęszcza pani regularnie na nabożeństwa.

— Tak, proszę pani.

Proszę, żeby tak było nadal. Pan Bóg udziela nam pociechy we wszystkich przeciwnościach. Staram się podzielać pani wiarę, proszę pani.

Pani Poulteney zadała najtrudniejsze pytanie, choć proboszcz, jeśli chodzi o ścisłość, z góry ją prosił, żeby go nie zadawała.

— A jeżeli ten... osobnik wróci, co wtedy?

Sara znów postąpiła najlepiej, jak mogła — nie powiedziała nic, pochyliła tylko głowę i potrząsnęła nią. Pani Poulteney, usposobiona coraz łaskawiej, postanowiła uznać ten ruch za oznakę niemej skruchy.

Przystąpiła tedy do spełnienia swego dobrego uczynku.

Nie przyszło jej oczywiście do głowy zapytać, dlaczego Sara, która odrzucała propozycje pracy ze strony osób nie tak srogich zasad chrześcijańskich, zgadza się u niej zamieszkać. Otóż były po temu dwa bardzo proste powody. Pierwszy był ten, że z okien Marlborough House roztaczał się wspaniały widok na całą Zatokę Lyme. Drugi był jeszcze prostszy. Sara miała przy duszy ostatnie siedem pensów.

7

Nadzwyczajne wzmoczenie siły produkcyjnej w sferach wielkiego przemysłu... pozwala zatrudniać coraz większą część klasy robotniczej przy pracach nieprodukcyjnych i w ten sposób odtwarzać coraz bardziej masowo pod nazwą „służby”, jak służących, pokojówek, lokajów itd., dawnych niewolników domowych.

Karol Marks, *Kapitał* (1867)

Kiedy Sam rozsunął zasłony, promienie poranka ogarnęły Karola tak, jak pani Poulteney — która w owej chwili spała jeszcze, dość głośno pochrapując — pragnęłaby, żeby po stosownej uroczystej pauzie, gdy umrze, ogarnęły ją promienie rajy. Ze dwanaście razy do roku umiarkowany klimat wybrzeża Dorsetshire zsyła ludziom w darze takie dni — nie jakieś tam łagodne, cieplejsze dzionki, lecz zachwycające okrucy świetlistego śródziemnomorskiego gorąca. Przyroda dostaje wtedy lekkiego bzika. Pająki, które powinny spać snem zimowym, biegają po rozpalonych listopadowych skałach, szpaki śpiewają w grudniu, pierwiosnki zakwitają w styczniu, a marzec udaje czerwiec.

Karol usiadł, zerwał z głowy szlafmycę, kazał Samowi otworzyć szeroko okna i patrzył na światło słoneczne zalewające pokój. Lekkie przygnębienie, które doskwierało mu po przedniego dnia, rozwiało się wraz z chmurami. Czuł, jak ciepłe powietrze wiosenne wślizguje się przez rozchyłony kołnierz koszuli nocnej i pieści obnażoną szyję. Jego służący Sam stał i ostrzył brzytwę, a nad przyniesionym przezeń mosiężnym dzbankiem unosiła się rozkoszna para, z proustowskim wręcz bogactwem skojarzeń przywodząca na myśl szczęśliwe dni, niezachwianą pozycję społeczną, ład, spokój, cywilizację. W dole za oknem jakiś jeździec wolno podążał brukowaną ulicą w kierunku morza. Nieco zuchwalszy podmuch wiatru poruszył kotary z wytartego czerwonego aksamitu, ale tym oświetleniu nawet one wyglądały pięknie. Wszystko było wspaniałe. Świat zawsze będzie taki, ta chwila będzie trwała wiecznie.

Rozległ się tupot drobnych kopyt i niespokojne beczenie. Karol wstał i wyjrzał przez okno. Dwóch staruchów w staroświeckich plisowanych kaftanach stało naprzeciw i rozmawiało. Jeden z nich, pastuch, opierał się na długim kijku. Dwanaście owiec i mniej więcej drugie tyle jagniąt stłoczyło się lekliwie na środku ulicy. Takie stroje regionalne, relikty znacznie dawniejszej Anglii, stały się już około roku 1867 malownicze, nie były jednak rzadkością — każda wieś miała z tuzin starszych ludzi w takich kaftanach. Karol żałował, że nie umie rysować. Doprawdy, prowincja jest czymś uroczym. Zwrócił się do służącego:

— Słowo daję, Sam, w taki dzień jak dzisiaj zgodziłbym się chyba nigdy już nie oglądać Londynu.

— Jak pan dalej będzie stał w przeciagu, to go pan już nie zobaczy.

Pan spojrzał bacznie na służącego. Przebywali ze sobą od czterech lat i znali się lepiej niż niejedno stadło małżeńskie, teoretycznie bardziej ze sobą żyte.

— Sam, znowu piłeś?

— Nie, proszę pana.

— Nowy pokój jest lepszy?

— Tak, proszę pana.

— A błonia?

— Bardzo przyzwoite, proszę pana.

— *Quod erat demonstrandum*. Jesteś skwaszony w taki poranek, kiedy nawet Harpagon miałby ochotę śpiewać. *Ergo*, piłeś.

Sam z taką miną wypróbował ostrze morderczej brzytwy na koniuszku małego palca, jak gdyby lada chwila miał zmienić zamiar i przejechać nią po własnym gardle — czy może nawet po gardle uśmiechniętego pana.

To ta podkuchenna od panny Tranter, proszę pana... Ani myślę...

Zechciej łaskawie odłożyć to narzędzie. I wytłumacz się jaśniej.

— Widzę ją. Tam na dole. — Sam wskazał kciukiem w kierunku okna. — Woła do mnie przez ulicę.

— Cóż takiego woła?

Twarz Sama zasępiła się jeszcze bardziej.

— „Po czemu worek sadzy?”

Karol roześmiał się.

— Znam tę dziewczynę. To ta w szarej sukni? Taka brzydula?

Było to nieładnie ze strony Karola, mówił bowiem o dziewczynie, której się poprzedniego dnia uklonił — najponętniejszym stworzonku, jakim się Lyme mogło poszczycić.

— Nie taka znów brzydula. Przynajmniej jak chodzi o urodę.

— Aha! Rozumiem. Amor niełaskaw dla londyńczyków. Sam błysnął gniewnie oczami.

— Nie tknąłbym jej nawet przez szmatę! Dojarka! Kura wiejska!

— Tuszę, że używasz wyrazu „kura” w sensie dosłownym, Sam. Być może urodziłeś się w szynku, jak to często podkreślasz...

— Tuż obok szynku, proszę pana.

— Powiedzmy więc, w bliskim sąsiedztwie szynku, ale nie pozwolę ci używać karczemnych wyrażen w taki dzień, jak dzisiejszy...

— Bo to taki wstyd, panie Karolu. Wszyscy stajenni słyszeli.

Ponieważ „wszyscy stajenni” było to ściśle dwóch mężczyzn, z których jeden był głuchy jak pień, Karol nie okazał; zbytniego współczucia. Uśmiechnął się, a potem dał Samowi znak, żeby nalał mu gorącej wody.

— Teraz bądź tak dobry i przynieś mi śniadanie. Sam się dziś ogolę. Poproś o podwójną porcję maślanych bułeczek.

— Tak jest, proszę pana.

Ale Karol zatrzymał naburmuszonego Sama przy drzwiach, i pogroził mu pędzlem do golenia.

— Wiejskie dziewczęta są zbyt nieśmiałe, żeby wykrzykiwać takie brzydkie rzeczy pod adresem dystyngowanego dżentelmena z Londynu, chyba że im przedtem mocno dopiekła. Mam poważne podejrzenia, Sam, że nie byłeś w porządku. — Chłopak stał z otwartymi ustami. — A jeżeli teraz nie będziesz szybko w porządku z moim śniadaniem, to ci butem wyporzadzę tylną część twojego nędznego ciała.

Drzwi zamknęły się i to niezbyt cicho. Karol mrugnął do siebie w lustrze. Naraz dodał swojej twarzy jakieś dziesięć lat — uosobienie powagi, uroczysty młody *pater familias* — zaraz jednak uśmiechnął się pobłaźliwie do własnych min i euforii, zastygł w bezruchu i oddał się życzliwej kontemplacji swoich rysów. Rysy miał rzeczywiście bardzo regularne: szerokie czoło, wąsy równie czarne jak włosy, potargane teraz po zdjęciu szlafmicy i nadające mu młodzieńczy wygląd. Cera stosownie blada, choć nie tak blada, jak u wielu dżentelmenów londyńskich — w owych czasach bowiem opalenizna nie była wcale pożądanym symbolem wysokiej pozycji towarzysko—seksualnej, lecz wprost przeciwnie, oznaką przynależności do niższych sfer. Owszem, przy bliższym zbadaniu, była jednak trochę głupawa twarz, zwłaszcza w takiej chwili. Karola znów ogarnęła lekka fala chandry z poprzedniego dnia. Zbyt naiwna twarz, gdy się zdejmuje z niej oficjalną światową maskę, za mało znać na niej osiągnąć. W gruncie rzeczy

pozostaje tylko dorycki nos i chłodne, szare oczy. Rasę i znajomość samego siebie, te dwie zalety ma niewątpliwie.

Zaczął okrywać tę dwuznaczną twarz mydlaną pianą.

Sam, o dziesięć lat młodszy od swego pana, za młody, ażeby być dobrym służącym, był ponadto roztargniony, kłótlivy, próżny i miał wygórowane mniemanie o własnej bystrości. Za bardzo lubił zgrywy i próżniactwo, chętnie podpierał ściany, przygryzając źdźbło słomy lub gałązkę pietruszki, która sterczała mu z kącika ust, zabawiał się w miłośnika koni albo łapał sitem wróble właśnie wtedy, kiedy wołano go bezskutecznie na górę.

Nam oczywiście każdy służący cockney* [*Cockney — rodowity londyńczyk o wymowie charakterystycznej dla niewykształconych warstw Londynu.] imieniem Sam przywodzi od razu na myśl nieśmiertelnego Wellera** [**Sam Weller — służący pana Pickwicka ze słynnej powieści Dickensa *Klub Pickwicka*. Powiedzonka Sama Wellera stały się w Anglii przysłowiami, jak np.: „Teraz wyglądamy trochę lepiej, jak powiedział pewien ojciec, obciążony głowę synowi, który zezował”, albo „Sen to zdrowie, jak powiedziała pokojówka, wypijając całą butelkę laudanum”.], Sam zresztą bez wątpienia wywodził się z tego samego środowiska. Upłynęło jednak już trzydzieści lat od chwili, gdy *Klub Pickwicka* po raz pierwszy olśnił świat fajerwerkiem dowcipu. Miłość Sama do koni nie była w gruncie rzeczy zbyt głęboka i szczerą. Przypominał trochę dzisiejszego robotnika, który sądzi, że dokładna znajomość samochodów różnych marek wznosi go na wyższy szczebel społeczny. Wiedział nawet o istnieniu Sama Wellera, choć nie z książki, lecz tylko z jej przeróbki teatralnej, wiedział też, że czasy się zmieniły. Jego pokolenie cockneyów czuło się wyższe ponad tamto wszystko, Sam więc przesiadywał w stajniach głównie po to, żeby pokazać tę swój wyższość nad prowincjonalnymi stajennymi i posługacza z zajazdu.

W połowie ubiegłego stulecia na scenie angielskiej ukazała się zupełnie nowa odmiana dandysa. Przedstawiciele dawnej odmiany z wyższych sfer, spłowiali potomkowie Beau Brummela* [*George Bryan Brummel (1778—1840) — zwany Beau Brumel (Piękny Brummel), bliski przyjaciel księcia regenta, późniejszego króla Jerzego IV, słynął z wykwintnych strojów i był arbitrem mody męskiej], nadal znani byli jako „eleganci”, ale młodzi, świeżo wzbogaceni rzemieślnicy i niby to „lepsi” kamerdynerzy w rodzaju Sama przystąpili do współzawodnictwa o palmę pierwszeństwa w zakresie męskiego stroju. Eleganci przezywali ich „snobami”, Sam Farrow zaś był doskonałym przykładem snoba w owym zawężonym znaczeniu tego słowa. Uwrażliwiony na wszelkie fluktuacje mody — nie mniej niż jakiś „mod” z lat tysiąc dziewięćset sześćdziesiątych — prawie wszystkie zarobione pieniądze wydawał na to, aby dotrzymać im kroku. Miał też inną cechę, charakteryzującą całą je nową klasę, a mianowicie dążył usilnie do opanowania p prawnej angielszczyzny.

Okolo roku 1870 osławiona niezdolność Sama Wellera do wymówienia twardego „w”, odwieczna cecha londyńczyka z pospólstwa, była już w równej pogardzie u „snobów”, jak u mieszczańskich powieściopisarzy, którzy jeszcze przez dłuższy czas najzupełniej niesłusznie wsadzali owo samogłoskowe, „w” (odpowiednik polskiego samogłoskowego „ł”) do dialogów opisywanych przez się londyńskich prostaczków. Snobi zmagali się teraz przede wszystkim z głoską „h”; zacięta była walka, jak w wypadku naszego Sama, i kończyła częściej porażką niż zwycięstwem. Błędna mimo wysiłków wymowa służącego nie była jednak wcale komiczna, stanowiła bowiem oznakę przewrotu społecznego, chociaż Karol potrafił się na tym poznać. Może działo się tak dlatego, że Sam dostarczał Karolowi czegoś, co było mu niezbędne — codziennych okazji do paplaniny, do nawrotu do lat chłopięcych. Podczas tych chwil Karol mógł, że tak powiem, wyładować charakterystyczne a pożałowania godne upodobanie do skomplikowanych kalamburów i dwuznaczników — humoru opartego wyłącznie a niegodziwie

na przywileju wykształcenia klasycznego. Postawa Karola mogłaby się tedy wydawać zniewagą, pogłębiającą i tak już dość wyraźną krzywdę, jaką jest wyzysk ekonomiczny, muszę jednak zaznaczyć, że jego stosunki z Samem miały w sobie dużo serdeczności, stanowiły ludzką więź, nieporównanie lepszą od lodowatej bariery, którą nowobogacy w owej epoce fortun wyrastających jak na drożdżach, zaczęli wznosić między sobą a służbą.

Oczywiście, Karol miał za sobą wiele pokoleń przodków, którzy umieli postępować ze służbą, nowobogacy zaś jego czasów takich przodków nie mieli — jeśli chodzi o ścisłość, sami częstokroć byli dziećmi służących. Karol nie potrafiłby sobie wyobrazić świata bez służby, nowobogacy natomiast potrafili doskonale, przez co byli wobec swoich podwładnych znacznie bardziej surowi i wymagający. Usiłowali zamienić służących w maszyny, gdy tymczasem Karol doskonale zdawał sobie sprawę, że służący jest też jego wiernym towarzyszem — jego Sancho Pansą, farsowym prostakiem, który podkreśla tylko uduchowione uwielbienie Don Kiszota—Karola dla Dulcynei—Ernestyny. Słowem, Karol trzymał Sama dlatego, że ten go bawił, nie zaś dlatego, że nie dałoby się znaleźć lepszej „maszyny”.

Ale różnica między Samem Wellerem a Samem Farrow (inaczej mówiąc między rokiem 1836 a 1867) była następująca: pierwszy czuł się szczęśliwy w swojej roli, drugi z trudem tę rolę znosił. Weller bez namysłu odciąłby się za „worek sadzy”, i to z nawiązką. Sam, obrażony, zeszytniał, podniósł brwi i odwrócił się plecami.

8

Dziś głębia tu, gdzie rosły drzewa.
 O Ziemi, jakie widzisz zmiany!
 Gdzie łoskot ulic trwał wezbrany,
 Spokojne morze się rozlewa.

Wzgórza to cienie, które płyną
 Z kształtu w kształt, i nic nie jest trwałe
 Jak mgła znikają lądy stałe,
 Postać obłoków biorąc — giną.
 Alfred Tennyson, *In Memoriam* (1850)

Ale jeżeli ktoś chce nic nie robiąc zażywać jednocześnie powszechnego szacunku, najlepszym pretekstem są studia nad' jakąś bardzo głęboką materią...

Leslie Stephen * [* Sir Leslie Stephen (1832—1904) — filozof angielski, zięć Thackeraya, ojciec Yirginii Woolf.], *Sketches from Cambridge* (1865)

Twarz Sama nie była tego ranka jedyną zasepioną twarzą w Lyme. Ernestyna obudziła się w okropnym humorze, który zapowiedź cudownego dnia jeszcze pogorszyła. Dolegliwość jej była czymś normalnym i dobrze znanym, ale nie mogło być mowy o tym, aby Karol miał przez nią cierpieć. Gdy więc Karol zgodnie z rozkazem stanął się punktualnie o dziesiątej, przywitała go tylko ciotka Tranter — Ernestyna źle spała tej nocy, teraz odpoczywa. Czy Karol nie zechce wrócić po południu na herbatę? Do tego czasu Ernestyna z pewnością poczuje się lepiej.

Ponieważ na troskliwe pytania — może należałoby wezwać doktora? — padła grzeczna, lecz przecząca odpowiedź, Karol pożegnał się. Polecił Samowi kupić najpiękniejsze kwiaty, jakie zdobędzie, i zanieść je do domu uroczej chorej, pozwolił mu, a nawet doradził, aby ze swej strony ofiarował kilka kwiatków młodej damie tak wrogo usposobionej do sadzy, dodał, że w nagrodę za spełnienie tego niezbyt uciążliwego obowiązku Sam może mieć wolny dzień (nie wszyscy wiktoriańscy chlebodawcy byli bezpośrednio odpowiedzialni za komunizm) po czym stanął wobec zagadnienia, co ma zrobić z własnym wolnym czasem.

Wybór nie był trudny. Karol, rzecz naturalna, pojechałby wszędzie, gdziekolwiek nakazywałby wzgląd na zdrowie Ernestyny, należy jednak wyznaczyć, że dzięki temu, iż w grę wchodziło Lyme Regis, obowiązki przedmażeńskie stały się dla niego rozkosznie łatwe. Stonebarrow, Black Ven, Ware Cliffs — te nazwy niewiele zapewne państwu mówią. Wszelako Lyme leży w centrum niezmiernie rzadkich odkrywek kamienia znanego jako niebieski lias. Dla miłośnika pięknych krajobrazów kamień ten nie ma w sobie nic pociągającego. Posepnie szary, o strukturze skamieniałego błota, jest raczej odpychający niż malowniczy. Jest też zdradziecki, gdyż jego kruche warstwy mają tendencję do obsuwania się, w wyniku czego ów mały, dwunastomilowy odcinek nadbrzeży stracił w ciągu dziejów więcej ładu na rzecz morza, aniżeli jakiegokolwiek inne wybrzeże angielskie. Ale wyjątkowa obfitość skamieniałości w liasie w połączeniu z jego kruchością czyni teren istną Mekką dla paleontologów brytyjskich. Przez ostatnie sto lat najpospolitszym stworzeniem na tym brzegu jest człowiek i to człowiek operujący młotkiem geologicznym.

Karol był już w najbardziej podówczas znanym sklepie w Lyme — w „Magazynie Skamieniałości”, założonym przez podziwu godną Mary Anning, niewiastę bez szkolnego

wykształcenia, obdarzoną wszakże prawdziwym geniuszem, gdy chodziło o odkrywanie ciekawych okazów — nieraz jeszcze wtedy niesklasyfikowanych. Była ona pierwszą osobą, która znalazła kości *Ichtyosaurusa platyodona*, i hańbą paleontologii brytyjskiej jest fakt, że chociaż wielu ówczesnych naukowców nader chętnie korzystało z jej odkryć do podbudowania własnej reputacji, to jednak ani jedno z nich nie nosi jej imienia. Karol również złożył hołd pamięci tej lokalnej sławy w postaci gotówki za rozmaite amonity i *Isocrina* do umieszczenia w gablotach, zdobiących ściany jego londyńskiego gabinetu. Spotkał go jednak zawód, gdyż specjalizował się właśnie w odmianie, której okazów „Magazyn Skamieniałości” miał na sprzedaż bardzo niewiele.

Odmianą tą była *echinoderma*, czyli skamieniały jeżowiec. Jeżowce różnią się kształtem, choć zawsze są idealnie symetryczne i wszystkie mają ten sam deseń w delikatnie wyłobione prążki. Pomijając ich wartość naukową (seria zebrana w Beachy Head na początku siódmej dekady XIX wieku stała się jednym z pierwszych konkretnych dowodów na potwierdzenie teorii ewolucji) są prześlizgane i mają ten dodatkowy urok, że bardzo trudno je znaleźć. Można szukać przez wiele dni i nie znaleźć ani jednego, toteż poranek, gdy się znajdzie dwa albo trzy naraz, bywa pamiętną datą. Może to właśnie tak w nich pociągało Karola, urodzonego dyletanta, mającego nadmiar wolnego czasu. Oczywiście nie brakło mu równie argumentów naukowych, a wśród kolegów — hobbystów mawiał z oburzeniem, że *Echinodermia* „są stanowczo niedoceniane” — dobrze znane usprawiedliwienie, gdy ktoś poświęca zbyt dużo czasu zbyt wąskiej dziedzinie wiedzy. Bez względu jednak na pobudki, skamieniałe jeżowce były jego szczerym umiłowaniem.

Otóż jeżowce nie trafiają się wśród liasu, lecz w przykrywającej go warstwie krzemienia, toteż właściciel sklepu z skamielinami poradził Karolowi, żeby nie szukał na plaży, lecz nieco dalej, na zachód od miasta. W jakieś więc pół godziny po wizycie u ciotki Tranter Karol znalazł się znów przy moło.

Wielki falochron tego dnia nie był już wcale bezludny. Rybacy smołowali i naprawiali sieci, majstrowali coś przy wężyczkach na kraby i homary. Ludzie z wyższych sfer, przyjezdni i miejscowi, zażywali przechadzki nad wciąż jeszcze rozkołysanym, lecz niegroźnym już morzem. Kobiety, które przed kilku dniami wpatrywała się w pusty horyzont, nie było nigdzie widać. Karol nie zastanawiał się dłużej ani nad nią ani nad falochronem, tylko szybkim i sprężystym krokiem całkiem różnym od powolnego leniwego kroku, jakim zwykł chodzić po mieście, ruszył wzdłuż plaży do miejsca przeznaczenia.

Z pewnością uśmiechnęliby się państwo na jego widok, był bowiem w pełnym rynsztunku. Miał na sobie mocne, podkute buty, płócienne getry sięgające aż do bryczesów z grubej, flaneli, ciasny i absurdalnie długi płaszcz, szerokoskrzydły płócienny kapelusz nieokreślonego piaskowego koloru, sękaty kij kupiony po drodze na moło i olbrzymi plecak, z którego można by wytrząsnąć już w tej chwili dostatecznie ciężki ładunek młotków, opakowań, notesów, pudełeczek po pigułkach, siekierek i Bóg wie czego jeszcze. Systematyczność ludzi z epoki wiktoriańskiej jest dla nas rzeczą najbardziej bodaj niepojętą. Odzwierciedla się ona najlepiej (i najśmieszniej) w radach dla podróżnych, tak hojnie udzielanych przez wczesne wydania Baedekera. Zastanawiamy się, czy przy tak wielkim obciążeniu podróż lub wycieczka mogła sprawiać choć odrobinę przyjemności? A jeśli chodzi o Karola, to czyż nie rozumiał, że w lekkim ubraniu byłoby mu znacznie wygodniej? Że kapelusz jest całkiem niepotrzebny? Że ciężkie podkute buty na kamienistym wybrzeżu są równie przydatne jak łyżwy?

No cóż, my się śmiejemy. Może jednak jest coś godnego podziwu w owym ścisłym oddzielaniu tego, co najwygodniejsze od tego, co najbardziej zalecane. Napotykam tu znów ową kość niezgody między dwoma stuleciami: czy obowiązek¹ ma nami rządzić, czy też nie? Jeżeli uznamy tę obsesję właściwego stroju, obsesję gotowości na każdą ewentualność, za zwykłą

głupotę, ba, za ślepotę na rzeczy oczywiste, popełnimy, jak sadzę, wobec naszych przodków poważny — lub raczej lekkomyślny — błąd, albowiem to właśnie ludzie w rodzaju Karola, obciążeni podobnie jak on tego dnia nadmiarem ciężkiego ubrania i ekwipunku, położyli podwaliny pod naszą współczesną wiedzę. Ich niedorzeczne postępowanie w owej dziedzinie było tylko oznaką ich powagi w dziedzinie znacznie donioślejszej. Wyczuwali, że aktualne księgi buchalteryjne świata są nie dość dokładne, że pozwolili, aby ich okna na rzeczywistość zarosły pajęczyną konwenansów, religii, zastoju społecznego, słowem, wiedzieli, że muszą jeszcze dokonać wielu odkryć i że te odkrycia zaważą w sposób rozstrzygający na przyszłych losach ludzkości. Nam się zdaje (chyba że żyjemy w pracowni naukowo—badawczej), iż nie mamy już nic do odkrycia, a za najważniejsze uważamy tylko to, co dotyczy teraźniejszości. Tym lepiej dla nas? Być może. Ale w ostatecznym rozrachunku nie my będziemy o tym wyrokować.

Nie byłbym więc owego dnia wcale skłonny do śmiechu, kiedy Karol stukał młotkiem, nachylał się, badał uważnie grunt, a potem, usiłując po raz dziesiąty przeskoczyć zbyt szeroką szczelinę między głazami, pośliznął się i niezdarnie przewrócił na plecy. Niezbyt się zresztą przejął upadkiem, bo dzień był piękny, grunt obfitował w skamieliny, a wokół nie było nikogo.

Morze iskrzyło się, kuliki krzyczały. Stado ostrygojadów, czarno—białych i koralowoczerwonych, leciało przed Karolem, zwiastując jego nadejście. Trafiały się tu kuszące zalewy między skałami i Karolowi zaczęły chodzić po głowie okropne herezje — czy nie byłoby przyjemniej, ach, nie, nie, czy nie byłoby z większym pożytkiem dla nauki zająć się biologią morską? Opuścić Londyn, zamieszkać w Lyme... Ale Ernestyna nigdy się na to nie zgodzi. Przyszła nawet — notuję to z zadowoleniem — chwila całkowitej swobody, kiedy Karol rozejrzał się dokoła, upewnił się, że jest zupełnie sam, po czym ostrożnie zdjął grube buty, getry i pończochy. Uczniacka chwila... Karol usiłował przypomnieć sobie odpowiedni cytat z Homera, dzięki czemu stałaby się chwilą klasyczną, lecz przeszkodziła mu w tym konieczność złapania małego kraba, który zaczął umykać, gdy olbrzymi cień padł na jego czujne, osadzone na słupkach oczy.

Podobnie jak gardzą państwo pewno Karolem za nadmiar ciężkiego ekwipunku, mogą państwo gardzić nim za brak specjalizacji. Proszę jednak pamiętać, że historia naturalna nie miała wtedy dzisiejszego pejoratywnego sensu ucieczki od rzeczywistości — i to aż nazbyt często w kierunku sentymentalizmu. Karol był wcale kompetentnym ornitologiem, a na dodatek botanikiem. Może dla postępu wiedzy byłoby lepiej, gdyby zamknął oczy na wszystko prócz skamieniałych jeżowców albo poświęcił całe życie badaniu alg, przypomnijmy sobie jednak Darwina i *Podróż na statku Beagle. O powstawaniu gatunków* jest triumfem generalizacji, nie zaś specjalizacji, więc jeżeli nawet zdołają mi państwo udowodnić, że specjalizacja byłaby czymś lepszym dla Karola, naukowca bez talentu, będę nadal twierdził, że wielokierunkowość była lepsza dla Karola jako istoty ludzkiej. I nie w tym rzecz, iż dyletanci mogą sobie pozwolić na to, aby zajmować się wszystkim po trochu, rzecz w tym, że powinni zajmować się wszystkim po trochu i pał diabli nadętych pedantów, którzy usiłują pozamykać ich w ciasnych szufladkach.

Karol uważał się za darwinistę, w gruncie rzeczy jednak nie rozumiał Darwina. Ale Darwin sam siebie też nie rozumiał. Geniusz ten obalił Linneuszowską *scala naturae*, drabinę, której podstawą równie ważną, jak boskość Chrystusa dla teologii, było twierdzenie *nulla species nova* — na świecie nie może powstać nowy gatunek. Zasada ta tłumaczy obsesję Linneusza na temat klasyfikacji i nazewnictwa, obsesję petryfikowania wszystkiego, co istnieje. Widzimy to teraz jako z góry skazaną na niepowodzenie próbę ustabilizowania i zafiksowania czegoś, co w rzeczywistości jest płynącym nieustannie potokiem, nic też dziwnego, że Linneusz w końcu dostał obłądu — wiedział, że znalazł się w labiryncie, nie wiedział jednak, że ściany i koryta — tego labiryntu podlegają ustawicznym zmianom. Nawet Darwin do końca życia nie wyzwolił się

całkowicie ze szwedzkich okowów, toteż trudno mieć za złe Karolowi myśli, które przepływały mu przez głowę, kiedy patrzył w górę na pokłady liasu.

Wiedział, że *nulla species nova* to bzdury, dostrzegał jednak w owych nawarstwieniach geologicznych ład istnienia. Mógłby zapewne dopatrzeć się bardzo nowoczesnego symbolizmu społecznego w kruchości i rozpadaniu się szaroniebieskich okładów, ale widział tylko strukturalizm czasu, którego nieubłagane prawa (tym samym prawa boskie i dobroczynne któż by się bowiem ośmielił twierdzić, że ład nie jest najwyższym dobrem ludzkości?) nader dogodnie sprzyjają ewolucji drogą doboru naturalnego, czyli ostaniu się przy życiu jednostek najlepiej przystosowanych, takich jak na przykład Karol Smithson tego pogodnego wiosennego dnia, samotny, dociekliwy, wszystko dostrzegający i rozumiejący, pełen zapału i wdzięczności. Rozumowaniu brakowało, rzecz oczywista, wniosku, wypływającego z zaważenia się drabiny Linneusza mianowicie, że jeśli nowe gatunki mogą powstawać, stare częstokroć muszą ustąpić im miejsca. Karol świadom był osobistej zagłady (żaden wiktoriańczyk nie mógł już uniknąć tej świadomości), lecz koncepcja zagłady gatunku nie przeszła mu nawet przez myśl, podobnie jak najmniejszy obłoczek nie zamącił błękitu nieba nad jego głową. A przecież kiedy włożył znów pończochy, getry i buty, natrafił wkrótce na bardzo konkretny przykład takiej zagłady.

Był to odłamek liasu zawierający odciski amonitu, cudownie wyraźne, istne mikrokosmosy makrokosmosów, wirujące galaktyki, co wyryły swe rozety na przestrzeni dziesięciu cali kamienia. Sumiennie opatrzywszy okaz etykietą z datą i miejscem znalezienia, Karol znów zapomniał o nauce i oddał się tym razem myślom o miłości. Postanowił, że dziś jeszcze podaruje kamień Ernestynie. Okaz był dość ładny, aby jej się spodobać, ostatecznie zaś miał w niedługim czasie wraz z nią do Karola powrócić. Ponadto obecność kamienia w plecaku zwiększała ciężar, który Karol musiał dźwigać, a to już była praca przydająca upominkowi wartości. Obowiązek podniósł natychmiast swą surową głowę, budząc w Karolu miłe poczucie wypełniania nakazów epoki.

Aliści Karol uświadomił sobie jednocześnie, że zabawił tu dłużej, niż zamierzał. Rozpiął płaszcz i wyciągnął srebrny zegarek kieszonkowy. Druga godzina! Obejrzał się szybko zobaczył, że fale sięgają linii odległej o milę. Nie groziło mu odcięcie od lądu, miał bowiem tuż przed sobą stromą, lecz bezpieczną ścieżkę, wiodącą w górę skały do gęstego lasu. Nie mógł jednak wrócić wybrzeżem. Już przedtem zresztą miał w planie tę ścieżkę, ale zamierzał dotrzeć do niej szybko i wspiąć się na poziom, na którym zaczynały się warstwy krzemienia. Żeby się ukarać za guzdralstwo, ruszył teraz ścieżką grubo za prędko, musiał więc usiąść na chwilę i odsapnąć, pocąc się obficie pod swoją okropną flanelą. Postłyszał szmer strumyka nie opodal, ugasił pragnienie, zwilżył chustkę i otarł nią twarz, po czym zaczął rozglądać się dokoła.

¹[Na przypomnienie, że agnostycyzm i ateizm wiktoriański (w przeciwieństwie do nowoczesnego) pozostawał w ścisłym związku z dogmatami teologicznymi, chciałbym przytoczyć tu słynny epigramat George Eliot: „Bóg jest niepojęty, nieśmiertelność jest niewiarogodna, lecz obowiązek jest nakazem absolutnym i bezwzględny.” Tym bardziej bezwzględny, można by dodać, wobec tak przerażającej a podwójnej utraty wiary.]

9

...to serce nie było,
 Aby je długo kochać, ukształcone,
 Ale coś w głębi jego się żarzyło
 Dziwne i niespokojne, i nieposkromione.

Matthew Arnold [*Matthew Arnold (1822—1888) — angielski poeta, krytyk literacki i publicysta.], *A Farewell* (1853)

Podałem dwa najbardziej oczywiste powody, dla których Sara Woodruff stawiała się na oględziny do pani Poulteney. Sara była jednak ostatnią osobą, która by wyliczała powody, chociażby instynktownie, a było ich jeszcze bardzo dużo, musiało ich zresztą być dużo, ponieważ dobrze wiedziała, jaką opinię ma pani Poulteney wśród niższych sfer miasta Lynie. Przez pierwszy dzień nie mogła się zdecydować, potem udała się do pani Talbot po radę. Otóż pani Talbot była młodą osobą o niezwykle dobrym sercu, lecz nie odznaczała się nadmierną bystrością umysłu i chociaż przyjęłaby chętnie Sarę z powrotem — co już proponowała — to jednak zdawała sobie sprawę, że Sara nie jest obecnie w stanie otaczać wychowanków nieustanną i całodzienną opieką, jakiej wymaga się od guwernantki. Jednakże bardzo chciała przyjść jej z pomocą.

Wiedziała, że Sara jest w nędzy. Nie sypiała po nocach, wyobrażając sobie sceny z czytanych za młodu romantycznych powieści, w których konające z głodu bohaterki leżały skulone na ośnieżonych progach domów lub majaczyły w gorączce na zimnym strychu z przeciekającym dachem. Jeden obraz zwłaszcza — ściśle biorąc, ilustracje do którejś z budujących opowieści pani Sherwood — przerażał ją najbardziej. Prześladowana kobieta skoczyła właśnie ze skały w przepaść. Błysk pioruna ukazywał na skale głowy jej okrutnych prześladowców, lecz najstraszniejsze były rozwarłe w ostatnim krzyku usta nieszczęsnej istoty i jej unosząca się w górę peleryna, olbrzymia, czarna, niby krucze skrzydło potwornej śmierci.

Pani Talbot zataiła tedy swe wątpliwości co do osoby pani Poulteney i doradziła Sarze, żeby objęła posadę. Dawna guwernantka ucałowała na pożegnanie swoich byłych wychowanków, Pawełka i Wirginię, po czym wyruszyła w powrotną drogę do Lyme jako kobieta skazana na okropną dolę. Ufała zdaniu pani Talbot, a żadna inteligentna osoba, która ufa kobiecie choćby najlepszej, lecz głupiej, nie może się spodziewać innego losu.

Sara niewątpliwie odznaczała się inteligencją, lecz była to inteligencja dość swoista i nasze współczesne testy z pewnością by jej nie wykryły. Nie miała ona nic wspólnego ze skłonnością do analizy lub rozwiązywania problemów, znamienną jest też rzeczą, iż przedmiotem, który nastroczał Sarze najwięcej kłopotów, była matematyka. Inteligencja ta nawet za szczęśliwszych dni Sary nie przybierała nigdy postaci szczególnej bystrości lub dowcipu, stanowiąc raczej niezwykłą — niezwykłą zwłaszcza u kogoś, kto nigdy nie był w Londynie, nigdy nie ocierał się o ludzi — zdolność do oceny wartości innych osób, zdolność do rozumienia ich w najpełniejszym znaczeniu tego słowa.

Sara miała coś, co stanowiło psychiczny ekwiwalent wprawy doświadczonego handlarza końmi — zdolność do odróżniania na pierwszy rzut oka dobrego konia od złego — albo; jeżeli przeskoczmy stulecie, było to tak, jak gdyby urodziła się z komputerem w sercu. Mówię „w sercu”, bo wartości, które oceniała, należały raczej do sfery serca niż rozumu. Potrafiła wyczuć pretensjonalność czczej argumentacji, fałszywej uczoności, stronniczej logiki, ale zarazem też umiała przejrzeć ludzi na wylot w sprawach bardziej subtelnym. Nie będąc w stanie powiedzieć,

jak to robi, podobnie jak komputer nie potrafi wytłumaczyć zachodzących w nim procesów, widziała ludzi takich, jacy są, nie zaś takich, za jakich chcieli uchodzić. Mówiąc, że była znakomitą taksatorką moralności ludzkiej, nie oddalibyśmy jej w pełni sprawiedliwości. Rozumiała ludzi głębiej, a gdyby kamieniem probierczym była dla niej tylko moralność, z pewnością postąpiłaby w Weymouth inaczej — w rzeczywistości bowiem nie zatrzymała się u swojej kuzynki.

Ta wrodzona głębia intuicji stała się pierwszym przekleństwem jej życia, drugim stało się wykształcenie. Nie było to zbyt wysokie wykształcenie, ot, takie tylko, jakie można było zdobyć w Exeter, na trzeciorzędnej pensji dla młodych panien, gdzie uczyła się w ciągu dnia, a płaciła za naukę wieczorem — czasami do późna w nocy — cerując bieliznę i wykonując inne usługi — Nie żyła dobrze z innymi uczennicami. One spoglądały na nią z góry, ona znów widziała je na wylot. W rezultacie więc czytywała znacznie więcej powieści i poezji (obie te dziedziny piśmiennictwa są niezawodną ucieczką ludzi samotnych), niż większość dziewcząt jej stanu. Nie zdając sobie z tego sprawy, oceniała ludzi zarówno według kryteriów Waltera Scotta i Jane Austen, jak według tych, które wyrobiła sobie empirycznie. Widziała otaczające ją osoby jako postaci z powieści i ferowała na nie poetyckie wyroki. Niestety jednak wszystko, czego sama się w ten sposób nauczyła, zostało w znacznym stopniu wypaczone przez to, czego ją nauczono. Otrzymawszy ogładę damy z towarzystwa, stała się jednocześnie ofiarą społeczeństwa kastowego. Ojciec wypchnął ją przemocą z własnej klasy, nie zdołał jednak wznieść jej do klasy wyższej. Dla młodych mężczyzn ze środowiska, które opuściła, była zbyt uczona, dla epuzerów ze środowiska, o którym marzyła, pozostała zbyt wielką prostaczką.

Ów ojciec, którego proboszcz z Lyme określił jako „człowieka chwalebnych zasad”, stanowił diametralne przeciwieństwo tego określenia, w istocie bowiem uosabiał wszystkie najgorsze cechy, jakie można sobie wyobrazić. To wcale nie troska o przyszłość jedynaczki kazała mu wysłać ją do internatu, lecz obsesja na temat własnego szlacheckiego pochodzenia. Cztery pokolenia wstecz po mieczu miał antenatów wśród herbowej szlachty i mógł to udowodnić. Ustalił nawet dalekie pokrewieństwo między tymi przodkami i rodziną Drake’ów, a nieistotny ten szczegół z biegiem lat zamienił się w pewność, iż on, Woodruff, wywodzi się w prostej linii od wielkiego Sir Francisca. Rodzina rzeczywiście posiadała ongi jakiś majątek na owej zimnej, zielonej ziemi niczyjej pomiędzy Dartmoor a Exmoor. Ojciec Sary trzy razy jeździł tam, żeby na własne oczy obejrzeć siedzibę rodową, po czym wracał na dzierżawioną od Meritonów, wielkich właścicieli ziemskich, małą farmę, aby gryźć się wspomnieniami, snuć plany i marzyć.

Przypuszczalnie doznał zawodu, kiedy córka w wieku lat osiemnastu wróciła ze szkoły do domu — kto wie, jakiego deszczu cudów się spodziewał — siedziała naprzeciw niego przy wiązowym stole, słuchała przechwałek ojca i wpatrywała się w niego z cichą rezerwą, drażniąc go i irytując niczym bezużyteczna a kosztowna maszyna (pochodził z Devonu a dla Devończyków pieniądze są wszystkim na świecie), aż wreszcie doprowadziła go do szału. Zrzekł się dzierżawy i kupił własną farmę, ale kupił ją za tanio, w końcu więc doskonały rzekomo interes okazał się transakcją wręcz fatalną. Przez kilka lat ze skóry wylaził, żeby spłacać dług hipoteczny, a jednocześnie zachowywać śmieszne wielkopańskie pozory potem oszalał naprawdę i wysłano go do domu obłąkanych w Dorchester. Umarł tam po roku. W tym czasie Sara od roku już zarabiała na życie — najpierw jako guwernantka u pewnej rodziny w Dorchester, żeby być bliżej ojca. Potem, kiedy umarł, objęła posadę u Talbotów.

Powierzchnowość miała zbyt uderzającą, aby mimo braku jakiegokolwiek posagu nie trafiali jej się konkurenci. Za każdym razem jednak zaczynało działać pierwsze przekleństwo jej życia — orientowała się od razu, ile są wari nazbyt pewni siebie pretendenci do jej ręki. Widziała ich marność, ich; poczucie własnej wyższości, ich politowanie, ich głupotę. Zdawało się tedy, że

czeka ją nieuchronnie jedyny los, którego zgodnie z wolą natury, co straciła miliony lat na jej ewolucję, powinna była uniknąć — staropanieństwo.

Wyobraźmy sobie rzecz nieprawdopodobną, mianowicie, że pani Poulteney spisała listę aktywów i pasywów Sary, w dodatku właśnie owego dnia, kiedy Karol, uwolniony nagle od ciężkich obowiązków narzeczeńskich, przedsięwziął swoją wysoce naukową eskapadę. W każdym razie przyjmijmy, że zrobiła to tego dnia, ponieważ Sary, zwanej w Marlborough House panną Sarą, nie było w domu.

Zacznijmy więc pogodnie od rubryki aktywów. Pierwszą pozycją było coś, czego z pewnością nikt by się nie spodziewał przed rokiem, w chwili rozstrzygającej decyzji. Można by tę myśl sformułować tak: „Milsza atmosfera w domu.” Otóż był to fakt zdumiewający, ale przez ten rok nie został odprawiony ani jeden służący czy służąca (statystycznie biorąc, niełaskę ściągała częściej na siebie płeć żeńska).

Przedziwna ta zmiana rozpoczęła się pewnego ranka zaledwie w parę tygodni po tym, jak panna Sara podjęła swe obowiązki, czyli innymi słowy wzięła na siebie odpowiedzialność za zbawienie duszy pani Poulteney. Stara dama ze zwykłą sobie bystrością wykryła okropne zaniedbanie: pokojówka, której świętym obowiązkiem było podlewać co wtorek paprocie w drugim salonie (pani Poulteney miała jeden salon dla siebie drugi dla gości) — obowiązku tego nie dopełniła. Paprocie były zieloniutkie i najwyraźniej nie zgłaszały żadnych pretensji, czego nie dałoby się powiedzieć o bladej z gniewu pani Poulteney. Przywołano winowajczynię. Przyznała się, że zapomniała o podlaniu. Pani Poulteney może by nawet darowała tę przewinę, ale dziewczyna miała już na koncie kilka podobnych grzechów. Nadeszła jej godzina i pani Poulteney, groźna niczym buldog, co świadom swego obowiązku zatapia kły w łydce włamywacza, uderzyła w wielki dzwon.

— Jestem bardzo wyrozumiała, ale tego tolerować nie będę.

— Proszę pani, ja już nigdy tego nie zrobię.

W moim domu nie zrobisz tego na pewno.

— O, proszę pani... Błagam panią...

Pani Poulteney przez kilka chwil modlitewnej powagi rozkoszowała się łzami dziewczyny.

— Pani Fairley wypłaci ci pensję.

Panna Sara — obecna przy tej rozmowie, ponieważ pani Poulteney dyktowała właśnie listy, przeważnie do biskupów, a w każdym razie takim tonem, jakim się ludzie zwracają do biskupów — zadała naraz pytanie, którego skutek był znamienity. Przede wszystkim było to pierwsze pytanie, zadane w obecności pani Poulteney, a niepozostające w bezpośrednim związku z obowiązkami Sary. Po drugie, pytanie to było *de facto* zaprzeczeniem wyroku pani Poulteney. Po trzecie, zwrócone było nie do pani Poulteney, lecz do dziewczyny.

— Millie, czy ty nie jesteś chora?

Może sprawił to pełen współczucia głos, który rozległ się w tym pokoju, a może stan zdrowia dziewczyny, w każdym razie pokojówka wprawiła panią Poulteney w osłupienie, padła bowiem na kolana, potrząsając głową i jednocześnie zasłaniając twarz rękoma. Panna Sara w mgnieniu oka znalazła się przy niej, w ciągu zaś następnej minuty ustaliła, że dziewczyna rzeczywiście jest chora, zemdląca dwa razy w ostatnim tygodniu, ale za bardzo się bała, żeby komuś o tym powiedzieć...

Kiedy po pewnym czasie panna Sara wróciła z pokoju, w którym sypiały pokojówki i w którym ułożono teraz Millie do łóżka, z kolei pani Poulteney zadała zdumiewające pytanie.

— Co mam robić?

Panna Sara spojrzała jej w oczy. Spojrzenie to zawierało w sobie wszystko, toteż słowa były już tylko ustępstwem na rzecz konwenansu.

— Co pani uzna za stosowne, proszę pani.

Tak oto najrzadszy kwiat, przebaczenie, zapuścił naraz korzenie w Marlborough House, gdy zaś doktor przyjechał zbadać pokojówkę i stwierdził u niej anemię, pani Poulteney odkryła, jak perwersyjną rozkosz sprawia jej fakt, że ktoś ma ją za osobę wielkiej dobroci. Nastąpiło jeszcze parę incydentów, może nie tak dramatycznych, ale mających podobny przebieg — wszakże tylko parę, bo Sara dbała teraz o to, żeby co rano odbywać własną inspekcję kontrolną, zanim pani Poulteney wstanie. Poznała już dokładnie panią Poulteney i wkrótce umiała kierować nią tak zrecznie, jak wytrawny kardynał kieruje niezbyt stanowczym papieżem.

Drugą, bardziej spodziewaną pozycją na hipotetycznej liście pani Poulteney byłyby słowa: „Jej głos”. O ile chlebodawczyni zaniedbywała może służbę w sprawach świeckich, o tyle bardzo troskliwie dbała o jej strawę duchową. Wszyscy musieli w niedzielę obowiązkowo chodzić dwa razy do kościoła, a w dni powszednie brać udział we wspólnych modłach porannych — hymn, ustęp z Pisma Świętego i modlitwy — którym przewodniczyła uroczyście stara dama. Otóż irytowało ją zawsze, że najgroźniejsze jej spojrzenia nie potrafią doprowadzić służących do owego stanu całkowitej pokory i skruchy, jakiej z pewnością musi wymagać ich Bóg (nie mówiąc już o jej Bogu). Na ich twarzach malowała się zwykle mieszanina lęku przed panią Poulteney i tępego braku zrozumienia — słowem, nie przypominali wcale nawróconych grzeszników, lecz stado wystraszonych owiec. Sara wszystko to odmieniła.

Miała bez wątpienia piękny głos, dźwięczny i czysty, stale zabarwiony smutkiem, czasem nabrzmiały uczuciem, przede wszystkim jednak zawsze szczery. Pani Poulteney po raz pierwszy w swoim niewdzięcznym małym świątku widziała na twarzach służby wyraz pilnej uwagi, a czasem wręcz rozmodlenia.

Było to bardzo zadowalające, ale pozostawała jeszcze wieczorna porcja modłów. Służbie wolno było odmawiać modlitwy wieczorne w kuchni pod obojętnym okiem pani Fairley, przy akompaniamencie jej drewnianego głosu. Na piętrze Sara musiała czytać pani Poulteney modlitwy i Pismo Święte, a właśnie w tych intymniejszych chwilach głos Sary brzmiał najlepiej i oddziaływał najsukuteoczniej. Kilka razy dokonała rzeczy niewiarygodnej, wyciskając łzę ze starych, podpuchniętych złośliwych oczu. Był to skutek całkowicie niezamierzony, wynikał zaś z głębokiej a zasadniczej różnicy między tymi kobietami. Pani Poulteney wierzyła w Boga, który nigdy nie istniał, Sara znała Boga, który istniał naprawdę.

Sara nie podkreślała swym tonem brechtowskiego dystansu do tekstu, jak to czyni wielu czcigodnych kapłanów lub dygnitarzy, zaproszonych do czytania Pisma Świętego („Oto wasz burmistrz czyta ustęp z Ewangelii”), wręcz przeciwnie — mówiła z głębi serca o cierpieniach Jezusa Chrystusa, człowieka urodzonego w Nazarecie, jak gdyby nie dzieliła jej od tamtych wydarzeń przepaść historii, czasem nawet, gdy w pokoju panował półmrok i gdy zapomniała o obecności pani Poulteney, mówiła tak, jakby widziała przed sobą Chrystusa na krzyżu. Pewnego razu, kiedy doszła do słów: *Eli, Eli, lema sabachthani*” i przeczytała je, głos jej się załamał i umilkła. Pani Poulteney odwróciła się zdziwiona i ujrzała, że twarz Sary zalana jest łzami. Chwila ta okupiła nieskończoną liczbę późniejszych konfliktów, a może nawet — ponieważ stara dama wstała i dotknęła pochylonego ramienia dziewczyny wybawi kiedyś smażącą się obecnie w ogniu piekielnym duszę pani Poulteney.

Obawiam się, czy nie odmalowałem tu Sary jako dewotki. Ale Sara nie była przesadnie religijna: podobnie jak widziała na wylot ludzi, tak też widziała poprzez wulgarne witraże niedorzeczność, ciasną dosłowność kościoła wiktoriańskiego. Ale widziała również wokół siebie ludzkie cierpienie i modliła się o to, aby nadszedł jego kres. Mówiłem już, czym mogłaby być w

naszych czasach; sędzę, że w epoce dużo wcześniejszej byłaby albo świętą, albo nałożnicą jakiegoś cesarza. Nie przez pobożność z jednej strony czy przez zmysłowość z drugiej, lecz przez ów wrodzony rzadki dar, stanowiący kwintesencję jej natury — dar rozumienia i współczucia.

Były jeszcze inne aktywa: umiejętność — będąca sama w sobie niezwykłym osiągnięciem — postępowania z panią Poulteney tak, aby nie działać jej na nerwy, branie na siebie różnych prac domowych bez wkraczania zarazem w cudze kompetencje, mistrzostwo w operowaniu igłą.

W dniu urodzin pani Poulteney Sara ofiarowała jej pokrowiec (wprawdzie żadnemu z foteli pani Poulteney nie potrzeba było osłony, ale w owych czasach najpiękniejszy fotel bez tego rodzaju okrycia wydawał się nagi) z prześlicznie wyhaftowanym szlakiem z paproci i konwalii. Prezent ogromnie się pani Poulteney podobał, ponadto zaś ustawicznie a przebiegle — być może Sara rzeczywiście miała w sobie coś z wytrawnego kardynała — przypominał groźnej despotce ilekroć zasiadała na swym tronie, o dodatnich stronach charakteru jej *protegee*. Pokrowiec na swój sposób ratował Sare, podobnie jak nieśmiertelny drop tak często ratował Karola.

Wreszcie — a była to dla ofiary najcięższa tortura — Sara wyszła zwycięsko z próby, jaką stanowiły broszury religijne. Na wzór wielu bogatych a samotnych wdów z epoki wiktoriańskiej pani Poulteney pokładała wielką ufność w oddziaływani tych broszur. Nic to, że nawet jeden spośród dziesięciu obdarowanych nie potrafił przez nie przebrnąć — ściśle biorąc przeważająca ich część w ogóle nie umiała czytać — nic to, że nawet jeden spośród dziesięciu takich, co umieli czytać i przeczytali broszury, nie rozumiał, o co wielebnym autorom chodzi... pani Poulteney za każdym razem, gdy Sara wyruszała z plikiem broszur do rozdania, widziała odpowiednią liczbę zbawionych dusz, odnotowanych na jej koncie w niebiosach, widziała też, jak kochanica Francuza odbywa pokutę, co dodawało całej sprawie uroku. To samo widziała też reszta mieszkańców Lyme, a w każdym razie uboższych mieszkańców Lyme, którzy wskutek tego okazywali Sarze więcej życzliwości, niż pani Poulteney mogła przypuszczać.

Sara ułożyła sobie formułkę: „Od pani Poulteney. Proszę przeczytać i wziąć sobie do serca.” Jednocześnie spoglądała w oczy obdarowanemu biedakowi. Ci, co uśmiechali się znacząco, od razu przestawali się uśmiechać, gadatliwi zaś przekonywali się ze zdumieniem, że słowa zamierają im na ustach. Sędzę, że czerpali większą naukę z tych oczu, aniżeli z gęsto i drobno zadrukowanych broszur, które wciskano im do rąk.

Musimy teraz przejść do pasywów na wyimaginowanej liście pani Poulteney. Pierwszy i główny zarzut brzmiałby niewątpliwie: „Wychodzi sama z domu.” Ustalono pierwotnie, że panna Sara będzie miała wolne jedno popołudnie na tydzień, co zdaniem pani Poulteney stanowiło aż nazbyt wspaniałomyślny dowód, iż panna Woodruff zajmuje wyższą pozycję od pokojówek, przy tym usprawiedliwiony jedynie koniecznością roznoszenia broszur, ale proboszcz doradził starej damie, aby się na taki układ zgodziła. Przez dwa miesiące wszystko na pozór szło dobrze. Naraz pewnego ranka Sara nie stawiała się na modlitwę poranną. Gdy posłano po nią pokojówkę, okazało się, że w ogóle nie wstała z łóżka. Pani Poulteney osobiście się do niej udała. Znów zastała Sarę we łzach, ale tym razem nie odczuwała nic prócz irytacji. Mimo to jednak zawezwała doktora. Doktor spędził długi czas w pokoju Sary, a gdy zszedł na dół do zniecierpliwionej pani Poulteney, udzielił jej zwięzłego pouczenia na temat melancholii— był człowiekiem jak na swoje czasy i miejsce zamieszkania wcale postępowym — i zalecił, aby pozostawiała grzesznicy większą swobodę ruchów i umożliwiła jej oddychanie świeżym powietrzem.

— Skoro twierdzi pan, że to absolutnie konieczne.

— Tak twierdzą, droga pani. Twierdzą z całą stanowczością. W przeciwnym razie nie biorę na siebie odpowiedzialności.

— To bardzo niewygodne.

Doktor milczał gburowato.

— Postaram się obywać bez niej przez dwa popołudnia.

W przeciwieństwie do proboszcza doktor Grogan nie był zależny finansowo od pani Poulteney; szczerze mówiąc, nie było w Lyme osoby, której świadectwo zgonu podpisałby z mniejszym żalem. Powstrzymał jednak ulewającą się żółć i przypomniał starej damie, że sypia codziennie po południu na jego zresztą wyraźne zalecenie. W ten oto sposób Sara uzyskała codzienną połowiczną wolność.

Następna pozycja po stronie pasywów wyglądałaby tak: „Nie zawsze może być obecna przy gościach.” Tu pani Poulteney stała wobec ogromnie przykrego dylematu. Pragnęła oczywiście, aby wszyscy widzieli, jaka jest litościwa, co oznaczało, że wszyscy powinni byli widzieć Sarę. Twarz dziewczyny wywierała jednak na zebranych fatalne wrażenie. Jej smutek był jawnym wyrzutem, jej bardzo rzadkie odezwania się — będące z reguły odpowiedzią na jakieś pytanie zadane wprost (inteligentniejsi stali bywalcy nauczyli się wkrótce zwracać do towarzyszki czy też sekretarki pani Poulteney z uwagami natury wyłącznie retorycznej) — miały niepokojąco stanowczy charakter, nie dlatego zresztą, żeby Sara pragnęła uciąć rozmowę na dany temat, lecz dlatego, że w naiwności ducha usiłowała traktować pod kątem zdrowego rozsądku i szczerości jakiś wątek rozwijany na zasadzie wręcz przeciwnej. W takich chwilach Sara uporczywie przywodziła pani Poulteney na myśl jedną z postaci na szubienicy, którą pamiętała jak przez mgłę z czasów młodości.

Sara raz jeszcze dała dowody kunsztu dyplomatycznego. Przy niektórych od dawna i stale bywających gościach pozostawała w salonie, gdy przychodzili inni, usuwała się po pierwszych kilku minutach albo znikła dyskretnie od razu po ich zaanonsowaniu. Z tego właśnie powodu Ernestyna nie spotkała jej nigdy w Marlborough House. Dzięki takiemu postępowaniu Sary pani Poulteney mogła przynajmniej rozwodzić się nad ciężkim krzyżem, który musi dźwigać, chociaż wycofanie się lub nieobecność powyższego krzyża nasuwały przypuszczenie, że pani Poulteney niezbyt dobrze sobie radzi z jego dźwiganiem, co wielce ją irytowało. Samej Sarze jednak trudno było cokolwiek zarzucić.

Najgorszy zarzut zostawiłem na koniec. Brzmiał on tak; „Wciąż zdradza oznaki uczucia do tego, który ją uwiódł.”

Pani Poulteney jeszcze kilka razy próbowała wyciągnąć Sarę na zwierzenia zarówno co do szczegółów grzechu, jak i obecnego nasilenia skruchy. Żadna chyba matka przełożona nie pragnęła goręcej usłyszeć spowiedzi zbłąkanej owieczki ze swego stada. Ale Sara była w tej materii wrażliwa jak mimoza. Chociaż pani Poulteney najokólniejszą drogą zmierzała do celu, grzesznica domyślała się od razu, co za chwilę nastąpi a na pytanie zadane wprost odpowiadała zawsze to samo, co podczas pierwszej indagacji.

Pani Poulteney rzadko opuszczała dom, nigdy nie chodziła pieszo, lecz jeździła powozikiem, i to tylko z wizytami do osób równego stanu, musiała więc szukać pomocy cudzych oczu, aby się dowiedzieć, co Sara robi poza domem. Na szczęście dla niej istniała taka para oczu, a ponadto właścicielka tych oczu, kierowana gniewem i urazą, z największą chęcią składała meldunki swej rozzłoszczonej na doktora chlebobawczyni. Szpiegiem tym była oczywiście pani Fairley. Czytanie na głos nie sprawiało jej wprawdzie najmniejszej przyjemności, czuła się jednak dotknięta degradacją, a choć panna Sara była wobec ochmistrzyni nienagannie uprzejma i baczyła pilnie, aby nikt jej nie mógł posądzić o uzurpowanie funkcji pani Fairley, doszło jednak do nieuchronnego konfliktu. Panią Fairley nie cieszyło wcale, że ma trochę mniej pracy, gdyż oznaczało to również pewne zmniejszenie wpływów. Dzięki uratowaniu Millie i innym dyskretniejszym interwencjom Sara zdobyła sobie popularność i szacunek wśród służby — panią

Fairley więc najbardziej może wściekało to, że nie może obmawiać sekretarki wobec swych podwładnych. Była kobietą z natury zrędną i złą, jedyną jej przyjemność stanowiły najgorsze wiadomości i najgorsze przecucia, toteż powzięła do Sary nienawiść, która stawała się stopniowo coraz bardziej gwałtowna i zazarta.

Była zbyt przebiegła i podstępna, aby miała zdradzić się ze swymi uczuciami przed panią Poulteney. Przeciwnie, udawała, że współczuje ogromnie „biednej pannie Woodruff”, a jej meldunki przyprawione były obficie wyrażeniami w rodzaju „obawiam się” i „niestety”. Z łatwością mogła uprawiać swój szpiegowski proceder, gdyż w związku z obowiązkami służbowymi często bywała w mieście, prócz tego zaś miała do dyspozycji rozległą siatkę krewnych i znajomych. Dała im do zrozumienia, że pani Poulteney — z najszlachetniejszych i najbardziej chrześcijańskich pobudek — pragnie wiedzieć, jak się zachowuje panna Woodruff poza wysokimi murami ogrodów Marlborough House

. W rezultacie, ponieważ w Lyme Regis już wtedy, tak samo jak i dzisiaj, roiło się od plotkarzy niczym w zgłiwiałym serze od robaków, pani Poulteney dowiadywała się niemal natychmiast — w formie mocno przesadzonej i z licznymi komentarzami — o każdym słowie i każdym ruchu Sary podczas godzin wolnych od pracy.

Trasa jej przechadzek — ilekroć oszczędzono jej roznoszenia broszur — była bardzo prosta. Szła zawsze tą samą drogą: stromą Pound Street na dół, potem stromą Broad Street w górę a stamtąd do Cobb Gate, kwadratowego tarasu wychodzącego na morze. Tam stawała przy murze i patrzyła na morze, ale niezbyt długo — nie dłużej niż rozgląda się bacznie kapitan, gdy wchodzi na mostek — po czym skręcała w Cockmoil albo szła ciągnącą się na przestrzeni pół mili ścieżką, wiodącą wokół zatoki do molo. Jeżeli szła przez Cockmoil, wstępowała najczęściej do kościoła parafialnego i spędzała kilka minut na modlitwie (o czym pani Fairley nigdy nie uważała za stosowne wspomnieć), następnie zaś wąską uliczką za kościołem kierowała się na porośnięty trawą teren Church Cliffs. Teren wznosił się tu ku posępnyim skałom Czarnego Zalewiska. Można było widzieć Sarę, jak szła przez łąki tam, gdzie ścieżka łączyła się ze starą drogą do Charmouth, teraz od dawna pochłoniętą przez Zalewisko, i stamtąd zawracała do Lyme. Spacer ten odbywała, kiedy na molo było rojno, ale gdy niepogoda lub inne okoliczności wyludniały je, skręcała najczęściej w tamtą stronę i stawała na końcu, w miejscu, gdzie Karol po raz pierwszy ją zobaczył. Tam, jak sądzono, czuła się najbliżej Francji.

Wszystko to odpowiednio zniekształcone i pomalowane na czarno powracało do pani Poulteney. Dama ta wszakże znajdowała się wówczas w pierwszym stadium zachłannej radości z posiadania nowej zabawki i usposobiona była tak życzliwie, jak tylko pozwalała na to jej kostyczna i podejrzliwa natura. Nie zawahała się wszelako udzielić zabawce napomnienia.

— Słyszę, panno Woodruff, że kiedy pani wychodzi, zawsze widuje się panią w tych samych miejscach.

Sara spuściła oczy pod oskarżycielskim spojrzeniem starej damy.

— Patrzy pani na morze. Sara nadal milczała.

— Przekonana jestem, iż odczuwa pani głęboki żal za grzechy. Prawdę mówiąc, trudno mi uwierzyć, aby w pani, sytuacji mogło być inaczej.

Sara zrozumiała, co powinna odpowiedzieć.

— Jestem pani bardzo wdzięczna, proszę pani.

— Nie obchodzi mnie pani wdzięczność — jest Ktoś, Kto ma do niej większe prawo.

— Czyż o tym nie wiem? — szepnęła dziewczyna.

— Osobom nie zorientowanym może się wydawać, że trwa pani w grzechu.

— Jeżeli znają moje dzieje, proszę pani, nie mogą tak myśleć.

— A jednak tak właśnie myślą. Mówią podobno, że wypatruje pani żagli Szatana.

Sara wstała i podeszła do okna. Zapach bzu łączył się śpiewem kosów. Patrzała przez chwilę na owo morze, którego nakazywano jej się wyrzec, po czym zwróciła się znów do starej damy, która siedziała w swym fotelu sztywna i nieugięta ja królowa Wiktoria na tronie.

— Życzy pani sobie, żebym odeszła?

Pani Poulteney doznała wstrząsu. Bezpośredniość Sary raz jeszcze odebrała wszelką moc wzbierającej w niej złości. Ten głos, te przeróżne uroki, którymi ona, pani Poulteney, tak się upaja! Co gorsza, może roztrwonić nieopatrzenie procenty rosnące na jej koncie w zaziemskich księgach buchalteryjnych. Złagodziła czym prędzej ton.

— Życzę sobie, aby pani dowiodła, że wygnała tego... Tę osobę ze swego serca. Wiem, że tak jest. Musi pani to jednak pokazać.

— Jak mam to pokazać?

— Chodząc gdzie indziej na spacer. Nie obnosząc się ze swoją hańbą. Choćby tylko dlatego, że ja tego żądam.

Sara stała ze spuszczoną głową. Przez chwilę panowało milczenie. Potem jednak spojrzała pani Poulteney w oczy i po raz pierwszy od przybycia do tego domu uśmiechnęła się leciutko.

— Zrobię, jak pani sobie życzy, proszę pani.

Była to, że użyję terminu szachowego, przemyślna ofiara, pani Poulteney bowiem zaraz łaskawie oświadczyła, że nie chce zupełnie pozbawiać Sary dobrodziejstw powietrza morskiego i że Sara może od czasu do czasu przechadzać się nad morzem, ale nie zawsze nad morzem — „i bardzo proszę, żeby stała i nie wpatrywała się przed siebie”.

Słowem, dwie różne obsesje doprowadziły do kompromisowej ugody. Słowa Sary o odejściu sprawiły, że obie kobiety poznały prawdę, każda na swój odmienny sposób. Sara dotrzymała umowy, a przynajmniej tej części, która dotyczyła trasy jej spacerów. Chodziła teraz bardzo rzadko na molo choć gdy się już tam znalazła, pozwalała sobie niekiedy na to, aby stanąć i patrzeć przed siebie, jak owego opisanego przez nas dnia. Bądź co bądź okolice Lyme obfitują w piękne miejsca do spacerów, a rzadko się trafia taka droga, z której nie roztaczałby się widok na morze. Gdyby Sara tego tylko pragnęła wystarczyłoby jej przejść przez trawniki Marlborough House.

Pani Fairley miała więc przez wiele miesięcy ciężkie życie.

Nie pomijała oczywiście żadnego wypadku, kiedy Sara stała i patrzyła, ale wypadki te były nieliczne, Sara zaś tymczasem uzyskała nad panią Poulteney przewagę cierpienia, która chroniła ją przed wszelką surowszą krytyką. A koniec końców, jak szpiegująca ochmistrzyni i stara dama często sobie wzajem przypominały, biedna Tragedia była przecież szalona.

Z pewnością domyślili się już państwo, jak się rzecz miała naprawdę: Sara wcale nie była taka szalona, jakby się zdawało... a w każdym razie szalona zupełnie w innym sensie, niż powszechnie przypuszczano. Afiszowanie się ze swoją hańbą miało pewien cel, a ludzie dążący uparcie do celu wiedzą, kiedy go już osiągnęli, i mogą na jakiś czas zaprzestać wysiłków.

Pewnego dnia, niecałe dwa tygodnie przed początkiem mojej opowieści, pani Fairley, skrzypiąc gorsetem, przyszła do pani Poulteney z taką miną, jak gdyby miała za chwilę powiadomić ją o śmierci bliskiej osoby.

— Mam coś bardzo przykrego do zakomunikowania, proszę pani.

Zdanie to było już pani Poulteney tak dobrze znane, jak rybakowi sygnał sztormowy, przestrzegająca jednak reguł gry.

— Czyżby chodziło o pannę Woodruff?

— Wolalabym, żeby to nie o nią chodziło, proszę pani — Ochmistrzyni wpatrywała się pilnie w swoją panią, jakby, chcąc się upewnić, że ją dostatecznie nastraszyła. — Ale obawiam się, że moim obowiązkiem jest pani o tym powiedzieć.

Nie powinniśmy nigdy uchylać się od swoich obowiązków.

— Tak jest, proszę pani.

Ochmistrzyni wciąż jednak nie otwierała zaciśniętych ust, toteż ktoś trzeci mógłby przypuszczać, że za chwilę usłyszy o czymś okropnym. Taniec nago na ołtarzu kościoła parafialnego był chyba najmniejszym przewinieniem, jakiego można się było spodziewać po minie pani Fairley.

— Spaceruje teraz po Błoniach Gromadzkich, proszę pani. Zdawałoby się, że góra urodziła mysz. A jednak pani Poulteney najwyraźniej była innego zdania. Z ustami jej stało się coś niezwykłego — otworzyły się ze zdumienia.

10

I raz, raz tylko podniosła spojrzenie
 I słodki, senny obłął ją rumieniec,
 Gdy spotkało się z moim...
 Alfred Tennyson, *Maud* (1855)

...lesista, urozmaicona, wesoła wioska Lyme, a nade wszystko Pinny i jego zielone, rozpadliny pośród romantycznych skał, gdzie strzaskane drzewa leśne i bujne, rozrośnięte sady świadczą, że wiele musiało minąć pokoleń, odkąd pierwsze rysy i pęknięcia skały przygotowały grunt pod taki pejzaż; gdzie roztaczają się widoki cudowne, wdzięczne, piękniejsze niż słynne widoki na wyspie Wight...

Jane Austen, *Perswazje*

Pomiędzy Lyme Regis a Axmouth, o sześć mil na zachód, rozpościera się jeden z najdziwniejszych krajobrazów nadbrzeżnych w południowej Anglii. Oglądany z samolotu nie przedstawia sobą nic szczególnego, widzi się tylko, że tutaj pola kończą się o milę przed skałami nadbrzeżnymi, gdzie indziej zaś sięgają aż do nich. Regularna szachownica zieleni i rdzawego brązu wyłamuje się naraz spod dyscypliny i, rozdokazywana, zamienia się w ciemną kaskadę drzew i zarośli. Nie ma tu dachów. Jeżeli się leci dość nisko, widać, że teren jest bardzo nierówny, poprzecinany głębokimi rozpadlinami i usiany dziwaczными cyplami i wieżycami z kredy i krzemienia, które mającą wśród bujnego listowia, niczym ruiny starych zaników. Tak to wygląda z samolotu... ale gdy się idzie pieszo, ten mały na pozór skrawek staje się przedziwnie rozległy. Ludzie nieraz błądzą tu godzinami, a kiedy zobaczą na mapie, gdzie błądzili, nie mogą uwierzyć, że ich poczucie zagubienia — a przy niepogodzie nawet rozpaczy — mogło być tak wielkie. Skarpa — gdyż teren ten jest w istocie rzeczy urwiskiem długości mili, powstałym wskutek erozji pionowych niegdyś skał — jest bardzo stroma. Płaskie miejsca trafiają się równie rzadko jak ludzie, którzy je odwiedzają. W rezultacie jednak stromego nachylenia teren wraz z roślinnością jest bardzo nasłoneczniony, co w połączeniu z wodą z niezliczonych źródełek, które spowodowały erozję, czyni ten skrawek ziemi swoistym fenomenem botanicznym — są tu dzikie mącznice, wiecznie zielone dęby i inne drzewa, jakie rzadko spotyka się w Anglii, olbrzymie jesiony i buki, zielone skalne rozpadliny, zarośnięte bluszczem i dzikim powojem o pędach grubych liany, paprocie dochodzące do trzech metrów wysokości, kwiaty, co rozkwitają o miesiąc wcześniej niż gdziekolwiek indziej w okolicy. W lecie zakątek ten stanowi najbliższą namiastkę dżungli tropikalnej, jaką może zaprezentować Wielka Brytania. Ma on też, jak każdy teren nigdy przez człowieka uprawiany ani niezamieszkiwany, swoje tajemnice, cienie i niebezpieczeństwa — w sensie najzupełniej dosłownym, są bowiem rozpadliny i ukryte doły — pułapki, na dobitkę w takich miejscach, gdzie człowiek ze złamaną nogą może przez tydzień bezskutecznie wzywać pomocy. Choć to się wyda dziwne, skrawek ten przed stu laty mniej był bezludny aniżeli dzisiaj. Na skarpie nie ma już ani jednego domku, w roku zaś 1867 było ich kilka — mieszkali w nich gajowi, drwale, paru świniopasów. Sarny — żywy dowód tego, jak bezludny i opuszczony jest las — zapewne nie pędziły wtedy tak spokojnego żywota. Obecnie skarpa powróciła do stanu całkowitego zdziczenia. Z domków pozostały tylko okryte bluszczem resztki ścian dawne ścieżki zarosły, nie przechodzi tędy żadna szosa, jedyny trakt przecinający skarpe jest w wielu miejscach nie do przebycia. Dzieje się tak na skutek uchwały Parlamentu,

zgodnie z którą teren stał się państwowym rezerwatem przyrody. Nie wszystko jednak poświęca się na rzecz korzyści i wygody.

W tym właśnie ustroniu, które stanowiło w pogodny dzień 29 marca 1867 roku istny Eden angielski, znalazł się Karol kiedy wspinał się po ścieżce znad brzegu zatoki Pinhay, i było to właśnie owo ustronie, którego wschodnia połowa nosiła miano Błoni Gromadzkich.

Karol ugasił pragnienie, ochłodził rozpalone czoło zwilżoną chustką, po czym zaczął z powagą rozglądać się dokoła. A raczej usiłował rozglądać się z powagą, jednakże zielony stok, na którym się znalazł, rozpościerający się przed nim widok, odgłosy, wonie, bujna, niczym nie skrępowana roślinność, wszystko to wprawiło go w nastrój antynaukowy. Ziemia wokół niego usiana była złotymi i bladożółtymi cętkami chelidonii i pierwiosnków, obramowana zaś panięską bielą tarniny w pełnym rozkwicie. Tam, gdzie krzewy czarnego bzu o lśniące zielonych czubkach ocieniały brzegi strumyczka, z którego zaczerpnął wody, rosły kępy piżmaczka i szczawika, najdelikatniejszych spośród angielskich kwiatów wiosennych. Wyżej na zboczu dostrzegł białe główki anemonów, a za nimi ciemnozielone pasy liści dzwonek. W oddali dzieciół opukiwał pień jakiegoś wysokiego drzewa, zięby pogwizdywały cicho nad głową Karola, a nowo przybyłe pliszki i strzyżyki. świergotały w każdym krzaku i na każdym drzewie. Gdy się odwrócił, ujrzał błękitne morze, bijące w dole o brzeg. Widział teraz całą zatokę Lyme, malejący ciąg skał i wybrzeże Chesil, długą żółtą klingę, której daleki szpic wrzynał się w ów przedziwny angielski Gibraltar — Portland Bill, wąski szary cień wbity między dwie płaszczyzny błękitu.

W jednym tylko okresie sztuka potrafiła uchwycić i utrwalić takie sceny — w okresie Odrodzenia. Po takiej ziemi chodzą postaci Botticellego, taka atmosfera owiewa pieśni Ronsarda. Mniejsza o to, jakie były świadome cele i zamierzenia owej rewolucji kulturalnej; w istocie swej Odrodzenie było po prostu zieloną wiosną po jednej z najcięższych zim cywilizacji. Położyło kres łańcuchom, więzom, granicom. Jego dewiza była dewizą najlepszą i jedyną — to, co jest, jest dobre. Krótko mówiąc, Odrodzenie reprezentowało to wszystko, czego brakowało epoce Karola, ale proszę nie sądzić, że stojąc tam na zboczu nie zdawał on sobie z tego sprawy. Wprawdzie, aby wytłumaczyć nekające go dziwne uczucie niepokoju, nieprzystosowania, skrępowania, sięgał bliżej — do Jana Jakuba Rousseau i dziecinnych mitów o Złotym Wieku i Szlachetnym Dzikusie. Innymi słowy, starał się usprawiedliwić niewłaściwy stosunek swoich czasów do natury stwierdzeniem, że nie można powrócić do legendy. Perswadował sobie, że jest zbyt rozpieszczony, zbyt zepsuty cywilizacją, aby móc kiedykolwiek zespolic się znów z przyrodą, i myśl ta budziła w nim miły, słodkawy—gorzkawy smutek. Bądź co bądź był wiktoriainem. Trudno wymagać, aby rozumiał coś, z czego my — mając do dyspozycji o tyle rozleglejszą wiedzę, jak również nauki filozofii egzystencjalistycznej — zaczynamy dopiero zdawać sobie sprawę: mianowicie, że pragnienie posiadania czegoś i pragnienie rozkoszowania się czymś unicestwiają się wzajemnie. Karol powinien był mówić sobie: „Mam w tej chwili, jestem więc szczęśliwy”, ale zamiast tego mówił po wiktoriańsku „Wie mogę posiadać na zawsze, jestem więc smutny”.

W końcu jednak nauka odzyskała hegemonię, ruszył tędy z biegiem strumienia, szukając w pokładach krzemienia swoich jeżowców. Znalazł ładny odłamek skamieniałej muszli, ale jeżowce wciąż mu się wymykały. Posuwał się stopniowo wśród drzew na zachód, nachylając się ku ziemi i uważnie badając ją wzrokiem, znów robiąc kilka kroków, i znów powtarzając tę samą procedurę. Od czasu do czasu podważał końcem laski jakiś kamyk, który budził w nim nadzieję. Nie miał jednak szczęścia. Po upływie godziny obowiązek wobec Ernestyny zaczął brać górę nad pasją do jeżowców. Spojrzał na zegarek, zmęł w zębach przekleństwo i wrócił tam, gdzie

zostawił plecak. Idąc w górę zboczem i czując na plecach promienie zachodzącego słońca, natrafił na ścieżkę i skierował się do Lyme. Ścieżka pięła się przez jakiś czas w górę, skręcała lekko przy porośniętej bluszczem ścianie i nagle, brzydkim zwyczajem ścieżek, rozwidła się bez żadnego drogowskazu. Karol zawahał się, potem uszedł jakie pięćdziesiąt metrów niższą ścieżką, wiodącą przez parów okryty już gęstym cieniem. Nie znał terenu i szedł właściwie na oślep, gdy naraz ujrzał nową odnogę ścieżki wiodącą na prawo, z powrotem ku morzu w górę niewielkiego stoku, porośniętego trawą. Postanowił wejść tam i zorientować się, którędy ma iść. Zaczął przedzierać się przez gałęzie jeżyn — ścieżka była rzadko używana — na małe, zielone płaskowzgórze.

Znalazł się na ślicznej polance, przypominającej łączkę alpejską. Białe omyki kilku zajęcy wyjaśniały, czemu trawa jest tu taka krótka.

Karol stanął w słońcu. Trawa lśniła gwiazdkami świetlików i seradeli, żywo zielone kępy majeranku miały lada chwila zakwitnąć. Podeszedł do krawędzi płaskowyzu.

Tam, nieco poniżej, zobaczył ludzki kształt.

Przez krótką, lecz okropną chwilę sądził, że natrafił na jakieś zwłoki. Zaraz jednak spostrzegł, że to kobieta pogrążona we śnie. Wybrała dziwne miejsce: szeroki, spadzisty, porośnięty trawą występ jakieś półtora metra poniżej poziomu polanki. Leżała tam ukryta przed wzrokiem każdego, kto nie zbliżył się tak jak Karol tuż do krawędzi. Skały wapienne za tym naturalnym balkonem czyniły go miejscem nasłonecznionym i ciepłym, gdyż najszerszą stroną zwrócony był na południowy zachód. Niewiele jednak osób wybrałoby ten balkon. Przy jego zewnętrznej krawędzi rozpoczynała się prostopadła piętnastometrowa ściana, pod którą rosła groźna gęstwina kolczastych jeżyn. Nieco za nimi ciągnęły się aż do brzegu ostre skały. Pierwszym odruchem Karola było odejść stąd czym prędzej. Nie dostrzegł, co to za kobieta. Stał skonsternowany, patrząc na roztaczający się przed nim piękny krajobraz, lecz go nie na widząc. Po chwili wahania chciał się już cofnąć, ciekawość jednak popchnęła go znów naprzód.

Dziewczyna leżała na wznak, pogrążona w głębokim śnie. Rozchyłony płaszcz ukazywał suknię koloru indygo, której perkalową surowość ożywiały jedynie wąski, biały kołnierzyk przy szyi. Twarz śpiącej była odwrócona od Karola, prawe ramię zgięte nad głową, jak u dziecka. Wokół na trawie leżało kanaście zerwanych i rozsypanych anemonów. Poza dziewczyny miała w sobie coś niezwykle wzruszającego, a zarazem zmysłowego. Obudziła w pamięci Karola mgliste wspomnienie z czasów paryskich. Obraz innej dziewczyny, której imienia nie mógł sobie już przypomnieć, a może nawet nigdy nie znał, śpiącej w takiej pozie o świcie w pokoju z oknem na Sekwanę.

Ruszył wzdłuż wygiętej krawędzi ku miejscu, skąd mógłby lepiej zobaczyć twarz śpiącej, i dopiero wtedy zorientował się, na kogo natrafił. Była to „kochanica Francuza”. Część jej włosów rozsypała się i na pół zasłaniała policzek. Na molo włosy te wydawały mu się bardzo ciemne, teraz dostrzegł ich rudawy odcień, ich ciepłą obfitość, ale bez połysku, jaki nadawała obowiązująca wówczas kobiety pomada. Skóra wydawała się w tym oświetleniu bardzo smagła, niemal ogorzała, jak gdyby dziewczyna dbała bardziej o zdrowie niż o modną błądź cery. Silnie zarysowany nos, szerokie brwi... ust nie mógł dojrzeć. Dziwnie go irytowało, że musi oglądać tę twarz w skrócie, teren bowiem nie pozwalał mu pójść dalej, aby ustawić się pod właściwym kątem.

Stał jak w transie, niezdolny do żadnego ruchu, mógł tylko patrzeć w dół, oszołomiony tym niespodziewanym spotkaniem i ogarnięty równie dziwnym uczuciem — nie zmysłowym, lecz braterskim, może nawet ojcowskim przeświadczeniem o niewinności tej istoty, o niesłuszności doznawanych przez nią prześladowań, a zarazem wyczuwając intuicyjnie, jak straszliwie jest osamotniona. Nie potrafił sobie wyobrazić, aby w epoce, gdy kobiety były na pół statyczne,

łękliwe, niezdolne do dłuższego wysiłku fizycznego, coś innego niż rozpacz mogło zagnać ją do tego dzikiego ustronia. Doszedł wreszcie do samego końca skalistego parapetu, znajdującego się tuż nad jej twarzą, i wtedy dostrzegł, że smutek, który tak mu się przedtem wrył w pamięć, zniknął. Twarz we śnie była pogodna, może nawet gościł na niej cień uśmiechu. I właśnie w tej chwili, gdy wpatrywał się w nią przechylony nad krawędzią, dziewczyna obudziła się.

Spojrzała od razu w górę tak szybko, że na próżno zrobił krok w tył. Dał się przyłapać, a był zbyt wielkim dżentelmenem, aby szukać wykrętów. Gdy więc Sara wstała, otuliła się płaszczem i ze swego występu odwzajemniła spojrzenie Karola, ten zdjął swój płócienny kapelusz i złożył jej ukłon. Sara nie powiedziała nic, wbiła tylko w niego wzrok, w którym malowało się zaskoczenie i zdumienie, a może nawet wstyd. Miała piękne oczy, ciemne, głębokie.

Stali tak przez kilka chwil, skuci wzajemnym zdziwieniem. Wydawała mu się taka mała, kiedy stała tam niżej, niewidzialna od pasa w dół, ściskając kurczowo kołnierz płaszcza, jakby miała rzucić się do ucieczki, gdyby zrobił krok w jej kierunku. Odzyskał naraz poczucie tego, co wypada.

— Tysiącrotnie przepraszam. Natrafiłem na panią przypadkiem.

Po tych słowach zawrócił i odszedł. Nie obejrzał się, lecz zbiegł na dół do ścieżki, którą porzucił, wrócił do rozwidlenia i tam zaczął się zastanawiać, czemu nie miał dość przytomności umysłu, aby zapytać, którą ścieżką ma pójść. Zatrzymał się na pół minuty, żeby przekonać się, czy ona za nim nie idzie. Nie pokazała się. Wkrótce maszerował już stanowczo w górę bardziej stromą ścieżką.

Karol nie wiedział o tym, ale w owych krótkich sekundach zawieszenia nad czekającym morzem, w owej świetlistej ciszy przedwieczornej, przerywanej tylko cichym pluskiem fal, uległa zagładzie cała epoka wiktoriańska. Nie chcę bynajmniej przez to powiedzieć, że obrał niewłaściwą ścieżkę.

11

Idź więc, jak ton dobry każe,
 Nie pojmując sensu zdarzeń,
 Do kościoła — świat chce tego,
 Na bale — świat też chce tego,
 Za mąż — tak chce mama, tata,
 Koleżanki i pół świata.
 Arthur Hugh Clough, *Duty* (1841)

„Ech, on?”, krzyknęła pełna wzdargy, „Dla mnie on grosza nie jest warty. Wprawdzie przystojny zeń mężczyzna W strojnym okryciu, trzeba przyznać, Lecz w głowie pusto — rodziciele Nie nauczyli go zbyt wiele.”

William Barnes, *Poems in the Dorset Dialect* (1869)

Mniej więcej w tym samym czasie, gdy zdarzyło się to spotkanie, zniecierpliwiona Ernestyna wstała z łóżka i wyjęła z szuflady swój dziennik oprawny w czarny safian. Z nadąsaną minką przeczytała najpierw to, co zanotowała tego ranka, a co z punktu widzenia literackiego nie wyróżniało się zbytnim polotem: „Napisałam do Mamy. Nie widziałam najdroższego Karola. Nie wychodziłam, chociaż jest piękna pogoda. Nie czuję się szczęśliwa.”

Był to bardzo przykry dzień dla biednej dziewczyny, która mogła okazywać swoje niezadowolenie jedynie ciotce Tranter. Dostała wprawdzie od Karola żonkile, których zapach teraz wdychała, ale nawet te kwiaty w pierwszej chwili tylko ją zirytowały.

Dom ciotki Tranter był mały, słyszała więc, jak Sam zapukał do drzwi na dole, słyszała jak ta wstrętna, zuchwała Mary mu otworzyła — cicha rozmowa, a potem wyraźny, choć stłumiony wybuch śmiechu pokojówki i trzaśnięcie drzwiami. Powzięła okropne podejrzenie, że to Karol był na dole i flirtował z obrzydliwą dziewczuchą, a myśl ta z kolei obudziła najgorsze jej obawy.

Wiedziała, że mieszkał w Paryżu, w Lizbonie, że dużo podróżował, wiedziała, że jest od niej o jedenaście lat starszy, wiedziała, że ma powodzenie u kobiet. Na jej dyskretnie żartobliwe pytania o jego dawne podboje odpowiadał zawsze w sposób równie dyskretny i żartobliwy, i to właśnie Ernestyn niepokoiło. Czuli, że musi coś przed nią ukrywać — jakąś tragiczną francuską hrabinę, jakąś namiętą portugalską markizę. Nie pozwalała swej wyobraźni zniżać się do paryskich gryzetek lub ciemnookich dziewcząt z zajazdów portugalskich co byłoby bliższe prawdy. Jednak pytanie, czy Karol sypiał z innymi kobietami, dręczyło ją mniej, aniżeli mogłoby dręczyć nowoczesną dziewczynę. Ernestyna oczywiście wypowiadała swoje władcze: „Nie wolno!”, gdy tylko takie grzeszne przypuszczenie przemknęło jej przez głowę, w gruncie rzeczy jednak była przede wszystkim zazdrosna o serce Karola. Nie zniósłaby myśli, że musi je z kimś dzielić, czy to w przeszłości czy też aktualnie.

Pożyteczna brzytwa Occama* [* William Occam albo Ockham (1307—1349?) — średniowieczny angielski filozof i teolog, scholastyk, zwolennik antypapieskiej polityki cesarza Ludwika IV Bawarskiego, jeden z głównych przedstawicieli nominalizmu, znany jako *Doctor Invincibilis*. Brzytwa Occama — stworzona przez niego metoda analizy problemu.] była jej nieznaną. Prosty więc fakt, że Karol nigdy nie był naprawdę zakochany, stanowił dla Ernestyny, gdy miała zły dzień, niezbity dowód, że był niegdyś zakochany do szaleństwa. Jego zewnętrzny spokój brała za straszliwą ciszę pola po bitwie, jakiegoś Waterloo po upływie miesiąca, nie wierząc, że serce Karola może być tym, czym było naprawdę — miejscem bez historii.

Kiedy zamknęły się drzwi frontowe, Ernestynie starczyło godności i opanowania dokładnie na półtorę minutę, po czym jej delikatna dłoń sięgnęła do połączanej gałki przy łóżku i pociągnęła za nią gwałtownie. Rozkosznie natarczywe dzwonięcie przesączyło się na piętro z kuchni mieszczącej się w suterenie, a wkrótce potem rozległy się kroki, pukanie i drzwi otworzyły się, aby ukazać Mary, niosącą wazon z prawdziwą fontanną wiosennych kwiatów. Dziewczyna weszła i stanęła przy łóżku z twarzą na pół ukrytą w kwieciu, uśmiechniętą, czarującą. Żaden mężczyzna nie potrafiłby się na nią w tej chwili rozgniewać — czego nie można powiedzieć o Ernestynie, która przywitała tę nieproszoną wizję bogini Flory grymasem niechęci i irytacji.

Spśród trzech kobiet występujących na tych kartkach Mary, moim zdaniem, była bez wątpienia najładniejsza. Miała w sobie najwięcej życia i najmniej egoizmu, a na dodatek te jej powaby fizyczne... prześliczna, choć rumiana cera, pszeniczne włosy i szeroko otwarte szaroniebieskie oczy, które wesoło prowokowały mężczyzn do zaczepki i równie wesoło na nie odpowiadały.

Pieniły się niczym najprzedniejszy szampan, co upaja lecz nie powoduje zgagi. Nawet smutne wiktoriańskie suknie, które Mary tak często musiała nosić, nie zdołały ukryć czystych, pulchnych zarysów jej figury — ale słowo „pulchne” jest krzywdzące. Powołałem się przedtem na Ronsarda — otóż figura Mary wymagała określenia z jego słownika: *rondelette* — zawiera ono wszystko, co pulchność ma w sobie ponętnego, nie tracąc zarazem tego, co ładne w smukłości. Pewna młoda osoba, która w chwili, gdy piszę te słowa, ma dwadzieścia dwa lata, praprawnuczka Mary, bardzo jest do swojej praprababki podobna, a twarz jej zna cały świat, gdyż należy do najślawniejszych młodych aktorek filmowych Anglii.

Niestety jednak nie była to twarz odpowiednia do roku 1867. Wcale na przykład nie przypadła do gustu pani Poulteney, która zawarła z nią znajomość trzy lata wcześniej. Mary była siostrzenicą kuzynki pani Fairley i ta uporczywymi prośbami nakłoniła panią Poulteney, aby przyjęła nowicjuszkę do odrażającej kuchni. Ale Marlborough House był dla Mary miejscem równie stosownym, jak grobowiec dla szczygła, gdy więc pewnego razu pani Poulteney, odbywając inspekcję swego królestwa, ze zgorzeniem ujrzała z okna na piętrze, jak jej chłopak stajenny usiłuje skraść pocałunek i nie napotyka dość skutecznego oporu, szczygieł natychmiast odzyskał wolność, po czym przyleciał do panny Tranter, mimo udzielanych tej zacnej damie przez panią Poulteney uroczystych ostrzeżeń, iż szaleństwem jest brać do domu tak zdeklarowaną rozpustnicę.

Przy Broad Street Mary była szczęśliwa. Panna Tranter lubiła ładne dziewczęta, a ładne, wesołe dziewczęta jeszcze bardziej. Zapewne, Ernestyna była jej siostrzenicą, bardziej się więc o nią troszczyła, ale Ernestynę widywała tylko raz lub dwa razy do roku, Mary zaś widywała codziennie. Pod ruchliwą, zalotną powierzchownością dziewczyny kryła się natura łagodna i tkliwa, przy czym Mary nie była skąpa, lecz odwzajemniała hojnie uczucie, którym ją ktoś darzył. Ernestyna nie znała okropnej tajemnicy domu przy Broad Street — otóż kiedy kucharka miała wolny dzień, zdarzało się, że panna Tranter jadła razem z Mary w kuchni na parterze, a były to bodajże najszcześniejsze chwile w życiu zarówno jednej, jak i drugiej.

Mary nie była bez wad, jedną z nich zaś stanowiła bez wątpienia lekka zazdrość o Ernestynę. Przyczyna tkwiła nie tylko w tym, że gdy przyjeżdżała z Londynu młoda pani, Mary przestawała nagle być cichą faworytką domu, ale głównie w tym, że młoda pani z Londynu przywoziła pełne kufry strojów, będących ostatnim krzykiem mody Londynu i Paryża, co nie usposabiało do niej najlepiej służącej, mającej całego kramu trzy suknie — z których żadnej naprawdę nie lubiła, chociaż tej najładniejszej nie lubiła chyba tylko dlatego, że dostała ją po młodej księżniczce ze stolicy. Mary była też zdania, iż Karol jest pięknym mężczyzną i będzie wspaniałym mężem, grubo za dobrym dla takiej mizernej, bladej pannicy jak Ernestyna. Dlatego właśnie Karol

napotykał często figlarne spojrzenie niebieskich oczu, kiedy Mary otwierała mu drzwi albo mijala go na ulicy. Jeśli mam wyznać prawdę, niegodziwa dziewczyna starała się tak wychodzić i wracać, żeby spotykać Karola, a za każdym razem, kiedy na ulicy uchylał przed nią kapelusza, w duchu grała Ernestynie na nosie, orientowała się bowiem doskonale, czemu siostrzenica panny Tranter po każdym odejściu Karola tak szybko biegnie na górę. Jak wszystkie subretki, śmiało myślała o rzeczach, o których jej młoda pani nie miała odwagi myśleć, i dobrze o tym wiedziała.

Wyczekawszy chwilę, aby chora zwróciła należytą uwagę na jej tryskającą zdrowiem wesołość, Mary postawiła kwiaty na nocnej szafeczce przy łóżku.

— Od pana Karola, panno Tino. Z pozdrowieniami.

— Postaw na toalecie. Tu są za blisko. Mary posłusznie przeniosła kwiaty na toaletę i samowolnie zaczęła zmieniać ich układ, po czym spojrzała z uśmiechem na rozżłoszczoną Ernestynę.

— Pan Karol sam je przyniósł?

— Nie, proszę panienki.

— A gdzie jest?

— Nie wiem, panienko. Nie pytałam. — Usta miała zbyt mocno zaciśnięte, jak gdyby tłumiała chichot.

— Ale słyszałam, jak rozmawiałas z tym człowiekiem.

— Tak, proszę panienki.

— O czym?

— Ot tak, o niczym, proszę panienki.

— I dlatego się śmiałaś?

— Tak, panienko. Bo on tak śmiesznie mówi. Sam, stając przed drzwiami domu panny Tranter, nie przypominał już wcale posępnego, obrażonego młodzieńca, który ostrzył rano brzytwę. Wcisnął wspaniały bukiet w ramiona filuternej Mary.

— Dla pięknej panienki na górze. — Potem zręcznie wsadził nogę między zamykające się drzwi i równie zręcznie

wyciągnął zza pleców mały bukietek krokusów, jednocześnie uwolnioną ręką zdejmując modny cylinder z wążutkim rondem — I dla jeszcze piękniejszej panienki na dole. Mary oblała się szkarłatnym rumieńcem, nacisk drzwi na Sama od razu zelżał. Młody człowiek patrzył, jak dziewczyna wacha żółte kwiaty, nie przez grzeczność, ale z całą szczerością, aż na jej uroczym, impertynenckim nosku ukazała się szafranowa smuga pyłku.

— Worek sadzy będzie dostarczony zgodnie z zamówieniem — Mary przygryzła wargę i czekała. — Pod jednym warunkiem. Żadnego kredytu. Należność gotówką.

— Ile będzie kosztował?

Zuchwały młodzian wpatrywał się chwilę w ofiarę, jak gdyby kalkulując odpowiednią cenę, następnie przyłożył palec do ust i mrugnął w sposób najzupełniej niedwuznaczny. Właśnie to mrugnięcie wywołało stłumiony wybuch śmiechu i trzaśnięcie drzwiami.

Ernestyna zmierzyła dziewczynę spojrzeniem, którego by się nie powstydziała pani Poulteney.

— Bądź łaskawa pamiętać, że on pochodzi z Londynu.

— Tak jest, panienko.

— Pan Smithson mówił mi już o nim. Ten człowiek wyobraża sobie, że jest donżuanem.

— A co to takiego, panno Tino?

Twarz Mary zdradzała żywe zainteresowanie i żądzę wiedzy, co bardzo się Ernestynie nie podobało.

— Mniejsza o to. Ale jeżeli będzie się do ciebie zalecał, masz natychmiast mi o tym powiedzieć. A teraz przynieś mi kleiku. I na przyszłość bądź ostrożniejsza.

W oczach Mary błysnęło coś, co ogromnie przypominało wyzwanie. Zaraz jednak spuściła oczy, pochyliła głowę przyozdobioną koronkowym, płaskim stroikiem, dygnęła przepisowo i wyszła z pokoju. Trzy kondygnacje na dół i trzy kondygnacje na górę — była to pewna pociecha dla Ernestyny, która nie miała najmniejszej ochoty na pożywny, lecz mdły kleik ciotki Tranter.

Mary w pewnym sensie wyszła zwycięsko z tej wymiany zdań, całe zdarzenie bowiem przypomniało Ernestynie, niebędącej z natury despotką, lecz po prostu nieznośnym, rozpuszczonym dzieckiem, że wkrótce będzie musiała przestać bawić się w panią domu i zostać nią naprawdę. Myśl o tym w zasadzie była oczywiście przyjemna — mieć własny dom, uwolnić się od opieki rodziców... ale służba to taki problem, jak mówią wszyscy. To już nie to, co dawniej, mówią wszyscy. Słowem, kłopot z nią, i tyle. Konsternacja Ernestyny była może pokrewna konsternacji Karola, gdy ten, zgrzany i spocony, spieszył domu. Życie jest idealnym aparatem, herezją byłoby sądzić inaczej, wszelako każdy na tej ziemi musi nieść swój krzyż.

Aby więc rozprędzić złe przecucia, które nie opuszczały przez całe popołudnie, Ernestyna wyjęła dziennik, usadowiła się wygodnie w łóżku i otworzyła go na stronie z gałązką jaśminu.

W Londynie, mniej więcej w połowie stulecia, rozpoczęła się plutokratyczna stratyfikacja społeczeństwa. Nic oczywiście nie mogło zastąpić dobrego urodzenia, uznano jednak powszechnie, że solidna fortuna i dobra głowa może stworzyć w sposób sztuczny niezłą namiastkę pozycji społecznej. Disraeli nie był wyjątkiem, lecz typowym przykładem swoich czasów. Dziadek Ernestyny za młodu był tylko zamożnym kupcem w Stoke Newington, umarł wszakże jako bardzo bogaty kupiec — stał się przy tym figurą, ponieważ przeniósł interes do śródmieścia Londynu i założył w West Endzie jeden z największych domów towarowych, mający prócz tekstyliów jeszcze wiele innych działów. Ojciec wprowadził Ernestynie tylko to, co sam otrzymał — najlepsze wykształcenie, jakie można było zdobyć za pieniądze. Pod każdym względem prócz pochodzenia był nieposzlakowanym dżentelmenem, na żonę zaś wybrał sobie roztropnie pannę stojącą nieco wyżej na drabinie społecznej, córkę jednego z najbardziej wziętych w City radców prawnych, który wśród swoich niezbyt odległych przodków mógł poszczycić się aż prokuratorem królewskim. Skrupuły Ernestyny co do jej pozycji towarzyskiej były więc mocno przesadne nawet według kryteriów wiktoriańskich, toteż Karol nic sobie z nich nie robił.

— Zastanów się tylko — powiedział raz do niej — jakim plebejskim nazwiskiem jest Smithson.

— Ach, rzeczywiście, gdybyś się nazywał lord Brabaz Vavasour Vere de Vere, o ileż bardziej bym cię kochała!

Pod jej autoironią czaił się lęk.

Karol poznał Ernestynę w listopadzie w domu pewnej damy, która typowała go na męża dla jednej ze swego podopiecznego stadka panien na wydaniu. Niestety, pech chciał, panny owe zostały uprzednio dokładnie poinstruowane przez rodziców, jak się mają zachowywać. Popełniły więc kardynalny błąd, starając się udawać przed Karolem, że ogromnie interesują się paleontologią — Karol musi podać im tytuły najciekawszych książek z tej dziedziny — gdy tymczasem

Ernestyna z właściwą sobie lekką ironią zdradzała wyraźnie, że nie zamierza brać Karola zbyt poważnie. Prześle mu, powiedziała cichutko, wszystkie ciekawe okazy, jakie znajdzie w swoim wiaderku na węgiel, później zaś powiedziała, że jej zdaniem bardzo jest leniwy. A dlaczegóż to, łaskawa pani? No bo w każdym londyńskim salonie może znaleźć pod dostatkiem interesujących go obiektów.

Oboje młodzi sądzili, że czeka ich jeszcze jeden nudny wieczór, lecz oboje po powrocie do swoich domów doszli do wniosku, że spotkała ich przyjemna niespodzianka.

Odkryli u siebie nawzajem żywą inteligencję, lekkość umysłową, pociągającą skłonność do sarkazmu. Ernestyna oznajmiła, że „ten pan Smithson” stanowi miłą odmianę po licznej rzeszy nudnych partnerów, prezentowanych jej dotychczas w tym sezonie. Matka jej przeprowadziła dyskretny wywiad i naradziła się z mężem, który zasięgnął dalszych informacji, każdy bowiem młody mężczyzna, zanim przestąpił próg domu z oknami na Hyde Park, badany był tak gruntownie, jak w naszych czasach wydział bezpieczeństwa bada przeszłość i życie prywatne fizyków atomowych. Karol, sam o tym nie wiedząc, wyszedł z tajnej próby zwycięsko.

Ernestyna dostrzegła błąd swoich rywalek i zrozumiała, że panna, która się Karolowi narzuca, nigdy nie zdobędzie jego serca. Gdy więc zaczął bywać na *jour fixe* i wieczorach u jej matki, przekonał się z pewnym zdziwieniem, że nie widzi najmniejszych oznak zwykłych pułapek matrymonialnych. Nie wysłuchiwał zręcznych aluzji matki do tego, jak jej słodka dziewczynka kocha dzieci lub jak „w głębi duszy marzy tylko o tym, żeby sezon już się skończył” (przypuszczano, że skoro tylko uparty stryj dopełni wreszcie swego obowiązku, Karol zamieszka na stałe w Winsyatt), ani mniej zręcznych napomknień ojca na temat rozmiarów fortuny, którą „moja najdroższa córka” wniesie mężowi w posagu. Te ostatnie zresztą były najzupełniej zbędne, gdyż dom przy Hyde Parku nadawałby się na siedzibę księcia, a brak sióstr i braci mówił więcej aniżeli tysiąc wykazów bankowych.

W dodatku sama Ernestyna — aczkolwiek w bardzo niedługim czasie postanowiła zdobyć Karola na męża tak niezłomnie jak tylko potrafi rozpieszczona jedynaczka — prowadziła grę bardzo ostrożnie. Dbała o to, aby inni atrakcyjni młodzi ludzie byli zawsze obecni na przyjęciach, i nie wyróżniała upatrzonej zdobyczy specjalnymi względami ani uwagą. Z zasady nie rozmawiała nigdy z Karolem poważnie; nie mówiąc tego wyraźnie, budziła wrażenie, że lubi Karola, bo ją bawi — ale oczywiście wie doskonale, że Karol nigdy się nie ożeni. Aż wreszcie pewnego styczniowego wieczora zdecydowała się posiać rozstrzygające ziarenko.

Zauważyła, że Karol stoi sam, a po drugiej stronie salonu siedzi utytułowana wdowa w mocno podeszłym wieku, swego rodzaju arystokratyczny odpowiednik pani Poulteney. Ernestyna wiedziała, że towarzystwo owej wdowy będzie Karolowi równie miłe jak dawka rycyny zdrowemu dziecku. Podeszła tedy do Karola.

— Czy nie pragnie pan porozmawiać z lady Fairweather?

— Wolalbym porozmawiać z panią.

— Przedstawię pana. Będzie pan mógł usłyszeć relację naocznego świadka o tym, co się działo w erze wczesnej kredy.

Karol uśmiechnął się.

— Kreda to okres, nie era.

— Mniejsza o to. Z pewnością jest dość stara. A wiem, jak pana nudzi wszystko, co się zdarzyło przez ostatnie dziewięćdziesiąt milionów lat. Chodźmy.

Ruszyli razem przez pokój, ale w pół drogi do pani z okresu wczesnej kredy Ernestyna przystanęła, położyła na moment rękę na ramieniu Karola i spojrzała mu w oczy.

— Bo jeżeli postanowił pan zostać zgorzkniałym starym kawalerem, panie Smithson, musi pan zacząć się zaprawiać do tej roli.

Poszła dalej, zanim zdążył odpowiedzieć, a to, co powiedziała, można było uznać za jeszcze jedną złośliwość — ale oczy na ułamek sekundy dały mu wyraźnie do zrozumienia, to propozycja na swój sposób równie niedwuznaczna, jak propozycje czynione przez kobiety, które w owych czas wystawały w bramach wokół Haymarket.

Ernestyna nie wiedziała oczywiście, że dotknęła najczulszego miejsca w duszy Karola, nurtującej go obawy, że staje się podobny do swego stryja z Winsyatt, że życie przepływa obok niego, że w tej sprawie, jak w tylu innych, nazbyt wybredny, leniwy, samolubny... a może jeszcze gorzej. Przez ostatnie dwa lata nie podróżował i zdołał sobie uświadomić, że poprzednie podróże były swego rodzaju namiastką — odbywał je dlatego, że nie miał żony. Odrywały jego myśli od spraw krajowych, pozwalały mu też przespać się od czasu do czasu z kobietą, w Anglii zaś odmawiał sobie stanowczo tej przyjemności, pamiętając może o straszliwej odrazie, jaką napęłniła go pierwsza próba w tym zakresie.

Podróże nie pociągały go już, lecz kobiety pociągały nadal, znajdował się tedy w stanie najwyższej frustracji seksualnej, ponieważ skrupuły moralne nie pozwalały mu spróbować prostego środka zaradczego, jakim byłby tydzień w Ostendzie lub w Paryżu. Wyprawa tylko w takim celu była dla niego czymś wręcz niedopuszczalnym. Spędził tydzień na głębokich rozmyśleniach. Wreszcie pewnego ranka obudził się ze snu.

Wszystko stało się proste. Kochał Ernestynę. Myślał o tym, jak miło byłoby obudzić się w taki rano, zimny, mglisty, oświetlający ziemię przyprószoną śniegiem, i ujrzeć tę nieprzystępną, uroczo ironiczną twarzyczkę uszpioną obok siebie i to, przebóg! legalnie (fakt ten wprawił Karola w zdumienie), zgodnie z prawem boskim i ludzkim. Po kilku minutach, gdy rozespany Sam na jego uporczywe dzwonięcie przywłókł się na górę, przeraził go wołając:

Sam! Jak mi Bóg miły, jestem absolutnym, stuprocentowym, skończonym osłem!

W parę dni później skończony osioł odbył rozmowę z ojcem Ernestyny. Rozmowa była krótka i zakończyła się jak najpomyślniej. Karol zszedł do salonu, w którym matka Ernestyny siedziała, drżąc cała z przejęcia. Nie zdołała wyrzec słowa, ruchem ręki wskazała tylko w kierunku oranżerii. Karol otworzył białe drzwi i stanął owiany rozgrzanym powietrzem. Musiał szukać Ernestyny, ale w końcu znalazł ją w najdalszym kącie, na pół ukrytą za gęstym listowiem *stephanotis*. Spojrzała na Karola i czym prędzej odwróciła oczy. W ręce trzymała srebrne nożyczki i udawała, że ścina zwiędłe kwiaty odurzająco pachnącej rośliny. Karol stanął tuż za nią i chrząknął.

— Przyszedłem się pożegnać. — Wpatrywał się w ziemię i za pomocą tej prostej sztuczki udał, że nie widzi przerażonego spojrzenia, jakie rzuciła mu Ernestyna. — Postanowiłem opuścić Anglię. Przez resztę swoich dni będę podróżował. W jakież inny sposób zgorzkniały stary kawaler może umilić sobie życie?

Zamierzał kontynuować w tym stylu. Ale spostrzegł naraz, że Ernestyna pochyliła głowę, a kostki rąk zbieleły jej, bo tak kurczowo trzyma się stołu. Wiedział, że w normalnych warunkach domyśliłaby się od razu, że on żartuje, rozumiał też, że ten brak zwykłej bystrości jest wynikiem silnego wzruszenia, które i jemu się udzieliło.

— Ale gdybym przypuszczał, że komuś zależy na mnie w dostatecznym stopniu, aby dzielić...

Nie mógł nic więcej powiedzieć, bo zwróciła ku niemu oczy pełne łez. Ręce ich spotkały się, on przyciągnął ją do siebie. Nie pocałowali się. Nie byli w stanie. Czyż można przez dwadzieścia lat więzić bezlitośnie wszelkie instynkty seksualne, a potem dziwić się, że więzień wybucha łkaniem, kiedy drzwi stają otworem?

Po kilku minutach Karol poprowadził nieco już spokojniejszą Tinę przejściem wśród cieplarnianych roślin do drzwi salonu. Na chwilę przystanął przy krzaku jaśminu, ujął gałązkę i przytrzymał ją żartobliwie nad głową Ernestyny.

— To nie jest jemiola, ale ujdzie, prawda?

Pocałowali się więc ustami tak przeczysto aseksualnymi, jak usta dzieci. Ernestyna zaczęła znowu płakać, potem otarła oczy i pozwoliła, ażeby Karol zaprowadził ją do salonu, w którym

stali matka i ojciec. Wszelkie słowa były zbędne. Ernestyna pobiegła w rozwarte ramiona matki, po czym strumienie łez popłynęły ze zdwojoną siłą. Mężczyźni stali tymczasem uśmiechając się do siebie — jeden z taką miną, jak gdyby zawarł przed chwilą transakcję handlową, drugi, jak gdyby nie był zupełnie pewien, na jakiej planecie właśnie wylądował, lecz z całego serca żywił nadzieję, że tubylcy przyjmą go życzliwie.

12

Na czym więc polega alienacja pracy? Po pierwsze na tym, że praca jest dla robotnika czymś zewnętrznym, tzn. nie należy do jego istoty, że wobec tego robotnik nie potwierdza się w swojej pracy, czy lecz zaprzecza, nie czuje się zadowolony, lecz nieszczęśliwy... nie czuje się sobą... Czuje się swobodnie, gdy nie pracuje, a gdy pracuje, czuje się skrępowany. Toteż praca jego nie jest dobrowolną, lecz narzuconą, jest pracą przymusową.

Karol Marks, *Rękopisy ekonomiczno-filozoficzne (1844)*

Czy ten dzień szczęścia był istotnie

Tak nieskalany, doskonały?

Alfred Tennyson, *In Memoriam (1850)*

Karol postarał się zapomnieć o tajemniczej kobiecie i maszerował, jak mógł najprędzej, przez lesisty teren Błoni Gromadzkich. Uszedł ponad milę, gdy naraz dojrzał jednocześnie prześwit wśród drzew i pierwszy przyczółek cywilizacji. Był nim długi, kryty strzechą dom wiejski, stojący nieco poniżej ścieżki. Okalały go łąki, biegnące w dół ku skałom nadbrzeżnym. W chwili, kiedy Karol wyłonił się spośród drzew, ujrzał mężczyznę, który wypędzał stado krów z niskiej obory przy domu. W mózgu Karola powstało natychmiast wyobrażenie cudownie zimnego kubka mleka. Nie jadł przecież nic od rana. Herbata i tkliwe uczucia wabiły go do domu panny Tranter, lecz kubek mleka wzywał donośnym głosem... a na dodatek był znacznie bliżej. Karol zszedł po stromym zielonym stoku i zapukał do kuchennych drzwi domku.

Otworzyła mu niska kobieta, pękata jak beczka. Ramiona jej lśniły od mydlin. Owszem, proszę bardzo, Karol może dostać tyle mleka, ile tylko zdoła wypić. Jak się nazywa ta posiadłość? Mleczarnia, innej nazwy nie ma. Karol wyszedł za kobietą do pokoju ze skośnym sufitem. Pokój ciągnął się przez całą długość tylnej części domu, panował w nim półmrok, cień, chłód ciągnący z kamiennej podłogi i unosił się zapach dojrzewającego sera. Na drewnianych kozłach wielkie, mosiężne rondle, pełne gotowanego mleka, każdy ze złotą skorupką śmietanki, ustawione były rzędem pod serami, tkwiącymi powyżej na belkach, niczym eskadra krągłych, rezerwowych księżyców. Karol przypomniał sobie, że słyszał o tej mleczarni, wspominała o niej ciotka Tranter. Wymienił jej nazwisko, na co kobieta, która ze skopka stojącego przy drzwiach nalewała tłuste mleko do takiego właśnie biało-niebieskiego porcelanowego kubka, jaki sobie wyobrażał, spojrzała na niego z uśmiechem. Stał się mniej obcy, a tym samym życzliwiej przyjmowany.

Gdy siedząc na trawie przed mleczarnią, rozmawiał z kobietą, a raczej słuchał jej słów, mąż jej wrócił po wypędzeniu stada na pastwisko. Był to łysy mężczyzna z wielką brodą i bardzo ponurą miną, istny prorok Jeremiasz. Rzucił żonie srogie spojrzenie. Ta natychmiast przerwała gadaninę i wróciła do domu, gdzie zajęła się swymi rondlami. Mąż był widocznie człowiekiem małowównym, chociaż odezwał się wcale szybko, gdy Karol zapytał, ile jest winien za kubek tego wyśmienitego mleka. Moneta pensowa z czarowną główką młodej Wiktorii — jedna z tych monet, które dotychczas jeszcze bywają w obiegu a na których stuletnie używanie zatarło wszystko prócz owej wdzięcznej główki — przeszła z rąk do rąk.

Karol miał już wspiąć się znów na swoją ścieżkę, zaledwie jednak zrobił krok, gdy spośród drzew w górze wyłoniła się czarna postać. Była to tamta dziewczyna. Spojrzała na mężczyznę w dole, a potem ruszyła w kierunku Lyme. Karol spojrzał na mleczarza, który wciąż z podniesioną

głową wpatrywał się posepnym spojrzeniem w ciemną postać. Było rzeczą jasną, że względy delikatności nie powstrzymają go od proroczego wyroku.

— Zna pan tę panią?

— Aha.

— Często tędy przechodzi?

— Aż za często. — Mleczarz wciąż odprowadzał wzrokiem dziewczynę. Potem dodał: — I to żadna pani. To kurwa Francuza.

Upłynęło kilka chwil, zanim do Karola dotarło znaczenie tych słów. Spojrzał gniewnie na brodatego mleczarza, był metodystą, a tym samym lubił nazywać rzeczy po imieniu, zwłaszcza gdy chodziło o cudze grzechy. Wydało się Karolowi, że mleczarz stanowi uosobienie wszystkich obłudnych plotek — i plotkarzy — z całego Lyme. Karol mógł uwierzyć w wiele rzeczy, związanych z ową uśpioną twarzą, nigdy jednak w to, że jej właścicielka może być ladaczną.

Po upływie kilku sekund znajdował się już na gościńcu wiodącym do Lyme. Dwie kredowe wstęgi biegły między lasem wznoszącym się w górę a wysokim żywopłotem, na pół zasłaniającym widok morza. Przed nim sunęła ciemna postać, teraz już w kapeluszu na głowie. Szła krokiem niezbyt szybko lecz miarowym, bez kobiecej afektacji, jak ktoś przyczajony do przebywania pieszo dużych odległości. Karol postanowił ją dopędzić i po jakichś stu metrach znalazł się tuż za nią. Musiała słyszeć stukot jego podkutych butów o krzemień, wyłaniający się spod wydeptanego wapnia, ale się nie obejrzała. Karol zauważył, że płaszcz ma zbyt obszerny, a obcasy pantofli zabłocone. Zawahał się przez chwilę, lecz wspomnienie zgryźliwej, wstrętnej miny mleczarza kazało mu wytrwać w rycerskim zamiarze i dowieść biednej kobiecie, że nie wszyscy wokół niej są barbarzyńcami.

— Pani!

Odwróciła się i ujrzała Karola, uśmiechniętego, z kapeluszem w ręce. Twarz jej nosiła w tej chwili wyraz najzupełniej zwykłego zdziwienia, a mimo to ponownie wywarła na Karolu wrażenie niezwykle. Było to tak, jakby za każdym razem, gdy ją ujrzał, nie mógł w tę niezwykłość uwierzyć i musiał spojrzeć raz jeszcze. Twarz ta, zdawało się, jednocześnie przyciągała go i odtrącała, była jak senne widziadło, nieruchome, a zarazem wciąż nieuchwytnie.

— Winien jestem pani podwójne przeprosiny. Nie wiedziałem wczoraj, że jest pani sekretarką pani Poulteney. Lękam się, że zwróciłem się do pani w sposób wysoce niestosowny.

Dziewczyna patrzyła w ziemię.

— To nie ma znaczenia, proszę pana.

— A dzisiaj, kiedy wyglądało na to, że ja... Bałem się po prostu, że pani zasłabła.

Wciąż nie patrząc na niego, schyliła głowę w ukłonie i odwróciła się, żeby iść dalej.

Czy nie mógłbym pani towarzyszyć? Idziemy przecież w tym samym kierunku?

Zatrzymała się, lecz nie odwróciła głowy.

— Wolę iść sama.

To panna Tranter wyprowadziła mnie z błędu. Jestem...

— Wiem, kto pan jest, proszę pana. ubawiła go ta bojaźliwa lapidarność.

W takim razie...

Oczy jej naraz spojrzały prosto w jego oczy, spod łęku wyzierało coś na kształt rozpacz.

— Zechce pan łaskawie pozwolić mi, żebym szła sama. Karol uklonił się i zrobił krok w tył. Uśmiech jego zgasł. Ona jednak zamiast iść dalej, wpatrywała się przez chwilę w ziemię. — I proszę nikomu nie mówić, że mnie pan tu widział.

Potem, nie patrząc już na niego, odwróciła się i odeszła niemal tak, jakby pewna była, że ta prośba jest daremna i żałowała wypowiedzianych słów. Karol, stojąc na środku drogi, odprowadzał spojrzeniem oddalającą się ciemną postać. Pozostało mu tylko wyobrażenie oczu —

nienormalnie dużych jak gdyby potrafiły więcej widzieć i dotkliwiej cierpieć. A ich uporczywe, surowe spojrzenie — Karol nie wiedział, że z takim właśnie spojrzeniem wręczała broszury — zawierało w sobie nader osobliwy element zakazu. Nie zbliżaj się do mnie mówią. *Noli me tangere*.

Rozejrzał się dokoła, usiłując odgadnąć, dlaczego ona nie chce, aby wiadano, że przychodzi tutaj, do tych niewinnych zagajników. Może chodzi o mężczyznę, o jakieś spotkania miłosne? Naraz jednak przypomniał sobie jej historię.

Kiedy Karol wreszcie dotarł na Broad Street, postanowił w drodze do gospody „Pod Białym Lwem” wstąpić do panny Tranter i powiedzieć, że wykąpie się tylko, przebierze w przyzwoite ubranie i zaraz...

Drzwi otworzyła mu Mary, ale panna Tranter przechodziła akurat przez hol — ściśle mówiąc, umyślnie wyszła do holu i poprosiła, żeby nie robił ceremonii; poza tym, czyż jego strój nie jest najlepszym usprawiedliwieniem spóźnienia? Mary tedy zabrała z uśmiechem kij i plecak, po czym wprowadzono Karola do bocznego saloniku, zalanego ostatnimi promieniami zachodzącego słońca. Leżała tam chora, w uroczym a bardzo kunsztownym karminowo—szarym dezabilu.

— Czuję się jak żeglarz irlandzki przeniesiony do buduaru królowej — żalił się Karol, całując palce Ernestyny z galanterią, która dowodziła, że byłby chyba bardzo miernym majtkiem irlandzkim.

Ernestyna cofnęła rękę.

— Nie dostaniesz ani kropli herbaty, dopóki nie zdasz dokładnie sprawy z każdej spędzonej dziś chwili.

Karol posłusznie opisał wszystko, co mu się zdarzyło a raczej prawie wszystko, Ernestyna bowiem dwukrotnie; dała wyraźnie do zrozumienia, że sprawa „kochanicy Francuza” budzi w niej

niesmak — raz na molo, a potem znów przy obiedzie, kiedy ciotka Tranter udzieliła Karolowi mniej więcej tych samych informacji, jakich o rok wcześniej proboszcz z Lyme udzielił pani Poulteney. Ernestyna skarciła swoją piastunkę—ciotkę za to, że nudzi Karola jakimiś tam plotkami, a biedna kobieta — której zbyt często wytykano parafiańszczyznę aby mogła nie być na to uczulona — pokornie umilkła. Karol zaprezentował przyniesiony dla Ernestyny kamień z odciskami amonitu i udobruchana tym panna złożyła broń. Próbowwała podnieść głaz, lecz nie mogła, przebaczyła więc Karolowi wszystko za tę pracę godną Herkulesa, a potem żartobliwie gniewała się na niego o to, że naraża życie i zdrowie.

— Jakimż fascynującym pustkowiec jest to wybrzeże! Nie miałem pojęcia, że w Anglii istnieją takie zakątki. Przypomniały mi się krajobrazy nadmorskie z północnej Portugalii.

Ależ on jest nieprzytomny z zachwytu! — zawołała Ernestyna.

— Przyznaj się, Karolu, wcale nie ucinaleś głów niewinnym skałom, tylko baraszkowałeś z nimfami leśnymi.

Karol zdradzał przez chwilę niewytłumaczone zmieszanie, które zaraz pokrył uśmiechem. Już, już chciał opowiedzieć paniom o pannie Woodruff, miał już na końcu języka dowcipny opis tego, jak na nią natrafił, jednakże wydało mu się, że popełniłby zdradę wobec autentycznego cierpienia dziewczyny i wobec siebie samego. Poczuł, że skłamałby, gdyby lekceważąco potraktował owe dwa spotkania, doszedł więc w końcu do wniosku, że w tym banalnym pokoju mniejszym kłamstwem będzie milczenie.

Pozostaje nam wytłumaczyć, dlaczego dwa tygodnie przedtem nazwa „Błonia Gromadzkie” wywarła na pani Poulteney tak piorunujące wrażenie, jak „Sodoma i Gomora”.

Prawdę mówiąc, nie potrzeba dalszych wyjaśnień, jeśli się powie, że był to najbliższej Lyme położony teren, gdzie ludzie mogli przebywać, wiedząc, że nikt ich nie podgląda. Obszar ten miał długą, zawiłą i niezbyt chlubną historię. Uważany był zawsze za ziemię gromadzką, aż do chwili tak zwanych *enclosure acts*, czyli aktów ogrodzenia. Zaczęto go wówczas rozdrapywać, o czym świadczą dotychczas nazwy pól wokół mlecza, wszystkie bowiem te pola zrabowano z obszaru grodzkiego. Pewien dzentelmen, mieszkający w jednym z wielkich domów stojących nieopodal obszaru, dokonał cichego Anschlussu — jak to zwykle bywa, przy milczącej aprobacie innych panów tej samej rangi społecznej. Wprawdzie bardziej republikańsko nastawieni mieszkańcy Lyme chwycili za broń — jeżeli siekiery są bronią — pan ów bowiem postanowił założyć na terenie Błoni Gromadzkiej arboretum. Doszło do procesu sądowego, który zakończył się kompromisem: mieszkańcy Lyme uzyskali prawo przejazdu i przechodzenia przez ów teren, rzadkie zaś drzewa ocalały. Ale własności gromadzkiej położono tym samym kres.

Mieszkańcy jednak nadal uważali, że Błonia Gromadzkie są własnością publiczną. Kłusownicy śmielej niż gdzie indziej polowali tu na bażanty i zające, pewnego dnia zaś odkryto ku ogólnej a niewymownej zgrozie, że w odludnej kotlinie Bóg wie od jak wielu miesięcy mieszka banda Cyganów. Wyrzutków społeczeństwa szybko przepędzono, ale pamięć o nich pozostała i skojarzyła się ze wspomnieniem o dziewczynce, która mniej więcej w tym samym czasie znikła z pobliskiej wsi. Było rzeczą powszechnie wiadomą, że to Cyganie ją porwali, wrzucili do gulaszu z zającą, a kości zakopali. Cyganie nie byli Anglikami, można więc było mieć pewność, że to ludożercy.

Najpoważniejsze oskarżenie pod adresem Błoni Gromadzkiej dotyczyło jednak spraw znacznie gorszych — aczkolwiek gościniec prowadzący do mlecza i dalej do zalesionych terenów nie nosił nigdy tej znanej wiejskiej nazwy, był on *de facto* Drogą Zakochanych. Ściągał co lato młode pary. Jako pretekst służył kubek mleka w mlecza, w powrotnej zaś drodze wiele kuszących ścieżyn zapraszało do kryjówek w zaroślach orlicy i głogu.

Ropiejący ten wrzód wystarczyłby sam w sobie, była wszakże sprawa jeszcze bardziej haniebna i posępna. Istniała przedpotopowa tradycja (grubo starsza od Szekspira), zgodnie z którą w noc świętojańską młodzi ludzie szli z latarniami, ze skrzypkiem i z paroma antałkami jabłeczniaka w głąb lasu na polankę znaną pod nazwą Oślej Łączki i tam urządzali, tańce, świętując najkrótszą noc roku. Niektórzy powiadali, że po północy więcej tam było zataczania się niż tańców, osoby zaś surowszego usposobienia twierdziły, że nie było wcale ani tańców, ani zataczania się, natomiast sporo czegoś zgoła innego.

Rolnictwo naukowe w postaci miksomatozy dopiero ostatnio sprawiło, że owa łączka została dla nas stracona na zawsze, ale sam zwyczaj znikł w związku z upadkiem obyczajów seksualnych. Od wielu już lat na Oślej Łączce w noc świętojańską baraszkują tylko małe liski i borsuki, ale w 1867 roku było inaczej.

Zaledwie rok wcześniej komitet pań pod przewodnictwem pani Poulteney zażądał od władz miejskich opatrzenia gościńca bramą, ogrodzenia go i zamknięcia.

Wszelako bardziej demokratyczne głosy wzięły górę. Uznano, że publiczne prawo przejazdu i przechodzenia musi pozostać nienaruszone, wśród rajców zaś znaleźli się nawet godni pogardy lubieżnicy, którzy utrzymywali, że przechadzka do mlecza jest niewinną przyjemnością, a bal na Oślej Łączce nazwali tylko doroczną zabawą. Nie potrzeba jednak nadmieniać, iż wśród bardziej szacownych obywateli miasta wystarczyło zaliczyć chłopca lub dziewczynę do „tych z Błoni Gromadzkiej”, aby napiętnować ich na całe życie. Chłopiec od tego czasu miał opinię rozpustnika, dziewczyna zaś ladacznicy najgorszego rzędu.

Owego tedy popołudnia, gdy pani Fairley z takim samozaparciem i szlachetnością zmusiła się do spełnienia swego obowiązku, Sara po powrocie z przechadzki zastała panią Poulteney, która siedziała i czekała na nią. Powiedziałem „czekała”, ale „wściekała się” byłoby określeniem bardziej ścisłym. Sara stawiała się w salonie na wieczorne czytanie Biblii i znalazła się przed wycelowaną w nią lufą ciężkiego działa. Było rzeczą jasną, że pani Poulteney może w każdej chwili wystrzelić, i to z bardzo wielkim hukiem.

Sara poszła w kąt pokoju do pulpitu, gdzie Biblia „rodzinna” — to znaczy taka, z której pobożnie usunięto pewne niestosowne ustępy, co przez jakąś niezrozumiałą pomyłkę dostały się do Pisma Świętego (jak na przykład *Pieśń nad pieśniami*) — leżała zawsze w swych godzinach wolnych od pracy. Dziewczyna czuła jednak, że coś jest niedobrze.

— Czy stało się coś złego, proszę pani?

— Stało się coś bardzo złego — odparła pani Poulteney tonem przeoryszy. — Powiedziano mi coś, w co trudno mi uwierzyć.

— Coś o mnie?

— Nie powinnam była słuchać doktora. Powinnam była słuchać głosu własnego rozsądku..

— Co zrobiłam?

Moim zdaniem, pani wcale nie jest szalona. Jest pani podstępna istotą, zepsuta do szpiku kości. Wie pani doskonale, co pani zrobiła...

— Przysięgnę na Biblię...

Pani Poulteney spojrzała na nią wzrokiem pełnym oburzenia.

— Nic podobnego pani nie zrobi! To bluźnierstwo.

Sara postąpiła naprzód i stanęła przed swoją panią.

— Muszę wiedzieć, o co się mnie oskarża. Pani Poulteney powiedziała jej.

Ku jej zdumieniu Sara nie zdradzała najmniejszych oznak wstydu i skruchy.

— Czy to grzech spacerować po Błoniach Gromadzkich?

— Grzech! Pani, młoda kobieta, sama w takim miejscu!

— Ależ, proszę pani, to tylko rozległy las.

— Wiem doskonale, co to jest. I co się tam dzieje. I jakiego rodzaju osoby tam uczęszczają.

— Nikt tam nie uczęszcza. Dlatego właśnie tam chodzę żeby być sama.

— Proszę się ze mną nie spierać, moja panno! Sądzi pani, że nie wiem, o czym mówię?

Faktem było po pierwsze, że pani Poulteney nawet z daleka nigdy nie oglądała Błoni Gromadzkich, ponieważ nie przebiegała tamtędy żadna szeroka droga, którą można przejechać powozem. Faktem było po drugie, że pani Poulteney zażywała nałogowo opium — ale zanim pomyśla państwo, że poświęcam wiarygodność dla sensacji, dodam szybko, że sama o tym nie wiedziała. To, co my nazywamy opium, ona nazywała laudanum. Pewien dowcipny, choć bluźnierczy lekarz owych czasów nazywał ten środek Lau—dany—od—Boga, ponieważ wiele dziewiętnastowiecznych dam — i niewiast niższego stanu, jako że lek był dość tani (w postaci „Kordiału Godfrey’a”), aby dopomagać przedstawicielkom wszystkich klas w przebyciu dokuczliwego okresu w życiu kobiety — popijało go znacznie częściej aniżeli wino mszalne przy komunii świętej. Był to, słowem, dość bliski odpowiednik naszych obecnych tabletek na uspokojenie. Nie będziemy tu dociekali, czemu pani Poulteney została wiktoriańską narkomanką, istotne jest tylko to, że po laudanum, jak niegdyś odkrył Coleridge, ma się niezmiernie wyraźne i barwne sny.

Nie mam pojęcia, jaki obraz — zapewne w stylu Boscha Błoni Gromadzkich stworzyła sobie w ciągu lat pani Poulteney, jakich satanicznych orgii dopatrywała się pod każdym drzewem, jakich francuskich bezeceństw pod każdym liściem, ale nie popełnimy chyba błędu, gdy

przypuścimy, że obraz ten był odpowiednikiem wszystkiego, co działo się w jej własnej podświadomości.

Wybuch jej sprawił, że zarówno ona sama, jak i Sara umilkły. Wyładowawszy się pani Poulteney zmieniła ton.

— Sprawiała mi pani ogromną przykrość.

— Skąd miałam wiedzieć? Nie wolno mi chodzić nad morze. Dobrze, nie chodzę nad morze. Spragniona jestem samotności oto wszystko.

To nie jest grzechem. Nie pozwolę, aby przezywano mnie za to grzesznicą.

— Czy nigdy nie słyszała pani o Błoniach Gromadzkich?

— Jako o miejscu tego rodzaju, jak pani daje do zrozumienia — nigdy.

Oburzenie dziewczyny speszyciło nieco panią Poulteney. Pomniała sobie, że Sara mieszka w Lyme dopiero od niedawna, może więc rzeczywiście nie zdawać sobie sprawy, na jak okropne naraża się posądzenie.

— Bardzo dobrze. Ale ustalmy to raz na zawsze. Nie pozwalam żadnej z osób u mnie zatrudnionych chodzić tam ani nawet pokazywać się w pobliżu tego miejsca. Będzie pani spacerowała tylko tam, gdzie wypada. Czy wyrażam się dość jasno?

— Tak. Mam kroczyć ścieżkami cnoty.

Przez jedną okropną chwilę pani Poulteney zdawało się, że jest przedmiotem sarkazmu, ale Sara miała oczy spuszczone, jak gdyby sama wydawała na siebie wyrok, a cnota bądź co bądź stanowiła tu synonim cierpienia.

— W takim razie niechże więcej nie słyszę o tych niedorzecznych sprawach. Proszę o to dla pani własnego dobra.

— Wiem — wyszeptwała Sara, a potem dodała: — Dziękuję pani.

Nic więcej nie zostało powiedziane. Sara wzięła Biblię i przeczytała ustęp zaznaczony przez panią Poulteney. Był to ten sam ustęp, który pani Poulteney wybrała na pierwsze przesłuchanie — Psalm 119: „Szczęśliwi, których droga nieskalana, którzy postępują według Prawa Pańskiego”* [*Tłumaczenie według Biblii Tysiąclecia, Poznań—Warszawa 1991. p.zyp. red.]. Sara czytała cicho, najwyraźniej bez wzruszenia. Stara dama niczym bóstwo pogańskie, nieczułe na ofiarę krwi, której domaga się jego bezlitosna kamienna twarz, siedziała wpatrzona w mrok, zalegający dalszą część pokoju.

Tej nocy można było ujrzyć Sarę — choć nie wyobrażam sobie, kto by miał ją zobaczyć, prócz chyba przelatującej sowy — przy otwartym oknie jej nieoświetlonego pokoju. W domu panowała cisza, w całym mieście również, gdyż w owych czasach sprzed wynalezienia elektryczności i telewizji ludzie o dziewiątej kładli się spać. Sara stała w koszuli nocnej, z rozpuszczonymi włosami. Patrzyła na morze. Daleka latarnia mrugała słabiutko na czarnych wodach nie opodal Portland Bill, gdzie jakiś statek płynął w kierunku Bridport. Sara dostrzegła nikielne światełko, ale nie poświęciła mu ani chwili uwagi.

Gdyby się podeszło jeszcze bliżej, ujrzaloby się, że twarz jej mokra jest od łez. Sara nie po to bynajmniej czuwała, aby wypatrywać tajemniczych żagli Szatana — stała przy oknie, bo zamierzała z niego skoczyć w dół.

Nie każe jej chwiać się na parapecie ani pochylić do przodu a potem cofnąć się, by ze szlochom paść na zniszczony dywan. Wiemy, iż żyła w dwa tygodnie po owym incydencie, tym samym więc nie skoczyła. Zresztą nie wstrząsało nią rozzwierające, histeryczne łkanie, zapowiedź rozpaczliwego czynu. Łzy jej nie były skutkiem gwałtownego wzruszenia, lecz raczej stałej, nieznośnej udręki — wolno wzbierające, niepowstrzymane, sączące się jak krew przez opatrunek.

Kim jest Sara?

Z jakich mroków się wyłoniła?

13

Bowiem cel Stwórcy jest niejasny. Izyda za zasłoną skryta...

Alfred Tennyson, *Maud* (1855)

Sam tego nie wiem. Opowieść, którą snuję, jest tylko tworem wyobraźni. Stworzone przeze mnie postacie nie istniały nigdy poza moją imaginacją. Jeżeli udawałem dotychczas, że znam ich psychikę i najskrytsze myśli, to tylko dlatego, iż piszę (podobnie jak zapożyczyłem częściowo słownictwo owego okresu i odpowiedni „ton”) w konwencji powszechnie przyjętej w czasach, w których rozgrywa się moja opowieść. Konwencja ta zakłada, że powieściopisarz jest następny po Bogu. Może nie wiedzieć wszystkiego, w każdym razie jednak stara się udawać, że wie. Ja jednak żyję w epoce Alaina Robbe—Grilleta i Rolanda Barthesa, jeżeli więc to jest powieść, nie może ona być powieścią w nowoczesnym znaczeniu tego słowa.

Być może więc piszę transponowaną autobiografię, może mieszkam teraz w jednym z domów, które wprowadziłem do opowieści, może Karol to ja sam w przebraniu. Może to wszystko jest grą. Istnieją nowoczesne kobiety takie jak Sara, a ja po prostu nie potrafię ich zrozumieć. A może usiłuję w ten sposób przemycić i podsunąć państwu zbiór esejów. Zamiast tytułów rozdziałów powinienem może napisać: „O horyzontalności istnienia”, „Iluzje postępu”, „Dzieje formy powieściowej”, „Etiologia wolności”, „Niektóre zapomniane aspekty epoki wiktoriańskiej”...cokolwiek państwo sobie życzą.

Może sądzą państwo, że powieściopisarzowi wystarczy tylko pociągnąć za właściwe sznurki, a jego kukielki zaczną się zachowywać jak żywe i na żądanie dostarczą szczegółowej analizy swoich motywów i intencji. Miałem szczerzy zamiar w tym stadium (rozdział trzynasty — ujawnienie prawdziwego stanu ducha Sary) opowiedzieć wszystko — czy też wszystko co ma istotnie znaczenie. Naraz jednak poczułem się jak obcy mężczyzna, który w przejmującą ziąbem noc wiosenną patrzy z trawnika w owo słabo widoczne górne okno Marlborough House. Wiem już z realnego kontekstu mojej książki, że Sara nigdy by nie otarła łez, nie wychyliłaby się do mnie i nie udzieliłaby mi wyczerpujących a rewelacyjnych informacji o sobie. Wręcz przeciwnie, gdyby dostrzegła mnie tam na trawniku, w świetle wschodzącego księżyca w pełni, odwróciłaby się natychmiast i znikłaby w ciemnościach pokoju.

Jestem jednak powieściopisarzem, nie zaś obcym mężczyzną w ogrodzie — mogę więc chyba pójść za nią, dokąd zechcę? Jednakże „mogę” nie znaczy jeszcze „wolno mi”. Mężowie częstokroć mogliby zabić swoje żony — jak również vice versa — i nie ponieść za to kary. A przecież tego nie robią.

Sądzą państwo zapewne, że powieściopisarze pracują zawsze według ściśle ustalonego planu, więc przyszłość zapowiedziana przez rozdział pierwszy musi być nieuchronnie terazniejszością w rozdziale trzynastym. Powieściopisarze piszą jednak dla niezliczonych i najrozmaitszych powodów: dla pieniędzy, dla sławy, dla recenzentów, dla rodziców, dla przyjaciół, dla ukochanych, z próżności, z pychy, z ciekawości — podobnie jak dobrzy stolarze lubią robić meble, jak pijacy lubią pić, jak sędziowie lubią sądzić, jak Sycyljczycy lubią wygarniać z dubeltówki w plecy wroga. Mógłbym ułożyć całą księgę tego rodzaju powodów i pobudek, a wszystkie byłyby autentyczne, choć oczywiście nie dla każdego pisarza. Tylko jeden powód wszyscy mamy wspólny: *pragniemy tworzyć światy równie rzeczywiste, jak ten, który jest (albo był), lecz zarazem od niego odmiennie*. Dlatego nie możemy planować. Wiemy, że świat nie jest maszyną, lecz organizmem. Wiemy również, że świat stworzony rzetelnie musi być niezależny od swego twórcy — zaplanowany świat (taki, w którym widać wyraźnie, że go zaplanowano) to

świat martwy. Gdy nasze postacie i wydarzenia przestają nas słuchać, wtedy dopiero zaczynają żyć prawdziwym życiem. Kiedy Karol zostawił Sarę na jej występie skalnym, kazałem mu wracać prosto do Lyme Regis. Nie usłuchał mnie, z własnej woli skręcił w bok i zszedł do mleczarni.

Ejże! powiecie państwo — po prostu w trakcie pisania błysnęła mi myśl, że ciekawsze będzie, jeśli Karol zatrzyma napije się mleka... i znów spotka Sarę. Bez wątpienia można i tak wytłumaczyć to, co się stało, mogę jednak stwierdzić — a jestem najbardziej wiarygodnym świadkiem — że w moim przeświadczeniu myśl ta wyszła nie ode mnie, lecz najwyraźniej od Karola. Chodzi nie tylko o to, że Karol uzyskał pewną autonomię — lecz także o to, że jeśli chcę, aby był realnym człowiekiem, muszę tę autonomię szanować i odrzucać wszelkie quasi—boskie plany, jakie dla niego nakreśliłem.

Innymi słowy, jeżeli mam być wolny, muszę dać wolność Karolowi, Tinie, Sarze, nawet wstrętnej pani Poulteney. Istnieje tylko jedna dobra definicja Boga: wolność, która pozwala istnieć wolności innych. Muszę się do tej definicji stosować.

Powieściopisarz jest nadal bogiem, ponieważ tworzy (i najbardziej nawet aleatorycznej awangardowej powieści współczesnej nie udało się całkowicie wyrugować swego autora), zmiana polega na tym, że nie jesteśmy już bogami typu wiktoriańskiego, wszechwiedzącymi i ferującymi wyroki, lecz bogami nowego typu teologicznego — naszą naczelną zasadą nie jest władza, lecz wolność.

Rozwiąłem niegodziwie złudzenia? Bynajmniej. Moje postacie istnieją nadal, i to w rzeczywistości ani mniej, ani bardziej realnej aniżeli ta, którą przed chwilą rozwiąłem. Fantazja wpleciona jest we wszystko, jak stwierdził pewien Grek dwa i pół tysiąca lat temu. Moim zdaniem, ta nowa rzeczywistość (lub nierzeczywistość) jest bardziej przekonująca i chciałbym, aby podzielali państwo moje uczucie, że nie panuję bez reszty nad tworamii swojej imaginacji, podobnie jak państwo nie panują — choćby dokładali państwo jak największych wysiłków, choćby byli państwo nowoczesnymi sobowtórami pani Poulteney — nad swoimi dziećmi, współpracownikami, przyjaciółmi czy nawet nad sobą.

To absurd? Postać jest albo „rzeczywista”, albo „wymaginowana”? Jeżeli tak myślicie, moi obłudni czytelnicy, mogę opowiedzieć tylko uśmiechem. Toć nawet własna przeszłość nie wydaje się państwu zupełnie rzeczywista — przystrajacie ją państwo, złocicie lub czernicie, cenzorujecie ją, majstrujecie przy niej... słowem, beletryzujecie ją i odkładacie na półkę — swoją książkę, swoją uromantycznioną autobiografię. Wszyscy wciąż uciekamy od realnej rzeczywistości. Jest to podstawowa definicja gatunku *homo sapiens*.

Jeżeli więc sądzą państwo, że cała ta pechowa (ale przecież to właśnie rozdział trzynasty) dygresja nie ma nic wspólnego z waszym Czasem, Postępem, Społeczeństwem, Ewolucją i wszystkimi innymi pisanymi z dużej litery upiorami nocnymi, co dzwonią łańcuchami za kulisami tej książki... nie będę się spierał. Ale będę miał państwa w podejrzeniu.

Podaję tedy jedynie nagie fakty: że Sara płakała w ciemnościach, ale nie odebrała sobie życia, i że nadal mimo wyraźnego zakazu chodziła na Błonia Gromadzkie. Tym samym w istocie rzeczy zdobyła się na skok z okna — i żyła w stanie zwolnionego spadania, ponieważ prędzej czy później pani Poulteney musiała dowiedzieć się o tym, że grzesznica pomnaża swe grzechy. Sara co prawda rzadziej teraz chodziła do lasu, które to wyrzeczenie ułatwiały jej deszcze, padające przez następne dwa tygodnie. Przedsięwzięła też pewne minimalne środki ostrożności, zapożyczone z taktyki wojskowej. Gościniec kończył się małą drogą wiejską, niewiele lepszą od samego gościńca, który okrążał szeroką kotlinę, zwaną Doliną Ware, aż wreszcie łączył się na przedmieściu Lyme z główną szosą do Sidmouth i Exeter. W Dolinie Ware stała gromadka

domów, należących do przyzwoitych rodzin, wobec czego było to stosowne miejsce do spacerów. Na szczęście okna żadnego z domów nie wychodziły na połączenia gościńca z drogą wiejską. Znalazszy się tam, Sara musiała się tylko rozejrzeć, żeby zobaczyć, czy jest sama. Pewnego dnia wyruszyła na przechadzkę z zamiarem pójścia do lasu, gdy jednak wyszła na gościniec prowadzący do mleczarni, dostrzegła parę wychodzącą zza zakrętu. Ruszyła jej naprzeciw, a gdy już była za zakrętem, wyjrzała, aby się upewnić, że owa para nie poszła gościńcem do mleczarni. Wtedy cofnęła się i weszła niepostrzeżenie do swej kryjówki.

Narażała się na spotkanie z innymi spacerującymi po gościńcu, zawsze też istniało ryzyko, że dostrzegą ją oczy mleczarza i jego rodziny. Tego niebezpieczeństwa unikała, odkryła bowiem, iż jedna z kuszących ścieżek, prowadzących w zarośla paproci, niewidoczna z mleczarni, wiedzie dalej okólną drogą, na ścieżkę przez las. Szła więc niezmiennie tą ścieżką, aż do owego popołudnia, kiedy lekkomyślnie — jak sobie teraz zdajemy sprawę — ukazała się oczom dwóch mężczyzn.

Powód był prosty. Sara zasnęła i wiedziała, że spóźni się na czytanie Pisma Świętego. Pani Poulteney miała tego wieczora być na obiedzie u lady Cotton, przelożyła więc czytanie na wcześniejszą godzinę, aby przygotować się na spotkanie, które wbrew pozorom było w istocie groźnym starciem dwóch brontozaurów. Wprawdzie czarny aksamit zastępował żelazne pnaczerze, a cytaty z Biblii odgrywały rolę straszliwych obnażonych kłów, niemniej jednak walka była twarda i zacięta.

Poza tym widok twarzy Karola, patrzącego na nią z góry, również był dla Sary wstrząsem. Czowała, że szybkość spadania wzrasta — a gdy okrutna ziemia pędzi w górę, gdy upadek jest tak wielkiej wysokości, na cóż się zda ostrożność?

— W moim pojęciu dobre towarzystwo to towarzystwo ludzi mądrych, ludzi światłych, którzy potrafią prowadzić rozmowę. To nazywam dobrym towarzystwem.

— Mylisz się, pani — odparł łagodnie. — To nie jest dobre towarzystwo. To jest najlepsze towarzystwo. Dobre towarzystwo to tylko dobre urodzenie, wykształcenie i maniery, jeśli zaś idzie o wykształcenie, nie jest to punkt najskrupulatniej przestrzegany.

Jane Austen, *Perswazje*

Od ludzi przyjeżdżających w wieku dziewiętnastym do Lyme nie wymagano wprowadzić tego, co czekało podróżnych w starożytnych koloniach greckich — Karola nie zmuszano na przykład, aby ze stopni budynku ratusza wygłosił na wzór Peryklesa piękną mowę z dodatkiem obszernego przeglądu wiadomości ze świata — spodziewano się jednak, że można ich będzie dokładnie obejrzeć i z nimi porozmawiać. Ernestyna ostrzegła już Karola, że musi pogodzić się z rolą zwierzęcia w menażerii i w miarę cierpliwie znosić natarczywe spojrzenia i poszturchiwanie czubkami parasoli. Musiał tedy dwa lub trzy razy w tygodniu udawać się z paniami na wizyty i przez całe godziny cierpieć katusze straszliwej nudy, a jedyną pociechą była mu rozbrajająca scena, jaka zdarzała się regularnie po powrocie do domu ciotki Tranter. Ernestyna z niepokojem zaglądała mu w oczy, zasnuła mgłą czczej, banalnej gadaniny, i pytała: „Bardzo to było okropne? Możesz mi przebaczyć? Pewno mnie nienawidzisz?”, a kiedy się uśmiechał, rzucała mu się w objęcia, jak gdyby w jakiś cudowny sposób wyszedł cało z rozruchów ulicznych lub uratował się spod groźnej lawiny.

Tak się złożyło, że lawina czekała na Karola w Marlborough House nazajutrz po odkryciu dokonanym przez niego na Błoniach Gromadzkich. Wizyty owe nie miały w sobie nic przypadkowego ani spontanicznego. Nie było to możliwe,

ponieważ wiadomości o tym, kto i komu składa wizyty, obiegały miasteczko z niewiarygodną szybkością, na dodatek zaś przy tej procedurze obowiązywał ścisły protokół dyplomatyczny. Pani Poulteney zapewne interesowała się Karolem nie bardziej niż Karol nią, byłaby jednak śmiertelnie obrażona, gdyby dostarczono go skutego łańcuchami, aby mogła postawić na nim swoją tłustą stopkę — i to jak najrychlej po jego przyjeździe, ponieważ im później w trakcie pobytu składano wizytę, tym mniejszy był zaszczyt dla gospodyni.

Oczywiście wszyscy „przyjezdni” byli po prostu sztonami do gry. Wizyty same przez się nie miały znaczenia, ale jakże miły można było później robić z nich użytek! „Kochana panna Tranter chciała koniecznie, żebym pierwsza poznała...”, albo: „Dziwię się bardzo, że Ernestyna nie złożyła jeszcze pani wizyty — bo nas doprawdy rozpieszcza — była już u nas dwa razy...”, albo: „Jestem pewna, że to przeoczenie — panna Tranter jest zacności osobą, ale taka biedaczka roztargniona...” Te i tym podobne smakowite okazje do klucia sztyletem towarzyskim zależały od podaży „ważnych” gości w rodzaju Karola. Karol nie mógł tedy uniknąć swego losu, podobnie jak nie może go uniknąć tłusta mysz, gdy wpadnie w pazury głodnej kocicy — a raczej kilku tuzinów głodnych kocic.

Kiedy nazajutrz po opisanym wyżej spotkaniu w lesie zaanonsowano panią Tranter i towarzyszącą jej młodą parę, Sara od razu wstała i chciała wyjść z pokoju, ale pani Poulteney, którą myśl o szczęściu młodych ludzi zawsze irytowała i która po wieczorze spędzonym u lady Cotton miała i tak pod dostatkiem powodów do irytacji, poprosiła, żeby Sara została. Ernestynę pani Poulteney uważała za osobkę frywolną i nie miała wątpliwości, że jej przyszły okaże się równie frywolnym młodzieńcem, toteż poczytywała sobie niemal za obowiązek wprowadzić ich w

zakłopotanie. Wiedziała ponadto, że takie przymusowe wizyty są dla grzeszników czymś w rodzaju włosiennicy. Wszystko się więc doskonale składało.

Gości wprowadzono do pokoju. Panna Tranter, szeleszcząc sukniami, szła przodem, wylewna i pełna dobroci. Sara, onieśmielona, stała na uboczu, odczuwając boleśnie, że jest tu najzupełniej niepotrzebna. Karol i Ernestyna stanęli swobodnie na dywanie za starszymi paniami, znającymi się dostateczną liczbę dziesięcioleci, aby pewien symboliczny uścisk powitalny był konieczny.

Następnie została przedstawiona Ernestyna, która leciutko, ledwie dostrzegalnie dygnęła, nim ujęła królewską dłoń.

— Dzień dobry pani. Jakże znakomicie pani wygląda!

— W moim wieku, panno Ernestyno, najważniejsze jest zdrowie duchowe.

— W takim razie nie lękam się o panią.

Pani Poulteney chętnie zatrzymałaby się dłużej przy tym pasjonującym temacie, ale Ernestyna odwróciła się, aby przedstawić Karola, który pochylił się nad ręką starej damy.

— Ogromnie mi miło, proszę pani. Ma pani prześliczny dom.

— Za duży dla mnie. Utrzymuję go jedynie przez wzgląd na mojego ukochanego męża. Wiem, że pragnąłby tego... Że tego pragnie.

Tu spojrzała obok Karola na główną ikonę domu, olejny portret Fryderyka, wykonany zaledwie na dwa lata przed jego śmiercią w 1851 roku. Z portretu widać było wyraźnie, że nieboszczyk był człowiekiem pełnym mądrości, wyznającym wiarę chrześcijańską, dystygowanym i przystojnym — a nade wszystko wyżej stojącym od większości ludzi. W rzeczywistości niewątpliwie był chrześcijaninem i człowiekiem niezmiernie dystygowanym, pozostałe jednak zalety malarz zaczerpnął z własnej wyobraźni. Nieodżałowany pan Poulteney za życia był kompletnym, acz bardzo bogatym zerem, jedynym zaś jego czynem godnym uwagi na tym padole łez było odejście w zaświaty. Karol przyjrzał się portretowi z należytą czcią.

— Ach, tak. Rozumiem. Naturalnie.

— Musimy spełniać ich życzenia.

— Bez wątpienia.

Panna Tranter, która już przedtem uśmiechnęła się do Sary, użyła jej teraz jako pretekstu do przerwania tego nabożeństwa żałobnego.

— Kochana panno Woodruff, jakże się cieszę, że panią widzę. — Z tymi słowy podeszła, uścisnęła Sarze rękę, spojrzała na dziewczynę ze szczerym współczuciem i powiedziała ciszej: — Czy odwiedzi mnie pani, kiedy moja kochana Tina wyjedzie?

Twarz Sary na sekundę przybrała rzadki u niej wyraz. Komputer w jej sercu dawno już ocenił pannę Tranter i zachował taśmę do dalszego użytku. Owa rezerwa, owa niezależność — tak niebezpiecznie bliska wyzwania — która stała się jej maską w obecności pani Poulteney, naraz znikła. Sara uśmiechnęła się, chociaż ze smutkiem, i ledwie dostrzegalnie skinęła głową: przyjdzie, jeżeli tylko będzie mogła.

Dokonano wówczas dalszych prezentacji. Obie młode damy witały się oziębłym pochyleniem głowy, Karol złożył ukłon. Obserwował pilnie, czy dziewczyna w jakikolwiek sposób da po sobie poznać, że pamięta o dwóch spotkaniach z poprzedniego dnia, ale jej oczy starannie go unikały. Intrygowało go, jak też to dzikie zwierzątko będzie się zachowywało w tej bądź co bądź klatce, i wkrótce przekonał się zawiedziony, iż zachowanie dziewczyny cechuje najdalej idąca potulność. Pani Poulteney parę razy poleciła Sarze, żeby ta jej coś podała, potem kazała zadzwonić na pokojówkę, kiedy ustalono, że panie chętnie się napiją gorącej czekolady, poza tym zaś najzupełniej Sarę ignorowała. Tak samo też, jak to z przykrością odnotował Karol, ignorowała ją Ernestyna. Ciotka Tranter robiła, co mogła, aby wciągnąć dziewczynę do rozmowy, ale ta siedziała nieco opodal, zamknięta w sobie, z twarzą pozbawioną wyrazu, co

można było poczytywać za świadomość niższej pozycji. Karol kilka razy zwrócił się do niej uprzejmie o potwierdzenie jakiejś opinii, lecz jego wysiłki nie odniosły skutku. Sara odpowiadała możliwie jak najzwężlej i wciąż unikała jego oczu.

Dopiero pod koniec wizyty Karol zaczął dostrzegać zgoła nowy aspekt sytuacji. Stało się dla niego jasne, że milcząca pokora dziewczyny jest przeciwna jej naturze, że Sara przeto gra pewną rolę, odcinając się całkowicie od swej pani i dając w ten sposób wyraz głębokiej dezaprobacie. Pani Poulteney i panna Tranter, pierwsza posepnie, druga zaś z radosnym ożywieniem, odrabiały listę przyjętych tematów konwersacyjnych — może niezbyt długą, jeśli chodzi o liczbę pozycji, lecz w wykonaniu ciągnącą się w nieskończoność — służba, pogoda, spodziewane narodziny, pogrzeby i śluby, pan Disraeli i pan Gladstone (ten ostatni temat przypuszczalnie na beneficis Karola, aczkolwiek pani Poulteney przy tej sposobności potępiła surowo zasady moralne pierwszego z tych panów i zasady polityczne drugiego)¹, następnie kazanie z ostatniej niedzieli, wady i braki miejscowych kupców, a stąd znów oczywiście powrót do tematu służby. Karol uśmiechał się, podnosił znacząco brwi i kiwał głową, znosząc dobrze już sobie znane męki czyścicowe. Jednocześnie doszedł do wniosku, że panna Woodruff żywi dotkliwe poczucie niesprawiedliwości i — rzecz dla wnikliwego obserwatora bardzo interesująca — nic prawie nie robi, żeby to ukryć.

Dowodziło to spostrzegawczości ze strony Karola, zauważył bowiem coś, co dotychczas uszło uwagi kogokolwiek innego w Lyme. Być może jego wniosek pozostałby w sferze podejrzeń, gdyby gospodyni nie wystąpiła naraz z niezmiernie charakterystycznym dla siebie pytaniem.

— A co z tą dziewczyną, którą odprawiłam? Nie miała pani z nią już kłopotu?

Panna Tranter uśmiechnęła się.

— Mary? Nie rozstałabym się z nią za nic w świecie.

— Pani Fairley podobno nie dalej jak dziś rano widziała, że ta dziewczyna rozmawiała z jakimś osobnikiem. — Pani Poulteney wypowiedziała słowo „osobnik” tonem, jakim patrioci francuscy podczas okupacji wypowiadali słowo „nazi”. — Młody osobnik. Pani Fairley go nie zna.

Ernestyna spojrzała z wyrzutem na Karola. W pierwszej chwili pomyślał oszołomiony, że to on jest przedmiotem oskarżenia, potem jednak zrozumiał i uśmiechnął się.

— W takim razie był to niewątpliwie Sam. Mój służący, łaskawa pani — dodał dla informacji pani Poulteney.

Ernestyna unikała jego spojrzenia.

— Chciałam ci właśnie powiedzieć. Widziałam wczoraj, jak rozmawiali.

— Ale chyba nie zabronimy im porozmawiać, jeżeli się przypadkiem spotkają?

— Istnieje olbrzymia różnica między tym, co może być przyjęte w Londynie, a tym, co jest na miejscu tutaj. Sądzę, że powinienes pomówić z Samem. Ta dziewczyna zbyt łatwo daje się wziąć na słówka.

Panna Tranter była wyraźnie dotknięta.

— Droga Ernestyno... Mary jest może wesoła i żywa, ale nigdy nie miałam najmniejszego powodu, żeby...

— Moja kochana, najlepsza ciociu, wiem doskonale, jak ją lubisz.

Karol posłyszał ironiczne nutki w głosie Ernestyny i stanął w obronie zmartwionej panny Tranter.

— Oby więcej było takich pań. Kiedy się widzi w drzwiach wesołą i zadowoloną pokojówkę, jest to niezawodny znak, że w domu panuje szczęście.

Ernestyna na to spuściła oczy i z nieukontentowaniem ciągnęła usta. Zaczyna panna Tranter słysząc komplement, zarumieniała się lekko i również spuściła oczy. Pani Poulteney

przysłuchiwała się tej utarczce z niejaką satysfakcją, po czym doszła do wniosku, że czuje do Karola dostateczną antypatię, aby się z nim dłużej nie ceregielować.

Pańska przyszła żona zapatruje się na te rzeczy rozsądniej od pana, panie Smithson. Znam dziewczynę, o której mowa. Musiałam ją odprawić. Gdyby pan był starszy, wiedziałby pan, że w tego rodzaju sprawach wskazana jest najdalej idąca surowość.

Tu także spuściła oczy, dając w ten sposób do zrozumienia, że wydała ostateczny wyrok, wobec czego temat jest wyczerpany.

— Chylę czoło przed pani znacznie większym doświadczeniem, łaskawa pani.

W lodowatym tonie Karola zabrzmiał jednak wyraźnie sarkazm.

Wszystkie trzy panie siedziały nie podnosząc oczu: panna Tranter z zakłopotania, Ernestyna ze złości na samą siebie nie zamierzała bowiem ściągnąć na Karola takiej reprimendy i żalowała teraz, że się w ogóle odezwała, pani Poulteney zaś po prostu dlatego, że była tym, czym była. W ten oto sposób Karol i Sara niepostrzeżenie dla tych pań mogli wreszcie na siebie spojrzeć. Spojrzenie było bardzo krótkie, lecz powiedziało bardzo wiele — dwoje nieznajomych poznało, że ma wspólnego wroga. Sara po raz pierwszy spojrzała nie poprzez Karola, lecz na niego, Karol zaś postanowił, że zemści się na Pani Poulteney, a jednocześnie da Ernestynie najwyraźniej niezbędną lekcję elementarnego humanitaryzmu.

Przypomniał sobie również ostatnią utarczkę z ojcem Ernestyny na temat Karola Darwina. Kołtuństwo jest aż nazbyt powszechne w tym kraju, ale Karol nie będzie go tolerował u dziewczyny, którą ma poślubić. Pomówi jednak z Samem, o tak, niewątpliwie z Samem pomówi.

Jak przeprowadził tę rozmowę, przekonamy się za chwilę. Jeśli chodzi o ogólną treść, rozmowa ta była już spóźniona, gdyż wspomniany przez panią Poulteney „osobnik” właśnie w tej chwili siedział w kuchni panny Tranter.

Sam rzeczywiście spotkał Mary tego ranka na Coombe Street i zapytał niewinnie, czy można za godzinę dostarczyć sadze. Wiedział oczywiście, że obydwie panie będą w Marlborough House.

Rozmowa prowadzona w kuchni była zdumiewająco poważna, znacznie poważniejsza niż konwersacja w salonie pani Poulteney. Mary z założonymi rękami stała oparta o wielki kredens, spod kapturka, którego używała przy okurzaniu wymknęło się pasemko pszenicznych włosów. Od czasu do czasu zadawała pytania, ale przeważnie mówił Sam, chociaż zwracał się głównie do wyszorowanego blatu długiego stołu. Tylko niekiedy ich oczy spotykały się, ale zaraz jakby za obopólną zgodą odwracały się od siebie nieśmiało.

¹[Aby oddać pani Poulteney sprawiedliwość, powinniśmy może dodać, że owej wiosny 1867 roku wiele osób podzielało jej niechęć. Pan Gladraeli i pan Dizzystone dali owego roku wspólny popis akrobacji — zapominamy czasem, że ostatni wielki projekt reformy prawa wyborczego (stał się on ustawą w sierpniu tegoż roku) wysunięty został przez Ojca Nowoczesnego Konserwatyzmu przy zaciętym oporze Wielkiego Liberala. Torysi w rodzaju pani Poulteney znaleźli się tedy w przedziwnej sytuacji: przed potwornością, jaką byłoby, zbliżenie się ich służby o jeszcze jeden krok do prawa głosu, bronił ich lider partii, która ze wszystkich innych względów budziła w nich odrazę. Marks w jednym ze swoich artykułów w „New York Daily Tribune” zauważył, że wigowie brytyjscy w istocie rzeczy „reprezentują coś zgoła odmiennego od głoszonych przez się liberalnych i świątliwych poglądów. Są więc w tej samej sytuacji, co doprowadzony przed oblicze Lorda Majora pijak, który twierdził, że w zasadzie jest abstynentem, tak się jednak zawsze składa, że upija się co niedziela”. Gatunek ten dotychczas nie wymarł.]

15

...co się tyczy klasy robotniczej, na pół dzikie obyczaje poprzedniego pokolenia ustąpiły miejsca głębokiej i niemal powszechnej zmysłowości...

Raport z okręgów górniczych (1850)

Czy też, gdy na to głębiej spojrzeć, Wystarczy lekko się uśmiechnąć?

Alfred Tennyson, *In Memoriam (1850)*

Kiedy nazajutrz rano Karol rozpoczął niezbyt delikatne badanie serca cockneya—Sama, nie było to już w gruncie rzeczy zdradą wobec Ernestyny, bez względu na to, jak się rzecz miała wobec pani Poulteney. Wyszli z Marlborough House wkrótce po wyżej opisanej sprzeczce i Ernestyna przez całą drogę na Broad Street prawie się nie odzywała. Znalazłszy się wreszcie w domu ciotki Tranter, postarała się zostać sam na sam z Karolem, a gdy tylko drzwi zamknęły się za ciotką, wybuchnęła płaczem (bez zwykłych wstępnych samooskarżeń) i rzuciła mu się w ramiona. Była to pierwsza sprzeczka, jaka kiedykolwiek przyćmiła ich miłość. Przeraziła ona Ernestynę: jej najmiłszy, najlepszy Karol został tak okropnie potraktowany przez wstrętą, starą jędzę, a wszystko dlatego, że ona, Ernestyna, wpadła nagle w złość. Kiedy Karol zgodnie z poczuciem obowiązku poklepał Ernestynę po plecach i otarł jej oczy, zwierzyła mu się z tego. Karol w charakterze zadośćuczynienia złożył pocałunek na każdej mokrej powiece i natychmiast Ernestynie przebaczył.

Ale moja kochana, niemądra Tino, czemu mielibyśmy odmawiać innym tego, co nam obojgu daje takie szczęście?

Cóż to wielkiego, jeżeli nawet ta niegodziwa pokojówka i mój gałgan Sam pokochają się? Czy mamy ich ukamienować? Ernestyna uśmiechnęła się, podnosząc na niego oczy.

— Takie są skutki, kiedy staram się zachowywać jak osoba dorosła.

Ukląkł przy niej i ujął jej rękę.

— Najmiłsza moja dziecino. Zawsze będziesz dla mnie dzieckiem.

Ernestyna nachyliła głowę, żeby pocałować jego rękę, on z kolei ucałował ją w czubek głowy.

— Osiemdziesiąt osiem dni — wyszeptła. — Nie mogę znieść tej myśli.

— Ucieknijmy. I jedźmy do Paryża.

— Karolu... co za nieprzystojne pomysły!

Podniosła głowę, a on pocałował ją w usta. Opadła w kąt fotela, zarumieniona, z oczami zasnutymi mgiełką, z sercem bijącym tak szybko, jakby miała za chwilę zemdleć — zbyt wątpa, aby znosić bezkarnie tak nagłe zmiany uczucia. Karol przytrzymał jej rękę i ścisnął ją żartobliwie.

— Gdyby czcigodna pani Poulteney mogła nas w tej chwili zobaczyć?

Ernestyna zasłoniła twarz rękami i wybuchnęła tłumionym śmiechem, który udzielił się Karolowi, aż ten musiał wstać i podejść do okna, żeby się uspokoić. Stał tam i silił się na powagę, ale wciąż mimo woli oglądał się i dostrzegał oczy Ernestyny wyzierające zza palców. W zacisznym pokoju znów rozlegały się tłumione dźwięki, przypominające kaszel. Oboje pomyśleli naraz o tym samym — jaką cudowną nową wolność niesie ich epoka, jak cudownie jest być parą na wskroś nowoczesnych młodych ludzi, obdarzonych na wskroś nowoczesnym poczuciem humoru, oddalonym o tysiące lat od...

— Och, Karolu... Karolu... pamiętasz damę z wczesnej kredy?

To ich znów niesłychanie rozśmieszyło, a jednocześnie okropnie zaniepokoiło pannę Tranter, która siedziała za drzwiami jak na rozżarzonych węglach, sądząc, że w salonie odbywa się

klótnia. Wreszcie zdobyła się na odwagę i weszła, żeby zobaczyć, czy nie uda się jej pogodzić zakochanych. Tina, wciąż pękając ze śmiechu, podbiegła do niej i ucałowała ją w oba policzki.

— Kochana, kochana ciociu. Wcale nikogo zanadto nie lubisz. Jestem wstrętnym, rozpieszczonym dzieckiem. I nie chcę już mojej zielonej spacerowej sukni. Mogę ją dać Mary?

Tak się więc stało, że jeszcze tego samego wieczora Ernestyna została wymieniona — i to zupełnie szczerze — w modlitwach Mary. Wątpię, czy zostały wysłuchane, bo zamiast po wstaniu z klęczek położyć się od razu do łóżka, jak każda poczciwa dusza powinna, Mary nie mogła się powstrzymać, żeby jeszcze ostatni raz nie przymierzyć zielonej sukni. Miała tylko jedną świecę, ale światło świec nigdy jeszcze żadnej kobiecie nie oddało złej przysługi. Ta chmura rozsypujących się złotych włosów, ta żywa zieleń, te pełgające cienie, ta onieśmielona, pełna zachwytu twarz, zdumiona własnym widokiem... jeżeli jej Bóg patrzył, musiał tej nocy żalować, że nie jest Tym, który upadł.

Mój Samie, doszedłem do wniosku, że nie jesteś mi potrzebny. — Karol miał zamknięte oczy i nie widział twarzy Sama, bo ten golił go właśnie. Sposób jednak, w jaki brzytwa nagle się zatrzymała, świadczył o tym, że strzał był celny. Możesz wrócić do Kensington. — Zapadła cisza, która zmiękczyłaby serce każdego chlebobdawcy o mniej sadystycznych skłonnościach. — Nie masz nic do powiedzenia?

— Owszem, proszę pana. Wołałbym zostać tutaj.

— Doszedłem do wniosku, że knujesz coś złego. Zdaję sobie doskonale sprawę, że jest to u ciebie naturalny stan rzeczy. Wolę jednak, żebyś knuł coś złego w Londynie. Londyn bardziej jest przyzwyczajony do ludzi o niecznych zamiarach.

— Nic przecie nie zrobiłem, panie Karolu.

— Chcę ci także oszczędzić przykrości widywania tej niegrzecznej pokojówki panny Tranter. — Dało się słyszeć stłumione westchnienie. Karol ostrożnie otworzył jedno oko. Prawda, jaki jestem dobry?

Sam z kamienną twarzą wpatrywał się w jakiś punkt ponad głową swego pana.

— Przeprosiła mnie. A ja jej przebaczyłem.

— Co takiego? Przebaczyłeś marnej dojarce? Niepodobna! Po tych słowach Karol musiał szybko zamknąć oczy, żeby uchronić się przed brutalnie zaaplikowaną pianą.

To były żarty, panie Karolu. Zwyczajne żarty.

Rozumiem. W takim razie sprawy przedstawiają się gorzej, niż przypuszczałem. Musisz koniecznie wyjechać. Sam miał tego dosyć. Nietknięta piana schła na twarzy tak długo, aż wreszcie Karol musiał otworzyć oczy i zobaczyć, co się dzieje. Działo się to, że Sam stał bez ruchu z miną nadąsaną i ponurą.

— O co znów chodzi?

— O mnie i...

— *Omnia?* Zaczynasz już mówić po łacinie? Mniejsza o to, nie możesz zrozumieć tego dowcipu. A teraz mów prawdę. Wczoraj jeszcze nie chciałeś dotknąć tej młodej damy nawet przez szmatkę, będącą jej narzędziem pracy? Możesz temu zaprzeczyć?

— Byłem sprowokowany.

— Ba, ale jak było z *primum mobile*? Kto kogo pierwszy sprowokował?

Tu jednak Karol spostrzegł, że posunął się za daleko. Brzytwa w ręce Sama drżała — nie z chęci mordy, lecz z tłumionego oburzenia. Karol wyciągnął rękę, odebrał Samowi brzytwę i wycelował nią w służącego.

— W ciągu dwudziestu czterech godzin, Samie? W ciągu zaledwie dwudziestu czterech godzin?

Sam zaczął wycierać umywalnię ręcznikiem przeznaczonym do policzków Karola. Po dłuższej chwili odezwał się zdławionym głosem:

— Myśmy nie konie. Myśmy ludzie.

Karol uśmiechnął się, wstał, zaszedł Sama od tyłu, ujął go za ramię i zmusił, żeby się ku niemu odwrócił.

— Sam, przepraszam cię. Ale przyznasz, że twoje dotychczasowe koneksje z płcią piękną nie przygotowały mnie do tego. — Sam gniewnie spuścił oczy: oto mścił się na nim dawny cynizm.

— Otóż z tą dziewczyną... jak jej na imię? Mary... z tą uroczą panną Mary jest może bardzo miło przekomarzać się i żartować — pozwól mi skończyć — ale słyszałem, że jest to w gruncie rzeczy łagodna, ufna istota. Nie pozwolę więc, żebyś złamał jej serce.

— Prędzej dałbym sobie uciąć obie ręce, panie Karolu!

— Doskonale. Wierzę ci, nawet bez amputacji. Ale nie pójdziesz więcej do tamtego domu ani nie odezwiesz się do tej młodej osoby na ulicy, dopóki nie porozmawiam z panną Tranter i nie dowiem się, czy pozwala ci na konkury.

Sam, który powieki miał dotychczas spuszczone, podniósł teraz oczy na Karola i uśmiechnął się ze smutkiem, niczym młody żołnierz konający u stóp swego dowódcy.

— Koniec ze mną, proszę pana. Koniec ze mną, jak z kurą w potrawce.

Kura w potrawce, dodam na wszelki wypadek, jest to kura już ugotowana, a przeto nie może mieć nadziei na zmartwychwstanie.

16

A Maud śpiewała w blasku i wdzięku lat młodych
 O Śmierci i Honorze, który nie umiera,
 Iż małom nie zapłakał nad czasem haniebnym
 I nad sobą, tak słabym i podłym.
 Alfred Tennyson, *Maud* (1855)

Nigdy wpierw, wierz mi, nie zaznałem uczuć, które mężczyzna żywi do kobiety,
 Nim na polach wsi pewnej, gdzie spędzałem wakacje, co dziś uchodzi za głupie,
 Pewnego dnia, gdym wędrował „długo i drętwo”, jak mówi Tennyson,
 Gdy tak łąził długo i drętwo, młokos niezdamy,
 Przypadkiem wzrok mój padł na dziewczynę bez kapelusza, z odkrytą głową...
 Arthur Hugh Clough, *The Bothie of Tober-na-Vuolich* (1848)

Pięć monottonnych dni upłynęło po tym ostatnim, który opisałem. Karol nie miał sposobności, aby kontynuować eksplorację interesującej go skarpy. Jednego dnia musiał wziąć udział w długiej wycieczce do Sidmouth, inne poranki zeszły na wizytach lub na miłszych rozrywkach, jak na przykład strzelanie z łuku, będące podówczas pasją młodszych dam angielskich — obowiązujący zielony kolor był bardzo twarzowy, a w dodatku jakież to było urocze, że ujarzmeni panowie musieli chodzić po strzały do tarcz (w których niestety strzały Ernestyny, mającej krótki wzrok, łądowały bardzo rzadko) i zwracali je z rycerskimi żarcikami na temat Kupidyna i przebitych serc.

Po południu znów Ernestyna zwykle namawiała Karola do pozostania u ciotki Tranter — należało omówić mnóstwo poważnych spraw, gdyż dom w Kensington był o wiele za mały, a dzierżawa domu w dzielnicy Belgravia, do którego zamierzali się z czasem przenieść, miała wygasnąć dopiero za dwa lata. Owa drobna sprzeczka odmieniła zupełnie Ernestynę. Panna traktowała teraz Karola z wielkim respektem i była tak potulna i uległa, aż Karol skarżył się, że czuje się wprost baszą tureckim, i jak wielu mężczyzn przed nim prosił Ernestynę, żeby mu się w czymś sprzeciwiła, bo gotów zapomnieć, iż mają być chrześcijańskim stadłem.

Zresztą znosił z dobrotliwą ironią ten nagły przypływ dbałości o każde jego życzenie. Był dość bystry, aby rozumieć że Ernestyna doznała pewnego wstrząsu — przed ową drobną sprzeczką była może bardziej zakochana w myśli o małżeństwie, aniżeli w przyszłym mężu, teraz poza stanem narzeczeństwa dostrzegała także żywego mężczyznę. Należy wprawdzie wyznać, że nagłe to przejście od oschłości do łzawości budziło czasem w Karolu uczucie przesyty. Owszem, zachwycony był, że jest tak uwielbiany, otaczany nieustanną troską, że zasięga się jego rady, okazuje mu się szacunek. Któryż mężczyzna tego nie lubi? Przez długie lata przyzwyczyił się jednak do niczym nie skrzepowanej kawalerskiej swobody i na swój sposób był również nieznośnym, rozpieszczonym dzieckiem. Wciąż jeszcze wydawało mu się to dziwne, że nie jest panem swego czasu, że poranki nie należą do niego, że plany na popołudnie muszą czasem być przekreślone dla jakiegoś kaprysu Tiny. Oczywiście podporą moralną było mu w tym poczucie obowiązku — od mężów wymagało się tego rodzaju postępowania, wobec czego on też musiał tak postępować, podobnie jak musiał wkładać ciężkie flanelowe ubranie i podkute buty, kiedy szedł za miasto.

A te wieczory! Te oświetlane gazem długie godziny, które trzeba było jakoś wypełnić, w dodatku bez dobrodziejstwa kina lub telewizji! Dla tych, co musieli zarabiać na życie, nie był to

wielki problem: gdy się pracuje dwanaście godzin dziennie, zagadnienie, co robić po kolacji, jest nader łatwe do rozwiązania. Ale biada nieszczęsnym bogaczom, bez względu na to bowiem, jak dalece wolno im było zażywać samotności przed zmrokiem, konwenans nakazywał, aby po zmroku nudzili się w towarzystwie. Przyjrzyjmy się tedy, jak Karol i Ernestyna brną przez jeden taki beznadziejny wieczór. Obecność ciotki Tranter jest im przynajmniej oszczędzona, ponieważ zacna ta dama udała się w odwiedziny do chorej a niezamężnej sąsiadki, stanowiącej dokładną jej replikę pod każdym względem, prócz wyglądu i życiorysu.

Karol siedzi we wdzięcznej pozie na kanapie, dwoma palcami podpira policzek, trzema pozostałymi podbródek, łokieć wsparł na poręczu kanapy i poprzez dywan axminsterski patrzy z powagą na Tinę, która czyta mu na głos. Tina w lewej ręce trzyma mały tomik oprawny w safian, w prawej tarczę ochronną (przedmiot podobny do wydłużonej rakiетки pingpongowej, obciążony haftowanym jedwabiem i obsyty jasnobrązowy galonem po brzegach; ma on nie dopuszczać, aby żar ze skwierczących węgli ośmielił się przyrumienić dziewiczo bladą cerę panny) i niezbyt miarowymi uderzeniami tarczy podkreśla bardzo miarowy rytm czytanego poematu.

Jest to bestseller lat tysiąc osiemset sześćdziesiątych, pióra szlachetnie urodzonej pani Karoliny Norton, *Pani na La Garaye*, o którym ni mniej, ni więcej, tylko „Przegląd Edynburski” napisał: „Poemat jest nieskalaną, tkliwą, wzruszającą opowieścią o bólu, cierpieniu, miłości, obowiązku, pobożności i śmierci” — bez wątpienia najpiękniejszy łańcuszek wiktoriańskich przymiotników i rzeczowników, jaki dałoby się znaleźć (a grubo za dobry, pozwolę sobie dodać, abym potrafił go zmyślić). Można by sądzić, że pani Norton była tylko ckliwą poetessą swej epoki. Owszem, wiersze jej są cklive, jak się państwo za chwilę przekonają, sama ona jednak bynajmniej nie była osobą mdłą i nieinteresującą. Wnuczka Sheridana, przy tym, jak głosiła plotka, kochanka Melbourne’a — mąż w każdym razie uwierzył plotce w dostatecznym stopniu, aby wytoczyć wielkiemu mężowi stanu proces, który w końcu przegrał — była ponadto zagorzałą feministką, słowem, jak powiedzielibyśmy dzisiaj, kobietą wyzwoloną.

Dama wymieniona w tytule jest błyskotliwą, wesołą żoną wesołego, błyskotliwego arystokraty francuskiego. Ulega ona wypadkowi na polowaniu, dostaje paraliżu nóg i poświęca resztę swego tragicznego życia na pełnienie dobrych uczynków — pożyteczniejszych od uczynków lady Cotton, ponieważ zakłada szpital. Aczkolwiek rzecz dzieje się w siedemnastym wieku, poemat stanowi przejrzystą apologię Florencji Nightingale* [*Florence Nightingale (1820—1910) — angielska pielęgniarka, reformatorka szpitalnictwa, zwana „The Lady of the Lamp”, założyła w roku 1860 pierwszą szkołę pielęgniarek.] i przypuszczalnie dlatego zapadł tak głęboko w serca tak wielu kobiet owej dekady. My, żyjący w czasach późniejszych, myślimy o wielkich reformatorach jako o ludziach odnoszących zwycięstwo nad wielką opozycją lub nad wielką apatią. Rzeczywista „Pani ze światłem” bez wątpienia musiała walczyć z opozycją i apatią, litość jednak, jak już wskazywałem gdzie indziej, zawiera w sobie pewne elementy, które mogą być równie szkodliwe. Ernestyna bynajmniej nie po raz pierwszy czytała poemat, a niektóre partie umiała na pamięć. Ilekroć go czytała (teraz czytała go na nowo całkiem jawnie, ponieważ był właśnie Wielki Post), czuła się uszlachetniona i oczyszczona, słowem, czuła, że staje się lepsza. Wystarczy tylko dodać tutaj, że nigdy w życiu nie była w szpitalu ani nie pielęgnowała żadnego biedaka w chorobie. Rodzice by na to oczywiście nie pozwolili, ale jej samej podobna myśl nigdy nie powstała w głowie.

Ach, powiecie państwo, kobiety w owych czasach przykute były do wyznaczonej im roli. Przypomnijmy sobie jednak datę tego wieczora: 6 kwietnia 1867 roku. W Izbie Gmin zaledwie tydzień przedtem John Stuart Mili* [*John Stuart Mili (1806—1873) — filozof, logik i ekonomista angielski, zwolennik liberalizmu gospodarczego.], podczas jednej z pierwszych dyskusji nad projektem reformy prawa wyborczego skorzystał ze sposobności, aby stwierdzić, że nadszedł czas aby dać kobietom

równe prawa przy urnie. Odważne to wystąpienie (przeciwko wnioskowi głosowało 193 posłów, za wnioskiem 73; Disraeli, stary lis, wstrzymał się od głosu) powitane było uśmiechami ogółu mężczyzn, wybuchami rubasznego śmiechu „Puncha” (jeden z satyrycznych rysunków przedstawiał grupę panów oblegających kobietę—ministra, cha, cha, cha) i — rzecz smutna — grymasem dezaprobaty większości wykształconych kobiet, które utrzymywały, że najskuteczniej roztaczają swe wpływy sprzed ogniska domowego. Niemniej jednak datę 30 marca 1867 roku można uważać za początek emancypacji kobiet w Anglii, Ernestyny zaś, która parsknęła śmiechem, kiedy Karol w ubiegłym tygodniu pokazał jej „Puncha”, nie sposób całkowicie usprawiedliwić.

Zaczęliśmy jednak od wiktoriańskiego wieczora spędzonego w domu. Powróćmy teraz do niego. Posłuchajmy. Karol lekko przymglonym, lecz stosownie uroczystym wzrokiem wpatruje się w pełną powagi twarz Ernestyny.

— Mam czytać dalej?

— Czytasz bardzo pięknie.

Ernestyna chrząka delikatnie i znów podnosi książkę. Właśnie zdarzył się wypadek na polowaniu; pan na La Garaye pochyla się nad leżącą na ziemi żoną.

Odsuwa jej gęste, złociste włosy I, bezwładną, ostrożnie na rękach unosi, I, zdjęty trwogą, w twarz jej spoziera: Ona — blask jego duszy — umiera!

Oczy Ernestyny zerkają na Karola. Karol powieki ma przymknięte, jak gdyby wyobrażał sobie tę tragiczną scenę. Kiwa poważnie głową, najwyraźniej zaszuchany.

Ernestyna powraca do czytania.

Wstrząsem tej myśli pchnięte nagle się rozlega Bicie serca, jak gdybyś słyszał wielki zegar; A potem ów puls mocny słabnie i ustaje, Wyrwany z obaw szeptem, co drżeniem się zdaje, Uchodzącym z pobladych ust cicho: „Klaudiuszu!”, rzekła i nic więcej, ale Jemu pierwszy raz taką, odkąd się poznali, Miłością serce i tęsknotą wzbiera, By wyznać, że dla niego wszystkim ona teraz.

Ostatni wiersz przeczytała z wielkim naciskiem. Znów spogląda na Karola. On oczy nadal ma zamknięte, ale widocznie zbyt jest wzruszony, aby nawet skinąć głową. Ernestyna nabiera tchu, nie odrywając oczu od na pół leżącej postaci narzeczonego, i czyta dalej:

„Klaudiuszu, ten ból!”, „Gertrudo jedyna!” Wąty uśmiech na wargach jej igrać zaczyna, Mówiąc niemo, że głos ten pociechą jest dla niej — A ty zasnąłeś, ty wstrętny baranie!

Cisza. Karol ma twarz człowieka asystującego przy pogrzebie. Jeszcze jeden oddech i znów gniewne spojrzenie czytającej.

Szczęśliwi, którzy w smutku, ze zbolatą duszą, Tęsknić za bliską twarzą na próżno nie muszą...

— KAROLU!

Poemat zamienia się naraz w pocisk, który uderza Karola w ramię i pada na podłogę za kanapą.

— Tak? — Karol widzi, że Ernestyna stoi przed nim wsparta rękami pod boki w pozie nietypowej. Prostuje się i szepcze: — Ojej!

— Przyłapałam cię, mój panie. Nie masz nic na swoją obronę.

Zapewne jednak Karol obronił się skutecznie albo odbył należną pokutę, gdyż zaraz przy następnym obiedzie miał odwagę wyrazić sprzeciw, kiedy Ernestyna zamierzała po raz dziewiętnasty omówić umeblowanie jego gabinetu w nieustalonej jeszcze rezydencji. Opuszczenie bardzo wygodnego domu w Kensington było nie najmniejszą z ofiar czekających Karola, toteż trudno mu było znieść ustawiczne o tym przypomnienie Ciotka Tranter poparła go, otrzymał więc wolne popołudnie na swoje „obrzydliwe wykopki”.

Wiedział od razu, dokąd chce pójść. Od chwili, kiedy ujrzał „kochanicę Francuza”, śpiącą na występie skalnym, nie myślał już o niczym innym, ale przedtem jeszcze zdążył zauważyć u stóp małego wzniesienia, którego płaskim szczytem była łączka, duże stosy krzemienia, który obsunął się z urwiska. Ta właśnie okoliczność bez wątpienia kazała mu tam pójść tego popołudnia. Nowa, gorąca więź między nim a Ernestyną, nasilenie ich wzajemnego uczucia wyparło z jego świadomości wszelkie wspomnienie o sekretarce pani Poulteney, prócz może jakichś najzupełniej przelotnych i nieistotnych myśli.

Gdy dotarł do miejsca, w którym musiał przedzierać się w górę przez zarośla jeżyn, przypomniał sobie o niej nagle. Obraz śpiącej dziewczyny stanął mu przed oczami z niezwykłą wyrazistością. Ale gdy Karol doszedł do brzegu urwiska i spojrzał na występ, nie było jej tam, wkrótce więc znów o niej zapomniał. Znalazł drogę wiodącą do stóp wzniesienia i zaczął szukać wśród osypiska swoich ukochanych jeżowców. Było chłodniej niż wtedy, kiedy tu był ostatnio. Słońce, jak zwykle w kwietniu, to wyglądało, to znów chowało się za chmury, ale wiatr wiał z północy. U stóp urwiska zwróconego na południe było tedy zacisznie i przyjemnie, dodatkowe zaś ciepło oblało Karola, gdy zobaczył leżący u jego nóg doskonały okaz skamieniałego jeżowca, który zapewne niedawno oderwał się od macierzystego krzemienia.

Po upływie czterdziestu minut musiał jednak pogodzić się z faktem, że już nic więcej nie znajdzie, w każdym razie nie wśród tych stosów krzemienia pod urwiskiem. Wspiął się znów na górę i ruszył ku ścieżce wiodącej z powrotem do lasu. Naraz przed nim poruszyło się coś ciemnego!

Sara stała w połowie drogi w górę na stromej ścieżce, zbyt zajęta odczepianiem płaszcza od czepliwego krzewu jeżyny, aby usłyszeć kroki Karola, które tłumiała gęsta trawa. Gdy ją Karol zobaczył, zatrzymał się natychmiast. Ścieżka była wąska, musiał więc poczekać, aż Sara przejdzie. W tej samej chwili ona również go ujrzała. Stali w odległości jakichś piętnastu stóp od siebie, oboje bardzo zmieszani, twarze ich jednak miały całkiem odmienny wyraz. Karol uśmiechał się, Sara zaś patrzyła na niego podejrzliwie i nieufnie.

— Panno Woodruff!

Skinęła mu ledwie dostrzegalnie głową i zawahała się.

Widać było, że chętnie by zawróciła, gdyby mogła. Zaraz zorientowała się, że on czeka, aż ona przejdzie, szybko więc go minęła. W pośpiechu pośliznęła się na zdradzieckim skraju błotnistej ścieżki i upadła na kolana. Karol skoczył naprzód i pomógł jej wstać. Była teraz zupełnie jak dzikie zwierzątko, niezdolna na niego spojrzeć, drżąca, oniemiała.

Bardzo ostrożnie, podtrzymując ją pod łokieć, poprowadził ją w górę na polankę. Miała na sobie ten sam czarny płaszcz, tę samą suknię w kolorze indygo z białym kołnierzykiem. Czy to dlatego, że się pośliznęła, czy dlatego, że on ją trzymał pod ramię, czy może z zimna, sam nie wiem, ale cera jej nabrała życia, okryła się lekkim rumieńcem, który przedziwnie pasował do jej dzikości i onieśmienia. Wiatr zburzył jej włosy, wyglądała trochę jak chłopiec przyłapany na kradzieży jabłek z sadu... miała minę winowajczyni, ale winowajczyni zbuntowanej. Naraz podniosła wzrok na Karola, rzuciła mu szybkie spojrzenie swoich niemal egzoftalmicznych

ciemnych oczu o bardzo czystych białkach — spojrzenie zarazem lękliwe i czegoś wzbraniające. Pod jego wpływem Karol cofnął ramię.

— Lękam się pomyśleć, panno Woodruff, co by się stało, gdyby pewnego pięknego dnia skręciła pani nogę na tym odludziu.

— To nie ma znaczenia.

— Ależ miałyby z pewnością znaczenie. Z prośby wypowiedzianej w zeszłym tygodniu wnoszę, że nie życzy sobie pani, aby pani Poulteney wiedziała o tym, że tu pani przychodzi. Niech Bóg broni, żebym miał pytać o powody. Muszę jednak stwierdzić, że gdyby coś się pani stało, byłbym jedyną osobą w Lyme, która mogłaby wskazać tu drogę ekspedycji ratunkowej. Czyż nie tak?

— Ona wie. Domyśliłaby się.

— Ona wie, że pani tu przychodzi — właśnie na to miejsce? Sara wpatrywała się w ziemię, jak gdyby nie zamierzała już odpowiadać na jakiegokolwiek pytania, jak gdyby prosiła go, żeby już sobie poszedł. Było jednak coś w tej twarzy, której Karol przyjrzał się dokładnie z profilu, co sprawiło, że postanowił nie odchodzić. Wszystko w niej, jak zdał sobie teraz sprawę, podporządkowane było oczom. Oczy nie mogły ukryć inteligencji, niezawisłości duchowej, wyrażały też milczące odtrącanie wszelkiego współczucia, niezłomną wolę pozostawania tym, czym się jest. Modne były podówczas cienkie, delikatne, wygięte brwi, ale brwi Sary były szerokie, a przynajmniej niezwykle ciemne, niemal koloru jej włosów, przez co sprawiały wrażenie szerokich i nadawały jej chwilami chłopięcy wygląd. Nie chcę przez to powiedzieć, że miała męską, ładną twarz z ciężką szczęką, jedną z tych twarzy, jakie popularne były później za czasów króla Edwarda VII — typ urody „Gibson Girl”* [* Charles Dana Gibson (1867—1944) — rysownik i ilustrator amerykański, jako współpracownik wielkich miesięczników i tygodników USA („Life”, „Century”, „Collier’s Weekly”, „Harper’s” etc.) stworzył słynny w swoim czasie typ młodej, dobrze wychowanej Amerykanki, zwanej „The Gibson Girl” — gibsonowska dziewczyna.]. Nie, twarz Sary była bardzo proporcjonalna i najzupełniej kobieca, a tłumionej intensywności oczu odpowiadała tłumiona zmysłowość ust, pełnych i znów niepasujących do bieżącej mody, która oscylowała między małymi usteczkami, pozbawionymi niemal warg, a dziecinnym łukiem Amora. Karol, podobnie jak większość mężczyzn jego czasów pozostawał wciąż jeszcze pod lekkim wpływem *Fizjonomiki* Lavatera**[** Johann Kaspar Lavater (1741—1801) — teolog i pisarz szwajcarski, ojciec nowoczesnej charakterologii naukowej.]. Zwrócił uwagę na usta Sary i nie dał się zwieść okoliczności, że były nienaturalnie zaciśnięte.

To jedno szybkie spojrzenie ciemnych oczu bez wątpienia obudziło echa w mózgu Karola, nie były to jednak echa angielskie. Kojarzył takie twarze z cudzoziemkami — szczerze mówiąc (znacznie szczerzej, niżby się Karol sam przed sobą przyznał), z cudzoziemskimi łózkami. Zapoczątkowało to nowe stadium jego zainteresowania Sarą. Zorientował się już, że jest inteligentniejsza i bardziej niezależna, niżby się zdawało, teraz począł domyślać się u niej innych ukrytych cech.

Większość Anglików owych czasów odstręczyłoby takie przecucie prawdziwej natury Sary, odstręczyło też odrobinę — a przynajmniej zgorszyło — Karola. Podzielał przesady swoich współczesnych w dostatecznym stopniu, aby spoglądać podejrzliwym okiem na zmysłowość w jakiegokolwiek postaci, gdy jednak oni za pomocą jednego z owych straszliwych równań, układanych na rozkaz nadjażni, obciążyliby Sarę odpowiedzialnością za to, że się taka urodziła, Karol nie popełnił tego błędu. Możemy tu podziękować jego naukowym upodobaniom. Darwinizm, jak zdawali sobie sprawę bardziej przenikliwi oponenti, otworzył tamy czemuś znacznie poważniejszemu niż podważenie relacji biblijnej o pochodzeniu człowieka. Najgłębsze jego implikacje szły w kierunku determinizmu i behawioryzmu, innymi słowy, w kierunku

filozofii, która sprowadza moralność do hipokryzji, a obowiązek do szalasu ze słomy, wystawionego na podmuchy huraganu. Nie chcę przez to powiedzieć, że Karol zupełnie uwalniał Sarę od winy, był wszakże znacznie mniej skłonny ją potępiać, niż mogła przypuszczać.

Po części więc odegrały tu rolę jego zamiłowania naukowe... ale Karol miał również tę przewagę nad współczesnymi, że czytał — po kryjomu, bo książkę uznano oficjalnie za niemoralną — powieść, która ukazała się we Francji mniej więcej dziesięć lat przedtem, powieść w założeniach swych głęboko deterministyczną, słynną *Madame Bovary*. Gdy teraz patrzył na twarz Sary, nagle, ni stąd, ni zowąd, błysnęły mu w myśli słowa: „Emma Bovary”. Skojarzenia takie są olśnieniem, a zarazem pokusą. Dlatego właśnie Karol w końcu nie uklonił się i nie odszedł.

Wreszcie Sara przemówiła:

Nie wiedziałam, że pan tu jest.

Skąd mogła pani wiedzieć?

— Muszę już wracać.

Po tych słowach zawróciła, ale Karol odezwał się szybko:

— Czy pozwoli pani, że przedtem coś powiem? Coś, czego nie mam zapewne prawa mówić, jako człowiek zupełnie pani obcy. — Sara stała z pochyloną głową, odwrócona do niego plecami.

— Wolno mi mówić?

Nie odpowiedziała. Karol czekał chwilę, potem jednak zaczął:

— Panno Woodruff, nie będę udawał, że nic nie wiem o pani sytuacji... Mówiła o niej w mojej obecności panna Tranter. Chcę tylko zapewnić panią, że mówiła ze współczuciem i sympatią. Jest przekonana, że nie czuje się pani szczęśliwa na obecnym stanowisku, które, o ile zrozumiałem, objęła pani raczej zmuszona okolicznościami aniżeli z jakiegoś przyjemniejszego powodu. Znam pannę Tranter dopiero od niedawna, ale za jedno z dobrodziejstw związku małżeńskiego, w który mam rychło wstąpić, poczytuję sobie fakt, że dzięki niemu mogłem poznać osobę tak wielkiej i prawdziwej dobroci. Przejdę teraz do rzeczy. Pewien jestem...

Urwał, bo Sara obejrzała się szybko na drzewa poza nimi. Jej wyczulone ucho posłyszało jakiś odgłos, trzask gałązki złamanej czyjąś stopą. Zanim Karol zdążył spytać, co się stało, sam usłyszał przyciszone męskie głosy. Ona już zdążyła zareagować: zebrała ręką fałdy spódnicy, przeszła szybko po trawie jakie czterdzieści jardów na wschód i znikła za gęstwiną janowca. Karol stał osłupiały, czując się niemym współnikiem przestępstwa.

Męskie głosy rozległy się bliżej. Trzeba było działać. Karol ruszył ku miejscu, gdzie boczna ścieżka wylaniała się spośród jeżyn. Postąpił szczęśliwie, bowiem gdy jego oczom ukazała się dolna ścieżka, ujrzał na niej dwie patrzące w górę twarze na których malowało się zdumienie i zaskoczenie. Nie ulegało wątpliwości, że mężczyźni zamierzali skrócić na tę właśnie ścieżkę, na której on stał. Karol otworzył już usta, żeby powiedzieć „dzień dobry”, ale twarze znikły z zadziwiającą szybkością. Usłyszał ostry szep: „Jeff, w nogi!” — i tupot uciekających stóp. Po kilku chwilach dobiegł go nagłący, cichy gwizd i podniecone skomlenie psa. Potem zapadła cisza.

Poczekał minutę, żeby się upewnić, że tamci nie wracają, potem podszedł do zarośli janowca. Sara stała przywarłszy bokiem do ostrych cierni, twarz miała odwróconą.

— Poszli już. Pewno kłusownicy.

Skinęła głową, ale nadal unikała jego spojrzenia. Janowiec był w pełni rozkwitu, okryty kwieciami tak gęsto, że prawie nie było widać zieleni. W powietrzu unosiła się pizmowo—miodowa woń.

— Sądzę, że to nie było potrzebne — rzekł Karol.

— Żaden dżentelmen, który dba o swoje dobre imię, nie może się pokazywać w towarzystwie jawnochrzesznicy miasta Lyme.

To już był pewien postęp, bo w jej głosie zabrzmiała gorycz. Karol uśmiechnął się do odwróconej twarzy.

— Jedyne chyba, co może zwrócić na siebie uwagę, to pani zarumienione policzki.

Obejrzała się z błyskiem oczu, jak gdyby Karol torturował zaszczone zwierzę. Potem znów się odwróciła.

— Proszę mnie źle nie rozumieć — powiedział Karol łagodnie. — Boleję nad pani nieszczęściem. Doceniam również pani delikatność, jeżeli chodzi o moją reputację. Jednak zdanie takich osób, jak pani Poulteney, jest mi najzupełniej obojętne.

Sara nie poruszyła się. Karol nadal uśmiechał się swobodnie w poczuciu swego obycia, swego odczytania, swej znajomości szerszego świata.

— Droga panno Woodruff, widziałem coś niecoś w życiu i mam wyczulony węch na kołtunów... choćby popisywali się przed światem największą pobożnością. Czy teraz zechce pani wyjść ze swej kryjówki? Nasze przypadkowe spotkanie nie ma w sobie nic niewłaściwego. Przy tym musi pani pozwolić, żebym dokończył tego, co zacząłem mówić.

Odstąpił na bok i Sara wyszła znów na łączkę. Dostrzegł, że rzęsy ma wilgotne. Pozostał więc dyskretnie z tyłu i mówił z odległości kilku jardów, stojąc za jej plecami.

— Panna Tranter pragnęłaby... pragnęłaby ogromnie pomóc pani, gdyby chciała pani zmienić posadę.

W odpowiedzi Sara potrząsnęła tylko głową.

Musi być sposób na to, aby pomóc komuś... kto budzi w innych współczucie. — Karol urwał.

Ostry podmuch wiatru pochwycił pasmo jej włosów i zwał je do przodu. Sara nerwowym ruchem przyglądziła znów włosy— Mówię tylko to, co panna Tranter sama pragnęłaby powiedzieć.

Karol nie przesadzał, gdyż podczas wesołego lunchu, który nastąpił po pojednaniu, mówiono o pani Poulteney i o Sarze. Karol tylko przez krótką chwilę był ofiarą władczej starej damy, nic więc dziwnego, że pomyśleli o tej, co była jej ofiarą stale. Postanowił teraz — gdy już wdarł się na drażliwy teren, na który ktoś niemający pewności siebie światowca ze stolicy lękałby się stąpać — iż zapozna Sarę z wnioskami, do jakich owego dnia doszli.

Powinna pani wyjechać z Lyme... opuścić w ogóle te strony. O ile mi wiadomo, ma pani wysokie kwalifikacje. Jestem przekonany, że gdzie indziej znalazłyby nieporównanie lepsze zastosowanie. — Sara nic nie odpowiedziała. — Wiem, że panna Freeman i jej matka z największą chęcią poszukają jakiejś odpowiedniej posady w Londynie.

Sara odeszła dalej, na brzeg urwiska i przez długą chwilę patrzyła na morze, potem, wciąż stojąc przy zaroślach janowca, odwróciła się i spojrzała Karolowi w oczy dziwnym, migotliwym wzrokiem, tak uporczywym, że uśmiechnął się, czując, jak słaby i niepewny jest ten uśmiech, lecz zarazem nie będąc w stanie spędzić go z twarzy.

Spuściła wreszcie oczy.

— Dziękuję panu. Ale nie mogę opuścić tego miejsca. Wzruszył leciutko ramionami. Miał uczucie zawodu i nieokreślonej krzywdy.

— W takim razie muszę jeszcze raz przeprosić panią, że zakłóciłem jej samotność. To się już nie powtórzy.

Złożył ukłon i odwrócił się, żeby odejść, lecz nie uszedł nawet dwóch kroków, gdy Sara odezwała się:

— Ja... ja wiem, że panna Tranter pragnie wyświadczyć mi przysługę.

Niechże więc pani pozwoli jej spełnić to pragnienie. Sara spojrzała na dzielącą ich trawę. Za to, że ktoś znowu mówi do mnie tak, jak gdybym... jak gdybym nie była tym, czym jestem... jestem niezmiernie wdzięczna. Ale taka dobroć...

— Taka dobroć?

— Taka dobroć jest dla mnie czymś okrutniejszym niż... Nie dokończyła zdania, lecz zwróciła się w kierunku morza.

Karol miał wielką ochotę podejść, chwycić ją za ramiona i potrząsnąć — tragedia jest dobra na scenie, ale w zwykłym życiu sprawia wrażenie przekory. Powiedział to jej, co prawda w słowach znacznie oględniejszych.

— To, co pan nazywa uporem, jest moim jedynym ratunkiem.

— Panno Woodruff, pozwoli pani, że będę szczery. Słyszałem, że pani... no... jest niezupełnie zdrowa na umyśle. W moim mniemaniu twierdzenie to jest jak najdalsze od prawdy. Pani, jak sądzę, po prostu zbyt surowo potępia samą siebie za dawny postępek. Dlaczego, na miłość boską, musi pani zawsze chodzić sama? Czy nie zadała pani już sobie dostatecznej pokuty? Jest pani młoda, może pani doskonale zarabiać na życie. Nie ma pani, o ile wiem, związków rodzinnych, które trzymałyby panią w Dorsetshire.

— Owszem, mam.

— Z tym panem z Francji? — Sara odwróciła się natychmiast, jakby to był temat zabroniony. — Pozwoli pani, że jednak będę obstawał przy swoim... te sprawy są jak rany. Gdy się nie ma odwagi o nich mówić, zaczynają ropieć. Jeżeli on nie wróci, to znaczy, że nie był pani godzien. Jeżeli wróci, nie wierzę, aby dał się zbyć tak łatwo i gdy nie zastanie pani w Lyme Regis, nie dowiedział się, gdzie pani przebywa, i nie podążył za panią. Chyba to rozsądne?

Zapadła długa cisza. Karol przesunął się, choć wciąż o kilka stóp oddalony, tak aby widzieć z boku jej twarz. Wyraz tej twarzy był dziwny, niemal spokojny, jak gdyby to, co powiedział, utwierdziło Sarę w głębokim przeświadczeniu, ukrytym w głębi serca.

Patrzała wciąż na morze, gdzie w odległości pięciu mil widać było w paśmie promieni słonecznych płynący na zachód bryg z rdzawymi żaglami. Powiedziała cicho, jakby do dalekiego statku.

— On nigdy nie wróci.

— Pani lęka się, że on nigdy nie wróci?

— Wiem, że nigdy nie wróci.

— Nie rozumiem. Odwróciła się i spojrzała w zdziwione, zatroskane oczy Karola. Patrzała długo, zdawać się mogło, że to jego zdziwienie sprawia jej przyjemność. Potem przeniosła wzrok na morze.

— Dawno już dostałam list. Ten pan jest... — znów umilkła, jak gdyby żałując, że za dużo powiedziała.

Naraz poszła, niemal pobiegła przez łączkę ku ścieżce.

— Panno Woodruff!

Zrobiła jeszcze parę kroków, po czym się obejrzała — jej oczy ponownie odpychały go i zarazem przyciągały. Głos jej wezbrał chrapliwą goryczą, skierowaną jednak zarówno przeciw niej samej, jak i przeciw Karolowi.

— Jest żonaty!

— Panno Woodruff!

Nie obejrzała się więcej. Został sam na środku polanki. Jego zdumienie było czymś zupełnie zrozumiałym, niezrozumiałe było tylko wyraźne poczucie winy. Jak gdyby zdradził wobec niej

bezduszny brak współczucia, gdy tymczasem pewien był przecież, że robił, co mógł, aby jej to współczucie okazać. Przez chwilę patrzył w kierunku, w którym Sara znikła. Potem odwrócił się i spojrzał na daleki bryg, jakby ów statek mógł udzielić mu odpowiedzi na tę zagadkę. Odpowiedzi jednak nie uzyskał.

Esplanada, piasek, łódzie,
Rozbawiony tłum
I wesoły szum
Rozmów tych, którym się powodzi;

Skały, zachód i rozmowy,
Morska sól, gwar słów,
Bywaj i bądź zdrów,
Orkiestra, walc salonowy.

A gdy nocą się zakradłem,
Wyszła ku mnie znów
Ta sama, bez słów...
Thomas Hardy, *At a Seaside Town in 1869*

Tego wieczora Karol siedział między panną Tranter a Ernestyną w miejscowym kasynie. Kasyno w Lyme nie było może zbyt okazałe w porównaniu z odpowiednimi gmachami w Bath i w Cheltenham, sprawiało wszakże bardzo przyjemne wrażenie przez swe ładne proporcje i szerokie okna z widokiem na morze. Niestety, stanowiło zbyt miłe i popularne miejsce spotkań towarzyskich, aby nie poświęcono go wielkiemu bóstwu brytyjskiemu, Użyteczności, toteż dawno już temu zostało zburzone przez Radę Miejską, troszczącą się jedynie o komunalne pęcherze, na jego miejscu zaś wzniesiono budynek, który śmiało może pretendować do miana najgorzej położonego i najbrzydszego ustępu publicznego na Wyspach Brytyjskich.

Proszę nie sądzić, że odłam obywateli Lyme, zbliżony poglądami do pani Poulteney, miał obiekcje tylko do frywolnej architektury kasyna. Kamieniem obrazy było przede wszystkim to, co się w kasynie działo. Grywali tam w wista panowie z cygarami w zębach, odbywały się bale i koncerty. Słowem, kasyno stanowiło zachętę do rozrywek, a pani Poulteney i jej podobni wiedzieli doskonale, że jedynym miejscem, w którym mieszkańcom przyzwoitego miasta wolno się zbierać, jest kościół. Kiedy w Lyme zburzono kasyno, wyrwano miastu jego serce a nikt dotychczas nie zdołał wprawić go na nowo.

Karol wraz ze swoimi paniami przyszedł do tego skazanego na zagładę budynku, aby posłuchać koncertu. Nie był to oczywiście — w Wielkim Poście — koncert muzyki świeckiej. Program składał się wyłącznie i nieubłaganie z muzyki kościelnej. Nawet to jednak gorszyło co ciaśniejsze umysły miasta Lyme, które głosiły, przynajmniej publicznie, iż Wielki Post należy obserwować nie mniej ściśle, niż najbardziej ortodoksyjni muzułmanie obserwują Ramadan. Było wtedy sporo pustych miejsc przed okoloną paprociami estradą głównej sali, w której odbywały się koncerty.

Nasza bardziej wolnomyślna trójka przyszła wcześniej, podobnie jak reszta publiczności, koncerty bowiem cieszyły się popularnością — w prawdziwie osiemnastowiecznym stylu przez wzgląd nie tylko na muzykę, lecz i na towarzystwo. Panie miały doskonałą sposobność oceniać i komentować ubiór sąsiadek, no i oczywiście popisywać się własnymi strojami. Nawet Ernestyna, mimo całej pogardy dla prowincji, uległa w tej dziedzinie próżności. Tu przynajmniej wiedziała, że niewiele będzie miała rywalek, jeżeli chodzi o elegancję i zbytkowność strojów, a spojrzenia pań, rzucane ukradkiem na jej „pierzoch” (nie uznawała staromodnych szerokoskrzydłych

kapturków) z jasnozielonymi i białymi wstążkami, na suknię *vert esperance*, na fiołkowo—czarną narzutkę, na sznurowane szkockie buciki, stanowiły miłą rekompensatę za nudę pobytu w Lyme.

Była tego wieczora w nastroju zuchwałym i filuternym. Spoglądając na wchodzących, Karol musiał jednym uchem wysłuchiwać komentarza panny Tranter, dotyczącego rezydencji, koneksji, rodowodów, drugim zaś złośliwych uwag Tiny, wygłaszanych *sotto voce*. Tamta dama, przypominająca z wyglądu Johna Bulla, mówiła ciotka, to „pani Tomkins, zacności osoba, trochę nie dosłyszysz, mieszka w domu powyżej Elm House, jej syn jest w Indiach”, gdy tymczasem inny głos informował go lapidarnie: „Okropna szkap”. Według Ernestyny na sali było znacznie więcej szkap aniżeli ludzi, a wszystkie czekały cierpliwie — bo na plotkach czas mile schodzi — chwili rozpoczęcia koncertu. Każda dekada wymyśla sobie takie użyteczne epitety: w latach sześćdziesiątych dziewiętnastego wieku „szkap” oznaczała wszystko, co „ponure i staroświeckie”, dzisiaj Ernestyna powiedziałaby zapewne o owych czcigodnych bywalczyńniach sal koncertowych „groźne szafy”, a przyznać trzeba, że pani Tomkins, zwłaszcza widziana z tyłu, niewątpliwie przypominała ten mebel.

Wreszcie jednak ukazała się niezmiernie dystygowana śpiewaczka z Bristolu wraz ze swoim akompaniatorem, jeszcze bardziej dystygowanym signorem Ritornello (czy coś w tym rodzaju, każdy pianista bowiem w owych czasach musiał być Włochem) i Karol mógł w spokoju zrobić rachunek sumienia.

Zaczął w każdym razie od rachunku sumienia, jak gdyby był to jego obowiązek, pod czym krył się wstydlivy fakt, że sprawiał mu on również przyjemność. W istocie rzeczy myśl o Sarze, a w każdym razie o zagadce, którą przedstawiała sobą Sara, stała się u Karola lekką obsesją. Kiedy zgłosił się na Broad Street, aby towarzyszyć paniom do kasyna, zamierzał czy też przeświadczony był, że zamierza — opowiedzieć im o przypadkowym spotkaniu, zastrzegając oczywiście, że nie powiedzą nikomu o przechadzkach Sary po Błoniach Gromadzkich. Jednakże chwila nie wydała się mu odpowiednia. Przede wszystkim trzeba było rozstrzygnąć zasadniczy spór, którego przedmiotem był szaleńczy pomysł Ernestyny, upierającej się przy włożeniu organdy, gdy panował jeszcze sezon wełny, a przecież maksyma: „nie włożysz organdy aż do maja” stanowiła jedno z dziewięciuset dziewięćdziesięciu dziewięciu przykazań doczepionych przez jej rodziców do podstawowych dziesięciu. Karol zbył sprawę komplementem, nie wspomniawszy jednak o Sarze głównie dlatego, że doszedł naraz do wniosku, iż w rozmowie z nią posunął się za daleko — więcej, zatracił wszelkie poczucie miary. Postąpił wręcz głupio pozwalając, aby źle pojęta rycerskość przesłoniła mu zdrowy sąd, a co najgorsza, wszystko to było już teraz diabelnie trudno Ernestynie wytłumaczyć.

Świadom był, że jego wybranka zdolna jest do niezwykle silnej, choć na razie uśpionej zazdrości. W najgorszym wypadku uzna, że postępowania jego nie da się niczym usprawiedliwić, i będzie na niego zła, w najlepszym zaś będzie mu tylko docinać, co również wcale nie będzie przyjemne. Nie miał ochoty słuchać docinków na ten temat. Może raczej mógłby zwierzyć się pannie Tranter. Ta z pewnością podzielała jego litościwą troskę o Sarę, ale znów obca jej była wszelka dwulicowość. Nie mógł poprosić jej, żeby nie mówiła o niczym Ernestynie, a gdyby Tina miała się dowiedzieć o spotkaniu z Sarą od ciotki, w ładnej znalazłby się sytuacji.

Nad innymi uczuciami, nad swoim stosunkiem do Ernestyny tego wieczora, nie śmiał się dłużej zastanawiać. Jej złośliwy dowcip nie tyle go drażnił, ile wydawał mu się dziwny i w przykry sposób sztuczny, jakby coś, co Ernestyna włożyła specjalnie na tę okazję do francuskiego kapelusza i nowej narzutki. Wymagał też od Karola reakcji... stosownego błysku oczach, ustawicznego uśmiechu, którym starał się jej odpowiadać, ale również w sposób sztuczny, miał tedy wrażenie, iż toną w podwójnym udawaniu. Może sprawił to posepny nastrój,

wywołany przez tak dużą dawkę Haendla i Parry'ego, lub nazbyt częste dysonanse między primadonną a jej akompaniatorem, w każdym razie Karol przyłapał się na tym, że zerka spod oka na siedzącą przy nim dziewczynę — że spogląda na nią, jak gdyby widział ją po raz pierwszy w życiu, jak gdyby była mu zupełnie obca. Owszem, bardzo ładna, czarująca ale czy ta twarz nie jest trochę pozbawiona charakteru, trochę monotonna przez ten niezmienny paradoks pozornej skromności i ironii? A jeżeli się odbierze jej te dwie cechy, co pozostanie? Jałowy, nudny egoizm. Karol odepchnął tę okrutną myśl, ledwie zaświtała mu w mózgu. Czyż jedynaczka bogatych rodziców może nie być egoistką? Ernestyna z pewnością wyróżnia się charakterem — czyż nie dlatego się w niej zakochał? na tle innych bogatych panien na wydaniu z towarzystwa londyńskiego. Ale czy to jedyne tło, jedyne targowisko żon? Do świętych artykułów wiary Karola należało przeświadczenie, że różni się bardzo od przeważającej większości równych sobie współczesnych. Dlatego właśnie tak wiele podróżował jego zdaniem, towarzystwo angielskie było zbyt zacofane, angielska powaga zbyt uroczysta, angielski sposób myślenia zbyt moralizatorski, angielska religia zbyt ciasna i fanatyczna. Więc cóż? Czy w tej najistotniejszej sprawie wyboru kobiety, z którą ma dzielić życie, nie okazał się aż nazbyt konwencjonalny? Zamiast postąpić najmądrzej, czy nie poszedł drogą najmniejszego oporu?

Co było w takim razie najmądrzejsze? Czekać.

Pod wpływem tej przykrej introspekcji zaczął litować się nad sobą — świetny umysł w potrzasku, ujarzmiony Byron — a jego myśl wróciła znów do Sary, do plastycznych wyobrażeń, do prób odtworzenia w pamięci jej twarzy, jej ust, tych wspaniałomyślnych ust. Budziły w nim niewątpliwie jakieś wspomnienia, zbyt nieuchwytnie, może zbyt ogólnikowe, aby mógł ustalić w swej przeszłości ich źródło, niepokoiły go wszakże i dręczyły, odwołując się do jakiegoś ukrytego ja, o którego istnieniu chyba nie wiedział. Mówił sobie: głupia historia, ale ta dziewczyna mnie pociąga. Wydawało mu się jasne, że nie Sara sama w sobie go pociąga — niepodobieństwo, skoro jest zaręczony—lecz jakieś wzruszenie, jakaś możliwość, którą uosabia. Sara uświadomiła mu, że coś utracił. Przyszłość wydawała mu się zawsze pełna nieograniczonych możliwości teraz stała się nagle z góry zaplanowaną podróżą do znanego miejsca. Sara mu o tym przypomniwała.

Łokieć Ernestyny natomiast przypomniwał mu delikatnie o chwili obecnej. Śpiewaczce należały się oklaski, Karol więc przyłączył się do nich bez entuzjazmu. Chowając znów ręce do mufki, Ernestyna zrobiła w jego kierunku ironiczną minkę ganiąc go w ten sposób za roztargnienie, a zarazem oceniając krytycznie okropny występ wokalistki. Karol uśmiechnął się do Tiny. Taka jest młoda, takie z niej dziecko. Nie może się na nią gniewać. Koniec końców, jest tylko kobietą. Tylu rzeczy nie potrafi nigdy zrozumieć: ani tego, jak bogate jest życie mężczyzny, ani jak bardzo trudno jest być kimś, dla kogo świat nie ogranicza się do sukien, domu i dzieci.

Wszystko się zmieni, kiedy już zostanie jego żoną, kiedy będzie ją miał w swoim łóżku, w swoim banku... no i oczywiście w swoim sercu.

Sam, służący Karola, rozmyślał w tej chwili o czymś wręcz przeciwnym — ile to rzeczy rozumie przeznaczona mu Ewa. Trudno dziś sobie wyobrazić, jak olbrzymie różnice dzieliły w owych czasach chłopca, urodzonego w londyńskiej dzielnicy Seven Dials, od córki woźnicy z zabitej deskami wioski w Devonshire. Zbliżenie między nimi było najeżone takimi przeszkodami, jak gdyby on był Eskimosem, a ona Zuluską. Jedno z nich tak często nie rozumiało, co mówi drugie, że trudno by wprost uwierzyć, iż posługują się tym samym językiem.

A przecież owa odległość, wszystkie owe przepaście, przez które nie przerzuciło jeszcze mostów radio, telewizja, tanie wycieczki turystyczne i cała reszta, nie były aż tak złą rzeczą. Ludzie mniej może o sobie nawzajem wiedzieli, ale też wywierali na siebie wzajem mniejszy

wpływ, a przez to byli bardziej zindywidualizowani. Cały świat nie był dla nich tylko guzikiem do włączania lub wyłączania. Obcy byli naprawdę obcy, czasem nawet intrygującą, piękną obcością. Może to lepiej dla ludzkości, żebyśmy się coraz więcej ze sobą komunikowali. Ale jestem heretykiem, sądzę, że izolacja, w której żyli nasi przodkowie, podobnie jak większa przestrzeń, z której korzystali, jest godna zazdrości. Świat teraz zbyt dosłownie napiera na nas ze wszystkich stron.

Sam Farrow, siedząc w bocznym pokoju jakiejś marnej piwiarni, potrafił udawać i udawał, że nikt tak jak on nie zna tajników wielkomiejskiego życia. Traktował z agresywną pogardą, wszystko, co nie pochodziło z zachodniej części Londynu, co nie miało tamtejszego szyku. Aliści w głębi ducha sprawa przedstawiała się inaczej. W głębi ducha był chłopcem łęklwym i nieśmiałym. Nie znaczy to, że nie był pewien, czym chce być (a chciał wznieść się znacznie wyżej ponad to, czym był teraz), nie wiedział tylko, czy wystarczy mu zdolności, aby osiągnąć cel.

Co się tyczy Mary, to z nią rzecz się miała wprost przeciwnie. Na początku Sam oczywiście ją olśnił — był istotą nieporównanie wyższego gatunku i jej przekomarzenie się z nim stanowiło tylko samoobronę przed tak wyraźną przewagą kulturalną, przed odwieczną wielkomiejską umiejętnością nawiązywania kontaktu, zmiatania z drogi przeszkód, forsowania tempa wydarzeń. Cechował ją z gruntu solidny charakter, szczerą pewnością siebie, świadomość, że będzie w swoim czasie dobrą żoną i dobrą matką, znała się też na ludziach, wiedziała na przykład doskonale, o ile więcej jest warta panna Tranter od swej siostrzenicy. Bądź co bądź była chłopką, a chłopcy mają znacznie więcej do czynienia z realnymi wartościami niż miejscy heloci.

Spodobała się Samowi w pierwszej chwili dlatego, że była wiosennym dniem po bezbarwnych „panienkach od wiechcia” i „wesołych dziewczynkach”¹, które składały się dotychczas na jego doświadczenie erotyczne. Pod tym względem nie brakowało mu pewności siebie — jak nie brakuje jej większości cockneyów. Miał piękne, czarne włosy nad intensywnie błękitnymi oczami i jasną, świeżą cerę. Był szczupły, delikatnej budowy, ruchy miał lekkie i ładne, chociaż z tendencją do przesadnego naśladowania niektórych gestów Karola, zdaniem Sama szczególnie wielkopańskich. Rzadko która kobieta nie obejrzała się za nim, lecz z bliższej znajomości z dziewczętami londyńskimi nie wyniósł nic prócz odbicia własnego cynizmu. Najbardziej też oszołomiła go i zbiła z nóg autentyczna niewinność Mary. Znalazł się w sytuacji psotnego chłopca, który puszcza ludziom w oczy zajęczki słoneczne — i pewnego razu robi to komuś, kto jest zbyt łagodny i dobry, aby wolno go było tak traktować. Zapragnął nagle być z Mary po prostu sobą i odkrywać stopniowo, jaka ona jest.

Nagle to wzajemne głębsze rozpoznanie nastąpiło owego ranka pamiętnej wizyty u pani Poulteney. Sam i Mary zaczęli od rozmowy na temat swoich „miejsc”, czyli od omawiania zalet i wad pana Karola i panny Tranter. Mary wyraziła pogląd, że Sam ma szczęście, iż służy u tak cudownego pana. Sam zaoponował, a potem ku własnemu zdumieniu zaczął opowiadać tej nędznej dojarce coś, z czego dotychczas zwierzał się tylko sobie.

Ambicja jego była bardzo prosta: chciał zostać kupcem i mieć własny sklep z galanterią męską. Nie potrafił nigdy minąć takiego sklepu, żeby nie przystanąć i nie obejrzeć wystaw, krytykując je lub podziwiając zależnie od okoliczności. Sądził, że ma nosa, jeżeli chodzi o modę męską. Bywał za granicą z Karolem, podpatrzył to i owo z zakresu galanterii...

O tym wszystkim (a także o swym najwyższym podziwie dla pana Freemana) opowiedział dość chaotycznie — nie pominął też wielkich przeszkód: braku pieniędzy, braku wykształcenia. Mary słuchała skromnie. Domyślała się, że ma przed sobą zupełnie innego Sama, domyślała się, jaki zaszczyt ją spotkał, że tak szybko wolno jej było go ujrzeć. Sam czuł, że za dużo mówi, ale ile razy zerknął nerwowo na Mary, lękając się drwiącego skrzywienia ust, parsknięcia śmiechem,

najlejszej oznaki szyderstwa z jego absurdalnych rojeń, widział tylko nieśmiały uśmiech i życzliwą sympatię szeroko rozwartych oczu, ponagających go, żeby mówił dalej. Mary czuła się w tej chwili potrzebna, a dziewczyna, która czuje się potrzebna, jest już w połowie zakochana.

Nadeszła chwila, kiedy musiał już iść, choć zdawało mu się, że dopiero co przyszedł. Wstał, a ona uśmiechnęła się do niego, tym razem znów figlarnie. Chciał powiedzieć, że nigdy i z nikim jeszcze nie mówił o sobie tak swobodnie — i tak serio. Nie mógł jednak znaleźć odpowiednich słów.

— No, dobra. Chyba się jutro rano spotkamy.

— Może.

— Pewno ma panna konkurenta i tak dalej.

— Żadnego takiego, co by mi się naprawdę podobał.

— Założę się, że ma panna konkurenta. Coś o tym słyszałem.

— Ot, ludzie zawsze gadają. Starczy raz spojrzeć na mężczyznę, już się zaczyna gadanie.

Sam obracał w palcach melonik.

— Wszędzie jest tak samo. — Nastąpiła pauza. Spojrzał jej w oczy. — Nie jestem taki najgorszy?

— Nigdy nie mówiłam, że najgorszy.

Znów milczenie. Sam obmacał palcami całe rondo melonika.

— Znałem dużo dziewczyn. Różnych. Ale żadnej takiej jak panna.

— O taką nietrudno.

— Ja nie widziałem. Aż dotąd. — Znów zapadło milczenie. Mary nie patrzyła na niego, lecz na rąbek swego fartuszka. — To jak będzie z Londynem? Chce panna zobaczyć Londyn?

Mary uśmiechnęła się wesoło i energicznie skinęła głową.

To panna zobaczy. Jak się ci z góry pobiorą. Już ja pannę oprowadzę.

— Naprawdę?

Sam na to mrugnął, a Mary szybko zasłoniła ręką usta. Jej oczy nad rumianymi policzkami tryskały radością.

— Tam w Londynie tyle aligańskich pańienek, że kawaler na pewno nie będzie chciał ze mną chodzić.

— Jakby panna miała takie same suknie, toby nie była gorsza. Nic by nie była gorsza.

— Ot, nie wierzę.

— Niech skonam.

Oczy ich spotkały się na długą chwilę. Wreszcie Sam uklonił się wytwornie i przycisnął melonik do lewej piersi.

— A demen, madmazel.

— Co to znowu?

— To jest po francusku i znaczy: jutro rano na Coombe Street”, gdzie niżej podpisany będzie czekał.

Mary odwróciła się, nie była w stanie spojrzeć na niego. Sam szybko zaszedł ją z tyłu, ujął jej rękę i podniósł do ust. Dziewczyna wyrwała rękę i zerknęła na nią, jakby jego usta mogły zostawić ślad sadzy. Znów spojrzeli na siebie. Mary przygryzła swoje ładne usta. Sam raz jeszcze mrugnął i wyszedł.

Czy nazajutrz rano spotkali się, mimo wyraźnego zakazu Karola, tego nie wiem. Później tego dnia, kiedy Karol wyszedł z domu panny Tranter, zobaczył, że Sam przedziwnym zbiegiem okoliczności czeka na przeciwległej stronie ulicy. Karol wykonał rzymski gest ułaskawienia, a Sam zdjął melonik i znów przyłożył go z szacunkiem do serca — niczym przed konduktem żalobnym i z tą tylko różnicą, że uśmiechał się od ucha do ucha.

Każę mi to znów wrócić do wieczora, w którym tydzień później odbył się koncert, i do tego, czemu Sam doszedł do tak odmiennych wniosków na temat płci żeńskiej niż jego pan. Sam bowiem znów siedział w kuchni panny Tranter. Niestety, tym razem obecna była przyzwoitka w osobie kucharki. Przyzwoitka jednak mocno spała w swym fotelu przed otwartym paleniskiem pieca kuchennego. Sam i Mary siedzieli w najciemniejszym kącie kuchni. Nie rozmawiali. Nie mieli potrzeby rozmawiać, ponieważ trzymali się za ręce. Ze strony Mary była to właściwie samoobrona, przekonała się bowiem, że tylko w ten sposób może powstrzymać rękę Sama od obejmowania jej kibici. Dlaczego Sam mimo tej okoliczności i mimo milczenia uznał, że Mary tak doskonale go rozumie, jest tajemnicą, której żadnemu zakochanemu nie trzeba tłumaczyć.

¹[„Panienska od wiehcia” była to służąca, która w godzinach wolnych od pracy uprawiała prostytutkę, „wesola dziewczynka” to zwykła prostytutka — i takie właśnie znaczenie ma słynny rysunek Leecha z 1857 roku. Na rysunku tym dwie smutne kobiety stoją pod deszczem „w odległości mniej niż stu mil od Haymarket”. Jedna nich zwraca się do drugiej: „Słuchaj, Fanny, od jak dawna jesteś wesola?”]

18

Trudno się dziwić, że ci, których oko społeczeństwa zazwyczaj nie dostrzega i których serce społeczeństwa częstokroć odtrąca, zapominają niekiedy o prawach przez to społeczeństwo narzuconych.

Dr John Simon, *City Medical Report (1849)*

Ukląkłem, zanurzając dłonie,
 Jakbym się napić chciał z potoku,
 I zdało mi się, że koło mnie
 Trwa mglista postać o zgasłym wzroku.
 Thomas Hardy, *On a Midsummer Eve*

Upłynęły dwa dni, w ciągu których młotki Karola leżały beczynn timer w plecaku. Zakazał sobie wszelkich myśli o skamielinach czekających na odkrycie, jako też skojarzonych teraz z nimi myśli o kobietach uśpionych na występach zalanych słońcem. Trzeciego dnia wszakże Ernestyna dostała migreny i w wyniku tego Karol niespodziewanie znów miał wolne popołudnie. Wahał się chwilę, co z nim począć, ale wydarzenia rozgrywające się przed jego oczami, gdy stał w oknie wykuszowym swego pokoju, były bardzo nieliczne i ogromnie nudne. Szydł zajazdu — biały lew z pyskiem niedożywionego pekińczyka i wyraźnym podobieństwimer do pani Poulteney, dostrzeżonym przez Karola już przedtem — spoglądał na niego tępo. Pogoda była dość wietrzna, ale i dość słoneczna, sklepienie chmur unosiło się zbyt wysoko, aby miał grozić deszcz. Karol zamierzał pisać listy, ale poczuł, że wcale nie ma na to ochoty.

Prawdę mówiąc, nie miał właściwie na nic ochoty. Ogarnęło go naraz wściekłe pragnienie włączęgi, z którego, jak sądził, wyrósł już w ostatnich latach. Chciałby znaleźć się w Kadyksie, w Neapolu, w Morei, wśród płomiennej śródziemnomorskiej

wiosny, nie tylko jednak dla tej wiosny, lecz żeby się czuć wolnym, żeby mieć przed sobą niezliczone tygodnie wędrówki żeglugi ku wyspom, góróm, ku błękitnym cenióm Nieznanego.

W pół godziny później mijał już mleczarnię i wkraczał na lesiste tereny Błoni Gromadzkich. Mógł pójść w innym kierunku? Owszem, niezawodnie. Z całą surowością zabronił sobie zbliżać się do polanki nad urwiskiem; jeżeli spotka pannę Woodruff, postąpi w sposób grzeczny, lecz stanowczy, jak powinien był postąpić przy ostatnim spotkaniu — mianowicie nie da się wciągnąć do rozmowy. W każdym razie było rzeczą oczywistą, że panna Woodruff chodzi zawsze na to samo miejsce, miał więc pewność, że jej nie spotka, jeśli będzie się trzymał od tego miejsca z daleka.

Zgodnie z tym założeniem skręcił znacznie wcześniej na północ, w górę naturalnego wzniesienia, i ruszył przez rozległy las jesionów obrośniętych bluszczem. Jesiony były olbrzymie, największe chyba spośród spotykanych w Anglii, z egzotycznie wyglądającymi koloniami paprotek w rozwidleniach konarów. To właśnie rozmiary tych drzew podsunęły zaborczemu dżentelmenowi myśl o utworzeniu na skarpie arboretum. Karol w jakiś miły sposób czuł się karzełkiem, idąc wśród tych gigantów ku niemal pionowym ścianom kredowym, wznoszącym się powyżej na zboczu. Humor wyraźnie mu się poprawił, zwłaszcza gdy pierwsze pokłady krzemienia zaczęły się wyłaniać spod szczyru i obrazkowca, okrywających ziemię dywanem. Od razu niemal znalazł okaz *Echinocoris scutata*. Okaz co prawda w złym stanie... nosił bowiem zaledwie ślady jednego z pięciu deseni koncentrycznych, kropkowanych linii,

zdobiących idealną skamielinę. Jednakże było to lepsze niż nic i Karol, zachęcony, zaczął nachylać się i przystawać w poszukiwaniu innych okazów.

Dotarł stopniowo do stóp stromizny, gdzie osypiska krzemienia były największe i znalezienie nieuszkodzonych skamielin bardziej prawdopodobne. Pozostał na tym poziomie, posuwając się w kierunku zachodnim. Miejscami bluszcz był bardzo gęsty — okrywał zarówno ścianę urwiska, jak gałęzie pobliskich drzew, i zwisał nad głową Karola niczym szeroka, postrzępiona zasłona. W pewnym miejscu musiał przedzierać się przez coś na kształt tunelu tej zieleni, na którego końcu znajdowała się polanka z niedawno utworzonym stosem krzemienia. Tam najpewniej można było liczyć na skamieliny, Karol zabrał się więc do metodycznego badania terenu, okolonego ze wszystkich stron gęstymi krzewami jeżyn. Spędził na tym zajęciu około dziesięciu minut w zupełnej ciszy, jeśli nie liczyć porykiwania cielęcia, dobiegającego z jakiegoś pastwiska w górze, szumu skrzydeł i gruchania gołębi leśnych oraz ledwie słyszalnego plusku morza gdzieś w dole za drzewami. Naraz posłyszał odgłos spadającego kamienia. Obejrzał się, nic nie zauważył i doszedł do wniosku, że to kawałek krzemienia musiał spaść z góry. Szukał jeszcze przez kilka minut, aż nagle niewytłumaczona intuicja, będąca może szczątkiem jakiegoś daru, który posiadaliśmy w paleolitycznej przeszłości, podpowiedziała mu, że nie jest sam. Rozejrzał się szybko dokoła. Sara stała powyżej niego, w odległości około czterdziestu jardów, tam gdzie kończył się tunel bluszczowy. Nie wiedział, od jak dawna tam stoi, przypomniał sobie jednak ów odgłos sprzed kilku minut. Przez chwilę był wprost przerażony wydawało się niesamowite, że zjawiała się tak cicho. Nie nosiła wprawdzie podkutych butów, ale i tak musiała się poruszać bardzo ostrożnie. Chciała go widocznie zaskoczyć, a tym samym musiała celowo iść za nim.

— Panno Woodruff! — Karol uchylił kapelusza. — Skąd pani tutaj?

— Widziałam, jak pan przechodził.

Przesunął się w górę piargów nieco bliżej niej. Znow trzymała kapelusz w ręce. Włosy miała rozsypane, jakby wiatr je zburzył, ale wiatru przecież nie było. Te włosy w nieładzie przydawały jej wyrazu pewnej dzikości, który wzmagała jeszcze uporczywość spojrzenia. Karol zadał sobie pytanie, czemu właściwie sądził, że ona nie jest ani trochę pomyłona.

— Ma mi pani... coś do powiedzenia?

Znow owo uporczywe spojrzenie, ale tym razem nie gdzieś poprzez niego, lecz skierowane wprost na niego. Sara miała jedną z tych szczególnych twarzy kobiecych, które raz są ładne, a raz brzydkie, zależnie od nieuchwytnych czynników, jak kąt nachylenia, oświetlenie, nastrój. W tej chwili oddała jej olbrzymią przysługę ukośna wiązka białych promieni słonecznych, co przebiły się przez małe rozdarcie w chmurach, jak to się często zdarza późnym popołudniem angielskim. Promienie oświetliły jej figurę stojącą na tle ciemnej zieleni i twarz jej stała się nagle bardzo piękna, prawdziwie piękna, niezmiernie poważna, a zarazem pełna wewnętrznego i zewnętrznego światła. Karol przypomniał sobie, że pewien wieśniak w pobliżu Gavarnie w Pirenejach twierdził, że tak właśnie widział Matkę Boską, stojącą na wzgórku przy jego drodze... zaledwie kilka tygodni przedtem, nim Karol tamtędy przechodził. Wieśniak zaprowadził go na to miejsce — Było najzupełniej niepozorne. Gdyby Jednak stanęła przed nim taka postać jak ta!

Postać wszakże najwidoczniej miała bardziej przyziemną misję. Sięgnęła do kieszeni płaszcza i pokazała mu trzymane po jednym w każdej ręce doskonałe okazy jeżowców *Micraster* Wspiął się dość blisko, żeby je rozpoznać. Potem spojrzał ze zdumieniem na jej poważną twarz. Przypomniał sobie — owego ranka u pani Poulteney mówił pokrótce o paleontologii, o wielkim znaczeniu jeżowców. Przeniósł znow wzrok na okazy które Sara trzymała w rękach.

— Nie weźmie ich pan? Nie nosiła rękawiczek i palce ich zetknęły się. Karol obejrzał jeżowce, ale myślał tylko o dotknięciu zimnych palców.

— Jestem niewymownie wdzięczny. Są w doskonałym stanie.

— Takich właśnie pan szuka?

— Właśnie takich.

— Czy to były niegdyś muszle morskie? Zawahał się chwilę, potem wskazał na odpowiednie części lepiej zachowanego okazu: otwór gębowy, płytki, nóżki ambulakralne, odbył. Gdy tak mówił, a ona słuchała z powagą i zainteresowaniem, niechęć jego rozviała się. Dziewczyna wyglądała może dziwnie, ale umysł — jak dowodziło kilka zadanych przez nią pytań — miała najzupełniej jasny i bardzo jej było daleko do obłąkania. Wreszcie Karol pieczołowicie schował okazy do kieszeni.

— Bardzo to ładnie z pani strony, że ich pani szukała.

— Nie miałam nic lepszego do roboty.

— Zamierzałem już wracać. Czy wolno mi dopomóc pani wspiąć się na ścieżkę?

Sara nie poruszyła się.

— Chciałam także, panie Smithson, podziękować panu... za propozycję pomocy.

— Ponieważ jej pani nie przyjęła, jestem tym bardziej obowiązany.

Nastąpiła krótka pauza. Karol wyminął Sarę i rozdzielał laską ścianę bluszczu, żeby ułatwić jej przejście. Sara jednak stała bez ruchu, patrząc wciąż na polankę w dole.

— Nie powinnam była iść za panem.

Karol żałował, że nie może zobaczyć jej twarzy.

— Myślę, że lepiej będzie, jeśli odejdę — rzekł.

Nie odezwała się, zrobił więc krok w kierunku bluszczu. Nie mógł jednak powstrzymać się od ostatniego spojrzenia na Sarę. Patrzyła na niego przez ramię, jak gdyby ciało nie pochwalowało wyrazu twarzy i odwracało się od takiego bezwstydu — spojrzenie bowiem, mimo iż miało w sobie coś z dawnego wyrzutu, intensywnością swoją bliższe było raczej wołaniu o ratunek. Oczy były pełne bólu... i zadawały ból, malowała się w nich krzywda, skarga okrutnie pogwałconej słabości. Nie oskarżały Karola o wyrządzenie krzywdy, lecz o to, iż tej krzywdy nie dostrzega. Przez długą chwilę stali tak, skuci wzrokiem, wreszcie Sara, zarumieniona, powiedziała patrząc w ziemię pomiędzy nimi:

— Nie mam się do kogo zwrócić.

— Miałem nadzieję, że przekonałem panią, iż panna Tranter...

— Jest niesłychanie dobra. Ale mnie nie potrzeba dobroci.

Zapadła cisza. Karol wciąż stał, rozdzielając laską ścianę bluszczu.

— Podobno proboszcz jest człowiekiem bardzo rozsądnym.

— To on zaprowadził mnie do pani Poulteney.

Karol stał przy bluszczu jak przy drzwiach. Unikał jej oczu, usilnie szukając w myśli słów, którymi mógłby ją pożegnać.

— Jeżeli pozwoli mi pani porozmawiać w swojej sprawie z panną Tranter, uczynię to jak najchętniej... ale byłoby rzeczą bardzo niewłaściwą, gdybym...

— Gdyby interesował się pan dłużej moją sytuacją.

— Tak, to właśnie miałem na myśli. — Sara odwróciła natychmiast głowę, odbierając te słowa jako napomnienie. Karol bardzo wolno usunął laskę, girlandy bluszczu opadły z powrotem.

— Nie rozważała pani ponownie mojej propozycji opuszczenia Lyme?

— Gdybym pojechała do Londynu, wiem, czym bym się stała. — Karol zeszywniał. — Stałabym się tym, czym się staje w wielkich miastach tyle kobiet, które utraciły swą cześć. — Teraz zwróciła się do niego wprost, twarz jej zaczerwieniła się jeszcze bardziej. — Stałabym się tym, czym już mnie w Lyme nazywają.

Było to okropne, niestosowne w najwyższym stopniu.

— Ależ droga panno Woodruff... — mruknął Karol. Policzki miał teraz równie czerwone.

— Jestem słaba. Zdaję sobie z tego sprawę. Przecież zgrzeszyłam — dodała z goryczą.

Nowe to zwierzenie, uczynione człowiekowi obcemu w takich warunkach, sprawiło, że Sara straciła w oczach Karola wszystko, co zyskała, słuchając uważnie jego wykładu o skamieniałych jeźowcach. Miał jednak dwa okazy w swojej kieszeni, coś niecoś przecież był jej winien, a przy tym słowa te w dziwny sposób pochlebily jakiemuś głęboko w nim ukrytemu „memu Karolowi. Poczul się jak duchowny, którego ktoś prosi rozstrzygnięcie wątpliwości moralnych.

Spojrzał na okuty koniec laski.

— Czy lęk przed takim losem trzyma panią w Lyme?

— Po części.

— Ten fakt, o którym wspomniała pani tamtym razem przed odejściem... Czy ktoś jeszcze o nim wie?

— Gdyby ktoś wiedział, nie pominąłby sposobności, żeby mi o tym powiedzieć.

Nastąpiła dłuższa pauza. W stosunkach międzyludzkich zdarzają się przełomowe chwile: coś, co było dotychczas jedynie obiektywną sytuacją, określaną w myśli za pomocą na poły literackich terminów, zaliczaną po prostu do tej czy owej kategorii (alkoholik, kobieta z przeszłością itp.), staje się czymś subiektywnym, niepowtarzalnym, czymś empatycznie i natychmiastowo współodczuwanym raczej aniżeli postrzeganym. Takiej metamorfozie uległ Karol, gdy patrzył na pochyloną głowę stojącej przed nim grzesznicy. Podobnie jak większość z nas w takich chwilach — komuż się nie zdarzyło, że go ktoś po pijanemu zaczął ścisnąć? — postarał się czym prędzej, acz w sposób dyplomatyczny, przywrócić *status quo*.

— Ogromnie pani współczuję. Ale wyznam, że nie rozumiem, czemu pragnie pani uczynić mnie... że tak powiem... swoim powiernikiem.

Zaczęła wówczas — jak gdyby spodziewała się tego pytania — mówić szybko, niczym recytując jakiś tekst, jakąś wyuczoną na pamięć litanię:

— Bo pan dużo podróżował. Bo pan jest wykształcony. Bo pan jest dżentelmenem. Bo... bo, sama nie wiem, żyję wśród ludzi, jak wszyscy twierdzą, zacnych, pobożnych, dobrych chrześcijan. A mnie się oni wydają okrutniejsi od najokrutniejszych pogan, głępsi od najgłępszych zwierząt. Nie mogę uwierzyć, że taka jest prawda. Że życie musi być pozbawione wzajemnego zrozumienia i współczucia. Że nie ma istot dość wspaniałomyślnych, aby zrozumieć, ile wycierpiałam i dlaczego cierpię... i że bez względu na to, jakie popełniłam grzechy, nie jest rzeczą słuszną, abym musiała tak cierpieć.

Zapadło milczenie. Karol, nie przygotowany na tak precyzyjnie sformułowaną relację o stanie jej uczuć, na ten dowód tak bardzo nieprzeciętnej inteligencji, której istnienia tylko się domyślał, nie mówił teraz nic. Sara odwróciła się od niego i powiedziała nieco już spokojniej:

— Mogę być szczęśliwa tylko wtedy, kiedy śpię. Kiedy się budzę, zaczyna się koszmar. Czuję się porzucona na bezludnej wyspie, uwięziona, skazana, a nie wiem, za jaką zbrodnię.

Karol patrzył na nią z przerażeniem, jak człowiek, którego lada chwila ma pochłoniąć lawina, jak gdyby chciał uciekać, a nie mógł, chciał przemówić, ale nie zdołał wydobyć dźwięku.

Sara nagle spojrzała mu prosto w oczy.

— Dlaczego urodziłam się tym, czym jestem? Dlaczego nie urodziłam się panną Freeman? — Zaledwie wymówiła to nazwisko, odwróciła się, czując, że się posunęła za daleko

— Tego pytania lepiej byłoby nie zadawać.

— Nie miałam na myśli...

— Zawiść jest do wybaczenia w pani...

— Nie, nie zawiść. Po prostu to dla mnie niepojęte.

— W tej sprawie ani ja, ani nikt z ludzi znacznie mędrszych ode mnie nie może pani pomóc.

— Nie wierzę, nie chcę w to uwierzyć.

Karolowi zdarzało się, że kobiety — częstokroć nawet sama Ernestyna — spierały się z nim żartobliwie. Ale było to zawsze żartem. Kobieta nie przeczyła zdaniu mężczyzny, gdy mówił poważnie, chyba że czyniła to w słowach bardzo oględnych. Sara natomiast zakładała najwyraźniej coś na kształt równości intelektualnej między nimi, i to w sytuacji, w której powinna była okazywać Karolowi największy szacunek i uległość, jeżeli chciała osiągnąć swój cel. Poczul się znieważony, poczul się... nie umiał tego określić. W logicznej konkluzji tych uczuć powinien by z miną stanowczą a oziębłą uchylić kapelusza i odejść, tupiąc podkutymi butami. Mimo to wciąż stał jak wryty. Być może miał zbyt ustalone wyobrażenie o tym, jak wygląda syrena, i o otoczeniu, w jakim się ukazuje — długie sploty, nieskalana alabastrowa nagość, rybi ogon, a obok Odyseusz z twarzą, jaką chętnie by widziano w najbardziej ekskluzywnych klubach. Na skarpie nie było wprawdzie świątyn doryckich, lecz przed Karolem stała Kalipso.

— No i uraziłam pana — wyszeptwała.

— Wprawia mnie pani w zakłopotanie, panno Woodruff. Nie wiem, czego więcej może się pani po mnie spodziewać poza tym, co sam ofiarowałem się dla pani uczynić. Rozumie pani chyba, że wszelka bliższa znajomość między nami... choćby w intencjach najniewinniejsza... jest w mojej obecnej sytuacji najzupełniej niemożliwa.

Znów milczenie. Gdzieś w górze, w zielonej kryjówce gałęzi, roześmiał się dziecięć, szydząc z dwojga znieruchomiałych dwunożnych.

Czyż... czyż zdałabym się tak całkowicie na pańską łaskę, gdybym nie była w ostatecznej rozpacz?

O rozpacz nie wątpię. Ale przynajmniej niechże pani przyzna, iż pani żądanie jest niepodobieństwem. Dotychczas zresztą nie orientuję się dokładnie, na czym to żądanie polega — dodał po pauzie.

— Chciałabym opowiedzieć panu o tym, co zdarzyło się półtora roku temu.

Milczenie. Sara czekała na jego reakcję. Karol znów zeszytniał. Niewidzialne pęta opadły i konwencjonalna część jego natury wzięła górę. Wyprostował się niczym posąg zgorzenia, nieufności, dezaprobaty, a przecież coś w jego oczach szukało u niej wyjaśnienia, pobudki... Gdy jednak zdawało mu się, że Sara powie zaraz coś więcej, chciał się już obrócić na pięcie i bez dalszych słów zniknąć w gęstwinie bluszczu. Wówczas Sara, jakby odgadując jego zamiar, uczyniła rzecz najbardziej nieoczekiwaną — padła na kolana.

Karol zmartwił z przerażenia — wyobrażał sobie, co mógłby pomyśleć ktoś, kto by obserwował ich z ukrycia. Cofnął się o krok, żeby nie stać na widoku. Sara, rzecz dziwna, wydawała się zupełnie spokojna. W postawie jej nie było nic z hysterii. Tylko oczy stały się jeszcze bardziej intensywne oczy bez słońca, oblane zawsze księżycową poświatą.

— Panno Woodruff!

— Błagam pana. Nie jestem jeszcze obłąkana. Ale jeżeli nie znajdę pomocy, oszaleję.

— Proszę się opanować. Gdyby nas ktoś zobaczył...

— Pan jest moim ostatnim ratunkiem. Pan nie jest okrutny, wiem, że nie jest pan okrutny.

Patrzył na nią chwilę, potem rozejrzał się z przerażeniem, podszedł, zmusił ją, żeby wstała i przytrzymując sztywno za łokieć, zaprowadził pod osłonę bluszczu. Stała przed nim, zasłaniając twarz rękami, a że serce ludzkie zawsze z bezlitosną szybkością atakuje ludzki umysł, Karol musiał stoczyć ze sobą walkę, żeby jej nie dotknąć.

— Doprawdy nie jestem nieczuły na pani zmartwienie. Ale rozumie pani chyba, że nie mam... nie mam wyboru.

Zaczęła mówić szybko, półgłosem.

— Proszę tylko, żeby pan raz jeszcze się ze mną spotkał. Będę tu przychodziła codziennie po południu. Nikt nas nie zobaczy. — Karol próbował coś jej perswadować, ale nie pozwoliła sobie przerwać. — Pan jest dobry, pan rozumie to, czego nie potrafi zrozumieć nikt w Lyme. Niech mi pan pozwoli skończyć. Przed dwoma dniami omal nie uległam szaleństwu. Czułam, że muszę pana zobaczyć, muszę z panem pomówić. Wiem, gdzie się pan zatrzymał. Byłabym poszła tam i zapytała o pana, gdyby... gdyby na szczęście jakaś resztką rozsądku nie kazała mi zatrzymać się przed drzwiami.

Ależ to niestychane. Jeśli się nie mylę, grozi mi pani teraz

Sara gwałtownie potrząsnęła głową.

— Wolałabym umrzeć, niżby miał pan o mnie coś podobno pomyśleć. Chodzi o to... Nie wiem, jak to powiedzieć, chyba rozpacz podsuwa mi myśli o tak okropnych rzeczach. Sama jestem sobą przerażona. Nie wiem, dokąd się zwrócić, co począć, nie mam nikogo, kto mógłby... zaklinam pana... czy nie może pan zrozumieć?

Karol myślał teraz jedynie o tym, jak wydostać się z tarapatów w których się znalazł, jak uciec przed tymi bezlitośnie szczerymi, przed tymi obnażonymi oczami.

— Muszę iść. Czekają mnie na Broad Street.

— Ale przyjdzie pan jeszcze?

— Nie mogę nic obiecać.

— Bywam tutaj zawsze w poniedziałki, środy i piątki. Kiedy nie mam innych obowiązków.

— To, o czym pani mówi... Muszę postawić jako warunek, aby panna Tranter...

— Nie mogłabym powiedzieć prawdy w obecności panny Tranter.

— W takim razie to nie nadaje się także dla uszu osoby zupełnie obcej... w dodatku płci odmiernej.

— Osoba zupełnie obca... i płci odmiernej jest częstokroć najmniej stronniczym sędzią.

— Tuszę, że postaralibyśmy się ocenić jak najbardziej wyrozumiale pani postępowanie, powtarzam jednak, że zdumiony jestem...

Sara wciąż patrzyła na niego, toteż stopniowo zabrakło mu słów i umilkł. Jak państwo już pewno zauważyli, Karol posługiwał się różnego rodzaju słownictwem. Innym z Samem z rana, innym z Ernestyną przy wesołym obiedzie, innym tutaj, w roli strażnika konwenansów. Słowem, jednoczył w sobie trzech różnych ludzi, a zanim dojdziemy do końca, poznamy jeszcze inne jego wcielenia. Można to wytłumaczyć z punktu widzenia biologii wyrażeniem Darwina: ubarwienie ochronne, mimetyzm, utrzymanie się jednostki przy życiu przez upodobnienie się do otoczenia — czy też przez podporządkowanie się bezspornym nakazom epoki lub kasty społecznej.

Możemy też wytłumaczyć tę ucieczkę pod ochronę form światowych z punktu widzenia socjologii. Gdy się człowiek ślizgał ustawicznie po tak rozległych obszarach cienkiego lodu — jak powszechny ucisk ekonomiczny, lęk przed sprawami erotycznymi, zalew rozwijającej się techniki — zdolność przemykania oczu na własną niedorzeczną sztywność był cechą niezbędną. Bardzo niewielu wiktoriańców kwestionowało zalety mimetyzmu, natomiast spojrzenie Sary wręcz je przekreślało. Spojrzenie to, zarazem odważne i nieśmiałe, kryło w sobie całkiem nowoczesny zwrot: „Bądź sobą, Karolu, bądź sobą!” Wytrąciło ono Karola z równowagi. Ernestyna i jej podobne zachowywały się zawsze tak, jakby były ze szkła kruche i łamliwe nawet wtedy, kiedy ciskały tomikami poezji. Zachęcały do noszenia maski, do zachowywania dystansu, a ta dziewczyna mimo pozorów pokory domagała się zerwania maski. Teraz na Karola przyszła kolej spuścić oczy.

— Proszę tylko o jedną godzinę pańskiego czasu. Dostrzegł inny argument ukryty za podarowanymi mu jeżowcami — takich dwóch okazów niepodobna „było znaleźć w ciągu godziny.

— Gdybym przyszedł, aczkolwiek z największymi oporami...

Domyśliła się i przerwała mu cicho:

— Oddałby mi pan taką przysługę, że usłuchałabym każdej rady, jakiej zechciałby mi pan udzielić.

— Nie wolno nam jednak dłużej ryzykować...

Sara znów skorzystała z małej pauzy, jaką zrobił, szukając dostatecznie oficjalnego zwrotu.

— To rozumiem. A także i to, że ma pan znacznie pilniejsze obowiązki.

Promienie słońca zakończyły swą krótką iluminację i znikły. Dzień chylił się ku zimnemu wieczorowi. Karol doznał wrażenia, że droga, którą szedł przez szeroką równinę, stała się naraz wąską ścieżką nad przepaścią. Odczuł to, patrząc na pochyloną głowę Sary. Nie potrafiłby określić, co go zwiodło na manowce, jaki błąd popełnił przy odczytywaniu mapy, czuł się jednak zarówno zwiedziony, jak i zagubiony. Jednocześnie sam się przecież skazał na następne szaleństwo.

— Nie mam słów, żeby panu podziękować — rzekła Sara. — Będę tutaj w te dni, o których mówiłam. — Potem, jak gdyby polanka była jej salonem, dodała: — Nie chcę pana dłużej zatrzymywać.

Karol uklonił się, zawahał, raz jeszcze spojrzął na nią przeciągle, po czym odszedł. W kilka chwil później przedzierał się już przez dalsze zasłony bluszczu i potykał się, zbiegając ze stromego zbocza, podobny raczej do przestraszonego jelenia aniżeli do wytwornego angielskiego światowca.

Dotarł do głównej ścieżki wiodącej przez skarpe i pomaszerował szybko do Lyme. Gdzieś w górze odezwało się wołanie sowy, symbolu mądrości. Karolowi jednak zdawało się, że spędził popołudnie w sposób wyjątkowo wręcz niemądry. Powinien był zdobyć się na stanowczość, odejść znacznie wcześniej, zwrócić okazy jeżowców, podsunąć Sarze — ba, narzucić — inne wyjście z rozpaczliwej sytuacji. Czuł się oszukany, wyprowadzony w pole, miał nawet ochotę zatrzymać się i poczekać na nią, żeby wszystko odwołać. Ale nogi niosły go coraz prędzej.

Był pewien, że wdaje się w sprawy zakazane, a raczej, że zakazane sprawy biorą go we władanie. Im bardziej oddalał się od Sary w czasie i przestrzeni, tym wyraźniej widział, jak szaleńcze jest jego postępowanie. Jak gdyby mając ją przed sobą tracił wzrok, jak gdyby nie widział wtedy, kim ona jest, nie dostrzegał, że jest kobietą ogromnie niebezpieczną, może bezwiednie, lecz wskutek skrajnej frustracji uczuciowej, a pewno także i buntu przeciw istniejącemu porządkowi społecznemu.

Wszelako tym razem nie zastanawiał się nawet, czy ma opowiedzieć o wszystkim Ernestynie. Wiedział, że nic jej nie powie. Palił go taki wstyd, jak gdyby wcale jej nie uprzedzając, wsiadł przy molo na statek i odplynął do Chin.

19

Ponieważ w każdym gatunku rodzi się daleko więcej osobników, niż może przeżyć, i ponieważ na skutek tego powstaje pomiędzy nimi walka o byt, osobnik, który pod wpływem skomplikowanych i nieraz zmiennych warunków zmieni się nieznacznie, lecz w sposób korzystny dla siebie, będzie miał więcej widoków na utrzymanie się przy życiu i w ten sposób ulegnie działaniu doboru naturalnego.

Karol Darwin, *O powstawaniu gatunków* (1859)

Nieszczęśnik zmierzający do Chin miał w rzeczywistości tego wieczora wydać małe przyjęcie, które wraz z Ernestyną zaplanował jako niespodziankę dla ciotki Tranter. Obydwie panie miały przyjść na obiad do jego salonu w gospodzie „Pod Białym Lwem”. Przygotowano smakowite, pierwsze tego roku homary, ugotowano świeżo złowionego łososia, wydobyto z piwnic gospody najprzedniejsze trunki, doktora zaś, którego spotkaliśmy kiedyś przelotnie u pani Poulteney, uproszono, aby obecnością swoją podtrzymał należytą równowagę płci.

Doktor, jeden z największych oryginałów w Lyme, uważany był powszechnie za zdobywcę na polu matrymonialnym nie mniejszą aniżeli w wodach rzeki Axe stanowił łosoś, do którego konsyliarz zasiadł tego wieczoru. Ernestyna dokuczała ciotce niemiłosiernie, zarzucając tej gołębiego serca kobiecie okrucieństwo w stosunku do samotnego biedaka wzdychającego do jej ręki. Ponieważ jednak tragiczny ów bohater radził sobie jakoś z samotnością przez sześćdziesiąt lat, a może i więcej, wolno nam wątpić zarówno o wzdychaniu, jak i o okrucieństwie.

W istocie rzeczy doktor Grogan był równie zatwardziałym kawalerem, jak ciotka Tranter starą panną. Ten stuprocentowy Irlandczyk posiadał w wysokim stopniu właściwą swej nacji zdolność dziwnie bezpłciowego flirtu, przelatywania z kwiatka na kwiatek i prawienia komplementów rodzajowi niewieściemu, nie angażując w to nigdy serca. Drobnny, suchy, szorstki, niekiedy nawet zacietrzewiony, ale łatwo odzyskujący humor i swobodę w miłej kompanii, odgrywał w kołach towarzyskich Lyme rolę środka tonizującego, zawsze bowiem czaił się, aby skoczyć i przygwoździć każde wypowiedziane głupstwo, gdy jednak kogoś lubił, czynił to z dobrotliwym, krzepiącym dowcipem człowieka, który zna życie i nauczył się wyrozumiałości dla innych. Miał też w sobie coś zagadkowego, urodził się bowiem katolikiem, operując więc kategoriami naszych czasów przypominał kogoś, kto niegdyś, w latach trzydziestych, był komunistą — niby to człowiek już zrehabilitowany, ale wciąż jeszcze naznaczony diabelskim piętnem. Wiadomo było — czyżby w innym wypadku pani Poulteney dopuściła go przed swoje oblicze? — że jest teraz (podobnie jak Disraeli) szacownym członkiem Kościoła anglikańskiego. Musiało tak być, gdyż (w przeciwieństwie do Disraelego) skrupulatnie chodził co niedziela rano do kościoła. Mieszkańcy Lyme nie potrafili sobie oczywiście wyobrazić, żeby ktoś był tak obojętny na sprawy religii, a zarazem tak fałszywy, iż mógłby chodzić do meczetu lub do synagogi, gdyby któreś z tych miejsc stanowiło główną świątynię oficjalnego kultu. Doktor Grogan był zresztą bardzo dobrym lekarzem, znającym gruntownie najważniejszą gałąź medycyny — psychikę pacjentów. Tyranizował tych, którzy w głębi duszy pragnęli być tyranizowani, poza tym zaś uspokajał, podnosił na duchu lub przymykał oczy na różne sprawki, zależnie od każdego indywidualnego przypadku.

Nikt w Lyme nie cenił wyżej dobrego jedzenia i dobrego wina, a że uczta zaoferowana przez Karola i właściciela gospody „Pod Białym Lwem” uzyskała jego aprobatę, przejął dyskretnie rolę gospodarza. Studiował niegdyś w Heidelbergu, praktykował w Londynie, toteż znał świat i jego śmieszności, jak tylko potrafi je znać inteligentny Irlandczyk — innymi słowy, gdy zawodziła

go znajomość rzeczy lub pamięć, lukę niezwłocznie wypełniała imaginacja. Nikt nie brał na serio wszystkich jego opowiadanków, każdy jednak z największą przyjemnością ich słuchał. Ciotka Tranter przypuszczalnie знаła je lepiej niż ktokolwiek w Lyme, łączyła ją bowiem z doktorem wieloletnia przyjaźń, orientowała się też na pewno, jak bardzo różni się każda nowa wersja od poprzedniej, ale to ona właśnie śmiała się najserdeczniej, chwilami tak głośno, że strach mnie ogarnia, kiedy pomyślę, co by się stało, gdyby usłyszała ją przypadkiem ostoja społeczności, mieszkająca w domu na wzgórzu.

Wieczór ten w normalnych warunkach upłynąłby Karolowi bardzo mile, po części dlatego, że gdy już ze smakowitego łososia zostały szczątki i panowie skierowali uwagę na karafkę wybornego porto, doktor zaczął pozwalać sobie w swych opowieściach na pewną swobodę w doborze wyrażen i tematów, będącą niezupełnie *comme il faut* w eleganckim towarzystwie, na którego ozdobę wychowano Ernestynę. Karol zauważył, że jego narzeczona była kilka razy wyraźnie zgorzonna, ciotka Tranter zaś nie zdradzała żadnych oznak zgorznienia, toteż ogarnęła go naraz tęsknota za mniej sztywnymi i rygorystycznymi obyczajami z czasów młodości dwójga starszych państwa, którzy dotychczas przy okazji chętnie do tego swobodnego nastroju powracali. Obserwując filuterne oczy doktora i wesołość ciotki Tranter, poczuł wprost mdłości na myśl o swoich własnych czasach z ich dławiącymi konwenansami, z ich uwielbieniem nie tylko maszyny w znaczeniu dosłownym, stosowanej w transporcie i przemyśle, lecz znaczącej groźniejszej maszyny nowego układu społecznego.

Mogłoby się zdawać, że chwalebny ten obiektywizm ma bardzo niewiele wspólnego z zachowaniem się Karola tego popołudnia. Karol nie sformułował co prawda swoich myśli w sposób tak bezwzględny, ale nie był też całkiem ślepy własny brak konsekwencji. Teraz, przerzucając się na temat, mówił sobie, że potraktował pannę Woodruff nazbyt serio, wyolbrzymił całą sprawę, zamiast ją zbagatelizować. Okazywał tedy szczególną troskliwość Ernestynie, wprawdzie już niecierpiącej, lecz nie tak ożywionej jak zwykle, chociaż trudno powiedzieć, czy było to skutkiem porannej migreny, czy irlandzkich wyskoków konwersacyjnych doktora. Jednakże znów, podobnie jak na koncercie, doznał wrażenia, że Ernestyna ma w sobie coś płytkiego — że jej bystrość nie wypływa z walorów intelektualnych, lecz ze zwykłego spryciku. Czy pod tą afektowaną mieszaniną skromności i błyskotliwości nie kryje się automat, jakaś przemyślnie skonstruowana mechaniczna dziewczyna z *Opowieści Hoffmanna*?

Zaraz wszakże pomyślał: Ernestyna jest tu dzieckiem wśród trojga dorosłych — i pod osłoną mahoniowego stołu uściśnił jej rękę. Kiedy się rumieniła, była urocza.

Obaj panowie, wysoki Karol, przypominający sylwetką, nieboszczyka księcia Alberta, i chudy, drobny doktor, w końcu odprowadzili panie do domu. Było pół do jedenastej, życie towarzyskie w Londynie dopiero się o tej porze rozpoczynało, tutaj jednak miasto dawno już spało głębokim snem. Kiedy drzwi zamknęły się przed ich uśmiechniętymi obliczami, pozostali tylko we dwóch na całej Broad Street.

Doktor przyłożył palec do nosa.

A teraz, mój panie, przepisuję panu solidny grog, sporządzony moją własną fachową ręką. *Dulce est desipere** [*Słodko jest być głupim (łac).], jak mówi poeta. Wynika stąd, że słodko jest zapomnieć o mądrościach i popić sobie w cichym zakątku.

Karol uśmiechnął się.

Jeżeli przyrzeka pan, że grog będzie lepszy od łaciny, to z największą przyjemnością.

Takim sposobem Karol po dziesięciu minutach siedział już wygodnie na drugim piętrze w pokoju, nazywanym przez doktora Grogana jego „chatką” — czyli w gabinecie z oknem weneckim wychodzącym na pas wybrzeża między Cobb Gate a falochronem. Pokój ten, jak

twierdził Irlandczyk, nabierał szczególnego uroku w lecie dzięki widokowi nereid, które przychodziły tu zażywać kąpiele. Cóż może być miłszego dla doktora, jak zgodnie ze swą powinnością zapisywać pacjentkom kurację będącą równocześnie radością dla jego oczu? Na stole w wykuszu leżał niewielki a zgrabny mosiężny teleskop. Doktor na ułamek sekundy wysunął koniuszek języka i mrugnął filuternie.

— Wyłącznie do celów astronomicznych, rzecz jasna.

Karol wychylił się z okna, wciągnął w nozdrza słone powietrze i obracając głowę w prawo, dostrzegł na plaży kwadratowe czarne zarysy maszyn kąpielowych, z których zapewne wylaniały się nereidy. Jediną muzyką głębin był tej nocy szmer przyływu omywającego nabrzeżny żwir i gdzieś w oddali chrapliwe, choć przytłumione nawoływanie mew kołyszących się na spokojnej wodzie. Za sobą, w oświetlonym lampą pokoju słyszał pobrzękiwanie towarzyszące zabiegom Grogana przy przyrządzaniu „lekarstwa”. Poczul się zawieszony między dwoma światami, między zacisną, uporządkowaną cywilizacją za plecami a chłodną, nieprzeniknioną tajemniczością napierającą z zewnątrz. Wszyscy piszemy wiersze; rzecz po prostu w tym, że poetami nazywa się tych spośród ludzi, którzy piszą je słowami.

Grog był doskonały, towarzyszące mu birmańskie cygaro stanowiło miłą niespodziankę, w dodatku zaś obaj panowie żyli jeszcze w świecie, w którym ludzi obcych sobie, lecz wykształconych łączył wspólny zakres wiedzy, wspólnota informacji z dobrze znanym zestawem reguł i związanych z tym znaczeń. Który dzisiejszy lekarz zna pisarzy starożytnych? Który amator zdoła porozumieć się z naukowcami? W ówczesnym świecie nie istniała jeszcze tyrania specjalizacji, a nie chciałbym — i nie chciałby też doktor Grogan, jak się za chwilę przekonamy — aby państwo mylnie utożsamiali pojęcie postępu z pojęciem szczęścia.

Przez chwilę nie mówili nic, pogrążając się z rozkoszą w owym męskim, poważnym świecie, który na czas wieczoru spędzonego w towarzystwie pań musieli opuścić. Karol pomyślał, że ciekaw jest poglądów politycznych doktora, aby więc zbliżyć się do tematu, spojrział na dwa popiersia świecące bielą wśród książek gospodarza i zapytał, czyje też mogą one być.

Doktor uśmiechnął się.

— *Quisque suos patimur manes*. To Wergiliusz, a znaczy mniej więcej: „Przez wybór bogów wykuwamy swój los.”* [* Wergiliusz, *Eneida*, 6, 743.]

Karol odpowiedział uśmiechem.

— Poznaję Benthama** [* Jeremy Bentham (1748—1832) — angielski filozof, ekonomista i prawnik, twórca doktryny etycznej, zwanej utilitaryzmem (termin ukuty przez Johna Stuarta Milla), zgodnie z którą za główny cel moralnego postępowania stawia się pożytek — dobro jednostki lub dobro ogółu.], czy tak?

— Zgadza się. A ta druga bryła marmuru to Wolter.

— Wyprowadzam stąd wniosek, że popieramy tę samą partię. Doktor spojrział na niego badawczo.

— Czy Irlandczyk ma coś do wyboru? Karol przyznał gestem, że nie, po czym wyluszczył powody, dla których on sam czuje się liberałem.

— Mam wrażenie, że pan Gladstone dostrzega przynajmniej, jak przegniłe są zasady etyczne naszych czasów.

— Na Boga, nie siedzę chyba w towarzystwie socjalisty?

— Na razie jeszcze nie — roześmiał się Karol.

— Musi pan wiedzieć, że w tych czasach pary i hipokryzji mogę wybaczyć człowiekowi wszystko — prócz witalizmu*** [*** *Witalizm* — teorie biologiczne i filozoficzne XIX w., zakładające, iż zjawisk życiowych nie da się wytłumaczyć samymi czynnikami materialnymi, ale że należy uwzględnić jeszcze istnienie czynników niematerialnych (np. *vis vitalis* — siła witalna, entelechia).]

— Ach, tak! Bardzo słusznie.

— Jako młody człowiek byłem benthamistą. Wolter wygnał mnie z Rzymu, Bentham z obozu torysów. Jednak ta nowa blaga — zmiana prawa wyborczego — to już nie dla mnie. Nic sobie nie robię z pochodzenia. Książę czy tam król może być równie głupi jak każdy inny człowiek. Ale wdzięczny jestem matce naturze, że za pięćdziesiąt lat nie będę już żył. Kiedy rząd zaczyna się bać motłochu, oznacza to, że boi się sam siebie. — Oczy doktora zamigotały. — Słyszał pan, co powiedział pewien mój rodak do czartysty* [*Czart y z m — pierwszy masowy radykalny ruch robotników angielskich (1836 r.), domagający się demokratyzacji ustroju, prawa wyborczego dla mężczyzn, poprawy bytu robotników (od *People's Charter* — Karta Ludu — dokumentu formułującego te żądania). Ruch ten rozpadł się po r. 1848.], który pojechał do Dublinu, żeby tam głosić swoje credo? „Bracia — zawołał czartysta — czyż każdy z was nie jest równie dobry jak kto inny?” „Słuszna racja, panie mówco — krzyknął w odpowiedzi nasz Paddy — nawet grubo lepszy!” — Karol uśmiechnął się, ale doktor podniósł w górę spiczasty palec. — Uśmiecha się pan, drogi panie. Proszę jednak zważyć: Paddy miał rację i nie należy go lekceważyć. To „grubo lepszy” będzie grobem Anglii. Zapamiętaj pan moje słowa.

— Ale czy pańskie bogi domowe są tu zupełnie bez winy? Któż to prawil o szczęściu jak najszerszego ogółu?

— Nie kwestionuję zasady, lecz sposób, w jaki usiłujemy wprowadzić ją w życie. Za moich młodych lat obywaliśmy się doskonale bez „żelaznego cywilizatora” (doktor miał przez to na myśli kolej żelazną). Nie uszczęśliwia się ogółu, każąc mu biegać, zanim jeszcze nauczył się chodzić.

Karol przez grzeczność bąknął coś, co miało wyrażać zgodę. W swoim czasie natrafił na podobne czułe miejsce u swego stryja, człowieka najzupełniej odmiennych poglądów politycznych. Wielu spośród tych, co walczyli o pierwsze projekty reformy prawa wyborczego w latach trzydziestych dziewiętnastego wieku, zwalczało je w trzydzieści lat później. Czuli, że stulecie przeżarte jest oportunizmem i dwulicowością, które zrodziły groźnego ducha zawiści i buntu. Być może doktor, urodzony w 1801 roku, był w istocie reliktem humanizmu z epoki królowej Anny — nazbyt ściśle wiązał pojęcie postępu z ładem społecznym, za ład zaś uważał wszystko, co pozwalało mu być tym, czym zawsze był. W rzeczywistości tedy stał znacznie bliżej kryptoliberala Burkego** [** Edmund B u r k e (1729—1797) — polityk angielski urodzony w Irlandii, sympatyk walki o niepodległość kolonii angielskich w Ameryce Północnej (późniejszych Stanów Zjednoczonych) oraz katolików irlandzkich, przeciwnik Rewolucji Francuskiej.] niż kryptofaszysty Benthama. Jego pokolenie nie było w takim znów wielkim błędzie, jeśli chodzi o podejrzliwy stosunek do nowej Brytanii i jej mężów stanu, co wyrosli podczas długiej koniunktury gospodarczej po roku 1850. Wielu młodych ludzi, nieznanymi jak Karol lub słynnymi jak Matthew Arnold, zgadzało się w tym względzie z ludźmi starszymi. Czyż nie słyszano, jak rzekomo nawrócony Disraeli na łożu śmierci mruczał po hebrajsku modlitwy za zmarłych? A czyż Gladstone pod płaszczykiem świetnego krasomówstwa nie był największym w dziejach nowoczesnej polityki mistrzem dwuznacznych wypowiedzi, śmiałych oświadczeń, w istocie rzeczy podszytych tchórzostwem? Tam, gdzie najlepsi są zagadką nie do rozwiązania, najgorsi... ale najwyraźniej czas już zmienić temat. Karol zapytał, czy doktor interesuje się paleontologią.

— Nie, łaskawy panie. Najlepiej przyznam się od razu. Nie chciałem psuć nastroju przy dzisiejszym wyśmienitym obiedzie, ale jestem stanowczo neontologiem. — Uśmiechnął się do Karola z głębin swego fotela. — Kiedy już będziemy więcej wiedzieli o żyjących, wtedy będzie czas na to, żeby zająć się zmarłymi.

Karol przyjął napomnienie, a zarazem skorzystał ze sposobności.

— Przed kilku dniami napotkałem okaz miejscowej flory, który skłania mnie do tego, abym częściowo się z panem zgodził. — Tu przebiegle zrobił pauzę. — Bardzo dziwny przypadek. Pan z pewnością wie o nim więcej ode mnie. W tej chwili zorientował się, że tak okólne podejście może nasunąć myśl o czymś poważniejszym od zwykłego zainteresowania, dodał więc szybko: — Nazywa się bodajże Woodruff. Jest podwładną pani Poulteney.

Doktor spojrział na srebrny, opatrzony uszkiem koszyczek, w którym trzymał swoją szklanę.

— Ach, tak. Biedna Tragedia.

— Czy to niedyskrecja z mojej strony? Ona jest może pańską pacjentką?

— No cóż, leczę panią Poulteney. A o tej dziewczynie nie pozwoliłbym powiedzieć złego słowa.

Karol zerknął na niego ostrożnie. Tak, bez wątpienia, w oczach doktora za kwadratowymi okularami zapaliły się płomyki gniewu. Karol uśmiechnął się leciutko i spuścił wzrok.

Doktor Grogan nachylił się i pogrzebaczem poprawił ogień na kominku.

— Wiemy więcej o skamielinach leżących na plaży niż o tym, co dzieje się w duszy tej dziewczyny. Jest pewien mądry doktor — Niemiec, który niedawno podzielił melancholię na kilka różnych typów. Pierwszy nazywa melancholią wrodzoną. Rozumie przez to, że ktoś rodzi się ze smutnym usposobieniem. Drugi nazywa melancholią okolicznościową, rozumie przez to, że powstaje ona wskutek jakiegoś wypadku. Na taką melancholię wszyscy czasem cierpimy, jak panu zapewne wiadomo. Trzeci typ nazywa melancholią niezbadaną. Biedaczysko chce przez to powiedzieć, że nie ma pojęcia, co, u licha, ją powoduje.

Ale ona miała powody, prawda?

Niechże pan da spokój! Czyż jest pierwszą kobietą, którą ktoś porzucił? Mógłbym panu pokazać tuzin innych tutaj, w Lyme.

— Porzuconych w tak brutalny sposób?

— Niektóre w sposób dużo gorszy. A dzisiaj są wesolutkie jak szczygiełki.

— Więc pannę Woodruff zalicza pan do kategorii niezbadanej?

Doktor milczał przez chwilę.

— Wezwano mnie... wszystko to, sam pan rozumie, mówię w najściślejszym zaufaniu... wezwano mnie do niej przed dziesięcioma miesiącami. Zorientowałem się od razu, w czym rzecz — łyż bez powodu, uporczywe milczenie, wyraz oczu. Melancholia wyraźna jak odra. Znałem jej historię, znam Talbotów, była tam guwernantką, kiedy to się zdarzyło. No i sądzę, że przyczyna jest jasna — sześć tygodni, sześć dni w Marlborough House wystarczy, żeby najnormalniejszego człowieka doprowadzić do obłądu. Między nami mówiąc, stary poganin ze mnie. Nie miałbym nic przeciwko temu, żeby ten przybytek pobożności spalił się do cna, i to wraz ze swoją właścicielką. Słowo daję, że odtańczyłbym na zgliszczach tryumfalnego jiga.

— Sądzę, że chętnie bym się do pana przyłączył.

— I dalipan, nie bylibyśmy odosobnieni. — Doktor pociągnął gniewnie haust grogu. — Całe miasto by wyległo. To oczywiście nie ma nic do rzeczy. Zrobiłem dla dziewczyny, co mogłem. Wiedziałem jednak, że jest tylko jeden ratunek.

— Zabrać ją stamtąd.

Doktor energicznie skinął głową.

— W dwa tygodnie później wracam pewnego popołudnia do domu, a ta mała idzie akurat w kierunku molo. Zapraszam ją do środka, rozmawiam z nią, jestem dla niej serdeczny niczym dla ukochanej siostrzenicy. Wszystko jak groch o ścianę. Ani rusz, Powiadam panu, ani rusz! A próbowałem na nią wpłynąć nie tylko czczą gadaniną. Mam kolegę w Exeter, kochany chłop z przemiłą żoną i czworgiem malców jak aniołki. Otóż ten kolega szukał właśnie guwernantki. Powiedziałem jej o tym.

— I nie chciała wyjechać!

— Za nic w świecie. Tak to jest, widzi pan. Pani Talbot jest niewiastą gołębiego serca, byłaby z początku przyjęła dziewczynę z powrotem. Ale nie, ta idzie do domu, o którym musi wiedzieć, że to piekło na ziemi, do pani, która nie zna różnicy między służącą a niewolnicą, na posadę, która jest cierniowym łóżem. No i tkwi tam, nie da się stamtąd ruszyć. Nie uwierzy mi pan, ale może pan zaproponować tej dziewczynie tron angielski, a stawiam tysiąc funtów przeciwko pensowi, że potrząśnie tylko głową.

— Ależ... ależ to niepojęte. Odrzuciła, jak pan mówi, taką ofertę, a myśmy się właśnie nad czymś podobnym zastanawiali. Matka Ernestyny...

— Zmarnuje tylko na próżno czas, drogi panie, choć nie wątpię, iż jest damą godną najwyższego szacunku. — Doktor uśmiechnął się ponuro do Karola, po czym dolał do szklanek grogu z kociołką wiszącego na kołku. — Poczciwy doktor Hartmann opisuje podobne przypadki. O jednym zwłaszcza pisze coś bardzo interesującego. Wdowa, o ile pamiętam, młoda wdowa z Weimaru. Mąż, oficer kawalerii, zginął w wypadku na ćwiczeniach. Widzi pan, są pewne analogie. Kobieta przywdziała ciężką żałobę. Bardzo pięknie. Rzecz zupełnie zrozumiała. Jednak ta żałoba ciągnęła się, proszę pana, bez końca, rok po roku. W domu nic nie wolno było zmienić. Ubrania zmarłego wciąż wisiały w szafie, jego fajka leżała przy jego ulubionym fotelu, nawet adresowane do niego listy, które nadeszły już po jego śmierci... tam... — doktor wskazał w ciemności za plecami Karola — tam... na tej samej srebrnej paterze, nierozpieczętowane, żółknące, rok po roku. — Urwał i znów uśmiechnął się do Karola. — Pańskie amonity nigdy nie będą kryły takich tajemnic jak ta. Ale oto, co pisze Hartmann.

Doktor stanął nad Karolem i swoim spiczastym palcem wskazywał mu słowa.

— „Należałoby sądzić, że dla tej kobiety melancholia stała się nałogiem, jak dla kogoś innego nałogiem staje się zażywanie opium.” Teraz rozumie pan, jak to jest? Smutek staje się jej szczęściem. Ona chce być sakralną ofiarą. Tam, gdzie pan i ja cofamy się z przerażeniem, ona biegnie naprzód. Jest opętana, rozumie pan. — Doktor usiadł znowu. — Zagadkowa sprawa. Najzupełniej zagadkowa.

Obaj mężczyźni milczeli. Karol wrzucił do ognia niedopałek cygara, który na chwilę rozbłysnął jasnym płomieniem. Zadając następne pytanie, Karol czuł, że nie ma odwagi spojrzeć doktorowi w oczy.

— I nikomu nie zwierzała się ze stanu swego ducha?

— Najbliższą jej przyjaciółką jest z pewnością pani Talbot. Jednak pani Talbot twierdzi, że dziewczyna nawet jej nie mówi ani słowa. Pochlebiam sobie... ale ponad wszelką wątpliwość poniosłem porażkę.

— A gdyby... powiedzmy, gdyby zdołała odsłonić swe uczucia komuś, kto jej współczuje...

— Byłaby uleczona. Ale ona nie chce się wyleczyć. To równie jasne, jak gdyby odmawiała brania lekarstw.

— Ale w takim wypadku przypuszczalnie byłby pan zmusił...

— A jak zmusić duszę, młodzieńcze? Może mi pan powiedzieć? — Karol wzruszył bezradnie ramionami. — Oczywiście, że nie. Ale ja panu coś powiem. Lepiej, że tak jest. Przemoc nigdy nie rodzi porozumienia.

— Więc panna Woodruff jest przypadkiem nieuleczalnym?

— W tym sensie, jaki pan nadaje tym słowom, tak. Medycyna jest tu bezsilna. Nie wolno nam sądzić, że panna Woodruff jest taka sama jak my, mężczyźni, że potrafi logicznie rozumować, badać swoje pobudki, rozumieć, dlaczego tak się zachowuje. Trzeba patrzeć na nią jak na osobę

blakającą się we mgle. Możemy tylko czekać i spodziewać się, że mgła się rozwieje. Wtedy być może... — Doktor umilkł. Potem dodał tonem pozbawionym nadziei: — Być może...

W tej samej chwili pokój Sary tonie w ponurej ciszy, spowijającej Marlborough House. Sara śpi, zwrócona na prawo, rozsypane ciemne włosy niemal zasłaniają jej twarz. Znów widzimy, jak spokojne są jej rysy, jak nie mają w sobie ani krzty tragizmu — młoda, zdrowa kobieta lat dwudziestu sześciu lub dwudziestu siedmiu, z krągłym ramieniem wysuniętym spod kołdry i odrzuconym na bok, bo noc jest ciepła, a okna zamknięte... odrzuconym na bok, jak powiadam, i spoczywającym na leżącym obok ciele.

Nie na ciele mężczyzny, nie. Na ciele dziewczyny mniej więcej dziewiętnastoletniej, również uśpionej, odwróconej do Sary plecami, lecz przytulonej do niej, gdyż łóżko acz szerokie, nie jest przeznaczone dla dwóch osób.

Zaświtała państwu pewna myśl, ale zapominają państwo, że jesteśmy w roku 1867. Przypuśćmy, że pani Poulteney z lampą w reku stanęłyby nagle w drzwiach i ujrzała te dwa czule do siebie przytulone ciała. Wyobrażają sobie państwo zapewne, że nadęłyby się niczym rozwścieczony czarny łabędź i zapalałaby oburzeniem, ciskając klątwę na głowy grzesznic, widzą już państwo, jak te dziewczęta, odziane tylko w swoje ubożuchne koszule nocne, wypędzane są za granitową bramę.

Otóż bardzo się państwo mylą. Ponieważ pani Poulteney, jak wiemy, zażywała co wieczór solidną dawkę laudanum, rzecz jest trudna do sprawdzenia, ale gdyby mimo wszystko stanęła tam w drzwiach, z pewnością zawróciłaby po prostu i odeszła — co więcej, być może nawet przymknęłaby cicho drzwi, żeby nie budzić śpiących dziewcząt.

Niepojęte? Ależ niektóre zboczenia były w owych czasach czymś tak przeciwnym naturze, że w ogóle nie istniały. Wątpię, czy pani Poulteney słyszała kiedykolwiek słowo „lesbijka”, a gdyby nawet je znała, kojarzyłoby się jej z wyspą Lesbos w Grecji i na tym koniec. Ponadto żywiła niezłomne przekonanie, że kobiety nie odczuwają rozkoszy fizycznej. Był to dla niej fakt tak samo niezaprzeczony, jak to, że ziemia jest okrągła lub że doktor Phillpotts jest biskupem Exeter. Wiedziała oczywiście, że kobiety niższego stanu lubią męskie pieszczoty w rodzaju owego ohydneho pocałunku, który ongi chłopiec stajenny wycisnął na policzku Mary, uważała to jednak za wynik kobiecej próżności i kobiecej słabości. prostytutki istniały, o czym ustawicznie jej przypominała tylekroć wychwalana działalność filantropijna lady Cotton, należało je wszelako traktować jako istoty zdeprawowane, którym żądza pieniędzy każe pokonywać odrazę do spraw cielesnych. Tak też z miejsca oceniła Mary — dziewczyna skwitowała chichotem okropną zniewagę, zadaną jej przez chłopca stajennego, tym samym więc miała wszelkie zadatki na prostytutkę.

Ale co możemy powiedzieć o pobudkach Sary? Co się tyczy miłości lesbijskiej, nie miała pojęcia o jej istnieniu, podobnie jak pani Poulteney, nie podzielała jednak wstrętu pani Poulteney do spraw cielesnych. Wiedziała, a przynajmniej domyślała się, że miłość daje też rozkosz fizyczną. Sądzę jednak, że była w tym względzie najzupełniej niewinna i naiwna. Sypianie z Millie zaczęło się wkrótce potem, gdy biedna pokojówka dostała ataku nerwowego w obecności pani Poulteney. Doktor Grogan zalecił, aby zabrano ją ze wspólnej sypialni pokojówek i dano jej widniejszy pokój. Tak się złożyło, że obok pokoju Sary była od dawna nieużywana ubieralnia, w niej też umieszczono Millie, Sara zaś otoczyła anemiczną dziewczynę specjalną, a niezbędną troską.

Millie była córką oracza, czwartym z jedenaściorga dzieci, które wraz z rodzicami cierpiały nędzę nie do opisania w wilgotnym, krzywym, dwupokojowym domku, stojącym w jednej z owych dolin, co rozchodzą się promieniście z posępnego Eggardonu. Domek stanowi obecnie własność wziętego młodego architekta londyńskiego; przyjeżdża on tam na weekendy i jest

zachwycony tym odludnym, wiejskim pustkowiem, być może więc jego radość zatrze pamięć o wiktoriańskich okropnościach, które niegdyś się tam działy. Chciałbym, aby tak było. Owe wizje zadowolonego z życia robotnika rolnego i jego trzódki, tak modne dzięki George'owi Morlandowi* [*George Morland (1763—1804) — malarz angielski, malował krajobrazy i sceny z życia wiejskiego.] i jemu podobnym (około roku 1867 arcyzbrodniarzem był Birket Foster** [**Miles Birket Foster (1824—1899) — angielski akwarelista, grafik i ilustrator.]) stanowiły równie kretyńską i szkodliwą sentymentalizację, a tym samym ukrywanie rzeczywistości, jak za naszych czasów szkodliwy i głupi jest sentymentalny obraz „prawdziwego życia”, prezentowany przez filmy z Hollywood. Jedno spojrzenie na Millie i jej dziesięcioro nieszczęsnych siostr i braci spaliłoby na popiół mit o szczęśliwym wieśniaku, lecz na spojrzenie to zdobywało się bardzo niewiele osób. Każda epoka w poczuciu winy otacza wysokim murem swój Wersal, a ja osobiście najbardziej nie cierpię tych murów, gdy wznosi je literatura i sztuka.

Pewnego wieczora Sara usłyszała, że dziewczyna płacze. Weszła do jej pokoju i pocieszyła ją, co nie było trudne, bo Millie pod każdym względem prócz wieku była zupełnym dzieckiem — nie umiała czytać ani pisać, a na ludziach znała się akurat tyle co pies — jeżeli ją ktoś pogłaskał, była wdzięczna, jeżeli dostała kopniaka, cóż, takie jest życie. Noc była zimna, Sara więc po prostu wśliznęła się do łóżka, wzięła dziewczynę w ramiona, pocałowała ją i dosłownie pogłaskała po głowie. Millie przypominała jej wątłe jagnięta, które Sara tak często pielęgnowała, zanim ambicje ojca wyгнаły z ich życia tak niegodne szlachecka zajęcia. Jeśli zaś chodzi o córkę oracza, porównanie z chorym jagnięciem było wyjątkowo trafne.

Od tego czasu jagnię przychodziło dwa lub trzy razy w tygodniu i patrzyło na Sarę żałośnie. Millie źle sypiała, gorzej od Sary, która niekiedy kładła się spać sama jedna, o świcie zaś budziła się i znajdowała dziewczynę obok siebie, tak bowiem cichutko i ostrożnie Millie gdzieś o północy, nie mogąc znieść okropnej samotności, wślizgiwała się na swoje miejsce. Biedaczka bała się ciemności i gdyby nie Sara, poprosiłaby, żeby ją przeniesiono z powrotem do wspólnej sypialni na górze.

Serdeczny ten związek był niemal pozbawiony słów. Dziewczyny rzadko kiedy odzywały się do siebie, a i wówczas rozmawiały tylko o najpospolitszych sprawach domowych. Wiedziały, że najważniejsza jest ta ciepła, milcząca współobecność w ciemnościach. Czy musiało być w tych stosunkach coś erotycznego? Być może, ale dziewczyny nie posuwały się nigdy dalej, niżby się posunęły siostry. Bez wątpienia tu i ówdzie, w innym środowisku, w najbardziej zezwierzęconej warstwie biedoty miejskiej, w najbardziej wyzwolonych sferach arystokracji, istniała już wtedy orgiastyczna miłość lesbijska, możemy jednak przypisać wspólne sypianie kobiet, zjawisko w epoce wiktoriańskiej powszechnie spotykane, raczej czelnej bucie ówczesnego mężczyzny aniżeli jakimś bardziej podejrzanym pobudkom. Poza tym, czyż w takich otchłaniach samotności jakiegokolwiek porozumienie nie jest bliższe humanizmowi niż perwersji?

Niechże więc śpią dalej te dwa niewiniątka, a my powrócimy do tamtej pary w pokoju nad morzem, mądrzejszej, bardziej wykształconej i należącej do nieporównanie wyższej płci.

Dwaj panowie stworzenia porzucili temat panny Woodruff oraz nieco dwuznaczne metafory dotyczące mgły i przeszli znów do bardziej jednoznacznej paleontologii.

— Musi pan przyznać — rzekł Karol — że odkrycia Lyella mają wadę nie tylko faktyczną. Obawiam się, że kler czeka teraz wielka batalia.

Lyell, pozwolę sobie wtrącić, był ojcem nowoczesnej geologii. Już Buffon w swoich słynnych *Epoques de la nature* z 1778 roku obalił mit, zmyślony przez arcybiskupa Usshera w siedemnastym wieku i powtarzany uroczyście w niezliczonych angielskich wydaniach oficjalnych Pisma Świętego, że świat został stworzony w roku 4004 A. C. 26 października o

dziewiątej wieczór. Jednak nawet ten wielki przyrodnik francuski nie považył się odsunąć początku świata dalej niż o jakieś 75 000 lat wstecz. Natomiast *Podstawy geologii* Lyella, wydane pomiędzy 1330 a 1833 rokiem — zbieżnie z reformami na innym polu — odrzuciły początek świata w tył o całe lat miliony. Nazwisko jego, acz rzadko wspomiane, ma znaczenie bardzo zasadnicze, gdyż dał on swojej epoce i niezliczonym rzeszom naukowców — z innych dziedzin olbrzymi a niezbędny obszar badań. Odkrycia Lyella wtargnęły do zatęchłych metafizycznych korytarzy stulecia niczym wichura, przejmując mrozem łęklitych, lecz dodając otuchy śmiałym. Muszą jednak państwo pamiętać, że w czasie, o którym piszę, nieliczni tylko słyszeli o wielkim dziele Lyella, jeszcze mniej ludzi wierzyło jego teoriom, a już zgoła szczupła garstka przyjmowała wszystkie wynikające z nich wnioski. Księga Rodzaju jest wielkim kłamstwem, ale zarazem wspaniałym poematem, a łono liczące sobie sześć tysięcy lat jest znacznie przytulniejsze od takiego, które liczy sobie tych lat miliardy.

Karol ciekaw był przeto — zarówno jego przyszyły teść, jak i stryj nauczyli go, że należy poruszać się na tym terenie bardzo ostrożnie — czy doktor Grogan weźmie na serio, czy też zbagatelizuje jego troskę o teologów. Doktor jednak nie dał się wyciągnąć na słówka. Patrząc w ogień, mruknął tylko:

— Tak, to prawda.

Zapadło milczenie, które Karol przerwał od niechcenia, jak gdyby po to tylko, żeby podtrzymać rozmowę:

— Czytał pan tego Darwina?

Jedyną odpowiedzią Grogana było bystre spojrzenie sponad okularów. Potem wstał, wziął lampę kamfinową i poszedł w głąb wąskiego pokoju do półki z książkami. Po chwili wrócił i podał Karolowi książkę. Było to *O powstawaniu gatunków*. Karol podniósł głowę i spojrzał w surowe oczy doktora.

— Nie chciałem bynajmniej powiedzieć...

— Czytał pan to?

— Tak.

— W takim razie nie powinien pan chyba mówić o wielkim człowieku „ten Darwin”.

— Z tego co pan mówił, wnosilem...

— Ta książka jest o żyjących, mój panie. Nie o zmarłych. Doktor z niejaką irytacją odwrócił się, żeby odstawić lampę na miejsce. Karol wstał.

— Ma pan bezwzględna rację. Proszę o przebaczenie. Doktor zerknął na niego spod oka.

— Kilka lat temu był tu Gosse z gromadką swoich *bas—bleus*, zbierających muszelki. Czytał pan jego *Omphalosa*?

— Książka ta jest chyba szczytem absurdu? — uśmiechnął się Karol.

Grogan, poddawszy już Karola próbie zarówno pozytywnej, jak i negatywnej, odpowiedział teraz niewesołym uśmiechem.

— Powiedziałem mu to samo po zakończeniu odczytu, który tu wygłosił. Ha! Pewno, że mu powiedziałem. — Irlandzkie nozdrza doktora dwukrotnie prychnęły tryumfująco. —

Myślę, że ten fundamentalistyczny* [* Fundamentalizm — zachowawczy ruch religijny. i *Omphalos; próba rozwiązania węzła geologicznego* jest już dziś zapomniany, a szkoda, gdyż jest to jedna z najosobliwszych — i niezamierzenie komicznych — książek całej swej epoki. Autor był członkiem Towarzystwa Królewskiego i czołowym biologiem marynistycznym swoich czasów, jednakże lęk przed Lyellem i jego zwolennikami kazał mu w 1857 roku wysunąć teorię, niwelującą za jednym zamachem wszelkie rozdzwienki między nauką a relacją biblijną o stworzeniu świata. Gosse twierdził mianowicie, że w dniu, w którym Bóg stworzył Adama, stworzył również wszystkie skamieniałości i wymarłe formy życia na ziemi — co jest chyba najbardziej niepojętą operacją kamuflażową, jaką człowiek kiedykolwiek przypisał czynnikom boskim. Nawet data ukazania się *Omphalosa* — dokładnie na dwa lata przed wydaniem *O powstawaniu gatunków* — nie mogła być bardziej

niefortunna. Syn Gosse'a, Edmund, w pół wieku później unieśmiertelnił ojca w swoich słynnych i znakomitych wspomnieniach.] blagier dobrze się zastanowi, nim zawita znów w te strony. Spojrzał na Karola życzliwiej.

— Darwinista?

— Namiętny.

Natenczas Grogan chwycił jego dłoń i uścisnął ją, jak gdyby był Robinsonem Crusoe, a Karol Piętaszkiem. Być może powstała między nimi w tej chwili więź bardzo podobna do tej co łączyła bezwiednie owe dziewczęta śpiące w odległości pół mili. Poczuli, że są dwiema komórkami drożdży w oceanie letargicznego ciasta — dwoma kryształkami soli w wielkiej wazie mdłej lury.

Nasi dwaj karbonariusze intelektualni — czyż ukryty w mężczyźnie mały chłopiec nie przepada od wieków za zabawą w tajne stowarzyszenia? — przystąpili teraz do nowej kolejki grogu. Zapalono nowe cygara i rozpoczęła się długa akademicka ku czci Darwina. Zdawałoby się, że wielkie nowe prawdy, o których rozprawiali, powinny obudzić w nich pokorę, obawiam się jednak, iż ogarnął ich — a zwłaszcza Karola, gdy wreszcie nad ranem wracał do domu — nastrój upajającej wyższości, poczucie wielkiego dystansu, dzielącego ich od reszty bliźnich.

Nieoświetlone miasteczko Lyme stanowiło zwykłe zbiorowisko ludzkie, pogrążone w tępym śnie, gdy tymczasem Karol, szczytowy przykład doboru naturalnego, uosobienie czystego intelektu, wolny jak bóg, zespolony z wiecznie czuwającymi gwiazdami, kroczył w pełni świadomości i nie było nic, czego by nie zdołał zrozumieć.

To znaczy nic — prócz Sary.

20

Czy Bóg z Naturą walczy skrycie,
 By nam tak złe sny zsylać miała
 Tak o gatunek, zda się, dbała,
 Nie troszczy się o jedno życie...
 Alfred Tennyson, *In Memoriam* (1850)

Wreszcie przerwała milczenie i przeliterowała doktorowi Burkley to, o co prosił. Lekarz osobisty Johna Kennedyego klęcząc wskazał drżącą ręką na jej upiornie wyglądającą spódnice.

— Może inną suknię? — spytał nieśmiało.

— Nie — wyszeptła z pasją. — Niech zobaczą tę potworność.

William Manchester, *Śmierć prezydenta Kennedy'ego*

Stała na drugim końcu bluszczowego tunelu, ukryta w jego cieniu. Nie obejrzała się — widziała, jak szedł pod górę między jesionami. Dzień był cudowny, lśniący błękitem, wiał lekki wietrzyk południowo—zachodni. Przywiał roje motyli wiosennych, siarkowo-białych z pomarańczowym obrzeżeniem i zielonymi żyłkami, tych właśnie, które ostatnio uznaliśmy za groźne niebezpieczeństwo dla wysokiej wydajności rolnej i wytruliśmy niemal doszczętnie. Tańczyły wokół Karola przez całą jego drogę koło mleczarni, a potem przez las. W tej chwili zaś jeden z nich, niczym połyskliwa biała cętka, wpłynął na świetlistą polankę za ciemną postacią Sary.

Karol przystanął, zanim wszedł pod ciemnozielone cieniste girlandy bluszczu, i rozejrzał się tchórzliwie, żeby się upewnić, że go nikt nie widzi, ale wielkie jesiony rozpościerały swe wciąż jeszcze nagie konary nad bezludnym terenem.

Sara nie odwróciła się, dopóki się nie zbliżył, a nawet wtedy jeszcze nie spojrzała na niego. Sięgnęła natomiast do kieszeni i mając wciąż spuszczone oczy, bez słowa podała mu nowy okaz jeżowca, jakby to była ofiara pokutna. Karol wziął skamielinę, lecz zakłopotanie Sary udzieliło się i jemu.

— Musi mi pani pozwolić, żebym zapłacił za te okazy tyle ile zapłaciłbym w sklepie panny Anning.

Podniosła wówczas głowę i oczy ich spotkały się wreszcie Dostrzegł, że ją obraził; miał znów owo niewytłumaczone uczucie, że nie potrafi sprostać sytuacji, że sprawia Sarze zawód, że jej spojrzenie przebija go na wylot, jak lanca. Tym razem jednak uczucie to otrzeźwiło go, innymi słowy, przypomniało mu, jaką postawę postanowił przybrać, spotkanie bowiem nastąpiło w dwa dni po wydarzeniach opisanych w ostatnich rozdziałach. Uwaga doktora Grogana o pierwszeństwie, jakie żywi powinni mieć przed zmarłymi, wydała owoce Karol tedy dopatrywał się teraz w swej przygodzie celów nie tylko humanitarnych, lecz także naukowych. Był już przedtem dość szczery, aby przyznać się przed sobą, że pomijając niestosowność, przygoda zawiera również pewne elementy przyjemności, obecnie jednak widział w niej wyraźnie elementy obowiązku. On sam należy ponad wszelką wątpliwość do wybrańców natury, do jednostek najlepiej przystosowanych, lecz najlepiej przystosowane jednostki rodzaju ludzkiego winny mimo wszystko poczuwać się do pewnej odpowiedzialności za jednostki gorzej przystosowane.

Zastanawiał się nawet ponownie, czy nie powinien opowiedzieć Ernestynie o wszystkim, co zaszło między nim a panną Woodruff, zaraz jednak wyobraził sobie aż nazbyt plastycznie, jakie

niemądre kobiece pytania zacznie mu zadawać Ernestyna, pytania, na które trudno by odpowiedzieć szczerze, nie zapuszczając się na niebezpieczny teren. Doszedł wkrótce do wniosku, że zarówno płeć, jak i brak doświadczenia nie pozwolą Ernestynie zrozumieć altruizmu jego pobudek i w ten wygodny sposób ominął mniej ponętną postać obowiązku.

Wytrzymał tedy pełne wyrzutu spojrzenie Sary.

— Jestem bogaty z przypadku, pani z przypadku jest uboga. Nie powinniśmy doprawdy przestrzegać jakichś ceremonii.

Taki właśnie miał plan: okazywać Sarze współczucie, ale też zachowywać dystans, przypominać jej o dzielącej ich różnicy stanu... ale oczywiście tonem lekkim, z bezpretensjonalną ironią.

— To wszystko, co mam do ofiarowania.

— Nie ma powodu, żeby mi pani cokolwiek ofiarowywała.

— Przyszedł pan.

Jej pokora była równie żenująca, jak jej duma.

— Przyszedłem, bo nabrałem przeświadczenia, że pani rzeczywiście potrzeba pomocy. Wprawdzie nadal nie rozumiem, czemu pragnie pani, abym zainteresował się jej... — tu się zająknął, o mało bowiem nie powiedział „jej przypadkiem”, zdradzając się z tym, że występuje tu nie tylko jako dżentelmen lecz także jako doktor — ... jej kłopotami, ale gotów jestem wysłuchać panią, jak sobie pani życzyła.

Sara znów podniosła na niego oczy. Poczul, że mu to pochlebia. Nieśmiałym ruchem wskazała zalaną słońcem polankę.

Znam tu w pobliżu osłonięte miejsce. Może tam pójdziemy?.

Zgodził się skinieniem głowy, wyszła więc na słońce i ruszyła przez kamienistą polankę, którą Karol przeszukiwał, kiedy Sara poprzednim razem do niego przyszła. Szła krokiem lekkim i pewnym, jedną ręką unosząc zebrane fałdy sukni o parę cali w górę, w drugiej trzymając wstążki czarnego kapelusza. Karol, idąc za nią znacznie mniej zwinnie, zauważył cery na piętach jej czarnych pończoch, zdeptane obcasy bucików, ale też i rude błyski w jej ciemnych włosach. Pomyślał, że kiedy włosy są zupełnie rozpuszczone, muszą być piękne, gęste, lśniąco, a chociaż teraz ściągnięte były do tyłu i ukryte pod kołnierzem płaszcza, zastanawiał się, czy to nie próżność każe jej tak często nosić kapelusz w ręce.

Zaprowadziła go do innego zielonego tunelu, ale gdy go minęli, znaleźli się na zielonym zboczu, gdzie pionowa ściana urwiska dawno się już rozkruszyła i rozpadła. Kępy trawy dostarczały oparcia stopom i Sara ostrożnymi zygzakami poczęła wspinać się na górę. Brnąc za nią, Karol dostrzegł obszyte białymi wstążkami rąbki pantalonów kończących się tuż nad kostkami nóg. Prawdziwa dama wspinałaby się na pewno za nim, nie zaś przed nim.

Sara zaczęła na górze, aż Karol ją dopędził. Poszedł wtedy za nią wzdłuż szczytu urwiska. Teren wznosił się stromo ku innemu urwisku o jakieś sto jardów nad nimi, były to bowiem właśnie owe olbrzymie „stopnie”, widoczne czasem z odległego o dwie mile falochronu. Dotarli do jeszcze bardziej stromego występu. Karolowi wydał się niebezpieczny — jedno potknięcie, a człowiek zsunąłby się bezradnie i spadł przez krawędź urwiska. Gdyby był sam, zawahałby się pewno, ale Sara przeszła spokojnie, jakby nieświadoma niebezpieczeństwa. Na drugim końcu występu widniało kilka jardów płaskiego gruntu. Tu właśnie znajdowała się kryjówka Sary.

Była to mała, zwrócona na południe kotlina, otoczona gęstwiną jeżyn i derenu, coś na kształt miniaturowego amfiteatru. Karłowaty głóg rósł w głębi areny, jeżeli można użyć tego słowa na określenie płaszczyzny o średnicy co najwyżej piętnastu stóp. Ktoś — z pewnością nie Sara — przydźwigał tu wielki, płaski głaz i przysunął go do pnia drzewka, tworząc swego rodzaju tron, z którego roztaczał się wspaniały widok na szczyty jesionów w dole i morze za nimi. Karol, lekko

zdyszany w swoim flanelowym ubraniu i bardziej niż lekko spocony rozejrzał się dokoła. Zbocze kotliny okryte było dywanem dzikich prymul i fiołków i usiane białymi gwiazdami kwitnących poziomek. Zawieszona pod niebem, zalana popołudniowym słońcem kotlina była czarowna i najzupełniej ukryta przed czymkolwiek wzrokiem.

— Muszę pani pogratulować. Ma pani prawdziwy talent do znajdowania uroczyisk.

— Do znajdowania samotni.

Wskazała mu miejsce pod drzewkiem głogu.

— To na pewno pani fotel.

Ona jednak ruchem szybkim i pełnym wdzięku usiadła bokiem na wzgórkę o kilka stóp przed drzewkiem, tak aby patrzeć na morze i tak aby jej twarz była na pół ukryta — jak się Karol przekonał, gdy zajął lepsze miejsce — a zarazem z naiwną kokieterią ukazując mu swoje włosy. Siedziała wyprostowana, ale z pochyloną głową, na pozór zajęta wygładzaniem wstążek kapelusza, którym wcale nie było tego potrzeba. Karol obserwował ją z uśmiechem nie tyle na ustach, co w myśli. Wiedział, że ona nie wie, jak zacząć, a przecież sytuacja — aż nazbyt *al fresco*, aż nazbyt intymna i młodzieńcza, jak gdyby byli rodzeństwem, chłopcem i dziewczynką nie wymagała wcale tej uroczystej sztywności.

Sara odłożyła na bok kapelusz, rozchyliła płaszcz i złożyła ręce, nadal się jednak nie odzywała. Jej płaszcz, zwłaszcza widziany z tyłu, przez swój wysoki kołnierz i krój miał w sobie coś męskiego. Wyglądała w nim trochę jak dziewczyna—stangret lub dziewczyna—żołnierz, ale tylko trochę, bo wrażeniu temu przeciwdziałały włosy. Karol z pewnym zdziwieniem spostrzegł, że Sara nic nie traci w tym zniszczonym, nędznym ubraniu, przeciwnie, do twarzy jej w nim, może nawet bardziej, niżby było w wykwintniejszym stroju. Przez ostatnie pięć lat był świadkiem wielkich zmian w modzie kobiecej, przynajmniej w Londynie. Zaczęto używać fiszbinów nadających odpowiedni kształt biustom, malowano brwi, rzęsy i usta, „przyprószano” i farbowano włosy... a robiły to wszystko najelegantsze damy, nie tylko przedstawicielki półświatka. Sara w ogóle tego nie знаła. Najzupełniej obojętna na modę, była minio to górą, podobnie jak skromne pierwioski u stóp Karola brały górę we współzawodnictwie z egzotycznymi roślinami cieplarnianymi.

Karol siedział tedy w milczeniu, niby król z tą dziwną suplikantką u stóp, niezbyt zresztą skłonny przyjść jej z pomocą. Ona wciąż się nie odzywała. Może było to skutkiem onieśmienia lub skromności, ale po chwili wyczuł wyraźnie, iż życzeniem jej jest, aby to on nakłonił ją do wyznań, w końcu więc uległ.

— Panno Woodruff, wszelka niemoralność budzi we mnie odrazę. Jednak jeszcze większą odrazę budzi we mnie moralność wyzuta z miłosierdzia. Przyrzekam, że nie będę zbyt surowym sędzią.

Poruszyła lekko głową, wciąż jednak nie mogła się zdecydować. Wreszcie niczym pływak, który długo ociąga się na brzegu, aż wreszcie raptownym ruchem zanurza się w wodzie, rozpoczęła nagle spowiedź.

— Nazywał się Varguennes. Przyniesiono go do domu kapitana Talbota po rozbiciu statku. Oprócz niego i dwóch innych marynarzy wszyscy utonęli. Ale pewnie panu o tym opowiadano?

— Bardzo ogólnikowo. Nic o tym, jaki on był.

— Przede wszystkim podziwiałam jego odwagę. Nie wiedziałam wtedy, że mężczyźni mogą być jednocześnie bardzo dzielni i bardzo fałszywi. — Patrzała na morze, jak gdyby to nie Karol siedzący za jej plecami, lecz ono było jej słuchaczem. Rana była okropna. Ciało rozdarte od biodra aż do kolana. Gdyby wdała się gangrena, byłby stracił nogę. Przez pierwsze dni cierpiał straszliwie, ale nigdy nie krzyknął. Nie wydał nawet najłżejszego jęku. Kiedy doktor opatrywał mu ranę, ścisnął mnie za rękę. Tak mocno, że raz omal nie zemdlałam.

— Znał angielski?

— Tylko kilka słów. Pani Talbot znała francuski nie lepiej niż on angielski. A kapitana Talbota odwołano w podróż zaraz po przybyciu pana Varguennes. Mówił nam, że pochodzi z Bordeaux. Że jego ojciec jest zamożnym adwokatem, który ożenił się po raz drugi i niecznie pozbawił dzieci z pierwszego małżeństwa należnego im dziedzictwa. Varguennes wstąpił do marynarki handlowej i pływał na statkach przewożących wino. W chwili rozbicia był, jak twierdził, pierwszym oficerem. Ale wszystko, co mówił, było kłamstwem. Nie wiem, kim był naprawdę. Sprawiał wrażenie dżentelmena. To wszystko.

Mówiła jak osoba nieprzyzwyczajona do dłuższych wypowiedzi, robiąc dziwne krótkie pauzy po każdym urywanym, niepewnym zdaniu — czy po to, żeby zastanowić się nad następnym, czy też po to, aby mógł jej przerwać, Karol nie potrafił określić.

— Rozumiem — szepnął.

— Czasem myślę, że nie miał nic wspólnego z rozbiciem. Może to diabeł przybrał postać marynarza. — Spojrzała na swoje dłonie. — Był bardzo przystojny. Żaden mężczyzna nie traktował mnie nigdy z taką galanterią — mówię o okresie kiedy powracał już do zdrowia. Książek nie lubił. Był gorszy od małego dziecka. Musiał wciąż mieć wokół siebie ludzi, z którymi mógłby rozmawiać, którzy by go słuchali. Mówił mi różne niemądre rzeczy o mnie. Że nie rozumiem, dlaczego nie wyszłam za mąż. Takie głupstwa. A ja głupio mu wierzyłam.

— Słowem, zalecał się do pani?

— Musi pan pamiętać, że rozmawialiśmy zawsze po francusku. Może dlatego to, co mówiliśmy, nie wydawało mi się całkiem rzeczywiste. Nie byłam nigdy we Francji, moja znajomość języka w mowie nie jest dobra. Często nie rozumiałam dokładnie, co on mówi. Wina nie leży wyłącznie po jego stronie. Może usłyszałam coś, czego on wcale nie miał na myśli. Śmiał się ze mnie. Ale nie było w tym nic obraźliwego. — Zawahała się na chwilę. — Nawet... nawet sprawiało mi to przyjemność. Mówił, że jestem okrutna, kiedy nie pozwalałam, żeby całował mnie w rękę. I przyszedł dzień, kiedy sama uwierzyłam, że jestem okrutna.

— I nie była już pani okrutna.

— Nie.

Wrona o lśniących, czarnych piórach przeleciała tuż nad ich głowami, kołysząc się na wietrze, nim spłoszyła się nagle i odfrunęła.

— Rozumiem.

Chciał ją po prostu zachęcić, żeby mówiła dalej, ale ona wzięła to dosłownie.

— Nie może pan zrozumieć, panie Smithson. Bo pan nie jest kobietą. Bo pan nie jest kobietą, która z urodzenia powinna być żoną farmera, lecz z wykształcenia... czymś lepszym. Kilka razy proszono mnie o rękę. Kiedy byłam w Dorchester, pewien bogaty hodowca bydła... ale mniejsza o to. Nie jest pan kobietą mającą wrodzony szacunek, uwielbienie dla rozumu, piękna, wiedzy... Nie wiem, jak to powiedzieć, nie mam prawa tych rzeczy pragnąć, ale serce wyrывa mi się do nich i nie wierzę, żeby to była tylko próżność... — Umilkła na chwilę. — I nigdy pan nie był guwernantką, panie Smithson, młodą kobietą, niemającą dzieci, której płaci się za to, żeby się dziećmi opiekowała. Nie może pan wiedzieć, że im te dzieci są miłsze, tym dotkliwszy i bardziej nieznośny jest ból. Niech pan nie sądzi, że to zazdrość przeze mnie przemawia. Kochałam Pawełka i Wirginię, żywię dla pani Talbot jedynie wielką wdzięczność i przywiązanie, umarłabym dla niej lub dla jej dzieci. Ale żyć dzień w dzień wśród cudzego szczęścia rodzinnego, widzieć wciąż z bliska czyjeś szczęśliwe pożycie małżeńskie, dom, uroczę dzieci. — Zrobiła pauzę. — Pani Talbot jest dokładnie w moim wieku. — Znów zrobiła pauzę. — Zdawało mi się w końcu, że mieszkam w raj, którym nie wolno mi się cieszyć.

Ale czyż wszyscy na swój sposób nie odczuwamy podobnego braku?

Sara gwałtownie potrząsnęła głową. Zrozumiał, że dotknął bardzo głębokiej rany.

Chciałem tylko powiedzieć, że przywileje społeczne niekoniecznie dają szczęście.

— Nie ma najmniejszego podobieństwa między sytuacją, w której szczęście jest przynajmniej możliwe, a taką, w której... — Znow potrząsnęła głową.

— Chyba nie twierdzi pani, że wszystkie guwernantki są nieszczęśliwe lub że pozostają niezamężne?

— Wszystkie takie jak ja.

Karol milczał chwilę, potem rzekł:

— Przerwałem pani. Przepraszam.

— Uwierzy mi pan, że nie mówię przez zazdrość? Odwróciła ku niemu swoje pełne wyrazu oczy, a on skinął głową. Skubiąc gałązkę rosnącej przy niej na stoku krzyżownicy o niebieskich kwiatach, ukształtowanych niby genitalia mikroskopijnych cherubinów, mówiła dalej.

— Varguennes wyzdrowiał. Było to mniej więcej na tydzień, zanim miał odjechać. W tym czasie już mi się oświadczył.

— Prosił panią, aby go pani poślubiła? Miała trudności z odpowiedzią.

— Była mowa o małżeństwie. Mówił mi, że po powrocie do Francji ma awansować na kapitana. Że spodziewa się odzyskać schedę, którą on i brat utracili. — Zawahała się, potem powiedziała bez ogródek: — Chciał, żebym z nim pojechała do Francji.

— Pani Talbot wiedziała o tym?

Pani Talbot jest najlepszą z kobiet. I najbardziej naiwną. Gdyby kapitan Talbot był na miejscu... ale go nie było. Z początku wstydziałam się jej powiedzieć. A potem bałam się — Zaczęła obrywać listki krzyżownicy. — Varguennes nalegał coraz bardziej. Wmawiał mi, że jego szczęście zależy od tego, czy będę mu towarzyszyła, co więcej, że moje szczęście również od tego zależy. Dowiedział się o mnie wielu rzeczy, że mój ojciec umarł w domu obłąkanych. Że nie mam żadnego majątku ani bliskich krewnych. Że od wielu lat czuję się w jakiś niewytłumaczony sposób skazana — sama nie wiem dlaczego — na samotność. — Odłożyła gałązkę krzyżownicy i splotła palce. — Moje życie upływało w samotności, panie Smithson. Jak gdyby było mi przeznaczone, abym nigdy nie zawarła przyjaźni z kimś równym sobie, abym nigdy nie mieszkała we własnym domu, abym zawsze widziała świat jako zbiorowość, z której muszę być wyjątkiem. Przed laty mój ojciec zbankrutował. Cały nasz dobytek sprzedano na licytacji. Od tego czasu nie mogę pozbyć się wrażenia, że nawet rzeczy — zwykłe krzesła, stoły, lustra — sprzysięgły się, aby pogłębić moje osamotnienie. Nie będziesz nas nigdy posiadała, mówią, nie będziemy nigdy do ciebie należały. Zawsze do kogo innego. Wiem, że to szaleństwo, wiem, że w miastach przemysłowych istnieje taka nędza i osamotnienie, w porównaniu z którymi ja żyję w pomyślności i zbytku. Ale kiedy czytam o okrutnych aktach zemsty stronników związków zawodowych, jakaś część mojej istoty ich rozumie. Zazdrości im nawet, bo wiedzą, jak i gdzie wywierać zemstę. A ja jestem bezsilna. — Coś nowego zabrzmiało w jej głosie, jakaś siła uczucia, która przeczyła ostatniemu zdaniu. Dodała spokojnie: — Obawiam się, że nie potrafię dobrze tego wytłumaczyć.

— Nie jestem pewien, czy mogę pochwalać pani uczucia. Ale rozumiem je doskonale.

— Varguennes wyjechał, aby statkiem pocztowym udać się do Francji. Pani Talbot sądziła oczywiście, że wsiądzie na statek tego samego dnia. Ale on powiedział mi, że będzie czekał, aż do niego przyjadę. Nic mu nie obiecałam. Przeciwnie, przysięgłam, że... ale płakałam. W końcu powiedział, że będzie czekał przez tydzień. Powtórzyłam, że na pewno nie przyjadę. Ale kiedy minął dzień, potem drugi, a jego już nie było i nie mogłam z nim porozmawiać, znow zalało mnie uczucie osamotnienia, o którym mówiłam. Czułam, że w nim utonę, gorzej, że odepchnęłam

belkę, która mogła mnie uratować. Ogarnęła mnie rozpacz. Rozpacz i ból tym dotkliwszy, że musiałam robić wszystko, żeby go ukryć. Piątego dnia wiedziałam, że dłużej tego nie znoję.

— Ale wszystko to odbywało się w sekrecie przed panią Talbot — czy nie obudziło to pani podejrzeń? Mężczyzna, który ma uczciwe zamiary, tak nie postępuje.

— Panie Smithson, wiem, że moje opętanie, moja ślepotą, jeśli chodzi o jego prawdziwy charakter, musi być dla kogoś, kto w tym czasie nie znał ani mnie, ani moich warunków życia, czymś niesłychanym, może nawet zbrodniczym. Nie ukrywam tego. Może zawsze zdawałam sobie ze wszystkiego sprawę. Bez wątpienia jakaś głęboka skaza w mojej duszy pragnęła, aby moje lepsze ja pozostawało ślepe. Przy tym zaczęliśmy od ukrywania prawdy. Kiedy się raz wkroczy na tę drogę, trudno z niej zawrócić.

Powinno to być ostrzeżeniem dla Karola, był jednak zbyt pochłonięty jej opowieścią, aby myśleć o własnych sprawach.

Pojechała pani do Weymouth?

Zwiodłam panią Talbot bajeczką o koleżance szkolnej, która ciężko się rozchorowała. Pani Talbot sądziła, że jadę do Sherborne. Obydwie trasy wiodą przez Dorchester. Gdy się tam znalazłam, wsiadłam do omnibusu jadącego do Weymouth.

Tu Sara umilkła i pochyliła głowę, jakby nie mogła mówić dalej.

— Niech pani oszczędzi sobie bólu, panno Woodruff. Domyślam się...

Potrząsnęła głową.

— Dochodzę do wydarzenia, o którym muszę opowiedzieć. Ale nie wiem, jak... — Karol również spojrzął w ziemię. Na jednym z wielkich jesionów rosnących niżej śpiewał drozd czysty, swobodny głos rozbrzmiewał wśród ciszy. Sara wreszcie podjęła znów opowieść. — Znalazłam pensjonat w pobliżu portu. Potem poszłam do zajazdu, w którym Varguennes, jak mówił, miał się zatrzymać. Nie było go, ale czekała na mnie wiadomość z podaniem nazwy innego zajazdu. Poszłam tam. Nie było to... przyzwoite miejsce. Poznałam to po sposobie, w jaki odpowiedziano mi, kiedy o niego zapytałam. Oberżysta podał mi numer jego pokoju i spodziewał się, że pójdę sama na górę. Zażądałam, żeby po niego posłano. Zszedł na dół. Był niezmiernie uradowany, że mnie widzi, był taki, jaki powinien być mężczyzna prawdziwie kochający. Przeprosił mnie za to, że przyjmuje mnie w tak podrzędnej gospodzie. Tłumaczył, że ten zajazd jest tańszy od poprzedniego i zatrzymują się tu często francuscy marynarze i kupcy. Byłam wystraszona, a on był dla mnie bardzo czuły. Nie jadłam jeszcze nic tego dnia, kazał więc przygotować kolację...

Sara urwała na chwilę, potem mówiła dalej:

— Na sali ogólnej panował hałas, poszliśmy więc do saloniku — Nie potrafię panu powiedzieć, w jaki sposób, ale poznałam, że się zmienił. Mimo wszystkich czułości, uśmiechów i pieszczot czułam, że gdybym nie przyjechała, nie zdziwiłby się wcale ani by się długo nie smucił. Zrozumiałam wtedy, że byłam dla niego tylko rozrywką podczas rekonwalescencji. Zastona spadła mi z oczu. Zrozumiałam, że jest nieszczerzy... że jest kłamcą. Zrozumiałam, że małżeństwo z nim będzie małżeństwem z marnym awanturnikiem. Zrozumiałam to wszystko w ciągu pięciu minut od chwili spotkania. — Jak gdyby sama usłyszała, że w jej głosie brzmi znów gorzyc wyrzutów sumienia, umilkła, a następnie podjęła ciszej: — Może to pana dziwi, że nie widziałam tego wszystkiego wcześniej. Myślę, że widziałam. Ale widzieć coś, a uświadamiać sobie, to nie to samo. Myślę, że był chyba trochę jak jaszczurka, która zmienia barwę wraz ze zmianą otoczenia. W domu dżentelmena wydawał się dżentelmenem. W tamtym zajeździe zobaczyłam go takiego, jaki był. I zrozumiałam, że to jego ubarwienie jest znacznie bardziej naturalne od tamtego.

Patrzała przez chwilę na morze. Karolowi zdawało się, że mocniejszy rumieniec oblał jej policzki, ale twarz miała wciąż odwróconą.

— Wiem, że w tych warunkach... kobieta uczciwa natychmiast by odeszła. Od tamtego wieczoru po tysiącokroć starałam się zbadać własną duszę. Ustaliłam tylko, że żadne wytłumaczenie mojego postępowania nie jest zadowalające. Przede wszystkim, gdy zrozumiałam swój błąd, zmartwiałam z przerażenia, ale to było tak potworne, że... że usiłowałam dopatrzeć się w tym człowieku jakichś zalet, godności, honoru. Potem ogarnęła mnie pasja, że dałam się tak zwieść. Mówiłam sobie, że gdybym nie była przedtem tak okrutnie samotna, nie byłabym też tak zaślepiona. Składałam więc winę za swoją sytuację na karb okoliczności. Bo nigdy dotychczas nie znalazłam się w takiej sytuacji. Nie byłam nigdy w takim zajeździe, w którym zwykła przyzwoitość była czymś nieznanym, a uwielbienie grzechu czymś równie pospolitym, jak uwielbienie cnoty w świątyni. Nie potrafię tego wytłumaczyć. W moich myślach panował zamęt. Być może chciałam dowieść sama sobie, że jestem panią własnego losu, może sądziłam, że tyle przynajmniej jestem sobie winna. Uciekłam przecież do tego mężczyzny. Nadmierna skromność musiała wydawać się absurdem... niemal próżnością. — Sara urwała na chwilę. — Zostałam. Zjadłam kolację, którą podano. Wypiłam wino, do którego Varguennes usilnie mnie namawiał. Wino nie upoiło mnie. Dało mi raczej jeszcze większą jasność widzenia... czy to możliwe?

Zwróciła niedostrzegalnie głowę w kierunku Karola, czekając na odpowiedź — jak gdyby mógł zniknąć, a ona nie patrząc chciała się upewnić, że nie rozplynął się w powietrzu.

— Bez wątpienia możliwe.

— Miałam wrażenie, że wino dodało mi sił i odwagi... i że jeszcze lepiej wszystko rozumiem. Wino nie było wcale narzędziem szatana. Nadeszła chwila, kiedy Varguennes nie zdołał dłużej ukrywać istoty swych zamiarów wobec mnie. Ja również nie mogłam udawać zdumienia. Od chwili, kiedy postanowiłam zostać, moja niewinność była już tylko kłamstwem. Panie Smithson, nie staram się tu bronić ani usprawiedliwiać. Wiem doskonale, że mogłam jeszcze, nawet wtedy, kiedy drzwi zamknęły się za pokojówką, która sprzątnęła po naszej kolacji, mogłam jeszcze odejść. Mogłabym udawać przed panem, że Varguennes mnie obezwładnił, że mnie upoił... jak pan woli. Ale tak nie jest. Był człowiekiem bez skrupułów, człowiekiem rządzącym się chwilowym kaprysem, porywczym egoistą. Nigdy jednak nie zmusiłby do niczego kobiety wbrew jej woli.

Tu, w najmniej spodziewanej chwili, odwróciła się i spojrzała Karolowi prosto w oczy. Była zarumieniona, zdawało mu się jednak, że nie jest to rumieniec wstydu, lecz uniesienia, gniewu, wyznania — jak gdyby stanęła przed nim nago i była z tego dumna.

— Oddałam mu się.

Nie mógł znieść jej wzroku i z najłżejszym skinieniem głowy spuścił oczy.

— Rozumiem.

— Jestem więc kobietą zhańbioną podwójnie. Przez okoliczności i z wyboru.

Zapadło milczenie. Sara znów patrzyła na morze.

— Nie żądałem, żeby pani mi o tym opowiadała — wyszeptał.

— Panie Smithson, nie proszę pana, aby pan zrozumiał to, że popełniłam ten haniebnny uczynek, lecz to, dlaczego go popełniłam. Dlaczego poświęciłam najcenniejszy skarb kobiety dla przelotnej przyjemności mężczyzny, którego nie kochałam. — Podniosła ręce i przycisnęła je do policzków. — Postąpiłam tak, żeby nigdy już nie być tą samą co przedtem. Postąpiłam tak, żeby ludzie wytykali mnie palcami, żeby mówili: patrzcie, idzie dziewczka Francuza — o tak, niech padnie to słowo. Żeby wiedzieli, że cierpiałam i cierpię, jak cierpią inne kobiety w każdym mieście i wsi tego kraju. Nie mogłam poślubić tego mężczyzny, poślubiłam więc hańbę. Nie chcę powiedzieć, że wiedziałam, co robię, że z zimną krwią pozwoliłam, żeby Varguennes postąpił ze mną według swojej woli. Zdawało mi się wtedy, że skaczę do przepaści albo zatapiam nóż we

własnym sercu. Było to swego rodzaju samobójstwo. Akt rozpacz, panie Smithson. Wiem, że to grzech... bluźnierstwo, ale nie widziałam innego sposobu wyrwania się z zakłętą kręgą. Gdybym wyszła z tamtego pokoju, wróciła do pani Talbot i podjęła znów dawną egzystencję, wiem, że już bym dziś naprawdę nie żyła... zginęłabym z własnej ręki. To moja hańba utrzymała mnie przy życiu, moja świadomość, że naprawdę nie jestem taka jak inne kobiety. Nie będę miała nigdy dzieci, męża i tych chwil niewinnego szczęścia, które są ich udziałem. A one nigdy nie rozumieją pobudek, dla których popełniłam grzech. — Urwała, jak gdyby sama po raz pierwszy uświadomiła sobie wyraźnie to, co powiedziała. — Czasem nieomal się nad nimi lituję. Myślę, że zdobyłam wolność, której one nie zdołałyby pojąć. Mnie już nic nie może dotknąć, żadna obelga, żaden zarzut. Bo sama się postawiłam poza nawiasem społeczeństwa. Jestem niczym. Już prawie nie jestem ludzką istotą. Jestem kochanicą Francuza.

Karol bardzo niewiele zrozumiał z tego, co Sara usiłowała powiedzieć w tym długim przemówieniu. Dopóki nie doszła do swej dziwnej decyzji w Weymouth, traktował jej postępowanie ze znacznie większym współczuciem, niż dawał po sobie poznać; wyobrażał sobie, jaką powolną, nieznośną torturą było jej życie jako guwernantki, jak łatwo mogła wpaść w szpony tak czarującego łajdaka jak Varguennes. Jednak cała ta gadanina o wolności poza nawiasem społeczeństwa, o poślubieniu hańby, była dla niego istną abrakadabram. Coś niecoś wszakże do niego dotarło, gdyż Sara pod koniec swej przemowy zaczęła płakać. Ukrywała, czy też usiłowała ukryć łzy, to znaczy nie zasłoniła twarzy rękami ani nie sięgnęła po chusteczkę, lecz nadal siedziała, odwracając twarz od Karola. W pierwszej chwili nie zorientował się on nawet, co jest przyczyną jej milczenia.

Po chwili jakiś instykt kazał mu wstać i cicho zrobić dwa kroki po trawie, żeby zobaczyć tę twarz z profilu. Ujrzał, że policzki są mokre i doznał bolesnego wprost wzruszenia. Wstrząśnięty do głębi, wytracony z równowagi, zdawał sobie sprawę z targających nim niezliczonych sprzecznych prądów, które bezlitośnie znoszą go w bok, jak najdalej od bezpiecznej kotwicy rozsądnego i rozważnego współczucia. Miał przed oczami scenę, której Sara nie opisała ze szczegółami — scenę oddania się. Był jednocześnie rozkoszującym się nią Francuzem Varguennes i mężczyzną, który skoczył Sarze na ratunek i jednym ciosem obalił Francuza na ziemię, tak samo też Sara była dla niego zarazem niewinną ofiarą i namiętą, wyuzdaną kobietą. W głębi duszy przebaczał jej rozwiążłość i dostrzegał gęste mroki, w których sam mógłby się tą rozwiążłością delektować.

Tak gwałtowne zmiany nastrojów nie są dziś możliwe. Mężczyzna i kobieta przy pierwszym najbardziej przelotnym zetknięciu zastanawiają się od razu nad możliwością kontaktu fizycznego. Naszym zdaniem taka szczerość w odsłanianiu prawdziwych pobudek ludzkiego postępowania jest czymś zdrowym, lecz za czasów Karola człowiek nawet wobec siebie samego nie przyznawał się do pragnień potępianych przez opinię publiczną, gdy więc te zaczajone tygrysy atakowały nagle świadomość, była ona na tego rodzaju atak śmiesznie wprost nie przygotowana.

Ponadto wiktorianie mieli też ową dziwnie egipską cechę, ową klaustrofilię, której wyraźnym dowodem jest ich spowijający, mumifikujący ubiór, ich architektura o wąskich oknach i ciasnych korytarzach, ich lęk przed otwartą przestrzenią i przed nagością. Ukryć rzeczywistość, odciąć się od przyrody. Rewolucyjny kierunek w sztuce reprezentowali oczywiście w dobie Karola prerafaelici* [* Bractwo Prerafaelitów — grupa malarzy i poetów, utworzona w Londynie w 1848 r. pod przewodnictwem Dantego Gabriela Rossettiego. Prerafaelici pragnęli przywrócić w malarstwie, poezji i krytyce teoretyczne i praktyczne założenia artystyczne, jak na przykład wierność naturze, szczerość, uważane przez nich za cechy dominujące w sztuce włoskiej przed Rafaellem.] — próbowali oni przynajmniej dopuścić do głosu naturę i seks, wystarczy jednak porównać sielankowe tło któregoś z obrazów Johna Millais ** [** Sir John Everett Millais (1829—1896) — malarz angielski, współzałożyciel Bractwa Prerafaelitów.] lub Forda

Madoxa Browna***[*** Ford Madox Brown (1821—1893) —malarz angielski, mający powiązania z Bractwem Prerafaelitów.] z tłem na obrazach Constable’a**** [****John Constable (1776—1837) — malarz angielski, słynny ze swych wspaniałych pejzaży, nowator, wywarł wpływ na francuską szkołę barbizońską.] lub Palmera***** [*****Samuel Palmer (1805—1881) — rysownik, grafik i pejzażysta angielski.] , aby stwierdzić, jak dalece dwaj pierwsi skłonni byli do idealizowania i przyozdabiania przedstawianej przez się czysto zewnętrznej rzeczywistości. Karolowi tedy szczerą i otwartą spowiedź Sary — wygłoszona w dodatku pod otwartym, słonecznym niebem — nie ukazywała ostrzej zarysowanej rzeczywistości, lecz przelotną wizję wymagowanego świata.

Dziwność tego świata nie polegała na tym, że był bardziej realny, lecz na tym, że był mniej realny — mityczny świat w którym nagie piękno miało znacznie większą wagę od nagiej prawdy.

Karol patrzył na Sarę przez kilka chwil zapierających dech w piersi, potem wrócił na swój kamienny tron. Serce biło mu tak mocno, jak gdyby w sam czas cofnął się znad krawędzi przepaści. Hen nad morze, nad najbardziej wysuniętą na południe linię horyzontu, wypłynęła wolno armada obłoków. Kremowe, bursztynowe, śnieżnobiałe, niczym wspaniałe szczyty łańcucha górskiego, wieże i wały obronne, ciągnęły się jak okiem sięgnąć... a jednak dalekie, niedosiężne niby opactwo Theleme* [* Opactwo Theleme — z powieści Rabelais’go *Gargantua i Pantagruel.*], jakaś bezgrzeszna, idylliczna, upajająca kraina, po której mogliby krążyć wszyscy troje — Karol i Sara, i Ernestyna...

Nie chcę bynajmniej powiedzieć, że Karol snuł myśli tak wyraźnie sprecyzowane, tak bezpiecznie mahometańskie. Jednakże dalekie obłoki przypomniały mu o jego własnym niezadowoleniu, o tym, jak bardzo chciałby żeglować znów po Morzu Tyrreńskim, jechać konno ku odległym murom Avili, wciągając w nozdrza gorące, suche zapachy, lub zbliżyć się do jakiejś świątyni greckiej zalanej płomiennym egejskim słońcem. Ale nawet tutaj jakaś postać, jakiś cień, może jego zmarłej siostry, szedł przed nim, lekko, wabiąco, w górę po kamiennych stopniach i dalej, w głąb tajemniczych strzaskanych kolumn.

21

Przebacz mi, Margerito!
 Ach, tak bym chciał, przysięgam,
 W ramiona ciebie schwytać,
 Lecz patrz, na próżno sięgam!

Wyciągniętymi dłońmi
 Pustą przestrzeń rozpraszam.
 Pomiędzy nami jest morze:
 Odmienna przeszłość nasza.
 Matthew Arnold, *Parting* (1853)

Chwila milczenia. Sara podniosła lekko głowę, dając w ten sposób poznać, że odzyskała już równowagę. Na pół ku niemu obrócona spytała:

— Mogę skończyć? Niewiele już mam do dodania.

— Proszę, niech się pani tak nie przejmuje.

Skinęła głową na znak przyrzeczenia, po czym mówiła dalej:

— Varguennes wyjechał nazajutrz odpływającym właśnie statkiem. Miał różne wymówki. Kłopoty rodzinne, długa nieobecność w kraju. Mówił, że wróci bardzo szybko. Wiedziałam, że kłamie. Ale nie mówiłam nic. Może sądzi pan, że powinnam była wrócić do pani Talbot i udawać, że byłam w Sherborne. Ale nie potrafiłam ukryć swoich uczuć, panie Smithson. Byłam otumaniona rozpaczą. Wystarczyło spojrzeć na moją twarz, żeby poznać, że podczas mojej nieobecności zaszło coś, co odmieniło całe moje życie. Poza tym nie mogłam kłamać pani Talbot. Nie chciałam kłamać.

— A więc powiedziała jej pani to samo, co przed chwilą mnie?

Sara spuściła oczy i spojrzała na swoje dłonie.

— Nie. Powiedziała jej, że spotkałam pana Varguennes.

Że on wróci kiedyś, żeby się ze mną ożenić. Mówiłam to... nie przez ambicję. Pani Talbot jest dość wielkoduszna, żeby zrozumieć prawdę — to znaczy, żeby mi przebaczyć — ale nie mogłam jej powiedzieć, że to jej szczęście w jakimś stopniu doprowadziło mnie do tego.

— Kiedy się pani dowiedziała, że on jest żonaty?

— W miesiąc później. Pisał, że jest ofiarą nieszczęśliwego związku. Pisał nadal o miłości, o wspólnym ułożeniu życia... nie było to już dla mnie wstrząsem. Nie czułam bólu. Odpisałam bez gniewu. Napisałam, że moja miłość do niego wygasła i że nie chcę go nigdy więcej widzieć.

— I ukrywała to pani przed wszystkimi prócz mnie? Zwlekała długo z odpowiedzią.

— Tak. Dla powodu, który wymieniłam.

— Żeby się ukarać?

— Żeby być tym, czym być muszę. Wygnanką. Karol przypomniał sobie pełną rozsądku relację doktora Grogana, gdy mu się zwierzył z troski o Sarę.

— Ależ droga panno Woodruff, gdyby każda kobieta, którą zwiódł jakiś niegodziwy przedstawiciel mojej płci, miała się zachowywać tak jak pani, lękam się, że nasz kraj pełen byłby wygnanek.

— Bo też jest ich pełen.

— Niechże pani da pokój, to absurd.

— Wygnanek, które boją się do tego przyznać.

Karol spojrział na nią bacznie i przypomniał sobie coś, co mówił doktor Gorgan — o pacjentach, którzy nie chcą zażywać lekarstw. Postanowił wszakże dokonać jeszcze jednej próby. Pochylił się do przodu i zacisnął ręce.

— Rozumiem dobrze, jak okropne muszą się wydawać pewne warunki życia osobie wykształconej i obdarzonej inteligencją. Ale czy właśnie te zalety nie powinny umożliwić zwycięstwa nad...

Teraz Sara raptownie wstała i podeszła do krawędzi urwiska. Karol skwapliwie podążył za nią i stanął obok, gotów chwycić ją za ramię — zorientował się bowiem, że jego niezbyt lotna rada odniosła skutek wręcz przeciwny, niż zamierzał. Sara patrzyła na morze i coś w zaciętym wyrazie jej twarzy podpowiedziało Karolowi, że sądzi, iż popełniła błąd, bo on, Karol, jest tylko afektowanym pozerem, napuszonym głosicielem komunałów. W tej chwili miała w sobie rzeczywiście coś z mężczyzny, Karol zaś poczuł się jak stara baba i uczucie to nie było przyjemne.

— Niech mi pani daruje. Być może żądam za wiele. Ale miałem najlepsze zamiary.

Pochyliła głowę, przyjmując przeprosiny, zaraz jednak znów zwróciła spojrzenie na morze. Byli teraz bardziej wyeksponowani, widoczni dla każdego, kto stałby poniżej, między jesionami.

— I zechce pani trochę się cofnąć. Tu jest niebezpiecznie.

Wtenczas odwróciła się i spojrziała na niego. Znów w spojrzeniu tym była wprawiająca w zakłopotanie, niczym nieosłonięta badawczość, chęć odczytania prawdziwych pobudek Karola. Potrafimy niekiedy rozpoznać na współczesnej twarzy wyraz z ubiegłego stulecia, nigdy jednak nie zdołamy rozpoznać wyrazu, który należy do stulecia przyszłego. Trwało to ułamek sekundy, potem Sara, mijając Karola, wróciła do karłowatego drzewka. Karol pozostał na środku miniaturowej areny.

To, co mi pani opowiedziała, utwierdza mnie tylko w uprzednim mniemaniu. Musi pani opuścić Lymę.

— Jeżeli opuszczę te strony, opuszczę moją hańbę. Wtedy będę zgubiona.

Podniosła rękę i dotknęła gałęzi głogu. Karol nie był pewien, lecz zdawało mu się, że Sara rozmyślnie przycisnęła palcem cierń. W chwilę później spoglądała na szkarłatną kroplę krwi. Patrzyła na nią przez moment, potem wyjęła z kieszeni chusteczkę i ukradkiem otarła krew.

Karol milczał przez sekundę, po czym zaatakował Sarę znienacka.

— Dlaczego ubiegłego lata odtrąciła pani pomoc doktora Grogana? — Oczy jej zabłyśły oskarżycielsko, lecz Karol przygotowany był na taką reakcję. — Owszem, pytałem go o zdanie. Nie zaprzeczy pani, że miałem do tego prawo.

Odwróciła się od niego znowu.

— Tak. Miał pan prawo.

— A więc musi mi pani odpowiedzieć.

— Bo nie życzyłam sobie jego pomocy. Nie chcę przez to powiedzieć o nim nic złego. Wiem, że chciał mi pomóc.

— Czy nie udzielił pani tej samej rady, co ja?

— Owszem.

— Muszę więc z całym szacunkiem przypomnieć pani o danej mi obietnicy.

Nie odpowiedziała. Ale już to samo było odpowiedzią. Karol podeszedł o kilka kroków bliżej do miejsca, w którym stała, patrząc na gałęzie głogu.

— Panno Woodruff?

— Teraz, kiedy zna pan prawdę... czy może pan nadal obstawać przy tej radzie?

— Bezwzględnie tak.

— Więc przebacza mi pan mój grzech?

Pytanie to odebrało Karolowi nieco pewności siebie.

— Przywiązuje pani zbyt wielką wagę do mojego przebaczenia. Najważniejsze jest, żeby pani sama sobie przebaczyła. A tutaj nigdy się pani na to nie zdobędzie.

— Nie odpowiedział mi pan na pytanie, panie Smithson.

— Niech mnie ręka boska broni, abym miał wyrokować o czymś, o czym może rozstrzygać tylko Stwórca. Ale jestem przekonany, wszyscy jesteśmy przekonani, że odbyła pani dostateczną pokutę. Niewątpliwie uzyskała pani przebaczenie.

— Można więc o mnie zapomnieć.

Jej ton, pełen drwiącej goryczy, zaskoczył w pierwszej chwili Karola, który zaraz się jednak uśmiechnął.

— Jeżeli ma pani na myśli, że tutejsi przyjaciele nie zamierzają pospieszyć pani z realną pomocą...

— Nie to miałam na myśli. Wiem, że mają najlepsze chęci. Ale ja jestem jak to karłowate drzewko, panie Smithson. Nikt nie ma mu za złe, że rośnie tutaj, na tym pustkowiu. Dopiero wtedy, gdy chodzi po Broad Street, zaczyna razić oczy społeczeństwa.

— Ależ droga panno Woodruff — zaprotestował Karol nie powie mi pani chyba, że obowiązkiem pani jest razić oczy społeczeństwa. Jeżeli tak to mam rozumieć — dodał.

Zrobiła pół obrotu w jego kierunku.

— A czyż społeczeństwo nie pragnie przenieść mnie na inne pustkowie?

— Kwestionuje pani po prostu sprawiedliwość istnienia.

— Czy to zabronione?

— Niezabronione, ale bezowocne. Sara potrząsnęła głową.

— Owoce są. Chociaż gorzkie.

Powiedziała to jednak bez buntu, z głębokim smutkiem, niemal do siebie. Karol, jakby omyty powrotną falą jej spowiedzi, poczuł naraz żal, że coś zostaje zmarnowane. Zrozumiał, że z nieskrępowaną szczerością spojrzenia Sary idzie w parze niczym nie skrępowana szczerość myśli i wypowiedzi — że to, co przedtem wziął za zuchwałe pretensje do równości intelektualnej (a tym samym za podejrzany bunt przeciwko wyższości mężczyzny), jest nie tyle równością, co bliskością, bliskością taką jak nagość, pokrewieństwem myśli i doznań, którego możliwości w stosunkach z kobietą w ogóle dotychczas sobie nie wyobrażał.

Nie pomyślał tego subiektywnie, lecz obiektywnie: oto niezwykła kobieta, gdyby tylko jakiś wolny mężczyzna miał dość rozumu, żeby się na niej poznać. Nie było to uczucie męskiej zazdrości, lecz wielkiej ludzkiej straty. Karol wyciągnął naraz rękę, dotknął ramienia Sary gestem pocieszenia i równie szybko się odwrócił. Zapadła cisza.

Sara jakby odgadła jego przygnębienie.

— Sądzi pan więc, że powinnam wyjechać? — odezwała się.

Karolowi od razu ciężar spadł z serca. Zwrócił się do niej żywo:

— Błagam panią o to. Nowe otoczenie, nowe twarze... i niech się pani nie troszczy o sprawy materialne. Czekamy tylko pani decyzji, żeby się panią zająć.

— Czy mogę mieć kilka dni do namysłu?

— Jeżeli zdaniem pani to konieczne. — Tu skorzystał z tej chwili powrotu do rzeczywistości, tak w rozmowie z nią trudno uchwytnej. — I proponuję, żebyśmy teraz powierzyli całą sprawę pani Tranter. Jeśli pani pozwoli, dopilnuję, aby jej sakiewka zaopatrzona była w pełni na wszelkie pani potrzeby.

Sara pochyliła głowę, znów bliska łez. Wyszeptała:

— Nie zasługuję na taką dobroć. Ja...

— Ani słowa więcej. Nie wyobrażam sobie lepszego celu. Przebiegł go leciutki dreszcz zwycięstwa. Stało się tak, jak przepowiedział Grogan. Spowiedź przyniosła uzdrowienie a w każdym razie ukazała jego zarysy. Karol nachylił się, żeby podnieść laskę, leżącą obok krzemienia.

— Muszę chyba pójść do panny Tranter?

— Świetnie. Oczywiście nie ma potrzeby wspominać o naszych spotkaniach.

— Nic nie powiem.

Widział już tę scenę: swoje zdziwienie, uprzejme, lecz dość obojętne, następnie bezinteresowna, choć stanowcza prośba, żeby wszelka pomoc pieniężna szła na jego rachunek. Trudno, znieśie docinki Ernestyny — zawsze jednak będzie miał spokojniejsze sumienie. Uśmiechnął się do Sary.

— Zwierzyła się pani ze swej tajemnicy. Przekona się pani niechybnie, że przyniesie to pani ulgę pod wieloma innymi względami. Ma pani wielkie wrodzone zalety. Może się pani niczego od życia nie obawiać. Nadejdzie dzień, kiedy te ostatnie nieszczęsne lata będą dla pani czymś równie drobnym i nic nieznaczącym jak tamta chmurka nad Chesil Bank. Będzie pani stała w słońcu i uśmiechała się na myśl o dawnych smutkach. — Dostrzegł coś niby jaśniejszy błysk w głębi jej nieufnych oczu. Przez chwilę była jak małe dziecko, które opiera się, lecz zarazem chce, żeby je prośbą lub groźbą zmuszono do zaprzestania płaczu. Uśmiechnął się jeszcze serdeczniej i dodał lekkim tonem: — A teraz, czy nie lepiej, żebyśmy już zeszli na dół?

Sara jak gdyby chciała jeszcze coś powiedzieć, zapewne raz jeszcze wyrazić swą wdzięczność, ale Karol przybrał postawę tak energicznego oczekiwania, że tylko po raz ostatni spojrziała mu w oczy i ruszyła naprzód.

Schodziła na dół równie zwinnie, jak przedtem szła na górę. Karol, patrząc na jej plecy, znów odczuwał ukłucia żalu. Nigdy już jej w tych warunkach nie zobaczy... Ale żal pomieszany był z niejaką ulgą. Wyjątkowa młoda kobieta. Karol wiedział, że jej nie zapomni i czerpał pewną pociechę z myśli, że inne osoby nie pozwolą mu o niej zapomnieć. Ciotka Tranter będzie jego przyszłą wywiadowczynią.

Doszli do stóp niższego urwiska, przeszli przez pierwszy tunel bluszczu, minęli polankę, wkroczyli do drugiego zielonego korytarza — gdy nagle!...

Skądś z dołu, z głównej ścieżki wiodącej przez skarpe, doleciał stłumiony srebrzysty śmiech. Brzmiał on dziwnie, jak gdyby jakaś driada — bo śmiech był niewątpliwie kobiecy obserwowwała ich potajemne spotkanie, a teraz nie mogła się dłużej pohamować i śmiała się wesoło z ich głupoty i pewności, że nikt ich nie widział.

Karol i Sara stanęli oboje jak wryci. Ułga odczuwana coraz wyraźniej przez Karola ustąpiła natychmiast miejsca przerażeniu. Zasłona bluszczu była jednak gęsta, śmiech dobiegał z odległości kilkuset jardów — nikt więc nie mógł ich widzieć. Chyba że wtedy, gdy schodzili na dół po zboczcu... Przez chwilę trwali w osłupieniu, potem Sara szybko przyłożyła palec do ust, wskazała mu, że ma się nie ruszać z miejsca, a sama skradając się doszła do końca tunelu. Karol patrzył, jak pochyła się do przodu i spogląda ostrożnie w dół, na ścieżkę. Skinęła na Karola — niech się do niej przyłączy, ale możliwie jak najciszej. Równocześnie śmiech rozległ się znowu, cichszy tym razem, ale też bliższy. Osoby, które szły ścieżką, opuściły ją i zdążyły teraz przez las jesionowy pod górę ku nim.

Karol ruszył ostrożnie do Sary, obmacując starannie każde miejsce, na którym miał postawić swój okropny buciur. Ze zmieszania i wstydu zaczerwienił się jak burak. Świadom był, że żadne wytłumaczenia tu nie pomogą. Bez względu na to, kto i w jakiej sytuacji zobaczy go z Sarą, będzie to się równało przyłapaniu ich dwojga *in flagranti*.

Dotarł wreszcie do miejsca, w którym stała i w którym bluszcz na szczęście był najgęstszy. Sara odwróciła się od intruzów i stała oparta plecami o pień drzewa, oczy miała spuszczone, może w poczuciu winy, że ściągnęła na nich oboje katastrofę. Karol spojrział poprzez listowie na stok porośnięty jesionami i krew zamarła mu w żyłach. Jakby szukając właśnie ich kryjówek, szli ku nim Sam i Mary. Sam obejmował ramiona dziewczyny, w drugiej ręce trzymając kapelusz. Mary niosła swój kapturek, na sobie miała zieloną spacerową suknię otrzymaną od Ernestyny — Karol niedawno jeszcze widział na Ernestynie tę suknię — a odrzucona w tył głowa dotykała policzka Sama. Stanowili parę zakochanych równie młodą, jak stare były jesiony, i tak pełną bujnego erotyzmu, jak zielone rośliny, które miażdżyli stopami. Karol cofnął się nieco, lecz nie spuszczał ich z oka. Sam naraz przyciągnął do siebie twarz dziewczyny i pocałował ją. Ramię Mary podniosło się, zwarli się na chwilę w uścisku, potem, wciąż trzymając się za ręce, odstąpili od siebie nieśmiało. Sam Farrow poprowadził dziewczynę ku miejscu na zboczu, gdzie między drzewami mimo cienia wyrosła gęsta trawa. Mary usiadła i oparła się plecami o zbocze, Sam, wspierając się na łokciu, wpatrywał się w nią przez chwilę, potem pochylił się nad nią, odgarnął jej włosy z policzków i czule ucałował powieki.

Uzucie zupełnie nowego zakłopotania przeszło — Karola — zerknął na Sarę, żeby się przekonać, czy wie, kim jest ta para intruzów. Ale Sara wpatrywała się w kępę paproci u jej stóp, jak gdyby oboje po prostu schronili się tu przed deszczem. Upłynęły dwie minuty, potem trzy. Zakłopotanie ustąpiło miejsca pewnej uldze — jasne było, że Sam i Mary zajęci są bardziej sobą nawzajem aniżeli otoczeniem. Zerknął znów na Sarę. Teraz ona też, wyglądając spoza pnia swego drzewa, obserwowała przybyszów. Odwróciła się, mając spuszczone oczy. Naraz jednak, bez żadnego ostrzeżenia, podniosła oczy na Karola i uczyniła coś bardziej może dziwnego i niespodziewanego, niż gdyby zrzuciła z siebie ubranie.

Sara uśmiechnęła się.

Uśmiech to był tak zaskakujący, że Karol w pierwszej chwili patrzył tylko z niedowierzaniem. W tak nieodpowiedniej chwili!... Ale czuł, że Sara czekała chyba na tę chwilę, żeby oszołomić go tym uśmiechem — ujawniając naraz, że ma poczucie humoru, że smutek nie wypełnia jej bez reszty. W szeroko otwartych oczach, tak posępnych, smutnych i surowych, zabłysła ironia, ukazując dziewczynę w nowej zgoła postaci — znanej zapewne niegdyś Pawełkowi i Wirginii, lecz nigdy dotychczas nie prezentowanej miastu Lyme.

Gdzie są teraz wszystkie twoje pretensjonalne pozy, zdawały się mówić te oczy i lekko wygięte usta, gdzie twoje urodzenie, twoja wiedza, twoja etykieta, twój ład społeczny? Co więcej, nie był to uśmiech, na który można było gniewnie zeszywnieć lub zmarszczyć brwi — można było jedynie odpowiedzieć na niego uśmiechem. Uśmiech Sary usprawiedliwiał bowiem Sama i Mary, usprawiedliwiał wszystko, a zarazem w sposób zbyt subtelny, aby można go było zanalizować, podważał wszystko co zaszło do tej chwili między Sarą a Karolem. Stanowił dowód znacznie głębszego porozumienia, znacznie wyraźniejszego przetopienia się owej krępującej początkowo równości w swobodną bliskość, aniżeli przyznawała dotychczas świadomość. Karol i teraz jeszcze nie uśmiechnął się świadomie w odpowiedzi, tylko poczuł nagle, że się uśmiecha, wprawdzie jedynie oczyma, ale się uśmiecha. I że jest podniecony — podnieceniem zbyt dziwnym i nieznanym, aby można je było określić jako seksualne — niczym człowiek, który przy końcu długiego, wysokiego muru znajduje wreszcie upragnione drzwi... aby przekonać się, że są zamknięte na klucz.

Stali tak naprzeciw siebie, kobieta będąca drzwiami i mężczyzna bez klucza, aż w końcu Sara znów spuściła oczy. Uśmiech zgasł. Zawisło między nimi długie milczenie. Karol zrozumiał nagle całą prawdę — stał rzeczywiście jedną nogą nad przepaścią. Przez sekundę zdawało mu się, że skoczy, że musi skoczyć. Wiedział, że jeśli wyciągnie ramiona, nie napotka oporu... lecz

tylko namiętną wzajemność. Policzki oblały mu się jeszcze ciemniejszą czerwienią. Wreszcie wyszeptał:

— Nie wolno nam nigdy już spotkać się sam na sam.

Sara nie podniosła głowy, skinęła tylko leciutko głową na znak, że przyznaje mu słuszność, a potem ruchem niemal gniewnym odwróciła się do niego plecami i nie widział już jej twarzy. Spojrzał znów przez listowie. Głowa i ramiona Sama pochylały się nad niewidoczną Mary. Czas płynął, a Karol nadal patrzył, w myśli wciąż lecąc do owej przepaści, nie zdając sobie sprawy, że podgląda, że szpieguje, lecz wraz z każdą upływającą chwilą coraz bardziej ulegając truciznie, którą usiłował przecież odtrącić.

Uratowała go Mary. Ni stąd, ni zowąd odepchnęła Sama na bok i śmiejąc się pobiegła w dół zbocza z powrotem na ścieżkę. Przystanęła i obejrzała się filuternie na Sama, nim zebrała spódnicę i pomknęła na dół, świecąc rąbkiem czerwonej halki wśród fiołków i szczyru. Sam popędził za nią. Postacie ich zmałyły wśród olbrzymich szarych pni, rozplynęły się, znikły, jeszcze tylko błysk zieleni, błysk błękitu, śmiech zakończony krótkim okrzykiem, potem cisza.

Minęło pięć minut, w ciągu których ukryta para nie odezwała się do siebie słowem. Karol wciąż wpatrywał się w

zboczę wzgórza, jak gdyby ta baczna obserwacja była czymś niesłychanie ważnym. Oczywiście chodziło mu tylko o to, żeby nie spojrzeć na Sarę. W końcu przerwał milczenie.

— Lepiej niech pani idzie. — Sara pochyliła głowę w ukłonie. — Ja poczekam jeszcze pół godziny. — Sara ukłoniła się raz jeszcze i przeszła obok niego. Oczy ich nie spotkały się.

Dopiero gdy była już wśród jesionów, odwróciła się i rzuciła mu krótkie spojrzenie. Nie mogła widzieć jego twarzy, ale musiała wiedzieć, że on patrzy, bo twarz jej nosiła znów dawny wyraz, kojarzący się Karolowi z ostrzem lancy. Potem lekkim krokiem ruszyła dalej w dół po lesistym zboczu.

22

I ja dźwigałem też na sobie
 Ciężar zbyt silnych uczuć władzy,
 I ja nie chciałem znać już kobiet,
 Gorączki serca, lęku, schadzek.

I ja pragnąłem osiąść siłę
 I wolę ostro tnącej włóczni;
 Bezwzględność, oschły styl sławiłem,
 Co nie zna zwątpień, lęków uczeni.

Lecz w świecie tym, wiem nie przypadkiem,
 I ty się dowiesz z równą siłą,
 Wola, energia, choć tak rzadkie,
 Są jeszcze rzadsze niżli miłość.
 Matthew Arnold, *A Farewell* (1853)

Myśli Karola w powrotnej drodze do Lyme stanowiły niekończące się wariacje na odwiecznie popularny męski temat: „Igrasz z ogniem, mój chłopcze.” Ale był to właśnie ten temat, przez co chcę powiedzieć, że treść jego myśli pokrywała się z treścią wyżej przytoczonych słów. Postąpił jak szaleniec, ale nie został za to szaleństwo ukarany. Naraził się lekkomyślnie na niebezpieczeństwo i wyszedł bez szwanku. Teraz więc, gdy daleko w dole ukazał się wielki kamienny szpon falochronu, Karol poczuł przyływ otuchy i radości.

Czemuż miałby robić sobie wyrzuty? Od samego początku działał z jak najszczytniejszych pobudek; uleczył Sarę z obłędu, a jeżeli nawet w pewnej chwili coś zdrożnego omal nie przełamało jego oporu, w rezultacie całe to zdarzenie odegrało tylko rolę ostrej przyprawy do pożywnej, lecz mdłej pieczeni jagnięcej. Można by oczywiście mieć mu za złe, gdyby nie usunął się raz na zawsze z zasięgu ognia. Ale na przyszłość będzie się już dobrze pilnował. Bądź co bądź nie jest ćmą zafascynowaną płomieniem świecy, jest istotą wysoce rozumną, jednym z najklasycyjszych przykładów doboru naturalnego, obdarzonym całkowicie wolną wolą. Gdyby nie był pewien tego zabezpieczenia, czyż zapuściłby się na tak niebezpieczne wody? Dość marna to metafora — ale takim właśnie torem biegły myśli Karola.

Mając więc oparcie zarówno w wolnej woli, jak i w swojej jesionowej lasce, zszedł ze wzgórz w kierunku miasta. Odtąd wszystkie fizyczne odruchy ciągnące go do dziewczyny będzie surowo poskramiał, zgodnie z wolną wolą. Wszelkie dalsze próby o spotkanie sam na sam będzie nieubłaganie odtrącał, znowu zgodnie z wolną wolą. Wobec czego ma prawo — ba! nawet obowiązek — nadal o niczym Ernestynie nie mówić, wciąż zgodnie z tą samą wolną wolą. Zanim dotarł do gospody Pod Białym Lwem”, wprowadził się dzięki wolnej woli w stan ogromnego zadowolenia z siebie... w którym to stanie mógł już spoglądać na Sarę jako na obiekt należący do przeszłości.

Niezwykła kobieta, niezwykła kobieta. I to kobieta zagadkowa. Doszedł do wniosku, że w tym właśnie tkwi — a raczej tkwił — jej urok: nigdy nie sposób przewidzieć, co za chwilę zrobi. Nie zdawał sobie sprawy, że Sara posiada dwie cechy równie typowe dla charakteru Anglików, jak jego własna mieszanina ironii i konwenansów. Mówię tu o namiętności i wyobraźni. Pierwsza cecha może zaczęła się już Karolowi mgliście zarysowywać, drugiej nie dostrzegwał wcale. Nie

mógł zresztą dostrzegać, gdyż te dwie cechy Sary były wyklęte przez epokę, w której żyła. Namiętność utożsamiano wtedy z lubieżnością, wyobraźnię z niedorzecznymi rojeniami. Ta zdradziecka podwójna buchalteria stanowiła największą wadę Karola i pod tym względem można go uważać za klasycznego przedstawiciela swoich czasów.

Karol z pewną obawą myślał teraz o spotkaniu z Ernestyną, wiedząc z góry, że ma ją okłamać. Gdy jednak wrócił do hotelu, okazało się, że rodzina pospieszyła mu na ratunek.

W hotelu czekała na niego depesza od stryja z Winsyatt. Stryj prosił go pilnie o przybycie „w sprawach wielkiej wagi”. Muszę z żalem stwierdzić, że Karol uśmiechnął się po przeczytaniu tych słów i omal nie ucałował pomarańczowej koperty. Depesza wybawiała go z kłopotliwej sytuacji, uwalniała od konieczności kłamstw i przemilczeń. Nadeszła w samą porę. Zapytał o pociągi... był pociąg nazajutrz wczesnym rankiem z Exeter, podówczas najbliższej stacji kolejowej od Lyme. Oznaczało to, że ma doskonały pretekst, aby wyjechać jeszcze tego samego wieczora i zanoć w Exeter. Kazał zamówić najszybszą dwukółkę w Lyme. Postanowił, że sam będzie powoził. Miał nawet ochotę udać, że sprawa jest tak pilna, aby wystarczyło tylko wysłanie kilku słów wytłumaczenia do ciotki Tranter. Byłoby to jednak zbyt wielkim tchórzostwem. Z depeszą w ręce ruszył więc na Broad Street.

Zacna panna Tranter zmartwiła się ogromnie, bo depesza równała się dla niej złym wiadomościom. Mniej zabobonna Ernestyna była po prostu zła. Bardzo to nieładnie, myślała, ze strony stryja Roberta, że robi z siebie nagle wielkiego wezyra. Pewna była, że chodzi o jakieś głupstwo, ot, starcze fanaberie, kaprysy, a może i gorzej — stryj zazdrosny jest o ich młodzieńczą miłość.

Oczywiście była już przedtem w towarzystwie rodziców z wizytą w Winsyatt i sir Robert wcale nie przypadł jej do gustu. Może dlatego, że czuła się na cenzurowanym, albo dlatego, że stryj miał w rejestrze dostatecznie dużo ziemiańskich pokoleń, aby móc sobie pozwolić na maniery według kryteriów zamożnego mieszczaństwa londyńskiego wręcz fatalne, chociaż życzliwszy krytyk powiedziałby zapewne: zachwycająco ekscentryczne; może dlatego, że dom wydał się jej taką ohydną, starą stodołą z tak okropnie staroświeckim umeblowaniem, zasłonami i obrazami; może dlatego, że onże stryj tak uwielbiał Karola, a Karol rewanżował mu się, będąc tak irytująco wzorowym bratankiem, aż Ernestyna zaczęła być naprawdę zazdrosna ale przede wszystkim dlatego, że się bardzo bała.

Zaproszono panie z sąsiedztwa, aby dokonać ceremonii przedstawienia. Nic nie pomogła świadomość, iż jej ojciec mógłby kupić wszystkich ich ojców i mężów z dobrodziejstwem inwentarza — damy, jak się Ernestynie zdawało, patrzyły na nią z góry (w istocie po prostu jej zazdrościły) i wciąż robiły jej subtelne afronty. Nie cieszyła jej też perspektywa zamieszkania z czasem w Winsyatt, chociaż dzięki temu mogła marzyć o wydaniu przynajmniej części swego niemałego posagu dokładnie tak, jak sobie będzie życzyła — na generalną wymianę wszystkich tych śmiesznych, pokręconych, drewnianych krzesel (karolińskich i niemal bezcennych), ponurych szaf (z czasów Tudorów), zjedzonych przez mole obić ściennych (autentycznych gobelinów) i nędznych malowideł (wśród nich dwa obrazy Claude'a i jeden Tintoretta), które nie uzyskały jej aprobaty.

Nie śmiała zwierzyć się Karolowi z niechęci do stryja, o innych zaś obiekcjach napomykała raczej z humorem niż z sarkazmem. Trudno chyba mieć do niej o to wszystko pretensję. Podobnie jak wiele córek bogatych rodziców przed nią i po niej, nie otrzymała w spadku żadnego talentu prócz konwencjonalnego dobrego smaku... innymi słowy, potrafiła znakomicie wydawać mnóstwo pieniędzy u krawcowych, modystek i w sklepach z meblami. To była jej domena, a że była to domena jedyna, nie lubiła, aby kto inny w nią wkraczał.

Karol przy pożegnaniu zniósł cierpliwie niemą dezaprobatę nadąsane śliczne minki Ernestyny i zapewnił ją, że będzie gnał z powrotem z równym pośpiechem, z jakim wyjeżdża. Domyślał się zresztą, po co stryj wzywa go tak nagle, sprawę bowiem ruszono już delikatnie, kiedy był w Winsyatt z Tiną i jej rodzicami... bardzo delikatnie, gdyż stryj był człowiekiem nieśmiałym— Rzecz była w tym, czy Karol z żoną nie zamieszkałby razem ze stryjem w Winsyatt — młodzi mogliby „urządzić” dla siebie wschodnie skrzydło. Karol wiedział, że stryjowi nie chodzi tylko o jakieś dłuższe wizyty, lecz o to, aby Karol osiadł w Winsyatt na stałe i zaczął uczyć się sztuki zarządzania majątkiem. Otóż perspektywa ta nęciła go równie mało jak Ernestynę, choć nie wiedział o jej oporach. Przewidywał, że z takiego układu nic dobrego nie wyniknie, że stryj będzie na przemian okazywał wielką czułość i równie wielką dezaprobatę... i że Ernestynę trzeba przygotowywać do roli pani na Winsyatt przez dłuższy okres, nie piętząc przed nią zaraz po ślubie takich trudności. Ale stryj w cztery oczy napomykał Karolowi o czym innym: że Winsyatt jest zbyt wielkie dla samotnego starego człowieka, że nie jest pewien, czy nie czułby się lepiej w mniejszej posiadłości. W okolicy nie brakowało stosownych mniejszych posiadłości... niektóre nawet figurowały na liście dzierżawnej Winsyatt. Jedna z nich, dwór elżbietąński, znajdowała się we wsi Winsyatt, omal że widoczna z wielkiego domu.

Karol sądził teraz, że starszy pan zaczął wyrzucać sobie egoizm, wzywa go więc, aby mu zaproponować do wyboru albo ów dwór, albo Winsyatt. Karolowi odpowiadałoby zarówno jedno, jak i drugie. Obojętne mu było, gdzie zamieszka, byle bez stryja. Miał przecucie, że stary kawaler da się teraz wymanewrować do każdego z tych dwóch miejsc, że przypomina stremowanego jeźdźca, który ma wziąć przeszkodę i pragnie, aby go zdopingowano do skoku.

Toteż pod koniec krótkiej rozmowy we troje przy Broad Street Karol poprosił o kilka słów sam na sam z Ernestyną i gdy ciotka Tranter odeszła, zwierzył się narzeczonej ze swych przypuszczeń. Ale czemu nie zaproponował tego wcześniej?

— Najmilsza, stryj Bob taki już niestety jest. Ale powiedz mi, co mam odpowiedzieć.

— Który dom ty byś wolała?. Który wybierzesz. Jeżeli nie chcesz, nie weźmiemy żadnego. Tylko że stryj byłby dotknięty...

Ernestyna posłała dyskretne przekleństwo pod adresem wszystkich bogatych stryjów. Wszelako w myśli ujrzała naraz siebie jako lady Smithson w Winsyatt, urządzonym według swego gustu, może dlatego, że rozmowa odbywała się w niezbyt przestronnym saloniku ciotki Tranter. Bądź co bądź tytuł wymaga odpowiedniego tła. Jeżeli ten wstrętny staruch wyprowadzi się na dobre... a jest przecież bardzo stary. No i chodzi też o kochanego Karola. I o jej rodziców, którym winna jest...

— Dom we wsi — czy to nie ten, obok którego przejeżdżaliśmy powozem?

— Tak, pamiętasz, ma taki malowniczy stary dach ze szczytami.

— Malowniczy, jak się patrzy z zewnątrz.

— Naturalnie trzeba by go odremontować.

— Jak się nazywa?

— Wieśniacy nazywają go „Małym Domem”. Ale tylko przez porównanie. Od lat już tam nie byłem, ale sądzę, że jest znacznie większy, niż wygląda.

— Znam te stare domy. Dziesiątki okropnych pokoików. Ci elżbietanie musieli być wszyscy karłami.

Karol uśmiechnął się (choć lepiej by może zrobił, gdyby skorygował przedziwne wyobrażenie Ernestyny o architekturze elżbietąńskiej) i objął ją za ramiona.

— A więc Winsyatt?

Podniosła brwi i zajrzała mu w oczy.

— A ty chcesz?

— Wiesz, co Winsyatt dla mnie znaczy.

— Będę mogła urządzić dom, jak zechcę?

— Jeśli chodzi o mnie, możesz zrównać go z ziemią i zbudować drugi Pałac Kryształowy* [* Pałac Kryształowy (Crystal Palace) — londyńska hala wystawowa ze szkła i żelaza, zbudowana w Hyde Parku na Wielką Wystawę 1851 r.]

— Karolu! Bądź poważny!

Odsunęła się nadąsana. Karol jednak otrzymał zaraz pocałunek na znak przebaczenia i z lekkim sercem wyruszył w drogę. Ernestyna natomiast poszła na górę i wyciągnęła swój obfity arsenał katalogów.

W tym właśnie cisie
 Znajomy mego dziadka skrył się...
 Thomas Hardy, *Transformations*

Kocz, którego budę opuszczono, żeby Karol mógł rozkoszować się wiosennym słońcem, minął domek odźwiernego. Młody Hawkins stał przy otwartej bramie, stara pani Hawkins uśmiechała się z drzwi domku promiennie, choć nieśmiało. Karol zawołał do pomocnika stangreta — który czekał na niego w Chippenham i teraz powoził, mając obok siebie na koźle Sama — żeby się na chwilę zatrzymał. Karola łączyły ze starą kobietą stosunki zupełnie wyjątkowe. Utraciwszy matkę w chwili, gdy miał tylko rok życia, musiał jako mały chłopiec zadowalać się całą serią gorszych lub lepszych zastępczyń, a podczas licznych i długich wizyt w Winsyatt przywiązał się ogromnie właśnie do pani Hawkins, formalnie podówczas głównej praczki, lecz z racji wysługi lat i popularności wśród reszty służby ustępującej miejsca w hierarchii jedynie prześwieczonej ochmistrzyni. Być może sentyment Karola do ciotki Trader był echem jego dawnych wspomnień o tej prostej kobiecie — idealnym wcieleniu Baucis — która kuszyła teraz ścieżką do furtki ogrodowej, żeby go powitać.

Musiał odpowiedzieć na wszystkie pełne życzliwości pytania dotyczące rychłego ślubu i z kolei zapytać o jej dzieci.

Zdradzała większą troskliwość o niego niż zazwyczaj i dostrzegł w jej oczach cień współczucia, jakie biedacy dobrego serca żywią niekiedy dla uprzywilejowanych bogaczy. Znał z lat dziecinnych to spojrzenie, którym naiwnie bystra wieśniaczka darzyła biednego sierotkę, mającego złego ojca — mocno przesadzone bowiem pogłoski o tym, jak jego rodzic zażywa uciech życia londyńskiego, docierały do Winsyatt. Choć nieme to współczucie wydawało mu się teraz osobliwie nieuzasadnione, Karol potraktował je z wyrozumiałym rozbawieniem. Wynikało z miłości do niego, podobnie jak schludny ogródek przy domku i ciągnący się za nim park, i grupy starych drzew — każda z ukochaną nazwą: Zagajnik Carsona, Wzgórze Dziesięciu Sosen, Ramillies (zasadzona dla uczczenia bitwy), Dęby i Wiązy, Gaj Muz oraz tuzin innych, równie dobrze znanych Karolowi jak nazwy jego części ciała — i wielka aleja lipowa, i ogrodzenie z kutego żelaza, słowem wszystko, na co padło tu oko Karola, wynikało też, a przynajmniej tak to odczuwał, z miłości do niego. Wreszcie uśmiechnął się do starej praczki.

— Muszę jechać. Stryj mnie oczekuje. Pani Hawkins miała przez chwilę taką minę, jak gdyby nie zamierzała dać się zbyć tak łatwo, ale sługa wzięła w niej górę nad przybraną matką. Poprzestała na dotknięciu ręki Karola, opartej na drzwiczkach kocza.

— Tak jest, panie Karolu. Oczekuje pana. Stangret smagnął batem zad dyszlowego, kocz wtoczył się na łagodną pochyłość i wjechał w pokratkowany cień jeszcze bezlistnych lip. Po chwili droga stała się równa, bat znów liznął leniwie zad gniadego i obydwu konie, przypomniawszy sobie, że do żłobu już niedaleko, pobiegły różnym kłusem. Szybki, wesoly chrzęst kół, poskrzypywanie niedosmarowanej osi, dawne sentymenty wskrzeszone przez panią Hawkins, obecna pewność, że wkrótce już naprawdę obejmie w posiadanie cały ten krajobraz, wszystko to na nowo obudziło w Karolu owo niezatarte poczucie szczęśliwego losu i właściwego porządku rzeczy, poczucie, które pobyt w Lyme nieco zmaćcił. Ten skrawek Anglii należy do niego, a on należy do tego skrawka; on ponosi odpowiedzialność za te dobra, za ich prestiż, za ich odwieczną organizację.

Minęli grupę robotników stryja: kowal Ebenezar przy koszu z żarzącym się koksem prostował młotkiem zgięty pręt ogrodzenia, za nim stało dwóch drwali zajętych pogawędką, a obok czwarty mężczyzna, bardzo wiekowy, nadal w kaftanie z czasów swej młodości i sfatygowanym meloniku... stary Ben, ojciec kowala, teraz jeden z kilkunastu zamieszkałych tu emerytów majątku, na równi z panem tych włości mający prawo chodzić wszędzie, gdzie tylko zechce, żywa kronika ostatnich osiemdziesięciu lat dziejów Winsyatt, dotychczas zresztą udzielająca informacji na zawołanie.

Czterej mężczyźni obejrzeli się, kiedy kocz przejeżdżał, i podnieśli na powitanie ręce i meloniki. Karol w odpowiedzi pozdrowił ich gestem łaskawego władcy. Wiedział o nich wszystko tak samo jak oni wiedzieli wszystko o nim. Wiedział nawet w jakich okolicznościach został zgięty pręt w ogrodzeniu... wielki byk Jonasz, ulubieniec stryja, dokonał szarży na lando pani Tomkins. „Sama sobie, ścierwo, winna — pisał w liście stryj że tak mocno maluje usta.” Karol uśmiechnął się, przypomniał sobie bowiem, że odpisując zapytał ironicznie, czemu tak ponętna wdówka odwiedza Winsyatt bez przyzwoitki...

Ale najrozkoszniej było powrócić do wielkiego i niezmiennego spokoju wiejskiego. Rozległe połacie wiosennej murawy, dalekie tło wydm wiltshirskich, widoczny już teraz dom, kremowoszary, z olbrzymimi cedrami, ze słynnymi czerwonymi bukami (wszystkie czerwone buki są słynne) przy zachodnim skrzydle, z niewidocznymi prawie stajniami w tyle, uwieńczonymi drewnianą wieżyczką z zegarem, wyglądającą spoza gałęzi drzew jak biały wykrzyknik. Ten zegar stajenny był symbolem, bo chociaż w Winsyatt — mimo depeszy — nigdy się z niczym nie śpieszono, każdy zielony dzień dzisiejszy zamieniał się bez zgrzytów w zielone jutro, a jedynym czasem był czas słoneczny, i chociaż z wyjątkiem sianokosów i żniw zawsze było za wiele rąk do zbyt małej ilości pracy, poczucie ładu było niezmiernie głębokie, narzucało przeświadczenie, że ładu tego niepodobna zakłócić, że zawsze pozostanie taki: dobroczynny i niezmierny. Bogu Jedynemu — i Millie — wiadomo, że na wsi istniała krzywda i nędza równie okrutna, jak w miastach Sheffield i Manchester, omijała ona jednak sąsiedztwo wielkich majątków angielskich, może z tego choćby powodu, że ich właściciele lubili dobrze odżywionych wieśniaków, podobnie jak lubili dobrze uprawione pola i dobrze utrzymany żywy inwentarz. Względna ich dobroć dla licznej służby domowej i folwarcznej może więc była tylko produktem ubocznym zamiłowania do przyjemnych widoków, lecz podwładni bez wątpienia na tym zyskiwali. Pobudki nowoczesnego inteligentnego” kierownictwa nie są zapewne ani trochę bardziej altruistyczne. Dawnej odmianie dobrotliwych wyzyskiwaczy chodziło o piękne widoki, obecnej chodzi o większą wydajność.

Gdy kocz wyłonił się z alei lipowej tam, gdzie ogrodzone pastwiska ustępowały miejsca gładszym trawnikom i przyszczyżonym krzewom, droga zaś rozpoczęła swój długi półkolisty zakręt wiodący przed dom — palladianską*[Andrea P a l l a d i o (1508—1580) — włoski architekt i teoretyk architektury; nawiązywał do wzorów antycznych, wywarł wielki wpływ na architekturę XVII wieku w Anglii, tzw. palladianizm.] budowlę, nie nazbyt bezlitośnie poprawioną i rozbudowaną przez młodszego Wyatta **[Benjamin Dean Wya tt (1775—1850) — architekt angielski.]

— Karol poczuł, że oto naprawdę obejmuje w posiadanie swoje dziedzictwo. Miał wrażenie, że tłumaczy to całe jego dotychczasowe próżniacze życie, jego flirty z religią, ze sztuką, z podróżowaniem — czekał na tę chwilę, na tę, że tak powiem, intronizację. Niedorzeczna przygoda na skarpie poszła w zapomnienie. Olbrzymie obowiązki, związane z zachowaniem tego spokoju i ładu, rozpościerały się przed nim jak rozpościerały się w swoim czasie przed tyloma młodymi mężczyznami z jego rodziny. Powinność — oto jego prawdziwa małżonka, jego Ernestyna i jego Sara, zeskoczył więc z powozu radośnie jak kilkunastoletni chłopiec, aby ją powitać.

Przywitał go jednak tylko pusty hol. Karol wpadł do salonu spodziewając się, że stryj uśmiechnięty wyjdzie na jego spotkanie. Ten pokój jednak również był pusty. Przy tym uderzyło Karola coś dziwnego, chociaż w pierwszej chwili nie mógł się zorientować co. Potem uśmiechnął się. Nowe firanki... a dywany? Tak, też nowe. Ernestyna nie będzie zadowolona, że odebrano jej możliwość wyboru, ale zarazem trudno o lepszy dowód, że starszy pan zamierza najzyczliwiej przekazać pochodnię.

Jednakże jeszcze coś się tu zmieniło. Trwało dość długo, nim Karol uświadomił sobie, na czym ta zmiana polega. Nieśmiertelnego dropia wygnano — tam, gdzie stała dawniej jego oszklona gablota, znajdowała się teraz szafka z porcelaną.

Karol jednak wciąż niczego się nie domyślał.

Nie domyślał się też — ale w tym wypadku czyż mógł się domyślić? — co zdarzyło się Sarze, kiedy rozstała się z nim poprzedniego popołudnia. Otóż Sara poszła szybko przez las, aż dotarła do miejsca, w którym zwykle wybierała wyższą ścieżkę, aby nie być widzianą z mleczarni. Ktoś, kto by ją obserwował, zauważyłby, że się waha, a potem, gdyby miał słuch równie dobry jak Sara, domyśliłby się dlaczego: sprzed budynku mleczarni, ukrytego na dole za drzewami w odległości mniej więcej stu jardów, dobiegały odgłosy rozmowy. Sara wolno i cicho poszła naprzód, aż znalazła się przy wielkiej kępie i ostrokrzewu, przez którego gęste liście mogła zobaczyć w dole tylną część budynku. Przez jakiś czas stała bez ruchu, twarz jej nie zdradzała nic z tego, co działo się w myślach. Wtem jakiś nowy obrót spraw na dole przed mleczarnią sprawił, że się poruszyła... nie cofnęła się jednak pod osłonę drzew, nie, wyszła śmiało zza kępy ostrokrzewu na ścieżkę łączącą się powyżej mleczarni z gościńcem. Tak oto ukazała się naraz oczom stojących przed drzwiami domu dwóch kobiet, z których jedna trzymała koszyk i wybierała się najwidoczniej w drogę do domu.

Ciemna postać Sary ukazała się na ścieżce. Dziewczyna nie patrzyła na dół w stronę domu, w stronę dwóch zdumionych par oczu, lecz szła szybko przed siebie, aż znikła za żywopłotem pola ciągnącego się powyżej mleczarni.

Jedną z kobiet na dole była żona mleczarza. Drugą była pani Fairley.

24

Słyszałem kiedyś, że typowym wiktoriańskim powiedzeniem było: „Musisz pamiętać, że to twój stryj...”

G. M. Young, *Eseje wiktoriańskie*

— To potworne. Potworne! Nie uwierzę, że on nie stracił rozumu.

— Zatracił poczucie miary. A to niezupełnie to samo.

— Ale w obecnym stanie rzeczy!

— Kochana Tino, Amor znany jest z tego, że ma w pogardzie sprawy osób trzecich.

— Wiesz doskonale, że Amor nie ma z tym nic wspólnego.

— Przeciwnie, ma bardzo dużo wspólnego. Stare serca są najbardziej podatne na jego wpływ.

— To moja wina. Wiem, że jest ze mnie niekontent.

— Daj pokój, mówisz głupstwa.

— Wcale nie głupstwa. Wiem dobrze, że dla niego jestem córką bławatnika.

— Moje drogie dziecko, opanuj się.

— To o ciebie tak się gniewam.

— W takim razie pozwól, że się będę gniewał sam o siebie. Zapadło milczenie, z którego mogę skorzystać, aby nadmienić, że rozmowa ta odbywała się w saloniku ciotki Tranter. Karol stał przy oknie, zwrócony plecami do Ernestyny, która przed chwilą dopiero przestała płakać i siedziała teraz, szarpiąc ze złością koronkową chusteczkę.

— Wiem, jak kochasz Winsyatt.

Co Karol byłby na to odpowiedział, musi pozostać w sferze domysłów, drzwi się bowiem otworzyły i ukazała się ciotka Tranter, promieniejąca powitalnym uśmiechem.

— Tak prędko wróciłeś! — Było pół do dziesiątej wieczór tego samego dnia, w którym widzieliśmy, jak Karol zajechał pod dwór w Winsyatt.

Karol uśmiechnął się z przymusem.

— Nasze sprawy zostały szybko... zakończone.

— Stało się coś okropnego, coś nie wiarygodnego. — Ciotka Tranter spojrzała z przerażeniem na pełną oburzenia i tragizmu twarz siostrzenicy, która mówiła dalej: — Karola wydziedziczono.

— Wydziedziczono!

Ernestyna przesadza. Po prostu mój stryj postanowił się ożenić. Jeżeli szczęście mu dopisze i ześle syna i dziedzica...

— Szczęście! — Ernestyna rzuciła Karolowi spojrzenie krótkie, lecz miażdżące. Ciotka Tranter w konsternacji przenosiła wzrok z jednej twarzy na drugą.

— Ale... kim jest przyszła żona?

— Nazywa się pani Tomkins, proszę pani. Jest wdową.

— I to dość młodą, żeby urodzić tuzin synów.

— Chyba nie aż tyle — uśmiechnął się Karol. — Ale jest dość młoda, aby mieć synów.

— Znasz ją?

— To jest właśnie najgorsze — zawołała Ernestyna, zanim Karol zdążył odpowiedzieć. — Dopiero przed dwoma miesiącami stryj w liście do Karola wyśmiewał się z tej osoby. A teraz wielbi ją na klęczkach.

— Droga Ernestyno!

— Nie uspokoję się! To za wiele. Po tylu latach... Karol odetchnął głęboko i zwrócił się do ciotki Tranter.

O ile mi wiadomo, jest bardzo dobrze skoligacona. Mąż jej był pułkownikiem w czterdziestym pułku huzarów i pozostawił wdowie pokaźny majątek. Trudno podejrzewać, że chodzi jej tylko o bogatego męża. — Płonące gniewem spojrzenie Ernestyny mówiło wyraźnie, że pani Tomkins wcale nietrudno o to podejrzewać. — Podobno jest kobietą bardzo przystojną i pociągającą.

— Z pewnością jeździ konno i poluje na lisy.

Karol uśmiechnął się zgryźliwie do Ernestyny, której słowa stanowiły aluzję do jednej z przyczyn rzekomej niechęci do niej stryja—potwora.

— Z pewnością. Ale to jeszcze nie jest zbrodnią. Ciotka Tranter usiadła ciężko na krześle i znów przenosiła wzrok z jednej młodej twarzy na drugą, jak zawsze w takich sytuacjach szukając promyka nadziei.

— Ale czy on nie jest za stary, żeby mieć dzieci? Naiwność jej sprawiła, że Karol zdobył się na łagodny uśmiech.

— Ma sześćdziesiąt siedem lat, proszę pani. Nie jest za stary.

— Mimo że ona mogłaby być jego wnuczką.

— Droga Tino, w takich okolicznościach człowiekowi pozostaje tylko godność osobista. Muszę cię stanowczo prosić, żebyś przez wzgląd na mnie nie była aż tak rozgoryczona. Musimy przyjąć to wydarzenie z możliwie dobrą miną.

Ernestyna podniosła na Karola oczy, zobaczyła, jak ściągniętą, surową ma twarz, i zrozumiała, że musi zacząć grać zupełnie inną rolę. Podbiegła do narzeczonego, chwyciła jego rękę i podniosła ją do ust. On przyciągnął Ernestynę do siebie i ucałował ją w czubek głowy, lecz jej manewr bynajmniej go nie oszukał. Ryjówka i mysz wyglądają może tak samo, lecz nie są tym samym, i chociaż Karol nie potrafił znaleźć słowa na określenie sposobu, w jaki Ernestyna przyjęła oszałamiającą i przykrą wiadomość, było ono dość bliskie wyrażenia „nieelegancko”. Wracając dwukółką z Exeter, zajechał prosto pod dom ciotki Tranter, gdzie spodziewał się znaleźć łagodne współczucie, nie zaś szalejącą wściekłość, choćby Ernestyna miała najlepsze zamiary i chciała mu dowieść, że targają nią te same uczucia co nim. Może w tym właśnie tkwił sęk — Ernestyna nie domyślała się, że dżentelmenowi nigdy nie wolno ujawnić gniewu, jaki mu przypisywała. Na dobitkę przez pierwsze minuty po przybyciu Karola Ernestyna miała w sobie coś aż nazbyt przywodzącego na myśl córkę kupca bławatnego, która źle wyszła na jakiejś transakcji handlowej i której brak przekazywanego z pokolenia na pokolenie niewzruszonego spokoju, owej wspaniałej pogardy dla przeciwności życiowych, bezskutecznie usiłujących zakłócić pogodę ducha prawdziwego arystokraty.

Zaprowadził Ernestynę z powrotem na kanapę, z której się zerwała. Zasadniczy cel jego wizyty, decyzję powziętą w czasie długiej drogi powrotnej, należało, jak teraz widział, pozostawić do omówienia na dzień następny. Szukał w myśli sposobu na zademonstrowanie właściwej postawy, lecz nie znalazł nic lepszego niż przybrać lekki ton i zmienić temat rozmowy.

A cóż tak wiekopomnego wydarzyło się dzisiaj w Lyme?

Ernestyna, jak gdyby coś sobie przypomniwała, zwróciła się do ciotki.

— Ma ciocia jakieś wiadomości o niej? — Zanim jednak ciotka Tranter zdążyła odpowiedzieć, spojrzała na Karola. — Owszem, coś się zdarzyło. Pani Poulteney odprawiła pannę Woodruff.

Karol poczuł, że serce mu zamarło. Jeżeli nawet silne wrażenie odbiło mu się na twarzy, minęło ono niezauważone, z takim przejęciem bowiem panna Tranter pospieszyła opowiedzieć mu swoją z kolei nowinę, tłumacząc przy tym, że dlatego właśnie nie było jej w domu, kiedy

Karol przyjechał. Odprawienie panny Woodruff dokonało się podobno poprzedniego wieczora; grzesznicy pozwolono spędzić ostatnią noc pod dachem Marlborough House. Wczesnym rankiem dnia dzisiejszego przyszedł tragarz po jej kufer i otrzymał polecenie, że ma go zanieść do gospody „Pod Białym Lwem”. Tu Karol dosłownie zbiełał, ale panna Tranter zaraz w następnym zdaniu uśmierzyła jego obawy.

— Bo tam jest remiza dylizansów, rozumiesz. — Omnibusy z Dorchester do Exeter nie zjeżdżały ze stromego wzgórza do Lyme, lecz trzeba było czekać na nie przy skrzyżowaniu dróg jakie cztery mile dalej na głównej szosie. — Ale pani Hunnicott rozmawiała z tym człowiekiem. Twierdzi stanowczo, że panny Woodruff w Marlborough House już nie było. Pokojówka powiedziała, że wyszła o świcie i zostawiła tylko dyspozycje co do kufra.

— A od tej chwili?

— Znaku życia.

— Widziała się pani z proboszczem?

— Nie, ale panna Trimble zapewniła mnie, że proboszcz dziś przed południem udał się do Marlborough House. Powiedziano mu, że pani Poulteney jest niedysponowana. Rozmawiał z panią Fairley. Ta wiedziała tylko, że jakaś okropna sprawa doszła do wiadomości pani Poulteney, w związku z czym jest ona ogromnie wstrząśnięta i zdenerwowana... — Zaczyna panna Tranter urwać, najwidoczniej w równym stopniu wstrząśnięta zniknięciem Sary. Spojrzała pytająco na siostrzenicę i na Karola. — Co to może być... co to może być?

— Nie powinna była w ogóle iść na służbę do Marlborough House. To zupełnie jakby się rzuciło jagnię wilkowi na pożarcie. — Ernestyna spojrzała na Karola, oczekując potwierdzenia swej opinii. Karol, czując się znacznie mniej spokojny niż wyglądał, zwrócił się do ciotki Tranter.

— Nie ma chyba mowy o...

— Tego się właśnie wszyscy obawiamy. Proboszcz wysłał ludzi, żeby przeszukali okolicę w kierunku Charmouth. Ona chodzi tam na spacer.

— A ci ludzie?

— Nic nie znaleźli.

— Wspominała pani, zdaje się, że ona pracowała niegdyś u...

— Posyłano już tam. Nic o niej nie wiedzą.

— A doktor Grogan — czy go nie wzywano do Marlborough House? — Karol zrećcznie wprowadził to nazwisko, po czym zwrócił się do Ernestyny. — Tego wieczora, kiedyśmy pili u niego grog, wspominał o niej. Wiem, że niepokoił się jej sytuacją.

— Panna Trimble widziała, jak o siódmej wieczór rozmawiał z proboszczem. Mówiła, że był bardzo podniecony. Okropnie zły. Tak się wyraziła. — Panna Trimble miała sklep ze świecidełkami i galanterią damską u wylotu Broad Street, w idealnym miejscu, aby być głównym ośrodkiem informacyjnym miasteczka. Łagodna twarz panny Tranter osiągnęła rzecz zdawałoby się niemożliwą, mianowicie przybrała wyraz wręcz srogi. — Nie odwiedzę pani Poulteney, choćby nie wiem jak była chora.

Ernestyna zasłoniła twarz rękoma.

— Ach, cóż za okropny dzień! Karol spojrzał uważnie na obie panie.

— Może powinienem wstąpić do Grogana.

— Och, Karolu, co tu możesz pomóc? Dość jest mężczyzn do prowadzenia poszukiwań.

Karolowi oczywiście nie o to wcale chodziło. Domyślał się, że odprawienie Sary pozostaje w jakimś związku z jej wędrówkami po skarpie, i truchlał na myśl, że ktoś mógł go tam z nią widzieć. Był w okropnej rozterce. Powinien się był dowiedzieć, co ogólnie wiadomo o powodach jej odprawienia. Poczul naraz, że atmosfera saloniku budzi w nim klaustrofobię. Musiał zostać

sam. Musiał zastanowić się, co robić. Jeżeli bowiem Sara jeszcze żyła — ale któż mógł odgadnąć, jaką szaleńczą decyzję mogła powziąć podczas tej nocy pełnej rozpacz, gdy on spał spokojnie w pokoju hotelowym w Exeter? — lecz jeśli nadal oddychała, domyślał się, gdzie się ukryła, i stupudowym ciężarem przygniatała go świadomość, że jest jedynym człowiekiem w Lome, który to wie. Jednakże nie śmiał ujawnić swych domysłów.

W kilka minut później szedł wielkimi krokami w kierunku gospody „Pod Białym Lwem”. Było dość ciepło, ale niebo powlekały chmury. Leniwe palce wilgotnego powietrza muskały Karolowi policzki. Gdzieś w oddali rozlegały się pomruki grzmotów — zupełnie jak w jego sercu.

25

O, młody panie, po cóż wzdychać
Do tej, co nigdy twą nie będzie?
Alfred Tennyson, *Maud* (1855)

Zamierzał niezwłocznie pchnąć Sama z listem do doktora Grogana. Idąc układał sobie w myśli tekst: „Panna Tranter jest ogromnie zaniepokojona...”, „Gdyby potrzeba było funduszków na uformowanie grupy poszukiwaczy...” albo lepiej: „Gdybym mógł służyć pomocą finansową lub jakąkolwiek inną” takie zdania przepływały mu przez myśl. Wchodząc do hotelu, powiedział przygłuchemu stajennemu, żeby ten zawołał z piwiarni Sama i przysłał go na górę. Zaledwie jednak wszedł do swego pokoju, doznał wstrząsu po raz trzeci tego obfitującego w wydarzenia dnia.

Na okrągłym stole leżał list zapieczętowany czarnym lakiem. Pismo było mu nieznaną: „Do pana Smithsona, «Pod Białym Lwem».” Rozerwał zwiniętą kartkę. Nagłówek ani podpisu nie było.

„Proszę, żeby zobaczył się pan ze mną po raz ostatni. Będę czekała dziś po południu i jutro rano. Jeżeli pan nie przyjdzie, nigdy już nie będę Go niepokoiła.”

Karol przeczytał list dwa razy, potem raz jeszcze, a następnie wbił spojrzenie w mrok za oknem. Był wściekły, że ona tak beztrudnie naraża na szwank jego opinię, czuł ulgę, że ona żyje, i znów oburzenie na pogrozkę zawartą w ostatnim zdaniu. Do pokoju wszedł Sam, ocierając usta chustką i w ten niezbyt subtelny sposób dając do zrozumienia, że przeszkodzono mu w zjedzeniu kolacji. Ponieważ lunch Sama składał się z butelki piwa imbirowego i trzech czerstwych biszkoptów, należy u wybaczyć. Od razu dostrzegł, że jego pan jest nadal w równie złym humorze, w jakim był od chwili wyjazdu z Winsyatt.

— Zejdź na dół i dowiedz się, kto zostawił dla mnie ten list.

— Tak jest, panie Karolu.

Sam wyszedł, ale nie zdążył jeszcze zrobić pięciu kroków, gdy Karol stanął w drzwiach.

— Powiedz, żeby ten, co go przyniósł, wszedł na górę.

— Tak jest, panie Karolu.

Pan wrócił do pokoju i tu zarysowała mu się w mózgu przelotna wizja owej prehistorycznej tragedii, której zapis znalazł w niebieskim liście i przyniósł Ernestynie — amonity unieruchomione przy jakimś cofnięciu się wody, mikrokatastrofa sprzed dziewięćdziesięciu milionów lat. W chwili posępnego olśnienia, w błysku czarnego pioruna dojrzał, że wszelkie życie jest równoległe — że ewolucja nie jest pionowa, wznosząca się ku doskonałości, lecz pozioma. Czas jest wielką ułudą, istnienie nie ma dziejów, jest zawsze chwilą obecną, jest zawsze tym oto stworzeniem schwytanym w tryby tej samej szatańskiej maszyny. Wszystkie malowane parawany stawiane przez człowieka, żeby przesłonić rzeczywistość — historia, religia, obowiązek, pozycja społeczna — wszystko to złudzenia, mrzonki, rojenia palacza opium.

Obejrzał się, kiedy Sam wszedł z tym samym stajennym, z którym Karol przed chwilą rozmawiał. List przyniósł jakiś chłopiec. O dziesiątej rano. Stajenny zna chłopca z widzenia, ale nie wie, jak się nazywa. Nie, nie powiedział, od kogo to list. Karol odprawił go z irytacją, a potem z nie mniejszą irytacją spytał Sama, na co się tak gapi.

— Na nic się nie gapię, panie Karolu.

— Bardzo dobrze. Każ tam, żeby mi przysłali kolację. Cokolwiek, wszystko jedno co.

— Tak jest, panie Karolu.

— I chcę już dzisiaj mieć spokój. Możesz od razu przygotować mi rzeczy na jutro.

Sam udał się do przyległej sypialni, Karol zaś stanął przy oknie. Gdy tak spoglądał na dół, ujrzał w świetle okien oberży małego chłopca, który nadbiegł przeciwną stroną ulicy, potem przeciął na ukos bruk pod oknami Karola i znikł mu z oczu. Karol o mało nie otworzył okna i nie zawołał na chłopca, tak wyraźne miał przecucie, że to znów jest ów mały posłaniec. Stał rozgorączkowany i zakłopotany. Nastąpiła dość długa pauza, zaczął więc już przypuszczać, że się pomylił. Sam wyszedł z sypialni i ruszył ku drzwiom na korytarz. Wtem rozległo się pukanie. Sam otworzył drzwi.

Był to stajenny. Uśmiechał się idiotycznie, jak człowiek który wie, że tym razem nie popełnił błędu. W ręce trzymał list.

— To był ten sam chłopiec, proszę pana. Zapytałem go proszę pana. Powiada, że to ta sama kobieta co przedtem proszę pana, ale on nie wie, jak się ona nazywa. My tu wszyscy nazywamy ją...

— Tak, tak. Daj mi list.

Sam wziął list od stajennego i podał Karolowi, ale pod maską służalczości kryło się nieme zuchwalstwo, szydercza znajomość rzeczy. Ruchem kciuka dał stajennemu znak, mrugnął do niego ukradkiem i stajenny wyszedł. Sam miał już pójść za nim, ale Karol zawołał go z powrotem. Zrobił pauzę, szukając słów dostatecznie oględnych, a zarazem budzących wiarę.

— Samie, zająłem się sprawą pewnej nieszczęśliwej kobiety. Pragnąłem... to znaczy, nadal pragnę zachować całą rzecz w tajemnicy przed panną Tranter. Rozumiesz?

— Doskonale, panie Karolu.

— Mam nadzieję, że uda mi się umieścić tę osobę na posadzie bardziej odpowiadającej... jej kwalifikacjom. Potem oczywiście opowiem o wszystkim pannie Tranter. To ma być niespodzianka. Drobnym rewanżem za gościnność panny Tranter. Panna Tranter bardzo się o tę osobę niepokoi.

Sam przybrał postawę, jak ją Karol określił w duchu, „Sama—lokaja” — wyrażającą najgłębszy szacunek i bezwzględne posłuszeństwo wobec wszelkich życzeń swego pana. Była to postawa tak daleka od prawdziwego charakteru Sama Farrow, że Karol poczuł się zmuszony brnąć dalej.

— Więc... chociaż to właściwie nic ważnego... nikomu o tym nie mów.

— Naturalnie, że nic nie powiem, panie Karolu. — Sam oburzył się niczym wikary oskarżony o uprawianie hazardu.

Karol odwrócił się do okna — nie widząc już następnej miny Sama, polegającej na osobliwym, szybkim ściągnięciu warg i domyślnym skinieniu głową — po czym otworzył drugi list, kiedy drzwi się za służącym zamknęły.

Je vous ai attendu toute la journée. Je vous prie — une femme à genoux vous supplie de l'aider dans son désespoir. Je passerai la nuit en prières pour votre venue. Je serai de l'aube à la petite grange près de la mer atteinte par le premier sentier à gauche après la ferme.

List bez wątpienia z braku laku był nie zapieczętowany, co wyjaśniało użycie charakterystycznej, nauczycielskiej francuszczyzny. Nabazgrany był ołówkiem, jak gdyby pisany w pośpiechu przy drzwiach jakiegoś domku wiejskiego lub na skarpie — Karol wiedział bowiem, że tam musiała się schronić.

Chłopiec był niewątpliwie dzieckiem jakiegoś biednego rybaka z osady przy falochronie — prowadziła tam ścieżka ze skarpy, umożliwiającą omińnięcie miasta. Ale jakimż szaleństwem jest całe to przedsięwzięcie, jakim ryzykiem!

Francuszczyzna! Varguennes!

Karol zgniótł kartkę w zaciśniętej ręce. Daleka błyskawica zwiastowała zbliżanie się burzy. Gdy Karol spojrział w okno, pierwsze ciężkie, ponure krople uderzyły o szybę i zaczęły po niej spływać. Pomyślał, gdzie Sara teraz jest, a obraz dziewczyny przemoczonej do nitki, biegnącej wśród piorunów i deszczu, oderwał na chwilę jego myśli od ostrego niepokoju o samego siebie. Ale tego doprawdy za wiele! Po takim dniu!

Nadużywam wykrzykników. Jednakże gdy Karol chodził tam i z powrotem po pokoju, myśli, reakcje, reakcje na reakcje w taki właśnie sposób wystrzelały mu gniewnie w mózgu. Wysiłkiem woli zatrzymał się przy oknie weneckim, spojrział na Broad Street i natychmiast przypomniał sobie, co Sara mówiła o głogach spacerujących tą ulicą. Obrócił się gwałtownie, ścisnął rękami skronie, potem wszedł do sypialni i przyjrzał się swojej twarzy w lustrze.

Niestety, wiedział aż nazbyt dobrze, że to nie sen. Powtarzał sobie: muszę coś zrobić, muszę działać. Ogarnęła go jakaś złość na własną słabość — tam do licha, musi zdobyć się na jakiś gest, który udowodni, że on, Karol, jest czymś więcej niż amonitem wyrzuconym na suchy ląd, że potrafi rozpedzić otaczające go czarne chmury. Musi z kimś porozmawiać, musi się komuś zwierzyć.

Wrócił do pierwszego pokoju i pociągnął za łańcuszek zwisający z palnika gazowego, doprowadzając bladozielony płomień do rozżarzonej białości, po czym szarpnął sznur dzwonka przy drzwiach. Gdy zjawił się stary kelner, Karol posłał go władczo po ćwiartkę najlepszego cobblera przyrządzanego „Pod Białym Lwem”, jedwabistej mieszaniny sherry i koniaku, która niejedną już wiktoriańską damę skłoniła do rozluźnienia sznurówki.

W pięć minut potem zdumiony Sam, niosący na górę tace z kolacją, stanął jak wryty w połowie schodów na widok mocno zarumienionego pana, który ubrany w pelerynę, zbiegał na dół. Karol zatrzymał się o stopień wyżej, podniósł serwetkę przykrywającą zupę fasolową, baraninę i gotowane kartofle, po czym bez słowa ruszył dalej.

— Panie Karolu?

— Zjedz to sam.

Pan odszedł — w przeciwieństwie do Sama, który zastygł w miejscu, wypychając językiem lewy policzek i wpatrując się ze skupieniem w poręcz schodów.

26

Wiedźcie więc, przyjaciele, że zależy tu wiele od dworskich, pradawnych praw.

Lewis Carroll, *The Hunting of the Snark* (1876)

Młody londyńczyk w ogóle pod wpływem Mary stał się ostatnio skłonny do medytacji. Kochał Mary dla niej samej, jak kochałby ją na jego miejscu każdy normalny młody mężczyzna będący przy zdrowych zmysłach, ale zarazem kochał ją za rolę, którą odgrywała w jego marzeniach — całkiem odmienną od roli, jaką w marzeniach młodych ludzi odgrywają dziewczęta za naszych czasów, wyzbytych zahamowań psychicznych i wyobraźni. Najczęściej widział ją niby w ślicznej klateczce za ladą sklepu z galanterią męską. Dystyngowani klienci jak zahipnotyzowani ściągali z całego Londynu do tej kuszącej twarzy. Na ulicy przed sklepem czarno było od ich cylindrów, panował ogłuszający łoskot kół ich karet i dwukółek. Swego rodzaju magiczny samowar, którego kranem dysponowała Mary, wyrzucał z siebie niekończący się potok rękawiczek, szalików, plastronów, kapeluszy, getrów, „oksfordów” (rodzaj modnych podówczas półbutów) i kołnierzyków — „Piccadilly”, „Shakspere”, „Obroża”, „Dux” — Sam miał manię na punkcie męskich kołnierzyków. Nie przysięgnę, czy nie było w tym coś z fetysyzmu, bo niewątpliwie wyobrażał sobie, jak Mary wkłada je na swoją białą szyjkę przed każdym zachwyconym księciem i lordem. W trakcie tej uroczej sceny Sam siedział przy kasie, zbierając skwapliwie złoty deszcz, ekwiwalent sprzedanych artykułów.

Świadom był, że to wszystko są tylko marzenia. Ale Mary, że tak powiem, podkreślała, więcej, uwypuklała ohydne rysy demona, który tak bezlitośnie zagradzał drogę do urzeczywistnienia tych marzeń. Imię demona? Brak gotówki. Może właśnie tego wszędobylskiego wroga ludzkości Sam wciąż widział przed sobą, gdy rozsiadł się wygodnie w pokoju swego pana przedtem z ponownym tajemniczym ściągnięciem ust upewniwszy się, że Karol rzeczywiście znikł w mrokach Broad Street — i bez szczególnego apetytu wybierał z drugiej kolacji to i owo: parę łyżek zupy, najdelikatniejsze kaski baraniny gdyż Sam nie posiadał wprawdzie stosownego zaplecza finansowego, miał natomiast wszelkie instynkty złotego młodzieńca. Teraz jednak znów wpatrywał się przed siebie ponad trzymanym na widelcu kawałkiem baraniny omaszczonej sosem kaparowym, zapominając zupełnie o rozkoszach podniebienia.

Sprawą, która tak mocno zaprzętała myśli Sama, było coś, co określamy niemiłym słowem „szantaż”. Sam Farrow domyślił się bowiem od razu, kim jest „nieszczęśliwa kobieta”. Ewenement tego kalibru, co odprawienie „kochanicy Francuza”, był zbyt smakowitą nowiną, aby w ciągu dnia nie mówiły o nim wszystkie usta w Lyme, Sam więc posłyszał już rozmowę na ten temat w gospodzie, kiedy siedział przy pierwszej, przerwanej kolacji. Wiedział, kim jest Sara, bo Mary kiedyś o niej wspomniała. Znał też dobrze swego pana, wiedział, że jest nieswój, że coś planuje, że na pewno nie poszedł do domu panny Tranter, lecz gdzie indziej. Odłożył więc widelec z wybranym kaskiem i zaczął opukiwać bok swego nosa, gest dość znany z toru w Newmarket, gdy któryś z krzywonogich zwęszy szczura udającego konia wyścigowego. Tu jednak szczurem był niestety Sam, zwęszył zaś rychłe zatonięcie statku.

Służba w Winsyatt wiedziała doskonale, co się święci — stryj chce zrobić na złość bratankowi. Mając przyrodzony wiejskim robotnikom szacunek do zapobiegliwej i dobrej gospodarki, lokaje i fornale gardzili Karolem za to, że nie odwiedza częściej stryja — słowem, że nie przymila się sir Robertowi przy każdej sposobności. Służbę w owych czasach uważano niemal za meble i chlebobawcy zapominali często, że ma ona zarówno uszy, jak inteligencję,

pewne więc utarczki między starszym panem a jego spadkobiercą nie pozostały niezauważone i były szeroko komentowane. Młodszy personel żeński skłonny był współczuć pięknemu Karolowi, lecz bardziej doświadczona część służby zajmowała raczej takie stanowisko jakie zajmuje mrówka wobec lekkomyślnego konika polnego i jego pretensjonalnych wyskoków. Ludzie ci przez całe życie pracowali na swe pobory, teraz więc cieszyli się, że Karola spotka kara za lenistwo.

Przy tym pani Tomkins, która zgodnie z podejrzeniami Ernestyny była rzeczywiście awanturnicą z wyższych warstw mieszczańskich, przebiegle dołożyła starań, żeby się wkraść w łaski ochmistrzyni i głównego kamerdynera, toteż obydwie te godne osoby opatrzyły swym *imprimatur* — czy też *ducatur in matrimonium* — pulchną i wylewną wdówkę. Ta ponadto, gdy jej pokazano od dawna nieużywane apartamenty we wspomnianym wyżej skrzydle wschodnim, rzuciła wobec ochmistrzyni uwagę, że nadadzą się one doskonale na pokoje dziecinne. Wprawdzie pani Tomkins miała syna i dwie córki z pierwszego małżeństwa, ale zdaniem ochmistrzyni — zakomunikowanym łaskawie panu Bensonowi, kamerdynerowi — należało uznać, że pani Tomkins tak jakby już była w ciąży.

— Mogą to być córki, pani Trotter.

— Ona nie da za wygraną, panie Benson. Zapamięta pan moje słowa. Będzie próbować aż do skutku.

Kamerdyner upił łyk herbaty, po czym dodał:

— Napiwki daje dobre. — Karol natomiast, jako członek rodziny, w ogóle napiwków nie dawał.

Ogólny sens całej sprawy doszedł do uszu Sama, kiedy czekał na Karola w jadalni dla służby. Nie było to nic przyjemnego ani samo przez się, ani osobiście dla Sama, gdyż jako służący konika polnego musiał dzielić z nim powszechnie potępienie, wszystko razem zaś łączyło się dość ściśle z planami, które Sam miał zawsze w odwodzie: — marzenie *faute de mieux* — o zaszczytnej pozycji w Winsyatt, zajmowanej obecnie przez pana Bensaona. Zasadził nawet mimochodem takie ziarenko i gdyby zechciał, z pewnością puściłoby pędy w umyśle Mary. Nie było więc miło patrzeć, jak ktoś brutalnie wyrывa z korzeniami delikatną roślinkę, choćby nie najbardziej upragnioną i pielęgnowaną.

Gdy wyjeżdżali z Winsyatt, Karol nie powiedział Samowi ani słowa, oficjalnie więc Sam nic nie wiedział o jego zawiedzionych nadziejach. Jednak posępna twarz pana mówiła więcej niż słowa.

A teraz znowu taka historia.

Sam wziął wreszcie do ust stygnącą baraninę, zżuł ją i połknął, lecz jego oczy przez cały czas patrzyły w przyszłość.

Rozmowa Karola ze stryjem nie była burzliwa, ponieważ obaj czuli się winni — stryj z powodu tego, co robi, bratanek z powodu tego, czego w swoim czasie nie zrobił. Reakcja Karola na nowiny, zakomunikowane bez ogródek, lecz z wymownie odwróconymi oczami, była po pierwszym lodowatym wstrząsie nieskazitelnie, acz sztywno uprzejma.

— Mogę tylko stryjowi pogratulować i życzyć mu wszelkiej pomyślności i szczęścia.

Stryj, który wszedł do salonu w chwilę potem, gdy zostawiliśmy w nim Karola, odwrócił się do okna, jakby chciał zaczerpnąć otuchy z widoku swoich zielonych akrów. Opowiedział pokrótce dzieje swej miłości. Pierwszy raz dostał kosza, było to przed trzema tygodniami. Nie należy jednak do ludzi, którzy dają za wygraną przy pierwszym niepowodzeniu. Wyczuł pewne wahanie w głosie damy. Przed tygodniem pojechał do Londynu i „zacinając konia, ruszył znów do ataku”. Uparta przeszkoda została zmieciona z drogi.

— Powiedziała znów „nie”, Karolu, ale płakała. Wiedziałem, że odniosłem zwycięstwo. — Potrzeba było, jak się okazało, jeszcze paru dni, żeby padło ostateczne „tak”. No i wtedy, kochany chłopcze, uznałem, że muszę się z tobą zobaczyć. Jesteś pierwszym człowiekiem, któremu o tym mówię.

Karol przypomniał sobie pełne współczucia spojrzenie starej pani Hawkins — całe Winsyatt niezawodnie wie już o wszystkim. Opowiadana urywanymi zdaniami, pełna pauz, saga o miłości stryja dała Karolowi czas na odzyskanie równowagi. Czuł się sponiewierany i upokorzony, pomniejszony o cały świat. Miał jeden tylko sposób obrony: przyjąć wiadomość spokojnie, ze stoicyzmem, ukrywając w głębi duszy szalejącego z wściekłości chłopca.

— Wdzięczny jestem stryjowi za troskliwość.

— Masz pełne prawo uważać mnie za zramolałego głupca. Większość sąsiadów będzie tego zdania.

— Późny wybór bywa często najlepszy.

— Ona jest tak pełna życia, Karolu. To nie żadna z tych waszych zmanierowanych nowoczesnych panna. — Przez krótką, bolesną chwilę Karol sądził, że to przytyk do Ernestyny, lecz przytyk, acz celny, był niezamierzony. Stryj niepomny niczego mówił dalej: — Mówi, co myśli. W dzisiejszych czasach niektórzy uważają, że u kobiety oznacza to brak skromności. Ale tak nie jest. — Poszukał potwierdzenia w swoim parku. — Jest prosta i szczerza jak dobry wiąż.

— Ani przez chwilę nie przypuszczałem, że może być inaczej.

Stryj rzucił mu przenikliwe spojrzenie. Podobnie jak Sam odgrywał przed Karolem pokornego lokaja, tak też Karol odgrywał niekiedy przed starszym panem pełnego szacunku bratanka.

— Wolałbym, żebyś się gniewał, niż być taki... — Chciał powiedzieć „taki oziębły”, ale podszedł i objął Karola za ramiona, usiłował bowiem usprawiedliwić swoją decyzję, wprawiając się w złość na bratanka, ale rzetelność prawdziwego sportowca szeptała mu, że to marne usprawiedliwienie. — Karolu, do diabła ciężkiego, trzeba to powiedzieć wyraźnie. Cała ta sprawa zmieni twoje sperandy. Chociaż w moim wieku, Bóg wie, czy... — Stryj urwał, nie decydując się na wzięcie tej przeszkody. — Karolu, gdyby się jednak tak stało, chcę, żebyś wiedział, że jakkolwiek ułoży się nasze pożycie małżeńskie, nie pozostaniesz bez odpowiedniego zabezpieczenia. Nie mogę ci dać „Małego Domu”, ale z całym naciskiem proszę, żebyś do końca życia uważał go za swoją własność. Chciałbym, żeby to był mój prezent ślubny dla Ernestyny i dla ciebie — no i oczywiście poniosę wszystkie koszty przeróbek i urządzenia.

— Stryj jest doprawdy bardzo hojny. Ale postanowiliśmy już właściwie, że zamieszkamy w domu przy Belgravia Square, kiedy wygaśnie dzierżawa.

— Owszem, owszem, ale musisz przecież mieć jakiś dom na wsi. Nie pozwolę, żeby ta sprawa stanęła między nami, Karolu. Gotów jestem jutro zerwać, jeżeli...

Karol zdobył się na uśmiech.

Co też stryj mówi. Przecież mógł się stryj ożenić przed wielu laty.

— Być może. Ale się nie ożeniłem.

Podszedł nerwowo do ściany i poprawił przekrzywiony obraz. Karol milczał. Może mniej go bolała zaskakująca wiadomość, niż wspomnienie niedorzecznych marzeń o objęciu Winsyatt w posiadanie, kiedy tu jechał. A stary czort powinien był napisać. Ale dla starego czorta równałoby się to tchórzostwu. Skończył teraz z obrazem i znów się odwrócił do bratanka.

— Karolu, jesteś młody, spędzasz pół życia na podróżach po świecie. Nie wyobrażasz sobie, jak jestem piekielnie samotny jak mi nudno, sam nie wiem, co to takiego, ale przeważnie mam wrażenie, że lepiej by już umrzeć.

— Nie miałem pojęcia... — wyszeptał Karol.

— Ależ nie, nie robię ci żadnych wyrzutów. Masz własne życie. — W głębi ducha, jak tylu bezdzietnych mężczyzn, miał jednak za złe Karolowi, że ten nie dorósł do ideału troskliwego i kochającego syna. Wyobrażał sobie, że wszyscy synowie są tacy, aczkolwiek dziesięć minut prawdziwego ojcostwa przekonałoby go, iż jest to sentymentalna mrzonka. — Poza tym są rzeczy, które może dać tylko kobieta. Na przykład dawne zasłony w tym pokoju, zauważyłeś? Pani Tomkins któregoś dnia powiedziała, że są ponure. I tam do diaska, jestem ślepy, rzeczywiście były ponure. To właśnie sprawia kobieta. Nagle zaczynasz widzieć coś, co cały czas miałeś przed nosem. — Karol miał ochotę wtrącić, że okulary spełniłyby tę samą funkcję znacznie taniej, ale pochylił tylko głowę na znak zrozumienia. Sir Robert z dumą wskazał ręką. — Co powiesz na te nowe?

Tu Karol mimo woli uśmiechnął się szczerze i szeroko. Zainteresowania estetyczne stryja przez tyle lat ograniczały się do takich spraw, jak kształt zadu końskiego i wyższość Joe Mantona nad wszystkimi innymi rusznikarzami znanymi z historii, że było to trochę tak, jakby morderca pytał o zdanie na temat wierszyka dla dzieci.

— Pokój ogromnie zyskał.

— Otóż to. Wszyscy mówią to samo. Karol przygryzł wargę.

— A kiedy będę miał zaszczyt poznać tę panią?

— Właśnie do tego zmierzałem. Ona bardzo chce cię poznać. I wiesz, Karolu, jest niezwykle delikatna w sprawie... no... jak to powiedzieć?

— Ograniczenia moich perspektyw?

— Właśnie. Przyznała mi się w zeszłym tygodniu, że za pierwszym razem odmówiła mi tylko z tego powodu. Karol zrozumiał, że to ma być pochwała, okazał więc uprzejme zdziwienie. — Ale zapewniłem ją, że robisz doskonałą partię. No i że zrozumiesz i pochwalisz mój wybór towarzyszyki ostatnich lat życia.

— Stryj nie odpowiedział mi na pytanie.

— Bawi teraz u rodziny w Yorkshire — z zażenowaną miną odparł stryj. — Spokrewniona jest z rodziną Daubenyh, uważasz.

— Doprawdy?

— Jadę tam do niej jutro.

— Ach, tak.

No i sądziłem, że najlepiej będzie, jeżeli załatwimy tę sprawę w cztery oczy. Ale ona bardzo pragnie cię poznać. — Stryj zawahał się, potem z komicznym zawstydzeniem sięgnął do kieszeni kamizelki i wyjął medalion. — Dała mi to w zeszłym tygodniu.

Karol przyjrzał się oprawnej w złoto i grube palce stryja miniaturze pani Belli Tomkins. Wyglądała nieprzyjemnie młodo — stanowcze usta, pewne siebie spojrzenie — bardzo pociągająca, nawet dla oczu Karola. Twarz ta, rzecz dziwna, nosiła jakieś dalekie podobieństwo do twarzy Sary, toteż prócz tego, że go upokorzono i wywłaszczono, Karol doznał uczucia nowego nieuchwytnego żalu. Sara była kobietą całkowicie niedoświadczoną, miniatura zaś ukazywała kobietę obytą w świecie, obydwie jednak, każda na swój odmienny sposób — stryj miał słuszność — odcinały się od ogółu zmanierowanych niewiast. Przez chwilę czuł się jak generał dowodzący słabą armią, który patrzy na silne oddziały nieprzyjaciela. Przewidywał aż nazbyt wyraźnie wynik konfrontacji między Ernestyną a przyszłą lady Smithson. Będzie to druzgocąca klęska.

— Widzę, że mam dalsze powody, aby stryjowi pogratulować.

— To nieprzeciętna kobieta. Wspaniała kobieta. Warto było na nią czekać, Karolu. — Stryj szturchnął go między żebra. Będziesz mi zazdrościł. Zobaczysz. — Jeszcze raz spojrział miłośnie na medalion, zamknął go ruchem pełnym czci i schował do kieszeni. Potem, jak gdyby chcąc

zatuszować tę chwilę rozrzewnienia, energicznie zaprosił Karola do zwiedzenia stajni i obejrzenia najnowszej klaczy rozplodowej, za którą zapłacił „o sto gwinei mniej, niż jest warta”, i którą całkiem bezwiednie, lecz wyraźnie uważał za koński odpowiednik innego nowego nabytku.

Obaj byli dżentelmenami angielskimi, toteż unikali starannie dalszej dyskusji, jeśli już nie wzmianek (gdyż sir Robert, przepelniony szczęściem, nie mógł powstrzymać się od ustawicznego wspomnienia swej wybranki) na temat zaprzętających ich myśli. Karol zresztą oświadczył stanowczo, że musi jeszcze tego samego wieczora powrócić do Lyme i do narzeczonej, a stryj, który dawniej na taki akt dezercji wpadłby w najczarniejsze przygnębienie, tym razem nie stawiał zbyt wielkiego oporu. Karol przyrzekał, że omówi sprawę „Małego Domu” z Ernestyną i jak najkrótszym, dogodnym dla obu stron terminie przywiezie ją, aby przedstawić drugiej przyszej panie młodej. Jednakże ani wylewność stryja na ostatku, ani serdeczne uściski dłoni nie mogły ukryć faktu, że starszy pan żegna bratanka ze znaczną ulgą.

Duma wspierała Karola przez kilka godzin wizyty, odjazd jednak był chwilą bolesną. Trawniki, pastwiska, ogrodzenia zagajniki przepływały mu, zdawało się, przez palce, podobnie jak przepływały mu wolno przed oczami. Miał wrażenie, że nigdy już nie zechce widzieć Winsyatt. Niebo, rankiem tak lazuruowe, zasnuły teraz gęste chmury, zwiastuny owej burzy którą słyszeliśmy już w Lyme, i Karol wkrótce pogrążył się w równie posępnej introspekcji.

Ostrze jej skierowane było głównie przeciw Ernestynie. Wiedział, że na stryju nie zrobiły dobrego wrażenia jej londyńskie fochy i fupy, jej całkowity brak zainteresowania życiem wiejskim. Człowiekowi, który tak wielką część życia poświęcił hodowli, musiała wydawać się kiepskim nabytkiem, mogącym popsuć doskonałą rasę Smithsonów. Poza tym jednym z węzłów łączących stryja i bratanka był zawsze ich kawalerski stan — może szczęście Karola otworzyło oczy sir Robertowi: jeżeli on, to czemu ja bym nie miał też? Jedna zaleta Ernestyny wprawdzie zyskała całkowitą aprobatę stryja: jej okazały posag. To właśnie pozwoliło mu z lekkim sercem wywłaszczyć Karola.

Co najważniejsze, Karol znalazł się teraz w bardzo przykrew sytuacji wobec Ernestyny. Dochody z majątku ojca wystarczały mu zawsze na własne potrzeby, kapitału jednak nie powiększył. Jako przyszy pan na Winsyatt mógł się uważać pod względem finansowym za równego narzeczonej, jako zwykły rentier musiałby stać się finansowo od niej zależny. Niechęć Karola do takiego układu dowodziła znacznie większych skrupułów, aniżeli miał ogół młodych ludzi jego sfery i czasów. Dla nich polowanie na posag (a w tym okresie dolary stały się tak samo dobre, jak funty sterlingi) było czymś równie godziwym, jak polowanie na lisy lub płową zwierzynę. Może w tym właśnie tkwił sęk: Karol litował się nad sobą, a wiedział, że mało kto by mu współczuł. Złościł się nawet i żałował, że okoliczności nie złożyły się tak, aby postępek stryja można było uznać za jeszcze bardziej niesprawiedliwy: gdyby, powiedzmy, on, Karol, spędzał więcej czasu w Winsyatt albo gdyby nie poznał nigdy Ernestyny...

Jednak to właśnie Ernestyna i konieczność wykazania się znów hartem ducha sprawiła, że musiał tego wieczora otrząsnąć się z przygnębienia.

Jak często dumam nad nic wartym
 Biegiem mych młodych lat.
 Choć jedno w nich o prawdę wsparte
 Uczucie widzieć byłbym rad.
 Tak jak jest zmienne serce moje,
 Tak stałe winno być,
 Już lepiej, by jak wśród suszy zdroje
 Wyszło, lub jak jesienią liść.
 Chwila wzruszenia i już płyną
 Czyny i potok słów: Lecz nie da się za ich przyczyną
 W świat pogrzebany wstąpić znów.
 Arthur Hugh Clough, *Poem* (1840)

Drzwi otworzyła mu gospodyni. Doktor jest w gabinecie przyjęć, ale jeżeli Karol zechce zaczekać na górze... Zrzuciwszy więc pelerynę i kapelusz znalazł się wkrótce w tym samym pokoju, w którym pił niedawno grog i opowiedział się za Darwinem. Na kominku płonął ogień, na okrągłym stole w wykuszu wychodzącym na morze stały resztki samotnej kolacji doktora, które gospodyni skwapliwie uprzątnęła. Po krótkiej chwili Karol posłyszał kroki na schodach. Grogan uradowany wszedł do pokoju, wyciągając rękę na powitanie.

— Co za miła niespodzianka. Ale ta głupia kobieta nie dała panu nic, co by przy tym deszczu zapobiegło przeziębieniu?

— Dziękuję bardzo... — Karol chciał odmówić, ale rozmyślił się i przyjął kieliszek koniaku. Gdy zaś trzymał go już w ręce, przystąpił od razu do rzeczy. — Mam do omówienia pewną bardzo osobistą i prywatną sprawę. Chcę prosić pana o poradę.

W oczach doktora błysnął niepokój. Dobrze wychowani młodzi ludzie nieraz już zwracali się do niego na krótko przed ślubem. Czasem przyczyną była rzeżączka, rzadziej syfilis, niekiedy po prostu lęk, uraz na tle onanii, szeroko bowiem rozpowszechniona w owych czasach teoria głosiła, że karą za samogwałt jest impotencja. Najczęstszą przyczynę stanowiła ignorancja. Zaledwie rok przedtem do doktora Grogana zwrócił się bezdziejny, nieszczęśliwy młody małżonek i doktor z całą powagą musiał mu wytłumaczyć, że nowe życie nie zostaje poczęte ani nie przychodzi na świat przez pępek.

— Doprawdy? Nie jestem pewien, czy została mi jeszcze choć jedna porada, tyle ich dzisiaj udzieliłem. Dotyczyły głównie tego, co należy zrobić z tą przeklętą starą dewotką z Marlborough House. Słyszał pan, co zrobiła?

— O tym właśnie chciałem z panem pomówić.

Doktor odetchnął z ulgą, ale znów wyciągnął ze słów Karola wniosek zbyt pochopny i niesłuszny.

— Ach, naturalnie... panna Tranter się niepokoi? Niech jej pan powie ode mnie, że robi się wszystko, co można. Spora grupa ludzi przeszukuje las. Obiecałem pięć funtów temu, kto przyprowadzi ją z powrotem... — w głosie doktora zabrzmiała gorycz — ... albo znajdzie ciało biedaczki.

— Ona żyje. Przed chwilą dostałem od niej list.

Karol spuścił oczy pod zdumionym spojrzeniem doktora. Potem, zwracając się początkowo do kieliszka koniaku, zaczął opowiadać całą prawdę o swoich spotkaniach z Sarą — a raczej prawie

całą prawdę, nie opisywał bowiem swoich tajnych uczuć. Zrzucił czy też próbował zrzucić część winy na doktora Grogana i ich poprzednią rozmowę, drapując się zarazem w togę naukowca, czego przenikliwy Irlandczyk nie omieszkiał zauważyć. Starzy doktorzy i starzy księża mają pewną cechę wspólną — niezawodnego nosa na kłamstwo, czy to jawne, czy też, jak w wypadku Karola, będące skutkiem zakłopotania.

Gdy Karol kontynuował swoją spowiedź, koniuszek nosa doktora Grogana zaczął naraz, mówiąc w przenośni, drgać, a niewidzialne to drganie oznaczało prawie to samo, co ściągnięcie ust Sama. Doktor jednak nie dał po sobie poznać, że coś podejrzewa. Od czasu do czasu zadawał pytanie, ale na ogół nie przeszkadzał Karolowi dobrnąć coraz bardziej kulawo do końca opowieści. Wówczas wstał.

— Cóż, przede wszystkim to, co najpilniejsze. Musimy odwołać tych nieboraków.

Grzmoty rozlegały się teraz znacznie bliżej i chociaż zasłony były zaciągnięte, białe zygzaki błyskawic przebiegały często po tkaninie za plecami Karola.

— Przyszedłem najprędzej, jak mogłem.

— Tak, to nie pana wina. Zaraz, zastanówmy się... — Doktor siedział już przy małym biurku w głębi pokoju. Przez kilka minut nie słychać było nic prócz szybkiego skrzypienia pióra. Potem doktor odczytał Karolowi to, co napisał.

— „Drogi księżu proboszczu! Otrzymałem w tej chwili wiadomość, że panna Woodruff żyje i jest zdrowa. Nie życzy sobie aby ujawniono jej miejsce pobytu, ale możemy już być spokojni. Mam nadzieję, że jutro będę miał o niej dalsze wiadomości. Kiedy poszukiwacze wrócą, proszę, aby zechciał ksiądz proboszcz przekazać im to, co przesyłam w załączeniu.” Czy tak będzie dobrze

— Doskonale. Z wyjątkiem tego, że załącznik musi być mój — Karol wyjął małą haftowaną sakiewkę, dzieło Ernestyny, i położył trzy suwereny na zielonym suknie biurka przy ręce Grogana, który dwa z nich odsunął z powrotem i z uśmiechem podniósł oczy na gościa.

Proboszcz usiłuje zwalczać demona alkoholu. Sądzę, że jedna sztuka złota wystarczy. — Włożył list i monetę do koperty, zapieczętował ją i wyszedł zarządzić, żeby przesyłkę jak najprędzej doręczono.

Wrócił, mówiąc zaraz od drzwi:

— A teraz dziewczyna — co z nią zrobić? Nie ma pan pojęcia, gdzie jest w tej chwili?

— Najmniejszego. Chociaż pewien jestem, że jutro rano będzie we wskazanym miejscu.

— Ale pan oczywiście nie może tam być. W pańskiej sytuacji nie może się pan narażać na dalszą kompromitację.

Karol spojrział na doktora, potem przeniósł spojrzenie na dywan.

— Jestem w pana władzy.

Doktor patrzył na Karola, nad czymś się zastanawiając. Zrobił właśnie pewną próbę, aby zbadać stan ducha gościa. Wynik próby ujawnił to, czego się spodziewał. Podszedł do półki z książkami stojącej przy biurku i wrócił z tym samym tomem, który pokazywał Karolowi przedtem: z wielkim dziełem Darwina. Usiadł po drugiej stronie kominka, następnie z lekkim uśmiechem, spoglądając na Karola sponad okularów, położył rękę na *Powstawaniu gatunków*, jakby przysięgał na Pismo Święte.

— Nic z tego co zostało powiedziane w tym pokoju ani co będzie jeszcze powiedziane, nie wyjdzie poza jego ściany. — Po tych słowach odłożył książkę.

— Drogi doktorze, to było zbędne.

— Zaufanie do konsyliarza to połowa kuracji.

Karol uśmiechnął się blado.

— A druga połowa?

— Zaufanie do pacjenta. — Wstał jednak, zanim Karol zdążył się odezwać. — Zwrócił się pan do mnie o poradę, tak? — Wpatrywał się teraz w Karola, jakby się miał z nim zmierzyć na pięści; nie był to już Irlandczyk dowcipkujący, lecz Irlandczyk walczący. Potem założywszy ręce pod poły fraka zaczął chodzić tam i z powrotem po pokoju.

— Jestem młodą kobietą obdarzoną nieprzeciętną inteligencją i mającą pewne wykształcenie. Uważam, że świat źle się ze mną obszedł. Nie panuję nad swoimi emocjami. Robię głupstwa — na przykład rzucam się w objęcia pierwszego przystojnego łajdaka, który stanął na mojej drodze. Co gorsza wyimagino wałam sobie, że jestem ofiarą losu i kocham się w tym przeświadczeniu. Z dużą maestrią dokładam starań żeby wyglądać melancholijnie. Mam tragiczne oczy. Płaczę bez powodu. I tak dalej, i tak dalej. Aż nagle... — mały doktor wyciągnął rękę w kierunku drzwi, jakby przywołując na pomoc magię — ... zjawia się młody bóg. Inteligentny. Przystojny. Idealny okaz sfery, którą nauczono mnie podziwiać. Widzę, że się mną zainteresował. Im smutniejsza się wydaję, tym bardziej go interesuję. Klękam przed nim, on mnie podnosi. Traktuje mnie jak damę. Więcej nawet. Natchniony duchem chrześcijańskiego braterstwa proponuje, że pomoże mi wydostać się z okropnej sytuacji.

Karol chciał przerwać, ale doktor ruchem dłoni nakazał mu milczenie.

— Przy tym jestem bardzo uboga. Nie mogę się uciec do żadnych sztuczek, jakich używają szczęśliwsze przedstawicielki rodzaju niewieściego, żeby zwabić mężczyznę w swoje sidła. — Tu doktor podniósł palec. — Mam tylko jedną broń: litość, którą budzę w tym zacnym mężczyźnie. Ale litość jest uczuciem, które wymaga ustawicznego podsycania. Ofiarowałam szlachetnemu samarytaninowi swoją przeszłość, a on pochłonął ją bez reszty. Cóż więc mam począć? Muszę się postarać, żeby zaczął się litować nad moją terażniejszością. Pewnego dnia, przechadzając się tam, gdzie zabroniono mi spacerować, korzystam ze sposobności. Ukazuję się komuś, o kim wiem, że doniesie o moim przestępstwie jedynej osobie, która mi go nie wybaczy. Osoba ta wyrzuca mnie z pracy. Znikam, stwarzając pozory, że czynię to po to, aby skoczyć w przepaść ze szczytu najbliższej skały. A potem *in extremis* i *de profundis* — a raczej *de altis* — zwracam się do mojego zbawcy, błagając o ratunek. — Tu zrobił długą pauzę i Karol wolno podniósł na niego oczy. Doktor uśmiechnął się. — Oczywiście wszystko, co mówię, jest po części hipotezą.

— Ale to oskarżenie, że się umyślnie postarała...

Doktor usiadł i poprawił ogień na kominku.

— Dzisiaj wczesnym rankiem wezwano mnie do Marlborough House. Nie wiedziałem, o co chodzi. Powiedziano mi tylko, że pani Poulteney poważnie zasłabła. Pani Fairley, wie pan ochmistrzyni, opowiedziała mi pokrótce, co zaszło. — Urwał i spojrzał Karolowi w udręczone oczy. — Pani Fairley była wczoraj w mleczarni przy skarpie. Dziewczyna wyszła bezczelnie z lasu wprost przed jej oczy. Naturalnie to babsko jest taką samą wiedźmą jak jej pani i pewien jestem, że spełniło swój obowiązek czym prędzej i z najwyższą uciechą. Ale przekonany jestem także, drogi panie Smithson, że zostało do tego rozmyślnie sprowokowane.

— Chce pan powiedzieć... — Doktor skinął głową. Karol rzucił mu druzgocące spojrzenie, po czym zbuntował się: — Nie mogę w to uwierzyć. To niemożliwe, żeby ona...

Nie dokończył zdania.

— Możliwe — wyszeptał doktor. — Niestety.

— Ale jedynie osoba... — Karol chciał powiedzieć „obłąkana”, ale zamiast tego wstał raptownie, podszedł do okna, rozsunął zasłony i niewidzącym wzrokiem wpatrywał się przez chwilę w burzliwą noc. Olbrzymia błada błyskawica oświetliła na moment molo, plażę, ociążałe morze. Odwrócił się.

— Innymi słowy, wodzono mnie za nos.

— Chyba tak. Ale musiał to być wspaniałomyślny nos. I musi pan pamiętać, że umysł chory nie jest umysłem zbrodniczym. W tym wypadku powinien pan myśleć o rozpacy jako o chorobie, tylko i wyłącznie. Panie Smithson, ta dziewczyna ma cholere, tyfus władz umysłowych. Tak musi pan o niej myśleć. Nie wolno panu uważać jej za złośliwą intrygantkę.

Karol odwrócił się do środka pokoju.

— Jakie, zdaniem pana, są jej dalsze zamiary, jej cel?

— Bardzo wątpię, czy sama zdaje sobie z tego sprawę. Żyje z dnia na dzień. Nie może być inaczej. Nikt przewidujący nie postąpiłby tak jak ona.

— Ale nie sądzi przecież, że ktoś w mojej sytuacji...

— Jako mężczyzna zaręczony? — Doktor uśmiechnął się ponuro. — Znałem wiele prostytutek. Tylko z racji mojego zawodu, spieszę dodać. Otóż chciałbym mieć gwineę za każdą, która chlubiła się przede mną tym, że większość ich ofiar stanowią mężowie i ojcowie. — Spojrzał w ogień, w swoją przeszłość. — „Jestem wyrzutkiem. Ale się zemszczę.”

Robi pan z niej demona, ona taka nie jest. — Karol powiedział to zbyt gwałtownym tonem, szybko się więc odwrócił. — W nic takiego nie uwierzę.

— To dlatego — jeśli człowiekowi, który mógłby być pańskim ojcem, wolno tak powiedzieć — to dlatego, że jest pan w niej na pół zakochany.

— Nie wolno panu tak mówić! — Grogan pochylił głowę. po pauzie Karol dodał: — To zniewaga dla panny Freeman.

— Zgadzam się. Ale kto ją znieważa?

Karol przelknął ślinę. Nie mógł znieść tych badawczych oczu, ruszył tedy przez długi, wąski pokój, jakby do wyjścia. Zanim doszedł do drzwi, Grogan chwycił go za ramię, zmusił do odwrócenia się i chwycił za drugie ramię, zacierzewiony jak terier szarpiący zdobycz.

— Człowieku, człowieku, czyż obaj nie wierzymy w naukę? Czyż obaj nie uważamy, że prawda jest jedyną i naczelną zasadą? Za co oddał życie Sokrates? Za zachowanie pozorów towarzyskich? Za hołd składany przyzwoitości? Sądzi pan, że przez czterdzieści lat praktyki lekarskiej nie nauczyłem się poznawać, kiedy człowiek jest nieszczęśliwy! I to dlatego, że sam przed sobą ukrywa prawdę? Poznaj siebie, Smithson, poznaj siebie!

Ta mieszanina starogreckiego ognia i irlandzkiej zapalczowości osmalila Karola. Stał patrząc na doktora, potem spojrzął w bok, wrócił do kominka i stanął plecami do swego dręczyciela. Zapadło długie milczenie. Grogan obserwował go pilnie.

Wreszcie Karol przemówił:

— Nie jestem stworzony do małżeństwa. Niestety, za późno to sobie uświadomiłem.

— Czytał pan Malthusa? — Karol potrząsnął głową. Jego zdaniem tragedia gatunku *homo sapiens* polega na tym, że najmniej przystosowane do życia jednostki mają najwięcej dzieci. Proszę więc nie mówić, że nie jest pan stworzony do małżeństwa, mój chłopcze. I niech pan nie robi sobie wyrzutów o to, że zakochał się w tej dziewczynie. Myślę, że wiem, dlaczego uciekł ów francuski marynarz. Zrozumiał, że ona ma oczy, w których mężczyzna może utonąć.

Umęczony Karol zachnął się gwałtownie.

— Daję najświętsze słowo honoru, że nic zdoznego między nami nie zaszło. Musi pan w to uwierzyć.

— Wierzę panu. Ale pozwoli pan, że przepytam pana z podstawowego katechizmu. Czy pragnie pan ją słyszeć Czy pragnie pan ją widzieć? Czy pragnie pan jej dotykać?

Karol znów odwrócił się plecami i opadł na fotel, zasłaniając twarz rękoma. Nie była to odpowiedź, a jednak zawierała w sobie wszystko. Po chwili podniósł głowę i wpatrywał się w ogień.

— Doktorze, gdyby pan wiedział, jak pogmatwało się moje życie jest zmarnowane, bezużyteczne. Nie mam żadnego prawdziwego celu, żadnego poczucia obowiązku wobec czyjegokolwiek. Zdaje mi się, że dopiero kilka miesięcy temu skończyłem dwadzieścia jeden lat. Tyle nadziei... wszystkie spełzły na niczym... A teraz dałem się wciągnąć w tę nieszczęsną historię...

Grogan podszedł do niego i ścisnął go za ramię.

— Nie jest pan pierwszym mężczyzną, który ma wątpliwości co do wyboru żony.

— Ona nie rozumie wcale, kim właściwie jestem.

— Jest... ile? Dwanaście lat od pana młodsza? A zna pana niecałe pół roku. Jak może pana rozumieć? Ledwo wyszła ze szkoły.

Karol posępnie skinął głową. Nie mógł powiedzieć doktorowi, co naprawdę myśli o Ernestynie: że nigdy nie będzie go rozumiała. Czuł, że zawiódł się fatalnie na własnej inteligencji — nie dopisała mu przede wszystkim przy wyborze towarzyszki życia, podobnie bowiem jak wielu mężczyzn z epoki wiktoriańskiej, a może i z czasów nam bliższych, Karol miał pozostawać przez całe życie pod wpływem wymarzonego ideału. Niektórzy mężczyźni pocieszają się myślą, że są kobiety mniej pociągające od ich żon, innych znów nęka świadomość, że istnieją kobiety bardziej atrakcyjne. Karol zorientował się teraz aż nazbyt wyraźnie, do której kategorii należy.

— To nie jej wina — mruknął. — Nie może to być jej wina.

— Pewno, że nie. Taka ładna, niewinna panienka.

— Dotrzymam danego jej słowa.

— Oczywiście. Pauza.

— Niech mi pan powie, co mam robić?

— Najpierw pan mi powie, jakie uczucie żywi pan do tamtej.

Zrozpaczony Karol spojrział w górę, potem na dół w ogień, aż wreszcie postarał się wyznać prawdę.

— Nie potrafię powiedzieć, doktorze. We wszystkim, co jej dotyczy, jestem sam dla siebie zagadką. Nie kocham jej. Jak mogę ją kochać? Kobiętę tak skompromitowaną, kobietę, jak pan mówi: chorą umysłowo. Ale to jest tak, jakby... Czuję się człowiek opętany wbrew własnej woli... wbrew wszystkiemu, co ma w sobie dobrego. Nawet w tej chwili staje przed mną jej twarz i przeczy wszystkiemu, co pan twierdzi. Coś w niej jest. Jakaś wiedza, jakieś zrozumienie spraw szlachetniejszych, niedających się pogodzić ani ze złem, ani z obłąkaniem. Pod zewnętrzną powłoką... Nie potrafię tego wytłumaczyć.

— Nie zarzucałem jej zła. Mówiłem tylko o rozpacz.

Znów zapadła cisza, przerywana tylko skrzypieniem podłogi pod stopami chodzącego tam i z powrotem doktora. W końcu Karol znów przemówił:

— Co mi pan radzi?

— Aby pan pozostawił całą sprawę mnie.

— Pójdzie pan tam do niej?

— Włożę grube buty. Powiem jej, że pana niespodziewanie gdzieś wezwano i wyjechał pan. Ale pan musi wyjechać.

— Tak się składa, że mam pilne sprawy w Londynie.

— Tym lepiej. Radzę też przed wyjazdem opowiedzieć o całej sprawie panie Freeman.

— Sam już powziąłem takie postanowienie. — Karol wstał. Ale twarz Sary znów stanęła mu przed oczami. — A ona... co pan zrobi?

— Dużo zależy od jej stanu psychicznego. Bardzo możliwe, że przed obłędem ratuje ją obecnie tylko przekonanie, że pan żywi dla niej współczucie — może nawet coś więcej. Gdy pan nie przyjdzie, wstrząs, obawiam się, może spowodować ciężką melancholię. — Karol spuścił

oczy. — Niech pan siebie o to nie wini. Gdyby nie pan, byłby kto inny. W pewnym stopniu taki stan rzeczy ułatwi mi decyzję. Będę wiedział, jak postąpić.

Karol wpatrywał się w dywan.

— Zakład leczniczy.

— Kolega, o którym wspominałem, podziela moje poglądy na leczenie takich przypadków. Zrobimy, co w naszej mocy. Gotów jest pan ponieść pewne koszty?

— Gotów jestem na wszystko, byleby się jej pozbyć... nie czyniąc krzywdy.

— Znam prywatną klinikę w Exeter. Mój przyjaciel Spencer ma tam pacjentów. Prowadzona jest w sposób świątły i postępowy. Nie zalecałbym w tym stadium instytucji państwowej.

— Niech Pan Bóg broni. Słyszałem o tych instytucjach okropne rzeczy.

— Niech pan będzie spokojny. Ta klinika jest wzorowym zakładem.

Nie mówimy chyba o komisyjnym uznaniu jej za obłąkaną?

Karolowi bowiem stanęło naraz przed oczami widmo zdrady: ta ściśle kliniczna rozmowa o Sarze jako o przypadku i wynikająca stąd myśl o niej w ciasnym pokoiku, zaryglowanym na cztery spusty...

— Z pewnością nie. Mówimy o miejscu, w którym jej rany duchowe mogą się zagoić, w którym będzie miała życzliwą opiekę, ciekawe zajęcie, no i będzie korzystać z doświadczenia i wiedzy Spencera. On już miał wiele takich przypadków. Wie, co należy robić.

Karol wahał się chwilę, potem wstał i wyciągnął rękę. W obecnym stanie potrzeba mu było nakazów i zaleceń, z chwilą, gdy je otrzymał, poczuł się od razu lepiej.

— Czuję, że uratował mi pan życie.

— Głupstwo, drogi panie.

— Nie, to nie głupstwo. Będę pańskim dłużnikiem do końca życia.

— Pozwoli więc pan, że na skrypcie wierzytelnym wypiszę imię pańskiej narzeczonej.

— Przysięgam, że dług będzie spłacony.

— I niech pan da trochę czasu temu uroczemu dziewczątku. Najlepsze wino najdłużej dojrzewa, prawda?

— Obawiam się, że w moim wypadku to samo da się powiedzieć o winie znacznie gorszego rocznika.

— Bzdury. — Lekarz klepnął go po ramieniu. — Ale, ale, czyta pan, zdaje się, po francusku?

Karol potwierdził ze zdziwieniem. Grogan poszukał na półkach, znalazł książkę, zaznaczył w niej ołówkiem ustęp i podał gościowi.

— Może pan nie czytać całego procesu. Chciałbym tylko, żeby pan przeczytał orzeczenie lekarzy, na które powoływała się obrona.

Karol patrzył na wolumin.

— Środek na przeczyszczenie?

Mały doktor uśmiechnął się chytrze jak kobold.

— Coś w tym rodzaju.

28

Objęcia spieszne, czcze, zuchwałe,
 Udziela chętnie szorstkich nauk;
 Korki, których używał uczeń,
 Pływak wkrótce odrzuci.
 Arthur Hugh Clough, *Poem* (1840)

Ażeby wybrać, znów się zrywam
 I słyszę w tej minucie
 Głos Boga, który z gniewem wzywa:
 „Posłuchaj rady, wróć się!”
 Matthew Arnold, *The Lake* (1853)

Proces porucznika Emila de La Roncière stanowi z punktu widzenia psychiatrii jeden z najciekawszych przypadków pierwszej połowy dziewiętnastego wieku. Emil, syn srogiego służbisty, hrabiego de La Roncière, był najwyraźniej młodzieńcem dość lekkomyślnym — miał kochankę i tkwił po uszy w długach — lecz jak na swoją ojczyznę, epokę i profesję nie należał bynajmniej do wyjątków. W roku 1834 przydzielono go do słynnej szkoły kawalerii w Saumur, w dolinie Loary. Jego dowódca, baron de Moreli, miał bardzo nerwową szesnastoletnią córkę imieniem Marie. W owych czasach dom dowódcy garnizonu stanowił dla podwładnych oficerów coś w rodzaju kasyna. Pewnego wieczora baron, równie srogi i wymagający jak ojciec Emila, znacznie bardziej jednak wpływowy, wezwał do siebie porucznika i w obecności innych oficerów i kilku pań gniewnie nakazał mu opuścić dom. Nazajutrz Emilowi La Roncière pokazano plik ohydnych listów, zawierających pogróżki pod adresem rodziny Morellów. Wszystkie listy zdradzały niepojętą wprost znajomość najdrobniejszych szczegółów życia domowego Morellów i wszystkie — pierwszy fakt podważający oskarżenie — podpisane były inicjałami porucznika.

Najgorsze jednak miało dopiero nastąpić. W nocy 24 września 1834 roku guwernantka Marie, Angielka, panna Allen, obudzona została przez swoją szesnastoletnią wychowankę, która opowiedziała ze łzami, że La Roncière w kompletnym umundurowaniu wdarł się przez okno do jej przyległej sypialni, zaryglował drzwi, ciskał ohydne, sprośne pogróżki, smagnął ją przez piersi, ugryzł w rękę, potem zmusił, żeby podniosła koszulę nocną i zranił w udo. Następnie wymknął się tą samą drogą, którą przybył.

Nazajutrz z rana inny porucznik, cieszący się ponoć względami Marie de Morell, otrzymał wysoce obraźliwy list, znów rzekomo od Emila La Roncière. Odbył się pojedynek. La Roncière zwyciężył, ale ciężko ranny przeciwnik i jego sekundanci, nie zechcieli uznać, że oskarżenie o pisanie listów anonimowych jest fałszywe. Zagrozili Emilowi, że jeśli nie podpisze przyznania się do winy, zawiadomią jego ojca, jeżeli natomiast podpisze, sprawa na tym się zakończy. Po nocy wahań i rozterki La Roncière lekkomyślnie zgodził się dać podpis.

Poprosił wówczas o urlop i udał się do Paryża, przekonany, że sprawa zostanie zatuszowana. Do domu Morellów jednak w dalszym ciągu nadchodziły listy, teraz już podpisane. Niektóre donosiły, że Marie jest w ciąży, inne, że jej rodzice wkrótce zginą zamordowani i tak dalej. Baron miał tego dość. Emila La Roncière aresztowano.

Na korzyść porucznika La Roncière przemawiało tyle okoliczności, że trudno nam dziś uwierzyć, aby można go było w ogóle postawić w stan oskarżenia, nie mówiąc już o skazaniu. Przede wszystkim w całym Saumur wiedziano, że Marie była wściekła na Emila La Roncière o

uwielbienie okazywane jej pięknej matce, o którą była piekielnie zazdrosna. Ponadto pałac Morellów owej nocy, kiedy zdarzyło się domniemane usiłowanie gwałtu, obstawiony był strażą, nikt nie zauważył nic niezwykłego, mimo że sypialnia Marie znajdowała się na najwyższym piętrze i można się było tam dostać tylko po drabinie, którą co najmniej trzech mężczyzn musiałoby przynieść i ustawić — przeto drabina pozostawiłaby ślady w miękkim gruncie pod oknem... a obrona ustaliła, że żadnych śladów nie było. Co więcej, szklarz sprowadzony do wprawienia szyby wybitej przez intruza zeznał, że wszystkie odłamki szkła spadły poza dom i że w każdym razie niepodobieństwem było sięgnąć do klamki okiennej przez tak mały otwór w szybie. Następnie obrona zapytała, dlaczego w trakcie napadu Marie nie wzywała pomocy, dlaczego panny Allen, mającej bardzo lekki sen, nie obudziły odgłosy szamotania się, dlaczego potem ona i Marie położyły się znów spać, nie budząc pani de Morell, która przez cały czas zajścia spała o piętro niżej, dlaczego zranione udo zbadano w kilka miesięcy po zajściu (stwierdzono wówczas, że to lekkie zadrapanie, zupełnie już zagojone), dlaczego Marie zaledwie dwa dni później poszła na bal i prowadziła najzupełniej normalny tryb życia aż do chwili aresztowania Emila La Roncière, kiedy dostała natychmiast ataku nerwowego (i znów obrona udowodniła, że nie był to bynajmniej pierwszy tego typu atak w jej krótkim życiu), w jaki sposób listy mogły nadal nadchodzić do domu Morellów nawet wówczas gdy La Roncière, nie mając grosza przy duszy, znajdował się w więzieniu, oczekując rozprawy sądowej, czy to możliwe, aby autor tego rodzaju listów nie tylko nie starał się zmienić pisma (łatwego do naśladowania), lecz podpisywał się własnym nazwiskiem, dlaczego listy odznaczały się poprawną ortografią (czytelnicy, którzy uczą się francuskiego, dowiedzą się z przyjemnością, że La Roncière niezmiennie zapominał o zgodności *participe passé* z rodzajem i liczbą rzeczownika), której wyraźny brak zdradzała autentyczna korespondencja oskarżonego, przedstawiona do porównania, dlaczego dwukrotnie napisał błędnie własne nazwisko; dlaczego inkryminujące listy pisane były na papierze — stwierdziły to największe ówczesne autorytety — identycznym z plikiem papieru znalezionym w biurku Marie. Słowem, dlaczego, dlaczego i dlaczego. Jako ostateczną wątpliwość obrona podała fakt, że podobną serię listów znaleziono poprzednio w paryskim domu Morellów, gdy La Roncière przebywał na drugim końcu świata, pełniąc służbę w Cayenne. Największą jednak niesprawiedliwość na procesie (wśród innych znakomitości obecni byli na nim Victor Hugo, Balzac i George Sand) stanowił fakt, iż sąd pozbawił obronę prawa do zadawania jakichkolwiek pytań głównemu świadkowi oskarżenia, Marie de Morell. Złożyła zeznania tonem spokojnym i opanowanym, lecz prezes sądu, wobec wycelowanych w niego niczym lufy armatnie oczu barona oraz imponującej falangi wysoko postawionych krewnych, orzekł, że jej „skromność” i „słaby stan nerwów” nie pozwala na dalsze indagacje.

Emila La Roncière uznano za winnego i skazano na dziesięć lat więzienia. Protesty wszystkich niemal wybitnych prawników europejskich nie odniosły skutku. My dziś rozumiemy dlaczego Emila La Roncière skazano, a raczej, co go skazało: prestiż towarzyski, mit czystej i niewinnej dziewczycy, ignorancja w sprawach psychologii, społeczeństwo w fazie skrajnej reakcji na zgubne hasła wolnościowe, posiew Rewolucji Francuskiej.

Teraz pozwolę sobie przetłumaczyć ustępy, które doktor Grogan zakreślił. Pochodzą z *Observations médico—psychologiques* niejakiego doktora Karla Matthaei, znanego ówczesnego lekarza niemieckiego, napisanych na poparcie nieudanej próby odwołania się od wyroku skazującego La Roncière’a. Doktor Matthaei miał już wtedy dość przenikliwości, aby wynotować daty ukazywania się najplugawszych listów, których ukoronowaniem była próba gwałtu. Tworzyły one wyraźny cykl miesięczny — czy też menstruacyjny. Po analizie zeznań złożonych przed sądem *Herr Doktor* tonem nieco moralizatorskim wyjaśnia charakter choroby umysłowej, którą dziś nazywamy histerią — mianowicie symulowanie objawów choroby lub kalectwa w celu

zwrócenia na siebie uwagi i pozyskania współczucia innych osób; nerwicy lub psychozy powodowanej, jak obecnie wiemy, tłumieniem instynktów erotycznych.

„Kiedy spoglądam wstecz na swoją wieloletnią praktykę lekarską, przypominam sobie wiele wypadków, których bohaterkami były młode dziewczęta, aczkolwiek ich udział wydawał się przez długi czas niepodobieństwem...

Przed czterdziestu laty miałem wśród pacjentów rodzinę generała—porucznika kawalerii. W odległości jakichś sześciu mil od miasta, w którym stacjonował jego garnizon, miał on niewielką posiadłość i mieszkał w niej, jeżdżąc do miasta, kiedy wzywały go do tego obowiązki. Miał też wyjątkowo ładną szesnastoletnią córkę. Otóż gorącym życzeniem tej córki było, aby ojciec mieszkał w mieście. Nie ustalono nigdy dokładnie, jakimi pobudkami się kierowała, lecz bez wątpienia pragnęła przebywać wśród oficerów i brać udział w rozrywkach towarzyskich. Aby osiągnąć swój cel, wybrała sposób wręcz zbrodniczy: podpaliła dom wiejski. Jedno skrzydło spłonęło do cna. Skrzydło odbudowano. Nastąpiły nowe próby podpalenia i pewnego dnia dom stanął w płomieniach. Potem zdarzyło się jeszcze aż trzydzieści kolejnych prób podpalenia domu. Choć kilkakrotnie podpalacza omal że złapano, nie wykryto nigdy, kim jest. Wielu okolicznych mieszkańców chwymano i przesłuchiowano. Jedyłą osobą, na którą nigdy nie padło podejrzenie była owa piękna, młoda, niewinna córka. Upłynęło kilka lat, aż wreszcie przyłapano ją na gorącym uczynku i skazano na dożywotni pobyt w domu poprawczym. W dużym mieście niemieckim czarująca młoda panna z najlepszej rodziny zabawiała się wysyłaniem anonimowych listów, których celem było rozbijanie zawartych niedawno szczęśliwych małżeństw. Rozpuszczała też złośliwe plotki o innej młodej damie, podziwianej powszechnie za jej talenty i będącej w związku z tym przedmiotem zazdrości. Listy nadchodziły przez kilka lat. Najlżejszy cień podejrzenia nie padł na autorkę, mimo że oskarżano wiele innych osób. Wreszcie zdradziła się, a postawiona przed sądem przyznała się do przestępstwa... Za wyrządzone krzywdy skazana została na długie lata więzienia.

W chwili obecnej, w tym samym mieście, w którym pisze¹, policja prowadzi dochodzenie w podobnej sprawie...

Może ktoś wysunąć argument, że Marie de Morell nie zadałaby sobie bólu po to, aby osiągnąć zamierzony cel. Ale cierpienie jej było bardzo lekkie w porównaniu z cierpieniami, jakie zadawały sobie bohaterki innych przypadków znanych z annałów medycyny. Oto kilka bardzo znamienych przykładów.

Profesor Herholdt z Kopenhagi znał pociągającą młodą dziewczynę, córkę zamożnych rodziców, która otrzymała bardzo staranną edukację. Podobnie jak wielu jego kolegów, profesor całkowicie dał się jej zwieść. Panna ta dokonywała swych oszukańczych sztuczek z wielkim kunsztem i wytrwałością przez długie lata. Zadawała sobie nawet niezwykle wyrafinowane katusze. Wbijała sobie w różne części ciała setki igieł, które, gdy wdawał się stan zapalny lub ropa, musiano usuwać operacyjnie. Nie chciała oddawać moczu i trzeba było co rano ściągać jej mocz za pomocą kateteru. Sama wprowadzała do pęcherza powietrze, które wydostawało się przy wsunięciu stosownego narzędzia. Przez półtora roku nie odzywała się ani nie poruszała, odmawiała przyjmowania pożywienia, symulowała spazmy, omdlenia i tak dalej. Zanim odkryto, że to wszystko jest oszustwem, wielu sławnych doktorów, wśród nich kilku z zagranicy, badało ją i było przerażonych tak straszliwymi cierpieniami. O historii nieszczęśliwej dziewczyny rozpiszywały się wszystkie gazety i nikt nie wątpił o autentyczności jej choroby. Wreszcie w 1826 roku odkryto prawdę. Ta zręczna oszustka (*cette adroite trompeuse*) miała jeden tylko cel — stać się przedmiotem podziwu i zdumienia mężczyzn, a także wystrychnąć na dudka najbardziej spośród nich uczonych, sławnych i spostrzegawczych. Historię tego przypadku, tak doniosłego z

punktu widzenia psychologii, można znaleźć w pracy Herholdta: *Zapiski o chorobie Racheli Hertz w okresie od 1806 do 1826 roku*.

W Lüneburgu matka i córka uknuły plan, którego celem było zdobywanie sobie współczucia i płynących stąd korzyści materialnych. Planu tego trzymały się do końca z wytrwałością budzącą zgrozę. Córka narzekała na nieznośny ból piersi, lamentowała i płakała, zwracała się o pomoc do lekarzy, próbowała wszystkich zalecanych przez nich środków. Ból nie ustępował; podejrzewano raka. Dziewczyna zgodziła się bez wahania na amputację piersi; badania wykazały, pierś była najzupełniej zdrowa. W kilka lat później, gdy współczucie dla niej zaczęło maleć, dziewczyna powróciła do dawnej roli. Usunięto drugą pierś i stwierdzono, że jest ona równie zdrowa jak pierwsza. Gdy źródło współczucia znów zaczęło wysychać, dziewczyna zaczęła się uskarżać na bóle ręki. Chciała, żeby rękę też jej amputowano. To jednak obudziło podejrzania. Dziewczynę skierowano do szpitala, oskarżono o oszustwo, a wreszcie osadzono w więzieniu.

Lentin w swoim *Suplemencie do praktycznej znajomości medycyny* (Hanower 1789) opowiada następującą historię, której był świadkiem. Młodziutkiej dziewczynce w ciągu dziesięciu miesięcy usunięto szczypcami po uprzednim nacinaniu pęcherza i zwiernika aż sto cztery kamienie. Dziewczynka sama wprowadzała do pęcherza kamienie, mimo że następne operacje przyprawiły ją o znaczną utratę krwi i straszliwe bóle. Przedtem miewała torsje, konwulsje i gwałtowne objawy różnego rodzaju schorzeń. Wykazywała w tych oszukańczych manewrach rzadko spotykaną zręczność.

Po takich przykładach, które można by mnożyć bez trudu, któż powie, iż niepodobieństwem jest, aby młoda dziewczyna, chcąc osiągnąć upragniony cel, zadała sobie ból?”²

Te ostatnie strony Karol przeczytał najpierw. Doznał wielkiego wstrząsu, nie miał bowiem pojęcia o istnieniu tego rodzaju zbroczeń — i to u płci czczonej jak świętość. Nie potrafił też oczywiście zrozumieć, że choroba umysłowa typu histerycznego w istocie swej jest żalną walką o miłość i poczucie bezpieczeństwa. Zaczął czytać od początku sprawozdanie z procesu i lektura ta wnet pochłonęła go bez reszty. Nie potrzeba nadmieniać, że niemal natychmiast zidentyfikował się z nieszczęsnym Emilem de La Roncière, pod koniec zaś przewodu sądowego natrafił na datę, od której ciarki go przeszły. Dzień, w którym skazano francuskiego porucznika, był tym samym dniem, w którym Karol przyszedł na świat. Na chwile wśród ciszy tej nocy w Dorsetshire zniknął rozum, znikła wiedza, życie stało się tajemniczą machiną, posępną astrologią, wydanym przy urodzeniu wyrokiem bez odwołania, bez możliwości apelacji.

Nigdy w życiu nie czuł się mniej wolny.

Nigdy też nie czuł się mniej senny. Spojrzał na zegarek. Była za dziesięć czwarta. Na zewnątrz panował niezmacony spokój. Burza minęła. Karol otworzył okno i wciągnął w płuca zimne, lecz czyste powietrze wiosenne. Gwiazdy na niebie migotały słabo i niewinnie, przecząc możliwości jakichkolwiek swoich wpływów, złowróźbnych czy dobroczynnych. A gdzie jest Sara? Czuwa również w odległości zaledwie paru mil, w mokrych leśnych ciemnościach.

Wypity cobbler i koniak doktora dawno już przestały działać, pozostało po nich tylko głębokie poczucie winy. Karolowi zdawało się teraz, że przypomina sobie złośliwe błyski w oczach konsyliarza. Rozmyślnie pewno wyciągał londyńskiego zarozumialca na zwierzenia o kłopotach, które niebawem w postaci szeptanych plotek obiegną całe Lyme. Wiadomo przecież, że Irlandczycy nie potrafią dochować sekretu.

Jakże dziecinnie, jak niegodnie on, Karol, się zachował! Ubiegłego dnia stracił nie tylko Winsyatt, lecz także cały szacunek do samego siebie. Nawet to ostatnie wyrażenie jest nieścisle, stracił bowiem po prostu szacunek do wszystkiego, co zna. Życie jest ostatnim kręgiem piekieł. Pod każdym, choćby najniewinniejszym, obliczem kryją się najohydniejsze bezeceństwa. A on to sir Galahad, któremu udowodniono, że Ginewra jest ladaczną.

Aby przerwać bezpłodne rozmyślenia — gdybyż tylko mógł działać! — wziął książkę i odczytał ponownie kilka fragmentów rozprawy doktora Matthaëi o hysterii. Teraz nie dostrzegał już tak wyraźnej analogii do postępowania Sary. Poczucie winy zaczęło się przesuwac w stronę właściwego jej przedmiotu. Usiłował przypomnieć sobie twarz Sary, słowa, wyraz oczu, gdy te słowa wypowiadała, ale nie potrafił wyraźnie odtworzyć jej w pamięci. Przeszło mu jednak przez myśl, że zna ją chyba lepiej niż ktokolwiek inny. Owa relacja z ich spotkań, którą podał Groganowi... tę pamiętał doskonale, niemal słowo w słowo. Czy w trosce o ukrycie własnych uczuć nie wprowadził Grogana w błąd? Czy nie odmalował w sposób przesadny dziwności zachowania się Sary? Czy uczciwie powtórzył wszystko, co rzeczywiście mówiła?

Czy nie potępił jej, chcąc sam uniknąć potępienia?

Bez końca chodził tam i z powrotem po pokoju, usiłując zbadać dokładnie swoją duszę i zranioną ambicję. Przypuśćmy, że Sara jest tym, czym się wydaje — grzesznicą, bez wątpienia, lecz także kobietą niezwykle odważną, która nie chce wyprzeć się swego grzechu? I która teraz, wyczerpana straszliwym zmaganiem z przeszłością, wzywa ratunku?

Czemu wydał ją na sąd Grogana?

Bo bardziej mu zależało na zachowaniu pozorów niż na ratowaniu własnej duszy. Bo ma akurat tyle wolnej woli, ile miał ongiś amonit. Bo jest Poncjuszem Piłatem, jest od niego kimś gorszym, kto nie tylko przyzwolił na ukrzyżowanie, lecz udzielił do niego zachęty, ba, spowodował nawet — czyż cała historia nie jest wynikiem drugiego spotkania, kiedy Sara chciała odejść, a on zmusił ją do rozmowy o jej sprawach? — wypadki, które prowadzą teraz do wykonania wyroku.

Otworzył znów okno. Upłynęły dwie godziny od chwili, gdy otworzył je po raz pierwszy. Teraz słabe światło brzasku sączyło się ze wschodu. Spojrzał w górę na blednące gwiazdy.

Przeznaczenie.

Te oczy.

Odwrócił się gwałtownie.

Jeżeli spotka Grogana, to trudno. Wyrzuty sumienia muszą usprawiedliwić nieposłuszeństwo. Wszedł do sypialni. Tam z gorzką powagą, stanowiącą odbicie przejmującej grozą i najzupełniej niepojętej decyzji, którą powziął w duchu, zaczął zmieniać ubranie.

¹[Hanower 1836 r.]

²[Przytoczywszy historię Emila La Roncière — zaczerpniętą z tej samej relacji z 1835 roku, którą doktor Grogan dał Karolowi — pragnę jeszcze dodać, że w roku 1843, kilka lat potem, gdy porucznik odbył już karę, jeden spośród adwokatów, co ongiś wnosili oskarżenie, wiedziony spóźnionym nieco poczuciem uczciwości, nabrał podejrzeń, iż przyczynił się do wielkiej pomyłki sądowej. W tym czasie piastował już godność pozwalającą mu na wznowienie procesu. La Roncière został całkowicie uwolniony od winy i zrehabilitowany. Powrócił do wojska i w chwili gdy Karol czytał o najczarniejszych chwilach jego życia, pędził wcale przyjemną egzystencję jako gubernator wojskowy Tahiti. Historia ta ma niezwykle końcową pointę. Dopiero niedawno stwierdzono, że przynajmniej w pewnej części zasłużył sobie na zemstę młodrej historyczki, panny de Morell. Gdyby czytelnicy chcieli się dowiedzieć nieprzystojnej, a zarazem niedorzecznej prawdy o wypadkach owej nocy wrześniowej 1834 roku — w której przedstawicielka „perfidnego Albionu”, guwernantka miss Allen, odegrała niezbyt zaszczytną rolę — muszą ich odesłać do książki René Floriota, *Les Erreurs Judiciaires*, Paryż 1968.]

Bo zrywa się powiew poranka,
A planeta Miłości wysoko na niebie...
Alfred Tennyson, *Afaud* (1855)

Wyższym stopniem rozwagi jest nie czynić nigdy nic dlatego, że ma się na to chęć, lecz jedynie dlatego, że tak nakazuje obowiązek lub rozum.

Matthew Arnold, *Z notatników* (1868)

Słońce, czerwieniejąc, właśnie opuszczało niepozorne perłowo-niebieskie fale pagórków za Chesil Bank, kiedy Karol, co prawda nie w typowym stroju, lecz z typową miną karawaniarza wyszedł z drzwi gospody „Pod Białym Lwem”. Niebo, wyszorowane ubiegłej nocy przez burzę, lśniło prześliczną delikatną barwą nieziemskiego błękitu, powietrze cierpkie jak sok cytrynowy było równie jak on klarowne i orzeźwiający. Jeżeli ktoś w czasach dzisiejszych wstanie w Lyme o podobnej porze, będzie miał całe miasto wyłącznie dla siebie. Karolowi w owej epoce wcześniejszego wstawania tak dalece szczęście nie sprzyjało, jednakże napotykanym przechodniom cechował ów miły brak pretensji towarzyskich, owa pradawna bezklasowość ludzi świtu — prostych ludzi zabierających się do całodziennej pracy. Ten i ów pozdrowił go życzliwie, otrzymując w odpowiedzi ponure skinienie głową i krótki ruch w górę jesionowego kija. Karol wolałby raczej widzieć zaścielające ulicę symboliczne trupy, aniżeli te wesołe twarze, rad był więc, kiedy wreszcie znalazł się za miastem i wszedł na drogę pełną wiodącą na skarpe.

Jednakże jego posępny nastrój (i obawa, którą ukryłem, że powzięta decyzja w istocie rzeczy ma za podstawę stare przysłowie koniokrada — jak wisieć za źrebię, to już i za kobyłę — słowem, że jest raczej wynikiem niebezpiecznej desperacji, aniżeli szlachetnych podszeptów sumienia) tutaj jeszcze bardziej kolidował z otoczeniem. Od szybkiego chodu po ciele Karola zaczął rozlewać się potok ciepła, a do ciepła wewnętrznego dochodziło jeszcze z zewnątrz ciepło promieni słonecznych. Dziwnie wyraźne wydawało się to nieskalane słońce świtania. Miało niemal zapach jakby rozgrzanego kania czy pyłu fotonów, płynącego strugą z przestrzeni kosmicznej. Na każdym źdźble trawy perliła się rosa. Pnie jonów i jaworów na stokach nad ścieżką, miodowo-złote w świetle ukośnych promieni, podpierały wilgotne, szmaragdowe sklepienia młodych liści, mające w sobie coś tajemniczo religijnego, ale z religii sprzed powstania jakiegokolwiek religii — spowite druidycznym ukojeniem, upojną zielonością, i to w ogromnej liczbie odcieni od butelkowego, niemal czarnego w bardziej oddalonych skupiskach listowia, poprzez najjaskrawiej trawiasty aż do najbledszego seledynu. Lis przebiegł drogę i przez chwilę patrzył dziwnie na Karola, jak gdyby ten był intruzem, a wkrótce potem sarna w sposób niemal identyczny, z tym samym absolutnym poczuciem władania terenem podniosła łebek nad trawy i w swym smukłym majestacie popatrzała na Karola, zanim spokojnie zadarła ogon i znikła w gęstwinie. W londyńskiej National Gallery jest płótno Pisanella, który uchwycił taki właśnie moment: św. Hubert w renesansowym lesie staje wobec wpatrzonych w niego ptaków i zwierząt. Święty jest zaskoczony, czuje się prawie jak ofiara złośliwego żartu, cała jego butna pewność siebie rozwiewa się bez śladu na to nagłe ujawnienie największego sekretu natury: powszechnej równości istnienia.

Nie tylko zresztą owe zwierzęta wydawały się Karolowi pełne nadprzyrodzonego znaczenia. Na drzewach moc było rozśpiewanych ptaków — krzewki czarnołbiste, gajówki, drozdy, kosy, gruchające turkawki napępniały bezwietrzny świt pogodą wieczora, lecz bez jego smętku, bez jego elegijności. Karol miał wrażenie, że kroczy przez karty średniowiecznego bestiariusz, księgi

tak pięknej i kunsztownie wykonanej, że każdy listek, każdy najmniejszy ptak, każdy świegot pochodzi z idealnego świata. Wizja wszechświata zbudowanego misternie aż najdrobniejszych szczegółów, wszechświata, w którym wszystko jest ustalone z góry i wszystko cudowne, tak Karola zafrapowała, że przystanął. O niecałe dziesięć stóp przed nim małeńki strzyżyk, usadowiony na czubku krzewu jeżyn, zaczął wywodzić swe przenikliwe trele. Karol widział jego lśniące czarne oczka, czerwień i żółć rozwartego w śpiewie gardziołka — ta mała pierzasta kulka potrafił wszakże stać się aniołem zwiastującym ewolucję: jestem tym czym jestem, nie zdołasz pominąć mojego istnienia teraz, w tej chwili. Karol znieruchomiał jak niegdyś święty Pisanella zdumiony bardziej może własnym zdumieniem na widok tego świata istniejącego tak blisko, w zasięgu dławiącej, banalnej powszedniości miejskiej. Kilka sekund zuchwałego śpiewu sprawiło, że wszystkie zwykłe godziny i miejsca — a tym samym nieskończony ciąg godzin i miejsc znanych dotychczas Karolowi — zwulgaryzowały się, spospolitowały, zaczęły razić ordynarnością. Straszliwa nuda rzeczywistości ludzkiej legła rozplątana do rdzenia, a serce wszelkiego życia pulsowało tam, w tryumfującym gardziołku strzyżyka.

Zdawało się, że śpiew ten zwiastuje nieporównanie głębszą i dziwniejszą rzeczywistość, anizeli owa pseudo—linneuszowska rzeczywistość, którą Karol wyczuwał przed niedawnym czasem na plaży — może nic oryginalniejszego niż prymat życia nad śmiercią, jednostki nad gatunkiem, ekologii nad klasyfikacją. Dzisiaj tego rodzaju prymat jest dla nas czymś samo przez się zrozumiałym, nie możemy więc wyobrazić sobie, jak przykre wnioski nasuwało Karolowi przesłanie głoszone przez strzyżyka. Karol bowiem widział nie tyle pogłębioną rzeczywistość, ile powszechny chaos, majaczący za kruchą strukturą ładu ludzkiego.

Ta eucharystia przyrody zawierała też w sobie gorycz bardziej bezpośrednią, gdyż Karol czuł się wyklęty, wygnany z utraconego na wieki raj. Upodobił się teraz do Sary stał tutaj, w Edenie, lecz nie mógł się nim cieszyć, mógł tylko zazdrościć strzyżykowi ekstazy.

Poszedł ścieżką, używaną dawniej przez Sarę, omijając mleczarnię. Dobrze zrobił, bo brzęk wiadra ostrzegł go, że ktoś, mleczarz lub jego żona, już nie śpi. Skręcił więc do lasu i z należytą powagą kroczył dalej. Paranoiczne przeniesienie winy wywołało w nim uczucie, że drzewa, kwiaty, nawet otaczające martwe przedmioty pilnie go obserwują. Kwiaty zamieniły się w oczy, kamieniom wyrosły uszy, pnie pełnych wyrzutu drzew stanowiły wielotysięczny chór grecki.

Dotarł do rozwidlenia ścieżek i wybrał lewą odnogę. Biegła ona przez gęste zarośla po coraz bardziej nierównym terenie, grunt bowiem zaczynał tutaj ulegać erozji. Morze zbliżyło się,

mlecznoniebieskie i nieskończenie spokojne. Łąd wznosił się, nieco wyżej, tam gdzie wyrwano puszczy łańcuch niewielkich łączek, a jakieś sto jardów na zachód od tych łączek, w małym parowie zbiegającym ku skałom nadbrzeżnym, Karol dojrzał strzechę stodoły. Strzecha była porośnięta mchem i zniszczona, przez co murowany budynek, przypominający raczej chatkę niż stodołę, wyglądał jeszcze smętniej. Pierwotnie było to letnie mieszkanie jakiegoś hodowcy bydła, teraz mleczarz używał budynku do przechowywania siana. Dzisiaj owa stodołka znikła już bez śladu, tak bardzo bowiem w ciągu ostatnich stu lat grunt uległ erozji.

Karol stał i patrzył w dół na stodołę. Spodziewał się zobaczyć tam kobiecą postać i poczuł silniejszy jeszcze niepokój widząc, że miejsce jest tak zaniedbane i opuszczone. Ruszył w tamtym kierunku, ale krokiem człowieka, który idzie przez dżunglę zamieszkaną przez tygrysy. Spodziewał się w każdej chwili ataku, a wcale nie był pewien, czy jest dobrym strzelcem.

Znalazł stare drzwi, zamknięte. Skręcił za róg budynku. W ścianie wschodniej było małe, kwadratowe okienko, zajrzał przez nie w półmrok. Poczł słaby, słodko—stęchły zapach zleżałego siana. Dostrzegł je w głębi stodoły naprzeciw drzwi. Obszedł pozostałe ściany. Sary nie

było. Odwrócił się i spojrział w tamtą stronę, z której przyszedł, myśląc, że pewnie ją ubiegł. Wokół trwał jednak jeszcze spokój wczesnego poranka. Karol zawahał się, wyjął zegarek i zaczął jednak kilka minut nie wiedząc, co właściwie zrobić. Wreszcie pchnął drzwi stodoły.

Dojrzał podłogę z nieciosanego kamienia, a w głębi kilka połamanych stoisk, wypełnionych sianem nadającym się jeszcze do użytku. Dalszą część stodoły trudno było zobaczyć, ponieważ przez okienko wpadały oślepiające promienie słońca. Karol ruszył ku ukośnemu pasmu światła i naraz zmartwiał z przerażenia. Za światłem rozróżnił coś wiszącego na gwoździu — czarny kapelusz. Być może wskutek wczorajszej lektury owładnęło nim mrożące przeczucie, że jakiś potworny widok czeka go za przegrodą ze zmurszałych desek, za kapeluszem, który wisiał niby złowieszczy, syty wampir nad czymś, co było jeszcze ukryte przed wzrokiem. Nie wiem, czego się spodziewał: kałuży krwi, okropnie zmasakrowanych zwłok... każdym razie gotów był niemal wybiec ze stodoły i wrócić natychmiast do Lyme. Jednakże jakiś ledwie słyszalny dźwięk kazał mu pójść naprzód. Pełen lęku zajrzał za przegrodę.

... dawne tradycyjne wyobrażenia o tej formie stosunków, w których rzeczywiste interesy osobiste itd. są formułowane jako interesy ogólne, spadają do rzędu pustych, idealizujących

frazesów, świadomego złudzenia, rozmyślnej obłudy. Im bardziej jednak życie zadaje im kłam i im mniejszy walor mają one dla samej świadomości, tym energiczniej obstaje się przy nich, tym bardziej obłudny, moralizatorski i świętoszkowaty staje się język tegoż społeczeństwa.

Karol Marks i Fryderyk Engels, *Ideologia niemiecka* (1845—1846)

Sara oczywiście wróciła do domu — chociaż słowo „dom” ma w tym wypadku zabarwienie sarkastyczne — przed panią Fairley. Odegrała zwykłą swoją rolę w modłach wieczornych pani Poulteney, po czym udała się na kilka minut do swego pokoju. Pani Fairley skorzystała z tej sposobności, a kilka minut zupełnie jej wystarczyło. Następnie pofatygowała się osobiście i zapukała do drzwi pokoju Sary. Sara otworzyła. Nosiła zwykłą swą maskę rezygnacji i smutku, natomiast pani Fairley nie potrafiła ukryć rozpierającego ją tryumfu.

— Pani czeka. Proszę natychmiast przyjść.

Sara spuściła oczy i skinęła leciutko głową. Pani Fairley rzuciła na tę pokorną głowę sardoniczne spojrzenie, kwaśne jak ocet, po czym odeszła z pełnym złośliwej uciechy szelestem spódnic. Nie wróciła jednak na dół, lecz czekała za rogiem, aż drzwi salonu pani Poulteney otworzyły się i zamknęły za sekretarką. Wówczas podkradła się cicho pod drzwi i nastawiła uszu.

Pani Poulteney tym razem nie zasiadała na swym tronie, lecz stała przy oknie, a plecy jej wymowniejsze były od wszelkich słów.

— Pani życzy sobie ze mną mówić?

Pani Poulteney najwidoczniej nie życzyła sobie z nikim mówić, nie poruszyła się bowiem ani nie wydała dźwięku. Może do milczenia skłonił ją brak tradycyjnego zwrotu „proszę pani”, gdyż ton Sary zdradzał wyraźnie, że opuściła te słowa z całym rozmysłem. Sara przeniosła spojrzenie z czarnych pleców na stolik przedzielający obie niewiasty. Widniała na nim demonstracyjnie umieszczona koperta. Leciutkie zaciśnięcie ust — z wyrazem stanowczości czy też gniewu, trudno byłoby to określić — stanowiło jedyną reakcję Sary na mrozącą majestatyczność chlebobawczyni, która prawdę mówiąc sama dobrze nie wiedziała, jak ma najskuteczniej zmiażdżyć tę nieopatrznie przygarniętą i ogrzaną na własnym łonie żmiję. Zdecydowała się wreszcie na jeden cios topora.

— W tej kopercie jest miesięczna pensja. Weźmie ją pani zamiast wymówienia. Opuści pani ten dom jutro rano możliwie jak najwcześniej.

Sara użyła zuchwale tej samej broni, co pani Poulteney. Nie poruszyła się ani nie odpowiedziała, aż wreszcie czcigodna dama, doprowadzona do ostateczności, raczyła się odwrócić i ukazać zbielełą twarz, na której płonęły dwa amarantowe kółka powściąganego wzburzenia.

— Nie słyszała pani, co powiedziałam?

— Czy nie dowiem się dlaczego?

— Ośmiela się pani jeszcze prawić mi impertynencje?

— Ośmielam się zapytać, dlaczego mnie pani odprawia?

— Napiszę do pastora Forsytha. Już ja się o to postaram, żeby panią zamknęto. Sieje pani publiczne zgorszenie.

Gwałtowny ten wybuch odniósł pewien skutek. Na policzkach Sary również zapłonęły czerwone płamy. Zapadła cisza, podczas której i tak już wezbrane łono pani Poulteney wezbrało w sposób jeszcze bardziej widoczny.

— Rozkazuję, aby opuściła pani natychmiast ten pokój.

— Doskonale. Ponieważ nie zaznałam tu nic prócz hipokryzji, opuszczę go z największą przyjemnością.

Oddawszy ten ostatni strzał, Sara skierowała się ku drzwiom. Ale pani Poulteney należała do aktorek, które muszą mieć w scenie ostatnie słowo — a może zresztą krzywdzę ją choć sądząc z jej tonu wydawało się to mało prawdopodobne, chciała spełnić dobry uczynek.

— Proszę wziąć swoją pensję!

Sara zwróciła się do niej i potrząsnęła przecząco głową.

— Może ją pani zatrzymać. A jeżeli to możliwe za tak drobną sumę, proponuję, żeby nabyła pani jakieś narzędzie tortur. Pani Fairley z pewnością chętnie pomoże pani używać go wobec wszystkich dziewcząt, które będą miały nieszczęście dostać się w pani władzę.

Przez najzupełniej niewiarogodną chwilę pani Poulteney upodobniła się do Sama Farrow, innymi słowy znieruchomiała z szeroko otwartymi ustami, które zawsze przecież były tak, zgryźliwie i mocno zaciśnięte.

— Odpowie... pani... za to...

— Przed Bogiem? Taka pani pewna, że On na tamtym świecie zechce panią wysłuchać?

Po raz pierwszy od początku ich wzajemnych stosunków Sara uśmiechnęła się do pani Poulteney — uśmiechem bardzo lekkim, ale znaczącym i wymownym. Chlebodawczyni przez kilka chwil wpatrywała się w nią z niedowierzaniem — ba niemal żałośnie, jak gdyby Sara była szatanem, co przyszedł po swoje. Potem, czepiając się sprzętów i sunąc jak krab, dotarła do fotela i padła na niego, bliska niezupełnie symulowanego omdlenia: Sara patrzyła na nią przez chwilę, a potem bardzo nielojalnie — wobec niejkiej pani Fairley — podeszła szybko do drzwi i je otworzyła. Gospodyni, wyprostowana raptownie, stała za nimi przerażona, jak gdyby sądziła, że Sara zaraz się na nią rzuci. Sara usunęła się na bok i wskazała panią Poulteney, która trzymała się kurczowo za szyję, nie mogąc złapać tchu, pani Fairley więc pospieszyła jej na ratunek.

— Wstrętna rozpustnico! Zabiła ją pani!

Sara nie odpowiedziała. Przyglądała się jeszcze chwilę, jak ochmistrzyni aplikuje pani sole trzeźwiące, po czym wyszła i udała się do swojego pokoju. Tam podeszła do lustra, ale nie spojrzała na swoje odbicie. Powoli zasłoniła twarz rękami, a potem bardzo wolno podniosła oczy znad palców. To, co ujrzała, było dla niej nie do zniesienia. Po sekundzie klęczała przy łóżku i płakała cicho, kryjąc twarz w zniszczonej narzucie.

Powinna była raczej się modlić? Ależ sądziła, że się modli.

31

Kiedy westchnienie wstrząsa łonem
 I dreszcz przenika połączone
 Przypadkiem dłonie, wraz z bolesną
 Rozkoszą nerwów, pulsem spieszny;
 Gdy wzrok, co się spotykał śmiało,
 Teraz, szukając, wraz umyka,
 W ekstazie słodkiej jak muzyka
 Czyżby to wszystko oznaczało,
 Że miłość, przez anioły w niebie
 Śpiewana, już ogarnia ciebie?

Czy też to stara, zwykła piosnka,
 Którą pod słońcem każdy prostak
 Łatwo i szybko może poznać?
 Arthur Hugh Clough, *Poem* (1844)

A teraz spała.

Taki właśnie haniebny widok ukazał się oczom Karola, gdy ten wreszcie zdobył się na to, aby zajrzeć za przegrodę. Leżała odwrócona do niego plecami, leżała pod swoim starym płaszczem, skulona jak dziecko, z nogami podwiniętymi, bo noc była zimna. Głowę złożyła na zielonym szalu, jak gdyby chcąc uchronić swój najcenniejszy skarb, rozpuszczone włosy, od pyłu i nasion trawy. W panującej dokoła ciszy jej lekki, równy oddech można było nie tylko słyszeć, ale i widzieć, a fakt, że ona śpi tutaj tak spokojnie, wydał się Karolowi w pierwszej chwili gorszą zbrodnią od wszystkich innych, jakich się spodziewał. Zaraz jednak ogarnęło go nieposkromione pragnienie, aby jej bronić, aby się nią opiekować. Ogarnęło tak nagle i gwałtowne, że oderwał oczy od Sary i odwrócił się, wstrząśnięty tym dowodem słuszności słów doktora, czuł bowiem, że instynkt każe mu uklęknąć przy niej i ją pocieszać... i nie tylko pocieszać, gdyż panujący w stodole półmrok i poza dziewczyny nasuwały odparcie myśl o sypialni. Serce biło Karolowi, jakby przebiegł co najmniej milę. Tygrys czał się w nim, nie w niej. Stał chwilę, a potem cicho, lecz szybko wrócił do drzwi.

Obejrzał się, miał już wyjść, gdy usłyszał własny głos. Karol nie zamierzał wcale się odezwać, głos przemówił bez jego udziału

— Panno Woodruff.

Żadnej odpowiedzi.

Powtórzył znów nazwisko, trochę głośniejsze, odzyskując po trosze równowagę, teraz gdy ciemna fala już opadła.

Posłyszał lekki ruch, cichy szelest, potem w sposób niemal komiczny ukazała się głowa, gdy Sara pośpiesznie uklękła i wyjrzała z przegrody. Poprzez splecione źdźbła siana Karol dostrzegł, że jest spłoszona i zawstydzona.

— Och, przepraszam, przepraszam...

Głowa znikła za przegrodą. Karol wycofał się na zewnątrz na słońce. Dwie mewy przeleciały mu nad głową, krzyząc chrapliwie. Przesunął się w bok, dalej od pól, a bliżej mleczarni. Grogana nie obawiał się, zresztą jeszcze go o tej porze nie oczekiwał. Miejsce to było jednak ze wszystkich stron zbyt otwarte, na dobitkę mleczarz mógł przyjść po siano... chociaż po co

miałby brać siano, skoro jego łąki zieleńły się soczystą wiosenną trawą. Ale Karol zbyt był zdenerwowany, aby wziąć to pod uwagę.

— Panie Smithson?

Wrócił pod drzwi w sam czas, żeby nie zawołała go ponownie, tym razem głośniejsze. Stali w odległości dziesięciu stóp, Karol na rogu budynku, Sara w drzwiach. Widać było, że pośpiesznie doprowadziła swój wygląd do porządku, włożyła też płaszcz i trzymała w ręku szal, jak gdyby użyła go przed chwilą w charakterze szczotki. W oczach jej malował się niepokój, ale rysy miały w sobie jeszcze łagodność snu, chociaż raptowne przebudzenie zabarwiło policzek rumieńcem.

Było w niej coś nieokielzanego. Nie miało to nic wspólnego z obłędem czy histerią — lecz Karol wyczuł tę samą niepokohowaną gwałtowność w śpiewie strzyżyka... gwałtowność niewinności, niemal uniesienia. A podobnie jak ostre doznania podczas dzisiejszego marszu o świecie pogmatwały i skomplikowały — uroczyste przygnębienie Karola, tak też ta pełna ekspresji, widziana z bliska twarz pogmatwała i skomplikowała wszystkie kliniczne okropności, których przezacni doktorzy Matthaei i Grogan nakładli Karolowi do głowy. Mimo Hegla wiktoriańskie nie znali się na dialektyce, nie mieli zwyczaju opierać rozumowania na sprzecznościach, nie traktowali stron dodatnich i ujemnych jako aspektów tej samej całości. Paradoxy raczej ich niepokoiły, niż bawiły. Nie byli ludźmi, których by obchodziły momenty egzystencjalne, interesowały ich przede wszystkim pozytywne, wszystko wyjaśniające teorie pilnie studiowane i gorliwie stosowane w praktyce. Oddawali się budowaniu, zapewne, my zaś oddajemy się od tak dawna burzeniu, że budowanie wydaje się teraz działalnością równie efemeryczną, jak puszczanie baniek mydlanych. Karol stanowił tedy zagadkę dla samego siebie. Zdobył się teraz na bardzo niepewny uśmiech.

— Czy nas tu nikt nie zobaczy?

Ona w ślad za jego wzrokiem obejrzała się w kierunku niewidocznej mleczarni.

— Dzisiaj jest targ w Axminster. On wydoi tylko krowy i zaraz wyjedzie.

Cofnęła się jednak do wnętrza stodoły. Karol wszedł za nią i stanęli znów w sporej od siebie odległości. Sara zwrócona była do niego plecami.

— Spędziła pani tutaj noc?

Skinęła głową. Zapadło milczenie.

— Nie jest pani głodna?

Sara potrząsnęła głową i milczenie napłynęło z powrotem. Tym razem jednak ona sama je przerwała.

— Pan wie?

— Wyjeżdżałem wczoraj na cały dzień. Nie mogłem przyjść.

Znów milczenie.

— Pani Poulteney przyszła do siebie?

— O ile mi wiadomo, tak.

— Bardzo się na mnie gniewała.

— Jestem pewien, że dobrze się stało. Jej dom nie był dla pani właściwym miejscem.

— Czy w ogóle jest dla mnie właściwe miejsce?

Przypomniał sobie, że musi starannie dobierać słowa.

— Niechże pani da spokój... nie wolno się tak nad sobą roztkliwiać. — Podszedł o dwa kroki bliżej. — Wszyscy ogromnie się o panią niepokoiili. Gromada ochotników szukała pani wczoraj wieczorem podczas burzy.

Obejrzała się raptownie, jakby obawiając się, że on kłamie. Zobaczyła, że mówi prawdę, on zaś ze swej strony poznał po jej zdumieniu, że ona nie kłamie mówiąc:

— Nie myślałam, że sprawię ludziom tyle kłopotu.

— No... mniejsza o to. Przypuszczam, że te niezwykle emocje w gruncie rzeczy były im przyjemne. Ale jest rzeczą jasną, że teraz musi pani wyjechać z Lyme.

Sara pochylała głowę. Mówił widocznie tonem zbyt surowym. Zawahał się, potem podszedł i położył jej rękę na ramieniu.

— Proszę się nie obawiać. Przychodzę, aby pani pomóc.

Sądził, że ten opiekuńczy gest i słowa pociechy stanowią pierwszy krok w kierunku stłumienia ognia, który według twierdzenia doktora wzniecił, ale gdy się jest paliwem, gaszenie pożaru jest zadaniem beznadziejnym. Sara bowiem stanęła w płomieniach. Oczy jej płonęły, gdy rzuciła Karolowi namiętne spojrzenie. Cofnął rękę, lecz ona ją chwyciła i zanim zdążył przeszkodzić, podniosła do ust. Natenczas w najwyższym przerażeniu wyrwał rękę, a Sara zareagowała tak, jakby uderzył ją w twarz.

— Droga panno Woodruff, proszę, niech się pani opanuje. Ja...

— Nie mogę.

Słowa te padły ledwie dosłyszalnie, ale odebrały Karolowi mowę. Usiłował sobie tłumaczyć słowa Sary w ten sposób, że nie może opanować uczucia wdzięczności za jego dobroć, usiłował to, usiłował owo... Ale naraz przypomniał sobie Katullusa: „Ilekcroć cię widzę, dźwięk zawodzi, płacze mi się język płomyki ognia przebiegają mi po kończynach, wewnętrzny łoskot i mrok spowija całunem uszy i oczy.” Katullus tłumaczył tu Safonę, a ten jej opis pozostaje do dziś najlepszym klinicznym opisem miłości w medycynie europejskiej.

Sara i Karol stali naprzeciw siebie, doznając — choć o tym nie wiedzieli — dokładnie tych samych objawów. Ona była ich świadoma, on się ich wypierał, a zarazem właśnie on nie potrafił zdobyć się na to, żeby się odsunąć. Upłynęło kilka sekund wielkiego, lecz siłą tłumionego napięcia. Wreszcie Sara dosłownie nie mogła dłużej ustać na nogach. Padła na kolana u stóp Karola. Słowa popłynęły gwałtownym potokiem.

— Skłamałam panu, sama się postarałam, żeby pani Fairley mnie zobaczyła, wiedziałam, że powie pani Poulteney.

Karolowi zdawało się, że już zaczyna nad sobą panować, teraz jednak uczucia znów wymknęły się jakiegokolwiek kontroli. Patrzył osłupiały na podniesioną ku niemu twarz. Sara najwidoczniej prosiła go o przebaczenie, ale jemu samemu potrzebna była jakiejś rady czy wskazówki, gdyż doktorzy znów go zawiedli. Dystyngowane młode damy, które zajmowały się podpalaniem domów i pisaniem listów anonimowych, wszystkie jak jedna, zapewne przez respekt dla krańcowych, czarno—białych wyroków opinii publicznej, czekały, aż je złapią, nim się przyznały do winy.

Sarze łyzy nabiegły do oczu. Karol w tej chwili mógł wygrać wielki los, mógł otrzymać świat cały ze złota, a przeciwwagą była tylko niewielka wydzielina gruczołów łzawiących, kilka drżących kropelek wody, tak drobnych, tak nietrwałych i przemijających. Jednakże stał niby człowiek pod pękającą tamą, nie zaś jak mężczyzna pochylony nad płaczącą kobietą.

— Ale dlaczego?...

Podniosła wtedy głowę z głębokim przejęciem i błaganiem, z wyznaniem tak wyraźnym, że słowa były zbędne, ze szczerością wobec której wszelkie uniki — wszelkie napomnienia:

„Ależ droga panno Woodruff” — stawały się niepodobieństwem.

Wyciągnął wolno ręce i podniósł ją z podłogi. Oczy ich nie mogły się od siebie oderwać, niczym w hipnozie. Wydała mu się — może za sprawą tych szeroko rozwartych, tych wciągających w topiel oczu — najpiękniejszą, najcudowniejszą kobietą, jaką widział w życiu. Wszystko, co było dotychczas, straciło dla obojga znaczenie. Chwila odniosła zwycięstwo nad epoką.

Wziął ją w ramiona, dostrzegł, że oczy się jej zamknęły, gdy zachwiała się i przywarła do niego. Wtedy sam zamknął oczy i poszukał jej ust. Czuł nie tylko ich miękkość, lecz całą kruchość jej ciała, które stało się naraz drobne, wiotkie, rozrzewniające...

Odepchnął ją gwałtownie.

Udręczone spojrzenie, jak gdyby był najędzniejszym zbrodniarzem, przyłapanym na najohydniejszej zbrodni. Potem, odwrócił się i wybiegł z budynku, aby stanąć oko w oko z nową okropnością. Nie był to wcale doktor Grogan.

I ją w muślinach, gdy tak czeka
 Na ganku z sercem pełnym wiary,
 A z wnętrza wątła wciąż dobiega
 Melodia pozytywki.
 Thomas Hardy, *The Musical Box*

Ernestyna poprzedniej nocy nie mogła zasnąć. Wiedziała doskonale, które okna „Pod Białym Lwem” są oknami Karola, nie omieszkała też zauważyć, że światło wciąż się tam jeszcze pali, choć chrapanie ciotki dawno już zaczęło się rozlegać w ciszy domu. Czuła się boleśnie dotknięta, a zarazem winna — na początku w równych częściach. Kiedy po raz szesnasty wykradła się z łóżka, żeby zobaczyć, czy światło pali się jeszcze i stwierdziła, że się pali, poczucie winy zaczęło brać górę. Karol najwyraźniej i jak najślusniej jest z niej niezadowolony.

Otóż kiedy po odejściu Karola Ernestyna oświadczyła ciotce, że figę ją obchodzi Winsyatt, można by sądzić, że kwaśne winogrona byłyby stosowniejszą metaforą ogrodniczą. Wprawdzie kiedy Karol pojechał do stryja, postarała się skutecznie nakłonić samą siebie do łaskawego przyjęcia roli pani na Winsyatt, zaczęła nawet układać listy „spraw do załatwienia” ale nagły zgon tego marzenia sprawił jej nawet pewną ulgę. Kobiety prowadzące wielkie domy muszą mieć w sobie coś z generała, Ernestyna zaś nie żywiła najmniejszych wojskowych aspiracji. Przepadała za wszelkim zbytkiem, lubiła żeby usługiwano, ale miała bardzo zdrowe mieszczańskie poczucie proporcji. Trzydzieści pokoi, gdy dość jest piętnastu wydawało jej się szaleństwem. Być może odziedziczyła upodobanie do niejkiej oszczędności po ojcu, który w głębi duszy uważał że „arystokrata” jest synonimem „próżności i ostentacji” chociaż nie przeszkadzało mu to wcale opierać znacznej części swoich interesów na tej wadze klientów, prowadzić w Londynie domu, jakiego pozazdrościłby mu niejeden wielki pan, jak również skorzystać skwapliwie z pierwszej nadarzającej się okazji do uzyskania tytułu dla ukochanej córeczki. Należy mu oddać sprawiedliwość — byłby może odrzucił wicehrabiego, bo to za wysokie progi, tytuł zaś baroneta był jego zdaniem w sam raz.

Krzywdzę tu może Ernestynę, która koniec końców była ofiarą okoliczności, ofiarą fatalnego otoczenia. Bo niezawodnie to właśnie schizofreniczny pogląd na społeczeństwo czyni mieszczaństwo tak osobliwą mieszaniną drożdży i ciasta. W dzisiejszych czasach skłonni jesteśmy zapominać, że mieszczaństwo było zawsze wielką klasą rewolucyjną, widzimy przede wszystkim tę stronę amorficzną, uważamy mieszczaństwo za ostoję reakcji, sobkostwem i konformizmem zrażającą do siebie cały świat. Ta janusowa cecha wypływa z jedynej cnoty tej klasy — spośród trzech wielkich kast społecznych ona jedna najczęściej i zupełnie szczerze czuje do siebie pogardę. Ernestyna bez wątpienia nie była tu wyjątkiem. Nie tylko Karol posłyszał w jej głosie przykrą zgryźliwość, Ernestyna słyszała ją sama. Jednakże jej tragedią (która nadal jest powszechną) było to, że nie potrafiła należycie użyć cennego daru samopogardy, przez co padła ofiarą właściwego swej klasie wiecznego braku wiary w siebie. Zamiast uznać wady tej klasy za powód do odrzucenia całego systemu klasowego, uznała je za powód do zabiegania o przejście do klasy wyższej. Trudno mieć to Ernestynie za złe — zbyt gruntownie wpojono jej pogląd, że społeczeństwo jest drabiną o tylu a tylu szczeblach, uważała więc własną pozycję jedynie za stopień do czegoś rzekomo lepszego.

Tak się więc stało („Okropnie mi wstyd, zachowałam się jak córka bławatnika”), że Ernestyna nad ranem, nie próbując dłużej zasnąć, wstała, włożyła *peignoir* i odemknęła kluczykiem

dziennik. Może Karol zobaczy, że jej okno również świeci się pokutnie w nieprzejrzanych ciemnościach, które zapadły po burzy. Tymczasem zabrała się do pisania.

Nie mogę spać. Najdroższy K. jest ze mnie niekontent — za bardzo się przejęłam okropnymi wiadomościami z Winsyatt. Taka byłam zirytowana, że chciało mi się płakać, ale głupio nagadałam mnóstwo złośliwych wstrętnych rzeczy, a teraz proszę Boga, żeby mi przebaczył, pamiętając, że powiedziałam to wszystko z miłości do najdroższego K., a nie dlatego, że mam zły charakter. Potem okropnie płakałam, ale dopiero kiedy K. odszedł. Niech to będzie dla mnie nauzką, że mam wziąć sobie do serca piękne słowa ceremonii ślubnej i okazywać najdroższemu Karolowi szacunek i posłuszeństwo nawet wtedy, kiedy w podnieceniu mam ochotę mu zaprzeczyć. Muszę z całą powagą i pokorą pokonywać swoje wstrętne, przekorne usposobienie, korzyć się przed wielką mądrością K., cenić jego zdanie i przykuć się łańcuchem do jego serca, albowiem „słodycz szczerzej skruchy jest bramą do niebiańskiej szczęśliwości”.

Zauważyli państwo zapewne w tym wzruszającym ustępie brak ironicznej oschłości, cechującej zazwyczaj Ernestynę, ale stwierdzić trzeba, że nie tylko Karol miał kilka głosów. Ernestyna bowiem, podobnie jak miała nadzieję, że Karol zauważy światło w jej oknie o tak późnej porze, tak też wyobrażała sobie, że nadejdzie dzień, kiedy Karol poprosi ją, aby pokazała mu tę intymną kronikę swych przedmażeńskich myśli. Pisała po części dla jego oczu, a po części — jak każda kobieta z epoki wiktoriańskiej — dla oczu Pana Boga. Uspokojona wróciła do łóżka jako przyszła żona umiłowanego, tak całkowicie i stosownie oczyszczona duchowo, że patrząc na nią nie mam innej alternatywy, jak dojść do wniosku, iż w końcu odzyska chyba miłość niewiernego Karola.

Spała jeszcze mocno, kiedy trzy piętra pod nią rozegrał się mały dramat. Sam Farrow tego ranka nie wstał tak wcześnie jak jego pan. Kiedy zszedł do kuchni hotelowej na herbatę i grzanki z serem — trzeba przyznać, że niewielu wiktoriańskich służących jadało mniej od swoich panów, choć może nie odznaczali się tak wybrednym podniebieniem — pucybut przywitał go wiadomością, że pan Smithson właśnie wyszedł, a Sam ma spakować rzeczy i być gotów do wyjazdu w południe. Sam ukrył zaskoczenie. Na spakowanie rzeczy potrzeba było najwyżej pół godziny, w tej chwili zaś miał pilniejsze sprawy.

Poszedł wprost do domu panny Tranter. Co tam powiedział; możemy nie dociekać, poza tym, że słowa jego musiały brzmieć bardzo tragicznie, gdy bowiem panna Tranter (obserwująca sprzeczne z cywilizacją zwyczaje wczesnego wstawania) zeszła zaledwie minutę później do kuchni, zastała Mary w potokach łez przy stole kuchennym. Sarkastycznie podniesiony w górę podbródek głuchej kucharki wskazywał, że nie żywi ona dla dziewczyny zbyt wielkiego współczucia. Zadawszy Mary kilka pytań panna Tranter z właściwą sobie dobrotliwą energią ustaliła, na czym polega zmartwienie, i zaaplikowała znacznie przyjemniejszy lek, niż w swoim czasie zastosował Karol. Pozwoliła pokojówce wyjść i wrócić dopiero wtedy, kiedy trzeba będzie podać śniadanie Ernestynie. Ponieważ ciężkie brokatowe zasłony panny Ernestyny pozostawały zwykle zasunięte aż do dziesiątej, stanowiło to blisko trzy godziny wolności. Panna Tranter otrzymała w nagrodę najwdzięczniejszy uśmiech, jaki tego dnia oglądał świat. Po upływie pięciu minut można było zobaczyć, jak Sam wyciągnął się jak długi na środku Broad Street. Nie należy gnać pełnym galopem nawet do takiej dziewczyny jak Mary.

33

O, niech kocham mą miłość po siebie samego,
 Niech poznam moją wiedzę aż po świat nieznany,
 Nie pragnę w mojej wizji mieć świadka żadnego,
 Oglądający sam, a niewidziany...
 Arthur Hugh Clough, *Poem* (1852)

Trudno by powiedzieć, kto był bardziej przerażony pan, który zamarł w odległości sześciu stóp od drzwi, czy para służących, która tak samo znieruchomiała o jakieś trzydzieści jardów dalej. Ci dwoje byli tak zdumieni, że Sam nie opuścił nawet ręki obejmującej kibić Mary. Niemą tę scenę przerwało dopiero ukazanie się czwartej osoby, Sary, która raptem wyjrzała z drzwi. Cofnęła się tak szybko, że wprost nie sposób było mieć pewności, że się ją widziało. Tego jednak wystarczyło. Usta Sama otworzyły się, a jego ramię obejmujące Mary opadło.

- Co, u diabła, tutaj robisz?
- Spaceruję, panie Karolu.
- Zdawało mi się, że zostawiłem dla ciebie polecenie...
- Wykonałem, proszę pana. Wszystko gotowe.

Karol wiedział, że chłopak kłamie. Mary odwróciła się z delikatnością, z którą było jej bardzo do twarzy. Karol zawahał się chwilę, potem wielkimi krokami podszedł do Sama, któremu w mózgu błyskały już wizje odprawy, pobicia...

- Nie wiedzieliśmy, panie Karolu. Słowo daję, że nie wiedzieliśmy.

Mary rzuciła na Karola nieśmiałe spojrzenie — było w nim zdumienie i lęk ale też i odrobina filuternego podziwu. Karol zwrócił się do niej.

— Proszę nas zostawić na chwilę samych. — Dziewczyna dygnęła i odeszła szybko na taką odległość, żeby nie słyszeć rozmowy. Karol zmierzył wzrokiem Sama, który przybrał teraz najpokorniejszą lokajską postawę i wpatrywał się pilnie w buty swego pana. — Przyszedłem tutaj w sprawie, o której wspominałem.

- Tak jest, proszę pana.

Karol zaczął mówić ciszej.

— Na zalecenie doktora, który ją leczy. On jest dokładnie poinformowany o wszystkich okolicznościach.

- Tak jest, proszę pana.
- Których pod żadnym pozorem nie wolno nikomu wyjawić.
- Rozumiem, panie Karolu.
- A ona?

Sam podniósł oczy.

- Mary nic nie powie, proszę pana. Niech skonam.

Teraz Karol spuścił oczy. Czuł, że jest czerwony jak rak.

— Bardzo dobrze. Ja... ja ci dziękuję. I dopilnuj, żeby... Masz. — Zaczął szukać w kieszeni sakiewki.

— Nie, panie Karolu. — Sam zrobił malutki krok w tył, nieco zbyt dramatycznie, aby dla bezstronnego widza mogło to być przekonywające. — Nigdy w życiu.

Ręka Karola zatrzymała się w pół drogi. Pan i sługa spojrzeli sobie w oczy. Obaj wiedzieli, że została tu zawarta transakcja.

- Bardzo dobrze. Wynagrodzę ci to. Ale ani słowa.

— Jak pragnę zbawienia, panie Karolu.

Po tej uroczystej przysiędze Sam ruszył do swojej Mary, która czekała teraz, dyskretnie odwrócona plecami, w odległości około stu jardów przy zaroślach janowca i orlicy.

Dlaczego celem ich wędrówki była stodoła, na ten temat można jedynie snuć przypuszczenia, podobnie też mogło się państwu wydać dziwne, że taka rozsądna dziewczyna jak Mary wybuchnęła łzami na myśl o kilkudniowym zaledwie rozstaniu.

Pozostawmy jednak Sama i Mary w chwili, gdy wkraczają ponownie do lasu, idą przez jakiś czas w milczeniu, potem ukradkiem zerkają na siebie... i wybuchają niepohamowanym, obezwładniającym, ale cichym śmiechem — powrócmy natomiast do czerwonego jak piwonია Karola. Odprowadził Sama i Mary spojrzeniem, po czym obejrzał się na stodołę, której widok nie udzielił mu żadnych informacji.

Karol wstrząśnięty był do głębi własnym postępowaniem, ale świeże powietrze pozwoliło mu nieco się zreflektować. Poczucie obowiązku, jak to już nieraz bywało, przyszło mu z pomocą. W sposób niegodziwy rozdmuchał zakazany ogień. Nawet w tej chwili tamta druga ofiara być może ginie w jego płomieniach, przerzucając sznur przez belkę... Po krótkim wahaniu pomaszerował tedy z powrotem do stodoły i do Sary. Stała przy skraju okna, ukryta przed spojrzeniami z zewnątrz, jak gdyby chciała usłyszeć, co zaszło między Karolem a Samem. Karol stanął przy drzwiach.

— Musi mi pani wybaczyć, że tak haniebnie nadużyłem pani zaufania w jej nieszczęśliwej sytuacji. — Zrobił pauzę, potem mówił dalej. — I nie tylko dzisiaj. — Sara spuściła oczy. Dostrzegł z ulgą, że jest przygnębiona, że nie jest już taka niepohamowana. — Nic nie było dalsze od moich intencji, aniżeli pozyskanie pani uczuć. Postąpiłem bardzo lekkomyślnie. Bardzo lekkomyślnie. To ja i tylko ja jestem wszystkiemu winien. — Sara wpatrywała się w chropowate kamienie dzielące ich podłogi: więźniarka czekająca na wyrok. — Niestety, zło już się stało. Muszę teraz prosić panią, aby pomogła mi je naprawić. — Ona mimo zachęty wciąż się nie odzywała. Interesy wzywają mnie do Londynu. Nie wiem, na jak długo. Wówczas spojrzała na niego, ale tylko przez sekundę. Karol potykając się brnął dalej: — Sądzę, że powinna pani pojechać do Exeter. Proszę, aby zechciała pani wziąć pieniądze z tej sakiewki — w charakterze pożyczki, jeśli sobie pani tak życzy... dopóki nie znajdzie pani odpowiedniej posady... a gdyby potrzeba było dalszej pomocy finansowej... — Urwał. Czuł, że mówi tonem coraz bardziej oficjalnym i musi sprawiać wrażenie wprost odrażające. Sara odwróciła się do niego plecami.

— Nigdy już pana nie zobaczę.

— Nie spodziewa się pani chyba, że temu zaprzeczę.

— A przecież żyję tylko po to, żeby pana widzieć. Straszliwa pogróżka zawisła w ciszy, która nastąpiła po tych słowach. Karol nie miał odwagi nic odpowiedzieć. Czuł się skuty kajdanami, toteż przyjął niespodziewane wyzwolenie, jak je przyjmuje więzień skazany na długie lata. Sara bowiem obejrzała się i najwyraźniej odczytała jego myśli.

— Gdybym się chciała zabić, miałam dość powodów już dawniej. — Spojrzała przez okno. — Przyjmuję pańską pożyczkę z wdzięcznością.

On przymknął oczy w niemej modlitwie dziękczynnej.

Położył sakiewkę — nie tę, którą wyhaftowała mu w prezencie Ernestyna — na występie przy drzwiach.

— Pojedzie pani do Exeter?

— Skoro tak mi pan radzi.

— Radzę z całą stanowczością.

Pochyliła głowę.

— I muszę pani powiedzieć coś jeszcze. W mieście mówi się o zamknięciu pani w zakładzie.
 — Dojrzał błysk przerażenia w jej oczach. — Pomysł bez wątpienia wyszedł z Marlborough House. Proszę nie brać tego zbyt poważnie. Mimo wszystko jednak oszczędzi pani sobie przykrości, jeżeli nie wróci do Lyme. — Po chwili wahania dodał: — Wiadomo mi, że ktoś wkrótce znów przyjdzie tu pani szukać. Dlatego przyszedłem tak wcześniej.

— Mój kufer...

— Zajmę się tym. Każę go wysłać do zajezdni w Exeter. Przyszło mi do głowy, że jeżeli czuje się pani na siłach, rozsądniej byłoby pójść pieszo do skrzyżowania przy Axmouth. Uniknęłoby się... — Powinien by powiedzieć: „oboje uniknęlibyśmy skandalu”, ale wiedział, o jak dużą rzecz prosi. Do Axmouth było siedem mil, a do skrzyżowania, przy którym zatrzymywały się dyliżanse, jeszcze dwie mile.

Zgodziła się.

— I zawiadomi pani pannę Tranter, skoro tylko znajdzie pani posadę?

— Nie mam żadnych referencji.

— Może pani powołać się na panią Talbot. I na pannę Tranter. Porozmawiam z nią. I niech pani nie będzie zbyt dumna i w razie potrzeby zwróci się do niej o dalsze zaopatrzenie finansowe. Załatwię wszystko przed wyjazdem.

— To nie będzie potrzebne. — Mówiła ledwie dosłyszalnie. — Ale dziękuję panu.

— Myślę, że to ja muszę pani podziękować. Podniosła głowę i spojrzała mu w oczy. Spojrzenie jej znów miało w sobie coś z lancy — widziała go na wylot.

— Jest pani bardzo niezwykłą osobą, panno Woodruff. Jestem głęboko zawstydzony, że nie zorientowałem się w tym wcześniej.

— Tak, jestem niezwykłą osobą — rzekła. Powiedziała to jednak bez dumy, bez sarkazmu, jedynie tylko z gorzką prostotą. Znów zapadło milczenie. Karol znosił je tak długo, jak tylko zdołał, potem wyjął z kieszonki zegarek, dając w sposób mało pomysłowy do zrozumienia, że musi już iść. Czuł, że jest nieporadny, sztywny, że ona ma w sobie znacznie więcej godności — może czuł jeszcze dotknięcie jej ust.

— Nie odprowadzi mnie pani do ścieżki? Przy tym ostatnim pożegnaniu nie pozwoli, żeby zobaczyła że się jej wstydzi. Jeżeli nadejdzie Grogan, nie będzie to już teraz miało znaczenia. Ale Grogan się nie pokazał. Sara ruszyła przodem przez zwiędłe paprocie i kwitnący janowiec. Włosy jej lśniły w porannym słońcu, szła w milczeniu, ani razu się nie obejrzała. Karol wiedział doskonale, że Sam i Mary mogą ich obserwować, ale teraz wydawało mu się, iż lepiej jest pokazać się im z Sarą jawnie. Droga wiodła w górę przez las i dochodziła w końcu do głównej ścieżki. Sara odwróciła się. Karol stanął przy niej, wyciągając na pożegnanie rękę.

Zawahała się, potem podała mu dłoń. Uścisnął ją mocno, wzbraniając jakichkolwiek dalszych szaleństw. — Nigdy pani nie zapomnę — szepnął. Podniosła ku niemu twarz, oczy prześliznęły się po nim przelotnie, a jednak badawczo, jak gdyby powinien był coś dostrzec, jak gdyby jeszcze nie było za późno — dojrzeć prawdę istotniejszą od znanej mu prawdy, uczucie głębsze od jego uczuć, historię bardziej odkrywczą od jakiegokolwiek jego koncepcji dziejów. Jak gdyby mogła powiedzieć moc rzeczy, a zarazem wiedziała, że jeśli on nie zdoła pojąć tych rzeczy bez jej słów...

Trwało to długą chwilę. Potem on spojrzał w ziemię i puścił jej rękę.

Po minucie obejrzał się. Stała tam, gdzie ją pozostawił, i patrzyła na niego. Uchylił kapelusza. Nie zrobiła w odpowiedzi żadnego ruchu.

Po upływie jeszcze dziesięciu minut zatrzymał się przy bramie zamykającej od strony morza gościniec biegnący do mleczarni. Rزتaczał się stąd widok na pola ciągnące się w kierunku falochronu. Daleko w dole drobna postać wspinała się po ścieżce ku bramie, przy której stał

Karol. Cofnął się o kilka kroków, wahał się przez chwilę... potem ruszył dalej gościńcem do drogi polnej, która wiodła na dół do miasta.

I zwiędła róża zerwana ze ściany.
Thomas Hardy, *During Wind and Rain*

- Byłeś na przechadzce.
- Jak się okazało, na próżno przebrał się po raz drugi.
- Musiałem się orzeźwić. Źle spałem.
- Ja też. Mówiłeś, że jesteś niewiarygodnie zmęczony dodała.
- Rzeczywiście byłem zmęczony.
- Ale o pierwszej w nocy jeszcze nie spałeś. Karol odwrócił się raptownie do okna.
- Musiałem dużo rzeczy przemyśleć.

Ton Ernestyny w tej dość oziębłej rozmowie dowodził, że za dnia niezbyt się jej udało dotrzymać nocnych obietnic i przysiąg. Pomijając sprawę przechadzki, wiedziała też za pośrednictwem Sama, Mary i zdziwionej ciotki Tranter, że Karol zamierza tego dnia wyjechać z Lyme. Postanowiła nie pytać o powody tej nagłej zmiany planów — niech jego wysokość poda je, kiedy sam uzna za stosowne.

Ponadto, kiedy wreszcie przyszedł tuż przed jedenastą, a ona czekała siedząc sztywno wyprostowana w saloniku, był tak niedobry, że długo rozmawiał w holu z ciotką Tranter, i co gorsza półgłosem. Wszystko się więc w Ernestynie gotowało.

Najbardziej ją może złościło, że ubrała się tego ranka ze szczególną starannością, a on nie powiedział jej żadnego komplementu. Miała na sobie różową suknię „śniadaniową” z biskupimi rękawkami — obcisłymi pod pachami, potem spływającymi pianistym obłokiem szyfonu i zebranych w przegubach rąk. Suknia ślicznie podkreślała kruchość Ernestyny, a białe wstążki w gładko uczesanych włosach i delikatna woń wody lawendowej odgrywały również niepoślednią rolę. Była cukierkową Afrodytą — wprawdzie z lekko podkrążonymi oczami — co wstała z białych fal pościeli. Karolowi łatwo było zapewne o dość okrutne porównanie. Zdobył się jednak na uśmiech usiadł przy Ernestynie, ujął jej rękę i pogłaskał.

— Najdroższa, muszę błagać o wybaczenie. Jestem dzisiaj nieswój. Poza tym doszedłem niestety do wniosku, że muszę jechać do Londynu.

— O, Karolu!

— Żałuję bardzo, ale nowy obrót spraw każe mi zobaczyć się natychmiast z panem Montague.

— Montague w owych czasach, gdy jeszcze nie było księgowych, był radcą prawnym, który prowadził interesy Karola.

— Nie możesz poczekać, aż ja też wrócę do Londynu? To już tylko dziesięć dni.

— Przyjadę, żeby cię zawieźć z powrotem.

— Ale czy pan Montague nie może przyjechać tutaj?

— Niestety nie, tyle jest spraw i papierzysk. Poza tym to nie jest jedyny cel mojego wyjazdu. Muszę zawiadomić twojego ojca o tym, co się stało.

Ernestyna zdjęła rękę z jego ramienia.

— Ależ to go przecież nie dotyczy?

— Dziecino kochana, dotyczy go jak najbardziej. Powierzył cię mojej opiece. Tak radykalna zmiana moich perspektyw...

— Ależ masz nadal własne dochody!

— No... naturalnie, zawsze będę niezłe sytuowany. Ale są inne sprawy. Tytuł...

— Zapomniałam o tym. Oczywiście. Niepodobieństwem jest, żebym wyszła za mąż za jakiegoś prostaka. — Ernestyna spojrzała na Karola z należyтым sarkazmem.

— Najmilsza moja, bądź cierpliwa. Trzeba to powiedzieć wyraźnie: wnosisz w posagu duże pieniądze. Zapewne, nasze osobiste uczucia są względem najważniejszym. Jednakże małżeństwo ma także stronę prawną, jest swego rodzaju umową, więc...

— Bzdury!

— Ależ kochana Tino!

— Wiesz doskonale, że rodzice pozwoliliby mi wyjść nawet za Hotentota, gdybym tylko zechciała.

— Bardzo możliwe. Ale najbardziej nawet kochający rodzice wolą, aby ich powiadomiono...

— Ile pokoi ma dom przy Belgravia Square?

— Nie mam pojęcia. — Po chwili namysłu dodał: — Chyba dwadzieścia.

— I mówiłeś kiedyś, że masz dwa i pół tysiąca rocznie. Do tego mój posag przyniesie...

— Tu nie chodzi o to, czy mimo zmiany warunków wystarczy nam na beztróskie życie.

— No dobrze. Przypuśćmy, że papa powie ci, że nie możesz się ze mną ożenić? Co wtedy?

— Doprawdy rozmyślnie nie chcesz mnie zrozumieć. Znam swoje obowiązki. W takich sytuacjach wskazana jest najdalej idąca skrupulatność.

W trakcie tej rozmowy oboje nie śmieli spojrzeć sobie w oczy. Ernestyna spuściła głowę, dając wyraźnie a buntowniczo do zrozumienia, że się z nim nie zgadza. Karol wstał i stanął za jej plecami.

— To tylko formalność. Ale takie formalności mają duże znaczenie.

Ernestyna uparcie patrzyła w ziemię.

— Mam dosyć Lymy. Widuję cię tu rzadziej niż w mieście. Karol uśmiechnął się.

— Co też ty mówisz.

— Przynajmniej tak mi się wydaje.

Usteczka jej zacisnęły się w wyrazie nadąsania. Karol widział, że panna nie da się udobruchać. Przeszedł przez pokój i stanął przy kominku, opierając się ramieniem o marmurowy gzyms. Uśmiechał się do niej, ale uśmiech ten pozbawiony był wesołości, był maską. Karol nie lubił Ernestyny w jej przekornych chwilach, kontrastowały one zbyt jaskrawo z wykwintnymi strojami, których krój podkreślał, że nadają się tylko do noszenia we wnętrzach domów. Wprawdzie okropna pani Bloomer, propagując wygodne ubranie, wbiła cieniutki czubek klina w zatwardziałe poglądy dobrego towarzystwa o półtorej dekady przed rokiem, o którym piszę, lecz owa przedwczesna próba wprowadzenia spodni dla kobiet została całkowicie pokonana przez krynolinę — fakt drobny, lecz znamieny, gdy chodzi o to, abyśmy lepiej rozumieli wiktoriańców. Zaproponowano im rzecz rozsądną, wybrali zaś szerokie na sześć stóp wariactwo, niemające sobie równych w najbardziej zwariowanej gałęzi sztuki stosowanej.

Jednakże w milczeniu, które nastąpiło, Karol nie zastanawiał się nad idiotyzmem *haute couture*, lecz nad tym, jak tu odejść bez dalszych kontrowersji. Na szczęście dla niego Tina równocześnie snuła refleksje na temat swojej pozycji — koniec końców było to trochę w stylu pokojówki (ciotka Tranter wytłumaczyła siostrzenicy, dlaczego Mary rano nie przyszła na dzwonek) robić tyle hałasu o krótką nieobecność narzeczonego. Poza tym męska próżność domaga się posłuszeństwa, kobieca robi z posłuszeństwa użytek, aby odnieść ostateczne zwycięstwo. Przyjdzie czas, kiedy Karol będzie musiał zapłacić za swe okrucieństwo. Toteż Ernestyna podniosła na Karola oczy i uśmiechnęła się z wyrazem skruchy.

— Będziesz pisał codziennie?

Wyciągnął rękę i dotknął jej policzka.

— Przyrzekam.

- I wrócisz najprędzej, jak będziesz mógł?
- Skoro tylko załatwię sprawy z panem Montague.
- Napiszę do papy i wydam rozkaz, żeby cię natychmiast odesłał z powrotem.

Karol skorzystał ze sposobności.

- A ja zawiozę list, jeżeli zaraz go napiszesz. Wyjeżdżam za godzinę.

Ernestyna wstała i wyciągnęła do niego ręce. Chciała, żeby ją pocałował, ale on nie mógł się zmusić do pocałowania jej w usta. Chwytał więc ją za ramiona i złożył leciutki pocałunek na każdej skroni. Potem ruszył ku drzwiom. Naraz jednak z jakiegoś dziwnego powodu stanął jak wryty. Ernestyna spoglądała skromnie i potulnie przed siebie — na jego granatowy krawat i wpiętą w niego szpilkę z perłą. Na pierwszy rzut oka trudno było dostrzec, dlaczego Karol nie może wyjść, w rzeczywistości jednak dwie rączki trzymały się mocno dolnych kieszeni jego kamizelki. Zrozumiał, jaka jest cena wyzwolenia, i zapłacił ją. Nie padły żadne słowa, nie rozległ się łoskot wewnętrzny, ciemności nie spowiły mu całunem oczu i uszu, gdy stał przez kilka sekund, przyciskając usta do jej ust. Ernestyna była bardzo ładnie ubrana, więc wizja, a może raczej dotykalne wrażenie delikatnego białego ciała, przemknęła Karolowi przez myśl. Tina obróciła głowę ku jego ramieniu, cała się do niego przytuliła, a gdy ją pogłaskał i wyszeptał kilka pieśczętliwych słów, ogarnęło go nagle straszliwe zakłopotanie. W okolicy łędźwi coś wyraźnie się poruszyło. Znał od dawna humory Ernestyny, jej dziwaczne dąsy i kapryśne wybuchy uczucia, zapowiedź ukrytego temperamentu... gotowość poznania perwersji, pełnego lęku i zachwyty zatopienia ząbków w zakazanym owocu. Podświadomie Karol być może odczuł tylko siłę przyciągania płytkich, niemądrych kobiet — można z nich zrobić, co się chce. Świadomie jednak doznał uczucia zbrukania — jak może teraz odczuwać cielesne pożądanie, gdy tego ranka dotykał ust innej kobiety!

Półspiesznie ucałował Ernestynę w czubek głowy, delikatnie odczepił jej palce od swoich kieszeni, ucałował z kolei te palce i wyszedł.

Czekała go jeszcze jedna przeprawa, ponieważ przy drzwiach stała Mary, trzymając kapelusz i rękawiczki. Oczy miała spuszczone, ale policzki mocno zaczerwienione. Naciągając rękawiczki, Karol obejrzał się na zamknięte drzwi pokoju, z którego wyszedł.

- Sam wytłumaczył, co to było dzisiaj rano?

— Tak, proszę pana.

— Pani... rozumie?

— Tak, proszę pana.

Zdjął znów rękawiczkę i poszukał w kieszeni kamizelki. Mary nie cofnęła się, tylko jeszcze niżej pochyliła głowę.

- Och, proszę pana, ja tego wcale nie chcę.

Miała to już jednak w ręce. W chwilę później zamknęła za Karolem drzwi frontowe. Bardzo wolno rozwarła swoją małą i niestety dość czerwoną — dłoń i przyjrzała się leżącej na niej złotej monetce. Potem włożyła monetkę między białe zęby i przygryzła ją, jak robił zawsze jej ojciec, żeby się upewnić, że to nie miedź. Mary wprawdzie nie potrafiłaby odróżnić złota od miedzi, ale sama czynność gryzienia stanowiła dowód, że to rzeczywiście jest złoto, podobnie jak samo przebywanie na skarpie stanowiło dowód grzechu.

Co może niewinna dziewczyna wiejska wiedzieć o grzechu? Pytanie to wymaga odpowiedzi. Tymczasem Karol może bez nas pojechać do Londynu.

W tobie jedyna moja moc
 Słodkiego trwania tutaj.
 Thomas Hardy, *Her Immortality*

Wiele dziewcząt w wieku od lat 14 a nawet 13, do 17, będących w ciąży przyprowadzano do infirmerii na odbycie położu. Dziewczęta stwierdzały, że ich upadek nastąpił w drodze do pracy lub z pracy (na polu). Dziewczęta i chłopcy w tym wieku przebywają do pracy pięć, sześć lub siedem mil, idąc gromadą po szosach i bocznych drogach. Sam byłem świadkiem wielkich nieskromności między chłopcami i dziewczętami w wieku od 14 do 16 lat. Widziałem raz, jak pięciu czy sześciu chłopców niewoliło przy drodze młodziutką dziewczynę. Inne starsze osoby znajdowały się w odległości około 20 lub 30 jardów, lecz nie zwracały na tę scenę uwagi. Dziewczyna wołała o pomoc, co sprawiło, że się zatrzymałem. Widziałem również chłopców kąpiących się w strumieniach, dziewczynki zaś w wieku od 13 do 19 lat patrzyły na to z brzegu.

Raport Komisji Badającej Sprawę Zatrudnienia Dzieci (1867)

Co napotyamy w wieku dziewiętnastym? Epokę, gdy kobieta była świętością i gdy można było kupić trzynastoletnią dziewczynkę za dwa funty — za dwa szylingi, jeżeli chciało się ją mieć tylko na godzinę lub dwie. Gdy zbudowano więcej kościołów niż w ciągu całych dotychczasowych dziejów Wielkiej Brytanii i gdy co sześćdziesiąty dom w Londynie był domem publicznym (obecny stosunek bliższy byłby jednego do sześciu tysięcy). Gdy świętość małżeństwa (i czystość przedmałżeńską) głoszone z każdej ambony, w każdym artykule wstępnym, w każdej publicznej wypowiedzi i gdy największa chyba albo prawie największa w dziejach liczba osób na świeczniku pędziła gorszące życie prywatne. Gdy system penitencjarny zreformowano w sposób postępowy, a chłosta była zjawiskiem tak nagminnym, że pewien Francuz starał się z całą powagą udowodnić, iż markiz de Sade musiał być pochodzenia angielskiego. Gdy ciało kobiece ukryte było całkowicie przed wzrokiem ludzkim i gdy rzeźbiarza sądzono tylko według jego umiejętności rzeźbienia nagich kobiet. Gdy nie było ani jednej wybitniejszej powieści, sztuki lub wiersza, które by w scenach miłosnych posunęły się poza pocałunek, gdy dr Bowler* *[Tomasz B o w l e r w roku 1818 dał światu wydanie dzieł Szekspira, w którym to wydaniu „nie dodano nic do oryginalnego tekstu, lecz opuszczono słowa i zwroty, których obyczajność nie pozwalała czytać na głos w gronie rodzinnym”] (data jego śmierci, 1825 rok, przypomina nam, że ideały wiktoriańskie istniały już na długo przed początkiem stulecia) uważany był za dobroczyńcę ogółu i gdy wydano nieprzekroczoną dotychczas liczbę publikacji pornograficznych. Gdy nie wolno było wspomnieć słowem o funkcjach fizjologicznych i gdy by urządzenia sanitarne były tak prymitywne — toaleta z rezerwuarem spłukującym wprowadzona została pod koniec stulecia i aż do 1900 roku pozostawała wielkim zbytkiem — że niewiele trafiało się domów i niewiele ulic, gdzie nie czuło się ustawicznie fetoru. Gdy utrzymywano powszechnie, że kobiety nie miewają orgazmu, a jednak każdą prostytutkę uczono, żeby go symulowała. Gdy odczuwało się wielki postęp i dążenie do wolności we wszystkich innych dziedzinach działalności ludzkiej, lecz nie prócz tyranii w dziedzinach najbardziej osobistych i zasadniczych.

Na pierwszy rzut oka odpowiedź wydaje się prosta — jest to sprawa sublimacji. Wiktorianie wyładowywali swoje libido w tamtych, innych dziedzinach, jak gdyby rozleniwiony duch ewolucji powiedział sobie: potrzebny nam jest postęp, ustawmy więc tamę, skierujmy ten wielki nurt w odpowiednią stronę i zobaczymy, co z tego wyniknie.

Przyznając częściowo słuszność teorii sublimacji, zastanawiam się czasem, czy nie prowadzi nas ona do błędnego przypuszczenia, że wiktorianie byli w gruncie rzeczy niezbyt zmysłowi. Ależ byli równie zmysłowi, jak my — i mimo faktu, że narzuca się nam seks we dnie i w nocy (jak niegdyś religię wiktorianom), sprawy seksualne zaprzętały im myśli znacznie bardziej niż nam. Bez wątplenia interesowali się ogromnie miłością i poświęcali jej w sztuce znacznie więcej miejsca niż my. Przy tym ani Malthus, ani brak środków antykoncepcyjnych¹ nie tłumaczy dostatecznie faktu, że rozmnażali się jak króliki i wielbili płodność znacznie goręcej, aniżeli my ją wielbimy. Nasz wiek wprawdzie nie ustępuje wiekowi dziewiętnastemu, jeśli chodzi o postęp i dążenie do wolności, nie możemy jednak twierdzić, że to dlatego, iż mamy tak wielkie zapasy sublimowanej energii, którą trzeba jakoś zużytkować. Spotykam się czasem z poglądem, że „rozpustne lata dziewięćdziesiąte” były reakcją na długie dekady abstynencji, otóż ja sądzę, że było to po prostu ujawnienie czegoś, co dotychczas ukrywano, i podejrzewam, iż w istocie rzeczy mamy do czynienia z ludzką wielkością stałą — różnica polega na słownictwie, na rodzaju metafory.

Wiktorianie uważali za właściwe traktować poważnie dziedzinę życia, którą my traktujemy dość lekko, a dawali wyraz swej powadze, pokrywając milczeniem sprawy seksualne, podobnie jak my wyrażamy swój stosunek do tych spraw w sposób wręcz odwrotny. Jednak te „sposoby” wyrażania są przecież ściśle umowne. Kryjące się pod nimi fakty pozostają niezienne.

Sądzę też, że popełnia się ogólnie jeszcze jeden błąd: stawia się mianowicie znak równania między wysokim stopniem ignorancji seksualnej a niskim stopniem seksualnej rozkoszy. Nie ulega dla mnie wątpliwości, że gdy usta Karola i Sary zetknęły się, żadna ze stron nie wykazała się zbyt wielkim kunsztem miłosnym, nie wyciągałbym jednak stąd wniosku o braku podniecenia seksualnego. W każdym razie znacznie ciekawszy jest stosunek matematyczny między pożądaniem a możliwością jego zaspokojenia. Tutaj znów moglibyśmy sądzić, że nasza sytuacja jest nieporównanie lepsza od sytuacji naszych pradziadków. Jednakże pożądanie uzależnione jest od tego, jak często się je budzi — nasz świat spędza moc czasu na zachęcaniu nas do kopulacji, gdy tymczasem rzeczywistość równie usilnie stara się nas sfrustrować. Nie jesteśmy aż tak sfrustrowani jak wiktorianie? Być może. Ale jeżeli człowiek jest w stanie zjeść tylko jedno jabłko dziennie, z pewnością nie powinien mieszkać w sadzie pełnym jabłoni — kto wie, może jabłka będą mu znacznie bardziej smakowały, gdy dostanie tylko jedno na tydzień.

Wydaje się więc rzeczą bardzo prawdopodobną, że Wiktorianie doznawali znacznie większej, bo rzadziej doświadczanej rozkoszy seksualnej aniżeli my, i że doskonale zdawali sobie z tego sprawę, wobec czego wybrali konwencję hamowania, tłumienia i przemilczania, aby rozkosz ta nie straciła na ostrości. Można by nawet rzec, iż wystawiając na widok publiczny to, co oni zaliczali do sfery najintymniejszej, staliśmy się stuleciem bardziej wiktoriańskim — w pejoratywnym znaczeniu tego słowa — niwecząc bowiem znaczną część tajemniczości, przeszkód, aury spraw zakazanych, zniweczyliśmy też znaczną, część rozkoszy. Oczywiście nie można mierzyć porównawczo stopnia rozkoszy, ale może to lepiej dla nas niż dla wiktorianów, że nie można. Przy tym ich system dawał im premię w postaci nadwyżek energii. Owa zagadkowość, owa przepaść między mężczyznami i kobietami, która tak niepokoiła Karola, kiedy Sara usiłowała ją zmniejszyć, bez wątplenia była źródłem większej siły, a częstokroć i większej szczerości we wszystkich innych dziedzinach życia.

Snując te rozważania odeszliśmy daleko od Mary, chociaż przypominam sobie teraz, że lubiła ona bardzo jabłka. Jednak Mary nie była wcale niewinną dziewczicą wiejską z tego prostego powodu, że dwa te przymiotniki w jej czasach nie dawały się ze sobą pogodzić. Przyczyn nietrudno dociec.

Przeważająca większość pamiętnikarzy i reporterów w każdej epoce należy do klasy oświeconej, wynikiem zaś tego na przestrzeni dziejów jest swego rodzaju zniekształcenie rzeczywistości, ukazywanej przez mniejszość. Pruderyjny purytyzm, którym obciążamy wiktoriańców i który dość indolentnie przypisujemy wszystkim klasom społeczeństwa wiktoriańskiego, jest w istocie rzeczą ideałem mieszczańskim widzianym oczami mieszczan. Przedstawiciele klasy robotniczej opisywani przez Dickensa są wszyscy bardzo zabawni (lub bardzo wzruszający) i stanowią niezrównany wachlarz groteskowych typów, ale żeby poznać twardą rzeczywistość, musimy zwrócić się gdzie indziej — do Henryka Mayhew* [*Henry Mayhew (1812—1887) — adwokat londyński, współzałożyciel pisma satyrycznego „Punch”, w latach 1861—62 wydał studium socjologiczne w 4 tomach pt. *London Labour and the London Poor.*] do wielkich sprawozdań różnych komisji i tak dalej, zwłaszcza gdy chodzi o seksualną stronę życia tych ludzi, którą Dickens (pod tym względem brakowało mu autentyzmu we własnym życiu) i jego współcześni tak dokładnie wybielili. Pożałowania godnym — ja bym powiedział: godnym uznania, ale mniejsza o to — faktem jest, że niegdysiejsza maksyma „skosztuj, zanim kupisz” (czyli w naszej współczesnej gwarze: stosunki przedmałżeńskie) na angielskiej wsi za czasów wiktoriańskich nie była wyjątkiem lecz regułą. Posłuchajmy, co mówi o tym pewna do dziś żyjąca pani. Urodziła się w roku 1883. Ojciec jej był lekarz Thomasa Hardy’ego.

Życie robotnika rolnego było w dziewiętnastym wieku zupełnie inne niż teraz. W Dorsetshire na przykład wśród wieśniaków poczęcie przed ślubem było czymś najzupełniej normalnym, a ślub odbywał się dopiero wtedy, kiedy ciąża była widoczna... Przyczyną były niskie płace otrzymywane przez robotników i konieczność zapewnienia rodzinie dodatkowych rąk roboczych².

Wkroczyłem teraz w cień, nader rozległy cień wielkiego powieściopisarza, który zaciążył nad opisywaną przeze mnie częścią Anglii. Kiedy przypomnimy sobie, że Hardy pierwszy usiłował zerwać pieczęć nałożoną przez mieszczaństwo wiktoriańskie na domniemaną puszkę Pandory, czyli sprawy seksualne, za fakt niezmiernie interesujący (a z pewnością wręcz paradoksalny) trzeba uznać fanatyzm, z jakim ochraniał pieczęć na życiu seksualnym własnym i bezpośrednich swoich przodków. Oczywiście miał do tego — i miałby do dziś — niezaprzeczone prawo. Jednak niewiele sekretów literackich dochowano tak ściśle, ten bowiem odkryto dopiero w latach pięćdziesiątych dwudziestego wieku. Tajemnica owa, jak również rzeczywisty obraz wiktoriańskiej wsi angielskiej, który usiłuję naszkicować w tym rozdziale, stanowi odpowiedź na słynny zarzut Edmunda Gosse’a* [*Sir Edmund William Gosse (1849—1928) — angielski poeta, krytyk, eseista i biograf]: „Cóż uczyniła Opatrzność nu Hardy’emu, że powstaje na żyznej ziemi Wessex** [**Wessex — średniowieczne królestwo anglosaskie w południowo-zachodniej Anglii. Thomas Hardy w swoich powieściach pod nazwą Wessex rozumie Dorsetshire.] i wygraża pięścią swemu Stwórcy?” Gosse z równą słusnością mógłby pytać, czemu to Atrydzi w Mykenach wygrażają niebu pięściami z brązu.

Nie miejsce tu, aby badać zbyt dokładnie cienie wokół Egdon Heath. Wiadomo tylko, że w 1867 roku Hardy, który miał wtedy dwadzieścia siedem lat, wrócił do Dorsetshire po studiach architektonicznych w Londynie i zakochał się namiętnie w swojej szesnastoletniej kuzynce Tryphenie. Ogłoszono zaręczyny. W pięć lat później z najzupełniej niezrozumiałego powodu zaręczyny zostały zerwane. Choć nie zostało to stwierdzone ponad wszelką wątpliwość, wydaje się teraz rzeczą jasną, że zaręczyny zostały zerwane, ponieważ Hardy odkrył ponurą tajemnicę rodzinną: Tryphena nie była jego kuzynką, lecz nieślubną córką jego przyrodniej siostry z nieprawego łoża. Napomykają o tym liczne wiersze Hardy’ego: *Przy furtce*, *Nie obejrzała się*, *Jej nieśmiertelność*³ i wiele innych, jest zaś rzeczą stwierdzoną, że w rodzinie jego ze strony matki

było kilkoro nieślubnych dzieci. Sam Hardy urodził się „pięć miesięcy od ołtarza”. Zbożni wielbiciele utrzymywali czasem, że zerwał zaręczyny z powodów klasowych — młody i obiecujący mistrz słowa nie mógł wiązać się z prostą dziewczyną z Dorsetshire. Istotnie, ożenił się w roku 1874 z panną, co prawda, z wyższej sfery, ale za to katastrofalnie pozbawioną wszelkiej wrażliwości — z Lawinią Gifford.

Tryphena natomiast była wyjątkową młodą osobą w wieku lat dwudziestu, ukończywszy z piątą lokatą wyższą szkołę nauczycielską w Londynie, została dyrektorką szkoły w Plymouth. Nie może być chyba wątpliwości, że to jakaś straszliwa tajemnica rodzinna kazała im się rozstać. Była to tajemnica w pewnym stopniu pomyślna, nigdy bowiem żaden geniusz angielski nie zawdzięczał wszystkiego jednej muzie i nie był tak oddany. To ona dała nam wszystkie największe elegie miłosne Hardy’ego. To ona dała nam Sue Bridehead i Tessę, portrety duchowe Trypheny, a *Judę nieznanego* Hard w przedmowie poświęcił nawet Tryphenie, nie wymieniając jej wprawdzie z imienia — „Plan powieści powstał w 1890 roku... niektóre zaś okoliczności podsunęła śmierć pewnej kobiety... Tryphena, która była już wtedy żoną innego, umarła właśnie w tym roku.

Napięcie tedy między żądzą a wyrzeczeniem, ustawicznym wspomnianiem a ustawicznym tłumieniem wspomnień, lirycznym poddaniem się a tragicznym obowiązkiem, między plugawymi faktami a robionym z nich wzniosłym użytkiem jest motorem działania, a zarazem wyjaśnia istotę jednego z największych pisarzy epoki, co więcej, odsłania strukturę całej owej epoki. Pozwoliłem sobie na dygresję, aby państwu o tym przypomnieć.

Powróćmy więc do naszych baranów. Domyślili się już państwo zapewne, czemu Sam i Mary szli do stodoły, a ponieważ szli tam nie po raz pierwszy, chyba orientują się państwo, czemu Mary płakała... i czemu wiedziała o grzechu nieco więcej, niżby można przypuszczać na widok jej dziewiętnastoletniej twarzy, albo — gdyby się przejeżdżało przez Dorchester później tego samego roku — niżby można sądzić z twarzy dziewczyny bardziej wykształconej, choć o trzy lata młodszej, dziewczyny z realnego świata, która stoi, na wieki już teraz nieprzenikniona, u boku bladego młodego architekta, co wrócił po pięciu gorzkich latach spędzonych w stolicy, a która ma zostać („aż płomień pożre jej piersi, i usta, i włosy”) doskonałym symbolem największej zagadki w dziejach.

¹[Pierwsze prezerwatywy (z kiszek bydlęcych) zaczęto sprzedawać pod koniec osiemnastego wieku. Malthus — właśnie on — potępił środki antykoncepcyjne jako „nieprzystojne”, lecz szersze zainteresowanie nimi rozpoczęło się w latach dwudziestych XIX wieku. Pierwszą pracą zbliżoną do nowoczesnego „poradnika małżeńskiego była książka doktora George’a Drysdale’a pod nieco okólnym tytułem: *Elementy wiedzy społecznej albo religia fizyczna, seksualna i naturalna. Odsłonięcie prawdziwej przyczyny zła i jedynie skutecznego leku na trzy główne bóle: nędzę, prostytucję i celibat*. Książka ukazała się w 1845 r., była czytana przez szerokie rzesze i tłumaczona wiele języków.]

²[Dodatkową przyczyną ekonomiczną był szatański system płacenia wszystkim nieżonatym mężczyznom — mimo że wykonywali taką samą pracę — połowy tego, co dostawał mężczyzna żonaty. Wspaniała ta metoda, zapewniająca pracodawcom siłę roboczą — kosztem, o którym mowa niżej — zanikła dopiero wraz z wprowadzeniem do powszechnego użytku maszyn rolniczych. Należy dodać, że hrabstwo Dorsetshire, ojczyzna męczenników z Tolpuddle, znane było jako obszar wiejski, na którym uprawiano największy wyzysk robotników rolnych w Anglii.

Oto, co w tym samym roku 1867 pisze wielbny James Fraser: „Skromność musi być cnotą nieznaną, przyzwoitość czymś nie do wyobrażenia tam, gdzie w jednej małej izdebce z podłogą pokrytą posłaniami upchanymi jedno przy drugim, ojciec, matka, młodzi mężczyźni, chłopcy, dorosłe i dorastające dziewczęta — dwa, a czasem trzy pokolenia stłoczone są razem bez względu na płeć i wiek; gdzie wszelkie zabiegi toaletowe i funkcje

fizjologiczne, ubieranie się, rozbieranie, narodziny, śmierć — odbywają się w oczach wszystkich; gdzie atmosfera przesycona jest zmysłowością, a naturę ludzką zepchnięto poniżej poziomu właściwego wieprzom... Kazirodstwo jest zjawiskiem nagminnym. Narzekamy na rozwiązłość przedmałżeńską naszych kobiet, na ordynarną mowę i złe prowadzenie się dziewcząt pracujących na roli, na łatwość, z jaką dziewice wyzbywają się wianka, na to, że zbyt rzadko krew ojca lub brata zawrze gniewem i wstydem tutaj, w ciasnocie czworaków, znajdziemy dostateczne wytłumaczenie i historię całego zła...”

A za tym wszystkim majaczyły posępniejsze jeszcze upiory, znane w każdym getcie od zarania dziejów: skrofuły, cholera, tyfus endemiczny i gruźlica.]

³[Nie największy, lecz w tym kontekście najbardziej dający do myślenia wiersz, jaki Hardy kiedykolwiek napisał. Pierwsza wersja pochodzi zapewne z 1897 r.— Gosse zadał swoje kluczowe pytanie w recenzji z powieści *Juda nieznan*y w styczniu 1896 r.]

36

Lecz na jej czole ogień błądzi:
 Spręza się śmiało w gotowości
 I skacze w przyszłe możliwości,
 Poddając wszystko swojej żądzy.
 Alfred Tennyson, *In Memoriam* (1850)

Exeter przed stu laty znajdowało się znacznie dalej od stolicy niż dzisiaj, przeto dbało jeszcze we własnym zakresie o grzeszne uciechy, po które obecnie cała Wielka Brytania jeździ tłumnie do Londynu. Przesadą byłoby rzec, że miasto w 1867 roku posiadało określony dystrykt czerwonych latarni, w każdym jednak razie miało zdecydowanie podejrzaną dzielnicę, położoną z dala od centrum i od puryfikującego wpływu katedry. Zajmowała ona część miasta schodzącą na dół ku rzece, gdzie niegdyś (w 1867 roku czasy te dawno już minęły) znajdował się duży port, serce życia miejskiego. Stanowiła istne mrowisko ciasnych, cuchnących, przeludnionych uliczek, przy których stało jeszcze sporo domów z czasów Tudorów. Były tu lupanary, sale tańca i szynki, ale najczęściej spotykało się mniej lub bardziej zagubione dziewczęta i kobiety — niezamężne matki, kochanki, całą populację ratującą się ucieczką z klaustrofobicznych wiosek i miasteczek Devonu. Słowem, było to swego rodzaju schronienie, pełne tanich domów noclegowych i zajazdów na wzór owego zajazdu w Weymouth, opisanego przez Sarę — bezpiecznych kryjówek przed falą purytanizmu, która w ostatnich czasach załała cały kraj.

Exeter nie stanowiło w tym względzie wyjątku: wszystkie większe prowincjonalne miasta musiały w owym czasie znaleźć miejsce dla nieszczęśliwej armii kobiet, rannych w bitwie o powszechną czystość męską.

Przy jednej ze spadzistych ulic na skraju tej dzielnicy zwarty szereg domów jednorodzinnych w stylu georgiańskim. Kiedy je zbudowano, roztaczał się z nich bez wątpienia ładny widok na rzekę. Z czasem jednak rozrastające się magazyny portowe zasłoniły widok i pięknym domom zrzędła mina. Z framug okiennych odpadła farba, dachom brakowało dachówek, drzwi wyszczerbiły się i popękały. Jeden lub dwa budynki nadal pełniły funkcje rezydencji prywatnych, natomiast środkowy zestaw pięciu kamienic, ujednolicony niechlujną a bluźnierczą warstwą brudno-brązowej farby nałożonej na pierwotną cegłę, stał się, jak głosił długi drewniany szyld nad środkowym z pięciu wejść, hotelem — mówiąc ściśle, „Hotelem Rodzinnym”. Właścicielką jego i zarządzającą (o czym również informował przechodniów drewniany szyld) była pani Marta Endicott, a główną jej cechą charakterystyczną stanowił całkowity brak ciekawości co do proveniencji i moralności klienteli. Jako rdzenna i typowa mieszkanka Devonshire nie dostrzegała ona w ogóle kandydatów na gości, lecz jedynie pieniądze, które miał przynieść ich pobyt. Odpowiednio też klasyfikowała tych, co wchodzili do małego kantoru przy holu: dziesięć szylingów, dwanaście szylingów, piętnaście szylingów, i tak dalej, przy czym sumy te reprezentowały tygodniową opłatę. Niechże tylko nasi współcześni, przyzwyczajeni do tego, że każde dotknięcie dzwonka w dzisiejszym hotelu wyrywa im z kieszeni piętnaście szylingów, nie sądzą, że hotel pani Endicott był tani. Normalne komorne za domek wiejski w owych czasach wynosiło szylinga, co najwyżej zaś dwa szylingi tygodniowo. W samym Exeter można było wynająć bardzo ładny domek za sześć lub siedem szylingów, toteż dziesięć szylingów tygodniowo za najtańszy pokój stawiało „Hotel Rodzinny” wprawdzie bez żadnego widocznego usprawiedliwienia prócz chciwości właścicielki — w rzędzie hoteli ekskluzywnych.

Jest szary wieczór, zapada noc. Latarnik swym długim pałakiem rozjaśnił już na chodniku naprzeciw dwie latarnie gazowe, oświetlające chropowate mury magazynu. W pokojach hotelowych pali się już tu i ówdzie światło, jaśniejsze na parterze, bardziej przymglone na górze, gdyż prowadzenie rur gazowych na górne piętra uważane jest w większości domów wiktoriańskich za zbyt kosztowne, używa się więc tam nadal lamp naftowych. Przez jedno z parterowych okien przy głównym wejściu można zobaczyć panią Endicott we własnej osobie, siedzącą przy stoliku obok kominka nad swoją Biblią — innymi słowy, nad księgą rachunkową. Jeżeli zaś prowadzimy ukośną linię od tego okna do innego w ostatnim domu na prawo, ciemnego okna na najwyższym piętrze, którego bordowe zasłony nie są jeszcze zaciągnięte, możemy z trudem dojrzeć okaz apartamentu za dwanaście i pół szylinga.

Są to w istocie dwa pokoiki, mała bawialnia i jeszcze mniejsza sypialnia, obydwie wykrojone z jednego przyzwoitej wielkości pokoju georgiańskiego. Ściany okrywa tapeta w nieokreślony desień z ciemnobrunatnych drobnych kwiatków. Jest tu zniszczony dywan, okrągły, trójnogi stół przykryty serwetą ciemnozielonego rypsu, na której rogach ktoś próbował niegdyś — najwyraźniej po raz pierwszy w życiu — uczyć się haftu, dwa niezgrabne, rzeźbione fotele, obite strudzonym fioletowym aksamitem, brązowa, mahoniowa komoda. Na ścianie wisi wyrudziały sztych Karola Wesleya i bardzo zła akwarela przedstawiająca katedrę w Exeter — przed laty niechętnie przyjęta przez właścicielkę w charakterze częściowej zapłaty od pewnej pani, która znalazła się w trudnych warunkach materialnych.

Pomijając przybory, jak pogrzebacz, szczypcy, szufelka i temu podobne, przy kracie kominka, na którym w tej chwili żarzyła się tylko garść węgla, był to cały inwentarz pokoju. Ratował go jeden tylko drobny szczegół: biały, marmurowy fryz nad kominkiem, georgiański, z wdzięcznymi nimfami trzymającymi rogi obfitości pełne kwiatów. Być może klasyczne twarze nimf zawsze nosiły wyraz lekkiego zdziwienia, w każdym zaś razie nosiły go teraz na widok okropnych zmian, jakich marne sto lat może dokonać w kulturze narodu. Nimfy, urodzone w wesołym pokoju wykładanym sosnową boazerią, znalazły się teraz w posępnej celi więziennej.

Jeżeli były do tego zdolne, z pewnością odetchnęły z ulgą, kiedy drzwi się otworzyły i na progu ukazała się sylwetka nieobecnej dotychczas lokatorki. Ten dziwnie skrojony płaszcz, ten czarny kapturek, ta suknia koloru indygo z białym kołnierzykiem... ale Sara energicznie, niemal ochoczo weszła do środka.

Mieszkała w „Hotelu Rodzinnym” pani Endicott od kilku dni powiedz na to, jak tu trafiła, była prosta. Odpowiedz na to, jak tu trafiła, była prosta. Nazwa hotelu stanowiła ulubiony przedmiot żartów na pensji, na której Sara uczyła się ongiś w Exeter — mawiano, że rodzina pani Endicott musi być tak liczna, iż potrzeba jej całego hotelu tylko dla siebie.

Po przyjeździe Sara znalazła się przy ekspedycji towarowej, gdzie omnibusy z Dorchester kończyły swój kurs. Kufer czekał na nią; przybył już poprzedniego dnia. Tragarz zapytał dokąd się Sara udaje. Na chwilę ogarnęło ją przerażenie. Nie przychodziło jej na myśl nic prócz owego żartu, który pamiętała przez mgłę. Wyraz twarzy tragarza, kiedy usłyszał nazwę powiedział Sarze, że musiała wybrać nie najlepszy hotel w Exeter. Tragarz bez sprzeciwu jednak dźwignął na plecy kufer, poszła więc za nim przez miasto do dzielnicy, która już opisałem. Wygląd hotelu nie wzbudził w niej zachwytu — we wspomnieniach (choć widziała go tylko raz) był przyjemniejszy, przyzwoitszy, bardziej gościnny... ale trudno, żebracy nie mogą grymasić. Ponadto, jak stwierdziła z ulgą, fakt, że jest kobietą samotną, nie wywołał żadnych komentarzy. Zapłaciła za tydzień z góry, co było najwidoczniej dostateczną rekomendacją. Zamierzała wziąć najtańszy pokój, ale gdy się dowiedziała, że za dziesięć szylingów może dostać tylko jedną izbę natomiast półtorej izby za dodatkowe dwa i pół szylinga zmieniła zamiar.

Weszła szybko do pokoju i zamknęła drzwi. Zapaliła zapałkę, przytknęła ją do knota lampy, po czym nałożyła z powrotem szkło i mleczy abażur, łagodnie rozpraszający mrok. Następnie zerwała z głowy kapturek i charakterystycznym ruchem głowy sprawiła, że włosy rozsypały się jej po plecach. Postawiła na stole przyniesioną płócienną torbę, a tak jej widać pilno było ją rozpakować, że nie zdjęła nawet płaszcza. Wolno i ostrożnie wyjmowała jeden po drugim owinięte w papier przedmioty i układała je rzędem na zielonej serwecie. Potem odstawiła torbę na podłogę i zabrała się do odpakowywania nabytków.

Zaczęła od imbryczka ze staffordshirskiej porcelany, ozdobionego barwnym obrazkiem przedstawiającym domek nad strumieniem i parę zakochanych (przyjrzała się uważnie zakochanym), potem dzbanuszek typu „Tobiasz”, nie żadną jaskrawo malowaną potworność wiktoriańską, lecz mały majstersztyk w kolorze biało-lilia i bładożółtym. Rysy wesołego grubasa Tobiasza pokrywała prześliczna, niebieskawa glazura — znawcy ceramiki rozpoznaliby tu od razu rękę Ralfa Leigh. Dwa te naczynia kosztowały Sarę dziewięć pensów w sklepie z używaną porcelaną; „Tobiasz” był nadpęknięty i z biegiem czasu miał ulec ponownemu pęknięciu, o czym mogę zaświadczyć, ponieważ sam przed paru laty kupiłem go za sumę znacznie wyższą od trzech pensów, które kazano zapłacić Sarze. W przeciwieństwie do niej uległem czarowi nazwiska Ralfa Leigh. Sarę natomiast znęcił czar uśmiechu „Tobiasza”.

Sara obdarzona była, choć nie mieliśmy jeszcze sposobności o tym się przekonać, poczuciem estetycznym, czy może w grę wchodziła po prostu emocjonalna reakcja na brzydotę

Otoczenia, w którym się znalazła. Nie miała pojęcia o wieku swego małego Tobiaszka”. Doznawała jednak mglistego wrażenia, że dzbanuszek był przez długi czas w użyciu, przeszedł przez wiele rąk... a teraz należy do niej — postawiła go na kominku i wciąż nie zdejmując płaszcza, wpatrywała się w niego z dziecięcą zachłannością, aby nie stracić ani krzty z odczuwanego po raz pierwszy smaku posiadania.

Ze stanu rozmarzenia wyrwał ją odgłos kroków na korytarzu. Rzuciła przelotne, lecz baczne spojrzenie na drzwi. Idący nie zatrzymał się. Sara zdjęła teraz płaszc, poprawiła pogrzebaczem ogień na kominku, potem zawiesiła na kołku szerniały kociołek. Powróciła znów do innych zakupów: paczuszka herbaty, paczuszka cukru, metalowy dzbanuszek mleka, który postawiła obok imbryczka. Wreszcie wzięła pozostałe trzy paczki i poszła do sypialni: łóżko, marmurowa umywalnia, lusterko, smętny skrawek dywanu, to było wszystko.

Uwagę Sary pochłaniały tylko paczki. W pierwszej była koszula nocna. Nie przymierzyła jej, lecz rozłożyła na łóżku, a potem rozwinęła następną paczkę. Był to ciemnozielony wełniany szal ze szmaragdową jedwabną frędzlą. Wyjęła go i trzymała jak w transie — niechybnie przejęta jego ceną, kosztował bowiem znacznie więcej, niż wszystkie inne zakupy razem wzięte. Wreszcie podniosła miękki materiał i przyłożyła do policzka, patrząc jednocześnie na koszulę nocną, a potem pierwszym prawdziwie kobiecym ruchem, na jaki jej pozwoliłem, ujęła pukiel swoich brązowo-rudych włosów i przyłożyła do zielonej wełny. W chwilę później rozprostowała szal — miał przeszło jard szerokości — i zarzuciła go sobie na ramiona. Znów patrzyła chwilę, tym razem na swoje odbicie w lustrze, w końcu zaś wróciła do łóżka i udrapowała szal wokół ramion rozpostartej koszuli nocnej.

Rozwinęła ostatnią, najmniejszą paczuszkę, lecz była to tylko rolka bandażu, którą, zatrzymawszy się po drodze, aby raz jeszcze ogarnąć spojrzeniem zielono—białą kompozycję na łóżku, zaniósła do pierwszego pokoju i schowała do szuflady mahoniowej komody właśnie w chwili, kiedy pokrywka kociołka zaczęła terkotać.

Sakiewka Karola zawierała dziesięć suwerenów i już sam ten fakt — mniejsza o to, co jeszcze mogło wchodzić w grę — wystarczył, aby zmienić stosunek Sary do świata zewnętrznego. Co wieczór, odkąd po raz pierwszy policzyła te dziesięć złotych monet, liczyła je na nowo. Nie jak

skąpiec, lecz jak ktoś, kto znowu i znowu idzie na ten sam film — bo tak nieodparcie pociąga go fabuła, nastrój, niektóre ujęcia...

Po przyjeździe do Exeter przez kilka dni nie wydawała z tego nic, wysuptywała tylko jakieś grosze na utrzymanie a i to tylko ze swoich mizernych oszczędności. Oglądała natomiast wystawy sklepowe: suknie, krzesła, stoły, żywność, wina, setki rzeczy, które przywykła uważać za wrogów, za prześmiewców i szyderców, równych obłudnym mieszkańcom Lyme, którzy unikali jej spojrzenia, kiedy ich mijała, a potem uśmiechali się porozumiewawczo za jej plecami. Dlatego trwało to tak długo nim kupiła imbryczek do herbaty. Można się przecież obyć kociołkiem, a ubóstwo zahartowało ją, przyzwyczało do tego że nic nie posiada, tak gruntownie wytrzebiło z niej chęć kupowania, że niczym żeglarz, co przez długie tygodnie miał tylko pół suchara racji dziennej, nie była teraz w stanie zjeść wszystkiego, co mogła mieć na zawołanie. Nie znaczy to wcale, że czuła się nieszczęśliwa, nic podobnego. Zażywała po prostu pierwszych wakacji w życiu.

Zaparzyła herbatę. Złote płomyki lśniły, odbijając się od wypukłości imbryka. Sara jak gdyby czekała w spokojnym świetle, w potrzaskiwaniu węgla, w tańczących cieniach. Może sądzą państwo, że skoro tak była odmieniona, tak zrównoważona i zadowolona ze swego losu, musiała mieć jakieś wiadomości od Karola lub przynajmniej o Karolu. Nie, ani słowa. A ja nie zamierzam dociekać, co działo się w jej duszy, gdy tak wpatrywała się w ogień, podobnie jak nie dociekałem tamtym razem, kiedy oczy wzbierały jej łzami w ciszy nocnej Marlborough House. Po chwili Sara wyrwała się z zadumy, podeszła do komody i wyjęła z górnego przedziału łyżeczkę i filiżankę bez spodka. Nalała sobie przy stole herbaty, a potem rozwinęła ostatnią paczuszkę. Był to pasztecik z mięsem. Ze zdrowym apetytem zabrała się do jedzenia.

Pompatyczna i sztywna powaga okryła cały świat swym ołowianym płaszczem... i ten wygrywa wyścig, kto zdoła wielbić tę wielką boginię z całkowitym i niepodzielnym oddaniem.

Leslie Stephen, *Szkice z Cambridge* (1865)

...burżuazja... pod groźbą zagłady zniewala wszystkie narody do przyswojenia sobie burżuazyjnego sposobu produkcji, zniewala je do wprowadzenia u siebie tak zwanej cywilizacji, tzn. do stania się burżua. Słowem, stwarza sobie świat na obraz i podobieństwo swoje.

Karol Marks i Fryderyk Engels, *Manifest komunistyczny* (1848)

Długa oficjalna rozmowa Karola z ojcem Ernestyny miała przebieg dużo mniej przyjemny niż pierwsza, chociaż trudno by winić tu pana Freemana. Mimo zdania, jakie w skrytości ducha miał o arystokratkach — mianowicie, że są oni bandą trutni pan Freeman z pozoru przynajmniej był snobem. Podobnie jak dbał o swoje kwitnące interesa, tak też dbał o to, aby zawsze sprawiać wrażenie nieposzlakowanego dżentelmena. Jeśli chodzi o świadomość, przekonany był zresztą, że jest dżentelmenem w każdym calu i chyba tylko w obsesyjnym dążeniu do tego, by się takim wydawać, możemy dopatrzeć się u niego cienia podświadomej wątpliwości.

Nowi bowiem rekruci do wyższej warstwy zamożnego mieszczaństwa znajdowali się w kłopotliwej sytuacji. Wprawdzie

czuli się rekrutami pod względem towarzyskim, lecz zarazem wiedzieli doskonale, że we własnym świecie handlu są potężnymi generałami. Niektórzy (jak pan Jorrocks*) [*Słynna w Anglii postać, stworzona przez Roberta Smitha Surtees (1805—1864), którego humorystyczne szkice o panu Jorrocksie podsunęły wydawcom pierwotny pomysł *Klubu Pickwicka*] wybierali inną odmianę ubarwienia ochronnego, nabywali dobra ziemskie i robili wszystko, żeby się upodobnić do autentycznych ziemian, oddając się z zapałem ich zajęciom i przejmując obyczaje. Inni — jak pan Freeman — starali się stworzyć nową definicję słowa „dżentelmen”. Pan Freeman miał nowo zbudowany dwór w lasach hrabstwa Surrey, ale jego żona i córka jeździły tam znacznie częściej od niego. Był na swój sposób prekursorem współczesnych nam bogaczy dojeżdżających ze wsi do swych biur, z tą różnicą, że spędzał na wsi tylko weekendy, a i to przeważnie w lecie. Przy tym jego współczesny odpowiednik poświęca się zwykle golfowi albo hodowli róż, albo jałowcówce i cudzołóstwu, pan Freeman natomiast za cel swego życia obrał powagę.

Ścisłe biorąc, zysk i powagę (w tej właśnie kolejności) można by uznać za jego dewizę życiową. Wzbogacił się na wielkiej zmianie społeczno—ekonomicznej, która zaszła w latach 1850—1870 — przeniesienie nacisku z fabryki na sklep, z producenta na konsumenta. Pierwsza ta fala wzmożonej konsumpcji uwidoczniła się bardzo korzystnie w księgach buchalteryjnych Freemana, przez wdzięczność więc — a zarazem naśladowując wcześniejszą generację paskarzy—purytanów, którzy również przekładali polowanie na grzeszników nad polowanie na lisy stał się w życiu osobistym nader poważny i pobożny. Podobnie jak niektórzy współcześni nam potentaci finansowi kolekcjonują dzieła sztuki, powlekając doskonale inwestycje ładniutką patyną filantropii, pan Freeman składał szczodre ofiary na Towarzystwo Szerzenia Wiedzy Chrześcijańskiej i inne tego rodzaju wojujące organizacje religijne. Jego terminatorzy, czeladnicy i subiekci mieszkali według naszych kryteriów w okropnych warunkach i byli bezlitośnie wyzyskiwani, lecz według kryteriów roku 1867 firma Freemana stanowiła przedsiębiorstwo wyjątkowo postępowe, wzorowe nawet. Liczył tedy, że gdy pójdzie do nieba, będzie miał tam poparcie rzeszy uszczęśliwionych pracowników, co przyniesie też korzyści jego spadkobiercom.

Z wyglądu przypominał surowego dyrektora szkoły, a jego przenikliwe szare oczy sprawiały, że pod ich spojrzeniem każdy czuł się jak niezbyt udany okaz manchesterskich wyrobów tekstylnych. Wysłuchał jednakże Karola bez cienia emocji, skinął tylko poważnie głową, kiedy Karol doznał do końca wyjaśnień. Zapadła cisza. Rozmowa odbywała się w gabinecie pana Freemana, w domu przy Hyde Parku. Nic tu nie przywodziło na myśl profesji właściciela. Odpowiednio uroczyste księgi na półkach, popiersie Marka Aureliusza (albo może lorda Palmerstona w kąpielni?), parę dużych, lecz bliżej nieokreślonych sztychów przedstawiających zapusty czy też bitwy — trudno to było ustalić, aczkolwiek udawało im się stworzyć wrażenie jakichś zaczątków ludzkości, bardzo odległych czasów nowożytnych.

Pan Freeman chrząknął i wbił spojrzenie w czerwony i pozłacany safian biurka; zdawało się, że już ma wydać wyrok, ale się najwidoczniej rozmyślił.

— Niespodziewane. Najzupełniej niespodziewane.

Zapadła znów cisza. Karol poczuł naraz irytację pomieszaną z rozbawieniem. Rozumiał już, że czeka go pokaźna dawka ojcowskiej powagi, ponieważ jednak dobrowolnie się na to naraził, mógł tylko cierpieć w milczeniu, które nastąpiło po tej mało zadowalającej odpowiedzi. Reakcja pana Freemana była głębi ducha bardziej reakcją człowieka interesu aniżeli dżentelmena, przede wszystkim bowiem błysnęła mu myśl, że Karol przyszedł prosić o zwiększenie posagu. Pan Freeman mógł sobie oczywiście pozwolić na to bez najmniejszego trudu, ale przeszło go okropne podejrzenie, że Karol wiedział od dawna o planowanym małżeństwie stryja. Nie było dla niego nic gorszego, niż dać się okpić przy poważnej transakcji a ta bądź co bądź dotyczyła obiektu, który cenił najwyżej w świecie.

Karol wreszcie przerwał milczenie.

— Nie potrzebuję chyba dodawać, że decyzja mojego stryja dla mnie również jest kompletną niespodzianką.

— Naturalnie, naturalnie.

— Poczytywałem sobie wszakże za obowiązek powiadomić pana o niej natychmiast, i to osobiście.

— Postąpiłeś jak najwłaściwiej. A czy Ernestyna... już wie?

Jej pierwszej powiedziałem. Pozostaje oczywiście pod wpływem uczuć, którymi raczyła mnie zaszczyścić. — Karol urwał i sięgnął do kieszeni. — Przywożę panu list od niej.

Wstał i położył list na biurku. Pan Freeman przeniósł na list uporczywe spojrzenie swoich przenikliwych szarych oczu, najwyraźniej myśląc o czym innym.

— Masz nadal niemałe własne dochody, prawda?

— Nie będę udawał, że znalazłem się w nędzy.

— Musimy dodać do tego możliwość, że los nie będzie tak łaskawy dla twojego stryja, aby obdarzyć go następcą?

— Tak jest.

— I pewność, że Ernestyna wniesie ci odpowiednie wiano?

— Jest pan niezmiernie wspaniałomyślny.

— A nastąpi też dzień, kiedy ja odejdę na wieczny spoczynek.

— Drogi panie, ja...

Dżentelmen zwyciężył. Pan Freeman wstał.

— W cztery oczy możemy to sobie powiedzieć. Będę z tobą bardzo szczerzy, drogi Karolu. Najważniejszą sprawą dla mnie jest szczęście mojej córki. Ale nie potrzeba chyba przypominać jaką partię stanowi ona pod względem finansowym. Gdyś prosił, abym ci pozwolił starać się o jej rękę, najistotniejszą twoją rekomendacją była dla mnie pewność, że związek ten oparty będzie na wzajemnym szacunku i wzajemnym porozumieniu. Mam twoje zapewnienie, że zmiana sytuacji

spadła na ciebie jak grom z jasnego nieba. Nikt, kto zna twoją prawosć charakteru, nie może cię posądzać o nieczne pobudki. To jedynie mnie obchodzi.

— Mnie również, proszę pana.

Znów zapadła cisza. Obaj wiedzieli, o czym właściwie mowa — wokół małżeństwa Karola i Ernestyny powstaną teraz złośliwe plotki. Ludzie będą utrzymywali, że Karol jeszcze przed oświadczynami zwęszył utratę sperand, będą się też śmiali z Ernestyny, bo wymyka się jej tytuł, który bez trudu mogła kupić gdzie indziej.

— Powinienem przeczytać list. Zechciej mi wybaczyć. Wziął szczerozłoty nóż do papieru i rozciął kopertę. Karol podszedł do okna i patrzył na drzewa w parku. Dalej, za szeregiem powozów na Bayswater Road, dostrzegł dziewczynę, z wyglądu ekspedientkę lub pokojówkę, czekającą na ławce przed ogrodzeniem. Po króciutkiej chwili nadszedł żołnierz w czerwonym mundurze. Zasalutował — ona się obejrzała. Z tej odległości nie widać było twarzy, ale radosne ożywienie, z jakim się odwróciła, wskazywało wyraźnie, że to para zakochanych. Żołnierz ujął rękę dziewczyny i na sekundę przycisnął do serca. Coś do siebie powiedzieli. Potem ona wsunęła mu rękę pod ramię i ruszyli wolno w kierunku Oxford Street. Karola tak pochłonęła ta scenka, że drgnął, kiedy pan Freeman stanął przy nim z listem w ręce. Uśmiechał się.

— Może powinienem ci przeczytać, co pisze w postscriptum. — Poprawił okulary w srebrnej oprawie. — „Jeżeli choć przez chwilę będziesz słuchał głupstw, które plecie Karol zmuszę go, żeby uciekł ze mną do Paryża.” — Pan Freeman spojrział na Karola z żartobliwą konsternacją. — Wygląda na to że nie mamy wyboru.

Karol uśmiechnął się z przymusem.

— Ale gdyby życzył pan sobie mieć czas do namysłu...

Pa Freeman położył skrupulantowi rękę na ramieniu.

— Napisze jej, że jak się okazało, jej przyszły jest bardziej godzien podziwu w chwilach niepowodzenia niż pomyślności. I sądzę, że im prędzej powrócisz do Lyme, tym lepiej. — Wyświadcza mi pan wielką przysługę.

— Wyświadczasz mi jeszcze większą, dając mojej córce tyle szczęścia. Nie cały jej list utrzymany jest w tak lekkim tonie. — Ujął Karola pod ramię i poprowadził na środek pokoju. — I mój drogi Karolu... — zwrot ten wyraźnie sprawiał panu Freemanowi przyjemność — ...nie sądzę, aby konieczność pewnego ograniczania wydatków w pierwszym okresie po ślubie była rzeczą bardzo złą. Ale gdyby okoliczności... rozumiesz, co chcę powiedzieć.

— Doprawdy, pańska dobroć...

— Ani słowa więcej.

Pan Freeman wyjął z kieszeni klucze zawieszane na łańcuszku, otworzył szufladę biurka i schował do niej list córki, jakby to był dokument wagi państwowej — albo może po prostu znał lepiej służbę domową, niż ją znała większość wiktoriańskich chlebobawców. Zamykając biurko, spojrział na Karola, który doznał teraz niemiłego wrażenia, że sam stał się podwładnym — uprzywilejowanym i cenionym, owszem, ale będącym już teraz w dyspozycji tego tytana komercji. Czekало go zresztą coś znacznie jeszcze gorszego. Koniec końców, może nie tylko dżentelmen krył się za dobrocią pana Freemana.

— Czy mogę teraz, korzystając ze sposobności, otworzyć przed tobą serce w innej sprawie dotyczącej Ernestyny i ciebie?

Karol skłonił się uprzejmie na znak zgody, ale pan Freeman przez chwilę nie wiedział, jak zacząć. Pedantycznym ruchem odłożył nóż do papieru na właściwe miejsce, potem zbliżył się do okna, od którego dopiero co obaj odeszli. Wreszcie odwrócił się.

— Drogi mój Karolu, uważam się za człowieka, któremu poszczęściło się pod każdym względem. Z wyjątkiem jednego. — Zwrócił się teraz do dywanu. — Nie mam syna. — Urwał

znowu, a następnie spojrział badawczo na przyszłego zięcia. — Rozumiem, że handel musi ci się wydawać czymś odrażającym. Nie jest to zajęcie dla dżentelmena.

— To są czcze frazesy, proszę pana. Pan sam jest żywym tego przykładem.

— Naprawdę tak sądzisz? Czy może podsuwasz mi tylko inny frazes?

Twarde, stalowe oczy spojrzały naraz prosto w oczy Karola. Ten stracił na chwilę kontenans. Rozłożył ręce.

— Widzę to, co musi widzieć każdy inteligentny człowiek: wielką użyteczność handlu, jego naczelne miejsce w naszej gospodarce...

— Ach tak... Dokładnie to samo mówią wszyscy politycy. Muszą tak mówić, bo od tego zależy dobrobyt naszego kraju. Ale czy ty byś chciał, żeby mówiono o tobie, że zajmujesz się handlem?

— Taka możliwość nigdy nie powstała.

— A gdyby miała powstać?

— Chce pan powiedzieć, że ja...

Zrozumiał wreszcie, do czego zmierza przyszły teść, przyszły zaś teść, widząc przerażenie Karola, ustąpił szybko miejsca dżentelmenowi.

— Oczywiście, nie mam przez to na myśli, że miałbyś się kłopotać o codzienny bieg moich przedsiębiorstw. Te sprawy należą do obowiązków moich kierowników, moich urzędników i tak dalej. Ale moje interesa rozwijają się nader pomyślnie, Karolu. Na przyszły rok otworzymy filie w Bristolu i w Birmingham. To zresztą dopiero początek. Nie mogę ci ofiarować mocarstwa w sensie geograficznym ani politycznym. Jednakowoż pewien jestem, że innego rodzaju mocarstwo stanie się w swoim czasie dziedzictwem twoim i Ernestyny. — Pan Freeman zaczął chodzić tam i z powrotem po gabinecie. Dopóki wydawało się niewątpliwe, że przyszłe twoje obowiązki polegać będą na zarządzaniu dobrami stryja, nie mówiłem nic. Ale ty masz energię, wykształcenie, wielkie zdolności...

— Ależ moja ignorancja w rzeczach, które mi pan tak łaskawie proponuje, jest... no... kompletna.

Pan Freeman ruchem ręki zbył te obiekcje.

— Prawość, zdolność budzenia szacunku, umiejętność trafnego oceniania ludzi — te cechy mają znacznie większą wagę. A nie sądzę, żeby ci ich brakowało.

— Nie jestem pewien, czy dokładnie rozumiem, co mi pan proponuje.

— Nie proponuję nic natychmiast. W każdym razie przez najbliższy rok lub dwa będziesz zajęty wraz z Ernestyną układaniem sobie życia. W tym okresie wszelkie inne troski i zainteresowania są zbędne. Gdybyś jednak miał kiedyś ochotę... poznać bliżej wielkie przedsiębiorstwa handlowe, które odziedziczysz z czasem za pośrednictwem Ernestyny, nic nie sprawi większej przyjemności mnie... ani, jeśli wolno dodać mojej żonie... jak poprzeć to zainteresowanie.

— Nie chciałbym nigdy w świecie być posądzony o niewdzięczność, ale chcę powiedzieć, że to wszystko tak jest dalekie od moich wrodzonych inklinacji, od tych niewielkich uzdolnień, jakie mam...

— Proponuję tylko i jedynie spółkę. Mówiąc ściśle, na początek nic bardziej uciążliwego niż odwiedzanie od czasu do czasu biur zarządu, jak najbardziej ogólny nadzór nad tym, co się dzieje. Sądzę, że zdziwisz się, gdy się przekonasz, jakiego rodzaju ludzi zatrudniam teraz na odpowiedzialnych stanowiskach. Znajomości z nimi na pewno nikt by się nie powstydział.

— Zapewniam pana, że moje wahanie nie ma nic wspólnego ze względami natury towarzyskiej.

— W takim razie przyczyną może być tylko skromność. A tutaj, mój kochany, zapewniam cię, że się nie doceniasz. Ów dzień, o którym wspomniałem, musi nadejść — mnie tu zabraknie. Oczywiście, możesz pozbyć się przedsiębiorstw, które budowałem przez całe życie. Możesz znaleźć dobrych administratorów, którzy będą prowadzili je za ciebie. Ale wiem, o czym mówię. Kwitnącemu przedsięwzięciu potrzeba energicznego, czynnego właściciela tak samo, jak dobrej armii potrzeba generała. Nie pomogą wszyscy najlepsi żołnierze świata, jeżeli generał nie będzie osobiście dowodził batalią.

Na to obrazowe porównanie Karol poczuł się w pierwszej chwili jak Jezus Nazareński kuszony przez szatana. Karol również miał swoje dni na puszczy, co czyniło propozycję tym bardziej ponętną. Był wszakże dżentelmenem, a dżentelmen nie może zajmować się handlem. Szukał sposobu, w jaki dałoby się to oględnie powiedzieć, lecz go nie znalazł. W rzeczowej rozmowie o interesach niezdecydowanie jest oznaką słabości. Pan Freeman natychmiast wyzyskał okazję.

Nie przekonasz mnie nigdy, że wszyscy pochodzimy od małp. Dla mnie taka myśl jest bluźnierstwem. Ale wiele się zastanawiałem nad innymi rzeczami, które mówiłeś podczas naszej drobnej sprzeczki. Chciałbym, żebyś powtórzył to, co powiedziałeś... jak to było?... o celu tej całej ewolucji. Gatunek musi się zmienić?...

— Żeby ostać się przy życiu. Musi się przystosować do zmian otoczenia.

— Otóż właśnie. W to mogę uwierzyć. Jestem o dwadzieścia lat od ciebie starszy. Poza tym spędziłem życie w warunkach, w których jeżeli się człowiek nie przestawia, i to bardzo szybko, żeby nadążyć za fluktuacjami popytu, to ginie. Bankrutuje. Czasy się zmieniają, jak wiesz. Żyjemy w wielkiej epoce postępu. A postęp jest jak rączy koń. Albo my go ujeżdżymy, albo on nas strąca. Nie chcę, broń Boże, powiedzieć, że być dżentelmenem to w życiu niewystarczające zajęcie. Co do tego nie może być dwóch zdań. Ale żyjemy w wieku działania, wytężonego działania, Karolu. Możesz powiedzieć, że te sprawy cię nie obchodzą, że są zbyt przyziemne. Zadaj sobie jednak pytanie, czy nie powinny cię obchodzić. Tylko tyle ci proponuję. Rozważ to sobie. Na razie nie ma potrzeby o niczym decydować. Nie ma najmniejszej potrzeby. — Urwał na chwilę. — Ale nie odrzucisz z góry samej tej myśli?

Karol czuł się już w tej chwili jak źle obrębiona próbna serwetka... słowem, czuł się absolutną ofiarą ewolucji. Dawne wątpliwości ożyły w nim ze zdwojoną siłą. Wiedział już, co pan Freeman naprawdę o nim myśli: że jest próżniakiem. I co planuje: zmusić go, żeby odpracował posag żony. Karol najchętniej przybrałby oziębłą postawę, ale spod surowego tonu pana Freemana przebijała szczerą życzliwość przyszły teść traktował go już jak kochanego zięcia. Karolowi wydało się naraz, że całe życie wędrował wśród czarownych wzgórz, a teraz dotarł do rozległej doliny nudy i w przeciwieństwie do sławniejszego pielgrzyma* [* Aluzja do słynnej w świecie anglosaskim opowieści Johna Bunyana, *The Pilgrim's Progress* (Cz. I, 1678 r., cz. II, 1684 r.), będącej alegorycznym przedstawieniem życia chrześcijanina od chwili nawrócenia do śmierci.] nie widział w oddali Szczęścia ani Postępu, lecz jedynie Obowiązek i Upokorzenie.

Zdobył się na to, by spojrzeć w pełne oczekiwania, przenikliwie oczy wielkiego handlowca.

— Przyznam się, że jestem nieco zakłopotany.

— Proszę tylko, żebyś wziął tę sprawę pod rozwagę.

— Bez wątpienia. Oczywiście. Zastanowię się jak najpoważniej.

Pan Freeman podszedł do drzwi, otworzył je i rzekł z uśmiechem:

— Obawiam się, że czeka cię jeszcze jedna przeprawa. Pani Freeman oczekuje nas, spragniona najnowszych ploteczek z Lymie.

W chwilę później obaj panowie szli szerokim korytarzem w kierunku obszernego podestu, skąd roztaczał się widok na wielki hol na parterze. Wszystko tu było w najlepszym ówczesnym

guście. Gdy jednak schodzili po okazałych schodach, u których stóp stał lokaj w liberii, Karol poczuł się jakoś poniżony — niczym lew w klatce. Przeszyła go najniespodziewaniej bolesna, pełna miłości tęsknota za Winsyatt, za jego „nędznymi” obrazami i meblami, za jego starością, bezpieczeństwem, za jego *savoir—vivre*’em. Pojęcie ewolucji było porywające w abstrakcji, lecz w praktyce tchnęło wulgarnością równie ostentacyjną, jak te świeżo pozłacane kolumny doryckie zdobiące drzwi, na których progu on i jego dręczyciel przystanęli na sekundę — „Pan Karol Smithson, proszę pani” — zanim weszli.

38

Prędzej czy później i ja mógłbym udawać,
 Śladem złotego wieku. Nie mam wiary ani nadziei.
 Mógłbym serce zamienić w gład, twarz maską kamienną okleić
 Oszukać, być oszukanym, umrzeć. Bośmy prochem i pyłem.
 Alfred Tennyson, *Maud* (1855)

Kiedy Karol znalazł się wreszcie na szerokich stopniach rezydencji miejskiej państwa Freemanów, zapadł już zmierzch, rozświetlony latarniami gazowymi i przejmujący zimnem. Lekka mgła łączyła w sobie miłą woń zieleni z Hyde Parku po drugiej stronie ulicy i dobrze znany odór sadzy. Karol wciągnął w nozdrza ten cierpki, rdzennie londyński zapach i postanowił pójść pieszo. Sprowadzoną dla niego dorożkę kazał odprawić.

Ruszył bez określonego celu w kierunku swego klubu do dzielnicy St. James's, najpierw wzdłuż ogrodzenia Hyde Parku, owego ciężkiego, kutego ogrodzenia, którego przewrócenie się pod naporem tłumu (i ku zgrozie obserwującego tę scenę pana Freemana) zaledwie trzy tygodnie później miało przyspieszyć uchwalenie ustawy o reformie prawa wyborczego. Potem skręcił w Park Lane. Panował tu jednak zbyt wielki ruch Wiktoriańskie korki na jezdni nic nie były lepsze od dzisiejszych, a na dobitkę znacznie hałaśliwsze, ponieważ każde koło powozu miało żelazną obręcz zgrzytającą o granitową kostkę. Wobec tego wybrał, jak sądził, krótszą drogę i znalazł się w centrum dzielnicy Mayfair. Mgła zgęstniała nie na tyle, a wszystko przesłonić, lecz dostatecznie, by nadać całej scenerii pozór sennego widziadła — jak gdyby Karol był przybyszem z innego świata, Kandydem, zdolnym pojmować tylko najprostsze wyjaśnienia, człowiekiem pozbawionym nagle właściwej sobie ironii.

Utrata tak podstawowej cechy psychicznej równa się niemal utracie ubrania, toteż najlepiej chyba określe stan ducha Karola, jeśli powiem, że czuł się teraz nagi. Nie wiedział już dokładnie, co skłoniło go do złożenia wizyty ojcu Ernestynie — sprawę można było załatwić listownie. Nedorzeczością wydawał mu się teraz nie tylko własny nadmiar skrupułów, ale cała ta gadanina o ubóstwie, o konieczności ograniczania wydatków. W owych czasach, zwłaszcza w takie grożące mgłą wieczory, ludzie zamożni jeździli powozami, ci, co chodzili pieszo z reguły byli ubodzy. Karol tedy spotykał niemal wyłącznie przedstawicieli niższego stanu: służących i służące wielkich domów dzielnicy Mayfair, drobnych urzędników, sklepikarzy, żebraków, zamiataczy ulic (w okresie niepodzielnego panowania koni był to zawód znacznie pospolitszy niż dzisiaj), przekupni, przekupki, łobuziaków ulicznych, prostytutki. Wiedział, że dla nich wszystkich sto funtów rocznie stanowiłoby fortunę, a nad nim przed półgodziną litowano się, bo będzie musiał jakoś wiązać koniec z końcem, mając do dyspozycji sumę dwadzieścia pięć razy większą.

Karol nie był wyznawcą rodzącego się socjalizmu naukowego. Nie odczuwał wcale potworności moralnej swej uprzywilejowanej pozycji ekonomicznej, gdyż pod wszystkimi innymi względami nie uważał się bynajmniej za człowieka uprzywilejowanego. Miał na to wokół siebie dowodów co niemiara. Ludzie, którzy go mijali i których mijał, na ogół biorąc wydawali się zupełnie zadowoleni ze swego losu, z wyjątkiem żebraków, ci jednak, żeby dostać jałmużnę, musieli budzić litość swym wyglądem. Karol natomiast był rzeczywiście nieszczęśliwy — wyobcowany i nieszczęśliwy. Miał wrażenie, iż olbrzymi aparat, który dzentelmen z racji urodzenia i pozycji musi wzniesić wokół siebie, przypomina masywną zbroję, co stała się wyrokiem śmierci dla tylu odmian prehistorycznych jaszczurów. Zwolnił aż kroku na tę myśl o

wymarłych potworach. Przystanął nawet — biedna żyjąca skamielina — patrząc na energiczniejsze i lepiej przystosowane formy życia, snujące się żwawo przed niewielkim szeregiem sklepów, na który właśnie natrafił.

Dwaj katarzyniarze współzawodniczyli tu ze sobą, a grajek na banjo z nimi obydwoma. Mężczyźni sprzedawali tłuczone ziemniaki, racuchy („Racuchy gorące — bardzo sycące!”) po pensie sztuka, pieczone kasztany. Stara kobieta zachwalała zapałki, inna dźwigała kosz żonkili. Przewoźnicy, nosiwody, śmieciarze w kapeluszach z ochraniaczami spadającymi na plecy, rzemieślnicy w kwadratowych czapeczkach bez daszka i chmara małych obdartusów, co niczym małe sępy obsiadły stopnie ganków, krawężniki, słupki do powozów. Jeden taki malec przerwał podskoki wykonywane dla rozrywki — podobnie jak większość innych był boso — żeby przenikliwym gwizdem dać znak chłopcu z obrazkami, na co ten wywijając plikiem barwnych oleodruków popędził w kierunku Karola stojącego w kulisach tego żywego teatru.

Karol wycofał się czym prędzej i poszukał ciemniejszej ulicy. Ściągał go chrapliwy głosik wyśpiewujący szyderczo słowa popularnej tego roku ballady:

*Czemu nie przyjdiesz, lordzie Marmaduke?
Gorącą wieczerzę dam ci!
A gdy osuszemy spory piwa dzban,
To my ridl—di—ro—di—di, o—o,
To my ridl—di, ro—di—ri!*

Przypomniało to Karolowi, gdy już znalazł się poza zasięgiem głosu i towarzyszących mu szyderczych śmiechów, że istnieje inny jeszcze składnik atmosfery londyńskiej, nie tak konkretny jak sadze, lecz równie łatwo dający się rozpoznać zapach grzechu. Chodziło nie tyle o spotykane od czasu do czasu wymizerowane ulicznice, kobiety, które odprowadzały go spojrzeniem, nie zaczepiając go (zbyt wyraźnie było widać, że jest dżentelmenem, one zaś polowały na mniejszą zwierzynę), ile o ogólną anonimowość wielkiego miasta, o poczucie, że tutaj wszystko da się ukryć, wszystko może ujść niezauważone.

Lyme było miastem sokolich oczu, Londyn miastem ślepców. Nikt się nie odwracał, żeby spojrzeć na Karola. Był niemal niewidzialny, nie istniał i dawało mu to poczucie wolności, ale zarazem poczucie okropne, bo w gruncie rzeczy tę wolność utracił zupełnie tak samo jak Winsyatt. Stracił wszystko, co miał w życiu, i wszystko wokół o tym mu przypominało.

Szybkim krokiem minęła go jakaś para, mężczyzna i kobieta. Mówili po francusku, zapewne Francuzi. Karol naraz zapragnął znaleźć się w Paryżu, znaleźć się w ogóle gdziekolwiek za granicą... podróżować. Znowu! Gdybym tylko mógł uciec, gdybym tylko mógł uciec... Z dziesięć razy powtórzył szeptem te słowa, wreszcie, mówiąc w przenośni, dał sobie w skórę za to, że taki jest niepraktyczny, że z niego romantyk, że brak mu poczucia obowiązku.

Przechodził obok stajen, które w owych czasach nie stanowiły modnego szeregu wychuchanych mieszkań, lecz zgiełkliwe pełniły swoje naturalne funkcje: czyszczono i czesano tu konie, wyciągano na dziedziniec powozy, rozlegał się stukot kopyt cofających się między dyszle, jakiś stangret gwizdał głośno, myjąc karetę — trwały przygotowania do wieczornej pracy. Karolowi przyszła do głowy zdumiewająca teoria: ludzie z gminu są w gruncie rzeczy szczęśliwsi od ludzi z wyższych sfer. Nie tworzą wcale, jak twierdzą radykałowie, pokrzywdzonej infrastruktury, jęczącej pod uciskiem rozkapryszonych bogaczy, natomiast przypominają raczej beztróskie pasożyty. Przypomniał sobie, jak przed kilkoma miesiącami natrafił w ogrodach Winsyatt na jeża. Trącił go laską, zmuszając do zwinięcia się w kłębek i między nastawionymi igłami ujrzał roje spłoszonych pcheł. Był dość wytrawnym biologiem, aby to wzajemne

powiązanie różnych światów fascynowało go raczej, aniżeli budziło w nim odrazę, podobnie jak teraz dość był przygnębiony, aby rozumieć, czym jest jeź: zwierzęciem, które nie ma innego sposobu obrony, jak udawać, że nie żyje, i nastawiać kolce — symbole arystokratycznej wrażliwości.

Nieco później dotarł do mydlarni, stanął na zewnątrz i patrzył przez okna na ladę, na sklepikarza w meloniku i płóciennym fartuchu, odliczającego świece dziesięcioletniej dziewczynce. Dziewczynka wpatrywała się w sklepikarza, czerwonymi paluszkami podnosząc wysoko miedziaka, którego miała zapłacić.

Handel. Karol zarumienił się na wspomnienie otrzymanej dziś propozycji. Rozumiał teraz, że kryła się za nią zniewaga, pogarda dla całej jego sfery. Freeman musiał wiedzieć, że Karol nigdy się nie zgodzi na rolę sklepikarza. Trzeba było lodowatym tonem odrzucić propozycję przy pierwszej o niej wzmiance. Ale jak tu się odżegnywać od handlu, skoro cała fortuna Karola ma pochodzić z tego właśnie źródła? Oto wreszcie dochodzimy do właściwej przyczyny przygnębienia Karola: Było nią uczucie, że jest teraz kupionym mężem, marionetką w ręku przyszłego teścia. Nic to, że tego rodzaju małżeństwa należą w jego sferze do tradycji — tradycja wywodzi się z epoki, kiedy małżeństwo z rozsądku było ogólnie przyjętą transakcją, którą zarówno mąż, jak i żona mieli honorować tylko w granicach określonych umową: pieniądze za szlachectwo. Obecnie jednak, małżeństwo jest nieskalanym, świętym związkiem, obrzędem chrześcijańskim, mającym ukoronować nie wyrachowanie lecz miłość. Karol wiedział, że jeśli nawet wystarczy mu cynizmu na taką próbę, Ernestyna nie pozwoli nigdy, żeby miłość stała się w ich małżeństwie czynnikiem drugorzędym. Będzie ustawicznie żądała, żeby kochał ją i tylko ją. Z tego wynikną potem inne przymusy: będzie się po nim oczekiwać wdzięczności za jej pieniądze, będzie się go wciągało do spółki, szantażując moralnie, jak to było dzisiaj...

Niczym za sprawą złych czarów doszedł do jakiegoś rogu. Ciemną, boczną uliczkę zamykał wysoki, oświetlony fronton. Karol sądził, że znajduje się już w pobliżu Piccadilly, lecz ten złoty pałac na końcu brunatnego wąwozu stał od niego na północ. Zrozumiał, że zabłądził i trafił na Oxford Street... i to fatalnym zbiegiem okoliczności właśnie na odcinek zajmowany przez wielki dom towarowy pana Freemana. Jak zahipnotyzowany ruszył boczną uliczką tam, na Oxford Street, żeby zobaczyć całą długość złotego, piętrowego giganta (okna niedawno zmieniono, wprawiając nowe, wielkie, kryształowe szyby) i wystawy zatłoczone obfitością perkalów, koronek, sukien sztuk materiałów. Zdawało się, że niektóre skomplikowane desenie w nowych anilinowych kolorach zabarwiają powietrze, tak były agresywne, tak okropnie nuworyszowskie. Na każdym artykule tkwił biały kartonik obwieszczający jego cenę. Dom towarowy był jeszcze otwarty, ludzie wchodzili i wychodzili przez drzwi. Karol usiłował wyobrazić sobie, że przez nie przechodzi, lecz jego wysiłki spełzły na niczym. Wolałby raczej być żebrakiem, który siedział skulony w drzwiach pobliskiego domu.

Chodziło nie tylko o to, że dom towarowy przestał być dla Karola tym, czym był dotychczas — tematem ironicznych dowcipów, kopalnią złota w Australii, słowem czymś, co nie istnieje chyba naprawdę. Teraz wydawał się groźną potęgą, wielką machiną, potworem, który czyha tylko na to, aby wessać i zmiażdżyć wszystko, co się do niego zbliży. Dla iluż to ludzi w owej chwili rajskim szczęściem byłaby świadomość, że ten ogromny budynek — i inne w tym rodzaju — wraz z całym swym bogactwem i potęgą może bez trudu do nich należeć. Karol jednak stanął na przeciwległym chodniku i zamknął oczy jak gdyby w nadziei, że w ten sposób zdoła raz na zawsze zetrzeć gmach z powierzchni ziemi.

Zapewne było coś niegodziwego w tym jego oporze — zwykły snobizm, uleganie opiniom i ocenom gromady przodków. Było coś z lenistwa — lęk przed pracą, przed kieratem przed skupieniem uwagi na drobiazgach. Było też coś z tchórzostwa — Karol, jak państwo

przypuszczalnie zauważyli, bał się innych istot ludzkich, zwłaszcza tych, które nie należały do jego sfery. Gdy patrzył na mgliste sylwetki, stłoczone przed wystawami albo wchodzące i wychodzące przez drzwi naprzeciwko, sama myśl o tym, że miałby się z nimi zetknąć, przyprawiała go o mdłości. Nie, to niepodobieństwo. Ale był też w jego oporze element szlachetny: poczucie, że pościg za pieniądzem jest w życiu celem niewystarczającym. Nie będzie nigdy Darwinem ani Dickensem, wielkim artystą lub uczonym, będzie w najgorszym razie dyletantem, zerem, trutniem, który pozostawia pracę innym i nic od siebie nie wnosi. Jednakże ta własna nicość w sposób osobliwy przywróciła Karolowi na chwilę szacunek do samego siebie, przebaczenie, że być niczym z wyboru — i z wyboru nie mieć na swoją obronę nic prócz kolców — jest ostatnim ratunkiem dżentelmena, bodajże ostatnią jego wolnością. Olsniła go naraz myśl — jeżeli kiedykolwiek przekroczy próg tego sklepu, jestem zgubiony.

Dylemat ten może się państwu wydawać zwietrzały i należący do historii, a ja zresztą nie stoję specjalnie w obronie Dżentelmena, gatunku będącego w roku 1969 na wymarciu, i to znacznie bliższego wyginięcia, niż owego wieczora kwietniowego przed stu laty zdołała przewidzieć nawet pesymistyczna wyobraźnia Karola. Śmierć nie leży w naturze rzeczy — śmierć jest naturą rzeczy. Ale umiera tylko forma. Materia jest nieśmiertelna. Przez cały ten ciąg wypieranych stopniowo form, który nazywamy istnieniem, płynie swego rodzaju życie pozagrobowe. Możemy wyprowadzić najlepsze cechy dżentelmena wiktoriańskiego od średniowiecznych rycerzy bez skazy i *preux chevaliers*, jak również odnaleźć je u współczesnego dżentelmena, przedstawiciela gatunku zwanego przez nas naukowcami, w tym bowiem kierunku niewątpliwie skreśliło łożysko rzeki. Innymi słowy, każdej kulturze, czy będzie ona zaprzeczeniem demokracji, czy też szczytem egalitaryzmu, potrzebna jest swego rodzaju elita etyczna, skłonna do samokrytyki i przestrzegająca określonych norm postępowania, które mogą być czasem najzupełniej niezgodne z etyką i tym samym stają się w końcu przyczyną zagłady formy, chociaż ich ukryty cel jest słuszny — mają tworzyć pomost albo też fundament, aby funkcja dziejowa tej kultury wypełniona została jak najskuteczniej.

Być może nie dostrzegają państwo zbyt ścisłego związku między Karolem z roku 1267 z jego nowomodnymi, zapożyczonymi od Francuzów pojęciami o czystości i poszukiwaniu Świętego Graala, Karolem z roku 1867 z jego odrazą do handlu a dzisiejszym Karolem, naukowcem — elektronikiem, głuchym na wrzaski subtelnych humanistów, którzy zaczynają dostrzegać, że są już nikomu niepotrzebni. Jednakże taki związek istnieje: wszyscy oni odrzucali lub odrzucają pojęcie posiadania jako celu życia, czy to będzie posiadanie ciała kobiety, czy wielkich zysków zdobywanych za wszelką cenę, czy też prawa do dyktowania tempa postępu. Naukowiec jest tylko jeszcze jedną formą życia i zostanie w swoim czasie wyparty przez inne.

Otóż wszystko to jest wielkim i odwiecznym nawiązaniem do zawartego w Nowym Testamencie mitu o kuszeniu pustyni. Każdy, kto ma intuicję i wykształcenie, ma automatycznie swoją pustynię, a w pewnej chwili życia napotyka pokusę. Oparcie się pokusie może być głupotą, lecz nigdy nie jest złem. Odrzucił pan właśnie ponętną propozycję zastosowania swej wiedzy w przemyśle, bo chce pan nadal zajmować się pracą dydaktyczną na wyższej uczelni? Na ostatniej pani wystawie kupiono znacznie mniej obrazów niż na poprzedniej a mimo to postanowiła pani w dalszym ciągu rozwijać swój nowy styl? Powziął pan niedawno pewną decyzję, nie zważając na korzyści osobiste, na szansę posiadania? Niechże więc państwo nie lekceważą rozterki Karola, mając ją tylko za odruch warunkowy jałowego snobizmu. Niech się państwo postarają dostrzec, kim Karol jest w istocie — człowiekiem, który zмага się z historią, usiłując ją pokonać. Mimo że sam nie zdaje sobie z tego sprawy.

Coś więcej niż zwykły ludzki instynkt samozachowawczy wywierało presję na Karola — miał za sobą długie lata myśli, rozważań, poznawania siebie. Cała jego przeszłość, najlepsza część

jego dotychczasowego ja, stanowiła cenę, którą kazano mu zapłacić. Nie wierzył, żeby wszystko, czym chciał zostać, było pozbawione wartości, choćby nawet nie udało mu się sprostać marzeniom i w pełni wykonać zamiarów. Szukał sensu życia, co więcej, sądził, biedaczysko, że były momenty, kiedy już ten sens dostrzegał. Czy to jego wina, że brak mu talentu, aby przekazać innym to, co przelotnie dojrzał? Że na postronnym obserwatorze sprawia zapewne wrażenie dyletanta, beznadziejnego amatora? Przynajmniej uzyskał pewność, że sensu życia nie znajdzie się w sklepie Freemana.

Ale pod tym wszystkim, w każdym razie jeśli chodzi, o Karola, kryła się doktryna doboru naturalnego, zwłaszcza ten jej aspekt, o którym owego wieczora w Lyme dyskutował z Groganem — a była to dyskusja pełna optymizmu — mianowicie, że człowiek musi uważać swoją zdolność do samoanalizy za wielki przywilej w walce o przystosowanie się. Obaj widzieli w tym dowód, że wolnej woli człowieka nie zagraża niebezpieczeństwo. Jeżeli istota ludzka musi ulegać zmianom, aby się ostać przy życiu, co przyznają nawet Freemanowie, to ma zawsze możliwość wyboru środków. Tak głosiła teoria — w praktyce, jak Karol nagle teraz zrozumiał, rzecz wyglądała zupełnie inaczej.

Jest w pułapce. Nie do wiary, ale tak jest.

Przez chwilę usiłował stawić opór naciskowi swej epoki, potem ogarnęła

go lodowata, mrożąca do szpiku kości wściekłość potem na pana Freemana i freemanizm. Ruchem laski zatrzymał przejeżdżającą dorożkę. Opadł na zalatujące pleśnią skórzane siedzenie i przymknął oczy. Wyobraźnia podsunęła mu kojący obraz. Byłaż to nadzieja? Odwaga? Determinacja? Niestety. Ujrzał wazę mlecznego ponczu i butelkę szampana.

39

Coż z tego, że jestem prostytutką? Jakim prawem społeczeństwo ma mnie znieważać? Czy znalazłam jakichś dobrodziejstw z łaski społeczeństwa? Jeżeli jestem ohydny wrzodem na ciele społeczeństwa, to czyż przyczyn choroby nie trzeba szukać w zgniliznie toczącej owo ciało? Czyż nie jestem prawowitym dziecięciem społeczeństwa, nie jakimś bękartem, Panie Redaktorze?

Z listu do „Timesa” (24 lutego 1858 r.)¹

Poncz mleczny i szampan nie wydadzą się może zbyt głęboką konkluzją tak wielkiej rozterki dusznej, lecz były one od wieków zalecane w Cambridge jako rozwiązanie wszystkich znanych problemów, a chociaż Karol po opuszczeniu uniwersytetu znacznie rozszerzył swą wiedzę o problemach, to jednak lepszego rozwiązania nie wymyślił. Na szczęście jego klub, wzorem wielu innych angielskich klubów dla dżentelmenów, opierał się na bardzo prostej i zyskowej zasadzie, że lata studenckie mężczyzny to jego najpiękniejsze lata. Miał tedy wszystkie dodatnie strony zamożnego college'u bez jego stron ujemnych i irytujących (jak wykładowcy, dziekani i egzaminy). Słowem, klub dbał o zaspokojenie zachcianek dorastającego chłopca ukrytego w każdym mężczyźnie, a przy tym podawano tu doskonały poncz mleczny.

Tak się złożyło, że pierwsi dwaj członkowie, na których padło oko Karola, gdy wszedł do palarni, byli również jego kolegami uniwersyteckimi. Pierwszy, młodszy syn biskupa, słynął jako zakąła rodziny, drugi był tym, czym Karol do niedawna spodziewał się zostać: baronetem. Sir Tomasz Burgh, urodzony z wielkim szmatem ziemi northumberlandzkiej w kieszeni, okazał się zbyt mocną skałą, aby nawet historia mogła poruszyć go z posad. Przodkowie jego od niepamiętnych czasów oddawali się polowaniu, picciu i rozpuście, on zaś, wiedziony należyty szacunkiem dla tradycji, nadal szedł w ich ślady. To on właśnie był przywódcą wesołego towarzystwa, w które Karol się dostał podczas pobytu w Cambridge. Jego eskapady zarówno spod znaku Bachusa, jak i Casanovy, zyskały sobie wielki rozgłos. Kilkakrotnie wysuwano wnioski o usunięcie sir Tomasza z klubu, ale że dostarczał klubowi węgla z jednej ze swoich kopalni, i to po cenach, które czyniły ten węgiel *de facto* darowizną, głosy rozsądniejszych członków zawsze brały górę. Ponadto mimo osławionego trybu życia miał w sobie coś z gruntu uczciwego. Grzeszył bez wstydu, ale też bez obłudy. Był hojny do przesady. Połowa młodszych członków klubu w tym czy owym okresie życia należała do jego dłużników, pożyczki zaś były pożyczkami dżentelmena — sir Tomasz pozwalał prolongować je w nieskończoność i nigdy nie brał procentów. Pierwszy był zawsze do zawierania zakładów przy byle okazji i we wszystkich członkach klubu, prócz osobników beznadziejnie trzeźwych, budził tkliwe wspomnienia o mniej trzeźwej młodości. Był krępy, niski, stale zaczerwieniony od wina i wiatru, a jego oczy cechowała owa wspaniała niewinność, owa nieprzenikniona błękitna szczerłość, właściwa ludziom, co zaprzędali duszę diabłu. Oczy te zmrużyły się na widok wchodzącego Karola.

— Karolku! Tam do licha, jakeś się wyrwał z aresztu matrymonialnego?

Karol uśmiechnął się, czując się dość głupio.

— Dobry wieczór, Tom. Jak się masz, Natanielu? — Natanie, cierń w boku nieszczęsnego biskupa, podniósł ociężałą rękę, nie wyjmując z ust wiecznego cygara. Karol zwrócił się znów do baroneta: — Warunkowo wypuszczony. Kochane dziewczę jest w Dorsetshire, kuruje się wodą mineralną.

— A ty się kurujesz wodą ognistą, he? — Tom mrugnął znacząco. — Ale słyszę, żeś zdobył najpiękniejszą różę sezonu. Tak twierdzi Nat. Zielenieje, uważasz, z zazdrości. Numer z tego Karola, powiada. Najpiękniejsza dziewczyna i najlepsza partia! Nie ma sprawiedliwości, co, Nat?

Syn biskupa był stale bez grosza, Karol więc domyślał się, że przedmiotem jego zazdrości nie jest bynajmniej uroda Ernestyny. W dziewięciu wypadkach na dziesięć Karol byłby teraz poszedł dalej, do kąta z gazetami, albo przysiadł się do jakichś znajomych, cieszących się mniej zaszarganą reputacją. Dziś jednak pozostał w miejscu. Czy szanowni panowie zechcą napić się ponczu i czegoś musującego? Owszem, chętnie. Karol usiadł tedy przy ich stoliku.

— A jak tam czcigodny stryj, Karolu? — Sir Tom mrugnął znów, ale w sposób tak dla siebie charakterystyczny, że niepodobna było się obrazić. Karol mruknął, że stryj miewa się doskonale.

— Jak on stoi z chartami? Zapytaj, czy mu nie potrzeba pary najlepszych northumberlandów. Istne anioły, mimo że to mówię ja sam, ich hodowca. Tornado... pamiętasz Tornado? Jego prawnuki. — Tornado pewnego lata spędził potajemnie cały semestr w apartamentach sir Tomasza w Cambridge.

— Pamiętam go bardzo dobrze. Moje łydki też go pamiętają

— Ba, przypadłeś mu do serca. — Sir Tomasz uśmiechnął się szeroko. — Zawsze gryzł tych, których kochał. Pocziwy stary Tornado, Panie świeć nad jego duszą. — Tu wychylił szklaneczkę ponczu ze smutkiem, który pobudził do śmiechu obu jego towarzyszy. Było to zresztą okrutne, bo smutek był najzupełniej szczery.

Na takich rozmowach zeszyły dwie godziny — oraz jeszcze dwie butelki szampana i jeszcze jedna waza ponczu, a potem rozmaite kotlety i cynaderki (trzej panowie przenieśli się do sali jadalnej), wymagające obfitego popijania burgundem, który z kolei należało splukać dwiema karafkami portwajnu.

Sir Tom i syn biskupa pili zawodowo, toteż wlewali w siebie więcej płynów niż Karol. Na pozór pod koniec drugiej karafki wydawali się bardziej od niego pijani. W istocie jednak trzeźwość jego, podobnie jak ich zamroczenie stanowiły tylko fasadę, przesłaniającą prawdziwy a odwrotny stan, co stało się oczywiste, kiedy wyszli z sali jadalnej, zamierzając udać się jak to mgliście określał sir Tom — na małą przejażdżkę po mieście. Okazało się wówczas, że to Karol niezbyt pewnie trzyma się na nogach. Za mało zresztą był wstawiony, żeby nie doznawać zakłopotania, i wciąż jakoś czuł na sobie spojrzenie stalowych, taksujących oczu pana Freemana, mimo że nikogo mającego tak ściśle powiązania z handlem, jak pan Freeman nie wpuszczono by nigdy do tego klubu.

Szatniarz pomógł mu włożyć pelerynę, wręczył mu cylinder, rękawiczki, laskę, po czym Karol znalazł się na świeżym powietrzu — zapowiadająca się mgła nie spadła na miasto, zostały tylko opary — wpatrując się z najwyższym skupieniem w herb na drzwiach miejskiego powozu sir Tomasza. Myśl o Winsyatt znów podstępnie dźgnęła go w samo serce, naraz jednaj herb zachwiał się i popłynął w jego kierunku. Chwycono Karola pod ramiona i w chwilę później znalazł się na siedzeniu obok sir Toma, zwrócony twarzą do syna biskupa. Nie był dość pijany, aby nie zauważyć znaczącego mrugnięcia, które wymienili jego towarzysze, lecz zbyt pijany, aby zapytać, co to mrugnięcie ma znaczyć. Powiedział sobie, że nic go to nie obchodzi. Zadowolony był, że jest pijany, że wszystko się trochę kołysze, że cała przeszłość i przyszłość straciła jakiegokolwiek znaczenie. Miał wielką ochotę opowiedzieć kolegom o pani Relli Tomkins i o Winsyatt, ale na to też był nie dość pijany. Dzentelmen pozostaje dzentelmenem, nawet pod dobrą datą. Zwrócił się do Toma:

— Tom... Tom, kochany staruszku, piekielny szczęściarz z ciebie.

— Z ciebie też, Karolku najmiłszy. Wszyscyśmy piekielni szczęściarze.

— Dokąd jedziemy?

— Tam, dokąd szczęściarze zawsze jeżdżą w wesołą noc. Prawda, Nat?

Zapadło milczenie, Karol zaś bezskutecznie starał się zorientować, w jakim kierunku zmierzają. Tym razem nie zauważył mrugnięcia zamienionego po raz wtóry przez przyjaciół. Kluczowe słowa ostatniego zdania Toma dotarły z wolna do jego świadomości. Z powagą obrócił się do sir Tomasza.

— Wesoła noc?

— Jedziemy do Mamy Terpsychory, Karolu. Złożyć ofiarę na ołtarzu muz, rozumiesz?

Karol wpatrywał się z wysiłkiem w uśmiechnięte oblicze syna biskupa.

— Na ołtarzu?

— Figura retoryczna, Karolu.

— Przenośnia. Wenus zamiast *puella* — dodał syn biskupa.

Karol patrzył na nich chwilę, potem nagle się uśmiechnął.

— Świetna myśl. — Zaraz jednak spoważniał i odwrócił się do okna. Czuł, że powinien zatrzymać powóz i pożegnać towarzyszy. Przypomniawszy sobie w krótkim błysku świadomości, jaką mają reputację. Potem skądś, znikąd wypłynęła twarz Sary, ta wzniesiona ku niemu twarz z przymkniętymi oczami, pocałunek... tyle hałasu o nic. Zrozumiał, gdzie tkwi przyczyna wszystkich jego kłopotów — potrzeba mu kobiety, stosunku z kobietą. Potrzeba mu ostatniego wyskoku, jak czasem potrzeba środka na przeczyszczenie. Obejrzał się na sir Tomasza i na syna biskupa. Pierwszy leżał rozwalony w swoim kącie, drugi oparł nogi na siedzeniu. Cylindry obu przekrzywione były zawadiacko na bakier. Tym razem mrugnęli do siebie wszyscy trzej.

Wkrótce byli już wśród zwartej masy powozów zmierzających do owej dzielnicy wiktoriańskiego Londynu, którą w sposób dość zagadkowy — ponieważ pod niejednym względem stanowiła dzielnicę centralną — wykreśliliśmy z naszego obrazu epoki: skupiały się tu w częściach bardziej eksponowanych (Haymarket i Regent Street) kasyna (raczej miejsca spotkań towarzyskich aniżeli domy gry), kawiarnie, palarnie, wszystkie zaś boczne i przyległe ulice okupowane były niemal wyłącznie przez lupanary. Minęli słynny sklep z ostrygami przy Haymarket („Homary, Ostrygi, Łososie Wędzone i Marynowane”) i nie mniej głośny kiosk Chana — prawdziwego chana wśród londyńskich sprzedawców pieczonych kartofli — prowadzącego handel spoza olbrzymiego szkarłatno—miedzianego stoiska które dominowało nad całą perspektywą ulicy. Minęli tłum cór Koryntu, wielkie kurtyzany w powozach, pomniejsze gromadzące się stadami na chodnikach... od skromnych szwaczek o mlecznobiałej cerze aż do roślących herod—bab z policzkami wiecznie czerwonymi od alembiku. Potok barw, potok strojów, tutaj bowiem dozwolone były rzeczy gdzie indziej nie do pomyślenia. Kobiety przebrane za paryskich przewoźników, w melonikach i spodniach, za marynarzy, za seńority, za wieśniaczki sycylijskie — można by pomyśleć, że to wyległy na ulicę całe zespoły czwartorzędnych teatryków rewiowych, których było w tej okolicy bez liku. Znacznie mniej ciekawie prezentowali się klienci, nie mniej przecież liczni przedstawiciele płci męskiej, co z laskami w rękach i cygarami w zębach przyglądali się tym gwiazdom wieczornym. A Karol, chociaż żałował, że tyle wypił, przez co widział wszystko podwójnie, by zdania, że widok jest uroczy, wesoły, pełen życia, a nade wszystko niemający w sobie nic z freemanizmu.

Terpsychora, skłonny jestem podejrzewać, nie objęła chyba patronatu nad zgromadzeniem, którego częścią składową w jakie dziesięć minut później stali się nasi trzej dżentelmeni — nie byli bowiem sami. Sześciu czy siedmiu młodych mężczyzn i dwóch starszych panów (w jednym z nich Karol rozpoznał podporę Izby Lordów) siedziało w dużym salonie, urządzonym w najbardziej wyszukany paryski guście. Dojeżdżało się tu przez ciasny, zgiełkliwy zaułek, odnogę bocznej ulicy nie opodal Haymarket. Na końcu oświetlonego kandelabrami pokoju znajdowała się mała scena zasłonięta ciemnoczerwoną kurtyną z wyhaftowanymi złotem dwiema

parami satyrów i nimf. Pierwszy satyr najwyraźniej gotów był objąć w posiadanie swoją pasterkę, drugi został już przez swą damę przyjęty. Na złożonym kartuszu nad kurtyną widniała inskrypcja: *Carmina Priapea XLIV*.

*Velle quid hanc dicas, quamvis sim ligneus, hastam,
oscula dat medio si qua puella mihi? Augure non opus est: „in me” mihi credite, dixit
“utetur veris viribus hasta rudis”²*

Temat kopulacji powtarzał się na różnych sztychach formatu folio, rozwieszonych w połączonych ramach między zasłoniętymi oknami. Dziewczyna z rozpuszczonymi włosami, w przezroczystej spódniczce, podawała już czekającym panom szampana marki Roederer. W głębi sali mocno uróżowana, lecz skromniej ubrana dama lat około pięćdziesięciu obserwowała spod oka klientelę. Mimo odmiennej profesji mentalność miała tę samą, co pani Endicott z hotelu w Exeter, aczkolwiek dokonywała szacunku raczej w gwineach niż w szylingach.

Takie sceny jak ta, która potem nastąpiła, zmieniły się zapewne w ciągu dziejów mniej niż jakiegokolwiek inne przejawy działalności ludzkiej. To, co odbyło się owej nocy przed oczami Karola, odbywało się w identyczny sposób przed oczami Heliogabala — i bez wątpienia również przed oczami Agamemnona — odbywa się też dzisiaj w niezliczonych spelunkach Soho. Mnie zaś osobiście w niezmienności tej starodawnej i uświęconej przez czas formy rozrywki podoba się to, że pozwala ona pisarzowi zapożyczyć coś niecoś z cudzej imaginacji. Szperałem niedawno w najlepszego rodzaju antykwariacie — mającym mianowicie niedbałego właściciela. Pod ogólną tabliczką „Medycyna” między *Wstępem do hepatologii* a *Schorzeniami dróg oddechowych*, tkwił cichutko jeszcze mniej interesujący tytuł: *Historia serca ludzkiego*. W istocie jest to niezmiernie interesująca *Historia ruchliwego penisa ludzkiego*. Książka ukazała się po raz pierwszy w 1749 roku, w tym samym roku, co napisane przez Clelanda arcydzieło tego gatunku literackiego, *Fanny Hill*. Autorowi brak kunsztu Clelanda, ale do moich celów ujdzie.

Pierwszym domem, do którego weszli, był znany z zamtuz* [*dom publiczny], gdzie napotkali stadko miejskich przepióreczek które podobały się Camillovi bardziej niż cokolwiek, co złapał w sidła u siebie na wsi, a wśród nich pannę M., sławną „figurantkę”. Na jej widok naszą kompanię wędrowników wzięła chętka pokazania nowicjuszowi sceny, o jakiej nigdy mu się nawet nie śniło.

Wprowadzono ich do dużej sali. Wniesiono wino, odprawiono piwniczego i gdy wszyscy wychylili po kielichu kazano się paniom przygotować. Te natychmiast rozebrały się do naga i ustawiły na środku stołu. Camillo wielce był ową okazją zdumiony, niemało też głowił się nad tym, w jakim celu dziewczęta stanęły na podwyższeniu. Miały kształtne kończyny, świeżą cerę i skórę białą jak śnieg, którą to biel podkreślały jeszcze kruczoczarne włosy. Rysy miały bardzo regularne, a naturalne rumieńce kwitnące na policzkach czyniły z nich w mniemaniu Camilla skończone piękności, zdolne iść w paragon z samą Wenerą. Z twarzy ich przeniósł nieśmiało oczy na Ołtarz Miłości, którego nigdy jeszcze nie miał sposobności widzieć tak wyraźnie...

Przyrodzenie słynnej „figurantki” miało w sobie coś, co przyciągało jego uwagę jak żadna inna rzecz dotychczas w życiu oglądana. Tron Miłości pokryty był gęstymi, kruczoczarnymi włosami co najmniej na ćwierć jarda długimi, które panna M. rozdzieliła zręcznie, aby ukazać wejście do Czarodziejskiej Groty. Niezwykły widok tak obficie owłosionego miejsca dostarczył naszemu młodzieńcowi osobliwej uciechy, jaką pomnożyła jeszcze reszta ceremonii dopełnionej przez swawolnice. Każda z nich napełniła kielich winem, potem na wznak pokładły się na stole i każda z nich umieściła kielich na Wzgórzu Wenera, a każdy mężczyzna z kompanii pił z kielicha

stojącego na tej kuszą wypukłości, gdy tymczasem panienki nie szczędziły lubieżnych ruchów gwoli lepszej zabawy. Wykonały następnie kilka figur i sztuczek używanych do pobudzenia uspionych żądź, gdy je osłabi przesyta naturalną rozkoszą, później zaś zmusiły biednego Camilla, aby prześliznął się pod mostem i przemknął pod ciepłym wodospadem, co napędziło mu większego stracha, niż gdyby miał się wyrwać z łodzią wiozącą pasażerów do Gravesend. Figle te, acz powitane głośnym śmiechem całej kompanii, zniósł cierpliwie, powiedziano mu bowiem, że wszyscy nowi członkowie mają być takim sposobem wtajemniczani w sekreta Stowarzyszenia. Aliści zuchwały bezwstyd kobiet zaczął budzić w nim niesmak. Opuścił go już lęk i podniecenie, jakie odczuwał na początku ich występów, i pragnął, żeby kompania czym prędzej dziewoje odprawiła. Towarzysze jednak nie chcieli się rozstać z wietrznicami, zanim te wykonają wszystkie swe sztuczki. Nimfy zaś, które dostawały pokaźne datki za każdą nową prezentację swych czelnych pomysłów, nie kazały się prosić i zaspokajając życzenia młodych rozpustników, dalej bez cienia wstydu pokazywały im, jak dalece Natura Ludzka może się upodlić.

Ostatnia akrobacja tak bardzo rozpaliła tych synów wszeteczeństwa, iż zaproponowali, aby na zakończenie spektaklu każdy mężczyzna wybrał sobie „figurantkę” i wprowadził z nią w czyn to, czego dotychczas oglądali tylko naśladownictwo. Nimfy wszakże na taki krok nie przystały, albowiem z obawy przed popsuciem interesów miały zasadę nie poddawać się nigdy uściskom mężczyzn. Zdziwiło to niezmiernie Camilla, który wnosząc z ich poprzedniego zachowania, nabrał pewności, iż niepodobna wymyślić tak nierządnych czynów, na jakie nie przystałyby dla pieniędzy, a chociaż przed tą odmową sprośne ich wyuzdanie stłumiło w nim wszelkie myśli o cielesnym zbliżeniu, to jednak zapalał teraz taką żądzą, jak gdyby były skromnymi dziewczycami i jak gdyby nie był wcale świadkiem ich rozwiązłych popisów, prosił je tedy o wyrażenie zgody równie gorąco, jak wszyscy inni członkowie kompanii.

Fragment powyższy daje nam ogólne pojęcie o tym, co działo się u Mamy Terpsychory, chociaż istnieje pewna drobna różnica: dziewczęta z roku 1867, nie tak drażliwe na punkcie cnoty jak tamte z roku 1749, w końcowym żywym obrazie chętnie wystawiały swoje wdzięki na licytację.

Karol wszakże nie brał już w tej licytacji udziału. Wstępne, nie tak sprośne figury dość go nawet bawiły. Przybrał minę doświadczonego podróżnika — widywał lepsze rzeczy w Paryżu (tak przynajmniej szeptał sir Tomowi) — i grał rolę zblazowanego młodego światowca, którego nic nie może zadziwić. Gdy jednak spadły suknie, w jednej chwili wytrzeźwiał. Spojrzał na rozchylone lubieżnie usta mężczyzn siedzących wokół niego w półmroku, usłyszał, że sir Tom wskazuje już synowi biskupa swoją wybrankę. Białe ciała zwierzały się w uściskach, splatały się, naśladowały określone ruchy, lecz Karola nękało wrażenie, że za przyklejonymi do twarzy zalotnymi uśmiechami wykonawczyń kryje się rozpacz. Jedna z nich była dzieckiem, co najwyżej osiągającym dopiero wiek dojrzewania, i w jej udawanej niewinności wyczuwało się coś z autentycznego dziewictwa, dotkliwy ból, na który profesja jeszcze nie zdążyła jej zahartować.

Karol, mimo odrazy, czuł się jednak podekscytowany. Mierziło go to publiczne zohydowanie rzeczy intymnych, lecz zarazem był w dostatecznym stopniu zwierzęciem, aby ogarnął go tłumiony niepokój i podniecenie. Na pewien czas przed końcem występu wstał i cichaczem wyszedł z sali, niby to za potrzebą. W przedsionku na zewnątrz mała *danseuse*, która podawała szampana, siedziała przy stole z płaszczami i laskami gości. Karol patrzył przez chwilę na jej kunsztownie rozwichrzone loczki, nagie ramiona i prawie nagie łono. Miał już coś powiedzieć, ale rozmyślił się i szorstkim ruchem wskazał swoje rzeczy. Rzucił dziewczynie na stół pół suwerena i szybko wyszedł.

Na ulicy, u wylotu zaułka, czekało kilka dorożek. Wziął pierwszą z brzegu, podał głośno (tak nakazywał przezorny wiktoriański zwyczaj) nazwę ulicy w Kensington w pobliżu tej, przy której mieszkał, po czym wskoczył do pojazdu. Nie miał bynajmniej poczucia własnej wyższości i szlachetności, przeciwnie, było mu tak, jak gdyby przełknął zniewagę lub nie stawiał się na pojedynek. W życiu jego ojca takie wieczory były czymś zupełnie zwykłym, fakt, że Karol nie mógł ich strawić, dowodził, iż jest wyrodkiem. Gdzież się podział obyty w świecie podróżnik? Skurczył się do rozmiarów nędznego tchórza. A co z Ernestyną, ze złożonymi jej ślubami? Na każde wspomnienie o zaręczynach Karol stawał się więźniem, który budzą się ze snu o wolności, usiłuje wstać tylko po to, aby szarpnięcie łańcuchów przywróciło go beznadziejnej rzeczywistości lochu.

Dorożka powoli toczyła się wąską ulicą, zatłoczoną innymi dorożkami i powozami, znajdowali się bowiem wciąż jeszcze w dzielnicy grzechu. Pod każdą latarnią, przed każdym wejściem stały prostytutki. Karol obserwował je, ukryty w ciemnościach. Doznawał nieznośnego uczucia, że wszystko się w nim gotuje. Gdyby miał przed sobą ostry kolec, byłby, naśladował Sarę przy drzewku głogu, wbił na niego rękę, tak silna ogarnęła go potrzeba umartwienia się, zadania sobie bólu, jakiegokolwiek czynu, co przeciąłby wrzód wzbierający mu w piersiach.

Wreszcie cichsza ulica. Minęli latarnię gazową, pod którą stała samotna kobieta. Może przez kontrast z wielką liczbą kobiet na ulicy poprzedniej ta dziewczyna wydawała się smutna, zbyt niedoświadczona, aby zapuścić się dalej. Jednakże co do jej profesji nie było wątpliwości. Miała na sobie spłowiała, różową, bawełnianą suknię, ramiona okrywał biały szal. Czarny nowomodny kapelusik, mały, niby to męski, tkwił nad wielkim, ujętym w siatkę, kokiem kasztanowatych włosów. Kobieta odprowadziła spojrzeniem przejeżdżającą dorożkę i coś w odcieniu jej włosów, w czujnych, podkrążonych oczach, w nieokreślonym smutku postaci kazało Karolowi pochylić się do przodu i przez owalne boczne okno przyglądać się jej, dopóki było ją widać. Po chwili nieznośnej rozterki chwycił laskę zapukał głośno w dach pojazdu. Dorożkarz zatrzymał się od razu. Rozległy się szybkie kroki, potem nieco poniżej przedniego stopnia dorożki ukazała się twarz.

Kobieta w rzeczywistości nie była podobna do Sary. Karol dostrzegł, że włosy są zbyt rude, aby mogły być naturalne, poza tym miała w sobie coś prostackiego, jakąś sztuczność w pozornie śmiałym spojrzeniu i uśmiechu czerwonych warg, zbyt czerwonych — niczym krwawiąca rana. Był jednak cień podobieństwa, coś w stanowczo nakreślonych brwiach albo w zarysie ust.

— Ma pani pokój?

— Tak, proszę pana.

— Niech mu pani powie, dokąd ma jechać.

Znikła mu na chwilę z oczu i powiedziała coś dorożkarzowi. Potem wspięła się na stopień pojazdu, który zakołysał się pod jej ciężarem, i usiadła obok Karola, wypełniając ciasne wnętrze zapachem tanich perfum. Musnął go lekki materiał jej rękawa i spódnicy, ale go nie dotknęła. Dorożka ruszyła. Przez jakieś sto jardów albo i więcej panowało milczenie.

— Na całą noc, proszę pana?

— Tak.

— Dlatego pytam, bo jak nie, to doliczam koszt przejazdu z powrotem.

Karol skinął głową i wlepił oczy przed siebie, w mrok. Ujechali w milczeniu jeszcze ze sto jardów. Dziewczyna poczuła, się odrobinę swobodniej, dowodem było ledwie wyczuwalne przyciśnięcie ramienia Karola.

— Okropnie zimno jak na tę porę roku.

— Tak. — Spojrzał na nią przelotnie. — Pani to się daje we znaki.

— Nie pracuję, kiedy pada śnieg. Niektóre pracują nie. alejanie.

Znów milczenie. Tym razem odezwał się Karol:

— Od dawna pani?...

— Od osiemnastego roku życia, proszę pana. W maju będzie dwa lata.

— Aha.

Zerknął na nią podczas następnej pauzy. Myśli jego drażyła ohydna arytmetyka: trzysta sześćdziesiąt pięć, powiedzmy trzysta „dni roboczych” pomnożone przez dwa... sześćset do jednego, że musi być czymś zarażona. Czy dałoby się jakoś delikatnie o to zapytać? Nie, nie ma sposobu. Znów spojrział na nią przelotnie w sposobnej chwili, gdy z zewnątrz padało światło. Jej cera wydawała się czysta. Ale zdawał sobie sprawę że postępuje jak głupiec — jeśli chodzi o syfilis, stokroć bezpieczniej byłoby w luksusowym zakładzie, który przed chwilą opuścił. Co za pomysł... zaczepić zwykłą londyńską dziewczynę uliczną... jednakże los Karola był już przypieczętowany. Tak sobie zresztą Karol życzył. Jechali na północ w kierunku Tottenham Court Road.

— Czy mam teraz pani zapłacić?

— Nie zależy mi, proszę pana. Wedle życzenia.

— Dobrze. Ile?

Dziewczyna zawahała się. Potem spytała:

— Normalnie, proszę pana?

Ogarnął ją błyskawicznym spojrzeniem i skinął głową.

— Za całą noc biorę zwykle... — wzruszające kłamstwo zawierało się w tym króciutkim wahaniu — ... biorę suwerena.

Sięgnął do kieszeni fraka i podał jej monetę.

— Dziękuję szanownemu panu. — Schowała dyskretnie monetę do torebki. Potem okólną drogą udzieliła odpowiedzi na jego potajemne obawy: — Zadaję się tylko z dżentelmenami proszę pana. Nie potrzebuje się pan o te rzeczy martwić.

— Dziękuję pani — odparł Karol.

¹ [Ten słynny sarkastyczny list, pisany rzekomo przez prostytutkę, której się powiodło, lecz w rzeczywistości — co bardziej prawdopodobne — przez kogoś w rodzaju Henryka Mayhew, można w całości przeczytać w *Human Documents of the Victorian Golden Age*.]

² [Mówi to bóg Priapus — jego małe, drewniane posążki ze wzniesionym fallusem, mające odstraszać złodziei, a zarazem sprowadzać urodzaj, umieszczane były powszechnie w sadach rzymskich. „Chciałbyś wiedzieć, czemu dziewczyna całuje tę moją dzidę, mimo że jest z drewna? Nie trzeba być jasnowidzem, żeby to odgadnąć. «Oby mężczyźni», myśli dziewczyna, «używali tej dzidy na mnie — i to bez pardonu»].

40

Do ust, ach, do ust innych
 Te wargi przywierały,
 Inni, zanim przyszedłem,
 Pieścili piersi białe...
 Matthew Arnold, *Parting* (1853)

Dorożka zatrzymała się przed domem w wąskiej bocznej uliczce na wschód od Tottenham Court Road. Dziewczyna wysiadła szybko, ruszyła prosto do ganku, weszła po kilku stopniach i znikła za drzwiami. Dorożkarz, człowiek bardzo wiekowy, od tak dawna zapewne tkwił w swoim długim płaszczu z kilkoma pelerynami i w głębokim cylindrze, iż trudno było sobie wyobrazić, aby nie przyrosły mu one do ciała. Wsadził bat do specjalnego otworu przy koźle, wyjął z ust krótką fajkę i wyciągnął w dół brudną dłoń zgiętą w kształcie miseczki, czekając na zapłatę. Jednocześnie wpatrywał się przed siebie, w koniec ciemnej ulicy, jak gdyby nie mógł już na nią patrzeć. Karol zadowolony był z tego, a przecież czuł, że jest odrażający, właśnie tak odrażający jak stary dorożkarz chce mu dać do zrozumienia. Miał chwilę wątpliwości. Mógłby wskoczyć z powrotem do dorożki, bo dziewczyna znikła... ale ślepy upór kazał mu zapłacić.

Prostytutka czekała w źle oświetlonej sieni, odwrócona do niego plecami. Nie obejrzała się, lecz słysząc, że zamknął za sobą drzwi, ruszyła po schodach na górę. Z głębi domu dolatywały zapachy gotowania i stłumione głosy.

Przeszli dwie kondygnacje zatęchłych schodów. Prostytutka otworzyła drzwi i przytrzymała je, przepuszczając Karola naprzód, gdy zaś wszedł, zasunęła rygiel. Następnie zbliżyła się do kominka i rozjaśniła wiszące nad nim palniki gazowe. Poprawiła pogrzebaczem ogień i dorzuciła węgla. Karol rozejrzał się. W pokoju wszystko prócz łóżka było stare, ubogie, lecz nieskazitelnie czyste. Okazałe żelazne łóżko miało mosiężne kule wyczyszczone tak starannie, że lśniły jak złoto. W kącie naprzeciw stał parawan, za którym Karol dostrzegł umywalnię. Kilka tanich ozdób kilka tanich oleodruków na ścianach. Na oknie wystrzępione grube zasłony, w tej chwili zasunięte. Nic w tym pokoju nie zdradzało, iż używa się go do takiego celu jak uciechy zmysłowe.

— Najmocniej szanownego pana przepraszam. Zechce się pan rozgościć. Ja tylko na minutkę.

Wyszła przez inne drzwi do pokoju w głębi domu. Było tam ciemno i Karol zauważył, że zamknęła za sobą drzwi bardzo ostrożnie. Stał plecami do kominka. Przez zamknięte drzwi usłyszał stłumiony głosik przebudzonego dziecka, uciszanie, kilka słów wypowiedzianych szeptem. Drzwi otworzyły się znowu, prostytutka wróciła. Zdjęła już szal i kapelusz. Uśmiechnęła się do niego speszona.

— To moja córeczka, proszę pana. Nie będzie przeszkadzała. Złote dziecko. — Wyczuwając niezadowolenie Karola, dodała skwapliwie: — O parę kroków stąd jest restauracja, jeżeli szanowny pan głodny.

Karol nie był głodny, ale głód seksualny także mu już minął. Nie mógł się wprost zdobyć na to, żeby spojrzeć na kobietę.

— Proszę zamówić dla siebie, na co pani ma ochotę. Ja nie... to znaczy może trochę wina, gdyby się dało.

— Wino francuskie czy niemieckie, proszę pana?

— Kieliszek reńskiego. Lubi je pani?

— Dziękuję szanownemu panu. Poślę chłopca. Znikła znowu. Usłyszał, jak woła głośno, znacznie mniej delikatnie, kogoś w sieni na dole.

— Harry!

Odgłosy rozmowy, trzaśnięcie drzwi frontowych. Kiedy wróciła, zapytał, czy nie powinien dać jej pieniędzy— Ale okazało się, że ta pozycja wliczona jest do rachunku.

— Nie zechce pan usiąść?

Wyciągnęła ręce po jego kapelusz i laskę, które wciąż jeszcze trzymał. Oddał je, następnie rozchylił poły fraka i usiadł przy kominku. Dosypane przez nią węgle jakoś wolno się rozpalały. Ukłękła przed ogniem — i przed Karolem wprawiając w ruch pogrzebacz.

— Węgiel w najlepszym gatunku, proszę pana, powinien się dobrze palić. To przez tę piwnicę. Wilgotna, że coś okropnego.

Obserwował jej profil w czerwonym świetle ognia. Nie była to ładna twarz, lecz mocna, pogodna, bezmyślna. Biust dobrze rozwinięty, dłonie i przeguby zadziwiająco delikatne, niemal kruche. Dłonie te i niezmiernie gęste włosy roznieciły w nim na chwilę pożądanie. Miał już wyciągnąć rękę, żeby jej dotknąć, rozmyślił się jednak. Poczucie się lepiej, kiedy się napije wina. Trwali tak przez minutę, a może i dłużej. Wreszcie ona spojrzała na niego, on się uśmiechnął. Po raz pierwszy tego dnia doznał przelotnego uczucia uspokojenia.

Kobieta znów spojrzała w ogień i szepnęła:

— On za minutkę wróci. To tylko dwa kroki stąd.

Znów trwali w milczeniu. Ale takie chwile były dla wiktorianina czymś bardzo niezwykłym. Sprawami intymnymi nawet między mężem a żoną rządziły żelazne prawa konwenansu. A tutaj Karol, siedząc przy kominku tej kobiety, o której istnieniu przed godziną jeszcze nie miał pojęcia, czuł się jak...

— Ojciec pani córeczki?...

— Jest żołnierzem, proszę pana.

— Żołnierzem?

Wpatrywał się w ogień. Wspomnienia...

— Teraz jest w Indiach.

— Nie chciał się z panią ożenić?

Uśmiechnęła się z jego naiwności i potrząsnęła głową.

— Dał mi pieniędzy na czas, kiedy zlegnę. — Najwidoczniej chciała przez to powiedzieć, że zrobił wszystko, czego w granicach rozsądku można wymagać.

— A nie mogła pani znaleźć innych środków do życia?

— Pracowałam. Ale to całodzienna praca. No i kiedy zapłaciłam za opiekę nad małą Mary, zostawało mi... — Wzruszyła ramionami. — Trudno, jak krzywda, to krzywda. Nie da się nic naprawić, więc trzeba sobie radzić najlepiej jak można.

— Sądzi pani, że to najlepszy sposób?

— Innego już teraz nie znam, proszę pana.

Mówiła jednak bez oznak wstydu lub żalu. Los jej był przesądzony, choć z braku wyobraźni nie potrafiła tego zrozumieć.

Na schodach rozległy się kroki. Kobieta wstała, podeszła do drzwi i otworzyła je, nim zapukano. Karol dostrzegł w półmroku chłopca lat mniej więcej trzynastu, którego zapewne wytresowano, żeby nie patrzył, bo oczy miał spuszczone, gdy kobieta sama zaniósła tacę na stół pod oknem i wróciła z sakiewką do drzwi. Zabrzęczały miedziaki, po czym drzwi mknęły się cicho. Kobieta nalala szklankę wina i podała Karolowi, butelkę zaś postawiła obok na trójnogu przy kominku, jak gdyby należało wino ogrzać. Potem usiadła i zdjęła serwetkę z talerza na tacy. Kącikiem oka Karol zobaczył mały pasztecik, kartofle, angelkę płynu, pewno ginu z wodą, nie

sądził bowiem, żeby kazała sobie przynieść samej wody. Reńskie było kwaśne, ale Karol wypił je w nadziei, że przystąpi mu wrażliwość.

Potrzaskiwanie rozpalających się węgli, cichy syk palników gazowych, brzęk naczyń... Karol już sobie nie wyobrażał w jaki sposób przystąpią kiedykolwiek do istotnego celu jego tu obecności. Wypił jeszcze szklanekę cierpkiego wina zalatującego octem.

Kobieta wszakże zakończyła szybko posiłek. Wyniosła tace potem weszła znów do zaciemnionej sypialni, w której spało dziecko. Upłynęła minuta. Kobieta wróciła. Miała na sobie teraz biały *peignoir*, którego brzegi przytrzymywała ręką, żeby się nie rozchyłał. Rozpuszczone włosy opadały jej na plecy przytrzymywany rękami szlafroczek opinał ją dość ciasno, co miało pokazać, że jest pod nim naga. Karol wstał.

— Nie ma pośpiechu, proszę pana. Proszę dopić wino.

Spojrzał na stojącą przed nim butelkę, jak gdyby jej dotychczas nie zauważył, skinął głową, usiadł z powrotem i nalał sobie jeszcze szklanekę. Ona przesunęła się przed nim, wspięła na palce i wciąż drugą ręką trzymając szlafroczek, przykręciła gaz, aż pozostały tylko dwa zielone punkciki. Odblask płomieni na kominku zalał ją, łagodząc rysy młodej twarzy. Wówczas znów uklękła u stóp Karola, wpatrzona w ogień. Po chwili wyciągnęła do ognia obie ręce i szlafroczek nieco się rozwarł. Karol ujrzał białą pierś, zasnutą cieniem i tylko na pół obnażoną.

Wciąż patrząc w ogień spytała:

— Szanowny pan chciałby, żebym mu usiadła na kolanach.

— Tak... bardzo proszę.

Wychylił duszkiem wino. Ona wstała, zwierając brzeg szlafrocza, a potem lekkim ruchem usiadła mu na ściśniętych kolanach, prawą ręką obejmując za szyję. Otoczył lewym ramieniem jej kibić, prawe zaś z absurdalną nienaturalnością wciąż trzymał wyciągnięte na niskiej poręczy fotela. Jej lewa ręka przez chwilę jeszcze zaciskała tkaninę szlafrocza, a zaraz podniosła się i pogłaskała jego policzek. Oczy ich spotkały się. Spojrzała na jego usta, niby to nieśmiało, robiła jednak nadal swoje bez najmniejszego onieśmienia.

— Prawdziwie piękny dżentelmen.

— Ładna jesteś.

— Lubi się takie zepsute dziewczęta?

Zauważył, że opuszcza już słowo „pan”. Zacisnął lewe ramię nieco mocniej.

Kobieta sięgnęła wówczas po jego oporną prawą rękę i poprowadziła ją pod szlafroczkim do swej obnażonej piersi. Poczuł na środku dłoni sztywny sutek. Ręka jej przyciągnęła bliżej jego głowę. Pocałowali się, a jego dłoń, przypominając sobie zarysy ciała kobiecego, jedwabiste wypukłości — zapomnianą poezję — oceniwszy należycie pierś, zsunęła się pod szlafrokiem niżej, ku wcięciu w talii. Kobieta była naga, jej usta miały leciutki smak cebuli.

Może to właśnie wywołało u niego pierwszą falę mdłości. Ukrył ją, zamieniając się w dwóch ludzi — pierwszy wypił za dużo, drugi był teraz mocno podniecony. Szlafrok rozwarł się bezwstydnie, odsłaniając wklęsły brzuch kobiety, trójkąt ciemnych włosów pod nim i białe uda, które kusily widokiem i dotykiem. Jednak ręka Karola nie posunęła się dalej, ale powędrowała w górę, dotykając obnażonych piersi, szyi, ramion. Kobieta po owym pierwszym nakierowaniu męskiej dłoni nie robiła już nic. Leżała z głową opartą na jego ramieniu, bierna ofiara, marmur, który ożył, akt pędzla Etty'ego* [*William Etty (1787—1849) — malarz angielski, zdobył sławę swymi „*voluptuous nudes*” (zmysłowymi aktami), którymi zarazem naraził się na ostre potępienie purytanów.], młot Pigmaliona doprowadzony do pomyślnego zakończenia. Nowy atak mdłości chwycił Karola. Ona wyczuła to, lecz niewłaściwie zrozumiała.

— Za ciężka jestem?

— Nie... to znaczy...

— Łóżko jest bardzo wygodne. Miękkie.

Wstała, podeszła do łóżka, rozesała je starannie i odwróciła się, żeby spojrzeć na Karola. Szlafroczek zsunął się jej z ramion. Była dobrze zbudowana, pośladki miała kształtne. Usiadła na łóżku, jednym ruchem wsunęła nogi pod powleczone koc i z zamkniętymi oczami położyła się na wznak, w pozie jej zdaniem zapewne dyskretnej, a zarazem śmiałej. Węgłe zamigotały jaśniej, rzucając mocne, lecz chybotliwe cienie; pręty łóżka, utworzyły w tym świetle tańczącą na ścianie klatkę. Karol wstał, usiłując stłumić rewoltę w żołądku. To reńskie — był szalony, że je w ogóle pił. Dostrzegł, że kobieta otworzyła oczy. Zawahała się, a potem wyciągnęła do niego swe delikatne ramiona. Zrobił ruch, jakby chciał zdjąć frak.

Za chwilę poczuł się trochę lepiej i zaczął się rzeczywiście rozbierać. Starannie złożył na krześle ubranie, znacznie staranniej, niż je składał zazwyczaj we własnym pokoju. Musiał usiąść, żeby rozpiąć guziki butów. Patrzył w ogień, zdejmując spodnie i kalesony, które zgodnie z ówczesną modą sięgały nieco poniżej kolan. Ale koszuli nie mógł już zdjąć. Mdłości powróciły. Chwycił się gzymsu kominka okrytego koronkowym laufrem i zaciskając powieki, zmagął się z dolegliwością.

Tym razem ona wzięła tę zwłokę za skutek onieśmienia i odrzuciła koc, aby wstać i zaprowadzić go do łóżka. Zmusił się, żeby do niej podejść. Opadła znów na wznak, lecz nie przykryła już ciała. Karol stanął przy łóżku i patrzył na nią. Wyciągnęła do niego ramiona. On wciąż patrzył, świadom jedynie zawrót głowy, całkowicie już teraz we władzy zbuntowanych oparów ponczu mlecznego, szampana, burgunda, portwajnu, tego przeklętego reńskiego...

— Nie wiem, jak pani na imię.

Uśmiechnęła się, ujęła go za ręce i pociągnęła na łóżko.

— Sara, proszę pana.

Chwyciły go straszliwe kurcze. Wykręcając się na bok zaczął wymiotować w poduszkę obok jej zmartwiałej z przerażenia, w tył odrzuconej głowy.

41

...Powstań, wześć ku górze,
 Tańczący faunie, zmysłów święto;
 Dźwignij się, bestię zmęcz przeklętą,
 Małpa i tygrys niechaj umrze.
 Alfred Tennyson, *In Memoriam* (1850)

Po raz dwudziesty dziewiąty tego poranka Sam pochwycił spojrzenie kucharki, skierował oczy na szereg dzwonek nad drzwiami kuchennymi, a potem przeniósł je wymownie na sufit. Było południe. Można by przypuszczać, że Sam powinien się cieszyć z wolnego czasu, zależało mu jednak tylko na wolnym czasie spędzonym w miłym damskim towarzystwie niż towarzystwo zażywej pani Rogers.

— Coś mu dolega — powiedziała korpulentna wdowa, również po raz dwudziesty dziewiąty. Wszelako jeżeli była poirytowana, to powodem tego był Sam, nie zaś młody pan na górze. Od chwili powrotu przed dwoma dniami z Lyme lokaj napomykał o jakichś tajemniczych a niedobrych sprawach. Wprawdzie podzielił się z nią łaskawie nowinami o Winsyatt, przy każdym zdaniu dodawał: „A to jeszcze nie wszystko”. Nic więcej nie dało się z niego wydobyć. „Są pewne sekreta, szanowna pani R., o których nie wolno jeszcze mówić. Ale działały się takie rzeczy, że oczom nie wierzyłem.”

Sam miał zresztą bezpośredni powód do rozgoryczenia. Karol, udając się z wizyta do pana Freemana, nie zwolnił go na wieczór. Służący czekał tedy grubo za północ, a gdy usłyszał wreszcie,

że drzwi się otwierają, przywitało go tylko gniewne spojrzenie podkrążonych oczu w białej jak papier twarzy.

- Czemu, u diabła, nie śpisz?
- Bo pan nie powiedział, że zje kolację na mieście Karolu.
- Byłem w klubie.
- Tak jest, proszę pana.
- I nie patrz na mnie tak bezczelnie.
- Tak jest, proszę pana.

Sam wyciągnął ręce i odebrał, a raczej złapał różne części wierzchniej garderoby, na zakończenie zaś pochwycił jeszcze jedno miażdżące spojrzenie, które rzucił mu Karol. Następnie pan pomaszerował majestatycznie na górę. Umysł miał teraz zupełnie trzeźwy, ciało jednak pozostawało wciąż jeszcze pod wpływem alkoholu, czego Sam ze złośliwym, lecz niedostrzeżonym już uśmiechem nie omieszkął zauważyć.

- Słuszna racja, pani R. Jemu coś dolega. Wczoraj w nocy był zalany w pestkę.
- Nigdy bym nie uwierzyła.
- Dużo jest rzeczy, w które niżej podpisany nigdy by nie uwierzył, kochana pani R. A przecie się zdarzyły.
- Chyba nie chce z nią zerwać?
- Dzikie rumaki nie wyrwą mi sekretu, pani R. — Kucharka westchnęła głęboko. Zegar stojący przy płycie tykał głośno. Sam uśmiechnął się do niej. — Ale pani jest domyślna, pani R. Niezwykle domyślna.

Złość na Karola najpewniej dokonałaby za chwilę tego, czego nie zdołały dokonać dzikie rumaki, lecz głośny dzwonek uratował honor Sama, gasząc jednocześnie nadzieje pani Rogers.

Służący podniósł dwugalonowy garnek gorącej wody, który od samego rana czekał z boku na płycie, mrugnął na kucharkę i zniknął za drzwiami.

Istnieją dwa rodzaje kociokwiku, czyli kaca — w pierwszym człowiek czuje się ciężko chory i rozbity, w drugim czuje się ciężko chory, lecz ma niezwykłą jasność myśli. Karol obudził się, a nawet wstał dość długo przedtem, nim zadzwonił. W ten drugi rodzaj kaca. Pamiętał aż nazbyt wyraźnie zdarzeni ubiegłej nocy.

Torsje do reszty wyгнаły mu z myśli i z pamięci i tak niezbyt silne podniecenie erotyczne. Jego wybranka, nosząca tak pechowe imię, wstała szybko, wciągnęła szlafrok i dała dowody, że jest równie kompetentną pielęgniarką, jak kompetentną zapowiadała się prostytutką. Zaprowadziła Karola z powrotem na fotel przy kominka, gdzie na widok butelki z reńskiego natychmiast znów zrobiło mu się niedobrze. Tym razem jednak trzymała już w pogotowiu miednicę z umywalni. Karol między, jednym a drugim atakiem wymiotów usiłował ją wciąż przeproszać.

— Okropnie mi przykro... fatalna historia... coś mi zaszkodziło...

— To nic, proszę pana, to nic. Niech pan sobie ulży.

Musiał sobie ulżyć, innej rady nie było. Kobieta przyniosła swój szal i zarzuciła mu na ramiona. Siedział przez jakiś czas skulony groteskowo jak stara babcia, pochylając głowę nad trzymaną na jego kolanach miednicą. Po pewnym czasie poczuł się nieco lepiej. Może by się przespał? Owszem, ale we własnym łóżku. Kobieta wyjrzała przez okno na ulicę, potem wyszła z pokoju, gdy tymczasem Karol ubierał się drżącymi rękami. Kiedy wróciła, była również ubrana. Spojrzał na nią przerażony.

— Nie zamierza pani chyba?...

— Przyprawdź panu dorożkę, proszę pana. Jeżeli zechce pan poczekać.

— Ach, tak... dziękuję.

Usiadł znowu, ona zaś zeszła na dół. Nie był wcale pewien, czy torsje już nie wrócą, ale psychicznie czuł głęboką ulgę. Mniejsza o to, jakie miał zamiary, nie popełnił jednak fatalnego uczynku. Spojrzał w ogień i choć to się może wydać dziwne, uśmiechnął się słabo.

Naraz z sąsiedniego pokoju dobiegł cichy płacz. Cisza, potem płacz rozległ się znowu, tym razem głośniejszy i dłuższy. Mała widocznie się obudziła. Jej płacz — cisza, kwilenie, szloch, cisza, kwilenie — stał się nie do zniesienia. Karol podszedł do okna i rozsunął zasłony. Mgła utrudniała widoczność. Na ulicy nie było żywej duszy. Zdał sobie sprawę, jak rzadko rozlegał się tu tętent kopyt, i zrozumiał, że kobieta musiała pójść bardzo daleko, żeby zdobyć dla niego dorożkę. Gdy tak stał niezdecydowany, z sąsiedniego domu rozległo się walenie w ścianę. Rozzłoszczony męski głos krzyczał coś gniewnie. Karol zawahał się, wreszcie położył kapelusz i laskę na stole i otworzył drzwi do tamtego pokoju. W półmroku zdołał rozróżnić zarysy szafy i starego kufra. Pokoik był bardzo mały. W przeciwległym kącie, za komodą, stało łóżeczko na kółkach. Płacz dziecka odezwał się nagle ze zdwojoną siłą, wypełniając pokoik. Karol nieopatrznie stał na oświetlonym progu niby straszliwy, czarny olbrzym.

— No, cicho, cicho. Mama zaraz wróci.

Obcy głos naturalnie pogorszył tylko sprawę. Karolowi zdawało się, że cała okolica musiała się chyba obudzić, tak przeraźliwe stały się wrzaski małej. W zakłopotaniu uderzył o coś głową, potem wszedł do pokoju i stanął w półmroku przy łóżeczku. Gdy zobaczył, jakie to małe dziecko, zrozumiał, że słowa na nic się nie zdadzą. Pochylił się nad dziewczynką i ostrożnie pogłaskał ją po główce. Gorące paluszki chwyciły go za rękę, ale płacz nie ustawał. Malutka, skrzywiona twarzyczka wyrzucała z siebie niewyczerpane zasoby lęku ze zdumiewającą siłą. Trzeba było koniecznie znaleźć jakiś środek zaradczy. Karol znalazł go. Namacał w kieszeni zegarek, odczepił dewizkę od kamizelki i zaczął kołysać zegarkiem przed małą. Skutek był

natychmiastowy. Wrzaski zamieniły się w ciche pochlipywanie. Potem rączki wyciągnęły się w górę, żeby chwycić prześliczną zabawkę, chwyciły ją, ale zaraz zgubiły wśród pościeli. Dziewczynka usiłowała usiąść, nie udało jej się to. Krzyki wybuchły znowu.

Karol pochylił się nad małą, żeby oprzeć ją wyżej na poduszkach. Naraz ogarnęła go pokusa. Wyciągnął ją w jej długiej koszulce nocnej z łóżeczka, potem odwrócił się i usiadł na komodzie. Trzymając drobne ciało na kolanach, kołysał zegarkiem przed sięgającymi chciwie rączkami. Mała należała do owych pucołowatych wiktoriańskich dzieci z czarnymi paciorkami zamiast oczek; przemile czarnowłose stworzonko. Jej raptowna zmiana nastroju, radosny śmiech, kiedy wreszcie pochwyciła upragniony zegarek, rozbawiły Karola. Zaczęła mówić coś dziecinnie i niezrozumiale. Karol w odpowiedzi mrucał: tak, tak, dobra dziewczynka, grzeczna dziewczynka, ładna, ładna dziewczynka. Wyobraził sobie nagle, że sir Tom i syn biskupa widzą go w tej chwili... że oglądają finał jego wielkiego skoku w rozpustę. Dziwne, niezbadane labirynty życia — tajemnice spotkań.

Uśmiechnął się, gdyż to dziecko nie tyle obudziło w nim sentymentalne rozrzewnienie, ile przywróciło mu zwykłą ironię, która z kolei była czymś w rodzaju wiary w siebie. Wcześniej tego wieczora, kiedy siedział w powozie sir Toma, miał fałszywe poczucie, że żyje terażniejszością, lecz owo odrzucenie przeszłości i przyszłości było tylko gniewną próbą zapomnienia, odtrącenia wszelkiej odpowiedzialności. W tej chwili rozumiał znacznie głębiej i wyraźniej, jak bardzo łudzą się ludzie, gdy chodzi o pojęcie czasu. Wydaje im się bowiem, iż czas jest czymś w rodzaju drogi, na której człowiek zawsze widzi, gdzie jest i gdzie się przypuszczalnie znajdzie — prawda zaś przedstawia się zupełnie inaczej: czas jest miejscem, jest terażniejszością oblegającą nas tak ciasno, że z reguły jej nie dostrzegamy.

Doznania Karola stanowiły diametralne przeciwieństwo doznań Sartre'a. Te proste meble, ciepłe światło z sąsiedniego pokoju, skromne cienie, a nade wszystko ta mała istotka, którą trzymał na kolanach, tak nieważka w porównaniu z ciężarem jej matki (Karol wcale zresztą o niej już nie myślał), nie były to obiekty zaborcze i wrogie, lecz pomocne i życzliwe. Piekło jest nieskończoną i pustą przestrzenią, one zaś są przed nim obroną. Karol poczuł naraz, że potrafi stawić czoło przyszłości, która jest tylko jedną z postaci owej straszliwej pustki. Cokolwiek go spotka, takie chwile jak ta będą powracać — muszą powracać i można je odnaleźć.

Drzwi otworzyły się. prostytutka stanęła w smudze światła. Karol nie widział jej twarzy, domyślił się jednak, że się w pierwszej chwili przestraszyła. Powiedziała z ulgą:

- Ojej, proszę pana... Czy płakała?
- Tak. Trochę. Teraz chyba znów zasnęła.
- Musiałam iść aż na postój przy Warren Street. Wszystkie się tam zjechały.
- Serdecznie dziękuję.

Podał jej dziecko i patrzył, jak układa je w łóżeczku, potem odwrócił się raptownie i wyszedł z pokoju. Namacał w kieszeni pieniądze, odliczył pięć suwerenów i zostawił na stole. Dziecko znów się obudziło, matka zaczęła je uciszać. Karol poczekał chwilę, po czym cicho opuścił pokój.

Wsiadł już do czekającej dorożki, gdy kobieta zbiegła na dół. Podniosła na niego oczy z wyrazem zdumienia, niemal bólu.

— Ach, proszę pana... dziękuję. Dziękuję panu. Dostrzegł, że ona ma łzy w oczach — nic tak nie wzrusza biedaków jak niespodziewane, a niezarobione pieniądze.

— Jest pani bardzo dzielna i bardzo dobra.

Wychylił się i dotknął jej ręki zaciśniętej na okuciu dorożki. Potem zapukał laską, dając znak do odjazdu.

Historia nie przypomina bynajmniej osoby, która używa ludzi do osiągnięcia swych celów. Historia to tylko uczynki ludzi, z których każdy dąży do własnego celu.

Karol Marks, *Die Heilige Familie* (1845)

Karol, jak już wiemy, nie powrócił do Kensington w tak idyllicznym i filantropijnym nastroju, w jakim rozstał się z prostytutką. Podczas godzinnej jazdy znów dostał ataku mdłości i miał dość czasu, aby nabrać do siebie odrazy. Obudził się wszakże w lepszym humorze. Jak to zwykle mężczyzna po przepiciu, przyjrzał się ze zgrozą odbiciu swej wymizerowanej twarzy i zajrzał do spierzchniętych, spieczonych ust, w końcu jednak doszedł do wniosku, że mimo wszystko może śmiało patrzeć światu w oczy. W każdym razie spojrzął w oczy Samowi, kiedy ten przyniósł gorącą wodę, a nawet zdobył się na coś w rodzaju przeprosin za swój szorstki ton ubiegłej nocy.

— Nic takiego nie zauważyłem, panie Karolu.

— Miałem dość męczący wieczór, uważasz. A teraz bądź dobry i przynieś mi wielki imbryk herbaty. Mam diabelne pragnienie.

Sam wyszedł, nie zdradzając się z ukrytą opinią, że jego pan ma coś jeszcze diabelnego, nie tylko pragnienie. Karol umył się, ogolił i zaczął rozmyślać o Karolu. Było rzeczą jasną, że nie jest stworzony na hulakę, ale dzięki temu nie przywykł też do wyrzutów sumienia i pesymizmu. Przecież pan Frejman sam powiedział, że mogą upłynąć dwa lata, zanim trzeba będzie podjąć jakąś decyzję co do przyszłości? A w ciągu dwóch lat może się zdarzyć wiele rzeczy. Karol nie powiedział sobie wyraźnie: „Stryj może umrzeć”, lecz myśl taka czaiła się gdzieś w zakamarkach mózgu. Ponadto cielesna strona doświadczeń, ubiegłej nocy przypominała mu, że wkrótce już będzie zażywał w tej dziedzinie rozkoszy usankcjonowanych przez Kościół i prawo. Tymczasem musi zdobyć się na wstrzemięźliwość. A to dziecko — ileż braków w życiu wynagradza zapewne posiadanie dzieci!

Sam wrócił z herbatą i z dwoma listami. Życie znów stało się wytyczoną drogą. Karol dostrzegł od razu, że górna koperta jest dwukrotnie ofrankowana — list nadano w Exeter i przesłano do Kensington z zajazdu „Pod Białym Lwem” w Lyme Regis. Drugi list nadszedł bezpośrednio z Lyme. Karol zawahał się, potem dla odwrócenia podejrzeń wziął nóż do papieru i podszedł do okna. Najpierw otworzył list od Grogana, ale zanim go przeczytamy, musimy przeczytać list, który Karol wysłał mu po powrocie do Lyme owego ranka, kiedy o świcie pomaszzerował do stodoły Carslake’a. Treść listu była następująca:

Szanowny Panie Doktorze!

Piszę w wielkim pośpiechu, żeby podziękować Panu za jego nieocenione rady i pomoc wczorajszego wieczora i zapewnić Go raz jeszcze, iż z największą radością poniosę koszty opieki i wszelkich zabiegów, jakie kolega Pana Doktora i Pan Doktor sam uznają za wskazane. Zdaję sobie w pełni sprawę, jakim szaleństwem było moje niewczesne zainteresowanie wiadomą osobą, ufam więc, iż Pan Doktor, rozumiejąc to, powiadomi mnie, gdyby wyszły na jaw jakieś szczegóły dotyczące dzisiejszego porannego spotkania.

Niestety, nie zdołałem w końcu poruszyć tego tematu w domu przy Broad Street. Mój dość nagły wyjazd i różne inne okoliczności, którymi nie będę teraz zaprzątał Pana uwagi, złożyły się na to, że chwila była najzupełniej do takiej rozmowy nieodpowiednia. Ale natychmiast po powrocie wszystko zostanie wyjaśnione. Na razie muszę prosić Pana Doktora o zachowanie całej sprawy w sekrecie. Wyjeżdżam niezwłocznie. Adres londyński podaję poniżej.

Wdzięczny bez granic K. S.

Nie był to szczyry list. Ale trudna rada, trzeba napisać. Teraz Karol z niepokojem rozwinął odpowiedź.

Drogi Panie Smithson!

Odkładałem napisanie do Pana w nadziei, że uzyskam jakieś *éclaircissement* naszej małej tajemnicy. Stwierdzam z żalem, że jedyną przedstawicielką płci żeńskiej, jaką spotkałem owego ranka, była Matka Natura — dama, z którą rozmowa po blisko trzech godzinach oczekiwania zaczęła mnie trochę nużyć. Słowem, wiadoma osoba nadeszła. Po powrocie do Lyme wysłałem bystrego chłopca, żeby mnie zastąpił. Ale on również przesiedział *sub tegmine fagi* w miłej samotności. Piszę to wszystko żartobliwie, przyznam się jednak, że kiedy chłopiec owego wieczora powrócił, zaczęły mną targać najgorsze obawy.

Wszelako nazajutrz rano doszło do moich uszu że w „Pod Białym Lwem” otrzymano polecenie, aby wysłać kufer dziewczyny do Exeter. Kto wydał polecenie, tego nie udało mi się ustalić. Bez wątpienia jednak to ona sama je nadeszła. Możemy więc chyba uznać, że wyjechała.

Lękam się tylko, że być może pojechała za Panem do Londynu i tam zechce znów obarczyć Pana swoimi troskami. Błagam, niech Pan nie zbywa tej możliwości uśmiechem. Gdybym miał czas, zacytowałbym Panu wypadki, kiedy obrano taką właśnie metodę postępowania. Załączam pewien adres. Jest to znakomity specjalista, z którym od dawna koresponduję, toteż radzę Panu powierzyć mu całą sprawę, gdyby dalsze kłopoty zapukały *à la lettre* do Pańskich drzwi.

Może Pan być zupełnie spokojny, że o całej historii nie szepnąłem i nie szepnę nikomu ani słowa. Nie będę powtarzał swojej rady dotyczącej uroczej istoty — którą, nawiasem mówiąc, miałem właśnie przyjemność spotkać na ulicy — zalecam jednak wyznanie przy pierwszej sposobności. Nie sądzę, aby *absolutur* wymagało zbyt długiej i ciężkiej pokuty.

Szczerze oddany Michał Grogan

Skruszony Karol odetchnął z ulgą na długo przedtem, nim skończył czytać list. Nic nie wyszło na jaw. Patrzał chwilę przez okno sypialni, następnie otworzył drugi list.

Spodziewał się kilku kartek, lecz była tylko jedna.

Spodziewał się potoku słów, lecz były tylko cztery.

Adres.

Zgniótł panier w ręce, podszedł do ognia, który pokojówka o ósmej rano przy akompaniamencie jego chrapania rozpalila na kominku, i wrzucił kartkę do płomieni. Kartka po pięciu sekundach zamieniła się w popiół. Wziął filiżankę herbaty od czekającego wciąż Sama. Wypił duszkiem i wyciągnął filiżankę wraz ze spodkiem po następną porcję.

— Samie, załatwiłem już wszystko. Jutro wracamy do Lyme. Pociągiem o dziesiątej rano. Zajmij się biletami. Aha, i zanieś na pocztę dwa telegramy, które leżą na moim biurku. Potem możesz mieć wolne popołudnie i poszukać jakichś ładnych wstążek dla czarującej Mary — oczywiście jeżeliś czasem nie ulokował serca gdzie indziej.

Sam czekał tylko na taką sposobność. Napełniając złoconą filiżankę, ogarnął szybkim spojrzeniem plecy swego pana i podając na małej srebrnej tacce herbatę, oznajmił:

— Panie Karolu, ja chcę prosić o jej rękę.

— Doprawdy!

A właściwie chciałbym, panie Karolu, żeby nie to, że tu, u pana, mam takie świetne widoki. Karol wypił tyk herbaty.

— Wal, Samie. Skończ z zagadkami.

— Jakbym się ożenił, nie mógłbym już tu mieszkać, proszę pana.

Karol spojrzął na niego z instynktownym sprzeciwem, dowodzącym, jak mało się dotychczas nad tą sprawą zastanawiał. Potem usiadł przy kominku.

— Słuchaj, Samie. Niech Pan Bóg broni, abym miał stać na drodze do twojego szczęścia... ale nie zamierzasz chyba porzucić mnie teraz, tuż przed moim ślubem?

— Pan nie tak mnie zrozumiał, panie Karolu. Myślałem o tym, co będzie później.

— Zamieszkamy w znacznie większym domu. Pewien jestem, że moja żona chętnie będzie widziała Mary u siebie... więc o co właściwie chodzi?

Sam odetchnął głęboko.

— Myślę o tym, żeby założyć własny interes, panie Karolu. To znaczy, jak się już pan urządzi, panie Karolu. Przecie nigdy bym nie zostawił pana w trudnej chwili.

— Interes? Co za interes?

— Bardzo sobie umyśliłem, żeby mieć sklep, panie Karolu.

Karol odstawił filiżankę na skwapliwie podstawioną tackę.

— Ale czyty masz... no, rozumiesz, czy masz jakąś gotówkę?

— Mam oszczędności, panie Karolu. Moja Mary też.

— Tak, tak, ale trzeba przecież płacić komorne i... na miłość boską, człowieku, kupować towar... Jaki to ma być sklep?

— Galanteria i materiały bławatne, panie Karolu.

Karol wybałuszył na Sama oczy, jak gdyby służący stanowią nagle zostać buddystą. Przypomniał sobie jednak kilka drobnych incydentów, pretensjonalne maniery Sama oraz to, że w wykonywanym obecnie zawodzie Sam nie zasłużył nigdy na naganę pod jednym tylko względem — gdy chodzi o staranność w ubiorze. Karol nie raz (ściśle biorąc: z dziesięć tysięcy razy) wykpiwał tę jego próżność.

— No i odłożyłeś dosyć, żeby...

— Niestety nie, panie Karolu. Musielibyśmy wszystkiego sobie odmawiać.

Nastąpiła uciążliwa cisza. Sam zajął się pilnie mlekiem i cukrem. Karol pocierał bok nosa trochę na sposób Sama. Wreszcie zrozumiał. Wziął trzecią filiżankę herbaty.

— Ile?

— Znam sklep, na który miałbym ochotę, panie Karolu. Właściciel chce sto pięćdziesiąt funtów odstępnego i sto za towar. No i trzeba jeszcze trzydzieści funtów na komorne. Zerknął badawczo na Karola. — Naturalnie jest mi u pana bardzo dobrze, panie Karolu... tylko że zawsze marzyłem o tym, żeby mieć sklep.

— A ile masz odłożone?

Sam zawahał się.

— Trzydzieści funtów, proszę pana.

Karol nie uśmiechnął się, lecz podszedł do okna i stanął przy nim.

— Jak długo trwało, nim je zaoszczędziłeś?

— Trzy lata, proszę pana.

Suma dziesięciu funtów rocznie może się wydać niewielka, stanowiła jednak, jak Karol szybko obliczył, trzecią część poborów, była też dowodem znacznie większej zapobiegliwości, niż Karol sam mógł się poszczycić. Obejrzał się na Sama, który stał w pozie potulnego oczekiwania — oczekiwania na co? — przy stoliku z naczyniami do herbaty. Podczas pauzy, która nastąpiła, Karol popełnił pierwszy fatalny błąd, a mianowicie postanowił szczerze powiedzieć Samowi, co myśli o jego projekcie. Może chciał w ten sposób troszeczkę zablefować, udać, że w słowach Sama nie dopatruje się nawet cienia przymawiania się o nagrodę za

wyświadczone usługi, przede wszystkim jednak grało tu odwieczne poczucie odpowiedzialności nieomylnego pana za omylnego sługę — niemające nic wspólnego z wyniosłą pogardą.

— Ostrzegam cię, Samie, że takie rojenia ponad stan nie przyniosą ci nic prócz przykrości. Będiesz nieszczęśliwy bez sklepu, a podwójnie nieszczęśliwy, jeżeli go zdobędziesz. — Głowa Sama opadła trochę niżej. — A poza tym, Samie przyzwyczałem się do ciebie... lubię cię. Tam do diabła, nie chcę cię przecież stracić.

— Wiem, panie Karolu. Pańskie uczucia są w wysokim stopniu odwzajemnione. Z całym szacunkiem, proszę pana.

— No widzisz. Jest nam dobrze ze sobą. Niech już tak będzie dalej.

Sam uklonił się i zabrał do sprzątanego po herbacie. Cała jego postać wyrażała zawód: Karol miał przed sobą „Zniweczone nadzieje”, „Złamane życie”, „Cnotę nienagrodzoną” i tuzin innych tragicznych posągów.

— Samie, oszczędź mi widoku zbitego psa, błagam cię. Jeżeli się ożenisz z tą dziewczyną, musisz oczywiście mieć pensję człowieka żonatego. No i coś na początek. Zabezpieczę cię jak należy, bądź pewien.

— To bardzo szlachetnie z pana strony, panie Karolu. Głos jednak nadal był grobowy, tragiczne posągi wciąż nie znikwały. Karol przez chwilę ujrzał siebie oczami Sama. W ciągu lat spędzonych wspólnie Sam był świadkiem, jak Karol wydaje moc pieniędzy, musi też wiedzieć, że Karol po ślubie dostanie znaczną fortunę, może więc całkiem naturalnie — czyli z najniewinniejszych pobudek — przypuszczać, że dwieście czy trzysta funtów to dla Karola drobnostka.

— Samie, nie posądzaj mnie o skąpstwo. Ale chodzi o to... dlatego właśnie byłem w Winsyatt... no, słowem, sir Robert się żeni.

— Co?! Sir Robert! Niepodobna!

Rumienie Sama każe nam podejrzewać, że powinien był zwrócić swe ambicje w kierunku teatru. Odegrał wszystko, co można, tyle tylko, że nie upuścił trzymanej tacy, ale działo się to oczywiście przed Stanisławskim. Karol odwrócił się do okna i mówił dalej:

— Oznaczą to, Samie, że w okresie, kiedy i tak czekają mnie poważne wydatki, niewiele mam na zbyciu.

— Nie miałem pojęcia, panie Karolu. Ależ... trudno wprost uwierzyć... w jego wieku!

Karol skwapliwie powstrzymał ten wzbierający potok współczucia.

— Musimy życzyć sir Robertowi wszelkiej pomyślności.

Ale fakt pozostaje faktem. Wkrótce będzie podany do wiadomości publicznej. Jednakże, Samie, proszę, żebyś nikomu o tym nie wspominał.

— Panie Karolu, pan wie, że potrafię dochować sekretu. Karol rzucił Samowi bystre spojrzenie, lecz służący znów skromnie spuścił oczy. Karol dużo by dał za to, aby w nie zajrzeć, pozostały jednak ukryte przed jego badawczym wzrokiem i popchnęły go do drugiego fatalnego błędu — rozpacz Sama bowiem była nie tyle wynikiem odmowy Karola, ile okropnego przypuszczenia, że jego pan nie ma wcale grzesznej tajemnicy, o którą można by go zahaczyć.

— Samie, ja... uważasz, kiedy się już ożenię, będzie mi łatwiej... nie chciałbym pozbawiać cię wszelkiej nadziei.

W sercu Sama rozgorzał płomyk radości. Udało się pan musi mieć nieczyste sumienie.

— Panie Karolu, żałuję, że się w ogóle odezwałem, proszę pana. Nie miałem pojęcia.

— Ależ to nic. Cieszę się, żeś mi powiedział. Poproszę może o radę pana Freemana, jeżeli się nadarzy okazja. On z pewnością wie, co należy sądzić o takim przedsięwzięciu.

— Szczere złoto, panie Karolu, szczere złoto — tak bym traktował każde słowo porady z ust czcigodnego pana Freemana.

Wyrzekłszy tę hiperbolę, Sam wyszedł. Karol patrzył na zamknięte drzwi. Zaczął się zastanawiać, czy w charakterze Sama nie wydobywa się ostatnio na powierzchnię coś z Uriasza Heepa* [* Uriasz H e e p — postać z *Dawida Copperfielda* Dickensena, złośliwy intrygant udający skromność i pokorę.] — jakaś dwulicowość. Sam Farrow małpował zawsze dżentelmena ubiorem i manierami, teraz jednak w tym podrabianym dżentelmenie wyczuwało się coś innego, nieznanego dotychczas. Cóż za okres zmian! Tyle opok, które Karol miał za niewzruszone, zaczyna się roztopiać i rozwiewać. Patrzył tak przez kilka chwil, ale zaraz powiedział sobie: phi! Z pieniędzmi Ernestyny w banku cóż to będzie miało z znaczenie, jeśli spełni prośbę Sama? Podszedł do biurka i otworzył szufladę. Wyciągnął z niej notes i coś zapisał — z pewnością notatkę dla pamięci o tym, że ma porozmawiać z panem Freemanem.

Tymczasem Sam na dole czytał treść obu depesz. Jedna zaadresowana była do gospody „Pod Białym Lwem” i donosiła ooberżyście o ich powrocie. Druga brzmiała:

PANNA FEMAN U PANNY TRANTER, BROAD STREET, LYME REGIS. ROZKAZ NATYCHMIASTOWEGO POWROTU OTRZYMAŁEM I WYKONAM Z NAJWYŻSZĄ RADOŚCIĄ BEZGRANICZNIE ODDANY KAROL SMITHSON.

W owych czasach tylko nieokrzesani Jankesi zniżali się do telegraficznego stylu.

Nie był to pierwszy egzemplarz korespondencji prywatnej, jaki Sam cenzurował tego ranka. Koperta drugiego listu, który przyniósł Karolowi, była zaklejona, lecz nieopatrzona pieczęcią. Odrobina pary czyni cuda, a Sam miał do dyspozycji cały ranek, mógł więc znaleźć się na minutkę w kuchni niepożądanych świadków.

Być może zaczynają się państwo przychylić do zdania Karola o Samie Farrow. Nie prezentuje się on nam jako najuczciwszy z ludzi, trzeba to przyznać. Ale myśl o małżeństwie ma na ludzi dziwny wpływ. Każę przyszłym współmałżonkom dostrzegać nierówność w podziale dóbr; sprawia, iż pragnęliby więcej posiadać, aby więcej móc dać sobie nawzajem; zabija beztróskę młodości; odpowiedzialność wobec ukochanej osoby wzrasta, lecz zarazem bardziej altruistyczne strony umowy społecznej zostają przyćmione. Słowem, łatwiej jest być nieuczciwym dla siebie i dla kogoś jeszcze, niż tylko dla siebie. Sam nie uważał swego postępowania za nieuczciwe, określał je jako „właściwe wyzyskanie karty”. Mówiąc wprost, oznaczało to, że małżeństwo Karola z Ernestyną musi dojść do skutku, bo tylko z jej posagu mógł się spodziewać swoich dwustu pięćdziesięciu funtów; jeżeli dalsze konszachty między jego panem a grzesznicą z Lyme mają trwać, muszą trwać pod bystrym okiem gracza w karty — co może być wcale niezłe, bo im bardziej Karol będzie się czuł winny, tym łatwiej będzie go przycisnąć, ale znów jeżeli sprawy zajdą za daleko... Sam przygryzł dolną wargę i zmarszczył brwi. Nic dziwnego, że zaczynał się czuć ważną personą — intryganci zawsze czują doniosłość swojej roli.

Wydało mi się — ona stoi,
 Niby cień jakiś u stóp moich,
 Wysoko nad cienistą ziemią.
 Alfred Tennyson, *Maud* (1855)

Dla mitu o racjonalnym postępowaniu ludzkim łatwiej chyba znaleźć odpowiednie barwy w żelaznym wieku, jakim była epoka wiktoriańska, niż w jakimkolwiek innym. Karol po nocy buntu postanowił mimo wszystko wziąć ślub z Ernestyną. W gruncie rzeczy ani przez chwilę nie przeszło mu przez myśl, że mógłby postąpić inaczej, a zakład Mamy Terpsychory i epizod z prostytutką wbrew pozorom utwierdziły go tylko w tym zamiarze — rozwiały ostatnie dziecinne wątpliwości, przekreśliły ostatni znak zapytania nad sprawą niepodlegającą dyskusji. Mówił to sobie zresztą w trakcie mdlącej jazdy do domu, i tym chyba należy tłumaczyć szorstkość, z jaką potraktował Sama. Co się zaś tyczy Sary... ta druga Sara była jej namiastką, jej smutnym, nędznym końcem, dla Karola zaś ostatecznym przebudzeniem.

Mimo wszystko wolałby, żeby jej list zawierał wyraźniejsze dowody winy — żeby prosiła o pieniądze (ale nie mogła przecież wydać w tak krótkim czasie całych dziesięciu funtów) albo przelała na papier swe grzeszne uczucia. Trudno jednak wyczytać namiętność czy rozpacz z czterech słów: „«Hotel Rodzinny» pani Endicott” — na dobitkę bez daty, nawet bez inicjału!

Sara bez wątpienia popełniła akt nieposłuszeństwa, omijając pannę Tranter, lecz nie sposób było zarzucić jej, że puka do jego drzwi.

Decyzja co do ukrytego w tych słowach zaproszenia nie nastęczała trudności — Karolowi nigdy już nie wolno się Sarą spotkać. Ale może Sara—prostyutka przypomniła mu, jak wyjątkową kobietą jest Sara—banitka — całkowity brak wyższych uczuć u pierwszej podkreślał tylko ich zdumiewające przetrwanie u drugiej. Jakże jest na swój dziwny sposób bystra i wrażliwa... to, co mówiła już po wyznaniach, wciąż Karola prześladowało.

Podczas długiej drogi powrotnej do Lyme myślał dużo o Sarze — jeżeli wspomnienia można uznać za rozmyślania. Nie mógł się wyzbyć przeświadczenia, że umieszczenie jej w zakładzie, choćby najbardziej postępowym, stanowiłoby akt zdrady. Mówię „jej”, ale zaimek ten jest przecież maską, i to jedną z najbardziej przerażających, jakie człowiek wynalazł. Karolowi bowiem nie ukazywał się w pamięci zaimek, lecz oczy, spojrzenie, linia włosów nad skronią, lekki krok, uśpiona twarz. Wszystko to nie było oczywiście marzeniem, tylko poważnym roztrząsaniem problemu moralnego, wywołanym jedynie godziwą i najczystsą troską o pomyślność nieszczęśliwej kobiety.

Pociąg wjechał na peron dworca w Exeter. W chwilę po gwizdku, obwieszczającym postój, pod oknem przedziału ukazał się Sam, który rzecz jasna podróżował trzecią klasą.

— Zatrzymamy się na noc, panie Karolu?

— Nie. Weź powóz. I to kryty. Znosi się na deszcz.

Sam byłby się założył o tysiąc funtów, że zatrzymają się w Exeter. Usłuchał jednak natychmiast, podobnie jak jego pan na widok twarzy służącego natychmiast powziął decyzję, bo w głębi ducha nie był jeszcze zdecydowany, jak ma postąpić. W gruncie rzeczy rozstrzygnął o tym Sam, Karol bowiem nie mógł znieść myśli o nowych kłamstwach i wykrętach. Dopiero wtedy, gdy sunęli już przez wschodnie peryferie miasta, doznał uczucia smutku i utraty, uczucia, że kości zostały rzucone. Zdumiewało go, że jedna prosta decyzja, jedna odpowiedź na łatwe, zdawałoby się, pytanie, może mieć tak wielką wagę. Aż do tej chwili wszystko było możliwe,

teraz wszystko zostało rozstrzygnięte raz na zawsze. Postąpił słusznie, zgodnie z nakazami moralności i honoru, a przecież postępek ten zdradzał wewnętrzną słabość, chęć pogodzenia się z losem, który odpowiadało mu to przeczucie równe niemal pewności — z czasem zaprowadzi Karola do świata handlu. Niezawodnie bowiem ulegnie namowom Ernestyny, chcącej sprawić przyjemność ojcu, któremu tyle przecież zawdzięczają... Karol spoglądał na krajobraz wiejski za oknem, gdyż wyjechali już tymczasem z miasta, i czuł, że ów nieuchronny los wsysa go wolno i nieubłaganie niby potworna pompa.

Powóz toczył się, obłuzowany resor skrzypiał na każdym wyboju posępnie jak żałobny karawan. Gęste chmury powlekały przedwieczorne niebo, zaczął mżyć deszcz. W takich okolicznościach Karol, jadąc samotnie, zapraszał zwykle Sama na dół do powozu. Dziś jednak nie mógł znieść myśli o towarzystwie służącego (który zresztą, widząc na mokrej drodze do Lyme tylko upragnione złoto, nie czuł żalu o ten ostracyzm). Miał wrażenie, że nigdy już nie zazna samotności, musi więc korzystać z ostatnich krótkich chwil. Powrócił znów myślą do kobiety pozostawionej w Exeter. Nie myślał o niej oczywiście jako o alternatywie Ernestyny ani jako o wybrance, którą chciałby poślubić zamiast tamtej. O niczym podobnym nie mogło być mowy. Na dobrą sprawę nie myślał właściwie o Sarze — była tylko symbolem skupiającym w sobie wszystkie utracone możliwości, zaprzepaszczoną wolność, podróże, których nigdy już nie odbędzie. Musiał się z czymś pożegnać, a Sara stanowiła tylko dogodny obiekt, znajdujący się dość blisko, a zarazem odpływający w dal.

Jedno nie ulegało wątpliwości: był ofiarą życia, amonitem porwanym wielką falą dziejów i na wieki porzuconym na suchym lądzie, potencjałem zamienionym w skamielinę.

Po pewnym czasie uległ ostatecznej słabości — zapadł w sen.

Obowiązek — powiedz raczej
 To ulegle robić znaczy
 Wszystko, co ton dobry każe,
 Nie pojmując sensu zdarzeń...
 To zdusić jak grzech śmiertelny
 Ostro i szybko w zarodku
 Ciekawość, rój pytań celnych,
 Które stawia nam coś w środku;
 To tchórzliwe pogodzenie
 Z tym, co niesie przeznaczenie...
 Arthur Hugh Clough, *Duty* (1841)

Przybyli do zajazdu „Pod Białym Lwem” tuż przed dziesiątą wieczór. W domu panny Tranter paliło się jeszcze światło; gdy przejeżdżali, poruszyła się firanka. Karol dopelnił szybko toalety, kazał Samowi rozpakować rzeczy i ruszył mężnie na Broad Street. Mary ucieszyła się ogromnie na jego widok, stojąca tuż za nią ciotka Tranter rozpyływała się w powitalnych uśmiechach. Zgodnie z otrzymanym rozkazem miała zniknąć natychmiast po przywitaniu podróżnika — tego wieczora mowy być nie mogło o jakichś tam przywoitkach. Ernestyna, jak zwykle wysoko sobie ceniąc własną godność, została w małym saloniku.

Nie wstała, kiedy wszedł Karol, lecz rzuciła mu spod rzęs spojrzenie przeciągłe i pełne wyrzutu. Uśmiechnął się do niej.

— Zapomniałem kupić kwiatów w Exeter.

— Widzę to, łaskawy panie.

— Spieszyło mi się, żeby zdążyć tu, zanim się położysz. Spuściła oczy i wpatrywała się pilnie w swoje ręce zajęte haftem. Karol podszedł bliżej, na co ręce dość raptownie przerwały pracę i ukryły mały przedmiot, nad którym pracowały.

— Widzę, że mam rywala.

— Zasługujesz na to, żeby mieć ich wielu. Ukłąkł przy niej, delikatnie podniósł jej dłoń

Zerknęła na niego przelotnie.

— Odkąd wyjechałeś, ani chwili nie spałam.

— Poznaję to po twoich wybladłych policzkach i podpuchniętych oczach.

Ernestyna nie uśmiechnęła się.

— Teraz znów kpisz sobie ze mnie.

— Jeżeli tak na ciebie działa bezsenność, postaram się, żeby w naszej sypialni bez przerwy dzwonił budzik.

Zarumieniła się. Karol wstał, usiadł przy niej, obrócił ją ku sobie i ucałował usta, a potem zamknięte oczy, które po tym dotknięciu rozwarły się i wpatrzyły w jego źrenice już bez cienia ironii.

Karol znów się uśmiechnął.

— Teraz pokaż mi, co haftujesz dla tajemniczego adoratora. Podniosła do góry robótkę. Był to uszyty z niebieskiego aksamitu futerał, a raczej kieszonka, jakie panowie w czasach wiktoriańskich wieszali przy toalecie, żeby chować do nich na noc zegarek. Pod otworem do zawieszania wyhaftowane było białe serce z inicjałami „K” i „E” po bokach, na samej zaś

kieszonce widniała rozpoczęta złotą nitką, lecz niedokończona inskrypcja. Karol odczytał ją na głos.

— „Ile razy nakręcasz sprężynę”... A jakże tam ma być dalej?

— Zgadnij. Karol popatrzył na niebieski aksamit.

— „Twoja żona robi wściekłą minę”? Wyrwała mu robótkę.

— Teraz nic ci już nie powiem. Jesteś zupełnie jak konduktor.

Konduktorzy omnibusów słynęli w owych czasach z ciętego, choć wulgarne go języka.

— Który nigdy nie wziąłby za bilet od tak pięknej pasażerki.

— Falszywe pochlebstwa i mierne dowcipy są równie wstrętne.

— A ty, najdroższa, jesteś urocza, kiedy się gniewasz

— W takim razie przebaczę ci — tylko żeby ci zrobić na złość.

Odwróciła od niego twarz, choć jego ramię nadal otaczało jej kibić, a uścisk ręki został odwzajemniony. Przez chwilę trwali w milczeniu. Karol raz jeszcze ucałował dłoń Ernestyny.

— Pójdiesz ze mną jutro rano na spacer? Pokażemy światu, jaka z nas przykładna, modna para: miny będziemy mieli znudzone, każdy więc pozna, że to małżeństwo z rozsądku.

Ernestyna uśmiechnęła się, potem raptownie odsłoniła kieszonkę na zegarek.

— „Ile razy nakręcasz sprężynę, wspomnij naszej miłości godzinę.”

— Moja najmilsza!

Jeszcze przez moment patrzył w jej oczy, następnie sięgnął do kieszeni i położył jej na kolanach ciemnoczerwone safianowe pudełeczko.

— Swego rodzaju kwiaty.

Przycisnęła nieśmiało zameczek i otworzyła pudełko. Na pąsowym aksamicie leżała wykwintna szwajcarska broszka misterna owalna mozaika: gałązka kwiecia, obramowana na przemian perłami i koralami oprawnymi w złoto. Ernestyna podniosła na Karola oczy pełne łez. On taktownie przymknął powieki. Wówczas złożyła mu na ustach leciutki, niewinny pocałunek, przywarła głową do jego ramienia, spojrzała znów na broszkę i tę z kolei ucałowała.

Karolowi przypomniały się słowa tamtej priapicznej pieśni. Szepnął Ernestynie do ucha:

— Chciałbym, żeby już jutro był nasz ślub.

Jakie to proste — kierować się w życiu jedynie ironią i sentymentalizmem, przestrzegać ściśle konwenansów. To, co mogłoby być, staje się tylko przedmiotem chłodnej, ironicznej obserwacji, podobnie jak to, co jeszcze być może. Innymi słowy, człowiek musi się poddać, człowiek musi się nauczyć być tym, czym jest.

Przycisnął ramię narzeczonej.

— Najdroższa, muszę ci coś wyznać. Chodzi o tę nieszczęsną dziewczynę z Marlborough House.

Wyprostowała się z wesołym zdziwieniem, z góry już przybierając filuterną minkę.

— O biedną Tragedię? Karol uśmiechnął się.

— Obawiam się, że tamto wulgarne przezwisko bardziej do niej pasuje. — Uścisnął rękę Ernestyny. — Cała historia jest doprawdy niesłychanie głupia i banalna. Otóż tak się złożyło, że podczas jednej z moich wypraw po nieuchwytnie echinodermy...

Na tym kończy się opowieść. Co się stało z Sarą, tego nie wiem — w każdym razie nigdy już osobiście Karola nie niepokoiła, bez względu na to, jak długo pozostała mu w pamięci. Tak najczęściej bywa. Ludzie znikają nam z oczu, toną w cieniu spraw bliższych.

Karol i Ernestyna nie byli wprawdzie na wieki niezmaczenie szczęśliwi, ale spędzili razem życie, aczkolwiek Karol w końcu przeżył Ernestynę o dziesięć lat (i przez całe te dziesięć lat serdecznie ją opłakiwał). Spłodzili — ile? — powiedzmy siedmioro dzieci. Sir Robert skrzywdził

ostatecznie Karola dając życie w dziesięć miesięcy po ślubie z panią Bella Tomkins nie jednemu dziedzicowi, lecz aż dwóm. Ta fatalna para bliźnięt przeważyla szalę i Karol przystąpił w końcu do spółki z teściem. Interesy zrazu go nudziły, z czasem jednak w nich zasmakował. Synowie Karola nie mieli już wyboru, a ich synowie do dziś dnia zarządzają wielkim domem towarowym i wszystkimi jego filiami.

Sam i Mary — ale kogóż obchodzą dzieje służących? Pobrali się, mieli dzieci i umarli zgodnie z monotonnym biegiem życia ludzi ich stanu.

Kto nam jeszcze pozostał? Doktor Grogan? Umarł w dziewięćdziesiątym pierwszym roku życia. Ponieważ panna Tranter również żyła ponad dziewięćdziesiąt lat, mamy niewątpliwy dowód na to, jak zdrowe jest powietrze okolic Lyme.

Widocznie jednak nie dla wszystkich bez wyjątku jest zdrowe, gdyż pani Poulteney umarła w dwa miesiące po ostatnim powrocie Karola do Lyme. Tu, stwierdzam z radością, mogę się zdobyć na dostateczną dozę zainteresowania, aby zajrzeć w przyszłość, czyli w jej życie pozagrobowe. Ubrana stosownie na czarno, przybyła swoim powozikiem przed Bramę Raju. Jej lokaj — oczywiście bowiem, jak w starożytnym Egipcie, wszyscy jej domownicy umarli z nią razem — wysiadł i uroczyście otworzył drzwiczki pojazdu. Pani Poulteney weszła po stopniach i odnotowawszy sobie w pamięci, iż musi poinformować Stwórcę (kiedy pozna Go bliżej), że Jego służba powinna żwawiej witać godniejszych gości, pociągnęła rączkę dzwonka. Wreszcie ukazał się kamerdyner.

— Słucham panią?

— Jestem pani Poulteney. Przybywam, aby tu zamieszkać. Proszę powiadomić swego Pana.

— Jego Nieskończoność jest już powiadomiony o pani zejściu, łaskawa pani. Aniołowie Jego odśpiewali już psalm radosny z okazji tego wydarzenia.

— To bardzo ładnie i właściwie z Jego strony. — Tu czcigodna matrona, krygując się i pusząc, chciała już wkroczyć do imponującej białej sieni, ale kamerdyner nie ruszył się z miejsca. Zamiast tego zabrzączał impertynencko kluczami, które trzymał w ręce.

— Mój człowieku! Z drogi! To ja, pani Poulteney z Lyme Regis.

— Niegdyś z Lyme Regis, łaskawa pani. Obecnie z okolic znacznie gorętszych.

Z tymi słowy bezczelny sługus zatrzasnął jej drzwi przed nosem. Pani Poulteney przede wszystkim obejrzała się szybko, w obawie, że jej służba mogła usłyszeć, co tu powiedziano. Ale powóz, który, jak sądziła, odjechał nieco dalej i zatrzymał się przed pomieszczeniami dla oficjalistów, w tajemniczy sposób zniknął — ściśle biorąc, wszystko znikło, droga i krajobraz (z niewiadomego powodu przypominający wielki wjazd do zamku Windsor), wszystko, wszystko znikło. Nie pozostało nic prócz pustki — i to, rzecz potworna, pustki, która wciąż rosła. Stopnie, po których pani Poulteney weszła tak królewskim krokiem, zaczęły również znikać jeden po drugim. Pozostały tylko trzy, potem dwa, potem jeden. Pani Poulteney straciła oparcie pod nogami. Usłyszano wyraźnie, jak powiedziała: „To wszystko sprawka lady Cotton”, a potem niczym postrzelona wrona, wirując i koziołkując, spadła na dół, gdzie czekał już jej prawdziwy władca.

Ach, by człowiek we mnie mógł powstać,
 Niechbym mężczyzny stracił postać!
 Alfred Tennyson, *Maud* (1855)

A teraz, gdy już doprowadziłem tę opowieść do tradycyjnego zakończenia, muszę wyjaśnić, że choć wszystko, co opisałem w ostatnich dwóch rozdziałach, zdarzyło się rzeczywiście, to jednak przebiegało niezupełnie tak, jak kazałem państwu przypuszczać.

Mówiłem już, że wszyscy jesteśmy poetami, chociaż niewielu z nas pisze wiersze, tak samo też wszyscy jesteśmy powieściopisarzami, innymi słowy, mamy zwyczaj imaginować sobie w formie powieści własną przyszłość, aczkolwiek w dzisiejszych czasach raczej jesteśmy chyba skłonni układać filmy ze swoją osobą w roli głównej. Ekranizujemy w myśli hipotezy na temat tego, jak się w pewnych warunkach możemy zachować lub co nas może spotkać, a te powieściowe czy też filmowe hipotezy częstokroć wywierają znacznie większy, niż na ogół biorąc sądzimy, wpływ na to, jak się zachowujemy, kiedy przyszłość staje się teraźniejszością.

Karol nie był tu wyjątkiem, ostatnie zaś kilka stron przez państwa przeczytanych opisuje nie to, co się zdarzyło, lecz co w ciągu kilkugodzinnej jazdy z Londynu do Exeter wyobrażał sobie, że się może zdarzyć. Zapewne, myśli jego nie miały charakteru spoistej narracji, jakiej użyłem, nie przysiągłbym również, czy wyimaginował sobie pośmiertne losy pani Poulteney z tak interesującymi szczegółami. Z pewnością jednak życzył czcigodnej damie, żeby ją diabli wzięli, co ostatecznie wychodzi na jedno.

Karol przede wszystkim czuł, że zbliża się koniec opowieści, i to koniec, który wcale mu nie odpowiada. Jeżeli zauważyli państwo w ostatnich dwóch rozdziałach pewną lapidarność stylu, brak harmonii, zaprzepaszczenie głębszych możliwości Karola, no i tę drobnostkę, iż miałby przeżyć blisko sto dwadzieścia pięć lat, słowem, jeżeli powzięli państwo podejrzenie, że autorowi zabrakło weny i przerwał arbitralnie wyścig w chwili, gdy czuje się jeszcze zwycięzcą — co nierzadko zdarza się w literaturze — proszę mnie nie winić, ponieważ wszystkie te uczucia lub ich odbicia nękały również Karola. Księga jego żywota, jak mu się zdawało, miała dobiec wielce nieciekawego końca.

A ów pisarz, co znalazł tak na pozór słuszne i przekonujące powody, żeby skazać Sarę na zapomnienie, to nie byłem ja, była to jedynie personifikacja pewnej miazdzącej obojętności wszechrzeczy — zbyt dla Karola wrogiej, aby myślał o niej jako o „Bogu” — która złożyła swój złowieszczy bezwład na szali po stronie Ernestyny, ten bowiem kierunek zdawał się równie wytyczony i nieodwracalny jak bieg pociągu wiozącego Karola.

Nie kłamałem mówiąc, że Karol nazajutrz po londyńskiej eskapadzie postanowił mimo wszystko wziąć ślub z Ernestyną. Była to jego formalna decyzja, podobnie jak niegdyś formalną jego decyzją (należałoby raczej powiedzieć: „reakcją”) było ubieganie się o święcenia kapłańskie. Popeliłem tylko oszustwo przy analizie wpływu, jaki w dalszym ciągu miał na Karola ów list, zawierający cztery słowa. List dręczył go, zaprzętał mu myśli, czynił w nich zamęt. Im dłużej Karol się nad nim zastanawiał, tym wyraźniej widział, jak bardzo w stylu Sary było podanie adresu i ani słowa więcej. Harmonizowało ono całkowicie z jej postępowaniem w innych okolicznościach, dającym się określić tylko jako *contradictio in adiecto*: kuszący opór, przebiegła prostota, dumne błaganie, oskarżycielska obrona.

Ale przede wszystkim list stawiał Karola wobec konieczności wyboru, a chociaż część jego jestestwa wzdrygała się przed taką koniecznością, poznamy tajemnicę jego stanu psychicznego

podczas owej jazdy na zachód, gdy się dowiemy, że w pozostałej części czuł się bliskością tej chwili niezmiernie podniecony. Nie miał do dyspozycji dobrodziejstw terminologii egzystencjalnej, lecz to, co odczuwał, stanowiło w istocie swej jawny przypadek niepokoju wolności — czyli świadomości, że się jest wolnym i że wolność jest sytuacją przerażającą.

Wyrwijmy tedy Sama Farrow z jego hipotetycznej przyszłości i przywróćmy exeterskiej terażniejszości. Pociąg staje i Sam podchodzi do przedziału swego pana.

— Zatrzymamy się na noc, panie Karolu?

Karol patrzy na niego przez chwilę — musi dopiero podjąć decyzję — potem przenosi spojrzenie na okryte chmurami niebo.

— Zanosi się na deszcz. Zanocujemy „Pod Okrętem”. Tak się więc stało, że Sam, bogatszy o tysiąc nie zdobytych jeszcze funtów, stał po kilku minutach wraz ze swym panem przed dworcem, doglądając załadunku bagaży Karola na dach sfatygowanej dryndy. Karol zdradzał wyraźne zdenerwowanie. Wreszcie przywiązano walizę i czekano tylko na jego słowo.

— Samie, myślę, że po tej okropnej jeździe pociągiem rozprostuję trochę nogi. Ty pojedziesz z rzeczami.

Dla Sama był to cios w samo serce.

— Za pozwoleniem, panie Karolu, nie powinien pan iść pieszo. Lada chwila lunie.

— Trochę deszczu nic mi złego nie zrobi. Sam przelknął ślinę, uklonił się.

— Tak jest, panie Karolu. Mam zamówić kolację?

— Tak... to znaczy... Zobaczę, kiedy już przyjdę. Może wstąpię do katedry na nabożeństwo wieczorne.

Karol ruszył pod górę w kierunku miasta. Sam odprowadził go ponurym spojrzeniem, a następnie zwrócił się do dorożkarza:

— Znasz „Hotel Rodzinny” pani Endicott?

— Aha.

— Wiesz, gdzie to jest?

— Aha.

— No to zawieź mnie, człowieku, raz—dwa „Pod Okręt”, a nie pożałujesz.

Sam z butną miną wskoczył do dorożki. Dopędziła ona bardzo szybko Karola, który szedł demonstracyjnie wolno, jakby rozkoszując się świeżym powietrzem. Skoro tylko dorożka znikła mu z oczu, przyśpieszył kroku.

Doświadczenie nauczyło Sama, jak się robi ruch w sennyh prowincjonalnych zajazdach. Bagaż został wyładowany, najlepszy apartament wybrany, ogień na kominku rozpalony, nocny strój wraz z innymi akcesoriami przygotowany, a wszystko to w siedem minut. Po upływie tego czasu Sam był już na ulicy, gdzie wciąż czekał dorożkarz. Nastąpiła krótka dalsza jazda. Sam rozejrzał się bacznie dokoła, wysiadł i zapłacił woźnicy.

— Pierwsza na lewo, szanowny panie.

— Dziękuję ci, mój człowieku. Masz tu dwie monety za fatygę.

Wręczywszy ten napiwek, haniebnie skąpy nawet jak na Exeter, Sam nacisnął na oczy melonik i wtopił się w gęstniejący zmierzch, przy ulicy, na której się znajdował, a naprzeciw tej, którą wskazał mu dorożkarz, stała kaplica metodystów z frontonem wspartym na masywnych kolumnach. Nasz początkujący detektyw uplasował się za jedną z nich. Było już prawie ciemno, mrok zapadał szybko pod szaro—czarnym niebem.

Sam nie czekał długo. Serce zabiło mu żywiej na widok wysokiej postaci. Postać, najwidoczniej nie znając drogi, zwróciła się o pomoc do małego chłopca. Ten od razu zaprowadził postać na róg za stanowiskiem Sama i wskazał gdzieś palcem, sądząc zaś z radosnego uśmiechu malca, gest ów przyniósł mu grubo więcej niż dwa pensy.

Karol zaczął się oddalać. Wtem zatrzymał się, spojrzął w górę i zrobił kilka kroków z powrotem w kierunku Sama. Zaraz jednak, jak gdyby zły na siebie, zawrócił znów i wszedł do jednego z domów. Sam wysunął się zza kolumny, zbiegł po stopniach i pomknął na drugą stronę, ku ulicy, przy której stał „Hotel Rodzinny”. Zaczekał dłuższą chwilę na rogu. Karol nie wracał. Ośmielony tym Sam ruszył z obojętną miną wzdłuż magazynów ciągnących się naprzeciwko szeregu domów. Doszedł do miejsca, z którego mógł zajrzeć do holu hotelowego. Hol był pusty. W kilku pokojach paliło się światło. Upłynęło jakieś piętnaście minut, zaczął padać deszcz.

Przez chwilę Sam gryzł paznokcie, rozmyślając zawzięcie. Wreszcie powziął decyzję, bo odszedł krokiem stanowczym i szybkim.

46

Ach, choć już myśl zmieniona w słowo
Przecie wciąż serce rządzi głową;
Trzeba w to, w czym nadzieja, wierzyć
Co dane nam — przyjąć należy.

Trzeba uwierzyć — ufasz przecie,
Że gdzieś w pełniejszym, lepszym świecie
Tam dokonane będzie dzieło,
Które tu słusznie się zaczęło.

Dziecino, myśleć więc musimy,
Że lepsze życie zobaczymy,
Wtedy naprawdę się pokaże,
Czym tu byliśmy dzisiaj, razem.
Arthur Hugh Clough, *Poem* (1849)

Karol przystanął na chwilę w odrapanym holu, a następnie zapukał do pokoju, przez którego uchylone drzwi padało światło. Odpowiedziano mu: „Proszę”, wszedł więc i znalazł się twarzą w twarz z właścicielką. Nim zdążył się jej przyjrzeć, ona już go otaksowała — ani chybi piętnaście szylingów. Uśmiechnęła się zachęcająco.

— Pokój dla szanownego pana?

— Nie... to znaczy... chciałbym się widzieć z jedną z pani... z panną Woodruff?... — Uśmiech znikł natychmiast, twarz pani Endicott wydłużyła się. Karolowi serce zamarło. — Czyżby jej tu?

— Ach, proszę szanownego pana, biedna młoda pani onegdaj rano schodziła ze schodów i pośliznęła się. Skręciła nogę w kostce, że coś okropnego. Noga spuchła jak bania. Chciałam zawołać doktora, proszę szanownego pana, ale ona nie chce o tym słyszeć. No bo rzeczywiście, skręcona noga sama się goi a doktor to duży wydatek.

Karol spojrział na koniec laski.

— Więc nie będę się mógł z nią widzieć?

— Ależ owszem, szanowny pan może pójść na górę. To jej dobrze zrobi. Pewnie pan krewny?

— Muszę się z nią zobaczyć... w ważnej sprawie.

Szacunek pani Endicott wzrósł jeszcze.

— Ach... szanowny pan jest adwokatem?

— Tak — odparł Karol po sekundzie wahania.

W takim razie musi pan pójść na górę.

— Sądzę, że... Może zechce pani posłać kogoś z zapytaniem, czy nie powinienem odłożyć wizyty do chwili, gdy panna Woodruff wyzdrowieje?

Był mocno skonsternowany. Przypomniawszy sobie Francuza Varguennes — spotkanie się na osobności jest grzechem. On, Karol, przyszedł tylko zapytać, jak się Sarze powodzi. Miał nadzieję, że spotkają się w jakimś salonie na dole — w miejscu zacisznym, a jednocześnie publicznym. Stara hotelarka zawahała się, rzuciła okiem na otwartą kasę, stojącą przy jej biurku, i najwidoczniej doszła do wniosku, że nawet adwokaci mogą być złodziejami — której to

ewentualności nie kwestionowałyby chyba nikt, kto musiał płacić im honoraria. Nie ruszając się z miejsca, nadspodziewanie głośno i rozkazująco zawołała jakąś Betty.

Betty stawiała się na wezwanie i z biletem wizytowym Karola została wysłana na górę. Podczas jej przedłużającej się nieobecności Karol musiał odpierać ataki wścibskiej pani Endicott, usiłującej wybadać, co za interes ma do panny Woodruff. Wreszcie Betty wróciła — Karol proszony jest na górę. Poszedł na najwyższe piętro za pulchną pokojówką, która po drodze pokazała mu miejsce wypadku. Schody bez wątpienia były strome, a w owych czasach, kiedy płeć piękna rzadko oglądała własne stopy, kobiety stale spadały ze schodów — należało to w życiu domowym do powszednich wydarzeń.

Doszli do drzwi na końcu ponurego korytarza. Karol, któremu serce biło mocniej, niżby to usprawiedliwiały nawet przebyte trzy piętra, został zaanonsowany dość lapidarnie:

— Panienko, jest ten pan.

Karol wszedł do pokoju. Sara siedziała w fotelu przy kominku, zwrócona twarzą do drzwi, nogi miała oparte na stołeczku i okryte czerwonym walijskim kocem. Zielony wełniany szal okrywał jej ramiona, nie mógł jednak zupełnie ukryć faktu, że ma ona na sobie tylko nocną koszulę z długimi rękawami. Rozpuszczone włosy opadały na zielone ramiona, wydała się Karolowi znacznie mniejsza — i straszliwie zmieszana. Nie uśmiechnęła się, lecz wlepiła wzrok w swoje ręce, nim jednak spuściła głowę, rzuciła mu, kiedy wszedł, jedno szybkie spojrzenie, niby przerażona i skruszona winowajczyni, pewna jego gniewu. Karol stał z kapeluszem w jednej ręce, a z lasą i rękawiczkami w drugiej.

— Przejeżdżałem przez Exeter.

Opuściła głowę jeszcze niżej na znak, że rozumie i wstydzi się zarazem.

— Może najlepiej będzie, jeżeli od razu sprowadzę doktora.

— Nie trzeba, bardzo pana proszę — odparła, zwracając się do swoich kolan. — Doradzi mi tylko to, co sama już robię.

Nie mógł oderwać od niej oczu — taka była unieruchomiona taka chora (mimo że policzki płonęły jej ciemnym szkarłatem) taka bezradna. A po tamtej odwiecznej sukni koloru indygo — zielony szal, wspaniałość włosów, nigdy dotąd w pełni nie ukazywana. Nozdrzy Karola doleciał nikły zapach maści na olejku cedrowym.

— Nie boli pani? Potrząsnęła głową.

— Taka historia... Nie rozumiem wprost, jak mogłam być taka niezgrabna.

— W każdym razie niech pani dziękuje losowi, że się to nie stało na skarpie.

— To prawda.

Była najzupełniej przytłoczona jego obecnością. Rozejrzał się po małym pokoiku. Na kominku płonął świeżo rozpalony ogień. Kilka znużonych narcyzów stało w dzbanuszkach na gzymsie. Ubóstwo otoczenia rzucało się w oczy i jeszcze zwiększało jej zakłopotanie. Na suficie widniały ciemne plamy — kopeć z lampy naftowej — niczym widmowe pamiątki po niezliczonych wynędzniałych lokatorach tego pokoju.

— Może powinienem...

— Nie. Doprawdy. Niech pan usiądzie. Proszę mi wybaczyć. Ja... ja się nie spodziewałam.

Położył swoje rzeczy na komodzie i usiadł naprzeciw niej, w drugim końcu pokoju, na jedynym drewnianym krześle, stojącym przy stole. Skąd by miała się go spodziewać, mimo listu, skoro on sam tak stanowczo przekreślił tę możliwość? Poszukał w myśli usprawiedliwienia.

— Podala pani swój adres pannie Tranter?

Sara potrząsnęła głową. Pauza. Karol patrzył na dywan.

— Tylko mnie?

Głowa jej znów się pochyliła. Skinął z powagą, jak gdyby się tego domyślał. Znów pauza. Gniewna fala deszczu zadzwoniła o szyby okna poza nią.

— Przyszedłem, żeby o tym właśnie powiedzieć — rzekł wreszcie.

Sara czekała, ale on nic więcej nie dodał. Znów nie mógł oderwać od niej oczu. Biała koszula nocna zapięta wysoko pod szyją z rękawami sięgającymi aż do przegubów rąk, mieniła się różowo w odbłasku kominka, gdyż knot lampy na stole obok Karola nie był zbyt wysoko podkręcony. Włosy, i tak już odcinające się od zieleni szala, lśniły w pełgającym świetle kominka urzekającym życiem, jak gdyby Sara odsłoniła teraz wszystkie swoje tajemnice, swą najbardziej ukrytą istotę — dumna i uległa, skrupowana i swobodna, niewolnica Karola, zarazem człowiek mu równy. Zrozumiał już, po co przyszedł — żeby zobaczyć ją znowu. Widzieć ją było potrzebą, nieznośnym pragnieniem, które musiał ugasić.

Z wysiłkiem odwrócił wzrok, ale padł on na dwie nagie marmurowe nimfy nad kominkiem — one także zaróżowiły się w ciepłym świetle, odbitym od czerwonego koca. Pogorszyło to jeszcze sprawę. A Sara poruszyła się lekko. Musiał więc znów na nią spojrzeć.

Podniosła szybko rękę do pochylonej twarzy. Palce strzepnęły coś z policzka, potem zatrzymały się na szyi.

— Droga panno Woodruff, proszę nie płakać... Nie powinienem był przychodzić... Postanowiłem sobie, że nie przyjdę...

Sara gwałtownie potrząsnęła głową. Dał jej czas na odzyskanie równowagi. I właśnie kiedy krótkimi, dyskretnymi ruchami ocierała chusteczką łzy, ogarnęło go niepohamowane pożądanie, tysiącokrotnie mocniejsze od wszystkiego, czego doznawał w pokoju prostytutki. Ten bezbronny płacz był może szczeliną, przez którą wdarła się świadomość — w każdym razie Karol zrozumiał nagle, czemu prześladowała go twarz Sary, czemu odczuwał tak przemożną potrzebę zobaczenia jej — pragnął ją posiadać, wtopić się w nią, spłonąć, spalić się do cna w tym ciele i w tych oczach. Można by odroczyć spełnienie takiego pragnienia na tydzień, na miesiąc, na rok, bodaj na kilka lat. Ale na wieki — było to ponad ludzkie siły.

Przepraszając za łzy, szepnęła ledwo dosłyszalnie:

— Myślałam, że nigdy już pana nie zobaczę.

Nie potrafił jej powiedzieć, jak bliska jest własnych jego myśli. Spojrzała na niego, a on równie szybko spuścił oczy. Doznał naraz tych samych zagadkowych objawów, co wówczas w stodole. Wiedział, że jeśli spojrzy w te oczy, jest stracony. Jak gdyby broniąc im dostępu, przymknął powieki.

Zapadła straszliwa cisza, jak w chwili gdy ma się zawalić most, gdy ma runąć wieża — napięcie nie do zniesienia, wzruszenie, którego prawda rwie się na usta. Naraz z kominka posypała się niewielka kaskada węgla. Spadły na niską kratę ochronną, ale kilka odbiło się i przeskoczyło na brzeg koca okrywającego nogi Sary. Usunęła go szarpnięciem, Karol zaś ukląkł szybko i chwycił z mosiężnego wiadra szufelkę. Zebrał natychmiast węgle z dywanu, ale koc zaczął się tlić. Karol zerwał go z nóg Sary, cisnął na podłogę i zdeptał iskrę. Odór spalonej wełny wypełnił pokój. Jedna noga Sary pozostała na stołeczku, druga zsunęła się na podłogę. Obie stopy były nagie Karol obejrzał koc, poklepał ręką, żeby się upewnić, że się już nie tli, potem przewrócił na drugą stronę i znów przykrył Sarze nogi. Nisko pochylony, nie odrywał oczu od koca, którym Sarę otulał. Naraz jej ręka gestem jak gdyby odruchowym, a jednak na pół zamierzonym, podniosła się lekko i spoczęła na jego dłoni. Czuł, że Sara patrzy na niego. Nie miał siły, żeby cofnąć rękę i nagle zabrakło mu też sił, żeby dłużej na Sarę nie patrzeć.

W oczach jej była wdzięczność i dawny wielki smutek i dziwna troska, jak gdyby Sara wiedziała, że wyrządza mu krzywdę, przede wszystkim jednak było w nich oczekiwanie nieśmiałe, bojaźliwe oczekiwanie. Gdyby choć cień uśmiechu przebiegł jej po ustach, Karol przypomniałby sobie może teorię doktora Grogana, ale z twarzy tej wyczytał zaskoczenie i rozterkę równą własnej swej rozterce. Nie wiedział, jak długo patrzyli sobie w oczy. Wydawało się, że całą wieczność, w rzeczywistości zaś nie mogło to trwać dłużej niż kilka sekund. Pierwsze ożyły ręce. Za jakimś tajemniczym porozumieniem splotły się palce. Potem Karol opadł na jedno kolano i namiętnie przycisnął Sarę do siebie. Usta ich zwały się z niepohamowaną gwałtownością, która przeraziła oboje, każąc Sarze odwrócić twarz. On okrywał pocałunkami jej policzki, oczy, włosy. Ręka jego dotknęła wreszcie tych włosów, pieściła je, wyczuwała pod ich miękką obfitością małą główkę Sary, podobnie jak tors i ramiona wyczuwały pod cienką tkaniną jej ciało. Naraz ukrył twarz na jej ramieniu.

— Nie powinniśmy... nie wolno... to szaleństwo.

Ale jej ręce objęły go i przycisnęły mocniej głowę. Karol nie poruszył się. Miał wrażenie, że unosi się na skrzydłach płomieni, że pędzi w wonnym, czystym powietrzu, niby dziecko wypuszczone wreszcie ze szkoły, niby więzień na zielonej łące, niby wzlatający w górę jastrzęb. Podniósł głowę i spojrzał na nią wzrokiem niemal gniewnym, niemal zawziętym. Pocałowali się znów, ale przycisnął ją do siebie z taką siłą, że fotel na kółkach potoczył się w tył. Karol poczuł, że Sara drgnęła z bólu, gdy obandażowana noga zsunęła się ze stołka. Spojrzał na tę nogę, potem na twarz Sary, na jej zamknięte oczy. Odwróciła znów głowę ku oparciu fotela, jak gdyby Karol budził w niej odrazę, lecz pierś jej lekko się ku niemu wygięła, a dłonie ścisnęły konwulsyjnie jego ręce. Spojrzał na drzwi poza nią, potem wstał i dwoma krokami znalazł się przy nich.

Sypialnię oświetlały tylko resztki gasnącego dnia i słabe latarnie z przeciwka. Karol rozróżnił jednak zarysy łóżka i umywalni. Sara z trudem wstała, czepiając się oparcia fotela i trzymając chorą nogę nieco ponad podłogą. Jeden róg szala zsunął się jej z ramion. W oczach obojga odbiło się to samo napięcie, świadomość, że porywa ich i unosi olbrzymia fala. Sara ni to zrobiła krok, ni to zachwiała się i miała już upaść. On skoczył i chwycił ją w ramiona. Szal upadł na podłogę. Tylko warstewka flaneli dzieliła go od jej nagości. Przycisnął do siebie to ciało, przycisnął usta do jej ust, zgłodniały po długim poście, nie tylko seksualnym — krążył mu w żyłach niepowstrzymany potok rzeczy zabronionych, romantyzmu, przygody, grzechu, szaleństwa, zwierzęcego zapamiętania.

Gdy wreszcie oderwał usta od jej warg, leżała w jego ramionach bezwładna, jakby zemdlona. Chwycił ją na ręce i zaniósł do sypialni. Pozostała tam, gdzie rzucił ją w poprzek łóżka, półprzytomna, z jednym ramieniem odrzuconym w tył. Chwycił drugą rękę i całował gorączkowo, palce jej głaskały go po twarzy. Oderwał się z wysiłkiem i pobiegł z powrotem do tamtego pokoju. Zaczął rozbierać się w obłądnym pośpiechu, zdzierając z siebie ubranie, jak gdyby ktoś tonął, a on był na brzegu. Guzik fraka odleciał i potoczył się w kąt, ale Karol nawet się za nim nie obejrzał. Zdarł kamizelkę, buty, skarpetki, spodnie i kalesony... szpilkę z perłą, krawat. Rzucił okiem na zewnętrzne drzwi i podszedł, żeby przekręcić klucz w zamku. Potem bosy, mając na sobie tylko długą koszulę, wszedł do sypialni.

Sara przesunęła się zapewne, bo leżała teraz głową na poduszce, chociaż wciąż na łóżku okrytym kapą. Odwróconą w bok twarz zasłaniał ciemny wachlarz włosów. Karol stał nad nią chwilę, napięty członek wypychał mu przód koszuli. Potem oparł lewe kolano na wąskim łóżku i padł na nią, osypując pocałunkami jej usta, oczy, szyję. Ale bierne, a zarazem przyzwalające ciało przeżyło się pod nim, nagie stopy dotykały jego stóp... nie mógł dłużej czekać. Wsparty na łokciu, szarpnął do góry jej koszulę. W zapamiętaniu, brutalnie, czując, że lada moment nastąpi

wytrysk, znalazł miejsce i pchnął. Ciało Sary znów drgnęło jak wtedy, kiedy noga zsunęła się jej ze stołka. Pokonał ten instynktowny skurcz i ramiona jej zwały się

wokół niego, jak gdyby chciała przykuć go do siebie na ową wieczność, której bez niej nie mógłby już sobie wyobrazić. Wytrysk zaczął się natychmiast.

— Och, moja najdroższa... moja najdroższa... mój anioł najukochańszy... Saro, Saro... Och, Saro...

W chwilę później leżał już bez ruchu. Upłynęło dokładnie dziewięćdziesiąt sekund od momentu, gdy odszedł od Sary żeby zajrzeć do sypialni.

Niechętny, jak w Hadesie Dydo, co skinieniem
 Surowym powstrzymała przyjaciół zbliżenie,
 Odsuń nas gestem, zachowaj samotność.
 Matthew Arnold, *The Scholar—Gipsy* (1853)

Cisza.

Leżeli, jak gdyby porażeni tym, co się stało. Zakrzepli w grzechu, zmrozeni rozkoszą. Karol, zdjęty nie żadnym tam łagodnym smutkiem pokopulacyjnym, lecz potworną, wszechogarniającą zgrozą, był jak miasto, na które z jasnego nieba spadła bomba atomowa. Wszystko legło w gruzach — zasady, przyszłość, wiara, szlachetne intencje. A przecież nie zginął, leżał tu, w posiadaniu najcudowniejszego skarbu w życiu, ostatni człowiek na ziemi, nieskończenie osamotniony... ale pył radioaktywny skruchy unosił się już wokół, przenikając do jego nerwów i żył. Ernestyna stała gdzieś w ciemnościach i wpatrywała się w niego tragicznym wzrokiem. Pan Freeman uderzył go w twarz... Oboje byli jak z kamienia, nieubłagani, niewzruszeni, wyczekujący.

Przesunął się, żeby uwolnić Sarę od ciężaru swego ciała, potem przekreślił się na wznak, żeby mogła położyć się przy nim i oprzeć mu głowę na ramieniu. Patrzył w sufit. Co za sytuacja, co za okropna sytuacja!

Z tą myślą mocniej Sarę przytulił. Jej ręka wyciągnęła się ckliwie i objęła jego dłoń. Deszcz ustał. Ciężkie kroki, powolne, miarowe, rozległy się gdzieś pod oknem. Pewnie policja. Przedstawiciel Prawa.

— Jestem gorszy od Varguennesa — powiedział Karol. Zamiast odpowiedzi Sara ścisnęła mu rękę, jakby chcąc zaprzeczyć i nakazać milczenie. Ale Karol był mężczyzną. Co z nami będzie?

— Nie mogę myśleć o niczym poza tą godziną. Ścisnął ją za ramiona, ucałował w czoło, potem znów podniósł oczy na sufit. Była teraz taka młoda, taka oszołomiona.

— Muszę zerwać zaręczyny.

— Nic od ciebie nie żądam. Nie mogę. To moja wina.

— Ostrzegałaś mnie, ostrzegałaś. Całą winę ponoszę ja. Zrozumiałem, kiedy tu przyszedłem... Chciałem być ślepy. Zlekceważyłem wszystkie zobowiązania.

— Pragnęłam tego — szepnęła, a potem powtórzyła ze smutkiem: — Pragnęłam tego.

Przez chwilę głaskał jej włosy. Rozsypały się na ramiona, na twarz, osnuły ją welonem.

— Sara... najcudowniejsze imię.

Nie odpowiedziała. Upłynęła minuta. Wciąż głaskał ją po głowie, jakby była dzieckiem. Myślą jednak był już gdzie indziej. Musiała to wyczuć, bo odezwała się wreszcie:.

— Wiem, że nie możesz się ze mną ożenić.

— Muszę. Zresztą chcę. Gdybym się z tobą nie ożenił, nie mógłbym już nigdy sam sobie spojrzeć w oczy.

— Jestem niedobra, wstrętna. Od dawna wyobrażałam sobie taki dzień jak dzisiejszy. Nie nadaję się na żonę dla ciebie.

— Najdroższa moja...

— Twoja pozycja w świecie, twoi przyjaciele, twoje... no i ona., wiem, że musi cię kochać. Ja chyba najlepiej wiem, co ona czuje!

— Ale ja jej już nie Kocham!

Poczekala, az ten gwałtowny okrzyk roztopił się w ciszy.

— Jest ciębie warta. Ja nie jestem.

Zaczął w końcu brać poważnie to, co mówiła. Obrócił ku sobie jej głowę i w mglistej poświacie padającej z okna spojrzeli sobie w zacienione oczy. Jego pełne były zgrozy, jej — spokojne, lekko uśmiechnięte.

— Nie chcesz chyba powiedzieć, że mam odejść... jak gdyby nic między nami nie zaszło?

Nie powiedziała nic, ale z oczu jej wyczytał, co myśli. Wsparł się na łokciu.

— Nie możesz mi tak wiele wybaczyć. Ani tak mało żądać. Oparła głowę na poduszce, wpatrując się w mroczną przyszłość.

— Czemu nie, skoro cię kocham?

Przyciągnął ją do siebie. Na samą myśl o takim poświęceniu do oczu nabiegły mu piekące łzy. Jakże niesprawiedliwi byli wobec niej i on, i Grogan! Jest istotą szlachetniejszą od nich obu. Karola zalała naraz pogarda dla własnej płci — dla męskiego prostactwa, łatwowierności, egoizmu. Ale należał do tej płci, toteż odezwało się w nim raptem coś z męskiego wykrętnego tchórzostwa — a może to tylko jego ostatni wyskok, ostatnie pożegnanie z młodością? Zaledwie jednak to pomyślał, poczuł się jak morderca uniewinniony dzięki jakiejś formalnej usterce w akcie oskarżenia. Może wyjść z sądu jako człowiek wolny, ale do śmierci będzie nosił w sercu brzemię winy. Sam siebie zupełnie nie poznaje.

— Ja też mam czasem takie uczucie. To dlatego, że zgrzeszyliśmy— A nie możemy uwierzyć, że to grzech. — Sara mówiła, jakby wpatrując się w bezkresną noc. — Mnie chodzi tylko o to, żebyś był szczęśliwy. Teraz, kiedy wiem, że był naprawdę dzień, w którym mnie kochałeś, mogę znieść... mogę znieść każdą myśl... prócz tej, że miałbyś umrzeć.

Wsparł się znów na łokciu i spojrzął na nią. W oczach jej nadal czaił się lekki uśmiech, głęboka wiedza — duchowa lub psychiczna odpowiedź na jego fizyczną wiedzę o niej. Nie czuł się nigdy jeszcze tak bliski kobiecie, tak z nią zespolony. Nachylił się i pocałował ją, wiedziony miłością znacznie czystsza od tej, co na zetknięcie z jej ustami ponownie dała o sobie znać w jego lędźwiach. Jak większość mężczyzn z czasów wiktoriańskich, Karol nie potrafił naprawdę uwierzyć, aby kobieta subtelna i wrażliwa mogła bez odrazy być naczyniem żądz męskich. Nadużył już haniebnie jej miłości do niego, to się nie może powtórzyć. No i późna pora — nie wolno dłużej tu zostać! Usiadł na łóżku.

— Ta osoba na dole... poza tym mój służący czeka na mnie w hotelu. Proszę cię, daj mi dzień albo dwa zwłoki. W tej chwili nie mam pojęcia, co robić.

Sara oczy miała zamknięte. Powiedziała:

— Nie jestem ciębie warta.

Patrzył na nią chwilę, potem wstał z łóżka i wyszedł do drugiego pokoju.

A tam!... Jakby piorun w niego strzelił.

Ubierając się spojrzął w dół i zobaczył czerwoną plamę na przodzie koszuli. Przez chwilę sądził, że musiał się skaleczyć, ale nie czuł żadnego bólu. Zbadał ukradkiem własne ciało. Naraz chwycił się oparcia fotela, patrząc zmartwiałą na drzwi sypialni — zrozumiał bowiem coś, co kochanek bardziej doświadczony lub mniej rozgorączkowany odkryłby znacznie wcześniej.

Zniewolił dziewicę.

Usłyszał ruch w pokoju za sobą. Z zamętem w myślach ogłuszony, wciągał teraz ubranie z rozpaczliwym pośpiechem. Dobiegł go szmer wody nalewanej do miednicy, brzęk porcelanowej mydelniczki. Ona nie oddała się Varguennesowi. Skłamała. Całe jej postępowanie w Lyme Regis, wszystkie rzekome pobudki oparte były na kłamstwie. Ale w jakim celu? Dlaczego? Dlaczego? Dlaczego?

Szantaż!

Żeby mieć go całkowicie w swej władzy! Wszelkie ohydne sukuby, dręczące umysł mężczyzny, cały lęk przed wielkim kobiecym spiskiem uknutym po to, by wysysać mu z żył siły męskie, zerować na jego idealizmie, przetapiać mężczyznę na wosk i urabiać go według swoich przewrotnych zachcianek... to wszystko, jak również myśl o wiarogodności dowodów przedstawionych w skardze apelacyjnej porucznika La Roncière, napełniło Karola apokaliptyczną grozą.

Dyskretne odgłosy mycia ucichły. Teraz coś zaszeleściło — Sara pewno kładła się do łóżka. Karol, ubrany już, stał wpatrując się w ogień. Jest szalona, przewrotna, oplątuje go przedziwną siecią... ale dlaczego?

Jakiś dźwięk. Karol obejrzał się, wyrazem twarzy zdradzając aż nazbyt wyraźnie swoje myśli. Sara stała w drzwiach, teraz już znów w swojej starej sukni koloru indygo, włosy nadal miała rozpuszczone, było w niej jednak znów coś z dawnej hardości. Karol przypomniał sobie pierwsze z nią zetknięcie, kiedy stała na cyplu falochronu i patrzyła na niego. Musiała się zorientować, że odkrył prawdę, i raz jeszcze uprzedziła, wykastrowała oskarżenie, które zrodziło mu się w mózgu. Powtórzyła swe poprzednie słowa:

— Nie jestem ciebie warta. Tym razem uwierzył jej.

— Varguennes? — wyszeptał.

— Kiedy poszłam w Weymouth do zajazdu... Znajdowałam się jeszcze w pewnej odległości od wejścia... zobaczyłam, że on wychodzi. Był z kobietą. Z tego rodzaju kobietą, co do której nie można się pomylić. — Unikała gniewnego wzroku Karola. Ukryłam się w jakiejś bramie. Kiedy znikli mi z oczu, odeszłam.

— Ale dlaczegoś mi mówiła... Sara przeszła szybko do okna i Karolowi odebrało mowę.

Wcale nie utykała. Wypadek, skręcona noga, wszystko to były bajki. Zerknęła na jego oczy płonące nowym oskarżeniem odwróciła się plecami.

— Tak. Oszukałam cię. Ale nie będę cię już nigdy niepokoiła.

— Ale cóżem ja... Dlaczegoś ty...

Rój tajemnic.

Stała przed nim twarzą w twarz. Znów zaczął padać ulewny deszcz. Oczy jej były stanowcze, nieulękłe, dawna ich hardość powróciła, lecz teraz przysłonięte jakby tkliwością, jakby przypomnieniem, że przed chwilą przecież ją posiadał. Dawny dystans, ale dystans złagodzony.

Dałeś mi pociechę, bo uwierzyłam, że w innym świecie, w innych czasach, w innym życiu mogłabym być twoją żoną. Dałeś mi siłę, abym mogła dalej żyć... tutaj i w tych czasach. — Dzielilo ich niecałe dziesięć stóp, a zdawało się, że to dziesięć mil. — W jednej sprawie nie szukałam cię nigdy. Kocham cię... chyba od chwili, kiedy cię ujrzałam po raz pierwszy. Tu nigdy cię nie zwodziłam. Zwiodła cię moja samotność. Gniew, żal, zazdrość, nie wiem. Nie wiem. — Zwróciła się znów do okna, do deszczu. — Nie każ mi tłumaczyć, co zrobiłam. Nie potrafię tego wytłumaczyć. To się nie da wytłumaczyć.

W ciężkim milczeniu, które zapadło, Karol wpatrywał się w odwróconą plecami postać. Zaledwie przed kilkunastu minutami coś go ku niej neodparcie pociągało, teraz odstręczało go coś z równą siłą — a w obu wypadkach winna była ona.

— Nie mogę się zgodzić — powiedział wreszcie. — Sprawa musi być wyjaśniona.

Potrząsnęła tylko głową.

— Proszę cię, teraz odejdz. Modlę się o twoje szczęście. Nigdy go już nie zakłócę.

Nie poruszył się. Po chwili ona obejrzała się i jak przedtem odgadła jego ukryte myśli. Wyraz twarzy miała spokojny, niemal fatalistyczny.

Jest tak, jak ci już mówiłam. Jestem znacznie silniejsza, niż którykolwiek mężczyzna mógłby sobie wyobrazić. Moje życie zakończy się wtedy, kiedy przerwie je natura.

Znosił jej widok jeszcze przez kilka sekund, potem sięgnął po kapelusz i laskę.

— Taką mam nagrodę. Chciałem ci pomóc. Tyle naraziłem... żeby się teraz dowiedzieć, że byłem tylko igraszką twojej imaginacji.

— Dzisiaj myślałam o własnym szczęściu. Gdybyśmy się mieli znów spotkać, mogłabym już myśleć tylko o twoim.

— A ze mną nigdy nie byłbyś szczęśliwy. Pan nie może mnie poślubić, panie Smithson.

Ten nawrót do oficjalnego tonu zranił go do żywego. Rzucił jej spojrzenie pełne bólu i wyrzutu, ale ona, jakby w przewidywaniu tego, wciąż odwrócona była do niego plecami. Zrobił ku niej krok.

— Jak możesz się do mnie tak zwracać? — Nie odpowiedziała nic. — Proszę tylko, abyś pozwoliła mi zrozumieć...

— Zaklinam cię. Odejdź!

Odwróciła się raptownie. Przez chwilę wyglądali jak dwoje szaleńców. Zdawało się, że Karol coś powie, że skoczy do niej ze wybuchem, naraz jednak bez słowa obrócił się na pięcie i wybiegł z pokoju.

Jest rzeczą niemoralną, gdy człowiek bierze na wiarę więcej, niż może spontanicznie przyjąć jako coś odpowiadającego swej mentalności i moralności.

Newman, *Eighteen Propositions of Liberalism* (1828)

Biorę za prawdę z tym, co harfy
Dźwięk czysty śpiewa w kilku tonach,
Że ludzie mogą grób pokonać,
Do wyższych rzeczy powstać z martwych.
Alfred Tennyson, In *Memoriam* (1850)

Schodząc do holu Karol przybrał swoją najbardziej oficjalną minę i postawę. Pani Endicott stała w drzwiach kantoru i otworzyła już usta, żeby coś powiedzieć. Jednak Karol z energicznym, choć uprzejmym: „Bardzo pani dziękuję” minął ją i znikł w mroku, nim zdążyła zadać pytanie lub zauważyć, że brak mu guzika przy fraku.

Szedł na oślep przed siebie w coraz to nowych potokach deszczu. Nie dostrzegał go tak samo, jak nie miał pojęcia, dokąd idzie. Jedynym jego pragnieniem była ciemność, niewidzialność, niepamięć, w której zdołałby odzyskać równowagę. Trafił jednak przypadkiem do owej podejrzananej dzielnicy, którą już opisywałem. Jak wszystkie podejrzanane dzielnice pełna była światła i życia — sklepów, tawern, ludzi chowających się przed deszczem w bramach i wejściach. Skręcił tedy w stromą ulicę, biegnącą na dół ku rzece Exe. Szeregi ohydnie ubłoconych stopni okalały po obu stronach przepelniony centralny ściek. Ale było tu cicho. W dole na rogu ukazał się kościółek z czerwonej cegły i Karol poczuł naraz potrzebę pociechy religijnej. Pchnął małe drzwi, tak niskie, że musiał się pochylić, aby wejść. Schody prowadziły na górę, do nawy kościelnej, znajdującej się powyżej wejścia. U szczytu schodów stał młody wikary i przykręcał ostatnią lampę. Zaskoczony był widokiem zapóźnionego przybysza.

— Miałem właśnie zamykać, proszę pana.

— Czy mógłbym prosić, aby wolno mi było pomodlić się przez kilka minut?

Wikary przerwał proces gaszenia i długą chwilę przyglądał się badawczo przybyszowi. Owszem, niewątpliwy dzentelmen

— Mieszkam po drugiej stronie ulicy. Czekają na mnie. Gdyby zechciał pan zamknąć potem drzwi i przynieść mi klucz... — Karol złożył ukłon, wikary zszedł tedy do niego — To rozkaz biskupa. Moim zdaniem Dom Boży powinien zawsze stać otworem. Ale nasze naczynia liturgiczne są bardzo cenne. A żyjemy w takich czasach...

Karol znalazł się więc sam jeden w kościele. Posłuchał kroków wikarego przechodzącego na drugą stronę ulicy, potem zamknął od wewnątrz stare drzwi i wszedł po schodach do kościoła. Pachniało tu wilgotną farbą. Jedyny palnik gazowy słabo oświetlał świeżą poźlotę, lecz masywne, ciemnoczerwone łuki gotyckie wskazywały, że kościół jest bardzo stary. Karol usiadł pośrodku głównej nawy i poprzez tęczę patrzył na krucyfik nad ołtarzem. Następnie ukląkł i odmówił Ojcze nasz, opierając na pulpicie przed sobą splecione, sztywne dłonie.

Mroczna cisza i pustka wezbrały znowu, gdy dokończył słów pacierza. Zaczął układać specjalną modlitwę okolicznościową. „Przebacz mi, Panie, mój egoizm. Przebacz mi, że łamię Twoje nakazy. Przebacz moje haniebne uczynki, przebacz mi nieczystość. Przebacz mi niezadowolnienie z siebie, przebacz mi brak wiary w Twoją mądrość i miłosierdzie. Przebacz i

oświeć mnie, o Panie, w godzinie cierpienia...” — naraz jednak zrozpaczona podświadomość splatała mu niegodziwego psikusa i przed oczami stanęła mu twarz Sary, zalana łzami, udreńczona, podobna jak dwie krople wody do Mater Dolorosa, którą widział w Kolmarze, Koblencji, Kolonii... nie mógł sobie przypomnieć gdzie. Przez kilka nedorzecznych sekund gorączkowo szukał w pamięci nazwy zapomnianego miasta, zaczynała się na „K”... Wstał z klęczek i usiadł z powrotem na ławce. Jakże pusto było w kościele, jak cicho. Karol spojrzął na krucyfiks, ale zamiast twarzy Chrystusa zobaczył tylko twarz Sary. Próbował zacząć modlitwę od początku. Beznadziejnie. Wiedział, że nikt jej nie słyszy. Wybuchnął gwałtownym płaczem.

Wiktoriańscy ateści (owa wojująca elita, której przewodzi Bradlaugh*)[* Charles Bradlaugh (1833—1891) — angielski reformator społeczny i polityczny, wolnomysliciel, działalnością swoją przyczynił się do zniesienia ograniczeń wolności prasy.] i agnostycy mieli wszyscy — z bardzo nielicznych — wyjątkami — głębokie poczucie, że są z czegoś wyłączeni, że utracili jakiś cenny dar. Wśród przyjaciół o podobnych poglądach mogli pokpiwać z głupstw popełnianych przez Kościół, z jego sekciarskich swarów, z jego biskupów opływających w bogactwa i kanoników knujących intrygi, z jego wiecznie nieobecnych proboszczów¹ i nędznie opłacanych wikarych, z jego zwietrzałej teologii i tak dalej, i tak dalej — Chrystus wszakże pozostawał niczym groźna anomalia opierająca się rozumowaniu. Nie mógł być dla nich tym, czym dla tak wielu z nas jest dzisiaj, postacią całkowicie sekularyzowaną, człowiekiem, co nosił imię Jezusa Nazareńskiego, mającym dar błyskotliwej metafory, dar tworzenia osobistej mitologii, dar postępowania zgodnie ze swoim przekonaniem. Okrucieństwa naszej epoki i nasze własne poczucie winy sprawiły, że wznieśliśmy wielki gmach administrowanej przez państwo opieki i pomocy społecznej; dobroczynność jest teraz całkowicie zorganizowana. Jednakże wiktoriańskie mieli znacznie bliższą styczność z okrucieństwem, ludzie inteligentni i wrażliwi poczuli się do znacznie większej odpowiedzialności osobistej, tym trudniej więc było w tych ciężkich czasach odtrącić ów uniwersalny symbol współczucia.

Karol w głębi duszy wcale nie pragnął być agnostykiem. Ponieważ nie odczuwał nigdy potrzeby wiary, doskonale się bez niej obywał, a rozum i znajomość Lyella i Darwina podpowiadały mu, że obywając się bez dogmatów religijnych, postępuje słusznie. Teraz jednak siedział i płakał — nie nad Sarą, lecz nad własną niemożnością rozmowy z Bogiem. Tutaj, w mrocznym kościele, zrozumiał, że druty zostały przecięte. Jakiegokolwiek porozumienie jest niepodobieństwem.

Głośny łomot przerwał ciszę. Karol obejrzał się, skwapliwie ocierając oczy rękawem. Ale ktokolwiek poruszył klamką chcąc wejść, uznał widocznie, że kościół jest zamknięty, i odszedł. Było to tak, jak gdyby odeszła odtrącona część Karolowego jestestwa. Wstał i zaczął chodzić tam i z powrotem przejściem między ławkami. Zatarłe, nieczytelne imiona i daty ostatnie skamieniałe szczątki innych egzystencji, spoglądały na niego z płyt nagrobkowych wpuszczonych w podłogę. Może sprawiło to chodzenie tam i na powrót po płytach i związane z tym leciutkie poczucie świętokradztwa, a może przebyte chwile rozpaczy, coś w każdym razie przywróciło mu wreszcie spokój i przytomność umysłu. W mózgu zaczął mu się kształtować dialog między jego lepszym a gorszym ja — lub może między nim a postacią rozpostartą na krzyżu w mrocznej głębi kościoła.

Od czego mam zacząć?

Zacznij od tego, coś zrobił, przyjacielu. I przestań żałować, żeś to zrobił.

Nie zrobiłem nic z własnej woli. Zmuszono mnie.

Jak cię zmuszono?

Oszukano mnie.

W jakim zamiarze popełniono oszustwo?

Nie wiem.

Musisz jednak sam osądzić.

Gdyby mnie naprawdę kochała, nie pozwoliłaby mi odejść.

Gdyby cię naprawdę kochała, czy mogłaby cię dłużej oszukiwać?

Nie dała mi wyboru. Sama powiedziała, że nie możemy się pobrać.

Jakie powody podała?

Różnicę pozycji społecznej.

Szlachetna postawa.

Poza tym jest Ernestyna. Dałem jej słowo.

Jużeś je złamał.

Naprawię błąd.

Miłością czy winą?

Mniejsza o to. Przysięga jest rzeczą świętą.

Jeżeli mniejsza o to, przysięga nie może być rzeczą świętą.

Wiem, co jest moim obowiązkiem.

Karolu, Karolu, czytałem tę myśl w najokrutniejszych oczach. Obowiązek jest tylko naczyniem. Może zawierać wszystko, czym się je napełni, od największego zła do największego dobra.

Ona chciała, żebym odszedł. Widziałem w jej oczach pogardę.

Mam ci powiedzieć, co robią w tej chwili te wzdardliwe oczy? wylewają potoki łez.

Nie mogę tam wrócić.

Sadzisz, że woda zmyje krew z twoich łędźwi?

Nie mogę tam wrócić.

Czy musiałeś spotkać się z nią znowu na skarpie? Czy musiałeś zatrzymać się dzisiaj na noc w Exeter? Czy musiałeś iść do jej pokoju? Pozwolić, żeby jej ręka spoczęła na twojej ręce? Czy...

Przyznaję się do wszystkiego! Zgrzeszyłem. Ale wpadłem w jej sidła.

Czemu więc teraz jesteś od niej wolny?

Karol nie odpowiedział. Usiadł znów w ławce. Splótł palce z taką siłą, jakby chciał złamać zbielełe stawy, i patrzył, patrzył w mrok. Ale tamten głos nie dawał mu spokoju.

Przyjacielu, może istnieje coś, co kocha bardziej niż ciebie. A ty nie rozumiesz, że skoro naprawdę cię kocha, musi dać ci ową rzecz, którą kocha jeszcze bardziej. Powiem ci, dlaczego płacze — bo brak ci odwagi, żeby zwrócić jej ten dar.

Jakim prawem skazała mnie na tortury?

Jakim prawem przyszedłeś na świat? Jakim prawem oddychasz? Jakim prawem jesteś bogaty?

Oddaję tylko co cesarskie cesarzowi...

Albo może panu Freemanowi?

To niegodziwy zarzut.

A mnie? Taką mi składasz ofiarę? Te gwoździe, którymi przebijasz mi dłonie?

Zachowując wszelkie proporcje — Ernestyna też ma dłonie.

Weźmy tedy jedną z nich i przeczytajmy, co na niej wypisane. Nie widzę tu szczęścia. Ernestyna wie, że nie jest szczerze kochana. Oszukałeś ją i będziesz ją oszukiwał stale, dzień w dzień, przez całe pożycie małżeńskie.

Karol złożył ramiona na pulpicie i ukrył w nich twarz. Czuł się uwikłany w dylemat będący zarazem falą niezdecydowania, więcej — wartkim prądem, niemal dotykającym, nie biernym, lecz czynnym, unoszącym go w przeszłość nieznaną i niezależną od jego woli.

Mój biedny Karolu, zajrzyj w głąb swego serca — przecież zamierzałeś, kiedyś przybył do tego miasta, dowieść sobie,

że nie jesteś jeszcze w niewoli swej przyszłości. Ale ucieczka nie jest czynem, przyjacielu. Nic przez nią nie osiągniesz, podobnie jak jednym krokiem nie przeniesiesz się stąd do Jerozolimy. Każdego dnia, Karolu, o każdej godzinie trzeba podejmować trud na nowo. O każdej minucie gwóźdź czeka na uderzenie młotka. Wiesz, co masz do wyboru. Albo pozostaniesz w niewoli tego, co w twoich czasach zwie się obowiązkiem, honorem godnością osobistą, a wówczas nic złego cię nie spotka. Albo też będziesz wolny, a wówczas ukrzyżują cię. Jedynymi towarzyszami będą ci kamienie, ciernie, odwrócone plecy — milczenie miast i ich nienawiść.

Jestem słaby.

Ale wstydzisz się swej słabości.

Cóż dobrego może dać światu moja siła?

Nie było odpowiedzi. Coś wszakże kazało Karolowi wstać z ławki i pójść w głąb kościoła. Spojrzał z daleka na krucyfiks, potem, po chwili wahania, zbliżył się do stopni ołtarza. Światło lampy z drugiego końca kościoła prawie tu nie sięgało. Karol z trudem rozróżniał rysy Chrystusa, ogarnęło go jednak uczucie przedziwnego z Nim zespolenia. Zdawało mu się, że to on sam wisi tam... nic w sobie, rzecz jasna, nie mając z wzniosłości i uniwersalizmu Jezusa, lecz ukrzyżowany.

A jednak nie na krzyżu — na czymś innym. Myślał czasem o Sarze w sposób, który mógłby nasuwać przypuszczenie, że widzi się ukrzyżowany na niej, lecz takie bluźnierstwo, zarówno religijne, jak i rzeczywiste, nie powstało mu w głowie. Zdawało mu się raczej, że Sara jest tu przy nim, że czekają na ceremonię ślubną, chociaż nie, nie tylko — przyświeca im inny jeszcze cel. Istota celu wymykała się przez chwilę Karolowi, aż naraz ją uchwycił.

Zdjęcie z krzyża!

Karol dojrzał w nagłym olśnieniu właściwy cel chrześcijaństwa. Nie jest nim oddawanie czi barbarzyńskiemu posągowi ani trzymanie go tam w górze, bo przynosi to korzyści odpuścić grzechów — lecz zbudowanie takiego świata, w którym wiszącego człowieka można by uwolnić, sprowadzić na dół, widzieć go nie z grymasem męki na twarzy, ale z uśmiechem ukojenia, ze świadomością zwycięstwa odniesionego przez żywych mężczyzn i kobiety w ich własnych sercach.

Gdy tak stał, cała współczesna mu epoka z jego gorączkowym życiem, z żelaznymi pewnikami i sztywnymi konwenansami, z tłumieniem uczuć i płaskim humorem, z rozważną wiedzą i nierozważną religią, ze skorumpowaną polityką i niewzruszonym podziałem kastowym wydała mu się groźnym, ukrytym wrogiem wszystkich jego najgłębszych pragnień. To ona go ganiała, ona, nieznająca miłości ani wolności... choć okłamała go bezmyślnie, bez złych zamiarów, ponieważ oszustwo i kłamstwo leży w naturze tej nieludzkiej maszyny. To właśnie jest nękające go błędne koło, to jest owa klęska, słabość, rak, skaza, która uczyniła go tym, czym jest — chwiejność bierze w nim górę nad poczuciem rzeczywistości, marzenia nad uczuciami, milczenie nad słowem, skostnienie nad działaniem. A te skamieliny!

Stał się martwy za życia.

Zdawało mu się, że rozwiera się przed nim bezdenne otchłań.

I coś jeszcze: dziwne wrażenie, które nie opuszczało go, odkąd wszedł do kościoła — nie tylko z tym kościołem związane, to samo bowiem odczuwał zawsze, ilekroć wchodził do pustych kościołów — wrażenie, że nie jest sam, że za nim stoi zwarty tłum wiernych. Obejrzał się.

Cisza, puste ławki.

Karol pomyślał: gdyby oni naprawdę umarli, gdyby nie było życia pozagrobowego, cóż by mnie obchodziło ich zdanie? Nic by nie wiedzieli, nie mogliby mnie sądzić.

Naraz dokonał wielkiego skoku myślowego: Nic nie w i e d z ą, nie mogą mnie są d z i ć.

Rzecz w tym, że myśl, którą teraz odrzucał, prześladowała jego epokę, wyrządzając jej niepowetowane szkody. Sformułował ją bardzo wyraźnie Tennyson w pięćdziesiątym wierszu z cyklu *In Memoriam*. Proszę posłuchać.

Czyżbyśmy rzeczywiście chcieli
 Żyć nadal w zmarłych obecności?
 Czyżby nie było w nas podłości,
 Lub ktoś na jawną się ośmielił?

Temu, którego sąd ceniło
 Me serce, strzegąc się nagany,
 Miałbym ukazać grzech skrywany
 I zmniejszyć jego dla mnie miłość?

Obawy moje ten grób krzywdzą:
 Czy ganić miłość za brak wiary?
 Musi być mądrość Śmierci darem.
 Niechaj mnie zmarli na wskroś widzą.

Wzlotów i klęsk bądźcie świadkami:
 Jak Bóg, tak widzą wasze oczy
 Szerzej, niż my, czas, co się toczy,
 Przeto wstawicie się za nami.

„Musi być Mądrość Śmierci darem: niechaj mnie zmarli na wskroś widzą”! Wszystko w Karolu burzyło się przeciw tym dwóm obrzydliwym twierdzeniom, przeciw tej makabrycznej chęci wchodzenia w przyszłość tyłem, z zahipnotyzowanym wzrokiem wlepionym w umarłych ojców zamiast w nienarodzonych synów. Poczuł, że dotychczasowa jego wiara w upiorną obecność przeszłości skazywała go — choć nie zdawał sobie z tego sprawy — na życie w grobie.

Choćby przemiana ta mogłaby się wydawać skokiem w ateizm, tak jednak nie było — nie pomniejszyła ona Chrystusa w oczach Karola. Raczej przywróciła Mu życie, zdjęła Go z Krzyża, jeżeli nie całkowicie, to przynajmniej częściowo. Karol wolnym krokiem powrócił do nawy, odwracając się plecami do nie najlepiej wyrzeźbionej figury. Ale nie do Jezusa. Zaczął znów chodzić tam i na powrót, wpatrując się w kamienne płyty pod nogami. To, co widział teraz, było jakby objawieniem innego świata — nowej rzeczywistości, nowej przyczynowości, tworzenia nowego życia. Kaskada konkretnych wizji — jeśli kto woli, nowy rozdział jego hipotetycznej autobiografii — napłynęła mu do mózgu. W podobnie rozstrzygającej chwili, jak sobie państwo zapewne przypominają, myśl pani Poulteney w mgnieniu oka przebiegła od wiecznego zbawienia do znienawidzonej lady Cotton. Ukryłbym też prawdziwy stan rzeczy, gdybym nie wyznał, że Karol w tej chwili pomyślał o swoim stryju. On, Karol, nie obarczy sir Roberta winą za rozbite plany małżeńskie, za związek niegodny rodziny — ale stryj sam będzie się do tej winy poczuwał. Przed oczami stanęła Karolowi inna scena — spotkanie lady Belli z Sarą. Rzecz przedziwna, zrozumiał od razu, kto wyjdzie z tego starcia zwycięsko i z godnością. Ernestyna bowiem walczyłaby tą samą bronią co lady Bella, ale Sara... te jej oczy — jakże one potrafią ignorować afronty i zniewagi! Odpierać je milczeniem! Sprawiać, że stają się ledwie dostrzegalnymi pyłkami sadzy na lazurowym niebie!

I gdyby tak ubrać Sarę! Zabrać ją do Paryża, do Florencji, do Rzymu!

Chwila z pewnością nie jest odpowiednia do przeprowadzania porównań ze św. Pawłem na drodze do Damaszku. Ale Karol stanął jak wryty — niestety, znów plecami do ołtarza — a twarz rozjaśnił mu niezwykle blask. Może opromieniło ją po prostu światło lampy przy schodach, boć niezbyt ręcznie przełożył na język codzienności szlachetniejsze, lecz atrakcyjne pobudki, które nim kierowały. Chciałbym jednak, żeby państwo uwierzyli, że Sara wsparta na jego ramieniu galerii Uffizi była najczystszy, choć może banalnym symbolem okrutnej, lecz koniecznej (tak — jeżeli mamy ostać się przy życiu — koniecznej nawet i dzisiaj) wolności

Wrócił do swej ławki i zrobił coś najzupełniej irracjonalnego, bo ukląkł i pomodlił się, chociaż trwało to bardzo krótko. Potem ruszył przejściem do schodów, pociągnął w dół łańcuszek, aż światło palnika gazowego stało się bladym punkcikiem, i wyszedł z kościoła.

¹[Ale kto może zrobić im z tego zarzut, gdy taki przykład podawali im zwierzchnicy? Wikary wspomniał przed chwilą o biskupie — otóż właśnie ten biskup, osławiony doktor Phillpotts z Exeter (miał on podówczas w swojej pieczy całe Devonshire i całą Kornwalię), stanowi przypadek wręcz klasyczny. Ostatnie dziesięć lat życia spędził w Torquay, w „komfortowym apartamencie”, i jak głosi fama, przez tę ostatnią dekadę ani razu nie przestąpił progu swej katedry. Jako wojowniczy reakcjonista w każdym calu, był wzorowym księciem kościoła anglikańskiego, umarł zaś dopiero w dwa lata po opisywanym przez nas roku.]

Dwoje służących jeno trzymam,
Skorych obgadać lub coś zwędzić...
Alfred Tennyson, Maud (1855)

Karol znalazł dom wikarego i zadzwonił do drzwi. Otworzyła je pokojówka, ale młody duchowny z faworytami stał już za nią w sieni. Pokojówka wycofała się, jej pan zaś postąpił naprzód, żeby odebrać ciężki stary klucz.

— Bardzo panu dziękuję. Odprawiam nabożeństwo codziennie o ósmej rano. Długo pan zabawi w Exeter?

— Niestety nie. Jestem tylko przejazdem.

— Miałem nadzieję, że jeszcze pana ujrzę. Niczym więcej nie mogę panu służyć?

Biedny chudy wikary zrobił gest w kierunku drzwi, za którymi bez wątpienia znajdował się jego gabinet. Karol zauważył już pewną ostentację w wyposażeniu kościoła i zrozumiał, że młodzieniec zaprasza go do spowiedzi. Nie potrzeba było władz nadprzyrodzonych, aby dojrzeć przez ścianę klęcznik i dyskretną figurę Matki Boskiej — wikary bowiem należał do młodych ludzi urodzonych za późno na schizmę traktariańską, teraz więc zuchwale (choć niezbyt się narażając, ponieważ biskup Phillpotts był wyznawcą Wysokiego Kościoła*)[* Wysoki Kościół (High Church) — odłam Kościoła anglikańskiego najbardziej zbliżony obrządkiem do rzymskokatolickiego.] uprawiał flirt z malowniczymi obrzędami i haftowanymi złotem ornatami, co stanowiło podówczas modną formę wykwintu eklezjastycznego. Karol przyjrzał się młodzieńcowi badawczo i jeszcze bardziej się utwierdził w swoich nowych poglądach — od tych bzdur z pewnością nie mogą być głębsze. Podziękował z ukłonem i ruszył w dalszą drogę. Z religii panującej rozgrzeszony został raz na zawsze.

W dalszą drogę... sądzą państwo być może, iż droga ta musi go zaprowadzić prosto do „Hotelu Rodzinnego” pani Endicott. Człowiek współczesny z pewnością natychmiast by tam wrócił. Ale nieprzebytym murem, broniącym Karolowi powrotu, było przekłete poczucie obowiązku i honoru. Przede wszystkim musi się uwolnić od dawnych zobowiązań, a wtedy dopiero będzie mógł stanąć przed Sarą i prosić ją o rękę.

Zaczął rozumieć, czemu Sara kłamała. Wiedziała, że on ją kocha, wiedziała też, że w zaślepieniu swym nie dostrzega, jak głębokie jest to uczucie. Fałszywa wersja zdrady popełnionej wobec niej przez Varguennesa, inne jej wybiegi, były tylko środkami mającymi otworzyć Karolowi oczy. Wszystko, co mówiła potem, gdy obudziła w nim świadomość, stanowiło tylko próbę tej jego nowej zdolności widzenia. Zawiódł ją haniebnie, a wówczas użyła tych samych forteli na dowód, że nie jest go warta. Jakiej szlachetności ducha potrzeba do takiego poświęcenia! Gdybyż tylko skoczył do niej, chwycił ją znów w ramiona, powiedział jej, że należy do niego, nieodmiennie, na zawsze!

I gdybyż tylko — mógł dodać, lecz nie dodał — wiktorianie nie mieli w sobie owej fatalnej dychotomii (najgorszego chyba skutku ich manii klasyfikowania), która kazała im uważać „duszę” za coś bardziej realnego od ciała, za coś znacznie bardziej realnego, za jedynie realne, „ja”, prawie z ciałem niezwiązane, unoszące się wysoko ponad bestią, a przecież, skutkiem jakiejś niewytłumaczonej skazy w przyrodzie rzeczy, podążające opornie za ruchami bestii, niczym biały balonik ciągnięty na sznurku przez niegrzeczne i krnąbrne dziecko.

To właśnie — fakt, że każdy wiktorianin cierpiał na rozdwojenie jaźni — stanowi niezbędną część ekwipunku, jaki musimy zawsze brać ze sobą, wyprawiając się w podróż po wieku

dziwiętnastym. Schizofrenia ta widoczna jest w najczystszej, najwyraźniejszej postaci w dziełach poetów, których cytuję tak często — Tennysona, Clougha, Arnolda, Hardy’ego, lecz chyba nie mniej wyraźnie w zdumiewających zmianach frontu z prawa na lewo i z powrotem ludzi takich, jak Mili młodszy i Gladstone, w ustawicznych nerwicach i psychosomatycznych schorzeniach intelektualistów tak poza tym od siebie różnych, jak Charles Kingsley* [* Charles Kingsley (1819—1875) — angielski duchowny i powieściopisarz, znany z udziału we współczesnych mu ruchach społecznych, nazywano go „czartystowskim pastorem”.] i Darwin, w kłótwach rzucanych z początku na prerafaelitów, którzy usiłowali lub tak się przynajmniej zdawało — mieć jednolity stosunek zarówno do sztuki, jak i do życia, w nieustannych zmaganiach między swobodą a powściągliwością, między żywiołowością a umiarkowaniem, między nakazami konwenansów a przekonaniem, między wołaniem człowieka uczciwego o powszechną oświatę a nękającym go lękiem przed powszechnym prawem głosu; schizofrenia, ujawniająca się również w manii redagowania i skreślenia, jeżeli więc chcemy poznać autentycznego Milla lub autentycznego Hardy’ego, możemy się więcej dowiedzieć ze skreśleń i przeinaczeń w ich autobiografiach, aniżeli z wersji opublikowanych... więcej z listów, które cudem jakimś uniknęły spalenia, z prywatnych diariuszy, z drobnych luk pozostawionych przy operacji zatajania. Nigdy jeszcze kronika nie została tak zagmatwana, nigdy jeszcze nie udało się tak skutecznie wmówić łatwowernej potomności, że oficjalna fasada jest absolutnie prawdziwa, a w związku z tym za najlepszy przewodnik po epoce wiktoriańskiej należy chyba uznać opowieść Stevensona — *Dr Jekyll i pan Hyde*. Za jej późnym gotykiem kryje się głęboka prawda, rzucająca snop światła na całą epokę.

Każdy wiktoriańczyk cierpiał tedy na rozdwojenie jaźni, Karol zaś bardziej może niż ktokolwiek inny. Idąc po Fore Street do zajazdu „Pod Okrętem”, przepowiadał już sobie słowa, które biały balonik wygłosi w chwili, kiedy niegrzeczne dziecko znów zobaczy się z Sarą — namiętne, lecz wzniosłe argumenty, mające doprowadzić Sarę do łez wdzięczności i wydrzeć z jej ust wyznanie, że nie może bez niego żyć. Widział całą tę scenę tak żywo, aż bierze mnie pokusa, żeby ją opisać. Ale w drzwiach starego zajazdu stoi już rzeczywistość w osobie Sama.

— Ładne było nabożeństwo, panie Karolu?

— Ja... ja zablądziłem, Samie. No i zmokłem jak wszyscy diabli. — Było to oczywiście wyrażenie, którego w obecności Sama używać nie należało. — Zrób mi kąpiel, z łaski swojej. Zjem kolację w pokoju.

— Tak jest, panie Karolu.

Po upływie piętnastu minut można było oglądać Karola, gdy nagi, jak go Pan Bóg stworzył, oddawał się niecodziennemu zajęciu — — prał. Przycisnął zakrwawioną bieliznę do brzegu wielkiej niasiadówki, którą nappełnił dla niego Sam, i gorliwie pocierał plamy kawałkiem mydła. Czuł się jak idiota i praca nie szła mu nienajlepiej. Kiedy nieco później Sam wszedł z kolacją na tacy, bielizna leżała niedbale porzucona na brzegu wanny i na pół zanurzona w wodzie. Sam sprzątnął ją bez słowa, Karol zaś raz przynajmniej zadowolony był ze swego notorycznego niedbalstwa w tych sprawach.

Po kolacji rozłożył przybory do pisania.

Najdroższa!

Połowa mojego jestestwa raduje się niewymownie, że tak się do Ciebie zwraca, gdy tymczasem druga połowa dziwi się, jak ten człowiek może nazywać tak osobę, która jest dla niego wciąż jeszcze zagadką. Pewne twoje cechy znam już chyba do głębi, o innych wiem nie więcej niż pierwszego dnia, kiedy Cię ujrzałem. Piszę to nie po to, żeby usprawiedliwić, lecz żeby wytłumaczyć moje postępowanie dzisiejszego wieczora. Nie mogę go usprawiedliwić, chciałbym

jednak wierzyć, że pod pewnym względem należy ten wieczór uznać za pomyślny, gdyż skłonił mnie do rachunku sumienia, który dawno już powinienem był zrobić. Nie będę wnikał w szczegóły. Postanowiłem wszakże, moja cudowna, tajemnicza Saro, że to, co nas teraz łączy, będzie nas łączyło na wieki. Zdaję sobie aż nazbyt dobrze sprawę, że w obecnej mojej sytuacji nie mam prawa Cię widzieć, a tym mniej prosić, aby wolno mi było poznać Cię bez reszty. Przede wszystkim więc muszę unieważnić moje zaręczyny z panną Freeman.

Od dawna już czułem, że zaręczając się z nią, popełniłem szaleństwo — uczucie to nękało mnie, zanim jeszcze weszłaś do mojego życia. Błagam Cię przeto, abyś w tym względzie nie robiła sobie wyrzutów. Winna jest moja ślepotą, moja nieznanostwo własnej natury. Gdybym był o dziesięć lat młodszy, gdybym nie dostrzegał w moich czasach i moim otoczeniu tylu rzeczy, które mnie rażą, bez wątpienia mógłbym być z panną Freeman szczęśliwy. Ale zapomniałem, że mam trzydzieści trzy lata, nie dwadzieścia trzy, i to było moją główną pomyłką.

Jutro wczesnym rankiem wyruszam tedy w niezmiernie przykrą podróż do Lyme. Zrozumiesz chyba, że cel podróży najrychlejsze jego osiągnięcie stanowi w tej chwili główny przedmiot moich myśli. Skoro tylko spełnię ten swój obórek, będę już myślał tylko o Tobie — nie, o naszej przyszłości. Co za dziwne zrządzenie losu zaprowadził mnie do Ciebie, nie wiem, ale jeśli Bóg pozwoli, nic mi już Ciebie nie odbierze, chyba że sama będziesz sobie tego życzyła. Na razie, najmiłsza moja zagadko, powiem tylko tyle, że będziesz musiała dostarczyć nieporównanie mocniejszych dowodów i argumentów niż dotychczas. Nie wierzę zresztą, abyś próbowała. Twoje serce wie, że należę do Ciebie i że ponad wszystko pragnę nazwać Cię moją.

Czy potrzeba zapewniać Cię, najdroższa Saro, iż żywię jak najuczciwsze zamiary? Chciałbym zapytać Cię o tysiąc rzeczy, oddać ci tysiąc usług, sprawić Ci tysiąc przyjemności. Ale zawsze w granicach, jakie zakreśli Twoja wrażliwość i skromność.

Ten, co nie zazna spokoju ani szczęścia, dopóki nie będzie Cię znów trzymał w ramionach.

K.S.

P.S. Odczytując ponownie ten list, dostrzegam w nim pewną oficjalność, najzupełniej przez moje serce niezamierzoną. Daruj. Jesteś mi tak bliska a zarazem nieznaną — nie potrafię ująć w słowa tego, co czuję naprawdę.

Twój najtkliwiej kochający K.

Ta wzbierająca coraz silniejszym uczuciem epistoła została skomponowana dopiero po kilku brulionowych próbach. Zrobiło się tymczasem późno, Karol postanowił więc, że nie wyśle jej natychmiast. Sara na pewno śpi już, wyczerpana płaczem, trudno, spędzi jeszcze tę jedną złą noc, za to czeka ją radosne przebudzenie. Przeczytał list kilka razy — miał on w sobie coś z tonu, jakiego Karol używał zaledwie przed paroma dniami w listach pisanych z Londynu do Ernestyny. Jednak pisanie tamtych listów było męką, zwykłym ustępstwem na rzecz konwenansów i dlatego właśnie Karol dodał postscriptum. Nadal miał wrażenie, jak to powiedział Sarze, że zupełnie siebie nie poznaje, teraz jednak patrzył na swoje odbicie w lustrze z przyjemnością niepozobawioną podziwu. Czuł, że przepełnia go wielka odwaga, teraz i na przyszłość — że jest człowiekiem jedynym w swoim rodzaju, że dokonał rzeczy niesłychanej. No i spełnia się jego życzenie — znów wyrusza w podróż, w podróż podwójnie czarowną dzięki upragnionej towarzyszkce. Usiłował wyobrazić sobie nowe, nieznanne oblicze Sary — Sarę roześmianą, Sarę śpiewającą, Sarę tańczącą. Było to niełatwe, lecz możliwe... przypomniał sobie jej uśmiech, kiedy o mało nie odkryli ich Sam i Mary. Był to uśmiech jasnowidzącej, spojrzenie w przyszłość. A ta chwila, kiedy podniósł ją z klęczek — z jakąż niewymowną, nieskończoną przyjemnością będzie to robił teraz w ich wspólnym życiu!

Jeżeli to mają być owe grożące mu ciernie i kamienie, zdoła je znieść. Pomyślał przelotnie o jednym drobnym cierniu u Samie. Ale Sama, jak każdego służącego, można było przecież odprawić.

A także przywołać. Został tedy przywołany nazajutrz rano o zadziwiająco wczesnej godzinie. Został Karola w szlafroku, z zapieczętowanym listem i paczuszką w ręce.

— Samie, chciałbym, żebyś to zaniósł pod adres wypisany na kopercie. Zaczekasz dziesięć minut, żeby przekonać się, czy będzie odpowiedź. Jeżeli nie — wprawdzie nie spodziewam się odpowiedzi, ale na wszelki wypadek zaczekaj — jeżeli odpowiedzi nie będzie, masz przyjść prosto tutaj. I zamów szybki powóz. Jedziemy do Lyme. Ale bez bagażu — dodał. — Dziś wieczorem tu wracamy.

— Dziś wieczorem, panie Karolu? Myślałem, że...

— Mniejsza o to, coś myślał. Rób, co ci mówię. Sam przybrał swoją lokajską minę i wycofał się. Schodząc wolno po schodach, uświadomił sobie, że jest w sytuacji nie do zniesienia. Jak tu prowadzić bitwę bez właściwego rozeznania? Kiedy krążą tak sprzeczne pogłoski o dyslokacji sił nieprzyjaciela? Spojrzył na kopertę trzymaną w ręce. Przeznaczenie jej mówiło samo za siebie: Panna Woodruff, „Hotel Rodzinny” pani Endicott. I tylko jeden dzień w Lyme? A walizy mają tu czekać?! Sam obrócił w palcach pakiecik, ścisnął kopertę. Gruba, co najmniej trzy kartki. Rozejrzył się ukradkiem, po czym zbadał pieczęć. Przeklinał tego, co wynalazł wosk.

Teraz stoi przed Karolem, który już się tymczasem ubrał.

— No?

— Nie ma odpowiedzi, panie Karolu. Karol, nie mogąc ukryć radości, odwrócił się.

— A powóz?

— Już czeka, proszę pana.

— Bardzo dobrze. Zejdę niedługo.

Sam wyszedł. Gdy drzwi się za nim zamknęły, Karol podniósł ręce do czoła, potem rozłożył je z uśmiechem, niczym aktor dziękujący publiczności za oklaski. Ubiegłej nocy bowiem, przeczytawszy po raz dziewięćdziesiąty dziewiąty swój list, dodał do niego drugie postscriptum. Dotyczyło ono broszki którą już widzieliśmy w rękach Ernestyny. Karol prosił Sarę żeby przyjęła broszkę i żeby to był znak, iż przebacza już jej postępowanie. Drugi dopisek kończył się słowami: *„Oddawca niniejszego zaczeka, aż przeczytasz list. Gdyby miał przynieść z powrotem zawartość paczuski... ale wiem, że nie możesz być tak okrutna.”*

Biedaczysko cierpiał jednak katusze podczas nieobecności Sama.

A oto znów widzimy Sama. Mówi coś cicho, lecz szybko rozglądając się z niepokojem dokoła. Scena odbywa się pod krzewem bzu rosnącego przy drzwiach kuchennych panny Tranter i tworzącego od strony ogrodu coś w rodzaju zasłony. Popołudniowe słońce rzuca ukośne promienie przez gałęzie i pierwsze białe pąki. Słuchaczką jest Mary. Policzki ma zarumienione, ręką co chwila zatyka sobie usta.

— Coś podobnego, coś podobnego!

— Wszystko przez tego stryja. Mojemu pomieszało się w głowie.

— Ale panienka... ojej, Sam, co ona teraz zrobi?

Oboje ze strachem zwrócili oczy ku oknom górnego piętra, jak gdyby słyszeli już krzyk lub widzieli spadające ciało.

— A my, Mary? Co my zrobimy?

— Och, Sam, to okropne...

— Kocham cię, Mary.

— Och, Sam...

— Przecie to nie było ot tak sobie, z rozpusty... Prędzej bym umarł, niż bym miał cię teraz stracić.

— Co my zrobimy?

— Nie płacz, kochanie, nie płacz. Po uszy już mam tych z góry. Nic nie są lepsi od nas. — Ścisnął Mary za ramiona. Jeżeli jego lordowska mość myśli, że jaki pan, taki kram, to się grubo myli. Jak mam wybierać: ty czy on, to zawsze ty. — Sam napiął mięśnie, niczym żołnierz ruszający do ataku. — Podziękuję mu za służbę.

— Sam!

— Tak zrobię. Będę nosił węgiel. Wezmę najgorszą pracę!

— Ale pieniądze! On nic ci już teraz nie da!

— Nic mi nie da, bo sam nie ma. — Pelen goryczy wpatrywał się przez chwilę w przerażoną dziewczynę. Zaraz jednak uśmiechnął się i wyciągnął do niej rękę. — Ale powiedzić ci kto ma? Jeżeli tylko rozegramy partię jak należy?

Z tych rozmaitych względów wynika, jak sądzę, że jak z biegiem czasu wytwarzają się z jednej strony drogą doboru naturalnego nowe gatunki, tak z drugiej strony inne gatunki stają się coraz rzadsze i ostatecznie giną. Ucierpią oczywiście najwięcej formy zmuszone najostrej konkurować z formami ulegającymi przekształceniom i udoskonaleniom.

Karol Darwin, *O powstawaniu gatunków* (1859)

Przybyli do Lyme tuż przed drugą po południu. Karol na kilka minut wszedł do zarezerwowanego uprzednio pokoju. Znów chodził po nim tam i z powrotem, teraz jednak w zdenerwowaniu i udręce starając się zebrać siły przed czekającą go rozmową. Ogarnął go znowu egzystencjalny lęk — być może Karol przeczuwał, że tak będzie, i dlatego spalił za sobą mosty, wysyłając list do Sary. Przepowiadał sobie tysiące zwrotów ułożonych w drodze do Exeter, lecz przelatowały mu przez głowę niby jesienne liście. Wreszcie zaczerpnął tchu, wziął kapelusz i wyszedł.

Drzwi otworzyła mu Mary, która na jego widok uśmiechnęła się promiennie. Wypróbował na niej swą uroczystą powagę.

— Dzień dobry. Czy panna Ernestyna przyjmuje?

Nim Mary zdążyła odpowiedzieć, Ernestyna ukazała się już głębi holu. Uśmiechała się leciutko.

— Nie. Moja duenna wyszła na lunch. Ale możesz wejść.

Znikła znów w saloniku. Karol oddał Mary kapelusz, rozprostował klapy, pomyślał, że chciałby w tej chwili paść trupem, i ruszył przez hol na miejsce kaźni. Ernestyna, stojąca w słońcu przy oknie, odwróciła się wesoło.

— Dostałam dziś list od pa... Karolu! Karolu? Czy się coś stało?

Chciała podbiec do niego. On, nie będąc w stanie na nią spojrzeć, patrzył na dywan. Zatrzymała się w pół drogi. Oczy ich spotkały się wreszcie — jej przerażone, jego poważne a zarazem pełne wstydu.

— Karolu?

— Prosiłbym, żebyś usiadła.

— Ale co się stało?

— Właśnie... dlatego przyjechałem.

— Ale czemu tak na mnie patrzysz?

— Bo nie wiem, jak zacząć to, co muszę powiedzieć. Nie odrywając od niego wzroku, namacała za sobą ręką fotel i usiadła. Karol wciąż milczał. Dotknęła listu na stoliku pod oknem.

— Papa... — ale szybkie spojrzenie Karola sprawiło, że nie dokończyła zdania.

— Był dla mnie uosobieniem dobroci... ale nie powiedziałem mu prawdy.

— Prawdy?... Jakiej prawdy?

— Że po wielu godzinach najgłębszych, najboleśniejszych rozważań doszedłem do wniosku, że nie jestem ciebie godzien.

Ernestyna zblębiała. Sądził przez chwilę, że zemdleje, i zrobił krok naprzód, żeby ją podtrzymać, ona jednak podniosła wolno rękę i dotknęła lewego ramienia, jakby chcąc się przekonać, że to nie sen.

— Karolu... ty żartujesz.

— Ku mojemu najstraszliwszemu wstydowni... nie żartuję.

— Nie jesteś mnie godzien?

— Najzupełniej niegodzien.

— Więc ty... ależ to jakiś koszmar. — Spojrzała na niego z niedowierzaniem, a potem uśmiechnęła się nieśmiało. Zapomniałeś o swojej depeszy. Ty żartujesz.

— Jakże mało mnie znasz, skoro sądzisz, że mógłbym sobie pozwolić na taki żart.

— Ale... ale... twoja depesza!

— Wysłałem ją przed powzięciem decyzji.

Dopiero teraz, gdy spuścił oczy, zaczęła docierać do niej myśl, że to wszystko dzieje się naprawdę. Karol przewidywał, że będzie to chwila najbardziej krytyczna. Gdyby zemdląca, gdyby dostała ataku histerycznego... sam nie wiedział, ale nigdy nie mógł patrzeć na czyjeś cierpienie, a przecież nie byłoby za późno odwołać wszystko, o wszystkim jej opowiedzieć, zdać się na jej łaskę. Ale chociaż Ernestyna na długą chwilę zamknęła oczy i ciało jej przebiegł dreszcz, to jednak nie mdlała. Była córką swego ojca — może pragnęłaby zemdleć, ale tak niewiarygodna zdrada...

— A więc zechciej wyjaśnić, co to wszystko znaczy.

Poczuł wielką ulgę. Zranił ją, lecz rana nie jest śmiertelna.

— Nie potrafię zawrzeć wszystkiego w jednym zdaniu.

Sztywno wyprostowana, nie podnosząc powiek, wpatrywała się z goryczą w swoje ręce.

— Użyj kilku. Nie będę przerywała.

— Zawsze żywiłem i nadal żywię dla ciebie najwyższy szacunek i sympatię. Nie wątpię i nie wątpię ani przez chwilę, że będziesz najlepszą żoną dla człowieka, który będzie miał szczęście pozyskać twoją miłość. Ale zawsze też ze wstydem zdawałem sobie sprawę, że po części kierują mną niegodziwe pobudki. Chodzi o fortunę, którą wnosisz... i o fakt, że jesteś jedynaczką. W głębi duszy, Ernestyno, czułem zawsze, że brak mi celu w życiu, że nic nie osiągnąłem. Nie, nie, proszę cię, wysłuchaj mnie. Kiedy się ubiegłej zimy zorientowałem, że moje oświadczenia mogą być zyczliwie przez ciebie przyjęte, uległem podszeptom szatana. Miałem sposobność, jak sądziłem, dzięki tak świetnej partii odzyskać wiarę w siebie. Błagam cię, abyś nie myślała, iż powodowało mną jedynie zimne wyrachowanie. Lubiałem cię ogromnie. Miałem nadzieję, że to uczucie z czasem przerodzi się w miłość.

Ernestyna wolno podniosła głowę. Patrzała na niego, lecz zdawała się go nie widzieć.

— Nie mogę uwierzyć, że to ty do mnie mówisz. To ktoś, kto się pod ciebie podszywa, ktoś okrutny, bez serca...

— Wiem, że to musi być dla ciebie bolesny wstrząs.

— Wstrząs! — Na twarzy jej odmalowało się oburzenie. Kiedy stoisz taki zimny, opanowany... i mówisz mi, żeś mnie nigdy nie kochał!

Podniosła głos, Karol podszedł więc do otwartego okna i zamknął je. Stojąc teraz bliżej nieco jej pochylonej głowy, powiedział najłagodniej, jak potrafił, wciąż jednak zachowując dystans:

— Nie szukam wymówek. Staram się tylko wytłumaczyć, że moje przestępstwo nie było zbrodnią z premedytacją. Gdyby było czyż zdobyłbym się na to, co teraz czynię? Pragnę jedynie, abyś zrozumiała, że jeśli kogo oszukałem, to tylko siebie mego. Możesz powiedzieć o mnie, co chcesz — że jestem słaby, samolubny, wszystko — ale nie zarzucaj mi braku serca.

Westchnęła krótko, konwulsyjnie.

— Cóż było powodem tego wielkiego odkrycia?

— Świadomość — nie będę ukrywał, jak bardzo odrażająca — że poczułem się zawiedziony, kiedy twój ojciec nie zerwał za mnie zaręczyn. — Ernestyna rzuciła mu straszliwe spojrzenie. — Staram się być szczerzy. Twój ojciec przyjął wiadomość o zmianie moich perspektyw nadzwyczaj wspaniałomyślnie. Zaproponował nawet, żebym z czasem został jego współnikiem w interesach.

Ernestyna znów podniosła raptownie głowę.

— Wiedziałam, wiedziałam. Wszystko dlatego, że jestem córką kupca, tak?

Karol odwrócił się do okna.

— Nie miałem co do tego najmniejszych zastrzeżeń. W każdym razie... dałbym dowód najohydniejszego snobizmu, gdy bym się wstydził twojego ojca.

— Wypieranie się nie dowodzi niewinności.

— Jeżeli chodzi ci o to, że propozycja ta napełniła mnie przerażeniem, masz zupełną słuszność. Ale przerażony byłem własną niezdatnością do tego, co planowano, bynajmniej nie samą propozycją. Teraz pozwól mi dokończyć... moich wyjaśnień.

— Serce mi od nich pęka. Karol znów odwrócił się do okna.

— Postarajmy się nadal zachować szacunek, jaki zawsze dla siebie żywiliśmy. Nie sądz, że w całej tej sprawie tylko siebie mam na względzie. Dręczy mnie myśl o krzywdzie, którą wyrządziłbym tobie — i twojemu ojcu — żeniąc się z tobą bez miłości, na jaką zasługujesz. Gdybyśmy byli inni, ty i ja... ale jesteśmy sobą, poznajemy po jednym spojrzeniu, po jednym słowie, czy ktoś odwzajemnia nasze uczucia...

— Zdawało się nam, że poznajemy — syknęła.

— Droga Ernestyno, to coś jak wiara w Boga. Można udawać, że się wierzy. Ale udawanie w końcu wychodzi na jaw. Jeśli dobrze zbadasz swoje serce, na pewno znajdziesz w nim ślady wątpliwości. Tłumiłaś je niewątpliwie, mówiłaś sobie: „on jest”...

Zatkała uszy, potem wolno przesunęła palce, zasłania twarz. Nastąpiła pauza. Wreszcie Ernestyna spytała:

— Mogę teraz mówić?

— Oczywiście.

— Wiem, że zawsze byłam dla ciebie tylko ładną rzeczą... bibelotem do ozdoby salonu. Wiem, że jestem naiwna. Wiem, że jestem rozpieszczona. Wiem, że nie jestem kobietą niezwykłą. Nie jestem Heleną Trojańską ani Kleopatry. Wiem, że mówię rzeczy, które czasem rażą cię jak zgrzyt po szkle, że zanudzam cię na temat urządzania domu, sprawiam ci przykrość, kiedy pokpiwam z twoich skamielin. Może jestem tylko dzieckiem. Ale myślałam, że twoja miłość i opieka... twoja wiedza... sprawi, że zmienię się na lepsze. Zacznę ci się podobać, pokochasz mnie za to, czym się stałam. Pewno nie wiesz o tym, nie możesz wiedzieć, ale to mnie właśnie w tobie pociągało. Wiesz tylko, że prezentowano mnie... jak przynętę... setce innych mężczyzn. Wcale nie wszyscy byli łowcami posagowymi i ludźmi bez wartości. Wybrałam cię nie dlatego, że w naiwności ducha nie potrafiłam przeprowadzać porównań. Wybrałam cię dlatego, że wydawałeś mi się bardziej wspaniałomyślny, mądrzejszy, bardziej doświadczony. Pamiętam — jeżeli mi nie wierzysz, przyniosę mój dziennik — jak napisałam po naszych zaręczynach, że masz za mało wiary w siebie. Wyczuwałam to. Sądziłeś, że jesteś pechowcem, wykolejeńcem, że wszyscy tobą pogardzają, sama już nie wiem... ale to właśnie miał być prawdziwy posag, który chciałam ci wnieść. Wiara w siebie.

Nastąpiła długa pauza. Ernestyna siedziała z pochyloną głową.

— Przypominasz mi, ile tracę — odezwał się cicho Karol. — Niestety, za dobrze siebie znam. Nie można wskrzesić czegoś, co nigdy nie istniało.

— Tyle tylko znaczy dla ciebie to, co mówię?

— Znaczy dla mnie dużo, bardzo dużo.

Umilkł, choć ona wyraźnie czekała, że powie coś więcej. Nie spodziewał się takiego kontraktaku. Słowa jej wzruszyły go i zawstydziły, a ponieważ nie wolno mu było okazać żadnego z tych uczuć, więc milczał. W końcu ona, nie patrząc na niego, zaczęła ledwie dosłyszalnie:

— Wobec tego, co powiedziałam, czy nie możesz przynajmniej... — ale nie potrafiła znaleźć właściwych słów.

— Zastanowić się nad swoją decyzją?

Musiała posłyszeć w jego tonie coś, czego wcale nie zamierzał, bo nagle podniosła głowę z wyrazem gorącej prośby. Oczy miała wilgotne od powstrzymywanych łez, blada twarzyczka czyniła żalosne wysiłki, żeby zachować choć pozory spokoju. Karolowi ból przeszył serce — jakże głęboko ją zranił.

— Karolu, błagam cię, błagam, poczekaj trochę. To prawda, ja mało wiem, nie mam pojęcia, czego ode mnie pragniesz...gdybyś mi tylko powiedział, w czym cię zawiodłam... jaka, chciałbyś, żebym była... Zrobię wszystko, wszystko, bo wyrzeknę się wszystkiego w świecie, bylebyś ty był szczęśliwy.

— Nie powinnaś tak mówić.

— Muszę... nic na to nie poradzę... dopiero wczoraj ta depesza, płakałam, całowałam ją setki razy. Nie myśl, że skoro przekomarzam się z tobą, to nie wiem, co to prawdziwe uczucie. Ja bym... — ale głos jej zamarł, gdy w błysku intuicji czegoś się naraz domyśliła. Rzuciła mu gniewne spojrzenie. — Ty kłamiesz. Coś się zdarzyło od chwili, kiedyś wysłał depeszę.

Karol podszedł do kominka i stanął zwrócony do Ernestyny plecami. Ernestyna wybuchnęła łkaniem. Było to nie do zniesienia. Obejrzał się w końcu, spodziewając się, że ona nie patrzy, ale płakała nie zasłaniając twarzy, wpatrzona w niego a gdy się obejrzał, wyciągnęła do niego ręce jak przerażone zabłąkane dziecko, wstała, zrobiła krok i padła na kolana. Karola przeszły uczucie odrazy — nie do Ernestyny, lecz do całej tej sytuacji, do półprawd, które tu wygłaszała, do ukrywania istoty rzeczy. Być może najbliższą analogią będzie to, co odczuwa niekiedy chirurg wobec szczególnie zmasakrowanej ofiary bitwy lub wypadku: że musi — bo cóż innego można zrobić? — za wszelką cenę dokończyć operacji. Powiedzieć prawdę. Zaczekał, aż łkania ucichły.

— Chciałem ci tego oszczędzić. Ale tak — coś się zdarzyło. Wstała bardzo wolno i podniosła ręce do policzków ani na chwilę nie odrywając od niego oczu.

— Kto to jest?

— Nie znasz jej. Imię nie ma znaczenia.

— Więc ona... ty... Odwróciła wzrok.

— Znam ją od wielu lat. Myślałem, że nic już nas nie łączy. W Londynie przekonałem się... że tak nie jest.

— Kochasz ją?

— Czy kocham? Nie wiem... ale jest to coś, co sprawia, że nie mogę oddać serca nikomu innemu.

— Dlaczegoś od razu tego nie powiedział?

Nastąpiła długa pauza. Nie mógł znieść jej spojrzenia, które wykrywało każde jego kłamstwo.

— Chciałem oszczędzić ci bólu — bąknął wreszcie.

— Albo sobie wstydu? Jesteś... jesteś potworem!

Opadła znów na fotel, patrząc na Karola rozszerzonymi źrenicami. Potem ukryła twarz w dłoniach. Pozwolił jej się wypłakać, wpatrując się uparcie w porcelanową owieczkę na gzymsie kominka — aż do dnia śmierci ilekroć widział porcelanową owieczkę, wstręt do siebie zalewał go piekącą falą. Kiedy Ernestyna w końcu się odezwała, w głosie jej brzmiała taka siła, że Karol zdrzął.

— Jeżeli się sama nie zabiję, wstyd mnie zabije!

Niewart jestem choćby chwili żalu. Poznasz innych mężczyzn... których życie nie złamało. Uczciwych, prawych mężczyzn, którzy... — Urwał, a potem wybuchnął: — Na wszystko, co ci jest święte, przysięgnij mi, że nigdy już tego nie powiesz!

Spojrzała na niego w pasji.

— Myślisz, że ci przebaczę? — Potrząsnął tylko głową. — Rodzice, znajomi... co im powiem? Że pan Karol Smithson koniec końców doszedł do wniosku, że jego kochanka ważniejsza jest od jego honoru, od danego słowa, od...

Posłyszał szelest rozdieranego papieru. Nie patrząc domyślił się, że wyładowała gniew na liście ojca.

— Sądziłem, że sprawa jest na zawsze skończona. Niezwykłe okoliczności...

Milczenie — jak gdyby Ernestyna zastanawiała się, czy ma go oblać witriolem. Głos jej stał się naraz zimny i pełen jadu.

— Złamałeś przyrzeczenie małżeństwa. Przedstawicielki mojej płci znają na to sposób.

— Masz pełne prawo zaskarżyć mnie do sądu. Mógłbym tylko przyznać się do winy.

— Świat dowie się, kim jesteś naprawdę. Tylko na tym mi zależy.

— Świat i tak się dowie, cokolwiek się zdarzy. Potworność tego, co zrobił, dotarła do niego poprzez jej słowa. Ona wciąż potrząsała głową, jakby z niedowierzaniem. Karol podszedł, przysunął krzesło i usiadł naprzeciw niej, za daleko, żeby móc dotknąć jej ręką, lecz dość blisko, żeby zaapelować do jej szlachetności.

— Czy choć przez chwilę przypuszczasz, że nie ponoszę kary? Że to nie jest najokropniejsza decyzja, jaką powziąłem w życiu? Że nie przeżywam teraz najczarniejszej swojej godziny? Godziny, którą aż do śmierci będę wspominał z najgłębszym bólem? Jestem może... dobrze, niech i tak będzie, jestem oszustem. Ale wiesz przecież, że nie jestem bez serca. Nie byłbym tutaj. Napisałbym list, uciekłbym za granicę...

— Żałuję, żeś nie uciekł.

Patrzył długo na jej spuszczoną głowę, potem wstał. Dostrzegł swoje odbicie w lustrze i ten mężczyzna w lustrze, ten Karol z innego świata wydał mu się prawdziwym Karolem. Ten w pokoju był, tak jak ona mówiła, oszustem podszywającym się pod niego, zawsze był wobec Ernestyny oszustem, którego prawdziwy Karol obserwował z dystansu. Rozpoczął wreszcie jedno ze swoich przygotowanych przemówień.

— Nie mogę się spodziewać, abys odczuwała cokolwiek innego prócz gniewu i żalu. Proszę tylko, żebyś kiedy te naturalne uczucia miną, przypomniała sobie, iż nikt nie zdoła potępić mnie tak surowo, jak sam siebie potępiam... a jedynym moim usprawiedliwieniem jest to, że nie potrafię dłużej zwodzić osoby, która zyskała mój szacunek i podziw.

Słowa brzmiały fałszywie — były fałszem. Karol z przykrością zdawał sobie sprawę, jak wielka musi wzbierać w niej pogarda.

— Usiłuję wyobrazić sobie ją. Przypuszczam, że jest utytułowana... ma pretensje do wysokiego urodzenia. Och... gdybym tylko usłuchała mojego biednego, kochanego ojca!

— Co to znaczy?

— On zna arystokrację. Ma dla niej określenie — piękne maniery i niezapłacone rachunki.

— Nie należę do arystokracji.

— Jesteś taki sam jak twój stryj. Myślisz, że twoja pozycja pozwala ci lekceważyć wszystko, co dla nas, przyziemnych, pospolitych stworzeń jest święte. Ona tak samo. Jakaż kobieta może być tak podła, żeby kazać mężczyźnie złamać przysięgę? Domyślam się. — Wyrzuciła z siebie te słowa: — Jest mężatką.

— Nie chcę o tym mówić.

— Gdzie jest teraz? W Londynie?

Patrzył na nią przez chwilę, potem obrócił się na pięcie i podszedł do drzwi. Ernestyna wstała.

— Mój ojciec wdpcze w błoto twoje nazwisko, oba wasze nazwiska. Odwróć się od was wszyscy, którzy was znają. Czeka was hańba i prześladowania, będziecie musieli opuścić Anglię, będziecie...

Kiedy zaczęła mówić, zatrzymał się przy drzwiach. Teraz je otworzył. Ten ruch — albo niemożność wymyślenia dla niego gorszej kary — sprawił, że urwała. Usta jej drgały, jak gdyby chciała powiedzieć znacznie więcej, lecz nie była w stanie. Zachwiała się, a jakaś ukryta w niej przekorna istota wypowiedziała naraz jego imię, jakby to wszystko było złym snem i chciała usłyszeć teraz potwierdzenie, że się z niego budzi.

Karol stał w miejscu. Ernestyna ślaniała się przez chwilę, potem opadła na podłogę przy fotelu. Pierwszym odruchem Karola było podbiec do niej, ale coś w tym jej upadku, w nieco zbyt ostrożnym sposobie, w jaki kolana ugięły się pod nią a ciało osunęło się bokiem na dywan, powstrzymało go.

Patrzył chwilę na leżącą postać i rozpoznał symptomy historycznej katatonii, zgodnej z ówczesnym konwenansem.

— Napiszę niezwłocznie do twojego ojca — powiedział.

Nie dała znaku życia. Leżała z zamkniętymi oczami, z ręką wzruszająco wyciągniętą na dywanie. Karol podszedł do sznura przy kominku, szarpnął go mocno, po czym wrócił do otwartych drzwi. Gdy usłyszał na schodach kroki Mary, wyszedł z pokoju. Pokojówka przybiegła na górę z kuchni. Karol wskazał jej salon.

— Panna Freeman doznała szoku. Nie wolno opuszczać jej ani na chwilę. Idę po doktora Grogana. — Mary sama wyglądała tak, jakby miała zemdleć. Oparła się o balustradę i patrzyła na Karola przerażonymi oczami. — Rozumie pani. Pod żadnym pozorem nie wolno pani od niej odejść. — Mary skinęła głową, dygnęła, ale nie ruszyła się z miejsca. — To tylko omdlenie. Niech jej pani rozluźni suknię. pokojówka rzuciła mu kolejne przerażone spojrzenie i weszła do pokoju. Karol poczekał jeszcze kilka sekund. Usłyszał słaby jęk, potem głos Mary.

— Panienko, panienko, to ja, Mary. Zaraz przyjdzie doktor. Wszystko będzie dobrze, panienko, ja od pani nie odejdę.

Karol na moment wszedł z powrotem do saloniku. Mary klęczała, trzymając Ernestynę w objęciach. Twarz pani spoczywała na piersi pokojówki. Mary podniosła głowę i spojrzała na Karola — zdawało się, że te wymowne oczy zabraniają mu patrzeć lub pozostać tu dłużej. Usłuchał ich wyroku.

Przez długi czas, jak już wspominałem klasa robotnicza nadal miała mocno zakorzenione feudalne nawyki subordynacji i respektu dla osób wyżej stojących. Duch nowoczesności jednak całkowicie niemal te nawyki unicestwił... W całym kraju coraz częściej ten i ów człowiek lub ta i owa grupa ludzi zaczyna głosić i wprowadzać w życie prawo, zgodnie z którym Anglikowi wolno robić, co mu się podoba: urządzać pochody, gdzie mu się podoba zbierać się, gdzie mu się podoba, wchodzić, dokąd mu się podoba, wrzeszczeć, jak mu się podoba, grozić, jak mu się podoba, niszczyć, co mu się podoba. Wszystko to, jak powiadam, zmierza ku anarchii.

Matthew Arnold, *Culture and Anarchy* (1869)

Doktor Grogan na szczęście nie był na wizytach. Karol nie skorzystał z zaproszenia gospodyni, lecz zaczekał przed drzwiami, aż doktor zbiegł pośpiesznie ze schodów — i na gest Karola wyszedł również przed drzwi, żeby nikt nie słyszał ich rozmowy.

— Zerwałem właśnie zaręczyny. Ernestyna bardzo się przejęła. Proszę, żeby nie kazał mi pan teraz nic wyjaśniać i udał się niezwłocznie na Broad Street.

Grogan sponad okularów zerknął ze zdumieniem na Karola, po czym bez słowa wszedł do domu. Po kilku sekundach wrócił już w kapeluszu i z torbą w ręce. Ruszyli od razu.

— Czyżby?...

Karol skinął głową, a mały doktor tak był tym zaskoczony, że nic więcej nie powiedział. Uszli jakieś trzydzieści kroków.

— Ona nie jest taka, jak pan myśli, panie doktorze. Jestem tego pewien.

— Nie mam słów, panie Smithson.

— Nie szukam wymówek.

— Ona wie?

— Że jest ktoś inny. Nic ponadto. — Skręcili za róg i zaczęli iść pod górę po Broad Street. — Muszę prosić pana, aby nie ujawniał pan, kto to jest. — Doktor rzucił mu spod oka gniewne spojrzenie. — Przez wzgląd na pannę Woodruff. Nie na mnie.

Doktor raptem przystanął.

— To znaczy, że wtedy rano?

— Błagam pana. Niech pan teraz idzie. Ja poczekam w zajeździe.

Ale Grogan gapił się wciąż na Karola, jakby również nie mógł uwierzyć, że to nie jest zły sen. Karol znosił to chwilę, potem dał znak doktorowi, żeby szedł dalej, sam zaś ruszył przez ulicę w kierunku „Białego Lwa”.

— Na miłość boską, Smithson...

Karol obejrzał się, wytrzymał rozwścieczony wzrok doktora, a następnie bez słowa poszedł dalej. Doktor zresztą też poszedł dalej, chociaż spojrzeniem odprowadził Karola, dopóki ten nie znikł w drzwiach gospody.

Karol znalazł się w swoim pokoju dość szybko, aby zobaczyć, jak doktor wchodzi do domu panny Tranter. Wszedł z nim w myślach — czuł się jak Judasz, jak Efiates, jak każdy zdrajca od początku świata. Z dalszej samoudręki wyzwoliło go jednak pukanie do drzwi. Wszedł Sam.

— Czego, u diabła, chcesz? Nie dzwoniłem przecież. Sam otworzył usta, lecz nie wydobył się z nich żaden dźwięk. Karol nie mógł znieść zgorzenia malującego się w oczach służącego. — Ale skoro już jesteś, przynieś mi kieliszek koniaku.

Była to tylko gra na zwłokę. Sam przyniósł koniak, a Karol popijając go, znów poczuł na sobie uporczywe spojrzenie służącego.

— Panie Karolu, to chyba nieprawda?

— Byłeś tam w domu?

— Tak, panie Karolu.

Karol podszedł do wykuszu od strony Broad Street.

— Owszem, to prawda. Panna Freeman i ja nie pobierzemy się. Teraz odejdz. I trzymaj język za zębami.

— Ale... panie Karolu, a ja i moja Mary?

— Później, później. Nie mogę teraz myśleć o takich sprawach.

Wypił duszkiem resztę koniaku, podszedł do biurka i wyciągnął arkusz papieru listowego. Upłynęło kilka sekund. Sam nie ruszał się z miejsca. Być może nogi odmówiły mu posłuszeństwa. Szyja wyraźnie mu napęczniała.

— Słyszałeś, co powiedziałem?

Oczy Sama załśniły dziwnym blaskiem.

— Tak jest, proszę pana. Ale muszę myśleć o swojej sytuacji.

Karol odwrócił się błyskawicznie.

— A cóż to ma znaczyć?

— Czy zamieszka pan teraz w Londynie, proszę pana? Karol wziął pióro z podstawki.

— Najpewniej wyjadę za granicę.

— W takim razie muszę uprzedzić, że nie będę towarzyszył.

Karol zerwał się na równe nogi.

— Jak śmiesz zwracać się do mnie takim tonem? Wynoś się!

Sam zamienił się w zacierzewionego kogutka.

— Nie wyjdę, dopóki mnie pan nie wysłucha. Nie wrócę do Exeter. Dziękuję za służbę!

— Sam! — Był to ryk wściekłości.

— Jak powinienem był dawno już...

— Idź do diabła!

Sam wyprostował się dumnie. Miał wielką ochotę podbić swemu panu oko (jak mówił potem Mary), poskromił jednak cockneyowskie zapędy i przypomniał sobie, że dżentelmen w służbie dżentelmena używa subtelniejszej broni. Podszedł do drzwi, otworzył je, a następnie rzucił Karolowi spojrzenie lodowate i pełne godności.

— Nie życzę sobie być nigdzie tam, proszę pana, gdzie bym mógł spotkać pewną pańską przyjaciółkę.

Drzwi zamknęły się niezbyt cicho. Karol w furii podbiegł i otworzył je gwałtownym szarpnięciem. Sam oddalał się korytarzem.

— Jak śmiesz! Chodź tutaj!

Sam obejrzał się z niewzruszonym spokojem.

— Jeżeli życzy pan sobie jakichś usług, proszę zadzwonić na kogoś ze służby hotelowej.

Oddawszy ten ostatni strzał, od którego Karolowi odebrał mowę, Sam znikł za rogami korytarza i zaczął schodzić na dół. Uśmiechnął się, kiedy usłyszał z góry huk ponownie zatrzaśniętych drzwi, zaraz jednak spoważniał. Cóż, zrobił, co sobie postanowił, ale prawdę mówiąc czuł się jak wysadzony na bezludną wyspę marynarz, który widzi oddalające się żagle swego statku — co gorsza zaś w skrytości ducha wiedział, zasłużył na karę. Bunt nie był bowiem, niestety, jedynym przestępstwem, jakie popełnił.

Karol wyładował wściekłość na pustym kieliszku, ciskając go do kominka. Po raz pierwszy oto poznał smak prawdziwych cierni i kamieni, a smak ich nappełnił go przerażeniem. Przez moment gotów był niemal wybiec spod „Białego Lwa” — rzuci się Ernestynie do nóg, będzie się tłumaczył chwilową niepoczytalnością, rozterką wewnętrzną, powie, że chciał tylko poddać

próbie jej miłość... Pięścią wciąż uderzał w otwartą dłoń. Co zrobił? Co robi? Co teraz pocnie? Skoro nawet własna służba pogardza nim i go odtrąca!

Stał ściskając głowę rękami. Potem spojrział na zegarek. Zdążył pewnie dziś jeszcze zobaczyć się z Sarą, a wizja jej twarzy, łagodnej, przebaczącej, cichych łez radości, gdy ją weźmie w ramiona... Odzyskał równowagę. Wrócił do biurka zaczął układać list do ojca Ernestyny. Był tym jeszcze zajęty, kiedy zaanonsowano doktora Grogana.

O, zróbcie mojej miłej trumnę
Ze złota, całą lśniącą,
Niech będzie pochowana w niej
Na brzegu pod wierzbą płaczącą.

By the banks green Willow (Piosenka ludowa z Somerset.)

Najbardziej pożałowania godną postacią w całej tej sprawie jest biedna panna Tranter. Wróciła z wizyty spodziewając się, że zastanie w domu Karola. Zamiast tego zastała dom w stanie kosmicznej katastrofy. W holu przywitała ją Mary, blada i przejęta.

— Moje dziecko, co się stało?

Mary zdołała tylko potrząsnąć boleśnie głową. Na górze otworzyły się drzwi, zacna dama zebrała więc spódnicę i pobiegła po schodach niczym kobieta o trzydzieści lat młodsza. Na podeście spotkała doktora Grogana, który podniósł palec do ust, nakazując ciszę. Dopiero kiedy znaleźli się w pechowym saloniku i panna Tranter usiadła, doktor wyjaśnił jej, co zaszło.

— Być nie może. Być nie może.

— Droga pani, niestety, może być... i tak jest.

— Ależ Karol... taki czuły, taki zakochany... dopiero wczoraj w depeszy... — Panna Tranter miała taką minę, jakby nie poznawała ani własnego pokoju, ani pochylonej nad nią twarzy doktora.

— Postąpił okropnie. Sam tego nie rozumiem.

— Ale jakie podał powody?

— Ona nie chce nic mówić. Tylko niech się pani nie przejmuj. Potrzeba jej snu. Będzie spała po tym, co jej zaaplikowałem. Jutro wszystko się wyjaśni.

— Żadne wyjaśnienia w świecie... — Panna Tranter rozplakała się.

— Droga, kochana pani, tak, niech się pani wypłacz. Nic nie przynosi większej ulgi.

— Moje najdroższe biedactwo. Ona umrze, serce jej pęknie.

— Nie sądzę. Nigdy jeszcze nie musiałem podać takiej przyczyny zgonu.

— Pan nie zna jej tak jak ja... I co powie Emilia? Wszystko będzie na mnie. — Emilia była to siostra panny Tranter, pani Frejman.

— Myślę, że należy do niej niezwłocznie zadeszować. Pozwoli pani, że się tym zajmę.

— Ach, Boże... gdzież ona będzie spała?

Doktor uśmiechnął się — bardzo zresztą dobrotliwie na ten nagły przeskok myślowy. Miewał już do czynienia z takimi przypadkami i wiedział, że najlepszym lekarstwem jest zająć kobietę domową krzątanią.

— A teraz, kochana pani, proszę mnie uważnie wysłuchać. Nad siostrzenicą pani przez kilka dni musi ktoś stale czuwać, we dnie i w nocy. Jeżeli zechce, żeby ją traktowano jak chorą, proszę ją tak traktować. Jeżeli zechce jutro wstać i wyjechać z Lyme, proszę jej pozwolić. Słowem, trzeba spełniać wszystkie jej zachcianki, rozumie pani. Jest młoda i ma idealnie zdrowy organizm. Ręczę, że za pół roku będzie wesolutka jak szczygiełek.

— Jak pan może być tak okrutny! Ona nigdy już nie powróci do siebie. Ten straszny człowiek... ale jak to się... Uderzona nagłą myślą, dotknęła rękawa doktora. — Jest inna kobieta!

Doktor Grogan uszczyptał się w nos.

— Na ten temat nic nie umiem powiedzieć.

— Co za potwór!

— Ale chyba nie aż taki wielki, bo sam się jako potwór zadeklarował. No i stracił partię, którą bardzo wielu potworów chętnie by pożarło.

— Tak. Tak. Należy dziękować niebu. — Wciąż jednak targały nią sprzeczne uczucia. — Nigdy mu nie wybaczę. Uderzyła ją nowa myśl. — Jest jeszcze w mieście? Pójdę i powiem mu co o nim myślę.

Doktor ujął ją za ramię.

— Tego muszę zabronić. On sam wezwał mnie tutaj. Czeka teraz na wiadomość, że biednej dziewczynie nie grozi niebezpieczeństwo. Sam do niego pójdę. Może pani być pewna, że nie będę się z nim ceregielował. Obedrę go ze skóry.

— Powinno się go wychłostać i zakuć w dyby. Za naszych młodych lat tak by zrobiono. I powinno się tak zrobić. Mój biedny, biedny aniołek. — Panna Tranter wstała. — Muszę iść do niej.

— A ja muszę iść do niego.

— Niech mu pan powie ode mnie, że unieszczęśliwił najcudowniejszą, najcudowniejszą...

— Tak, tak, tak... teraz niech się pani uspokoi. I niech się pani dowie, czemu ta pani służka tak się tym wszystkim przejmuję. Myślałby kto, że to jej złamano serce.

Panna Tranter odprowadziła doktora do drzwi, a potem otarła łzy i poszła na górę do pokoju Ernestyny. Zasłony były zaciągnięte, ale nieco światła przedostawało się po bokach Mary siedząca przy nieszczęśliwej ofierze. Wstała, kiedy weszła jej pani. Ernestyna, pogrążona w głębokim śnie, leżała na wznak z głową zwróconą w bok. Twarz miała dziwnie spokojną, oddychała cicho i regularnie. Na jej wargach igrał nawet cień uśmiechu. Ironia tego spokoju poraziła pannę Tranter w samo serce — biedne dziecko, kiedy się obudzi... łzy znów nabiegły do oczu. Wstała i otarła je, a następnie po raz pierwszy spojrziała na Mary. Dziewczyna rzeczywiście wyglądała jak dusza potępiona na dnie otchłani — wyglądała tak, jak powinna by raczej wyglądać Ernestyna. Panna Tranter przypomniała sobie zgryźliwe pożegnalne słowa doktora. Dała pokojówce znak i wyszły razem na schody. Rozmawiały szeptem przy uchylonych drzwiach.

— Moje dziecko, powiedz mi teraz, co się stało.

— Pan Karol zadzwonił na mnie, proszę pani, i panna Tina leżała zemdlona, i on poleciał po doktora, i panna Tina otworzyła oczy, ale nic nie mówiła, więc ją tutaj zaprowadziłam, nie wiedziałam, co robić, bo jak ją położyłam na łóżku, dostała hysterii, ojej, proszę pani, tak się przeraziłam, bo śmiała się i płakała, i nie mogła wcale przestać. A wtedy przyszedł doktor Grogan i ją uspokoił. Och, proszę pani!

— No, uspokój się, Mary, bardzo się dzielnie spisała. A panna Tina nic nie mówiła?

— Tylko jak słyśmy na górę, proszę pani, zapytała, gdzie jest pan Karol. Powiedziałam, że poszedł po doktora. Wtedy dostała hysterii.

— Cicho, cicho.

Mary mówiła bowiem coraz głośniejsze i zaczęła również zdradzać objawy hysterii. Panna Tranter wiedziona w tej chwili pragnieniem, aby kogokolwiek pocieszyć, objęła pokojówkę i zaczęła ją głaskać po głowie. Aczkolwiek złamała w ten sposób wszelkie ustalone prawa dotyczące stosunków między panią a służką, skłonny jestem przypuszczać, że ów niebiański kamerdyner nie zatrzasnął jej drzwi przed nosem. Ciałem Mary wstrząsało łkanie, które usiłowała pohamować przez wzgląd na cierpiącą Ernestynę. Wreszcie uspokoiła się.

— No powiedz mi, o co chodzi.

— Chodzi o Sama, proszę pani. Jest na dole. Posprzeczał się panem Karolem, proszę pani, i wymówił miejsce, i pan Karol nie da mu teraz referencji. — Mary stłumiła ostatni szloch. — Nie wiemy, co z nami będzie.

— Posprzeczał się? Kiedy, moje dziecko?

— Zanim tu przyszedł, proszę pani. Z powodu panny Tiny, proszę pani.

— Jakże to było?

— Sam wiedział, że tak się stanie. Ten pan Karol... to niedobry, bardzo niedobry człowiek, proszę pani. Chcieliśmy pani powiedzieć, aleśmy nie śmieli.

Z pokoju dobiegł cichy odgłos. Panna Tranter zajrzała tam szybko, ale twarz siostrzenicy pozostawała spokojna i uśpiona. Wyszła znowu do dziewczyny, która stała z pochyloną głową.

— Posiedzę teraz przy paniencie, Mary. Porozmawiamy później. — Dziewczyna opuściła głowę jeszcze niżej. — Ten Sam... ty go naprawdę kochasz?

— Tak, proszę pani.

— A on ciebie kocha?

— Dlatego właśnie nie chce odjechać ze swoim panem, proszę pani.

— Każ mu zaczekać. Chciałabym z nim pomówić. Znajdziemy dla niego miejsce.

Mary podniosła zalaną łzami twarz.

— Nie chcę nigdy od pani odejść, proszę pani.

— I nie odejdiesz, dziecko — aż do dnia ślubu.

Z tymi słowy panna Tranter nachyliła się i pocałowała dziewczynę w czoło. Potem weszła do pokoju i usiadła przy Ernestynie, Mary zaś pobiegła na dół. Nie zatrzymała się w kuchni, lecz ku zgorszeniu kucharki pomknęła prosto w cień bzu i gorące objęcia czekającego niecierpliwie Sama.

Widzimy bowiem, do czego prowadzi nas to... że dążymy do doskonałości nie całej swej natury, lecz jednej tylko jej części, że kładziemy tak wielki nacisk na stronę moralną, na stronę posłuszeństwa i gorliwości, za rzecz najważniejszą uznając surowość obyczajów i czystość sumienia, odkładając natomiast na życie przyszłe, na tamten świat, troskę o doskonałość pod każdym względem, o pełny i harmonijny rozwój naszego człowieczeństwa.

Matthew Arnold, *Culture and Anarchy* (1869)

— Odzyskała przytomność?...

— Dałem jej środek nasenny i śpi.

Doktor przeszedł przez pokój i stanął z rękami założonymi za plecy, patrząc ponad Broad Street w kierunku morza.

— Nic... nic nie mówiła?

Doktor potrząsnął przecząco głową, milczał chwilę, wreszcie odwrócił się energicznie.

— Czekam na wyjaśnienia, mój panie!

Karol udzielił mu ich, nic nie ukrywając i nie starając się złagodzić swej winy. O Sarze mówił bardzo niewiele. Usiłował tylko usprawiedliwić fakt, że wprowadził w błąd doktora, co złożył na karb swego przeświadczenia, iż umieszczenie jej w zamkniętym zakładzie byłoby dla niej straszliwą i niezasłużoną krzywdą. Doktor słuchał w gniewnym milczeniu. Kiedy Karol skończył, Grogan znów odwrócił się do okna.

— Nie pamiętam niestety, jaką karę Dante wyznaczył antynomistom, bo wyznaczyłbym ją panu.

— Będę chyba i tak dostatecznie ukarany.

— To nie jest możliwe. Przynajmniej według mnie. Karol milczał chwilę.

— Odrzuciłem pańską radę po głębokim namyśle.

— Mój panie, kiedy dżentelmen odrzuca czyjąś radę, pozostaje dżentelmenem. Przestaje mm byćkiedy kłamię.

— Uznałem, że to kłamstwo jest konieczne.

— Tak samo, jak uznał pan, że konieczne jest zaspokojenie pańskich chuci.

— Nie mogę się zgodzić z tym słowem.

— Niech się pan zacznie do niego przyzwyczajać. Świat nie będzie miał innego określenia na pańskie postęпки.

Karol podszedł do stołu i oparł się o niego ręką.

— Doktorze, chciałby pan, żebym spędził całe życie na udawaniu? Czyż w naszych czasach za mało widzimy dokoła ohydnej obłudy, schlebiania wszystkiemu, co w nas fałszywe? Chciałby pan, żebym i ja przedzierzgnął się w obłudnika?

— Chciałbym, żeby się był pan dobrze zastanowił, zanim wciągnął pan niewinną dziewczynę w swój pościg za samopoznaniem.

— Ale skoro samopoznanie zostało już nam darowane, czy możemy nie słuchać jego nakazów? Choćby groziło to najgorszymi konsekwencjami?

Doktor z nieugiętą miną odwrócił oczy. Karol zorientował się, że Grogan jest zirytowany i wytrącony z równowagi, bo po pierwszych gromach nie ma pojęcia, jak się ustosunkować do tego niewiarygodnego pogwałcenia prowincjonalnych konwenansów. W duszy jego odbywała się walka między Groganem, który od ćwierć wieku już mieszkał w Lyme, a Groganem, który zwiedził kawał świata i znał życie. W grę wchodziły inne jeszcze sprawy: sympatia do Karola,

prywatne zdanie doktora — niezbyt dalekie od zdania sir Roberta — że Ernestyna jest dziewczuszką ładną, ale płytką, a nawet pewne zdarzenie z dawno minionej przeszłości, którego natury możemy nie ujawniać, lecz które sprawiło, że słowa o chuciach nie były wypowiedziane tak bezosobowo, jakby się zdawało. Nie zmienił strofującego tonu, uchylił się jednak od odpowiedzi na zasadnicze pytanie Karola.

— Jestem lekarzem, proszę pana. Znam tylko jedno naczelne prawo. Wszelkie cierpienie jest złem. Może być również uchronną koniecznością. To jednak nie zmienia jego zasadniczej istoty. — Ale tylko z tego zła może powstać dobro. Czy można zbudować lepszą osobowość inaczej niż na szczątkach starej?

— I na szczątkach tej biednej dziewczyny z przeciwka?

— Lepiej, żeby przecierpiała raz i była już ode mnie wolna, niż... Karol umilkł.

— Ach, taki pan tego pewien? — Karol nie odpowiedział. Doktor patrzył na ulicę. — Popęłnił pan zbrodnię. Pamięć o niej przez całe życie będzie dla pana karą. Więc niech pan jeszcze nie udziela sobie rozgrzeszenia. Tylko śmierć go panu udzieli.

Doktor wyjął okulary i przetarł je zieloną jedwabną chusteczką. Nastąpiła długa pauza, bardzo długa pauza, a pod jej koniec głos doktora, choć nadal pełen wyrzutu, zabrzmiał łagodniej:

— Ożeni się pan z tamtą?

Karol, mówiąc w przenośni, odetchnął z ulgą. Zrozumiał od razu, gdy Grogan wszedł do pokoju, iż wszystko, co sobie przedtem wmawiał — że nie dba o opinię jakiegoś tam doktorzyny z miejscowości kuracyjnej — to czcze słowa. Irlandczyka cechowało człowieczeństwo, które budziło wielki szacunek Karola, więcej — Grogan na swój sposób reprezentował wszystko, co Karol szanował. Wiedział, że nie może się spodziewać całkowitego odpuszczenia grzechów, wystarczyło mu jednak poczucie, iż nie czeka go bezapelacyjna ekskomunika.

— Taki mam najszczerzy zamiar.

— Ona wie o tym? Powiedział jej pan?

— Tak.

— Oczywiście przyjęła pańskie oświadczenia?

— Mam wszelkie powody, aby tak przypuszczać. — Karol opowiedział, jak wysłał rano Sama do „Hotelu Rodzinnego” pani Endicott.

Mały doktor odwrócił się i spojrzał mu w oczy.

— Panie Smithson, wiem, że nie jest pan złym człowiekiem. Wiem, że nie postąpiłby pan tak, gdyby nie wierzył pan bez zastrzeżeń wyjaśnieniom tej dziewczyny co do jej dziwnego postępowania. Ale ostrzegam pana — z pewnością nie wyzbył się pan bez reszty wątpliwości i wątpliwości te będą pana nękały, kiedy roztoczy pan nad nią opiekę.

— Wziąłem to pod uwagę. — Karol pozwolił sobie i zgryźliwy uśmiech. — Wziąłem też pod uwagę kołtuńskie i obłudne brednie, które my, mężczyźni, wygadujemy o kobietach. Kobiety mają tkwić bez ruchu niby przedmioty wystawione w sklepie, abyśmy mogli spokojnie wchodzić, przebierać w nich i wskazywać palcem: o, ta mi się podoba. Jeżeli się z tym godzą, mówimy, że są cnotliwe, dobrze wychowane, skromne. Ale gdy któryś z tych przedmiotów ośmieli się zabrać głos...

— Panna Woodruff zdobyła się na coś więcej, jeśli się mylę.

Karol odparował zarzut.

Zdobyła się tylko na to, co w wyższych sferach jest na porządku dziennym. Nie wiem, czemu niezliczonym żonom z tego *milieu*, łamiącym śluby małżeńskie, przysługuje rozgrzeszenie, gdy tymczasem... A poza tym ja sam jestem wszystkiemu winien. Ona przysłała mi tylko adres. Gdybym tam nie poszedł, uniknąłbym wszelkich następstw. Zależało to jedynie a mojej woli.

Doktor zerknął na Karola spod oka. Nie mógł mu odmówić uczciwości. Przeniósł znów wzrok na ulicę. Po chwili zaczął mówić innym, dawnym swoim tonem.

— Może się starzeję. Wiem, że wiarołomstwo, jakiego się pan dopuścił, staje się czymś najzupełniej pospolitym, jeżeli się więc ktoś nim gorszy, przyznaje się tym samym, że jest starym ramolem. Ale powiem panu, co mnie tu niepokoi. Podzielał pański wstręt do kołtuństwa i obłudy, czy to w dziedzinie religii, czy prawa. Prawo od dawna wydaje mi się stekiem bzdur, a większość dogmatów religijnych czymś niewiele lepszym. Nie atakuję pana z tych pozycji, nie zamierzam atakować pana z żadnych pozycji. Powiem panu tylko swoje zdanie. Sądzi pan, że należy do wybranych, do racjonalistów i uczonych. Dobrze, dobrze, wiem, co pan powie — nie jest pan taki zarozumiały. Niech i tak będzie. Niemniej pragnie pan należeć do wybranych. Nie mam panu tego za złe. Sam pragnąłem tego przez całe swoje życie. Ale proszę, żeby pamiętał pan o jednym. Od zarania ludzkich dziejów wybrani muszą udowodnić, że zasługują na to miano. Ale Czas przyjmuje jeden tylko dowód. — Doktor znów włożył okulary i spojrzał Karolowi w oczy. — Dowód, że wybrani, bez względu na to, jakie są podstawy ich roszczeń do tytułu, starają się zaszczepić naszemu mrocznemu światu szlachetniejsze i sprawiedliwsze zasady moralne. Jeżeli nie wyjdą zwycięsko z tej próby, stają się jedynie despotami, sułtanami, nikczemnikami dążącymi do władzy tylko dla własnej przyjemności. Słowem, ofiarami własnych najniższych żądz. Rozumie pan chyba, do czego zmierzam — i jak bardzo, poczynając od dzisiejszego fatalnego dnia, będzie to pana dotyczyło. Jeżeli stanie się pan lepszym i bardziej wspaniałomyślnym człowiekiem, może uzyska pan przebaczenie. Ale jeżeli stanie się pan samolubnym egoistą... będzie pan dwakroć potępiony.

Karol spuścił oczy pod tym nieustępliwym spojrzeniem.

— To samo już mówiło mi sumienie, choć nie tak celnie.

— W takim razie amen. *Alea iacta est.* — Doktor wziął ze stołu kapelusz, torbę i poszedł ku drzwiom. Tam jednak zatrzymał się, a potem wyciągnął rękę. — Życzę panu pomyślności w marszu za Rubikon.

Karol chwycił podaną dłoń niczym człowiek. Usiłował coś powiedzieć, ale nie mógł. Na sekundę poczuł silny uścisk palców Grogana, potem doktor odwrócił się i otworzył drzwi. Obejrzał się z błyskiem w oku.

— A jeżeli nie wyjedzie pan stąd w ciągu godziny, wrócę z największym pejczem, jaki uda mi się znaleźć.

Na te słowa Karol zeszywniał. Ale w oczach doktora migotały iskierki. Karol z bolesnym uśmiechem pochylił głowę na znak zgody. Drzwi się zamknęły.

Został sam z przepisany mu gorzkim lekarstwem.

54

Wiatr, który ciepłym był mi południem,
 Teraz się w ostrą północ zmienił...
 Arthur Hugh Clough, *Poem* (1841)

Sprawiedliwość każe nadmienić, że Karol przed wyjściem spod „Białego Lwa” posłał po Sama. Służącego nie było jednak ani w piwiarni, ani w stajniach. Karol domyślał się oczywiście, gdzie on jest. Nie mógł tam posłać, opuścił więc Lyme, nie zobaczywszy go więcej. Wsiadł na dziedzińcu do powozu i natychmiast spuścił zasłony. Przejechał dwie mile niczym w karawanie żałobnym, nim podniósł znów zasłony i wpuścił do środka ukośne promienie przedwieczornego słońca — była już piąta godzina — które nieco rozjaśniły odrapane wnętrza karety.

Promienie te nie od razu poprawiły Karolowi humor. Stopniowo jednak, w miarę jak oddalał się od Lyme, poczuł, że ciężar spada mu z ramion — poniósł klęskę, ale uszedł z życiem. Wziął sobie do serca uroczystą przestrożę Grogana, że musi spędzić resztę życia tak, aby dowieść słuszności tego, co zrobił. Wśród zielonych pól i rozkwitających majowo żywopłotów krajobrazu Devonshire trudno było patrzeć czarno w przyszłość — Karola czekało nowe życie, wielkie przeciwności, lecz się z nimi przecież upora. Poczucie winy stało się niemal dobrodziejstwem: jej odkupienie nada życiu cel, którego tak bardzo dotychczas Karolowi brakowało.

Przypomniał sobie posąg ze starożytnego Egiptu — rzeźbę w Muzeum Brytyjskim: faraon stojący obok swojej żony, która jednym ramieniem obejmuje go w pól, drugą rękę składając mu na przedramieniu. Posąg zawsze wydawał się Karolowi idealnym symbolem harmonii małżeńskiej, zwłaszcza że postaci wyrzeźbione były z jednego kamiennego bloku. On i Sara nie osiągnęli jeszcze takiej harmonii, ale wyrzeźbieni są z jednego kamienia.

Oddał się teraz myślom o przyszłości, o rzeczach konkretnych i praktycznych. Sarze trzeba niezwłocznie znaleźć odpowiednie mieszkanie w Londynie. Wyjadą za granicę, skoro tylko uda się załatwić sprawy Karola, pozbyć się domu w Kensington, oddać meble na skład... Najpierw może do Niemiec potem w zimie na południe, do Florencji albo Rzymu (jeżeli przepisy prawne pozwolą), albo może do Hiszpanii. Grenada? Alhambra! Księżyc świeci, z oddali dobiega śpiew Cyganów oczy Sary czule, pełne wdzięczności... objęci ramionami leżą oboje w pokoju przepojonym wonią jaśminu, nieskończenie samotni, wygnani, a przecież stopieni ze sobą w tym osamotnieniu, nierozłączni na tym wygnaniu.

Zapadła noc. Karol wychylił się i ujrzał dalekie światła Exeter. Zawołał do woźnicy, żeby zawiózł go najpierw do „Hotelu Rodzinnego” pani Endicott. Potem oparł się na poduszkach i rozkoszował sceną, która za chwilę miała nastąpić. Nie powinno jej zeszpecić nic cielesnego oczywiście, tyle przynajmniej winien jest zarówno Ernestynie, jak i Sarze, ale znów widział przed sobą prześliczny obraz — milczenie wezbrane tkliwością, jej ręce w jego dłoniach...

Przybyli na miejsce. Karol kazał stangretowi zaczekać, wszedł do hotelu i zapukał do drzwi pani Endicott.

- O, to szanowny pan.
- Panna Woodruff oczekuje mnie. Trafę sam. Skierował się ku schodom.
- Młoda pani wyjechała, proszę pana!
- Wyjechała? Chce pani powiedzieć, że wyszła?
- Nie, proszę pana. Wyprowadziła się. — Karol patrzył nią oszołomiony. — Wyjechała dziś rano londyńskim pociągiem, proszę pana.
- Czy... czy pani jest pewna?

— Tak pewna, jak tego, że przed panem stoję. Słyszałam, jak kazała dorożkarzowi jechać na dworzec. On zapytał, na jaki pociąg, a ona powiedziała tak wyraźnie, jak do pana mówię, że do Londynu. — Pulchna stara dama zrobiła krok naprzód. — Sama się dziwiłam, proszę pana. Pokój miała zapłacony jeszcze za trzy dni.

— Nie zostawiła adresu?

— Żadnego adresu, proszę pana. W ogóle słówkiem nie pisnęła dokąd jedzie. — Czarna ta krecha najwidoczniej zniweczyła dodatnią ocenę, jaką u pani Endicott zyskała Sara, nie żądając zwrotu pieniędzy za trzy dni.

— I żadnego polecenia dla mnie?

— Myślałam, że pojechała razem z panem. Pozwoliłam sobie tak przypuszczać.

Niepodobieństwem było stać tu dłużej.

— Oto mój bilet wizytowy. Jeżeli będzie od niej jakaś wiadomość, niech mi pani natychmiast da znać. Koniecznie. Proszę. Coś za fatygę i na porto.

Pani Endicott uśmiechnęła się przymilnie.

— Najuprzejmiej panu dziękuję. Zawiadomię na pewno. Karol wyszedł, ale zaraz wrócił.

— Dziś rano... mój służący... nie był tu z listem i z przesyłką dla panny Woodruff? — Na twarzy pani Endicott odbiło się zdziwienie. — Kilka minut po ósmej rano? — Pani Endicott wciąż była zaskoczona. Zawołała niezwłocznie Betty, która zjawiała się i została poddana przez swą panią surowemu przesłuchaniu... aż wreszcie zrezygnowany Karol szybko wyszedł.

Opadł znów na poduszki powozu i przyknuł oczy. Czuł się wyzbyty wszelkiej energii, ogarnięty skrajnym bezwładem. Gdybyż nie miał tak wrażliwego sumienia, gdyby wrócił do Sary od razu po... ale Sam, Sam! Złodziej! Szpicel! Czyżby dał się przekupić panu Freemanowi? Czy też zbrodnię jego należy tłumaczyć złością o tamte nędzne trzysta funtów? Jak dobrze Karol rozumiał teraz scenę w Lyme — Sam musiał się orientować, że po powrocie do Exeter wszystko się wyda, musiał więc czytać jego list... Karol w ciemnościach oblał się krwawym rumieńcem. Połamie łajdakowi wszystkie kości, jeżeli go kiedykolwiek spotka. Przez chwilę zastanawiał się nawet, czy nie pójść na posterunek policji i nie oskarżyć Sama o... no, w każdym razie o kradzież. Natychmiast jednak uświadomił sobie, że nie ma sensu — I co to da, jeżeli chodzi o sprawę zasadniczą — o odnalezienie Sary?

W spowijającym go mroku widział jeden tylko promyk światła. Sara pojechała do Londynu. Wie, że on mieszka w Londynie. Ale jeżeli chciała, jak Grogan w swoim czasie sugerował, zapukać do drzwi Karola, czy nie powinna była raczej wrócić do Lyme, gdzie mogła się spodziewać, że go zastanie. A czy on, Karol, nie doszedł do wniosku, że wszystkie intencje Sary są szlachetne i uczciwe? Wobec tego Sara jest przekonana, że wyrzekła się Karola i straciła go na zawsze. Jedyne promyk zamigotał i zgasł.

Tego wieczora Karol uczynił coś, czego nie robił od wielu lat. Ukłękł przy łóżku i modlił się, a istotą modlitwy było powtarzanie, że znajdzie Sarę — choćby miał szukać przez resztę życia, znajdzie ją.

55

— Jak to? O tobie! — wykrzyknął Tweedledee i tryumfalnie klasnął w dłonie. — A gdyby przestać śnić o tobie, to jak sądzisz, gdzie byłabyś?

— Tu, gdzie jestem oczywiście — powiedziała Alicja.

— O nie! — odparł pogardliwie Tweedledee. — Nie byłoby cię nigdzie. Jesteś tylko byle czym z jego snu!

— Gdyby ten Król ocknął się — dodał Tweedledum — zdmuchnęłoby cię... dmuch!... jak płomień świecy.

— Nieprawda! — zawołała obrażona Alicja.

Lewis Carroll, *O tym, co Alicja odkryła po drugiej stronie lustra* (1872)

Nazajutrz rano Karol przybył na dworzec o śmiesznie wczesnej porze, a po załatwieniu niegodnych dżentelmena czynności, związanych z załadowaniem bagażu do wagonu towarowego i wyszukaniem pustego przedziału pierwszej klasy, usiadł i czekał niecierpliwie, aż pociąg ruszy. Inni pasażerowie od czasu do czasu zaglądali do przedziału, lecz szli zaraz dalej, odepchnięci srogim wzrokiem (trędotatym wstęp wzbroniony), jakim bez większego wysiłku potrafił spoglądać każdy Anglik. Rozległ się gwizdek i Karol myślał już, że zdobył upragnioną samotność. W ostatniej jednak chwili za oknem ukazała się bardzo brodata twarz. Lodowate spojrzenie odparowane zostało przez jeszcze bardziej lodowate spojrzenie nowo przybyłego, któremu pilno było wsiąść.

Przybysz, mężczyzna około czterdziestki, mruknął: „Przepraszam pana” i przecisnął się na drugi koniec przedziału. Usiadł tam, nie zdejmując cylindra, ręce wsparł na kolanach i zdyszany odpoczywał. Promieniowała z niego jakaś agresywna pewność siebie, nie sprawiał wrażenia autentycznego dżentelmena... raczej ambitnego kamerdynera (ale kamerdynery nie podróżują pierwszą klasą) lub cieszącego się popularnością świeckiego kaznodziei — jednego z owych despot krzykaczy, co nawracają grzeszników, strasząc ich ogniem piekielnym i wiecznym potępieniem. Bardzo nieprzyjemny osobnik, pomyślał Karol, i jakże typowy dla dzisiejszych czasów — gdyby usiłował nawiązać rozmowę, trzeba go będzie stanowczo osadzić.

Jak się to czasem zdarza, kiedy obserwujemy kogoś ukradkiem i snujemy na jego temat rozmyślania, Karol został przyłapany na gorącym uczynku i należycie zgromiony. Gniewne spojrzenie spode łba dało Karolowi wyraźnie do zrozumienia, że ma sobie znaleźć inny przedmiot zainteresowania Karol szybko odwrócił oczy do okna i pocieszył się tym, że nieprzyjemny osobnik jest przynajmniej spragniony samotności na równi z nim.

Po krótkiej chwili miarowy ruch pociągu ukołysał Karola wprawiając go w stan łagodnego rozmarzenia. Londyn to wielkie miasto, ale Sara będzie musiała niedługo już zacząć szukać pracy. On ma czas, środki, niezłomną wolę — minie tydzień, najwyżej dwa i w końcu ona stanie przed nim, a może w skrzynce na listy znajdzie się nowy adres. Koła powtarzały nie—bę—dzie—tak—o—krutna, nie—bę—dzie—tak—o—krutna... pociąg biegł przez czerwone i zielone równiny w kierunku Cullompton. Karol ujrzał jego kościół nie wiedząc, co to za miejscowość, i wkrótce potem przymknął oczy. Ubiegłej nocy spał bardzo źle.

Towarzysz podróży przez jakiś czas nie zwracał uwagi na Karola. Kiedy jednak głowa śpiącego opadała coraz niżej nim zasnął, zdjął przezornie cylinder — mężczyzna z brodą proroka zaczął mu się przyglądać, mając już pewność, że Karol go na tym nie przyłapie.

Było to szczególne spojrzenie: uważne, badawcze, niezbyt życzliwe, jak gdyby nieznajomy wiedział bardzo dobrze, jakiego rodzaju człowieka ma przed sobą (podobnie jak Karol sądzi że

orientuje się doskonale, jakiego rodzaju człowiekiem jest nieznajomy), i nie był specjalnie zachwycony ani własną znajomością tego typu ludzi, ani samym typem. Wprawdzie teraz, kiedy nikt go nie obserwował, nieznajomy nie wyda się już osobnikiem aż tak oziębłym i despotycznym, lecz jego nadal zachowywała odstręczający wyraz pewności: siebie — lub jeśli nie pewności siebie, to w każdym razie pewności że zna się na ludziach, że wie, co może z nich mieć, czego się po nich spodziewać i czego od nich wymagać.

Gdyby obserwacja taka trwała mniej więcej minutę, byłaby może do wytłumaczenia. W pociągu człowiek się nudzi, podglądanie współpasażerów jest zabawne, i tak dalej, i tak dalej. Ale ta obserwacja, wręcz kanibalistyczna w swej intensywności, trwała grubo ponad minutę. Trwała aż poza Taunton, chociaż tam nastąpiła w niej krótka przerwa, bo hałasy na peronie obudziły na chwilę Karola. Gdy jednak znów zapadł w sen, oczy nieznajomego ponownie wpiły się w niego jak pijawki.

Może się państwu kiedyś zdarzyć, że znajdą się pod taką obserwacją — Może się też zdarzyć — uwzględniając mniej powściągliwe obyczaje naszego obecnego stulecia — że będą jej państwo świadomi. Obserwator nie będzie czekał, aż państwo zasną. Uporczywe jego spojrzenie z pewnością będzie wam przykre, nasunie myśl o jakichś ukrytych erotycznych zakusach — o chęci poznania was w sposób, w jaki nie chcecie, żeby ktoś obcy was poznał. Zgodnie z moim doświadczeniem jedna tylko profesja rodzi to dziwaczne spojrzenie, wścibskie a zarazem władcze, ironiczne a zarazem natrętne.

Czy możesz mi się przydać?

Co mógłbym z tobą zrobić?

Tak właśnie, wydaje mi się zawsze, powinien spoglądać jakiś potężny bóg — gdyby istniało coś równie absurdalnego — spojrzeniem ani trochę nie boskim według naszych wyobrażeń, lecz wybitnie złośliwym, a przy tym (jak to podkreślają teoretycy „nowej powieści” — *nouveau roman*) o charakterze z punktu widzenia moralności mocno wątpliwym. Dostrzegam to szczególnie wyraźnie na twarzy (aż nazbyt dobrze mi znanej) brodacza, który wpatruje się w Karola. No więc nie będę już dłużej nic udawał.

Jednakże pytanie, które sobie zadaję, wpatrując się w Karola, jest nieco inne od tamtych dwóch przytoczonych wyżej. Pytam raczej: co, u diabła, mam z tobą zrobić? Myślałem już o tym, żeby skończyć teraz z Karolem raz na zawsze, zostawiając go na wieki w pociągu do Londynu. Jednak reguły powieści wiktoriańskiej nie pozwalają, a właściwie nie pozwalały na takie niesprecyzowane, otwarte zakończenie, w dodatku sam przedtem wygłaszałem kazania o wolności, którą należy dawać swoim postaciom. Mój problem jest prosty: czy jasne jest czego chce Karol? Owszem, niewątpliwie. Ale czego chce główna bohaterka, nie jest tak jasne, przy tym wcale nie jestem pewien, gdzie się ona w tej chwili znajduje. Oczywiście, gdyby to były dwie realne postacie zamiast dwóch tworów mojej wyobraźni, rozstrzygnięcie dylematu nie nastęczałoby trudności — pragnienie pierwszej postaci zмага się z pragnieniem drugiej i przegrywa lub zwycięża zależnie od rzeczywistego biegu wydarzeń. Natomiast dzieło wyobraźni udaje zwykle, że stosuje się do wymogów rzeczywistości — pisarz umieszcza kolidujące ze sobą pragnienia na ringu, po czym opisuje walkę — w gruncie rzeczy jednak wynik tej walki jest z góry przesądzony, bo autor oddaje zwycięstwo stronie, którą faworyzuje. My zaś oceniamy powieściopisarzy według zręczności z jaką aranżują walkę (to znaczy, zależnie od tego, czy potrafią nam wmówić, że walka jest uczciwa), a także według tego, który pięściarz z ich łaski odnosi zwycięstwo: ten dobry, tragiczny, ten zły, ten zabawny i tak dalej.

Jednak głównym argumentem na rzecz układania walki i określania z góry jej wyniku jest chęć pokazania czytelnikowi co autor myśli o otaczającym go świecie — czy jest pesymistą, optymistą albo czymś tam jeszcze.

Od początku powieści udaję, że wślizgnąłem się do roku 1867, ale od roku tego, rzecz jasna, dzieli nas już całe stulecie. Deklarować się na ten temat z optymizmem, pesymizmem lub czymkolwiek innym nie ma sensu, bo wszyscy wiemy, co się od tego czasu zdarzyło.

Patrzę więc wciąż na Karola i nie widzę tym razem powodu do zaaranżowania wyniku walki, która ma się niebawem rozpocząć. Pozostają mi wobec tego dwie ewentualności. Pozwolę żeby walka toczyła się bez mojej ingerencji, i obejmę tylko rolę sprawozdawcy albo też będę faworyzował obie strony. Patrzę na tę niezbyt mocną, lecz mimo wszystko nietuzinkową twarz. Gdy zbliżamy się do Londynu, znajduję naraz rozwiązanie, a właściwie orientuję się, że dylemat jest fałszywy. Jedyne rozwiązanie, w jaki mogę nie wziąć w ogóle udziału w walce, to pokazać dwie jej wersje. Pozostaje mi więc jeden tylko problem: nie mogę dać obu wersji naraz, a tak silna jest tyrania końcowego rozdziału, że ta wersja, która znajdzie się na drugim miejscu, sprawi wrażenie wersji ostatecznej, „prawdziwej”.

Wyjmuję z kieszeni fraka sakiewkę, wyciągam dwuszylingową monetę, kładę na paznokciu prawego kciuka, pstryknięciem podrzucam w powietrze i łapię ją lewą ręką.

A więc niechaj tak będzie. Nagle spostrzegam, że Karol otworzył oczy i patrzy na mnie. W oczach jego maluje się teraz coś więcej niż dezaprobatą, dochodzi do wniosku, że jestem nałogowym hazardzistą albo wariatem. Odwzajemniam jego niechętnie spojrzenie i chowam monetę do sakiewki. Karol bierze kapelusz, strzepuje niewidzialną kruszynkę błota (namiastkę mojej osoby) i wkłada go na głowę.

Wjeżdżamy pod jedno z wielkich przesł podtrzymującą dach dworca Paddington. Pociąg staje, Karol wysiada, skinieniem ręki przywołuje tragarza. Po chwili, udzieliwszy wskazówek, ogląda się. Brodacznik znikł w tłumie.

O, gdybyż było to możliwe
 Ujrzeć na krótką chwilę
 Dusze kochanych, aby rzekły,
 Gdzie i czym są, choć tyle!
 Alfred Tennyson, *Maud* (1855)

PRYWATNE BIURO WYWIADOWCÓW pod osobistym kierownictwem p. Pollaky. Liczna klientela wśród Arystokracji. Ścisła współpraca z Policją Śledczą Brytyjską i Zagraniczną. DYSKRETNE I SZYBKIE PRZEPROWADZANIE WYWIADÓW W ANGLII, NA KONTYNENCIE I W KOLONIACH. ZBIERANIE DOWODÓW DO SPRAW ROZPATRYWANYCH PRZEZ SĄD ROZWODOWY, etc.

Ogłoszenie z czasów wiktoriańskich

Minie tydzień, najwyżej dwa, ale w końcu ona stanie przed nim... Zaczął się już trzeci tydzień, a ona jeszcze przed nim nie stanęła. Karolowi nie sposób nic zarzucić, szuka tu, ówdzie, wszędzie.

Osiągnął tę wszechobecność, najmując czterech detektywów — czy pozostawali pod osobistym kierownictwem p. Pollaky, tego nie jestem pewien, ale robili, co mogli. Musieli się starać, bo reprezentowali zupełnie nową profesję, liczącą sobie zaledwie jedenaście lat, a na dobitkę będącą przedmiotem powszechnej pogardy. Pewien dżentelmen, który w roku 1866 zasztyletował jednego z nich, postąpił zdaniem ogółu bardzo słusznie. „Jeżeli ludzie chodzą w przebraniu rzezimieszków — ostrzegają «Punch» — muszą ponosić wszelkie tego konsekwencje.” Wywiadowcy Karola najpierw próbowali szczęścia w biurach pośrednictwa pracy dla guwernantek, lecz nie osiągnęli nic, próbowali następnie szczęścia we wszystkim rodzaju radach oświatowych prowadzących przez szkoły kościelne. Sam Karol wynajmował powóz i spędzał długie bezpłodne godziny na patrolowaniu londyńskich dzielnic zamieszkałych przez zubożałych ludzi z towarzystwa, bacznym wzrokiem wpatrując się w twarz każdej przechodzącej a niezbyt starej kobiety. Sara musiała mieszkać w takiej dzielnicy, jednej z tuzina podobnych, w których szukał jej Karol — w Peckham, Pentonville, Putney — dzielnicy czystych nowych ulic i domków obsługiwanych przez jedną służącą do wszystkiego.

Pomagał też swoim detektywom zasięgać informacji w rozkwitających nowych agencjach pośrednictwa pracy dla urzędniczek prywatnych. Panowała tu wyraźna atmosfera wrogości do całego rodzaju męskiego, ponieważ organizacje te znajdowały się ustawicznie pod bezlitosnym ostrzałem męskich przesądów, z czasem zaś miały się stać najważniejszymi ogniskami ruchu emancypantek. Sądzę zresztą, że owe doświadczenia, choć nic Karolowi nie dały w jedynej istotnej dla niego sprawie, nie poszły na marne. Zaczął powoli rozumieć pewną stronę charakteru Sary — jej rozgoryczenie na stronnictwo społeczeństwa, krzywdę tym dotkliwszą, że można by ją bez trudu naprawić.

Pewnego ranka obudził się w nastroju wielkiego przygnębienia. Myśl o prostytutce, o straszliwym losie, o którym Sara niegdyś napomknęła, zamieniła się naraz w pewność. Tego wieczora ogarnięty paniką pojechał na Haymarket, gdzie, jak wiemy, był w swoim czasie. Co sobie wyobrażał dorożkarz, nie mam pojęcia, bez wątpienia jednak myślał, że jego pasażer jest najwybredniejszym mężczyzną, jaki kiedykolwiek istniał. Przez dwie godziny jeździli tam i z powrotem po ulicach. Raz się tylko zatrzymali — dorożkarz zauważył pod latarnią rudą

prostytutkę. Jednak prawie natychmiast dwa uderzenia laski w dach dorożki kazały mu jechać dalej.

Tymczasem inne skutki faktu, że wybrał wolność, nie dały na siebie długo czekać. Na swój zakończony wreszcie list do pana Freemana nie dostawał odpowiedzi przez dziesięć dni. Po upływie tego czasu musiał pokwitować odbiór pisma (doręczył je umyślny, co samo przez się było rzeczą znamioną) od radców prawnych niedoszedłego teścia.

Dotyczy panny Ernestyny Freeman.

Panie!

Na zlecenie pana Ernesta Freemana, ojca wyżej wymienionej panny Ernestyny Freeman, prosimy Pana o przybycie do naszej kancelarii w najbliższy piątek o godzinie 3 pp. Niestawiennictwo będzie uważane za przyznanie naszemu klientowi prawa do wytoczenia Panu sprawy sądowej.

AUBREY & BAGGUS

Karol zaniósł list do swoich radców prawnych. Prowadzili oni sprawy rodziny Smithsonów od blisko stu lat. Obecny szef kancelarii, Montague młodszy, przy którego biurku grzesznik siedział teraz zakłopotany, był niewiele starszy od Karola. Obaj byli równocześnie w Winchester i choć nie łączyła ich zażyła przyjaźń znali się dobrze i bardzo się lubili.

— No i co to wszystko znaczy, Harry?

— To znaczy, kochany chłopcze, że masz diabelne szczęście. Oni mają pietra.

— Więc dlaczego chcą, żebym tam przyszedł?

— Bo nie chcą tak całkiem puścić ci tego płazem. Za dużo byś od nich wymagał. Przypuszczam, że każą ci podpisać *confessio delicti*.

— Przyznanie się do winy?

— Właśnie. Obawiam się, że musisz się spodziewać bardzo niemiłego dokumentu. Ale mogę ci tylko doradzić, żebyś go podpisał. Nie masz nic na swoją obronę.

W piątek o trzeciej po południu Karol i Montague wprowadzeni zostali do ponurej poczekalni kancelarii adwokackiej. Karol miał wrażenie, że czeka go coś na kształt pojedynku, a Montague jest jego sekundantem. Kazano im czekać aż do trzeciej piętnaście. Ponieważ jednak Montague przepowiedział tę wstępną pokutę, znieśli ją z nieco nerwowym humorem.

Wreszcie zaproszono ich do środka. Niski, gniewliwy starzec podniósł się z fotela za wielkim biurkiem. Nieco w tyle stał pan Freeman. Nie odrywał od Karola oczu, a były one tak lodowate, że wszelka wesołość natychmiast go opuściła. Na ukłon Karola pan Freeman nie zareagował najlżejszym nawet ruchem. Dwaj adwokaci zamienili krótki uścisk dłoni. Obecny był jeszcze ktoś piąty: wysoki, chudy, łysiejący mężczyzna o przenikliwych ciemnych oczach. Montague na jego widok drgnął niedostrzegalnie.

— Pan mecenas zna pana nadradcę Murphy'ego?

— Tylko ze słyszenia.

Nadradca za czasów wiktoriańskich był adwokatem najwyższego szczebla, a nadradca Murphy znany był jako krwiozerczy sadysta, który powszechnie budził śmiertelny lęk.

Pan Aubrey władczym ruchem wskazał krzesła, które mieli zająć dwaj przybyli, po czym znów usiadł przy swoim biurku. Pan Freeman nadal stał nieubłaganie. Pan Aubrey dłuższą chwilę szeleścił papierami, przez co Karol — bynajmniej tego nie pragnąc — miał dość czasu, aby wchłonąć zwykłą onieśmielającą atmosferę takich przybytków: groźne foliały, zwoje pergaminu

związane zieloną taśmą, żałobne z aktami umarłych spraw, uszeregowane na wysokich półkach wokół pokoju niczym urny z prochami w przeludnionym kolumbarium.

Stary adwokat spojrział surowo znad papierów.

— Panie Montague, sądzę, że fakt haniebnego złamania przyrzeczenia małżeństwa nie podlega dyskusji. Nie wiem, w jakim świetle pański klient przedstawił panu swój postępek. Wszelako sam w tym oto liście dostarczył panu Freeman pod dostatkiem dowodów swej winy, chociaż muszę odnotować, że z zuchwalstwem właściwym ludziom jego pokroju usiłował...

— Panie Aubrey, takie wyrażenia w danych warunkach... Nadradca Murphy zareagował błyskawicznie:

— Wolałby pan usłyszeć wyrażenia, których ja bym użył i to przed sądem?

Montague wciągnął w płuca powietrze i spuścił oczy. Stary Aubrey patrzył na niego z wyraźną dezaprobatą.

— Panie mecenasie Montague, znałem dobrze pańskiego nieboszczyka dziadka. Przypuszczam, że dobrze by się zastanowił, nim by się podjął reprezentowania takiego klienta jak pański, ale na razie pomińmy tę sprawę. Moim zdaniem ten list... — tu podniósł go niczym szczypcami — ... moim zdaniem ten haniebny list nie tylko nie umniejsza wyrządzonej ciężkiej krzywdy, lecz stanowi w dodatku akt obelżywej impertynencji przez bezwstydne próby usprawiedliwiania się oraz przez brak jakiegokolwiek wzmianki o występny i ohydny stosunku miłosnym, który, jak piszącemu dobrze wiadomo, jest najbardziej obciążającą okolicznością jego przestępstwa. — Tu zgromił Karola spojrzeniem. — Sądzi pan zapewne, że pan Freeman nieświadom jest pańskich miłostek. Otóż myli się pan. Znamy nazwisko osoby, z którą wszedł pan w tak gorszące porozumienie. Mamy świadka okoliczności zbyt plugawych, abym miał je tu przytaczać.

Karol spałował. Oczy pana Freemana świdrowały go bezlitośnie. Mógł tylko pochylić głowę i przeklinać w duchu Sama. Głos zabrał Montague:

— Mój klient nie przyszedł tutaj, żeby bronić swego postępowania.

— Więc nie będzie pan wnosił obrony w wypadku sprawy sądowej?

— Ktoś, kto zajmuje w naszym zawodzie pozycję tak wyjątkową jak pan mecenas, musi rozumieć, że nie nogę odpowiedzieć na to pytanie.

Nadradca Murphy wtrącił się znowu: Nie wniesie pan obrony w wypadku procesu?

— Bardzo pana mecenasa przepraszam, ale nie mogę o tym na razie wyrokować.

Wilczy uśmiech wygiął wargi nadradcy.

— Wyrok nie nastęrcza wątpliwości, mecenasie Montague.

— Czy możemy kontynuować, panie Aubrey?

Pan Aubrey spojrział na nadradcę, który złowieszczo skinął głową.

— W tej sprawie, panie Montague, nie radziłbym panu liczyć na wyrozumiałość sądu. — Pan Aubrey znów zaszeleścił papierami. — Będę się streszczał. W mojej praktyce, w mojej bardzo długiej praktyce nie zdarzyło mi się zetknąć z tak bezprzykładną niegodziwością. Gdyby nawet klient pański nie zasługiwał na najwyższe potępienie, jakie go niewątpliwie czeka, sądzę stanowczo, że tak nikczemny postępek winien być podany do wiadomości publicznej jako ostrzeżenie dla innych. — Pan Aubrey zrobił długą pauzę, żeby słowa jego zapadły jak najgłębiej w duszę winowajcy. Karol wściekał się, że nie może opanować krwi zalewającej mu policzki. Pan Freeman przynajmniej patrzył teraz w ziemię, ale nadradca Murphy dobrze wiedział, jak wyzyskać czerwieniącego się świadka. Wbił w Karola swój, jak go nazywał zdjęty podziwem młody Montague, bazyliszkowy wzrok stanowiący mieszaninę ironii i sadyzmu.

Pan Aubrey ciągnął dalej w nowej, posępnej tonacji:

— Jednakże z powodów, w które nie będę wnikał, pan Freeman postanowił okazać miłosierdzie, na jakie sprawa pod żadnym względem nie zasługuje. Zastrzegając dopełnienie pewnych warunków, nie zamierza on na razie wnosić oskarżenia do sądu.

Karol przełknął ślinę i spojrzął na młodego Montague.

— Przygotowałem tu z pomocą mojego czcigodnego kolegi... — pan Aubrey złożył krótki ukłon nadradcy, który kiwnął głową, nie odrywając oczu od udręczonego Karola — ... tekst przyznania się do winy. Muszę poinformować pana mecenasa, że postanowienie pana Freemana o wstrzymaniu się z wniesieniem oskarżenia pozostaje w ścisłej zależności od niezwłocznego złożenia przez pańskiego klienta podpisu pod tym dokumentem w naszej obecności i do poświadczenia go przez wszystkich obecnych tu świadków.

Podał tekst młodemu Montague, który przebiegł go oczami, a następnie spojrzął na pana Aubreya.

— Czy mogę prosić o pięć minut na osobności z moim klientem w celu odbycia narady?

— Dziwi mnie, że uważa pan jakiegokolwiek narady za potrzebne. — Pan Aubrey wyduł gniewnie wargi, ale Montague przybrał stanowczą minę. — No cóż, proszę bardzo, proszę bardzo. Skoro pan musi.

Harry Montague i Karol znaleźli się tedy znów w grobowej poczekalni. Montague przeczytał dokument, po czym podał go Karolowi.

— No, masz tu swoją pigułkę — powiedział ze zgryźliwym humorem. — Musisz ją przełknąć, mój chłopcze.

Odwrócił się i patrzył przez okno, gdy Karol czytał tekst przyznania się do winy.

„Ja, Karol Algernon Henryk Smithson, z własnej woli i powodowany jedynie pragnieniem ustalenia prawdy przyznaję się, że:

1. Złożyłem przyrzeczenie, iż poślubię pannę Ernestynę Freeman;
2. Strona niewinna (wyżej wymieniona panna Ernestyna Freeman) nie dała mi najmniejszego powodu do złamania danego jej przeze mnie uroczystego przyrzeczenia;
3. Zanim poprosiłem ją o rękę, poinformowany byłem dokładnie i wyczerpująco o jej pozycji społecznej, o jej charakterze, jej posagu i widokach na przyszłość, i nic, czego się następnie dowiedziałem o wyżej wymienionej panie Ernestynie Freeman, nie pozostawało w jakiegokolwiek sprzeczności z posiadanymi przeze mnie informacjami;
4. Złamałem uroczyste przyrzeczenie małżeństwa bez jakiegokolwiek ważkiego powodu i nie mając na swoje usprawiedliwienie nic prócz własnego występnego samolubstwa i niewierności;
5. Nawiązałem potajemny stosunek miłosny z osobą nazwiskiem Sara Emilia Woodruff, zamieszkałą w Lyme, a następnie w Exeter, i usiłowałem ten stosunek ukryć;
6. Postępowanie moje w całej tej sprawie było sprzeczne z nakazami honoru i wskutek tego utraciłem na zawsze prawa do miana dżentelmena.

Ponadto stwierdzam, iż strona pokrzywdzona ma całkowite i bezwarunkowe prawo zaskarżyć mnie w każdej chwili do sądu.

Ponadto stwierdzam, iż strona pokrzywdzona może zrobić z niniejszego dokumentu wszelki użytek, jaki uzna za stosowne.

Ponadto stwierdzam, iż mój podpis pod niniejszym dokumentem złożony został z mojej własnej i nieprzymuszonej woli bez nacisku z czyjejkolwiek strony, w pełnej świadomości mojej winy i z całkowitym zrozumieniem wyszczególnionych w

niniejszym dokumencie warunków; stwierdzam również, iż zgodnie z powyższymi warunkami nie przysługuje mi prawo do odwołania, obalenia lub unieważnienia tego dokumentu ani w całości, ani też w żadnej jego części.”

— Nie masz nic do powiedzenia na ten temat?

— Przypuszczam, że nad tekstem musiała się odbyć dłuższa dyskusja. Żaden prawnik nie umieściłby ze spokojnym sumieniem szóstej klauzuli. Gdyby doszło do sprawy sądowej, można by z powodzeniem twierdzić, że żaden dżentelmen, choćby nie wiem jakie głupstwo popełnił, nie podpisałby takiego oświadczenia, gdyby go do tego nie zmuszono. Dobry obrońca mógłby użyć tego argumentu bardzo skutecznie. Ta klauzula w gruncie rzeczy jest dla nas korzystna. Dziwię się, że Aubrey i Murphy zgodzili się na nią. Sądzę, że to klauzula papy. Za wszelką cenę chce cię upokorzyć.

— To ohyda.

Karol miał przez chwilę taką minę, jakby chciał podrzeć papier na drobne kawałki.

Montague odebrał mu go delikatnym ruchem.

— Karolu, prawo nie interesuje się prawdą. Powinieneś już o tym wiedzieć.

— A ten, „wszelki użytek, jaki uzna za stosowne” — co to, u licha, znaczy?

— Mogłoby znaczyć, że dokument będzie ogłoszony w „Timesie”. Przypominam sobie, że przed kilku laty coś podobnego zrobiono. Ale czuję przez skórę, że Freeman chce zachować całą sprawę w tajemnicy. Gdyby chciał cię wystawić pod pręgierz, zaskarżyłby cię do sądu.

— Więc muszę podpisać?

— Jeżeli chcesz, mogę tam wrócić i zażądać innego sformułowania — jakiejś formy, która zastrzegłaby ci prawo przytoczenia okoliczności łagodzących, gdyby doszło do procesu. Ale odradzam ci to stanowczo. Niespotykana srogość tekstu obecnej postaci będzie znacznie wyraźniej przemawiała na twoją korzyść. Najlepiej się nam oplaca zapłacić żadaną przez nich cenę. Wówczas, w razie potrzeby, możemy udowodnić, że rachunek był grubo za wysoki.

Karol skinął głową i obaj wstali.

— Jeszcze coś, Harry. Chciałbym wiedzieć, jak się czuje Ernestyna. Nie mogę go zapytać. — Zobaczę, czy nie uda mi się potem zamienić słówka z Aubreyem. Staruch nie jest taki zły. Musi tańczyć jak mu papa zagra.

Wrócili do kancelarii i oświadczenie zostało podpisane najpierw przez Karola, następnie zaś po kolei przez wszystkich obecnych. Nikt już potem nie usiadł. Przez chwilę panowało kłopotliwe milczenie. Naraz pan Freeman wreszcie przemówił.

— A teraz precz stąd, łajdaku, i żebym cię więcej nie widział! Szkoda, że nie jestem młodszy. Byłbym...

— Drogi panie Freeman!

Ostry głos pana Aubreya uciszył rozjuszonego klienta. Karol zawahał się w niepewności, po czym złożył ukłon obu prawnikom i wyszedł wraz z Montague.

Gdy jednak znaleźli się za drzwiami, Montague rzekł:

— Zaczekaj na mnie w powozie.

Po kilku minutach siedział już obok Karola

— Czuje się lepiej, niż się można było spodziewać. Tak mi powiedział Aubrey. Dał mi też do zrozumienia, co zamierza zrobić Freeman, gdybyś znów nabrał chęci do żeniaczki Karolu, on pokaże następnemu kandydatowi na teścia dokument, który przed chwilą podpisałeś. Postanowił sobie, że do końca życia zostaniesz kawalerem.

— Domyślałem się tego.

— Stary Aubrey powiedział mi przy sposobności, komu zawdzięczasz zawieszenie wyroku.

— Jej? Tego się też domyśliłem.

— Bo Freeman chciał cię zmasakrować. Ale głową domu jest najwidoczniej panienka.

Powóz toczył się dalej. Karol patrzył ponuro na zalaną słońcem ulicę.

— Jestem napiętnowany i zhańbiony do końca życia.

— Mój Karolu, jeżeli odgrywasz mahometanina w świecie purytanów, nie możesz się spodziewać innego traktowania. Przepadam za ładnymi nóżkami jak każdy inny mężczyzna. Nie mam ci nic za złe. Ale nie mów mi, że płacisz wygórowaną cenę.

Powóz toczył się dalej. Karol patrzył ponuro na zalaną słońcem ulicę.

— Chciałbym umrzeć.

— Pojedźmy więc do Verreya i zniszczmy parę homarów. A zanim umrzesz, opowiesz mi o tajemniczej pannie Woodruff.

Upokarzające to przejście wprowadziło Karola w stan długotrwałej depresji. Rozpaczliwie pragnął znaleźć się za granicą i nigdy już nie oglądać Anglii. Klub, znajomi — nie mógł o nich myśleć. Wydał służbie ścisłe polecenie: nie przyjmuje nikogo. Oddał się całkowicie poszukiwaniom Sary. Pewnego dnia, biuro detektywów wykryło niejaką pannę Woodbury, nauczycielkę nowo zaangażowaną na pensję dla panien w Stoke Newington. Miała kasztanowate włosy i odpowiadała rysopisowi, który podał. Karol spędził przed szkołą godzinę pełną udręki. Panna Woodbury wyszła na czele długiego dwuszeregu pań. Podobieństwo jej do Sary było znikome.

Nadszedł czerwiec, wyjątkowo w tym roku piękny. Karol przetrwał go jakoś, ale pod koniec miesiąca zaprzestał poszukiwań. Biuro detektywów wciąż nie traciło otuchy, ale musiało przecież dbać o wypłacane przez Karola honoraria, przeszukano Exeter tak samo jak przedtem Londyn, wysłano nawet wywiadowcę, żeby dyskretnie zasięgnął informacji w Lyme i Charmouth — wszystko na próżno. Pewnego wieczora Karol, ostatecznie zgnębiony, zaprosił do siebie na obiad Harry'ego Montague i szczerze mu się ze wszystkiego zwierzył. Co ma robić? Montague odpowiedział bez wahania. Powinien wyjechać za granicę.

— Ale jaki ona mogła mieć cel? Oddać mi się, a potem odtrącić mnie, jakbym był dla niej niczym.

— Wiele przemawia za tym — daruj — że ta druga ewentualność odpowiada rzeczywistości. Może doktor miał słuszność? Czy jesteś pewien, że nie powodowała nią chęć niszczycielskiej zemsty? Może chciała zniweczyć twoje plany na przyszłość... doprowadzić cię do sytuacji, w której się teraz znajdujesz, Karolu?

— Nie mogę w to uwierzyć.

— Na podstawie faktów musisz w to uwierzyć.

— Mimo wszystkich zmyśleń i kłamstw miała w sobie jakąś szczerą, jakąś bezwzględną uczciwość. Może umarła. Nie ma pieniędzy. Nie ma żadnych krewnych.

— Pozwól więc, że posłę dependenta, żeby przejrzał rejestr zgonów.

Karol zachnął się na tę rozsądną radę, jakby to była zniewaga. Nazajutrz usłuchał rady — w rejestrze jednak nie odnotowano zgonu Sary Woodruff.

Karol zwlekał jeszcze tydzień. Wreszcie pewnego wieczora postanowił nagle wyjechać za granicę.

Każdy za siebie — ta zasada
 W szkole nam z miejsca w ucho wpada,
 I ratuj się kto może, o!
 Arthur Hugh Clough, Poem (1849)

A teraz przeskoczmy dwadzieścia miesięcy. Jest rześki poranek lutowy roku 1869. Gladstone tymczasem dotarł wreszcie na Downing Street nr 10; odbywa się ostatnia w Anglii egzekucja publiczna; wkrótce ma się ukazać *Poddaństwo kobiet* Johna Stuarta Milla i powstać Girton College ^[*] Girton College — angielska uczelnia dla kobiet, założona w roku 1869 w Hitchin, Hertfordshire, przez Emilię Davies (1830—1921) feministkę i emancypantkę angielską, która walczyła o prawo wyższego wykształcenia dla kobiet. W roku 1873 uczelnię przeniesiono do Cambridge, a jej studentki dopuszczane były na wykłady tamtejszego uniwersytetu i mogły po zaliczeniu wszystkich wymaganych przedmiotów ubiegać się o stopień naukowy i dyplom. Ciekawostką jest wszakże fakt, iż uczelnia została zrównana w prawach z innymi wyższymi zakładami naukowymi w Cambridge dopiero w roku 1948]. Tamiza jest jak zwykle błotnisto—szara, ale niebo ponad nią promienieje szyderczym błękitem i kiedy się spojrzy w górę, można przypuszczać, że się jest we Florencji.

Gdy się zaś spojrzy w dół, na nowe wybrzeże w Chelsea, widać na ziemi ślady śniegu. Jednakże w powietrzu, choć może tylko na słońcu, czuje się pierwsze leciutkie tchnienie wiosny.

I am ver... Pewien jestem, że młoda kobieta, którą najchętniej pokazałbym z wózkiem dziecinnym (ale nie mogę, bo wózki weszły w użycie dopiero w dziesięć lat później), nie słyszała nigdy o Katullusie, a zresztą gdyby nawet słyszała, nie zachwyciłoby jej takie rozwodzenie się nad nieszczęśliwą miłością. Znała jednak uczucie, jakie budzi wiosna. Bądź co bądź zostawiła właśnie w domu (o milę stąd na zachód) owoc ubiegłej wiosny, spowity, owinięty i otulony tyłoma warstwami, że mógłby być cebulką tkwiącą pod ziemią. Nie ulega też wątpliwości, chociaż kobieta ubrana jest bardzo starannie, że jak wszyscy dobrzy ogrodnicy jest zwolenniczką sadzenia cebulek hurtem. Ostrożny, powolny krok matek spodziewających się dziecka cechuje zawsze pewna buta — najmniej drażniąca na świecie, ale zawsze buta.

Ta wolno krocząca i pełna dyskretnej dumy młoda kobieta przystaje na chwilę, przechyla się przez parapet nabrzeża i patrzy na szare fale. Rumiane policzki, wspaniałe oczy o pszenicznych rzęsach, nieco mniej błękitne niż niebo nad jej głową, lecz nieustępujące mu blaskiem — Londyn nigdy nie wydałby na świat tak nieskazitelnej istoty. Gdy jednak kobieta odwraca się i patrzy na okazały szereg domów, nowych i starych, stojących po drugiej stronie ulicy frontem do rzeki, widać wyraźnie, że nie żywi najmniejszej niechęci do Londynu. Na jej twarzy, kiedy przygląda się domostwom ludzi zamożnych, nie znać cienia zawiści, lecz tylko naiwną radość, że takie piękne budynki istnieją.

Od strony centrum Londynu nadjeżdża dorożka. Szarobłękitne oczy obserwują dorożkę w sposób, który wskazuje, że powszednie elementy scenerii londyńskiej wciąż jeszcze obserwatorkę fascynują i zachwycają. Dorożka staje przed dużym domem naprzeciw. Wsiada z niej kobieta, wyjmując z sakiewki monetę.

Usta młodej osoby przy barierze rozwierają się szeroko. Rumiane policzki na chwilę bledną, potem oblewają się pąsem. Dorożkarz dwoma palcami dotyka runda cylindra. Jego pasażerka idzie szybko ku frontowemu wejściu. Młoda osoba w ciąży przesuwa się do krawężnika, kryje się za pnem drzewa. Kobieta otwiera kluczem drzwi frontowe i znika wewnątrz domu.

— To była ona, Sam— Widziałam ją tak wyraźnie, jak...

— Nie mogę w to uwierzyć.

— Wierzył jednak — w istocie rzeczy jakimś szóstym czy siódmym zmysłem przeczuwał, że tak będzie.

Po powrocie do Londynu odwiedził starą kucharkę, panią Rogers, i wysłuchał dokładnego sprawozdania z ostatnich posępnych tygodni pobytu Karola w Kensington. Było to już dość dawno. Przytakiwał wówczas pani Rogers, gdy niepochlebnie się wyrażała o dawnym panu, w sercu jednak odezwało mu się coś na kształt wyrzutów sumienia. Kojarzenie małżeństw to jedno — rozbijanie małżeństw to zupełnie co innego.

Sam i Mary patrzyli na siebie — ona pytająco, on z ponurym powątpiewaniem — we frontowym saloniku, miniaturowym lecz wcale nieźle urządzonej. Na kominku płonął wesoły ogień. Gdy się tak w siebie badawczo wpatrywali, drzwi się otworzyły i malutka służąca, czternastoletnia brzydula wniosła dziecko uwolnione teraz częściowo z powijaków — ostatni chyba zdrowy plon, jaki wydała stodoła Carslake'a. Sam natychmiast wziął pakunek na ręce, zaczął go kołysać i doprowadził dziecko do rozpaczliwego płaczu, co zdarzało się niezmiennie, ilekroć wracał z pracy. Mary, uśmiechając się do niemądrego taty, czym prędzej odebrała mu drogocenny ciężar gdy tymczasem dziewczynka przy drzwiach uśmiechała się do obojga z wielką sympatią. Przy sposobności możemy wyraźnie zobaczyć, że Mary niedługo już będzie miała następne dziecko.

— No, kochanie moje, pójdę się teraz napić czegoś dla pokrzepienia. Harriet, nastawiłaś kolację?

— Tak jest, proszę pana. Za pół godziny będzie gotowa.

— Bardzo ładnie. No, kochanie moje... — i Sam wesoło i beztróska ucałował Mary w policzek, a potem połaskotał żeberka maleństwa.

Nie miał już wszakże tak uszczęśliwionej miny w pięć minut później, gdy siedział przed szklanką ginu z gorącą wodą w wysypanym trocinami kącie pobliskiego szynku. Na pozór nic mu nie brakowało do szczęścia. Nie miał wprawdzie własnego sklepu, lecz to, co miał, w gruncie rzeczy nie było gorsze. Jako pierwsze dziecko urodziła się dziewczynka, zawód to był niewielki i — Sam był tego pewien — w krótkim czasie do naprawienia.

W Lyme Sam rozegrał partię bezbłędnie. Panna Tranter od początku była woskiem w jego ręku. Oświadczył, że zdaje się wraz z Mary na jej łaskę. Czyż nie utracił wszystkich widoków na przyszłość przez tak odważną rezygnację z pracy? Czyż nie jest świętą prawdą, że pan Karol przyrzekł mu pożyczkę w wysokości czterystu funtów szterlingów (zawsze należy żądać wyższej ceny, niżby się śmiało) na założenie własnego interesu? Co to za interes?

— Z tej samej branży, co pana Freemana, szanowna pani, tylko że bardzo skromniutki.

Wyzyskał bardzo zręcznie atut, którym była Sara. Przez pierwszych kilka dni za nic nie chciał wyjawiać grzesznych sekretów dawnego pana — dał mu przecież słowo, że go nie zdradzi. Ale panna Tranter była taka dobra — pułkownik Locke z Jericho House szukał służącego, toteż bezrobocie Sama trwało bardzo krótko. Równie krótko trwał dalszy jego stan kawalerski, a wszystkie koszty związane z uroczystością, która go zakończyła, poniosła chlebodawczyni panny młodej. Oczywiście Sam musiał się jakoś za to odwdziżyć.

Jak wszystkie samotne starsze damy panna Tranter chętnie widziała osoby, które mogłyby przygarnąć i otoczyć opieką, a przy tym nie pozwolono jej zapomnieć, że marzeniem Sama jest branża galanteryjna. Pewnego tedy razu, bawiąc z wizytą u siostry w Londynie, odważyła się przedstawić całą sprawę szwagrowi. Pan Freeman w pierwszej chwili potrząsnął tylko odmownie głową, ale zaraz przypomniało mu o rycerskim postępku młodego służącego, a przecież lepiej się

od panny Tranter orientował, jak doskonały użytek zrobiono i można jeszcze zrobić z dostarczonych przez Sama informacji.

— Dobrze, Anno. Rozejrzę się w sytuacji. Może jest jakiś wakans.

W taki oto sposób Sam dostał posadę — na razie bardzo skromną — w wielkim domu towarowym. Ale tego mu wystarczyło. Braki wykształcenia nadrabiał wrodzonym sprytem. Obycie, którego nabrał jako służący, bardzo mu się przydawało w stosunkach z kupującymi. Ubierał się nienagannie. A pewnego dnia zdobył się na coś niezwykłego.

Był cudowny poranek kwietniowy jakieś pół roku po powrocie Sama do Londynu już jako człowieka żonatego, dokładnie dziewięć miesięcy przed owym wieczorem, kiedy siedział taki kwaszony na swoim zwykłym miejscu w szynku. Pan Freeman postanowił tego ranka pójść pieszo do domu towarowego. Minął zwarty szereg okien wystawowych i wszedł sklepu, co było dla personelu z parteru hasłem do zerwania się z miejsca, szurania nogami i niskich ukłonów. Kupujących o tak wczesnej porze było niewiele. Pan Freeman uchylił kapelusza zwykłym swoim królewskim ruchem, zaraz jednak ku ogólnemu zdumieniu zawrócił i szybko wyszedł znów na ulicę. Główny subiekt, mocno zaniepokojony, wyszedł za nim. Zobaczył że potentat stoi przed jedną z wystaw i wpatruje się w nią. Serce głównemu subiektowi zamarło, ale przysunął się dyskretnie i stanął za panem Freemanem.

— Eksperyment, proszę łaskawego pana. Zaraz każe to zdjąć.

Trzech innych mężczyzn stanęło obok nich. Pan Freeman zerknął na nich spod oka, ujął głównego subiekta za ramię i odciągnął go na bok.

— Niech pan patrzy, panie Simpson.

Stali tak przez jakieś pięć minut. Ludzie raz po raz mijali inne wystawy i zatrzymywali się przy tej jednej. Niektórzy, jak przedtem sam pan Freeman, najpierw przechodzili obojętnie a potem wracali, żeby jej się przyjrzeć.

Obawiam się, że moje pióro nie zdoła należycie jej opisać. Trzeba było widzieć inne okna, monotennie zagracone i usiane monotonnymi kartonikami z ceną, żeby zrozumieć, jak bardzo ta wystawa różniła się od innych, trzeba też pamiętać w przeciwieństwie do naszych czasów, kiedy kwiat ludzkości poświęca życie wielkiemu bogu Reklamy, wiktorianie żywili absurdalny pogląd, że dobre wino samo się chwali. Tło wystawy tworzyła ciemnopurpurowa udrapowana tkanina. Na przedzie unosił się zawieszony na cienkich drucikach zwarty szereg męskich kołnierzyków wszelkich możliwych rozmiarów, kształtów i fasonów. Ale cały pomysł zawierał się w tym, że kołnierzyki zawieszono były tak, aby tworzyć słowa. Wołały, więcej, krzyczały na cały głos: U FREEMANA — DO WYBORU!

— Oto, panie Simpson, nasza najlepsza wystawa tego roku.

— Tak jest, proszę pana. Bardzo śmiała. Bardzo wpada w oko.

— „U Freemana — do wyboru!” Przecież oferujemy właśnie największy wybór, w przeciwnym razie po cóż byśmy prowadzili tak szeroki asortyment? „U Freemana — do wyboru” — znakomite! Chcę, żeby te słowa umieszczano odtąd we wszystkich naszych okólnikach i ogłoszeniach.

Pan Freeman ruszył znów ku wejściu. Główny subiekt uśmiechnął się.

— Zawdzięczamy to w znacznej mierze łaskawemu panu. Ten młody człowiek... pan Farrow?... przypomina pan sobie osobiście interesował się pan przyjęciem go do pracy?

Pan Freeman przystanął.

— Farrow? Czy mu na imię Sam?

— Chyba tak, proszę pana.

— Niech go pan do mnie sprowadzi.

— Przyszedł o piątej rano specjalnie, żeby zrobić tę wystawę.

Tak oto onieśmielony Sam stanął wreszcie przed obliczem wielkiego męża.

— Świetna robota, Farrow.

Sam złożył niski ukłon.

— Dla mnie to była największa przyjemność, proszę pana.

— Ile mu płacimy, panie Simpson?

— Dwadzieścia pięć szylingów, proszę pana.

— Dwadzieścia siedem szylingów i sześć pensów.

Ruszył dalej, zanim Sam zdołał wyrazić wdzięczność. Czekало go jednak coś jeszcze lepszego, gdy bowiem pod koniec dnia poszedł po należne mu pieniądze, wręczono mu kopertę, w której były trzy złote suwereny i bilecik ze słowami: premia za gorliwość i pomysliwość”.

Teraz, zaledwie w dziewięć miesięcy później, pensja Sama osiągnęła zawrotną wysokość trzydziestu dwóch szylingów i sześciu pensów tygodniowo, a ponieważ stał się niezastąpionym członkiem ekipy dekorującej okna wystawowe, skłonny był przypuszczać, że gdyby poprosił o podwyżkę, otrzymałby ją w każdej chwili.

Sam wziął przy ladzie dodatkową a nadzwyczajną porcję ginu i wrócił na swoje miejsce. Pech chciał, że miał sumienie — defekt, którego nowocześni jego następcy działający na polu reklamy zdołali się już wyzbyć — a może miał po prostu poczucie niezасłużonego szczęścia i powodzenia. Mit Fausta przemawia do człowieka kulturalnego najsilniej ze wszystkich mitów. Sam wprawdzie miał tak niewielką styczność z kulturą, że nie wiedział nawet, kto to Faust, był jednak dość otrzaskany w świecie, aby nasłuchać się opowieści o paktach z diabłem i ich skutkach. Przez jakiś czas człowiekowi powodzi się doskonale, lecz nadchodzi dzień, kiedy diabeł zgłasza się po swoje. Szczęście to twardy pan, pobudza wyobraźnię do przewidywania jego utraty, i to częstokroć w stosunku wprost proporcjonalnym do poprzednich dobrodziejstw. Samowi doskwierało również, że nie zwierzył się nigdy Mary z tego, co zrobił. Innych tajemnic przed sobą nie mieli i Sam ufał jej rozsądkowi. Co pewien czas ożywała w nim tęsknota za własnym sklepem, w którym byłby wszechwładnym panem — czyż mało dał dowodów, że ma do tego wrodzone zdolności? Ale właśnie Mary ze swym chłopskim wyczuciem, jakie pole najlepiej orać, wysyłała go, używając łagodnej, a parę razy, niezbyt nawet łagodnej perswazji, z powrotem do kieratu przy Oxford Street.

Choć się to na razie nie odbiło jeszcze na ich wymowie i sposobie wyrażania się, Mary i Sam pięli się w górę po drabinie społecznej i zdawali sobie z tego sprawę. Dla Mary wszystko to było jak sen. Jest żoną człowieka, który zarabia przeszło trzydzieści szylingów tygodniowo! Przecież jej ojciec furman, nigdy w życiu nie zarabiał więcej niż dziesięć szylingów na tydzień! Mieszka w domu, za który płaci się dziewiętnaście funtów rocznie komornego!

A co najcudowniejsze ze wszystkiego, miała niedawno sposobność odbyć rozmowy z jedenastoma mniej od niej szczęśliwymi kandydatkami na stanowisko, które zaledwie przed dwoma laty zajmowała sama! Dlaczego aż z jedenastoma? Mary, muszę wyznać, sądziła, że rola pani polega przed wszystkim na grymasach i wybrzydzeniu — który to błędny pogląd przejęła raczej od siostrzenicy niż od ciotki. Ale poza tym stosowała zasadę dobrze znaną młodym żonom przystojnych mężów. Przy wyborze niewolnicy „do wszystkiego” nie kierowała się inteligencją i umiejętnościami kandydatki, lecz przede wszystkim jej szpetotą. Powiedziała Samowi, że w końcu zdecydowała się dać Harriet przeznaczone na ten cel sześć funtów rocznie, bo żal jej było dziewczyny — i nie było to zupełnie kłamstwo.

Owego wieczora podwójnej racji ginu Sam po powrocie do domu i do duszonej baraniny objął ramieniem mocno rozszerzoną talię, ucałował jej właścicielkę i spojrzął na broszkę, którą nosiła

na piersi — zawsze nosiła w domu i zawsze zdejmowała przed wyjściem, żeby nie skusić jakiegoś rabusia.

— Jak tam poczciwe perły i korale?

Mary uśmiechnęła się i podniosła broszkę nieco do góry.

— Ciesz się, że cię widzą, Sam.

Stali oboje wpatrzeni w ten emblemat ich pomyślnego losu na który ona dobrze sobie zasłużyła, a za który on miał teraz wreszcie zapłacić należność.

Ach, szukałem, lecz daremnie,
 Bo jej duszy blask
 Nie wrócił do łask Mojej duszy.
 A ona odeszła ode mnie.
 Thomas Hardy, *At a Seaside Town in 1869*

A cóż się dzieje z Karolem? Współczułbym detektywowi, co miałby go śledzić w ciągu tych dwudziestu miesięcy. Karol odwiedził wszystkie prawie miasta w Europie, ale nigdzie nie zagrażał miejsca. Był pod piramidami, nie ominął także Ziemi Świętej. Oglądał tysiące widoków i krajobrazów, spędził bowiem pewien czas również w Grecji i na Sycylii, ale nic nie widział — wszystko było tylko cienką ścianą dzielącą go od nicości, od ostatecznej pustki, od całkowitego braku jakiegokolwiek celu. Ilekroć zatrzymał się gdzieś dłużej niż przez kilka dni ogarniała go nieznośna apatia i przygnębienie. Przenoszenie się z miejsca na miejsce stało mu się niezbędne jak opium narkomanowi. Zazwyczaj podróżował sam, co najwyżej z jakimś tłumaczem lub lokajem—kurierem z kraju, w którym się znajdował. Niekiedy, bardzo rzadko, zawierał znajomość z innymi podróżnikami i znosił ich towarzystwo przez kilka dni, ale byli to zawsze panowie z Francji lub z Niemiec. Anglików unikał jak zarazy, wielu życzliwych rodaków, co usiłowali się do niego zbliżyć, powstrzymywała niezmiennie bariera mrozącej rezerwy. Paleontologia, zbyt teraz emocjonalnie skojarzona z wydarzeniami owej fatalnej wiosny, przestała go interesować. Kiedy zamykał dom w Kensington, pozwolił muzeum geologicznemu wybrać dowolne okazy ze swoich zbiorów, resztę rozdał studentom. Meble zostały złożone na skład, Montague otrzymał polecenie, aby po wygaśnięciu obecnej dzierżawy ponownie wydzierżawić dom przy Belgravia Square. Karol nigdy nie będzie tam mieszkał.

Czytał dużo i prowadził dziennik podróży, ale były to notatki powierzchowne, o miejscach i zdarzeniach, nie tyle utrwalanie własnych myśli, ile sposób zabicia czasu podczas długich wieczorów w pustych zajazdach. Głębsze uczucia starał się wyrażać tylko w wierszach, odkrył bowiem w Tennysonie wielkość dającą się porównać tylko z wielkością Darwina w swojej dziedzinie. Zapewne, wielkość widziana przez Karola nie pokrywała się wcale z wielkością jaką widziała w poecie—laureacie epoki.* [* Poeta—laureat — w Anglii urząd dworski (pierwszym oficjalnie uznanym poetą—laureatem był Ben Jonson od roku 1619 do 1637). Sprawujący urząd poeta obowiązany jest (a raczej był) układać ody dla uczczenia dnia urodzin panującego i ważnych wydarzeń państwowych, w zamian za co otrzymuje 200 funtów szterlingów rocznie i beczkę białego wina z Wysp Kanaryjskich.] Maud, poemat w owych czasach niemal powszechnie lekceważony jako najzupełniej niegodny mistrza, stał się ulubionym poematem Karola. Czytał go chyba ze dwadzieścia razy, a niektóre fragmenty ze sto. Była to jedyna książka, którą stale ze sobą woził. Własne jego wiersze były w porównaniu z Tennysonem słabe — prędzej by umarł, niż by je komukolwiek pokazał. Oto jednak krótka ich próbka. Przytaczam ją tylko po to, żeby pokazać, jak Karol widział siebie na dobrowolnym wygnaniu.

O, przez okrutne morze, przez surowe góry
 Wędruję — i przez miasta, obce dla mnie wszystkie,
 A szczęśliwe obrazy wasze, pośród których
 Idę, są dla mnie tylko przeklętym bagniskiem.

Gdziekolwiek idę, wciąż o jedno pytam życie:

Co mnie przygnało tu? Stąd — jaka goni sprawa?
 W najlepszym razie wstyd uciekać każe skrycie,
 W najgorszym razie zaś żelazne skutki prawa.

Aby usunąć przykry posmak, jaki musiał państwu zostać po tych nędznych rymach, pozwolę sobie przytoczyć nieporównanie cenniejszy utwór — rzecz, której Karol nauczył się pamięć — przy tym jedyny utwór, co do którego obaj stwierdziliśmy zgodnie: najpiękniejszy chyba wiersz z całej epoki wiktoriańskiej.

Tak, morzem życia otoczeni,
 Rozsiani wśród huczących cieśnin,
 Miliony nas, osamotnieni
 Pośród bezbrzeżnych wód jesteśmy;
 Wyspy falami obleżone —
 Już znane to, co nieskończone.

Księżyc wygasza na nich światła
 I wiosny zapach przez nie płynie,
 A gdy gwiazdzista noc zapada,
 Słowik zaśpiewa gdzieś w kotlinie:
 I z brzegu na brzeg, poprzez morskie
 Cieśniny, dźwięczą tony boskie...

Wtedy w najdalszy kąt się wciska
 Wielka tęsknota i nieszczęście
 I każda wie samotna wyspa,
 Że jest jednego lądu częścią;
 Choć wodna pustka jest wokoło,
 Niechaj się brzegi ich zespolą.

Kto sprawił, że tęsknoty płomień,
 Zaledwie błysnął, znowu zagasł?
 Kto skrytych pragnień zdławił ogień?
 To Bóg je na rozłękę skazał,
 Między brzegami ich ułożył
 Słone, nieokiełznane morze.* [*Matthew Arnold, *To Marguerite*, przeł. Andrzej Nowicki.]

Jednakże przez cały ten okres melancholii i samoudręki Karol ani przez chwilę nie myślał o samobójstwie. Gdy miał w Exeter wielką wizję samego siebie uwolnionego od swoich przodków, sfery i kraju, nie zdawał sobie sprawy, jak dalece wolność ucieleśniona była w Sarze, w nadziei na wspólne z nią wygnanie. Nie bardzo już wierzył w tę wolność — czuł, że zmienia tylko potrzaski albo też więzienia. Jednakże jego izolacja miała przecież w sobie coś, czego mógł się uchwycić był wyrzutkiem, odmieńcem w wyniku postanowienia, na które mało kto by się zdobył, bez względu na to czy postanowienie okazało się w końcu głupie, czy też mądre. Od czasu do czasu widok jakiejś pary odbywającej podróż poślubną. Przywodził mu na myśl Ernestynę. Robił wtedy rachunek sumienia. Czy zazdrości nowożeńcom, czy się nad nimi lituje? Przekonał się, że

w tej sprawie przynajmniej nie czyni sobie wyrzutów. Los jego, choćby najbardziej gorzki, szlachetniejszy jest od losu który odtrącił.

Podróże po Europie i wokół Morza Śródziemnego trwały około piętnastu miesięcy, w ciągu których Karol ani razu nie powrócił do Anglii. Nie prowadził stałej korespondencji z nikim, większość jego skąpych listów adresowana była do Hary'ego Montague i dotyczyła spraw majątkowych, instrukcji dokąd przekazywać pieniądze i tak dalej. Montague zgodnie z upoważnieniem dawał od czasu do czasu w dziennikach londyńskich ogłoszenia: „Sara Emilia Woodruff lub ktokolwiek, kto wie o jej obecnym miejscu pobytu, zechce łaskawie...” — ale odpowiedzi wciąż nie było.

Sir Robert przejął się bardzo, kiedy otrzymał listowną wiadomość o zerwaniu zaręczyn, wkrótce jednak pod kojącym wpływem swego rychłego szczęścia zaczął sprawę bagatelizować. Do kroćset, Karol jest młody, znajdzie sobie gdzie indziej nie gorszą, ba, znacznie lepszą pannę, a przynajmniej oszczędził sir Robertowi wstydu, na jaki naraziłoby go powinowactwo z Freemanami. Bratanek przed wyjazdem z Anglii przyjechał raz, aby złożyć uszanowanie pani Belli Tomkins. Dama nie przypadła mu do gustu i żał mu się zrobiło stryja. Odmówił następnie przyjęcia ofiarowanego mu ponownie „Małego Domu”, o Sarze zaś nie wspominał ani słowem. Obiecał, że wróci na wesele, lecz bez trudu nie dotrzymał obietnicy, zmyślając atak malarii. Bliźnięta wbrew przypuszczeniom Karola nie ujrzały światła dziennego, ale syn i dziedzic z należytym poczuciem obowiązku przyszedł na świat w trzynastym miesiącu Karolowego wygnania. Karol w tym czasie dość już był zahartowany na wszelkiego rodzaju kłęski, aby nie wziąć sobie tej wieści zbyt do serca, po wysłaniu zaś listu gratulacyjnego powziął tylko niezłomne postanowienie, że noga jego nigdy już nie postanie w Winsyatt.

Jeżeli nie przestrzegał celibatu *sensu stricto* — było rzeczą wiadomą w lepszych hotelach Europy, że panowie Anglicy przyjeżdżają za granicę, żeby się źle prowadzić, a okazji po temu nie brakowało — to zachowywał go w sensie uczuciowym. Dopełniał aktu (czy też popełniał go) z niemym cynizmem, tak samo jak patrzył na starożytne świątynie greckie lub spożywał posiłki. Był to po prostu zabieg higieniczny. Miłość odeszła ze świata. Niekiedy, w jakiejś katedrze albo galerii malarstwa marzył przez chwilę, że ma przy sobie Sarę. Po takich chwilach można było zauważyć, że prostuje się raptownie i bierze głęboki oddech. Rzecz była nie tylko w tym, że bronił sobie z daremnej tęsknoty, lecz również w tym, że coraz bardziej niepewien był granicy między prawdziwą Sarą a Sarą, którą stworzył w tyłu marzeniach: między tą, będącą uosobieniem kobiecości zagadkową, pełną miłości, niezgłębioną a tamtą na pół podstępna na pół obłąkaną guwernantką z małego nadmorskiego miasteczka. Wyobrażał sobie nawet, że spotyka ją znowu — i nie widzi w niej nic prócz własnego szaleństwa i złudzeń. Nie odwołał inseratów w prasie, zaczął jednak dochodzić do wniosku, że byłoby może lepiej, gdyby pozostały nadal bez odpowiedzi.

Największym jego wrogiem była nuda, i to właśnie nuda pewnego wieczora w Paryżu — kiedy zdał sobie sprawę, że nie chce ani pozostać w Paryżu, ani pojechać do Włoch, do Hiszpanii lub do jakiegokolwiek innego miejsca w Europie — kazała mu wreszcie wrócić do domu.

Sadzą państwo zapewne, że mam na myśli Anglię, ale tak nie jest. Anglia nigdy już nie mogła stać się znów dla Karola ojczyzną, chociaż udał się tam na tydzień po wyjeździe z Paryża. Tak się złożyło, że drogę z Leghorn do Paryża odbył w towarzystwie dwóch Amerykanów, starszego pana i jego bratanek. Pochodzili z Filadelfii. Może sprawiła to przyjemność rozmowy w języku nie za bardzo obcym, w każdym razie Karol powziął do nich sympatię — ich naiwna radość ze zwiedzania zabytków i oglądania pięknych widoków (Karol sam oprowadził ich po Avignonie i zawiózł na podziwianie Vézelay) była oczywiście zabawna, lecz zarazem pozbawiona jakiegokolwiek obłudy i blagi. Nie byli wcale głupimi Janekami, z których w pojęciu ówczesnych

Brytyjczyków składała się cała ludność Stanów Zjednoczonych. Niższość ich polegała wyłącznie na tym, że nie znali Europy.

Starszy filadelfijczyk był człowiekiem gruntownie czytany i wytrawnym znawcą życia i ludzi. Pewnego wieczora po obiedzie on i Karol (bratanek był tylko słuchaczem) wdali się w długą dyskusję na temat zalet i wad kraju macierzystego i buntowniczej kolonii, a krytyczne, choć podane w bardzo oględnej formie uwagi Amerykanina o Anglii potrafiły w duszy Karola o współbrzmiające struny. Odkrył pod amerykańskim akcentem poglądy bardzo podobne do własnych i dojrzał nawet, acz bardzo mgliście i tylko dzięki analogii Darwinowskiej, że Amerykanie mogą z czasem zająć miejsce starszego gatunku. Nie chcę przez to bynajmniej powiedzieć, że w pomyślał o wyemigrowaniu do Stanów, mimo iż tysiące Anglików z warstw uboższych czyniło to co roku. Ziemia Obiecana, która marzyła im się za Atlantykiem (nie bez wpływu najhaniańszych kłamstw w dziejach Reklamy), nie była Ziemią Obiecaną, o której marzył Karol: krajem zamieszkanym przez ludzi rozsądniejszych i bardziej bezpośrednich — właśnie takich, jak ten filadelfijczyk i jego miły słuchający bratanek — żyjących w mniej skomplikowanym społeczeństwie. Starszy pan sformułował to bardzo zwięźle: „U nas w Ameryce, na ogół biorąc, mówimy, co myślimy. Z Londynu natomiast wyniosłem inne wrażenie — proszę mi darować, panie Smithson — niech Pan Bóg ma w swojej opiece takiego człowieka, który mówi to, co myśli”.

Na tym zresztą nie koniec. W Londynie, jedząc obiad z Montague, Karol powiedział mu o swoim zamiarze. Montague usposobiony był do Ameryki dość sceptycznie.

— Mój Karolu, nie wyobrażam sobie, żeby tam przypadają na akr dużo ludzi, których w ogóle można traktować jak ludzi. Niepodobna być zbiornikiem szumowin z całej Europy, a jednocześnie cywilizowanym społeczeństwem. Chociaż niektóre starsze miasta są chyba na swój sposób dość przyjemne. — Pociągnął łyk portu. — Nawiasem mówiąc, ona tam właśnie może być. Przypuszczam, że sam już wpadłeś na tę myśl. Te tanie pocztowce, jak słyszę, pełne są młodych kobiet jadących na poszukiwanie mężów. Oczywiście jej cel byłby inny — dodał skwapliwie.

— Nie myślałem o tym. Prawdę mówiąc, przez ostatni miesiąc w ogóle niewiele o niej myślałem. Straciłem już nadzieję.

— No to jedź do Ameryki i zapomnij o troskach na łonie jakiejś uroczej Pocahontas* [* Pocahontas (1595—1617) — sławna córka wodza indiańskiego Powhatana, której zaślubiny z osadnikiem angielskim Jonnem Rolfe przyniosły na osiem lat pokój między białymi a Indianami.]. Podobno dobrze urodzony Anglik może wybierać wśród bardzo powabnych panien — *pour le dot comme pour la figure***[** Zarówno gdy chodzi o posag, jak i o twarz (fr.).] — jeżeli tylko zapragnie.

Karol uśmiechnął się — czy na myśl o podwójnie powabnych pannach, czy może na myśl o kabinie zarezerwowanej już na statku (z czego jeszcze się adwokatowi nie zwierzył), musimy to pozostawić imaginacji czytelników.

Zmęczony sobą i dość mając pytań,
 Czym jestem, czym być powinienem,
 Stoję na dziobie statku, co mnie niesie
 Naprzód, przez morze pod gwiazdzistym niebem.
 Matthew Arnold, *Self—Dependence* (1854)

Podróż z Liverpoolu nie była zbyt udana. Karol musiał raz po raz pochylać się nad miednicą, a w przerwach między jednym a drugim atakiem choroby morskiej zastanawiał się tylko, co u licha skłoniło go do wyruszenia na prymitywną drugą półkulę. Może to się zresztą dobrze złożyło. Wyobrażał już sobie Boston jako nędzną gromadę chatynek z nieciosanych bali — pewnego tedy słonecznego poranka rzeczywistość w postaci miasta starych, pięknych murów i białych, strzelistych dachów, z górującą nad nimi jedyną wspaniałą złotą kopułą stała się miłą i budzącą ufność niespodzianką. Boston nie stracił też nic przy bliższym poznaniu. Mieszanina wdzięku i szczeroci towarzystwa bostońskiego podbiła serce Karola, jak podbili je przedtem filadelfijczycy. Nie można powiedzieć, że Karola fetowano, ale w ciągu tygodnia parę listów polecających, które przywiózł, zamieniło się w stałe zaproszenia do kilku domów. Otrzymał stałą kartę wstępu do Ateneum, miał sposobność uścisnąć dłoń senatora, ponadto zaś pomarszczoną łapinę osobistości bardziej nawet szacownej, choć nie tak władczo gadatliwej — starego Nataniela Lodge'a, który ze swego pokoju dziecinnego przy Beacon Street słyszał działo na Bunker Hill* [* Bitwa o Bunker Hill, wzgórze w Charlestown, części Bostonu, rozpoczęta 17 VI 1775 r., była pierwszą wielką bitwą wojny 1775—1883 (zwanej przez Amerykanów „Rewolucją Amerykańską”) o niepodległość 13 kolonii angielskich w Ameryce Północnej, późniejszych Stanów Zjednoczonych.] Kogoś znacznie jeszcze wybitniejszego** [** Osobą wybitną, o której pisze tu autor, naśladowując jej styl, t Henry James (1843—1916), pisarz i eseista, uznawany do dziś w świecie anglosaskim za mistrza formy jes powieściowej. James, urodzony w Nowym Jorku, kształcił się w Stanach Zjednoczonych i w Europie. W 1868 r. przeniósł się na stałe do Europy, a w 1877 osiedlił się w Anglii naturalizując się w 1915 r., na rok przed śmiercią.], z kim można by nie nazbyt interesująco pogawędzić, gdyby się szczęśliwym trafem uzyskało wstęp do koła literackiego Lowella *** [*** James Russel L o w e 11 (1819—1891) — amerykański poeta, eseista, redaktor czasopism literackich i dyplomata, członek rodziny Lowellów, jednej z potężnych rodzin bostońskich.[w Cambridge**** [**** Cambridge — tu: ośrodek naukowy w Stanach Zjednoczonych (Massachusetts), w zespole miejskim Bostonu, siedziba m. in. Uniwersytetu Harvarda.], a kto innymi wiedziony pobudkami i skłonnościami stał właśnie na progu decyzji wręcz odwrotnej, niczym statek, co popychany przeciwbieżącym prądem napina cumy, gotując się do zmuśnej, loksodromicznej podróży ku bogatszej, lecz mulistej przystani Rye (ale nie powinienem małpować mistrza) — Karol nie miał okazji poznać.

Mimo iż złożył sumiennie hołd „kolebce wolności”, zwiedzając muzeum w Faneuil Hall, spotkał się też jednak z pewną wrogością, Wielkiej Brytanii bowiem nie wybaczone dwulicowej roli w wojnie secesyjnej i w umysłach Amerykanów istniał szablonowy obraz Johna Bulla, uproszczony równie wulgarnie jak obraz Wuja Sama w umysłach Anglików. Ale Karol najwyraźniej nie pasował do owego szablonu — twierdził, że rozumie doskonale, jak słuszna była wojna o niepodległość, podziwiał Boston jako ośrodek nauki i myśli amerykańskiej, ruchu na rzecz zniesienia niewolnictwa i niezliczonych innych postępowych ruchów. Z uśmiechem niezmaconego spokoju znosił docinki na temat sakramentalnej herbaty o piątej po południu i czerwonych mundurów żołnierzy angielskich, a przy tym bardzo dbał o to, by nie przybierać nigdy tonu protekcyjnej wyższości.

Dwie chyba rzeczy sprawiały mu najwięcej przyjemności czarowna a nieznana mu dotychczas przyroda: nowe rośliny, nowe drzewa, nowe ptaki — oraz kiedy przebył rzekę noszącą jego imię i zwiedził Harvard, porywające i nieznane skamieliny. Wielkiej przyjemności dostarczał mu też charakter samych Amerykanów. Z początku dostrzegał może pewien brak subtelniejszych odcieni ironii i musiał parę razy czym prędzej znaleźć wyjście z kłopotliwej sytuacji, gdy jego żartobliwe uwagi brano za dobrą monetę. Było jednak tyle miłych chwil, które ten brak wynagradzały... szczerość, bezpośredniość odejścia, urocza ciekawość towarzysząca prawdziwej gościnności — naiwność być może, lecz z obliczem zachwycająco świeżym po uszmkowanej kulturze Europy. Oblicze to w bardzo krótkim czasie przybrało rysy zdecydowanie kobiece. Młode Amerykanki wypowiadały się znacznie swobodniej od swoich europejskich rówieśnic — bądź co bądź zaatlantycki ruch na rzecz emancypacji kobiet miał już dwadzieścia lat. Rezolucyjność pańien wydała się Karolowi bardzo pociągająca. Pociąg ten był odwzajemniony, gdyż przynajmniej w Bostonie wyższość w sprawach dotyczących upodobań kobiecych przyznawano nadal Londynowi. Karol byłby może bardzo szybko oddał swe serce, ale nie opuszczała go ani na chwilę pamięć o okropnym dokumencie, którego podpisanie wymusił na nim pan Freeman. Stał on między Karolem a każdą widzianą niewinną twarzą dziewczęcą — tylko jedna jedyna twarz mogłaby ten dokument wybaczyć i pozbawić go złej mocy.

Na dobitkę w tylu amerykańskich twarzach dostrzegał cień Sary — miały w sobie coś z jej wyzwania, z jej bezpośredniości. Sprawiały, że dawny jej obraz nabierał życia — była przecież kobietą wyjątkową i czułaby się tutaj jak u siebie. Karol coraz częściej myślał o słowach Montague: może Sara rzeczywiście jest gdzieś tutaj. Spędził poprzednie piętnaście miesięcy w krajach, w których odrębność typu i stroju narodowego bardzo rzadko przywodziła na myśl Sarę. Tutaj natomiast obracał się wśród kobiet pochodzenia głównie anglosaskiego i irlandzkiego. Podczas pierwszych dni pobytu dziesiątki razy stawał jak wryty na widok pewnego odcienia rudawych włosów, swobodnego kroku, smukłej sylwetki.

Raz idąc do Ateneum przez błonia miejskie, ujrzał przed sobą na biegnącej ukośnie ścieżce dziewczynę. Ruszył na przelaj, tak był pewien swego. Ale to nie była Sara, musiał więc zacinając się bąkać słowa przeproszenia. Poszedł dalej, drżąc cały tak silne w ciągu owych kilku chwil ogarnęło go podniecenie. Nazajutrz dał ogłoszenie w dzienniku bostońskim. Odtąd, gdziekolwiek pojechał, dawał tam ogłoszenia.

Spadł pierwszy śnieg, Karol ruszył tedy na południe. Zwiedził Manhattan, który podobał mu się znacznie mniej od Bostonu. Spędził potem z poznanymi we Francji przyjaciółmi nader miłe dwa tygodnie w ich mieście — głośny w późniejszym czasie dowcip („Pierwsza nagroda, tydzień w Filadelfi, druga nagroda, dwa tygodnie”) uznaliby na pewno za nietrafny. Stamtąd powędrował dalej na południe, zwiedził Baltimore, Waszyngton, Richmond i Raleigh, ciesząc się ustawicznie nową przyrodą, nowym klimatem, to znaczy nowym klimatem meteorologicznym, klimat bowiem polityczny — jesteśmy tera w grudniu roku 1868 — nie mógł budzić najmniejszego zachwytu. Karol znalazł się w zdewastowanych miastach wśród rozgoryczonych ludzi, ofiar „rekonstrukcji” po wojnie secesyjnej, w okresie gdy fatalny prezydent, Andrew Jackson, miał właśnie ustąpić miejsca prezydentowi katastrofalnemu, jakim był Ulysses S. Grant. W Wirginii, jak się okazało, Karol musiał znów stać się Brytyjczykiem (choć niedocenioną przez niego ironią losu był fakt, że właśnie przodkowie dżentelmenów z którymi przestawał tutaj i w obydwóch Karolinach, jako bardziej nieliczni przedstawiciele wyższych sfer kolonialnych poparli w 1775 roku rewolucję), nasłuchiwał się nawet bredni o nowej secesji i powrocie do unii z Wielką Brytanią. Dzięki swej dyplomacji wyszedł jednak ze wszystkich tych kłopotów obronną ręką, niezbyt dokładnie rozumiejąc, co się dzieje, wyczuwając tylko przedziwny ogrom i marnującą się energię tego rozszczępionego na dwoje państwa.

Wrażenia Karola nie bardzo się chyba różniły od wrażeń Anglika, który przyjeżdża dzisiaj do Stanów Zjednoczonych: to odtrąca, tamto pociąga, tu oszustwo, tam uczciwość, tu brutalność i przemoc, tam troska obywatelska i dążenie do naprawy społecznej. Spędził styczeń w zniszczonym wojną Charlestonie, gdzie po raz pierwszy zaczął się zastanawiać, czy podróżuje, czy też staje się emigrantem. Zauważył, że do jego mowy zakradają się już pewne amerykańskie zwroty i intonacje, chwycił się na tym, że bierze czyjąś stronę — a mówiąc ściśle, że jest rozdwojony jak sama Ameryka, ponieważ uważa zniesienie niewolnictwa za rzecz słuszną, a jednocześnie rozumie wściekłość Południowców, którzy aż nadto dobrze wiedzą, o co w gruncie rzeczy chodzi Jankesom troszczącym się tak serdecznie o wyzwolenie Murzynów. Czuł się znakomicie wśród czarujących dam i pełnych gniewu kapitanów i pułkowników, ale naraz przypomniał sobie Boston — czerwienie policzki i bielsze dusze... w każdym razie dusze bardziej purytańskie. Po starannej analizie doszedł do wniosku, że tam jednak byłoby mu najlepiej i jak gdyby chcąc dowieść tego za pomocą paradoksu ruszył dalej na południe.

Nie nudził się już wcale. Zetknięcie z Ameryką, zwłaszcza może z ówczesną Ameryką, dało mu — lub przywróciło — pewną wiarę w wolność. Dostrzegane wokół objawy niezłomnej woli pokierowania losami państwa, mimo niefortunnych doraźnych jej skutków, nie działały na Karola przygnębiająco, budziły w nim uczucie wewnętrznego oswobodzenia. Śmieszna częstokroć parafiańszczyznę gospodarzy zaczął teraz uważać po prostu za nieodłączny warunek ich braku obłudy. Nawet zbyt liczne dowody burzliwego niezadowolenia, skłonności do ujmowania prawa we własne ręce — procesu, który na zawsze zamienia sędziego w kata — słowem, endemiczne losowanie przemocy, wyrosłe na glebie konstytucji odurzanej pojęciem *liberii*, znajdowały w oczach Karola niejakię usprawiedliwienie. Całe Południe opanowane było duchem anarchii, wszakże nawet to wydawało się Karolowi lepsze od nieustępliwych, twardych rządów w jego ojczyźnie.

Wszystko to mówił sobie jednak tylko w duchu. Pewnego cichego wieczora, będąc jeszcze w Charlestonie, znalazł się przypadkiem na cyplu wysuniętym w stronę odległej o trzy tysiące mil Europy. Napisał tam wiersz, lepszy, nieco lepszy od ostatniego, który państwo czytali.

Czy przyszli szukać prawdy większej,
Niż ta przez siwy Albion skryta?
Czy może w ich młodości leży
To, o co my nie śmiemy pytać?

Stoję tu, obcy w ich klimacie,
A przecież zwykły w ich pojęciu;
I widzę w nich czas, w który — zda się
Już schodzi człowiek jak ku szczęściu.

Tam każdy jego brat się stawia
Ten Raj na skałach zbudowała
Niesprawiedliwość i nienawiść.
Cóż stąd, że matka się zaśmiała

Drwiąc z niemowlęcych rączek głośno?
Cóż stąd, że sobie dziś nie radzą,
Gdy wkrótce, z dzieckiem wraz dorosną,
I zerwą z ślepą matki władzą?

Kiedyś wyruszy dumnie młody
Przez kraj rozległy i zarosły
Na wschód, te błogosławiąc wody,
Które go tu na brzeg wyniosły.

Tutaj, wśród wzniosłych mglistości, retorycznych pytań i paru rzeczywiście nie najgorszych obrazów poetyckich zostawmy Karola na jakiś czas.

Było to blisko trzy miesiące po tym dniu, kiedy Mary powiedziała mężowi nowinę — pod sam koniec kwietnia. Prze ten czas Fortuna uczyniła Sama jeszcze większym swym dłużnikiem, dając mu męskiego potomka którego tak pragnął. Była niedziela, zmierzch pełen zielono—złoty pąków i dzwonów kościelnych, z kuchni na dole dolatywało pobrzękiwanie, dowód, że powracająca do zdrowia żona wraz ze służącą przygotowują dla Sama kolację, gdy więc starsza dziewczynka usiłowała stanąć przy kolanach ojca, a leżący tam jej trzytygodniowy braciszek wznosił do góry ciemne oczka, już teraz przedmiot zachwyty ojca (Łobuziak zmyślny jak małpka!), stało się: coś w tych oczkach drasnęło Sama prosto w niezbyt przecież bostońską duszę.

W dwa dni potem Karol, który zawędrował tymczasem do Nowego Orleanu, wrócił ze spaceru po malowniczym Vieux Carré do swego hoteli. Portier podał mu depeszę.

Zawierała trzy słowa: ODNALEZIONA. LONDYN. MONTAGUE.

Karol przeczytał ją i odwrócił się plecami do kontuaru. Po tak długim czasie, po tylu przejściach... Patrzył niewidzącym wzrokiem na ruchliwą ulicę. Pod powiekami zapiekły go naraz łzy pochodzące, nie wiedzieć skąd, nie powodowane żadnym wzruszeniem. Wyszedł szybko na werandę hotelową i zapalił cygaro. W chwilę później wrócił przed kontuar portiera.

— Najbliższy statek do Europy... Może mi pan powiedzieć kiedy odpływa?

Lalage przyszła: tak,
Nadeszła właśnie, o!
Thomas Hardy, *Timing her*

Odprawił dorożkę przy moście. Był ostatni dzień maja, ciepły, dostatni, fasady domów tonęły w zieleni drzew, po błękitnie nieba sunęło runo białych obłoków. Cień jednego z nich padł właśnie na Chelsea, choć magazyny na przeciwległym brzegu Tamizy wciąż stały w pełnym słońcu.

Montague nic właściwie nie wiedział. Informacja nadeszła pocztą — kartka papieru, niezawierająca nic prócz nazwiska i adresu. Stojąc przy biurku adwokata, Karol odtworzył w pamięci poprzedni adres otrzymany od Sary. Obecny wypisany był sztywnym kaligraficznym pismem — cechowała go tylko właściwa Sarze zwięzłość.

Montague na telegraficzne zlecenie Karola zachował wielką ostrożność. Nie próbowano zwracać się do Sary, żeby jej nie spłoszyć i nie dać sposobności do dalszej ucieczki. Jeden z urzędników kancelarii odegrał rolę detektywa, mając w kieszeni rysopis podawany detektywom zawodowym. Zameldował, że pod wskazanym adresem mieszka odpowiadająca rysopisowi młoda osoba nazwiskiem pani Roughwood*[*Woodruff — czytaj Uudraf; Roughwood — czytaj Rafuud.] Pomysłowe przedstawienie sylab rozwiła ostatnią wątpliwość co do ścisłości informacji rozwiła też po pierwszych obawach podejrzenie o zmianę stanu cywilnego. Samotne kobiety w Londynie . często uciekały się do takich wybiegów, które dowodziły czegoś wręcz przeciwnego, niż zamierzano. Sara nie wyszła za męż...

— Widzę, że list nadano w Londynie. Czy nie wiesz...

— List nadszedł do kancelarii, wysłał go więc ktoś, kto wie o naszych ogłoszeniach. Zaadresowany jest do ciebie osobiście, czyli ten ktoś wie, w którym imieniu działa nasza firma, a jednak nie stara się o nagrodę. Nasuwa to przypuszczenie, że wysłała go sama pani.

— Ale czemu by miała tak długo zwlekać z ujawnieniem swego miejsca pobytu? W dodatku to nie jest jej pismo — Montague rozłożył tylko ręce na znak, że sam tego nie rozumie. — Twój urzędnik nic się więcej nie dowiedział?

— Stosował się ściśle do instrukcji, Karolu. Zabroniłem mu kogokolwiek o cokolwiek pytać. Przypadkiem był w pobliżu na ulicy, kiedy jakaś sąsiadka się z nią witała. Stąd znamy nazwisko.

— A dom?

— Rezydencja ludzi zamożnych. Tak się wyraził.

— Jest tam pewnie guwernantką.

— To bardzo prawdopodobne.

Karol wówczas odwrócił się do okna, co może było i lepiej, bo wyraz, z jakim Montague patrzył na jego plecy, świadczył o niejakiemu braku szczerości. Montague wprawdzie zabronił urzędnikowi zadawania pytań, nie zabronił jednak sobie indagowania urzędnika.

— Zamierzasz się z nią zobaczyć?

— Kochany Harry, nie po to przebyłem Atlantyck... — Karol uśmiechem przeprosił za swój poirytowany ton. — Wiem, o co chciałbyś zapytać. Nie mogę na to odpowiedzieć. Daruj, sprawa jest zbyt osobista. A prawdę mówiąc, sam nie wiem, co czuję. Nie będę chyba wiedział, dopóki jej znów nie zobaczę. Wiem tylko, że... że jej obraz wciąż nie daje mi spokoju. Że muszę z nią pomówić, muszę... rozumiesz!

— Musisz odbyć rozmowę ze Sfinksem.

— Jeżeli tak to chcesz ująć.

— Bylebyś pamiętał, co spotkało tych, którym nie udało się rozwiązać zagadki.

Karol przybrał żartobliwie ponurą minę.

— Jeżeli alternatywą jest milczenie albo śmierć, przygotuj sobie zawczasu mowę pogrzebową.

— Mam dziwne przeczucie, że nie będzie potrzebna.

Uśmiechnęli się obaj.

Teraz jednak, gdy zbliżał się do domu Sfinksa, już się nie uśmiechał. Nie znał wcale tej dzielnicy. Sądził, że jest to pośledniejsza odmiana Greenwich — okolica, w której emerytowani oficerowie marynarki wojennej spędzają ostatnie lata życia. Wiktoriańska Tamiza była znacznie brudniejsza niż obecnie, fale jej niosły moc ohydnych nieczystości. Nieznośny smród pewnego razu wygnał Izbę Lordów z jej siedziby, ponadto uważano go za przyczynę cholery, toteż dom nad Tamizą bynajmniej nie był oznaką przynależności do wyższych sfer, jaką jest teraz, w naszym odwonionym stuleciu. Jednakże stojące tu domy, jak stwierdził Karol, były bardzo okazałe, jeśli więc nawet ich mieszkańcy kierowali się dziwnym gustem w wyborze otoczenia, to z pewnością nie zmusiło ich do tego ubóstwo.

Wreszcie z drzeniem w sercu, czując, że blednie, czując również, że się upokarza — nowe amerykańskie, „ja” znikło pod naporem zakorzenionych dawnych przesądów i Karol z zażenowaniem uświadomił sobie, że on, dżentelmen, ma złożyć wizytę osobie stojącej niewiele wyżej od służki — dotarł do upragnionej bramy z kutego żelaza. Krótka ścieżka wiodła stąd do wysokiego murowanego domu — chociaż mury aż po dach kryły się pod bujną zasłoną glicynii, która zaczynała właśnie otwierać pierwsze bladoniebieskie wisioły kwiecica.

Podniósł mosiężną kołatkę i zapukał dwa razy, poczekał ze dwadzieścia sekund i zapukał znowu. Tym razem drzwi się otworzyły. Stała w nich pokojówka. Dostrzegł poza nią obszerny hol — dużo płócien, tak dużo, iż wyglądało to na galerię obrazów.

— Chciałbym mówić z panią... Roughwood. Mieszka tutaj, o ile mi wiadomo.

Pokojówka, młode smukłe stworzenie z szeroko otwartymi oczami, nie miała na głowie zwykłego koronkowego stroika. Gdyby nie nosiła fartuszka, Karol nie wiedziałby pewno, jak się ma do niej zwracać.

— Nazwisko, jeśli łaska?

Odnotował brak sakramentalnego „proszę pana”. Może to nie była pokojówka, a sądząc po wymowie — raczej dama z towarzystwa. Podał jej swój bilet wizytowy.

— Proszę powiedzieć, że przyjechałem z daleka, żeby się z nią zobaczyć.

Młoda osoba bez żenady przeczytała bilet. Nie była pokojówką. Zdawało się, że się waha. W tej chwili jednak z ciemnego końca dobiegł jakiś szmer. We framudze drzwi stanął mężczyzna starszy od Karola o sześć czy siedem lat. Dziewczyna z ulgą zwróciła się do niego.

— Pan chce zobaczyć się z Sarą.

— Tak?

Mężczyzna trzymał w ręce pióro. Karol zdjął kapelusz i przemówił od progu:

— Gdyby pan był tak łaskaw... to sprawa osobista... Znałem ją dobrze, zanim przyjechała do Londynu.

Było coś niemilego w taksującym, choć bardzo krótkim spojrzeniu rzuconym Karolowi, coś leciutko semickiego w rysach twarzy, jakaś ostentacyjna niedbałość w ubiorze — coś z Disraelego za młodu. Mężczyzna przeniósł wzrok na dziewczynę.

— Czy ona?

— Zdaje się, że rozmawiają. To wszystko.

Liczba mnoga dotyczyła przypuszczalnie wychowanków Sary — dzieci.

— Zaprowadź więc na górę. Raczy pan...

Lekki ukłon i mężczyzna znikł równie nagle, jak się zjawił. Dziewczyna dała znak Karolowi, żeby szedł za nią. Musiał sam zamknąć za sobą drzwi. Gdy zaczęła wchodzić po schodach, miał czas rzucić okiem na stłoczone obrazy i rysunki. Był dostatecznie zorientowany w sztuce nowoczesnej, żeby rozpoznać szkołę, do której większość należała, a przede wszystkim sławnego i osławionego malarza, którego inicjały dostrzegł na kilku płótnach. Powszechne oburzenie, jakie malarz ten wywołał przed dwudziestu laty, już przycichło; to, co podówczas zdaniem ogółu nadawało się tylko do pieca, było teraz w cenie. Pan z piórem jest widocznie kolekcjonerem dzieł sztuki może nieco podejrzanej sztuki, niemniej jednak człowiekiem bez wątplenia majątnym.

Karol wszedł za smukłą dziewczyną na pierwsze piętro. Tu również wisiało dużo obrazów i nadal dominowała wśród nich owa podejrzana szkoła. Zbyt jednak silnym był już ogarnięty niepokojem, aby zwracać na nie uwagę. Gdy skręcili na następną kondygnację, odważył się zapytać:

— Pani Roughwood pracuje tutaj jako guwernantka. Dziewczyna zatrzymała się w pół drogi i obejrzała zaskoczona i ubawiona. Potem spuściła oczy.

— Nie jest już guwernantką.

Znów podniosła na Karola oczy, ale zaraz ruszyła dalej. Doszli do drugiego piętra. Zagadkowa przewodniczka skierowała się ku jakimś drzwiom.

— Zechce pan tu zaczekać. Weszła do pokoju, zostawiając drzwi uchylone. Karol z zewnątrz dojrzał otwarte okno, koronkową firankę poruszaną letnim wietrzykiem, błyski wody poprzez zasłonę z liści. Dobiegła go prowadzona półgłosem rozmowa. Przesunął się, by lepiej widzieć pokój. Zobaczył teraz dwóch mężczyzn, dwóch dżentelmenów. Stali przed płótnem na sztalugach ustawionych do okna pod takim kątem, żeby padało na nie światło — Wyższy z panów pochylał się nad obrazem, badając jakiś szczegół i odsłaniając w ten sposób drugiego stojącego poza nim. Ten przypadkiem spojrział przez drzwi prosto Karolowi w oczy. Ukłonił się ledwie dostrzegalnie, potem przeniósł wzrok na kogoś ukrytego w dalszej części pokoju.

Karol zdębiał.

Znał przecież tego człowieka, ba, kiedyś nawet razem z Ernestyną słuchał go około godziny. To niepodobna, a jednak... I ten mężczyzna na dole! Te obrazy i rysunki! Odwrócił się szybko i niby człowiek, co nie budzi się ze złego snu, lecz nagle w zły sen wpada, wyjrzał przez wysokie okno w głębi korytarza na zielony ogród poza domem. Nie zobaczył nic, widział tylko, jak był szalony zakładając, że upadła kobieta musi spadać coraz niżej — czyż nie przyszedł tu po to, żeby powstrzymać prawo ciężenia? Był wstrząśnięty niczym ktoś, kto odkrywa nagle, że świat wokół niego przewrócił się do góry nogami.

Jakiś szmer.

Obejrzał się błyskawicznie. Stała na tle drzwi, które właśnie cicho za sobą zamknęła, odcinając dostęp słońcu. W półmroku, który nagle zapadł, trudno było ją wyraźnie zobaczyć.

Ten strój! Tak był odmienny, że Karol w pierwszej chwili wziął ją za kogoś obcego. W wyobraźni zawsze widział ją w dawnym ubraniu — nawiedzona twarz odcinająca się na tle wdowej czerni. Ale tu miał przed sobą osobę w pełnym uniformie Nowej Kobiety, odrzucającą zuchwale wszelkie nowoczesne utarte pojęcia o modzie niewieściej. Jasno-granatową spódnicę ścisnął w talii szeroki szkarłatny pas ze złoconą Klamrą w kształcie gwiazdy; pas ten obejmował również jedwabną bluzkę w różowo—białe paseczki, z długimi, powiewni rękawami i delikatnym kołnierzykiem z białej koronki spiętym małą kameą. Włosy odrzucone były do tyłu i luźno przewiązane czerwoną wstążką.

Elektryzująca ta i tracąca cyganerią zjawa wywołała u Karola dwie natychmiastowe reakcje. Pierwszą była myśl, że Sara zamiast wyglądać o dwa lata starzej, wygląda o dwa lata młodziej,

drugą zaś, że on, Karol, w jakiś niepojęty sposób nie wrócił wcale do Anglii, lecz odbył podróż dookoła świata i znalazł się znów w Ameryce. Właśnie tak bowiem wiele tamtejszych eleganckich młodych kobiet ubierało się w ciągu dnia. Rozumiały, jak sensowny to strój, jak ładny i pełen prostoty po okropnych turniurach, gorsetach i krynolinach. W Stanach Zjednoczonych Karolowi styl ten, z jego chytrymi i paradoksalnie kokieteryjnymi aluzjami do emancypacji w innych dziedzinach życia, wydawał się prześliczny, teraz jednak wobec tyłu nowych podejrzeń, policzki Karola przybrały zabarwienie zbliżone do ciemnego różu pasieczków na bluzce Sary.

Ale zaraz po tym wstrząsie — czym ona jest teraz, co się z nią stało! — zalała go fala ulgi. Te oczy, te usta, ten czający się zawsze wyraz buntu... wszystko to pozostało bez zmiany. Jest nadal niezwykłą istotą z jego najpiękniejszych wspomnień — lecz istotą w pełnym rozkwicie, motylem, co wyłonił się z czarnej poczwarki i rozwinął skrzydła.

Przez dziesięć długich sekund nie padło ani jedno słowo. Wreszcie ona splotła nerwowo dłonie na złożonej klamrze i spuściła oczy.

— Jak pan tu trafił, panie Smithson?

To nie ona przysłała adres. Nie jest uradowana ani wdzięczna. Karol nie pamiętał, że zadała mu identyczne pytanie, jakie niegdyś on jej zadał, kiedy stanęła przed nim niespodziewanie, czuł jednak, że role w dziwny sposób się odwróciły. On jest teraz petentem, ona niechętną słuchaczką.

— Mój адвокат otrzymał wiadomość, że mieszka pani tutaj. Nie wiem, od kogo.

— Pański адвокат?

— Nie wiedziała pani, że zerwałem zaręczyny z panną Freeman?

Teraz ona z kolei doznała wstrząsu. Przez długą chwilę patrzyła na niego badawczo, potem spuściła oczy. Nie wiedziała. Karol zrobił krok naprzód i odezwał się stłumionym głosem.

— Przeszukałem wzdłuż i wszerz cały Londyn. Co miesiąc dawałem ogłoszenia w nadziei, że...

Teraz oboje patrzyli na dzielący ich skrawek podłogi, na piękny dywan turecki biegnący przez całą długość podestu. Karol usiłował przybrać normalny ton.

— Widzę, że jest pani... — zabrakło mu słów, ale miał myśli: całkowicie odmieniona.

— Życie dobrze się ze mną obeszło — powiedziała.

— Ten pan w pokoju... czy to nie?...

Skinęła twierdząco głową, czytając nazwisko* [* Chodzi o Johna Ruskina (1819—1900), angielskiego malarza, krytyka i eseistę, mającego powiązania z Bractwem Prerafaelitów. Ruskin pierwszy w dziejach Anglii profesor historii sztuki w Oksfordzie, swoją działalnością literacką, publicystyczną i odczytową odegrał olbrzymią rolę w Anglii wiktoriańskiej.] w jego wciąż jeszcze niedowierzających oczach.

— A ten dom należy do...

Zaczerpnęła głośno tchu, tak bowiem oskarżycielskim tonem wyrzekł te słowa. Przypomniały mu się zasłyszane niegdyś przypadkiem plotki. Nie o mężczyźnie, którego widział w pokoju, lecz o tym, którego spotkał na parterze. Sara bez uprzedzenia ruszyła ku schodom wiodącym na wyższe jeszcze piętro. Karol stał jak wryty. Już ze schodów spjrzała na niego z wahaniem.

— Proszę, zechce pan pójść ze mną.

Gdy się znaleźli na górze, Sara weszła do pokoju wychodzącego na północ, na wielkie ogrody w dole. Była to pracownia malarska. Na stole przy drzwiach leżał w nieładzie stos rysunków, na sztalugach stał rozpoczęty olej, same tylko początkowe zarysy, ledwie zaznaczona sylwetka młodej kobiety patrzącej ze smutkiem na dół i lekko naszkicowane listowie za jej głową, przy ścianie inne odwrócone płótna, na innej ścianie szereg haków z rozwieszonym na nich barwnym zestawem kobiecych sukien, szali, chust, wielki gliniany dzban, stoliki z akcesoriami — tubkami,

pędzlami, miseczkami do farb. Płaskorzeźba, małe rzeźby, urna z sitowiem. Nie było tu bodaj metra kwadratowego, na którym nic by nie stało.

Sara zatrzymała się przy oknie zwrócona plecami do Karola.

— Jestem jego sekretarką. Jego asystentką.

— Służy mu pani jako modelka?

— Czasami.

— Rozumiem.

Nic jednak nie rozumiał i nie widział, a właściwie widział tylko kątem oka jeden ze szkiców na stole przy drzwiach. Był to akt kobiecy, postać obnażona od pasa w górę i trzymająca na biodrze amforę. Twarz nie należała chyba do Sary, ale kąt widzenia był taki, że Karol nie miał pewności.

— Mieszka pani tutaj od wyjazdu z Exeter?

— Mieszkam tu od roku.

Gdyby tylko mógł zapytać, jak się to stało, jak się poznali. Jakie stosunki ich łączą? Po chwili wahania położył cylinder, laskę i rękawiczki na krześle przy drzwiach. Włosy jej widać było teraz w całej wspaniałości — sięgały prawie do pasa. Wydawała się mniejsza, niż ją pamiętał, drobniejsza. Gołąb przyfrunął, chciał usiąść na parapecie przed nią, ale spłoszył się i umknął. Na dole otworzyły się i zamknęły jakieś drzwi. Dał się słyszeć stłumione głosy mężczyzn schodzących po schodach. Pokój dzielił Karola i Sarę. Wszystko ich dzieliło. Milczenie stało się nie do zniesienia.

Przyszedł tu, żeby wydobyć ją z nędzy, zabrać z jakiejś wstrętnej posady w jakimś wstrętnym domu. Przybył w pełnej zbroi, gotów zmierzyć się ze smokiem — a tu nagle uciśniona dziewczica złamała wszelkie reguły. Żadnych łańcuchów, żadnych szlochów, żadnych wyciągniętych błagalnie rąk. Był człowiekiem, który zjawia się na oficjalnym raucie w mylnym przeświadczeniu, że ma to być bal kostiumowy.

— On wie, że pani nie jest zamężna?

— Uchodzę za wdowę.

Następne pytanie było niezręczne, ale Karol zatracił już wszelkie poczucie taktu.

— Zdaje się, że jego żona nie żyje?

— Umarła, ale żyje w jego sercu.

— Nie ożenił się po raz drugi?

— Mieszka tu razem z bratem. — Potem dodała nazwisko jeszcze kogoś, kto tu mieszka, jak gdyby chcąc dać do zrozumienia, że wobec tak gęstego zaludnienia domu obawy Karola są bezpodstawne. Jednak na dźwięk nazwiska, które wymieniła, każdy przyzwoity wiktorianin lat sześćdziesiątych zeszytniałby z gniewu. Zgorszeniu, jakie budziły wiersze tego poety*[* Chodzi o Algernona Charlesa Swinburne'a (1837—1909), buntowniczego poetę należącego do Bractwa Prerafaelitów.], dał publicznie wyraz John Morley, jeden z owych czcigodnych rzeczników (czyli fałszerzy) swojej epoki. Karol pamiętał główne zdanie jego filipiki: „lubieżny laureat zgrai satyrów”. A sam pan domu! Karolowi obilo się bodaj o uszy, że zażywa opium? Wizja jakiegoś orgiastycznego *ménage à quatre* — á cinq, jeżeli liczyć dziewczynę, która Karola wprowadziła — stanęła mu przed oczami. Jednakże wygląd Sary nie nasuwał myśli o jakichkolwiek orgiach, a powołanie się na poetę świadczyło nawet o pewnej naiwności. Ponadto o sławny wykładowca i krytyk, którego Karol dostrzegł prze drzwi, człowiek o poglądach może nieco ekscentrycznych lecz powszechnie szanowany i podziwiany — cóż by on robił w takiej jaskini rozpusty?

Bez wątpienia nadmiernie podkreślam tu gorszą, czyli oportunistyczną, morleyowską połowę natury Karola, bo jego lepsze ja, to, które w swoim czasie pozwoliło mu, mimo złośliwych plotek krążących w Lyme, od razu dostrzec prawdziwy charakter Sary, starało się ze wszystkich sił odrzucić trapiące go podejrzenia.

Stłumionym głosem zaczął wszystko jej wyjaśniać, a w myślach rozbrzmiewał mu jednocześnie inny głos, klnąc jego sztywność i skrępowanie, tę barierę niepozwalającą opowiedzieć o niezliczonych samotnych dniach, o samotnych nocach, kiedy jej duch był wciąż przy nim, nad nim, przed nim... o łzach — ale nie potrafił nawet wypowiedzieć słowa „łzy”. Opowiedział tylko o tym, co zaszło owego wieczora w Exeter. O swoim postanowieniu, o potwornej zdradzie Sama.

Miał nadzieję, że się wreszcie do niego odwróci. Ale kryjąc przed nim twarz, patrzyła wciąż na zieleń w dole. Gdzieś tam bawiły się dzieci. Karol umilkł, potem przysunął się bliżej i stanął za jej plecami.

— To, co mówię, nic dla pani nie znaczy?

— Znaczy dla mnie bardzo dużo. Tak dużo, że...

— Proszę, niech pani mówi dalej — poprosił ostrożnie.

— Brak mi słów.

Odeszła, jak gdyby nie mogąc spojrzeć na niego z bliska. Dopiero znalazłszy się przy sztalugach, odważyła się podnieść oczy.

— Nie wiem, co powiedzieć — szepnęła.

Wyrzekła te słowa bez wzruszenia, bez cienia wdzięczności i radości, których tak rozpaczliwie oczekiwał, jedynie, skoro ma powiedzieć okrutną prawdę, z pełną konsternacji prostotą.

— Mówiła pani, że mnie kocha. Dała mi pani największy dowód, jaki może dać kobieta... że to, co nas opętało, nie było zwykłą wzajemną sympatią.

— Temu nie przeczę.

W jego oczach błysnęła uraza i ból. Sara spuściła powieki, Pokój znów wypełnił się milczeniem i teraz Karol odwrócił się do okna.

— Ale znalazła pani nowe, bardziej pasjonujące zainteresowania.

— Nie przypuszczałam, że jeszcze kiedykolwiek pana zobaczę.

— To nie jest odpowiedź na moje pytanie.

— Zabroniłam sobie żalu za tym, co nieosiągalne.

— To nadal nie jest...

— Panie Smithson, nie jestem jego kochanką. Gdyby pan go znał, gdyby wiedział pan, jaką przeżył tragedię... ani przez chwilę nie byłby pan taki... — Urwała. Karol, czując, że posunął się za daleko, stał teraz zaczerwieniony, mając wrażenie, że dostał po łapach. Znów zapanowało milczenie. Po chwili dopiero Sara powiedziała już spokojnie: — Znalazłam nowe zainteresowania. Są jednak innego rodzaju, niż pan sądzi.

— W takim razie nie wiem, jak mam rozumieć pani bardzo wyraźne zakłopotanie na mój widok. — Nie odpowiedziała nic. — Co prawda, mogę sobie bez trudu wyobrazić, że ma pani teraz... przyjaciół nieporównanie bardziej ode mnie interesujących. — Ale zaraz dodał szybko: — Zmusza mnie pani, żebym wyrażał się w sposób, którego nie znoszę. — Ona nadal się nie odzywała. Zwrócił się do niej z uśmiechem goryczy: — Rozumiem już, w czym rzecz. To ja stałem się mizantropem.

Szczerze to wyznanie pomogło. Sara rzuciła mu szybkie spojrzenie, niepozabawione troski. Wahala się chwilę, potem jednak powzięła decyzję.

— Nie chciałam tego. Chciałam postąpić jak najlepiej. Nadużyłam pańskiego zaufania, pańskiej wspaniałomyślności, narzuciłam się panu, tak, przemocą się panu narzuciłam, wiedząc doskonale, że ma pan inne zobowiązania. Byłam wtedy szalona. Zrozumiałam to dopiero tamtego wieczora w Exeter. Wszystko najgorsze, co pan o mnie myślał, było tylko szczerą prawdą. — Urwała na chwilę. Karol czekał. — Później już widziałam, jak malarze niszczyli dzieła, które amatorom wydałyby się bardzo dobre. Odważyłam się raz zaprotestować. Powiedziano mi, że jeżeli artysta nie jest swoim najsurowszym sędzią, nie zasługuje na miano artysty. Myślę, że to słuszne. Myślę, że miałam słuszność niszcząc to, co się między nami zaczęło. Był w tym fałsz, było...

— Nie ja byłem temu winien.

— Tak, to nie pan był winien. — Zrobiła pauzę, potem zaczęła łagodniejszym tonem. — Panie Smithson, zwróciłam niedawno uwagę na pewne zdanie pana Ruskina. Pisał o wewnętrznej sprzeczności pewnych pojęć. Chodziło mu o to, iż rzeczy naturalne zostały skażone przez sztuczność, czyste przez nieczystość. Sądzę, że coś podobnego zdarzyło się przed dwoma laty. A wiem aż nazbyt dobrze, którą część ja wniosłam.

Ocknęło się w nim na nowo poczucie zakładanej przez nią intelektualnej z nim równości. Zrozumiał też, co tworzyło zawsze dysonans między nimi: jego sztywny, oficjalny sposób wystawiania się — najgorszym tego przykładem był ów list miłosny, którego nigdy nie otrzymała — a jej prosta i bezpośrednia mowa. Dwa sposoby mówienia, zdradzające z jednej strony pustkę, nedorzeczne skrępowanie, a z drugiej rzeczowość i czystość myśli i sądów; różnica, powiedzmy, między prostym kolofonem a jakąś kartą pokrytą przez Noela Humpheysa wymyślnymi zawijasami w rokokowym łuku przed próżnością. Na tym polegała rozbieżność między nimi, chociaż Sara w swej dobroci — a może chcąc pozbyć się go jak najprędzej usiłowała to ukryć.

— Wolno mi kontynuować metaforę? Czy tego, co pani nazywa częścią naturalną i czystą, nie można uratować podjąć na nowo?

— Obawiam się, że nie.

Jednak mówiąc to, nie patrzyła na niego.

— Byłem o cztery tysiące mil stąd, kiedy dostałem wiadomość, że panią odnaleziono. Było to miesiąc temu. Nie upłynęła ani jedna godzina, w której bym nie myślał o tej rozmowie. Pani... pani nie może odpowiadać mi obserwacjami na temat sztuki, choćby najtrafniejszymi.

— Miały stosować się również i do życia.

— W takim razie chce pani powiedzieć, że mnie nigdy nie kochała.

— Tego nie mogłabym powiedzieć.

Odwróciła się od niego. On znów podszedł i stanął za nią.

— Ależ musi pani to powiedzieć! Musi pani powiedzieć: „Byłam z gruntu zła, widziałam w nim tylko narzędzie, którego mogłam użyć, zniszczenie, które mogłam spowodować. Bo teraz nic mnie już nie obchodzi, że on nadal mnie kocha, że podczas wszystkich swoich podróży nie spotkał kobiety, którą mógłby ze mną porównać, że jest widmem, cieniem, istotą na poły tylko żywą, dopóki pozostaje z dala ode mnie.” — Sara pochyliła głowę. Karol zniżył głos. — Musi pani powiedzieć: „Nic mnie nie obchodzi, że całą jego zbrodnią było parę godzin niezdecydowania, nic mnie nie obchodzi, że okupił ją, poświęcać swoje dobre imię, swoje...” — choć to oczywiście nie ma znaczenia, bo sto razy poświęciłbym znów wszystko, co posiadam, gdybym tylko mógł mieć pewność... Sara, najdroższa, ja... Doprowadził się do stanu niebezpiecznie bliskiego leż.

Wyciągnął nieśmiało rękę, dotknął jej ramienia, ledwie go jednak dotknął, gdy Sara prawie niedostrzegalnie zeszywniała. Ręka mu opadła.

— Jest ktoś inny.

— Tak. Jest ktoś inny.

Spojrzał z oburzeniem na jej odwróconą twarz, odetchnął głęboko i wielkimi krokami ruszył ku drzwiom.

— Błagam pana. Muszę jeszcze coś powiedzieć.

— Powiedziała pani jedyną rzecz, która ma znaczenie.

— Ten ktoś nie jest tym, co pan myśli.

Ton jej był tak nowy, tak namiętny, że ręka Karola, sięgająca po kapelusz, zatrzymała się w powietrzu. Obejrzał się. Ujrzał rozdartą istotę: dawną, oskarżającą Sarę i inną Sarę, która błagała, żeby ją wysłuchał. Wbił oczy w ziemię.

— Owszem, jest też ktoś inny w tym sensie, jaki pan nadaje tym słowom. Jest to... pewien malarz, którego tu poznałam. Chce się ze mną ożenić. Podziwiam go, szanuję go jako człowieka i jako artystę. Ale nigdy za niego nie wyjdę. Gdybym musiała w tej chwili wybierać między... między nim a panem nie opuściłby pan tego domu zasmucony. Proszę, żeby mi pań uwierzył. — Podeszła nieco bliżej, patrząc mu prosto w oczy jak tylko ona potrafiła. Musiał jej uwierzyć. Spuścił znów powieki. — Waszym wspólnym rywalem jestem ja sama. Nie chcę wyjść za mąż. Nie chcę wyjść za mąż, bo... pierwszym powodem jest moja przeszłość, która przyzwyczała mnie do samotności. Myślałam zawsze, że nie znoszę samotności. Żyję teraz w świecie, w którym samotności bardzo łatwo jest uniknąć. I przekonałam się, że cenię ją nade wszystko. Nie chcę dzielić z nikim swojego życia. Chcę być tym, czym jestem, nie tym, czym mąż, choćby najlepszy, najbardziej wyrozumiały, życzyłby sobie, żebym się stała po ślubie.

— A drugi powód?

— Drugim powodem jest moja terażniejszość. Nie spodziewałam się nigdy, że mogę być kiedykolwiek szczęśliwa. Jednakże czuję się szczęśliwa tu, gdzie teraz jestem. Mam urozmaiconą i odpowiadającą mi pracę — tak przyjemną, że wcale już jej za pracę nie uważam. Dopuszczona jestem do udziału w codziennych rozmowach ludzi genialnych. Tacy ludzie mają swoje przywary. Swoje złe nawyki. Ale zupełnie różne od tego, co świat im przypisuje. Ludzie, których tu poznałam, ukazali mi wspólnotę szczytnych osiągnięć, szlachetnych celów, o jakich istnieniu nie miałam dotychczas pojęcia. — Zwróciła się sztalugom. — Panie Smithson, jestem szczęśliwa, dotarłam wreszcie, a przynajmniej tak mi się zdaje, tu gdzie jest miejsce. Mówię to z całą pokorą. Nie mam sama żadnych talentów, mam tylko zdolność pomagania geniuszom w sposób, bardzo ograniczony i skromny. Ale sądzę, że winna jestem coś swemu szczęśliwemu losowi. Nie wolno mi szukać szczęścia gdzie indziej. Muszę uważać je za coś przypadkowego, za coś czego nie wolno mi dać sobie wydrzeć. — Urwała znów, potem stanęła przed Karolem twarzą w twarz. — Może pan myśleć o mnie, co chce, ale nie mogę pragnąć innego życia niż to, które pędzę w tej chwili. Nawet wówczas, kiedy zabiega o mnie mężczyzna, którego cenię, który wzrusza mnie bardziej, niż to okazuję, na którego tak wielką wierność i wspaniałomyślność uczuć wcale nie zasłużyłam. — Spuściła oczy. — I którego błagam, aby mnie zrozumiał.

Karol kilka razy miał ochotę przerwać to wyznanie wiary. Treść jego była dla niego kompletną herezją, a przecież w głębi serca czuł coraz większy podziw dla heretyczki. Była jedyna w swoim rodzaju. Widział teraz, że Londyn, że jej nowe życie dokonało w niej subtelnych zmian, wyczelowało słownictwo i wymowę, ułatwiło formułowanie myśli, pogłębiło jasność widzenia, jak gdyby Sara na miejsce dawnej, niepewnej cumy zdobyła kotwicę umacniającą ją w zasadniczej koncepcji życia i swojej w nim roli. Widział to wszystko, ale zarazem nie chciał widzieć. Wrócił na środek pokoju.

— Przecież nie może pani odrzucać celu, do którego kobieta została stworzona? W imię czego? Nie chcę powiedzieć nic złego o panu... — wskazał ręką obraz na sztalugach — ...i o

jego otoczeniu. Ale nie może pani stawiać służby tym ludziom wyżej od praw natury. — Postarał się czym prędzej wykorzystać tę swoją przewagę. — Ja się też zmieniłem. Poznałem znacznie dokładniej siebie, wiem, co dawniej było we mnie fałszywe. Nie stawiam żadnych warunków. Wszystkim, czym jest panna Sara Woodruff, może być nadal pani Karolowa Smithson. Nie będę pani pozbawiał tego nowego świata ani przyjemności, jakie on pani daje. Proponuję tylko rozszerzenie obecnego szczęścia.

Podeszła do okna, a on przesunął się ku sztalugom, nie odrywając od niej oczu. Powiedziała w półobrocie:

— Pan nie rozumie. To nie pańska wina. Jest pan bardzo dobry. Ale mnie nie można zrozumieć.

— Zapomina pani, że już mi to kiedyś mówiła. Zdaje się, że to dla pani punkt honoru.

— Miałam na myśli, że nawet ja sama nie potrafię siebie zrozumieć. I nie umiem panu powiedzieć dlaczego, ale sądzę, że moje szczęście zależy od tego nierozumienia.

Karol uśmiechnął się wbrew woli.

— To absurd. Nie chce pani zastanowić się nad moją propozycją, bo mógłbym doprowadzić panią do tego, że zaczęłyby Pani siebie rozumieć.

— Odmawiam tak samo, jak odmówiłam tamtemu panu, bo może pan zrozumieć, że dla mnie to nie jest absurd.

Znów odwróciła się do niego plecami, ale zaświtał mu błysk nadziei, bo zaczęła skubać coś na białym parapiecie przed sobą zdradzając tym zakłopotanie upartego dziecka.

— Nie wymknie się pani w ten sposób. Może pani zachować dla siebie wszystkie swoje tajemnice. Pozostaną dla mnie nietykalną świętością.

— Nie pana się boję. Boję się pańskiej miłości do mnie. Nazbyt dobrze wiem, że dla miłości nic nie jest święte.

Poczuł się naraz jak człowiek, który traci fortunę przez drobne niezręczne sformułowanie w dokumencie prawnym jak ofiara zwycięstwa bezsensownego paragrafu nad sensownym zamiarem. Ale jeśli Sara nie chce słuchać głosu rozsądku może będzie bardziej podatna na sentyment. Podeszedł bliżej.

— Czy dużo pani o mnie myślała podczas mojej nieobecności?

Wówczas spojrzała na niego spojrzeniem niemal drwiącym jak gdyby przewidywała ten nowy kierunek ataku i była mu rada. Odwróciła na chwilę głowę i patrzyła na dachy domów za ogrodami.

— Z początku dużo o panu myślałam. Myślałam też dużo o panu jakieś pół roku potem, kiedy zobaczyłam po raz pierwszy ogłoszenie, które umieścił pan w...

— A więc pani wiedziała!

Ale Sara nieubłaganie ciągnęła dalej:

— I które zmusiło mnie do zmiany mieszkania i nazwiska. Zasięgnęłam informacji. Dowiedziałam się wtedy — nie wcześniej — że nie ożenił się pan z panną Freeman.

Przez pięć długich sekund stał zmartwiał i pełen niedowierzania. Wreszcie Sara zerknęła na niego spod oka. Zdawało mu się, że czyta w tym spojrzeniu tryumf, że od początku miała ten atut w pogotowiu i co gorsza, czekała z jego pokazaniem, aż pozna całą siłę jego karty. Odeszła spokojnie na bok i ten jej spokój, ta pozorna obojętność bardziej były przerażające niż sam ruch. Powiódł za nią oczami. Może wreszcie zaczął pojmować jej tajemnicę. Oto rozpoczął się jakiś potworny przełom w losach dwóch płci ludzkich, on, Karol, jest tylko szeregowcem, pionkiem w bitwie zakrojonej na znacznie większą skalę i jak we wszystkich bitwach nie chodzi tu o miłość, lecz o władzę i terytorium. Zajrzał głębiej: rzecz nie w tym, że Sara nienawidzi mężczyzn, że właśnie jego nie cierpi bardziej niż innych, rzecz w tym, że wszystkie jej wykręty stanowią po

prostu część jej arsenału, narzędzia do osiągnięcia donioślejszego celu. Zajrzał jeszcze głębiej — rzekoma jej obecna szczęśliwość jest tylko jeszcze jednym kłamstwem. W głębi duszy cierpi nadal, tak samo jak dawniej, i to właśnie jest owa tajemnica, której odkrycia najbardziej się lęka.

Znów milczenie.

— A więc nie dość na tym, że złamała mi pani życie. Uczyniła to pani z rozkoszą.

— Wiedziałam, że takie spotkanie jak dzisiejsze nie może przynieść nic prócz bólu.

— Myślę, że pani kłamie. Myślę, że rozkoszowała się pani myślą o mojej udęce. I myślę, że to pani napisała ów list do mojego adwokata. — Zaprzeczyła gwałtownym ruchem głowy, ale zbył ją oziębłym grymasem. — Zapomina pani, że poznałem już na własnej skórze, jaką doskonałą aktorką potrafi pani być, kiedy służy to pani celom. Domyślam się już, czemu wezwała mnie pani teraz, żeby mi zadać ten ostateczny cios. Ma pani nową ofiarę. Mogłem po raz ostatni dostarczyć pożywienia pani nienasyconej i sprzecznej z kobiecością nienawiści do mojej płci... a teraz może mnie pani odprawić.

— Źle mnie pan sądzi.

Powiedziała to jednak ze zbyt wielkim spokojem, jak gdyby wszystkie te oskarżenia nie robiły na niej najmniejszego wrażenia, a nawet jak gdyby w głębi ducha delektowała się nimi.

— Nie. Jest tak, jak mówię. Pani nie tylko wbiła mi sztylet w serce, ale na dodatek z rozkoszą obraca nim w ranie. — Sara stała teraz wpatrzona w niego, jak gdyby wbrew swej woli, jak zahipnotyzowana — zuchwała zbrodniarka czekająca na wyrok. Karol obwieścił go: — Nadejdzie dzień, kiedy będzie pani musiała odpowiedzieć za wyrządzoną mi krzywdę. A jeżeli jest w niebie sprawiedliwość, wymierzona pani kara przetrwa wieczność.

Melodramatyczne słowa, jednakże słowa znaczą czasem mniej, niż kryjące się za nimi uczucia — słowa zaś Karola płynęły z głębi jego jestestwa i z głębi rozpacz. To, co z nich przebijało, nie było melodramatem, lecz tragedią. Przez długą chwilę Sara patrzyła na Karola, coś z jego straszliwego wzburzenia znalazło odbicie w jej oczach. Opuściła nagle głowę.

Wahał się jeszcze przez ostatnią sekundę. Twarz jego wygadała jak porysowana tama, mająca lada chwila runąć, tak wielki był napór niewypowiedzianej jeszcze klątwy. Ale równie nagle, jak Sara przybrała wyraz skruchy, on zacisnął zęby obrócił się na pięcie i poszedł ku drzwiom.

Zgarnęła ręką fałdy sukni i pobiegła za nim. Odwrócił się gwałtownie na odgłos jej kroków, ona na moment zatrzymała się skonsternowana. Ale zanim zdążył zrobić krok dalej, przemknęła obok niego i zatarasowała sobą drzwi. Odwrót był odcięty.

— Nie pozwolę panu odejść w tym przeświadczeniu. Pierś jej falowała, jakby brakło jej tchu. Patrzyła mu prosto w oczy, jakby pokładając całą nadzieję w sile tego spojrzenia. Gdy jednak zrobił gniewny ruch ręką, przemówiła:

— Jest tu w domu pewna osoba, która mnie zna, która rozumie mnie lepiej niż ktokolwiek inny na świecie. Ona pragnie się z panem widzieć. Błagam, niech się pan zgodzi. Wyłumaczy panu... mój prawdziwy charakter znacznie lepiej, niż sama potrafiłabym to uczynić. Przekona pana, że moje postępowanie wobec pana nie jest aż tak godne potępienia, jak pan sądzi.

Zwrócił na nią płonące oczy, jakby miał teraz pozwolić, aby tama runęła. Uczynił wyraźny wysiłek, żeby się opanować żeby ugasić płomień, zamienić się znów w lód — i w końcu mu się to udało.

— Zdumiewa mnie pani przypuszczenie, że jakaś nieznana mi kobieta może usprawiedliwić pani postępowanie. A teraz...

— Ona czeka. Wie, że pan tu jest.

— Choćby to była królowa we własnej osobie, nie chcę jej widzieć.

— Mnie przy tym nie będzie.

Policzki jej okryły się czerwienią prawie tak ciemną jak policzki Karola. Po raz pierwszy — i ostatni — w życiu miał ochotę użyć siły fizycznej wobec przedstawicielki słabszej płci!

— Precz mi z drogi!

Ale Sara potrząsnęła głową. Słowa przestały mieć znaczenie, był to pojedynek woli. Twarz Sary była pełna napięcia, niemal tragiczna, a jednak coś dziwnego czaiło się w oczach coś się stało, jakiś powiew z innego świata przepłynął między obojgiem. Sara wpatrywała się w Karola jakby wiedząc, że przyparła go do muru — wylękniona, niepewna, co on robi, lecz ani trochę nie wroga, raczej pełna zaciekawienia, oczekiwania na wynik eksperymentu. Karol zachwiał się w swym postanowieniu, spuścił oczy. Pod jego furią kryła się świadomość, że nadal Sarę kocha, że jest ona jedyną istotą, której utraty nigdy nie zdoła zapomnieć. Odezwał się, zwracając do pozłacanej klamry:

— Co mam rozumieć przez to postępowanie?

— To, czego dżentelmen o nie tak wzniosłej duszy od dawna by się już domyślił.

Podniósł głowę, usiłując zbadać wyraz jej oczu. Czyżby w głębi czaił się uśmiech? Nie, być nie może. Sara jeszcze chwilę przytrzymała go swoim nieprzeniknionym wzrokiem, potem odeszła od drzwi do gałki dzwonka umieszczonej po przeciwległej stronie pokoju. Mógł teraz wyjść, ale obserwował ją nie ruszając się z miejsca. „To, czego dżentelmen o nie tak wzniosłej duszy...” Cóż za nowa potworność grozi mu teraz! Inna kobieta, która zna ją i rozumie lepiej niż... ta nienawiść do mężczyzn... ten dom zamieszkały przez... nie śmiał tego wypowiedzieć nawet w duchu. Sara pociągnęła za mosiężną gałkę i znów podeszła do niego.

— Ona zaraz tu będzie. — Sara otworzyła drzwi, rzuciła mu spojrzenie z ukosa. — Bardzo proszę, aby wysłuchał pan, co ma do powiedzenia... i potraktował ją z szacunkiem należnym jej pozycji i wiekowi.

Znikła za drzwiami. Ale ostatnie jej słowa zawierały wyraźną wskazówkę, toteż domyślił się, kogo za chwilę zobaczy. Jest to siostra jej pracodawcy, poetka (nie będę dłużej ukrywał nazwisk), panna Christina Rossetti. Naturalnie! Zawsze przecież, w rzadkich wypadkach, kiedy przeglądał jej wiersze, uderzał go ich niepojęty mistycyzm, jakaś namiętna niejasność, uczucie, że ma się do czynienia z umysłem zamkniętym i po kobiecemu zawiłym — szczerze mówiąc, śmiesznie wprost mętym, gdy chodzi o granice miłości ziemskiej i niebiańskiej.

Podszedł wielkimi krokami do drzwi i otworzył je raptownie. Sara była już przy drzwiach na drugim końcu korytarza i miała właśnie do nich wejść. Obejrzała się, a on otworzył usta, żeby do niej przemówić. Ale z dołu dobiegły go ciche kroki. Ktoś wchodził po schodach. Sara podniosła palec do ust i znikła we wnętrzu pokoju.

Po sekundzie wahania Karol wrócił do pracowni i zbliżył się do okna. Rozumiał już teraz, kto ponosi winę za filozofię życiową Sary — ta, którą „Punch” nazwał ongiś „rozsłochaną przeoryszą”, histeryczna stara panna z Bractwa Prerafaelitów. Jakże okrutnie żałował, że w ogóle wrócił do Anglii! Gdybyż zasięgnął dalszych informacji, nim się wpakował w tę okropną sytuację! Ale stało się — i naraz z ponurą uciechą poczuł narastające postanowienie, że poetycznej damie nie pójdzie z nim tak znów gładko. Karol jest może dla niej tylko ziarnkiem piasku wśród niezliczonych milionów, tylko marnym chwastem w tym egzotycznym rajskim ogro...

Posłyszał jakiś dźwięk. Obejrzał się z twarzą zaciętą i lodowatą. Nie była to jednak panna Rossetti, lecz dziewczyna, która wprowadziła go na górę. Na rękę trzymała małe dziecko. Wydawało się, że zobaczyła uchylone drzwi i zajrzała tu po prostu w drodze do pokoju dzieciennego. Zdziwiła się widząc, że Karol jest sam.

— Pani Roughwood wyszła?

— Dała mi do zrozumienia... że jakaś pani życzy sobie zamienić ze mną kilka słów na osobności. Dzwoniła po nią.

Dziewczyna skłoniła głowę.

— Rozumiem.

Ale zamiast wycofać się, jak Karol się spodziewał, weszła do pokoju i posadziła dziecko na dywanie przy sztalugach. Z kieszeni fartuszka wyciągnęła lalkę z gałganków i podała dziecku, potem na moment uklękła, chcąc się upewnić, czy dziecku jest wygodnie. Następnie wyprostowała się bez słowa i wdzięcznym krokiem poszła ku drzwiom. Karol stał tymczasem z miną wyrażającą coś pośredniego między urazą a zdumieniem.

— Tuszę, że owa pani niedługo przyjdzie? Dziewczyna obejrzała się. Na ustach jej igrał lekki uśmiech.

Spojrzała na dziecko siedzące na dywanie.

— Już przyszła.

Co najmniej przez dziesięć sekund po zamknięciu się drzwi Karol stał i patrzył. Była to dziewczynka z ciemnymi włosami i pulchnymi ramionkami, która ledwie wyszła z wieku niemowlęcego. Widocznie uświadomiła sobie nagle, że Karol jest żywą istotą, bo wyciągnęła do niego lalkę, wydając jakiś niezrozumiały dźwięk. Poważne, szare oczy osadzone w regularnej twarzyczce spojrzały na Karola z lekliwym powątpiewaniem, doznał wrażenia, że mała nie jest pewna, czym on właściwie jest... w sekundę później klęczał przy niej na dywanie, pomagał jej stanąć na chwiejnych nóżkach, badał twarzyczkę niczym archeolog, co odkopał właśnie pierwszy zwój starożytnego zaginionego manuskryptu. Dziewczynka zaczęła zdradzać nieomyślne oznaki, że nie podoba się jej to badanie. Może zbyt mocno chwycił kruche ramionka. Wyciągnął szybko zegarek, jak to już raz uczynił w podobnej opresji. Skutek był równie dobry, toteż po chwili mógł już wziąć małą na ręce bez protestów z jej strony i zanieść na fotel przy oknie. Siedziała mu na kolanach pochłonięta srebrną zabawką, a on z nie mniejszym napięciem chłonał wzrokiem jej twarz, ręce, każdy cal jej ciała.

Rozważał też ponownie każde słowo, które padło w tym pokoju. Mowa jest jak jedwabna mora — tak wiele zależy od kąta, pod jakim się na nią patrzy.

Usłyszał, że drzwi otworzyły się cicho. Ale nie obejrzał się. Po chwili jakaś ręka spoczęła na wysokim oparciu drewnianego fotela, na którym siedział. Nie odezwał się, i właścicielka ręki też się nie odzywała. Dziecko, zajęte zegarkiem, równie było cicho. W którymś z sąsiednich domów jakaś amatorka pani mająca dużo czasu, lecz niewiele wprawy, bo wykonanie było podłe, złagodzone jedynie odległością, zaczęła grać na fortepianie — przez mury, przez liście i promienie słońca sączył się mazurek Chopina. Tylko te skoczne, biegnące dźwięki znaczyły upływ czasu. Poza tym wszystko było urzeczywistnionym niepodobieństwem — historią zatrzymaną w miejscu, żywą fotografią.

Dziewczynce szybko znudził się zegarek i wyciągnęła rączki do matki. Ta wzięła ją, przytuliła i odstąpiła wraz z nią o kilka kroków. Karol jeszcze przez długą chwilę patrzył przez okno. Wreszcie wstał i zwrócił się twarzą do Sary trzymającej na ręku dziecko. Oczy jej wciąż miały wyraz powagi, ale uśmiechała się lekko. Teraz rzeczywiście drwiła sobie z niego, ale byłby chętnie przebył cztery miliony mil, żeby stać się przedmiotem takiej drwiny.

Dziecko wyciągnęło rączki ku ziemi, bo zobaczyło tam swoją lalkę. Sara nachyliła się, podniosła lalkę i podała małej. Przez chwilę obserwowała córkę zaabsorbowaną zabawką, potem jej oczy spoczęły na stopach Karola. Nie mogła spojrzeć mu w oczy.

— Jak jej na imię?

— Lalage. — Wymówiła imię jako daktyl, z twardym „g”. Wciąż jeszcze niezdolna była podnieść oczu. — Pan Rossetti podszedł do mnie pewnego razu na ulicy. Nie wiedziałam o tym,

ale mnie od pewnego czasu obserwował. Prosił, żebym mu się pozwoliła narysować. Jej nie było jeszcze na świecie. Był dla mnie niezwykle dobry, kiedy poznał moją sytuację. To on zaproponował imię. Jest jej ojcem chrzestnym. Wiem, że to dziwne imię — dodała szeptem.

Karolem niewątpliwie miały dziwne uczucia, najdziwniejsze zaś było to, że Sara w tych warunkach zasięga jego opinii o tak drobnej sprawie. Było to tak, jak gdyby w chwili, gdy statek wpadł na skały, pytano go, co sądzi o materiale na obicie kabiny. Mimo oszołomienia odpowiedział machinalnie:

— To z greki. Od *lalageo*, szemrać jak strumyk.

Sara pochyliła głowę, jakby dziękując skromnie za tę informację etymologiczną. Karol wciąż patrzył na nią, mając w uszach trzask łamiących się masztów i krzyki tonących. Nigdy jej nie wybaczy.

Usłyszał jej szept:

— Nie podoba ci się?

— Mnie... ja... — przełknął ślinę. — Owszem. To ładne imię. Ona znów pochyliła głowę. Ale on nie mógł się poruszyć, nie mógł usunąć z oczu strasznego pytania. Podobnie spogląda człowiek na leżącą w gruzach ścianę, która zmiażdżyłaby go na śmierć, gdyby przechodził pod nią w chwilę później — na przypadek, ów czynnik zazwyczaj przez mentalność ludzką pomijany i odkładany do lamusa mitów, a ucieleśniony w tej postaci, w tych dwóch postaciach przed nim. Sara wciąż miała oczy spuszczone, osłonięte ciemnymi rzęsami. Widział jednak lub też wyczuwał w nich łzy. Mimo woli zrobił ku niej krok. Naraz znów się zatrzymał. Nie może, nie może... Słowa, choć ciche, wyrwały mu się z ust:

— Ale dlaczego? Dlaczego? A gdybym ja nigdy... Opuściła głowę jeszcze niżej. Z trudem usłyszał odpowiedź:

— Tak być musiało.

Zrozumiał: rzecz była w ręku Boga, zależała od tego, czy On przebaczył im grzechy. Karol wciąż jednak usiłował zajrzeć w ukrytą przed nim twarz.

— A wszystkie te okrutne słowa, które mówiłaś... do których zmusiłaś mnie w odpowiedzi?

— Musiały być powiedziane.

Nareszcie podniosła głowę i spojrzała na niego. Oczy miała pełne łez, ich absolutna szczerość trudna była do zniesienia. Takie spojrzenia odbieramy i wymieniamy zaledwie raz czy dwa razy w życiu, w spojrzeniach tych znikają słowa, topnieje przeszłość, są to chwile, gdy w spełnieniu najistotniejszych pragnień poznajemy, że opoką wieków nie może być nigdy nic prócz miłości, tutaj, na ziemi, w tych dwóch splecionych rękach, w tym ślepym milczeniu, w którym czyjaś głowa tuli się do czyjejś piersi, a które Karol po minucie trwającej cała wieczność przerywa, chociaż pytanie jest raczej tchnieniem niż słowami:

— Czy kiedykolwiek zrozumiem twoje zagadki?

Głowa spoczywająca na jego piersi przeczy ruchem niemym, lecz gwałtownym. Długa pauza. Usta przywierają do lśniących, kasztanowatych włosów. W odległym domu pozbawiona talentu dama pewno pod wpływem wyrzutów sumienia (a może pod wpływem błagań udręczonego ducha Chopina) przestaje grać. A Lalage, jak gdyby miłosierna cisza pobudziła ją do refleksji na temat estetyki muzyki, a następnie do rytmicznego walenia lalką w nachylony męski policzek, przypomina ojcu — zaiste, czas po temu najwyższy — że bez perkusji nawet tysiąca skrzypiec ma się bardzo szybko dosyć.

61

Ewolucja jest po prostu procesem, za pomocą którego przypadek (przypadkowe mutacje w spirali kwasu nukleinowego spowodowane naturalnym promieniowaniem) współdziała z prawem przyrody w tworzeniu żywych form lepszych i coraz lepiej przystosowanych do utrzymania się przy życiu.

Martin Gardiner, *The Ambideitrous Universe* (1967)

Prawdziwą pobożnością jest postępowanie zgodne z tym, co się wie.

Matthew Arnold, *Z notatników* (1868)

Zgodnie ze starą i wypróbowaną regułą rzemiosła pisarskiego nigdy nie należy wprowadzać pod koniec powieści ważniejszych nowych postaci. Mam nadzieję, że Lalage będzie mi wybaczona, natomiast osobnik, co od chwili rozpoczęcia ostatniej sceny z niezmiernie ważną miną opiera się o parapet nabrzeża po przeciwległej stronie domu nr 16 przy Cheyney Walk, rezydencji pana Dantego Gabriela Rossettiego (który, nawiasem mówiąc, nie zażywał opium, lecz chloral, wskutek czego też umarł), może się na pierwszy rzut oka wydawać krzyżącym odstępstwem od powyższej reguły. Nie chciałem go wprowadzić, ale że jest on tego rodzaju człowiekiem, co musi być wciąż na widoku, człowiekiem, co podróżuje pierwszą klasą albo wcale, człowiekiem, dla którego pierwsza osoba liczby pojedynczej jest jedynym zaimkiem, który, słowem, ma obsesję pierwszeństwa, a że ja jestem tego rodzaju człowiekiem, co nie chce ingerować w naturalny bieg rzeczy (choćby najgorszy), więc też wtargnął do mojej książki albo, jak on by to sformułował, wtargnął taki, jaki jest w rzeczywistości. Wprawdzie wynikałoby stąd, iż został przedtem wprowadzony taki, jaki w rzeczywistości nie był, wobec czego nie jest właściwie nową postacią, ale nie będę się nad tym rozwodził, mogę tylko zapewnić, że osobnik ten wbrew pozorom jest figurą całkiem drobną — ściśle biorąc, tak drobną jak cząsteczka gamma.

Jaki jest w rzeczywistości... otóż prawdziwe jego oblicze nie budzi zbyt sympatii. Patriarchalna niegdyś broda została teraz przystrzyżona pretensjonalnie i z francuska. Ubiór, obficie haftowana letnia kamizelka, trzy pierścienie na palcach wąskie cygareto w bursztynowej cygarnicze, laska z malachitową gałką, wszystko to trąci dość krzykliwą ostentacją. Wygląda tak, jak gdyby zrezygnował z wygłaszania kazań i zajął się operą, przy czym w tej drugiej dziedzinie osiągnął znacznie większe sukcesy niż w pierwszej. Krótko mówiąc, ma w sobie najwyraźniej coś z impresaria, któremu powiodło się w życiu.

A teraz, oparty niedbale o parapet, ściska leciutko nos kostkami upierścienionych palców — wskazującego i średniego. Ma się wrażenie, że z trudem tłumi śmiech. Patrzy na dom pana Rossettiego z miną niemal właściciela, jak na świeżo kupiony nowy teatr, do którego pewien jest, że potrafi ściągnąć publiczność. Pod tym względem nic się nie zmienił: najwyraźniej uważa, iż świat należy do niego i może z nim robić, co mu się podoba.

Teraz jednak prostuje się. Ta zabawa w Chelsea była miłym interludium, czekają go jednak ważniejsze sprawy. Wyjmuje z kieszonki zegarek — autentyczny Breguet — i wybiera kluczyk spośród sporej wiązki na złotym łańcuchu. Przesuwa wskazówki. Widocznie zegarek — choć to rzecz niezwykła, kiedy chodzi o dzieło z warsztatu największego zegarmistrza świata — pośpieszył się o cały kwadrans. Rzecz to podwójnie dziwna, bo w pobliżu nie widać nigdzie zegara, według którego właściciel Bregueta mógłby stwierdzić, że jego czasomierz źle chodzi. Ale można domyślić się powodu. Pan z zegarkiem po prostu stwarza sobie usprawiedliwienie na

to, że się spóźni na następne spotkanie. Potenci pewnego typu muszą być zawsze bez zarzutu, nawet w sprawach najdrobniejszych.

Pan z zegarkiem daje rozkazujący znak otwartemu powozowi, oczekującemu w odległości stu jardów. Lando dziarsko zajeżdża, lokaj zeskakuje i otwiera drzwiczki. Impresario wsiada, rozpiera się na szkarłatnych skórzanych poduszkach, nie przyjmuje ozdobionego monogramem koca, którym lokaj chce mu okryć nogi. Lokaj zamyka drzwiczki, kłania się i wraca na swoje miejsce przy drugim służącym. Pada adres, stangret dotyka biczykiem kapelusza z kokardą.

Powóz szybko odjeżdża.

— Nie, jest tak, jak mówię. Pani nie tylko wbiła mi sztylet w serce, ale na dodatek z rozkoszą obraca nim w ranie. Sara stała teraz wpatrzona w niego jak gdyby wbrew swej woli, jak zahipnotyzowana — zuchwała zbrodniarka czekająca na wyrok. Karol obwieścił go: — Nadejdzie dzień, kiedy będzie pani musiała odpowiedzieć za wyrządzoną mi krzywdę. I jeżeli jest w niebie sprawiedliwość, wymierzona pani kara przetrwa wieczność.

Wahał się jeszcze przez ostatnią sekundę. Twarz jego wyglądała jak porysowana tama, mająca lada chwila runąć, tak wielki był napór niewypowiedzianej jeszcze klątwy. Ale równie nagle, jak Sara przybrała wyraz skruchy, on zacisnął zęby, obrócił się na pięcie i poszedł ku drzwiom.

— Panie Smithson!

Zrobił jeszcze dwa kroki, stanął, obejrzał się przez ramię, a potem z zaciętością odrzucającą wszelką możliwość przebaczenia skierował spojrzenie na drzwi. Usłyszał szelest jej spódnicy. Stała tuż za nim.

— Czyż to nie dowodzi słuszności tego, co mówiłam? Że lepiej by było, gdybyśmy się nigdy już nie zobaczyli?

— Zakłada pani, że znałem jej prawdziwy charakter. Ale nie znałem go.

— Jest pan pewien?

— Miałem pani chlebobdawczynię w Lyme za obłudną egoistkę. Teraz widzę, że w porównaniu ze swoją damą do towarzystwa była osobą świętą.

— A czy nie byłabym egoistką, gdybym wiedząc, iż nie mogę kochać pana tak, jak żona powinna, zgodziła się pana poślubić?

Karol zmroził ją spojrzeniem.

— Był czas, kiedy mówiła pani o mnie jako o swojej ostatniej desce ratunku. Jako o jedynej nadziei w życiu. Role się teraz odwróciły. Nie jestem już pani potrzebny. Trudno. Ale niech się pani nie próbuje bronić. Złośliwość tylko spotęguje i tak już dość silny ból.

Miał to cały czas w myślach — ten najmocniejszy, choć zarazem najbardziej godny pogardy argument. A gdy to mówił, nie mógł ukryć drżenia, nie mógł ukryć, że jest u kresu wytrzymałości, zwłaszcza gdy chodzi o poczucie doznanej krzywdy. Rzucił jej ostatnie udrećzone spojrzenie, a potem ruszył szybko do drzwi.

— Panie Smithson!

Znowu. Teraz poczuł na ramieniu jej rękę. Po raz drugi stanął sparaliżowany, nienawidząc tej ręki, nienawidząc własnej słabości. Zdawało się, że Sara usiłuje przekazać mu coś, czego nie może ująć w słowa. Może chodziło tylko o gest żalu przeproszenia. Ale gdyby tak było rzeczywiście, ręka jej bez wątpienia dotknęłaby go i zaraz opadła, tymczasem jednak trzymała go nie tylko psychicznie, lecz fizycznie. Bardzo wolno obrócił głowę i spojrzał na Sarę. Doznał wstrząsu, widząc jeśli nie na jej ustach, to w oczach coś jakby uśmiech, cień owego dziwnego uśmiechu, którym obdarzyła go niegdyś, kiedy omal nie zaskoczyli ich Sam i Mary. Czy była to ironia, czy Sara chciała mu dać do zrozumienia, żeby nie brał życia tak poważnie? Ale teraz znów, gdy świdrował ją rozpaczliwym, tragicznym wzrokiem ręka powinna była opaść. Wciąż

jednak czuł na ramieniu jej uścisk, jak gdyby Sara mówiła: spójrz, czy nie widzisz, że istnieje rozwiązanie?

Doznał nagle olśnienia. Spojrzał na jej rękę, potem przeniósł wzrok na twarz. Wolno, jakby w odpowiedzi, policzki jej oblały się czerwienią, uśmiech znikł z oczu. Ręka opadła w dół. Zdawało się, że rozwiały się wszelkie zasłony i oboje stoją naprzeciw siebie obnażeni. Dla Karola wszakże jej nagość nie była nagością seksualną, lecz kliniczną, odsłaniającą ukryte dotychczas okropne schorzenie. Poszukał w oczach Sary jakiegoś dowodu jej istotnych zamiarów, lecz znalazł tylko ducha gotowego poświęcić wszystko prócz siebie — poświęcić prawdę, uczucia, może nawet kobiecą skromność, byleby zachować niezawisłość. Na chwilę możliwość tej najwyższej ofiary stała się dla Karola pokusą. Widział lęk pod wyraźną już świadomością, że zrobiła fałszywe posunięcie, gdyby więc przyjął ofertę przyjaźni platonicznej — a choćby nawet z czasem bardziej intymnej, to nigdy nieuświęconej — zraniłby Sarę najdotkliwiej.

Zaledwie jednak to wszystko zrozumiał, gdy wyobraził sobie, jak taki układ będzie wyglądał w rzeczywistości — jak on, Karol, stanie się przedmiotem drwin tego zdeprawowanego domu, wzdychającym adoratorem, pocziwym, ulubionym osiołkiem. Zrozumiał też, że stoi od Sary wyżej, a wyższość ta nie polega na urodzeniu, wykształceniu, inteligencji lub płci, lecz na zdolności dawania, która jest zarazem niezdolnością do kompromisów. Ona potrafi dawać tylko po to, by władać, a władza nad nim — może dlatego, że jest taki, jaki jest, może dlatego, że poczucie władzy jest dla niej imperatywem, musi być ustawicznie odnawiane i nie może poprzestać na jednym zwycięstwie, może... ale on, Karol, nie wie tego i nigdy się już nie dowie — władza nad nim to dla niej za mało.

Wreszcie zrozumiał też, że ona wiedziała z góry, że on odmówi. Od samego początku manipulowała nim. Byłoby ta aż do końca.

Ostatnim, palącym spojrzeniem odtrącił ją raz na zawsze i wyszedł z pokoju. Ona już nie próbowała go zatrzymać. Patrzył wprost przed siebie, jak gdyby obrazy na ścianach, wzdłuż których przechodził, były milczącymi widzami. Był ostatnim uczciwym człowiekiem idącym na szafot. Chciało mu się płakać, ale nic nie zdołałoby wycisnąć z niego choćby jednej łzy w tym domu. Chciało mu się krzyczeć. Gdy zszedł do holu, dziewczyna, która zaprowadziła go na górę, wyszła z jakiegoś pokoju, trzymając na ręku małe dziecko. Otworzyła usta, chcąc coś powiedzieć. Obląkane, a zarazem mrozące spojrzenie Karola powstrzymało ją. Wyszedł z domu.

Przy bramie, gdy przyszłość stała się już terazniejszością, okazało się, że nie wie, dokąd pójść. Jak gdyby urodził się na nowo, zachowując władze umysłowe i wspomnienia człowieka dorosłego, ale bezradny jak dziecko — musi wszystko zacząć od początku, wszystkiego od nowa się uczyć! Na ukos, na oślep, nie oglądając się za siebie, przeszedł przez ulicę ku nabrzeżu. Było wyludnione, w oddali tylko widać było odjeżdżające lando, które znikło za zakrętem, nim doszedł do parapetu.

Nie wiedząc czemu, patrzył na szarą rzekę, wezbraną i bliską. Wszystko to oznaczało powrót do Ameryki, oznaczało, że trzydzieści lat pięcia się w górę poszło na marne, na marne, na marne, utracił wszystkie zdobyte szczyty, oznaczało, był tego pewien, całkowity celibat serca, taki sam, jak celibat wybrany przez Sarę, oznaczało... a gdy wszystko, co to oznaczało, zarówno w perspektywie, jak i w retrospektywie, zaczęło spadać na niego czarną lawiną, odwrócił się wreszcie i spojrzał na dom, który opuścił. Zdawało mu się, że w otwartym oknie na górze cienka biała firanka opadła w dół.

Było to jednak tylko złudzenie, sprawka majowego wietrzyka. Sara bowiem pozostała w pracowni, patrząc na ogród w dole, na dziecko i młodą kobietę, pewnie matkę dziecka, siedzące na trawie i zajęte pleceniem wianka z margerytek. Czyżby miała łzy w oczach? Za daleko, żebym

mógł zobaczyć — szyby okienne odbijają blask letniego nieba i Sara jest już teraz dla mnie tylko cieniem poza światłem.

Mogą państwo oczywiście pomyśleć, że nie przyjmując oferty zawartej w owym zatrzymującym uścisku ręki, Karol popełnił najwyższe i ostateczne głupstwo, oraz że gest ten zdradza co najmniej pewną chwiejność w postawie Sary. Mogą państwo uznać, że Sara miała słuszną — że jej walka o terytorium było słusznym buntem pobitej przeciwko odwiecznemu najeźdźcy — Ale w każdym razie nie powinni państwo sądzić, że to skończenie historii ich dwojga jest mniej prawdopodobne.

Powróciłem bowiem, choć okrężną drogą, do swej pierwotnej zasady: że nie ma żadnego ingerującego boga poza tym czego się można pod tym kątem dopatrzeć w pierwszym epigrafie do niniejszego rozdziału, istnieje tedy tylko życie takie, jakie w granicach przypadkowo otrzymanych możliwości stworzyliśmy sobie sami, życie, jak je określił Marks: uczynki ludzi (mężczyzn i kobiet) dążących do własnych celów. Podstawową zasadę, która powinna kierować tymi uczynkami i która, jak sądzę, kierowała zawsze uczynkami Sary, umieściłem w drugim epigrafie. Nowoczesny egzystencjalista bez wątpienia zastąpiłby słowo „pobożność” słowem „humanizm” lub „autentyczność”, z pewnością jednak zrozumiałby intencje Matthew Arnolda.

Rzeka życia, rzeka tajemniczych praw i tajemniczych decyzji, płynie wzdłuż bezludnego nabrzeża, a innym bezludnym nabrzeżem rusza teraz Karol, człowiek kroczący za niewidzialną lawetą, na której spoczywają jego własne zwłoki. Czy idzie ku nieuchronnej samobójczej śmierci? Nie sądzę, znalazł bowiem wreszcie atom wiary w siebie, odkrył w sobie coś autentycznego, na czym może budować, zaczął już — mimo że przeczyłby temu zawzięcie, mimo że ma łzy w oczach na poparcie tego przeczenia — zdawać sobie sprawę, iż życie bez względu na to, jak efektownie pasuje czasem Sara do roli Sfinksa, nie jest symbolem, nie jest jedną tylko zagadką i jedną chybioną odpowiedzią, nie jest jedną jedyną umiłowaną twarzą, nie jest czymś, z czego się rezygnuje po jednym przegranym rzucie kości, lecz czymś, co tak czy owak, nieporadnie, beznadziejnie, mimo pustki, mimo wrogiej obojętności miasta trzeba znieść do końca. Więc dalejże znów na bezkresne, słone, nieokiełznane morze!

Podziękowania

Pragnąłbym podziękować za wyrażenie zgody na zamieszczenie cytatów w tej książce następującym osobom i instytucjom:

Hardy Estate and Macmillan & Co. Ltd — fragmenty z: Thomas Hardy, *Collected Poems*,

Mr William Manchester and Michael Joseph Ltd — cytat z: *The Death of President Kennedy*, the Oxford University Press — fragmenty z: G. M. Young, *Victorian Essays* i *Portrait of an Age*,

Mr Martin Gardner i the Penguin Press — cytat z: *The Ambidextrous Universe*,

Mr E. Royston Pike i Allen & Unwin Ltd — nie tylko za zgodę na cytowanie, ale również za przychylne potraktowanie tego, że „podkradłem” kilka pomysłów z jego *Human Documents of the Victorian Golden Age*. Gorąco polecam tę wspaniałą antologię każdemu czytelnikowi, który chciałby lepiej poznać rzeczywistość kryjącą się w tle mojej powieści.

J.F.